Jan Widacki
KNIAŹ JAREMA

Biografia poświęcona księciu Jeremiemu Wiśniowieckiemu, znanej z Sienkiewiczowskiego *Ogniem i mieczem* postaci uosabiającej ideał XVII-wiecznego rycerstwa. Okres wojen kozackich ukazany jest w tej książce niezwykle plastycznie, z dbałością o wiarygodność faktów komentowanych przez rozmaite źródła historyczne (pamiętniki, diariusze, korespondencje). Jednocześnie tekst zawiera wiele interesujących rozważań o charakterze polemicznym, dotyczących bezpośrednio osoby Wiśniowieckiego: motywów jego postępowania, konfliktów, w jakie był uwikłany, temperamentu, zalet i wad.

NA WEWNĘTRZNEJ CZĘŚCI OBWOLUTY ZAMIESZCZAMY SPIS TYTUŁÓW KSIĄŻEK KTÓRE UKAZAŁY SIĘ W SERII —

Jeremi Wiśniowiecki

Jeremi Wiśniowiecki

Mojemu Ojcu,
od którego przed wielu laty
dowiedziałem się o istnieniu
kniazia Jaremy.

Jan Widacki

KNIAŹ JAREMA

Wydawnictwo „Śląsk”

Projekt obwoluty, okładki i strony tytułowej *Henryk Bzdok*

Ilustracja na obwolucie *Ireneusz Botor*

© Copyright by *Jan Widacki*, Katowice 1984

ISBN 83-216-0796-9
(oprawa broszurowa)

ISBN 83-216-0797-7
(oprawa twarda)

ZAMIAST WSTĘPU

Wykupując zrujnowane dobra wiśniowieckie, hrabia Włodzimierz Plater przeliczył się ze swymi możliwościami. Mimo najlepszej woli nowego gospodarza i jego wysiłków, nie udało się zapobiec klęsce. Zapadła decyzja o wystawieniu na licytację prastarego gniazda jednego z najznakomitszych w Rzeczypospolitej rodów.

W niewesołych nastrojach poszli więc tego dnia spać domownicy wiśniowieckiego zamku. Nocą zbudził ich hałas dobiegający z sali portretowej. Jakiś łoskot i trzask. Gdy wbiegli tam, oczom ich ukazał się leżący na ziemi, w roztrzaskanych ramach, portret króla Michała Korybuta, który dziwnym i niewytłumaczonym trafem spadł ze ściany. Grozę, samego z siebie dość niesamowitego przypadku, powiększyło przypomnienie, że właśnie minęła dwóchsetna rocznica śmierci króla. Był rok 1873.

Ostatni z rodu Wiśniowieckich — książę Michał Serwacy nie żył już od lat prawie stu trzydziestu. Od lat ponad osiemdziesięciu nie istniało już państwo, z którego historią tak ściśle związani byli ci książęta z Wiśniowca. W czasie ostatniego półwiecza szlacheckiej Rzeczypospolitej, kiedy państwo chyliło się coraz gwałtowniej ku upadkowi, nie było już kniaziów Wiśniowieckich. Zostały po nich zrujnowane przez kolejnych spadkobierców dobra, nie zawsze wdzięczna pamięć i 30 naturalnej wielkości portretów w sali wiśniowieckiego zamku. Spośród owych 30 portretów, 12 jesienią 1745 „wzięło udział" w czterodniowej ceremonii pogrzebowej Michała Serwacego, wojewody wileńskiego i hetmana wielkiego litewskiego. Zawieszono je na ozdobionych od podłogi aż do gzymsu karmazynowym adamaszkiem ścianach kościoła karmelitów w Wiśniowcu.

Sprowadzono je tu, by świadczyły o potędze i długowieczności rodu, a przy tym jakby się chciano przed nimi pochwalić, z jaką pompą i z jakim przepychem żegna się tego, który był z nich ostatnim. A było się czym pochwalić. Ściany kościoła — fundowanego niegdyś

przez Jeremiego Wiśniowieckiego — przybrano ośmioma tysiącami łokci karmazynowego adamaszku, udrapowano złocistym jedwabiem (7 tysięcy łokci). Do dotychczasowych 10 ołtarzy dobudowano jeszcze 27 nowych, a na każdym płonęły bez przerwy po 3 pary woskowych świec. Czterdziestu księży bez przerwy odprawiało nabożeństwa za duszę zmarłego.

Na środku prezbiterium stał piętrowy katafalk, nad którym pod samym sklepieniem kościoła zwieszała się „mitra axamitna półczwarta w dyametrze szeroka", spod której do ziemi, do 4 rogów kościoła zwieszały się 4 welony z aksamitu karmazynowego, podbitego gronostajami! Na katafalku w otwartej trumnie leżało ciało zmarłego przed rokiem księcia „a jednak mało co skażone, w purpurowej axamitnej czamarze, sobolami podbitej".

W kościele tłoczyli się senatorowie, biskupi obydwu obrządków, tłum szlachty strojnej. Wysłuchali oni 4 głównych mszy żałobnych i 4 kazań, z których jedno przez ponad 3 godziny trwało, a pozostałe niewiele tylko były krótsze. Po mszach rozpoczął się ceremoniał wojskowy, odprawiony oddzielnie przez wojska polskiego i cudzoziemskiego autoramentu.

Najpierw więc u stóp katafalku „towarzysz petyhorski pałasz rzucił, później towarzysz husarski kopię kruszył, po nim chorąży chorągiew rzucał, a na koniec pułkownik husarski Ślizień z łoskotem rzucił hetmańską buławę. Po nich oficerowie cudzoziemskiego autoramentu chorągwie i szpady rzucali, szpontony [rodzaj krótkiej piki-halabardy] kruszyli".

Żegnała Rzeczpospolita ostatniego z Wiśniowieckich z przepychem, z jakim mało którego króla żegnała.

Wątpić jednak należy czy portretowi Wiśniowieccy — ściągnięci do karmelickiego kościoła na świadków tej uroczystości — mogli być zachwyceni. Rzeczpospolita ich czasów potęgą swą i wolnościami zadziwiała świat. Dziś — bezwolna i bezsilna — była przedmiotem intryg i zakusów coraz bardziej drapieżnych sąsiadów. Asystująca pogrzebowi husaria nie była już, jak za ich czasów, jazdą straszną każdemu nieprzyjacielowi. Świat nazywał teraz husarzy „pancernymi zającami", zaś asysta przy pogrzebach pozostała jedyną formą racjonalnego jej wykorzystania. Dlatego też sądzić należy, że portretowych Wiśniowieckich niewiele chyba pocieszyły ostatnie słowa wypowiedziane przez kaznodzieję do ich zmarłego potomka:

„Xsiężyc twój umniejszony nie będzie, bo Pan będzie Tobie światłem wiecznym i skończą się dni smutku twego".

Księżyc Korybutów błyszczał zawsze światłem odbitym od słońca potęgi Rzeczypospolitej, a światło to zdawało się gasnąć ostatecznie.

W 1786 roku, udając się do Kaniowa na spotkanie z Katarzyną II, Stanisław August zatrzymał się w Wiśniowcu. Podejmowany hucznie przez Mniszchów, którzy po Wiśniowieckich dziedziczyli zamek, jadł obiad w sali portretowej. Pod wzrokiem trzydziestu Wiśniowieckich — świadków największej potęgi Rzeczypospolitej — musiał czuć się bardzo nieswojo ten król, który jechał pokornie swe służby Jaśnie Imperatorowej ofiarować i w związku z wojną turecką wprosić się na sojusznika. Dawało to co prawda szanse na zwiększenie polskiej siły zbrojnej, jednak sam fakt konieczności zwracania się w tej sprawie do Katarzyny o zgodę był — jakby na to nie patrzeć — upokarzający. Z planów rozbudowy wojska — pod pozorem tworzenia korpusu na wojnę z Turcją — nic nie wyszło. Sprytna Katarzyna zgodziła się jedynie na korpus dwunastotysięczny, złożony z samej kawalerii, podzielony na trzy brygady przydzielone do trzech armii rosyjskich i oczywiście poddane wspólnemu (czytaj: rosyjskiemu) dowództwu. Wyjeżdżając do Wiśniowca, takiego finału — w swej naiwności — Stanisław August nie przewidywał i w marzeniach widział się już wodzem wielkiej armii. Być może, w oddawaniu się tym marzeniom przeszkadzał mu wzrok trzydziestu patrzących nań ze swych portretów Wiśniowieckich, który wrażliwemu z natury Stanisławowi Augustowi wydał się tego dnia dziwnie twardy i szyderczy. A może ten król — bez charakteru, ale bystrym obdarzony umysłem — w potędze tych kresowych książąt i ich niegdysiejszej samowoli widział zalążek swego dzisiejszego upokorzenia? Dość, że po obiedzie król udał się do swych apartamentów i na kolację do sali portretowej już nie zszedł.

I. RÓD KSIĄŻĄT WIŚNIOWIECKICH

Ród Wiśniowieckich wyodrębnił się na przełomie XV i XVI wieku z rodu książąt Zbaraskich. Protoplastą był kniaź Michał Zbaraski, dziedzic zamku w Wiśniowcu, od którego wziął nazwisko. Zmarł prawdopodobnie około 1516 roku, a więc na początku panowania Zygmunta Starego, wkrótce po zwycięstwie nad Tatarami pod Wiśniowcem. Kniaź Michał był dwukrotnie żonaty. Z pierwszej żony pozostawił trzech synów. Najstarszy z nich, Iwan, zapoczątkował linię Wiśniowieckich, zwaną przez późniejszych genealogów „książęcą" — dla odróżnienia od linii „królewskiej", zapoczątkowanej przez syna z drugiego małżeństwa, Aleksandra, a kończącej się na królu Michale I Korybucie Wiśniowieckim.

Książęta Zbarascy, po nich Wiśniowieccy, a także spokrewnieni z nimi Woronieccy i Poryccy uważali się za Korybutowiczów, tj. potomków Korybuta-Dymitra, brata Jagiełły, i używali przydomka „Korybut".

To pokrewieństwo z Jagiellonami aż do połowy XIX wieku nie było przez nikogo kwestionowane. Dopiero Kazimierz Stadnicki w książce *Bracia Władysława Jagiełły* (Lwów 1867) opierając się na zapisie ze *Zbioru Ruskich Dziejopisów*, że „Korybutowi synowie Iwan, da Zigimont da Teodor bezdietni", wykluczył możliwość istnienia jakichkolwiek prawdziwych Korybutowiczów w następnych pokoleniach. Stadnicki wyszukał też, że w roku 1442 Kazimierz Jagiellończyk nadał Zbaraż niejakiemu Deniskowi Mokosiejewiczowi. Dopiero jego potomkowie — zdaniem Stadnickiego — przybrali nazwisko Zbaraskich, a jeden z nich, Stefan (1562—86), poślubiwszy Anastazję, córkę Michała księcia Mścisławskiego, praprawnuka Jawnuty, syna Giedymina i wszedłszy w ten sposób w koligacje z Jagiellonami, zaczął tytułować się księciem. Tak więc nie Korybut Olgierdowicz, wnuk Giedymina, ale nieznany bliżej Mokosiej miałby być protoplastą Zbaraskich i Wiśniowieckich. Opinię Stadnickiego podchwyciło wielu historyków

i dziś dość powszechnie kwestionuje się prawo Wiśniowieckich do przydomka „Korybut", podejrzewając bądź sugerując jakieś XV-wieczne heraldyczne oszustwo.

Obawiam się jednak, że Stadnickiemu uwierzono zbyt pochopnie, bowiem sprawa nie jest bynajmniej tak prosta, jak mogłoby się wydawać. Okazuje się, że w 1434 roku Zbaraż dzierżył kniaź Fed'ko, czyli Fiodor zwany Nieświskim. Po jego śmierci (ok. 1442) Zbaraż dostaje wprawdzie Denisk Mokosiejewicz, ale dożywotnio. Mało tego, ów Denisk pozwany jest o Zbaraż przez syna Fed'ka, Wasyla. Wasyl wraz z bratem Jurijem wracają na Wołyń gdzieś pomiędzy 1450 a 1455 rokiem, wcześniej czasowo rezydują — jak się zdaje — w Drohiczynie. A więc Zbarascy, a tym samym Wiśniowieccy, są potomkami kniazia Fed'ka Nieświskiego, a nie Mokosieja? Przemawia za tym także podobieństwo herbów. Tytuł książęcy prawnie więc — poza wszelkimi wątpliwościami — im się należy, ą nie jest wynikiem szalbierstwa usłużnych heraldyków i genealogów.

Czy jednak ów Fed'ko Nieświski i Fiodor Korybutowicz to jedna i ta sama osoba? Czy też może Fed'ko nie jest synem Korybuta Dymitra, ale jednym z pomniejszych kniaziów wołyńskich?

Cóż wiemy o Fed'ku — protoplaście Zbaraskich i Wiśniowieckich — o którym współczesny mu Długosz pisze, że jest „ze wszystkich książąt litewskich i ruskich najdzielniejszym"? Wiemy m.in., że miał synów, a Fiodor Korybutowicz, wedle przytoczonych przez Stadnickiego źródeł, miał być bezdzietny. Już to, wydawać by się mogło, przesądza, że Fed'ko Nieświski i Fiodor Korybutowicz to dwie różne osoby. Rzecz jednak w tym, że źródło to, na którym oparł Stadnicki swe twierdzenie, pełne jest jednak błędów i nieścisłości. Z innych, zupełnie wiarygodnych i potwierdzonych źródeł wynika, że Fiodor Korybutowicz miał jeszcze córki — a więc bezdzietnym na pewno nie był — wiemy o tym z procesu o Łosk, który z Kiszką toczył zięć Fiodora Korybutowicza, kniaź Iwan.

W sporze o tożsamość Fed'ka Nieświskiego i Fiodora Korybutowicza — swego czasu bardzo zażartym — toczonym przez heraldyków i genealogów, obie strony posiadały pewne argumenty.

Bardziej przekonywające zdaje się przedstawiać Józef Puzyna, uważający Fed'ka Nieświskiego za Fiodora Korybutowicza. Przytacza on następujące fakty:

— w liście wójta z Brajtranu, szpiega krzyżackiego, pisanym z Wołkowyska do wielkiego mistrza w lutym 1432, jest mowa o staroście podolskim Fiodorze Korybutowiczu. Skądinąd wiadomo, że starostą podolskim był wówczas Fed'ko Nieświski;
— w liście Jagiełły do Świdrygiełły (z 22 października 1431) król

skarży się na Fed'ka Nieświskiego, który wzbrania się zwrócić staroście Teodorykowi Buczackiemu m.in. Jałtuszków, należy do Kamieńca, a wiadomo, że to Fiodor Korybutowicz trzymał Jałtuszków;

— Fed'ko Nieświski ma niewątpliwie brata Iwaszkę (Iwana). Brata Iwana ma także Fiodor Korybutowicz. Mało prawdopodobne wydaje się, aby w tym samym czasie były aż dwie pary braci książąt o tych samych imionach;

— Wojciech Kojałowicz w swym *Compendium*, opisując fakty niewątpliwie związane z Fed'kiem Nieświskim, nazwa go „Korybutowiczem".

Dodajmy od siebie, że przed Stadnickim — jak wspomniano — nikt Korybutowego pochodzenia Wiśniowieckich nie kwestionował, że dla współczesnych (np. dla Stryjkowskiego) było ono oczywiste. Również Joachim Lelewel w swych *Dziejach Litwy* nazywa Fiodora Korybutowicza „ojcem Wiśniowieckich, Zbaraskich, Poryckich i Woronieckich". Za syna Korybuta uważają Fed'ka Nieświskiego także historycy ukraińscy (np. Mychajło Hruszewskij).

Ów sporny kniaź Fed'ko Nieświski, który takiego genealogom i heraldykom narobił kłopotu i wyzwolił w nich tyle emocji, był postacią bardzo interesującą. Szalenie odważny w boju, niestety w sojuszach wichrowaty, ambitny i uparty, stanowić mógł doskonały pierwowzór niejednego późniejszego magnata warchoła, a naturą podobnych mu było wielu spośród późniejszych Wiśniowieckich.

Dziedzicznie władał włościami: zbaraską, winnicką oraz chmielnicką. Władał też rozległymi starostwami na Wołyniu i Ukrainie. Włości te i zamki otrzymał niegdyś — w zamian za utraconą Siewierszczyznę Dymitr Korybut. Po roku 1422 Fed'ko uczestniczy we wszystkich ważniejszych na Litwie i Rusi wydarzeniach.

Początkowo jako stronnik Świdrygiełły, walczy przeciw Jagielle. Podole uważa za swoje, nie chce nań wpuścić nowo mianowanego starosty Teodoryka Buczackiego, którego rozbił pod Kamieńcem i wziął do niewoli. Później wraz z kniaziem Nosem oblegał Brześć. Naraził się w czymś Świdrygielle i ten wrzucił go do więzienia (1433). Uwolniony za wstawiennictwem panów polskich (z którymi już wcześniej musiał mieć jakieś konszachty), 14 września 1433 składa hołd królowi, królowej i Koronie Polskiej, obiecując wierność i posłuszeństwo. W dwa lata później już o tym nie pamięta, kuma się ze swym niedawnym prześladowcą a dawniejszym sojusznikiem Świdrygiełłą, którego aktualnie wspiera mistrz inflancki. Tym razem jednak Fed'ko stojąc otwarcie po stronie Świdrygiełły, pod Wiłkomierzem, pomylił się i postawił na złego konia. Zygmunt Kiejstutowicz, wspierany przez 12 tysięcy

jazdy polskiej, gromi inflantczyków (ginie wówczas sam mistrz inflancki Kerskorf) Świdrygiełło ledwie spod Wiłkomierza uchodzi z życiem. Co stało się wówczas z Fed'kiem, nie wiemy. Być może opuścił pobitego sojusznika i znów próbował stawiać na Koronę Polską, nie wiadomo. Dość, że w 1440 wita królewicza Kazimierza wjeżdżającego na Litwę. Wygląda jednak na to, że w szczerość tych ostatnich umizgów nie uwierzono, bo w tym mniej więcej czasie jego Zbaraż został nadany Mokosiejewiczowi. Potomkowie Fed'ka muszą się tułać gdzieś po Podlasiu z dala od Wołynia i Podola, na który powrócą dopiero jego wnukowie. Starszy z wnuków, Semen Wasylewicz Nieświski, w 1463 odzyska Zbaraż, wraz z którym w 1474 broniąc się Tatarom spłonie drugi z braci: Wasyl Wasylewicz Nieświski. Od tego czasu kniaziowie na Zbarażu zwą się już Zbaraskimi.

Pierwsi Wiśniowieccy nie piastowali ważniejszych urzędów ani też nie odgrywali poważniejszej roli politycznej. Najbardziej znanym z nich był chyba kniaź Dymitr. Do wielkiej polityki nie garnął się, prowadził za to na dalekich kresach swoją własną. Poprzestał na niewiele znaczących, ale dających dochód starostwach czerkaskim i kaniowskim. W czasie kiedy Andrzej Frycz Modrzewski pisał *O naprawie Rzeczypospolitej*, Rej pokazywał wszem i wobec „że Polacy nie gęsi", a Jan z Czarnolasu wyrastał na poetę najwyższej europejskiej miary — kniaź Dymitr planował kolejne łupieskie wyprawy przeciw poddanym sułtana. W czasie kiedy polska myśl polityczna sięgała swych wyżyn, Dymitr rozważał czy lepiej tym razem złupić Krym, czy Wołoszczyznę. Ten sławny awanturnik, książę-Kozak przez Kozaków zwany „Bajdą", pierwowzór jakichś sienkiewiczowskich Kurcewiczów, tyle że znacznie od nich potężniejszy — działając na własną rękę wyłącznie w celach rozbójniczych, przedsiębrał liczne wyprawy przeciw Tatarom i Turkom. W latach 1554—55 ufortyfikował dla własnych celów jedną z wysp w dolnym biegu Dniepru, Małą Chorotycę, dając początek Siczy Zaporoskiej.

Rzeczpospolita nie mogła, ze względów politycznych, popierać kozackich eskapad Dymitra, nie chciała bowiem prowokować wojny z Turcją. Wówczas Dymitr poszukał innego protektora. Awanturniczy kniaź zaczął łupić pogranicze tatarsko-tureckie w imieniu Iwana IV Groźnego, od którego nominalnie przyjął służbę. Zbrzydła ona jednak kniaziowi szybko, więc ukorzył się przed Zygmuntem Augustem i uzyskał przebaczenie. Król krzywił się wprawdzie, że jego starosta miast zamków kresowych pilnować, wolał przewodzić tej zbieraninie „temu chłopstwu a kozactwu, które się około niego kupiło", a przewodząc im „w celach zuchwałej a niecnotliwej ambicji, straconym został dla kraju". Ukorzywszy się przed królem, obiecał się kniaź odmienić. Spokoj-

nie jednak w Czerkasach wysiedzieć nie mógł i w 1559 znów o nim głośno: w osiem tysięcy koni wpada do Krymu, odbija jasyr, uprowadza jeńców i bierze bogate łupy. W cztery lata później interweniuje na Wołoszczyźnie. Ta wyprawa okazała się jednak dla Bajdy-Wiśniowieckiego ostatnią. Zwabiony postępem dostaje się do niewoli. Ze skutego kajdanami Bajdy robią Wołosi prezent sułtanowi Solimanowi. Sułtan podziwiając jego męstwo, ponoć — jeśli wierzyć legendzie — zaproponował mu córkę za żonę, stawiając jednak jako warunek przyjęcie islamu. Hardy Dymitr miał — jak głosi kozacka duma — odpowiedzieć sułtanowi „twoje doczka choroszaja, twoja wiara proklataja" lub też nazwać islam „psią wiarą", jak zapisał polski pamiętnikarz, dość że rozgniewany sułtan kazał go w wymyślny sposób uśmiercić. Powieszono więc Dymitra w Carogrodzie żywcem za żebro na haku, niczym Janosika. Janosik powieszony „za ziobro, za poślednie" zmarł sobie najspokojniej, a i tak przeszedł do legendy. Dymitr wisząc na haku dopiero największych dokonywał wyczynów, a dziś mało kto o nim wie. Otóż Dymitrowi pachołek miał podać łuk i strzały, którymi straszliwy kniaź jeszcze trzeciego dnia raził Turków i nawet ranił samego sułtana, który przyszedł pogapić się na to dziwowisko. Wtedy dobito Bajdę. Tyle legenda żyjąca w polskich i kozackich pieśniach. Maciej Stryjkowski, który w 1574 brał udział w poselstwie do sułtana, wspomina w swej kronice, że widział w Stambule jego grób. Świadczyłoby to o tym, że Turcy rzeczywiście potraktowali Dymitra honorowo.

Bajda-Wiśniowiecki uważany był przez Kozaków za bohatera. Poświęcili mu oni wiele swych pieśni i dum. Przetrwały one w ludzie ukraińskim aż do XIX wieku, o czym przekonał się osobiście Bohdan Zaleski, któremu spotkany dziad lirnik śpiewał dumy o „kniaziu Wiszniewieckim". Dopiero ostatnio zaczęto zgłaszać wątpliwości czy Dymitr Wiśniowiecki i Kozak Bajda to jedna i ta sama osoba. Wątpliwości takie zgłaszają głównie ci, którzy w Kozaczyźnie widzą — w sposób wyraźnie wyidealizowany — jedynie postępowy ruch społeczny i kniaziowe dowództwo nad Kozakami nie pasuje im do społecznej koncepcji kozaczyzny.

W kilkadziesiąt lat później spory rozgłos uzyskali dwaj inni Wiśniowieccy, książę Adam i książę Konstanty, którzy wsławili się awanturą, tym razem nie tylko na skalę państwową, ale w pewnym sensie europejską, nie mającą precedensu w nowożytnych dziejach cywilizowanego świata.

Zaczęło się od tego, że książę Adam Wiśniowiecki przyjął do służby młodzieńca, który poprzednio służył u jednego szlachcica, niejakiego Hoyskiego, a przywędrował teraz do Brahina. Chłopczysko było niewysokie, rude, o dużej okrągłej twarzy, z dwiema dużymi brodaw-

kami: jedną pod nosem, drugą nad okiem. Kiedyś, w 1603, będąc z księciem w łaźni, coś mu przez niezdarność przewinił. Książę, niewiele myśląc, trzasnął go z wielkopańska w szeroki pysk, aż klasnęło. Posmutniało chłopczysko, chwilę się zadumało, aż rzekło: „gdybyś Wasza Książęca Mość wiedział, kim jestem właściwie, nie uderzyłbyś mnie". „A któżeś ty taki?" zapytał zdumiony kniaź i na wszelki wypadek trzepnął pachołka w gębę z drugiej strony. Widocznie przekonał go tym sposobem do celowości dalszych zwierzeń, bo oto dowiedział się, że bije po gębie cara rosyjskiego. (Istnieją jeszcze co najmniej dwie inne wersje „odkrycia" Samozwańca, obydwie jednak rolę „odkrywcy" przypisują Adamowi Wiśniowieckiemu).

Historia miała jakiś rys prawdopodobieństwa, bowiem od czasu śmierci Dymitra, ostatniego syna Iwana IV Groźnego, raz po raz rozchodziły się pogłoski, że carewicz i prawy dziedzic korony moskiewskiej, cudem ocalony żyje.

Czy Adam uwierzył, że wychlastał po gębie cara i chciał tym niecodziennym przecież wyczynem pochwalić się przed krewniakiem, czy też nie dał się nabrać, ale postanowił wykorzystać okazję do dużej awantury, nie wiadomo. Fakt, że przyodział Dymitra odświętnie w polskie szaty i powiózł do księcia Konstantego do Załoziec. Tam plan wielkiej awantury dojrzał. Obaj Wiśniowieccy wraz ze swym podopiecznym wyruszyli w podróż do Krakowa, by monarsze zaprezentować „monarchę". Po drodze wstąpili do Sambora, do teścia Konstantego, Jerzego Mniszcha, wojewody sandomierskiego, dając mu szansę goszczenia pod swym dachem „cara". Tu doszło do spotkania carewicza Dymitra z urodziwą córką wojewody, Maryną, którą, jak z dalszego biegu wydarzeń łatwo wnioskować, od dawna czekała na jakiegoś królewicza z bajki (a chociażby z Moskwy), a szczególnie gustosowała w chłopakach rudawych z dużymi twarzami, na których rosły brodawki. W tych warunkach trudno się dziwić wybuchowi szalonej miłości od pierwszego wejrzenia. Na widok Maryny amor przebił serce bardzo uczuciowego Dymitra, tak że miłość natychmiast została odwzajemniona.

Tymczasem w Samozwańcu coraz to ktoś nowy już to przez grzeczność, już to cynicznie rozpoznawał prawdziwego Dymitra. Awantura zaczęła przybierać coraz większe rozmiary. Protektorzy przywieźli Dymitra do Krakowa w marcu 1604. Na dworze zapanowała zupełna konsternacja. Zygmunt III rad by przestrzegać poprawnej neutralności wobec Moskwy, z drugiej strony jednak pokusa była zbyt silna. Tym bardziej że Samozwaniec, sam zepewne zaskoczony i nieco oszołomiony swoim wstępnym sukcesem (wokół bitego jeszcze niedawno w gębę sługi skakali książęta krwi i senatorowie), teraz aktywnością swoją

zaczął przełamywać impas. W obawie, aby protektorzy się nie rozmyślili, obiecuje Mniszchowi, że gdy tylko zasiądzie na tronie moskiewskim, poślubi Marynę. O takiej karierze jednej ze swych cór Mniszchowie nigdy zapewne nie marzyli.

Przyjął z rąk jezuickich katolicyzm, czym zjednał sobie poparcie tego potężnego w czas kontrreformacji zakonu. Bojąc się, aby Mniszech mimo wszystko się nie rozmyślił, wspaniałomyślny Dymitr obiecał mu jeszcze milion złotych i trochę klejnotów ze skarbca kremlowskiego. Wreszcie Rzeczypospolitej obiecał w zamian za pomoc części Smoleńszczyzny i Siewierszczyzny.

Teraz Wiśniowieccy, a zwłaszcza Mniszech, rozpoczęli agitować króla za Samozwańcem. Zygmunt III jest niezdecydowany, radzi się senatorów. Z wyjątkiem Tarnowskiego i Zebrzydowskiego wszyscy byli popieraniu Dymitra przeciwni. Zamoyski o całej sprawie wyrażał się z najwyższą pogardą, nazywając ją wprost komedią. Król przyjął jednak Dymitra na uroczystej audiencji. Oficjalnie w wojnę z Moskwą się nie wdał, pozwolił jednak magnatom wspierać Samozwańca prywatnymi wojskami. Ci już w końcu 1603 zaczęli gromadzić swe wojska w Łubniach na Zadnieprzu, gdzie gościny udzielił im trzeci kniaź Wiśniowiecki — Michał, starosta owrucki, po którym kiedyś jako po dziadku weźmie imię przyszły król Polski. Ostatecznie Mniszech, Konstanty Wiśniowiecki i kilku innych ze swymi nadwornymi wojskami oraz najętymi kozakami wprowadzili Samozwańca do Czernihowszczyzny. Wojska moskiewskie zadały wprawdzie znaczną porażkę interwenientom i zanosiło się na to, że komedia już się zakończy, tymczasem zmarł Borys Godunow (23 kwietnia 1605). Lud zaczął masowo przechodzić na stronę kroczącego odtąd w zwycięskim pochodzie ku Moskwie Dymitra. Bojarowie — po miesiącu panowania — złożyli z tronu syna Borysa, Fiodora, otwierając przed Dymitrem bramy stolicy.

Z końcem listopada rozegrał się w Krakowie kolejny akt wielkiej komedii: ślub z Maryną *per procura*. Dymitra zastępował jego kanclerz i podskarbi Atanazy Własiew. Już 9 listopada Własiew przybył do Krakowa w 200 koni. Orszak barwnie ubrany, „wszyscy jeźdźcy w czapach futrzanych sadzonych perłami", wjechał do miasta bramą Mikołajską, przy której został powitany przez orszak królewski.

W Rynku krakowskim połączono trzy kamienice (obecnie nr 7 i 8) przebijając w nich ściany. Urządzono tam specjalną kaplicę, w której miał się odbyć uroczysty ślub Maryny, odtąd carowej moskiewskiej. Ślub został udzielony 22 listopada w obecności króla Zygmunta III, królewicza Władysława, królewny szwedzkiej Anny, nuncjusza papieskiego Rangoniego, przez kardynała Bernarda Maciejowskiego. Zjechało się też wielu senatorów. Marynę ubraną w białą haftowaną

suknię altembasową, w delikatnej roboty koronie na głowie z perłami wplecionymi w czarne warkocze, wiedli do ołtarza dwaj senatorowie: Miciński, wojewoda łęczycki i Oleśnicki, kasztelan małogoski. Uroczystość zaczęła się bardzo dostojnie i poważnie, zakończyła za to humorystycznie. Na godnie i dobitnie zadane przez kardynała pytanie „czy car Dymitr nie ślubował komu innemu wiary małżeńskiej?" — zastępujący pana młodego Własiew odpowiedział: „a czy ja wiem? pod tym względem żadnej nie udzielił mi instrukcji". Po czym podrapał się w swą bojarską głowę i bardzo roztropnie zauważył: „jeśliby był komu innemu ślubował, z pewnością by mnie nie przysłał". Odpowiedź zastępcy pana młodego wywołała zrozumiałą konsternację u jednych, śmiechy u innych uczestników uroczystości. Kardynał jednak cierpliwie i dzielnie zachowując powagę, brnął dalej. Dzielność jego i cierpliwość niebawem wystawione być miały na dalsze próby. Najpierw Własiew uparł się, że nie złoży przysięgi po łacinie i nie chciał się dać przekonać. Do kolejnego zgrzytu doszło przy zakładaniu pierścieni — założywszy na palec Maryny piękny pierścień z diamentem, na swój palec nie dał pierścienia założyć, tylko flegmatycznie zapakował go do puzderka i wraz z nim wetknął za pazuchę. Gdy nieszczęsny kardynał chciał związać ręce pary stułą, Własiew niespokojnie się rozejrzał, po czym wyrwał chustkę stojącej najbliżej wojewodzinie smoleńskiej, obwiązał sobie nią łapę i dopiero pozwolił na związanie rąk stułą. Sądził bowiem, że jako dobrze wychowany poddany nie powinien dotykać carowej.

Wreszcie zakończył się obrzęd ślubny, Maryna stała się carową moskiewską, nieszczęsny kardynał otarł spocone czoło. Zakończył się kolejny akt wielkiej komedii, odegrany przy znakomitej publiczności. Akcja następnego aktu przeniosła się do Moskwy. Ale na scenie moskiewskiej komedia szybko zmieniła się w tragedię.

Dymitr w maju przyjął Marynę w Moskwie i powtórzył uroczyste zaślubiny, ale w międzyczasie poróżnił się z Adamem Wiśniowieckim. Trudno dociec czy niedawny protektor zbyt natarczywie dopominał się za swe niegdysiejsze usługi zapłaty, czy też wciąż jeszcze chciał przy Dymitrze grać rolę opiekuna, co raziło ambicję cara, dość że kazał księciu Adamowi opuścić Moskwę. Nawiasem mówiąc, nieświadomie wyrządził mu wielką przysługę i uchronił od losu, który spotkać miał wkrótce wszystkich obecnych w Moskwie Polaków.

Car tymczasem wszem i wobec ogłaszając, że zebrał 100 tysięcy wojska, miał już udać się do obozu, choć nie bardzo wiadomo na jaką wojnę się wybierał, gdy tymczasem przewrót pozbawił go i tronu, i życia. Polakom, którzy licznie przebywali wówczas w Moskwie, zgotowano straszną rzeź. Na wieść o zamieszkach kniaź Konstanty Wiś-

niowiecki dosiadł konia i na czele swych sług chciał jechać na pomoc Dymitrowi. Gdy dowiedział się, że Dymitr nie żyje, zmienił plan i postanowił bronić się we dworze, w którym stacjonował. Broniono się rzeczywiście z determinacją, odpierając kolejne szturmy Moskwiczan. Sam książę z łuku celnie raził przeciwników „bijąc ich nienajgorzej". Przy zdobywaniu dworu Konstantego miało zginąć „do trzystu Moskwy", Wiśniowieckiemu „siedemnaście człeka ubito". Większym ofiarom zapobiegł Wasyl Szujski, który sam na miejsce bitwy przybył i z krzyżem w dłoni zaproponował rozejm. Dopiero wówczas kniaź zaniechał dalszej, beznadziejnej obrony i poddał się Szujskiemu. Ten bojąc się, aby jeńca co złego od tłumu nie spotkało, zabrał go z sobą i pozostawił pod silną strażą. W początkach sierpnia wysłano Konstantego do Kostromu, a innych więźniów polskich, którzy uszli rzezi, część najpierw do Rostowa, potem nad Białe Jezioro, innych do Tweru. Marynę wraz z ojcem do Jarosławia. Później wszystkich znamienitszych przeniesiono do Moskwy. Dla kniazia Konstantego zaczęły się dwa ciężkie lata pobytu w moskiewskich więzieniach. Opuści je dopiero w sierpniu 1608, kiedy Szujski czyniąc zadość podpisanemu rozejmowi, wypuści ich z Moskwy.

Tymczasem, jeszcze w lipcu 1607, pojawił się w Starodubie drugi Samozwaniec, który chociaż „ledwie co nieboszczykowi podobny" natychmiast zyskał poparcie polskich awanturników. Spośród wybitniejszych osobistości w obozie drugiego Samozwańca jako pierwszy pojawił się niepoprawny odkrywca cudem ocalonych Dymitrów, kniaź Adam Wiśniowiecki.

W tym dziwnym widowisku kolejne akty przybierały postać komedii bądź tragedii. Tym razem rozgrywała się znów część komediowa. Ledwie co wypuszczeni z więzienia Mniszech i Konstanty Wiśniowiecki znów „rozpoznają" w szalbierzu cudem uratowanego cara i wspierają go całymi siłami. Mało tego — „rozpoznała" go Maryna, która jednak „na wszelki wypadek" wzięła z nim po cichu ślub. Aby skomplikowaną akcję komedii skomplikować jeszcze bardziej, Zygmunt III przypomniał sobie, że ma prawo do tronu moskiewskiego (jako potomek Julianny Twerskiej i Zofii Holszańskiej). Rozpoczęła się „oficjalna" wojna polsko-moskiewska. Carem był Szujski, pod Moskwą w Tuszynie obozem stał drugi Samozwaniec wraz z polskimi ochotnikami, Żółkiewski wiódł wojsko (bijąc srodze pod Kłuszynem 4.7.1610) pod hasłami korony carskiej dla Zygmunta, podczas gdy patriarcha Filaret przyjeżdżał pod Smoleńsk z propozycją powołania królewicza Władysława na tron carski. Polscy ochotnicy z obozu Samozwańca przeszli na stronę Władysława, Dymitr z Maryną i kozakami odeszli do Kaługi. Wkrótce Samozwaniec padł z ręki kniazia Urusowa. Ka-

toliczka, carowa Maryna oddaje w Kałudze 3-letniego synka, na wychowanie mnichom prawosławnym. Nic to jednak nie pomoże: 3-letnie dziecko zostanie wkrótce powieszone, Maryna zaś kończy żywot w więzieniu. Tragiczny znów był więc ostatni akt tego dziwnego europejskiego widowiska pod ogólnym tytułem „Dymitriada". Widowiska, którego inicjatorami i ważnymi aktorami byli dwaj kniaziowie Wiśniowieccy.

W czasie gdy Adam i Konstanty interweniują — z różnym skutkiem — w Moskwie, kniaź Michał, ożeniwszy się ok. 1605 z córką hospodara mołdawskiego Jeremiego Mohyły, Rainą, prowadzi swoją politykę „wiśniowiecko-mołdawską". Niewielki bierze udział w wydarzeniach krajowych, a są to czasy dymitriad i rokoszu Zebrzydowskiego, zajęty zupełnie sprawami mołdawskimi. Wraz z innymi spokrewnionymi z Mohyłą magnatami polskimi przebywa często w Mołdawii, pilnując interesów własnych i rodu Mohyłów, niewiele sobie robiąc z tego, że ta działalność prowokuje Turcję, narażając Rzeczpospolitą na najwyższe niebezpieczeństwo.

Walki w Mołdawii, podejmowane na własną rękę, mimo wielu przejściowych sukcesów militarnych (np. zdobycie i obsadzenie przez kniazia Samuela Koreckiego Chocimia) nie tylko prowokowały Turcję, ale nadto uczyły magnaterię samowoli i nieoglądania się na władzę centralną. Były więc także w wysokim stopniu demoralizujące. Po śmierci Michała Wiśniowieckiego Korecki wraz ze swym polsko-mołdawskim wojskiem zostanie rozbity przez Skinder-paszę i trafi do tureckiej niewoli. Dalszą konsekwencją mołdawskiej awantury będzie klęska cecorska.

Na razie jednak sprawy mołdawskie i kolonizacja Zadnieprza pochłaniały kniazia Michała bez reszty.

II. DZIECIŃSTWO JEREMIEGO

Pewnego dnia Roku Pańskiego 1612 dźwięk cerkiewnych dzwonów oznajmił radosną nowinę: oto po siedmiu latach małżeństwa Raina obdarzyła księcia Michała synem*. Pierworodny księcia starosty otrzymał po dziadku, hospodarze mołdawskim, imię „Jeremi". Drugie imię „Michał" otrzymał po Wiśniowieckich: ojcu i dziadku. Księciu Michałowi nie dane było długo cieszyć się synem, już wkrótce, w czasie kolejnej interwencji na Mołdawii umiera, przyjmując w komunii truciznę, którą podał mu nasłany przez przeciwników mnich prawosławny. Zarząd majątkiem i wychowanie dzieci (Jeremi miał jeszcze młodszą siostrę Annę) wzięła na siebie kniahini-wdowa Raina, choć do zarządu tych rozległych dóbr miała, jak się niebawem okazało, poważnego konkurenta. Do Michała należała znaczna wschodnia część Zadnieprza, której ośrodkiem centralnym były Łubnie. Zachodnia część należała do brata zmarłego, Jerzego, kasztelana kijowskiego. Ten wkrótce po śmierci brata zbrojnie zagarnął ziemie, które bratowa uważała za dziedzictwo swoje i swoich dzieci. Raina wniosła więc protest do trybunału, który w 1618 ogłosił wyrok przyznający wdowie wszystkie odziedziczone po mężu włości zadnieprzańskie. W tymże roku zmarł kasztelan kijowski.

Kniahini-wdowa, prawdopodobnie po śmierci męża zdewociała, znalazła się pod przemożnym wpływem metropolity Izajasza Kopińskiego, z dawna zresztą z Wiśniowieckimi zaprzyjaźnionego. W czasie swych kilkuletnich zaledwie rządów wydała kilka przywilejów dla klasztorów prawosławnych, które oddała pod wyłączną opiekę metropolity, ufundowała też (bądź pozwoliła fundować) dalsze monastery. Wydała także przywilej Kopińskiemu na fundację monasteru mhar-

* Dokładna data urodzenia Jeremiego Wiśniowieckiego nie jest znana. Nie znane jest też miejsce tych narodzin. Wedle przypuszczeń W. Tomkiewicza (*Jeremi Wiśniowiecki*, Warszawa 1933, s. 4) mógł nim być równie dobrze Wiśniowiec, Owrucz lub któraś z rezydencji na Zadnieprzu.

skiego, niedaleko Łubniów. Na budowę klasztoru ofiarowała drewno z rozbiórki starego zamku łubieńskiego. Sam klasztor został bogato wyposażony ziemią i dwoma młynami. Jakby w przeczuciu bliskiej śmierci, księżna kończy akt fundacji monasteru mharskiego klątwą: „a ktoby tę fundację w przyszłości naruszać i kasować miał, albo odejmować to, cośmy nadali, albo na starożytną błahoczestywę wschodnią prawosławną wiarę następował i odmieniał — tedy niech będzie nad nim klątwa!".

Nie przypuszczała księżna, że klątwa ta spadnie wkrótce na jej jedynego syna.

Raina Wiśniowiecka zmarła w 1619 i została pochowana obok męża w cerkwi zamkowej w Wiśniowcu. Według legendy w grobie ich miały być ukryte wielkie bogactwa. Zwiedziony zapewne tą legendą Włodzimierz Plater, który nabył w połowie XIX w. zadłużone dobra Wiśniowieckich, kazał te groby otworzyć, być może licząc, że ukryty w nich skarb uratuje posiadłość przed ostateczną ruiną. Skarbu nie znalazł, znalazł natomiast „zwłoki pary książęcej, zapewne wskutek dobrego zabalsamowania zupełnie nienaruszone, co więcej, strój i ozdoby wybornie zachowane". Nogi księcia zgięte były i pokurczone, co Plater tłumaczył sobie, jako „skutki trucizny zadanej mu przez Wołochów".

Po śmierci matki siedmioletnim Jeremim zaopiekował się daleki krewny ojca, znany nam już z udziału w dymitriadach — książę Konstanty Wiśniowiecki.

Opiekun Jeremiego, wówczas już pięćdziesięciokilkuletni, mający za sobą bogatą przeszłość rycerską i awanturniczą, teraz senator Rzeczypospolitej, pędził wielkopańskie życie, otoczony wspaniałym dworem. Konstanty, jego rodzina, najbliższe otoczenie, wreszcie dwór cały byli wyznania rzymsko katolickiego. Jeremi chował się razem z synami dalekiego stryja, z których dwóch (Jerzy i Aleksander) było jego rówieśnikami. Razem z nimi zostaje wysłany na kilka lat do kolegium jezuickiego we Lwowie, aby po jego ukończeniu wraz z kuzynami wyjechać za granicę. Młodzi książęta przebywali w Rzymie, następnie w Padwie (1629). W 1630 wpisali się do albumu Uniwersytetu Bolońskiego:

„Jeremias Michael Korybut, Dux de Wiśniewiec, 1630 1 Maii, Alexander Korybut, Dux de Wiśniewiec anno et die eodem" „Georgius Korybut, Dux de Wiśniewiec, anno et die eodem"

Jak długo tam studiowali i z jakim skutkiem, tego nie wiemy. Sądzić należy, że był to raczej krótki pobyt, którego celem było więcej uczynienie zadość ówczesnej magnackiej modzie, ewentualnie nabranie ogólnego polotu i poznanie języka niż odbycie regularnych studiów.

W każdym razie pobyt Jeremiego w Bolonii był krótki, skoro w drugiej połowie 1631 już jest w kraju, a w międzyczasie bawi w hiszpańskich Niderlandach, gdzie zapoznaje się z ówczesną sztuką wojenną, przede wszystkim ze sztuką budowy fortyfikacji. Dlatego mało prawdopodobne wydaje się twierdzenie niektórych biografów Wiśniowieckiego, że walczył też we Francji, po prostu nie miałby kiedy.

Pobyt na katolickim dworze księcia Konstantego, wychowanie w kolegium jezuickim, wreszcie stałe towarzystwo dwóch kuzynów katolików i wspólny z nimi pobyt we Włoszech sprawiły, że duchowa kondycja Jeremiego ukształtowała się w łacińskiej kulturze zachodniej. Z prowincjonalnego książątka ruskiego, jakim był jego ojciec i dziad, stał się Jeremi magnatem polskim. Żyjącym i myślącym po polsku. Mało tego, myślącym polskimi kategoriami państwowymi, a nie kategoriami prowincjonalnych interesów dalekich kresów. Jakże innym obywatelem Rzeczypospolitej jest Jeremi od swoich przodków. Jakże różnym od takiego Dymitra Bajdy czy nawet ojca, księcia Michała. Proces, jakiemu uległ Jeremi, nie był czymś wyjątkowym, przeciwnie, był regułą. Polonizacji ulegały nie tylko litewsko-ruskie rody magnackie, ale także większość szlachty. Polska kultura, polskie prawa, a może przede wszystkim polska wolność były czymś szalenie atrakcyjnym i przyciągającym. W ostatnim pokoleniu na katolicyzm w rzymskim obrządku przeszli prawie wszyscy Wiśniowieccy, Zbarascy, a także Ostrogscy i Zasławscy. Z czasem, w odniesieniu do szlachcica słowo „Rusin" znaczyć będzie nie przynależność narodową czy kulturalną, ale wyłącznie terytorialną, tak jak „Wielkopolanin", „Mazowszanin", czy „Sandomierzanin". Za rody ruskie uchodzić będą zarówno rody ze starego, ruskiego lub litewskiego korzenia się wywodzące, jak i rody rdzennie polskie, teraz na Rusi osiadłe. Jedynym wyróżnieniem pozostanie religia. Ale i to jest wyróżnik wysoce zawodny. W dobie wojen kozackich wiele szlachty prawosławnej walczyć będzie po stronie polskiej; autor cennej kroniki, Joachim Jerlicz, ruski szlachcic prawosławny, spisze ją po polsku, ukrywając się w Ławrze Peczerskiej w Kijowie przed nożem kozackim.

Obiektywnie rzecz biorąc, powszechne przechodzenie na katolicyzm magnackich rodów prawosławnych było procesem nader dla państwa niekorzystnym, powodującym, że unia brzeska okazała się w gruncie rzeczy niewypałem, a ugoda hadzicka nie miała szans realizacji, bowiem rolę ruskiej szlachty i magnaterii wśród Rusinów i protekcyjną wobec prawosławia przejmą z czasem Kozacy. Z nich też, a nie ze spolonizowanej szlachty wywodzą swój historyczny rodowód XIX i XX-wieczni Ukraińcy.

Wróciwszy z Włoch do kraju w drugiej połowie 1631 roku, dzie-

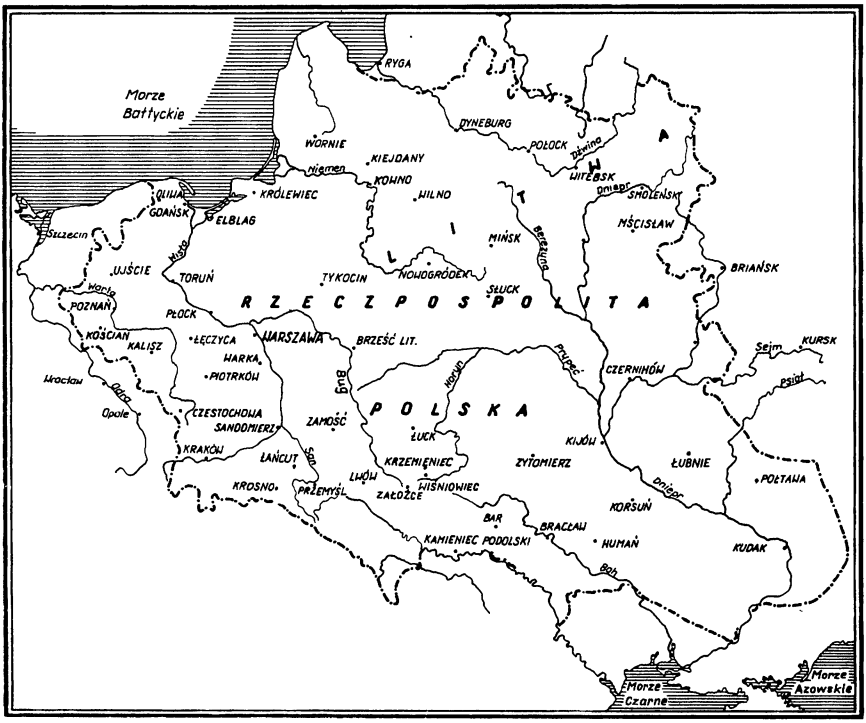

Rzeczpospolita w połowie XVII wieku

więtnastoletni Jeremi wyzwolił się spod opieki stryja. Przejmuje też administrowany dotąd przez opiekuna majątek. Przejęcie tak olbrzymiego majątku potrwa praktycznie aż do 1635 roku.

W początkach 1632 młody książę nie bacząc na klątwę matki, a może nawet o niej nie wiedząc, porzuca prawosławie, przechodząc na katolicyzm. Jakkolwiek krok młodego księcia był oczywistą konsekwencją jego wychowania w łacińskiej kulturze Zachodu i nie był podyktowany żadnymi względami pragmatycznymi — wywołał wielką burzę na kresach, a i do dziś bywa negatywnie oceniany przez niektórych historyków.

Jeremi Wiśniowiecki był dostatecznie bogaty, by bez względu na wyznanie sięgać po najwyższe dostojeństwa w Rzeczypospolitej. Zmiana wyznania w niczym kariery mu nie ułatwiała. Dlatego też nie ma podstaw do twierdzeń, że uczynił to nie z przekonania, lecz z wyrachowania. Natomiast zaniepokojenie tym krokiem kleru prawosławnego jest w pełni zrozumiałe. Pomijając względy natury religijnej, cerkiew prawosławna traciła na kresach możnego protektora i potencjalnego

fundatora. Należało się spodziewać, że młody książę nie tylko zaniecha popierania cerkwi, ale że sprowadzi na Zadnieprze konkurentów — duchowieństwo katolickie, że zacznie fundować kościoły i klasztory i na ich rzecz czynić nadania. Realną obawę musiało budzić i to, że tak potężny pan znajdzie z pewnością licznych naśladowców.

Pierwszy zareagował metropolita kijowski, wspominany Izajasz Kopiński. Ten sędziwy patriarcha, niegdyś przyjaciel rodziców Jeremiego, zwłaszcza przez Rainę bezgranicznym obdarzony zaufaniem, wystosował do Jeremiego błagalny list. W liście przeplata błaganie z groźbami. Przypomina klątwę matki. Kończy list słowami: „Nie gardź Wasza Książęca Mość wiarą swą, ale wróć do cerkwi bożej" Próbował apelować do księcia jego kuzyn ze strony matki, Piotr Mohyła, archimandryta Ławry Peczerskiej w Kijowie. Ten — jak się zdaje — rozumiejąc krok Jeremiego nie tyle próbuje go od niego odwrócić, co raczej prosi go, aby nie zmuszał poddanych do zmiany wyznania i nie szykanował cerkwi. Temu wezwaniu Jeremi pozostał posłuszny. Utrzymał stare nadania, dał też nowe np. na rzecz monasteru w Husiatyniu czy dla monasteru mharskiego. Z cerkwią utrzymywał stosunki poprawne, choć fundował odtąd głównie kościoły i klasztory katolickie.

Trudno więc zgodzić się z opinią ukraińskiego historyka Wacława Lipińskiego, który mając Wiśniowieckiemu za złe zmianę wyznania nazywa go z tej okazji: „niedolaszkiem zlaszonym i na katolicyzm przez Jezuitów świeżo nawróconym". Rozumiejąc, że fakt porzucenia prawosławia był dla współwyznawców czymś przykrym, trzeba także zrozumieć Jeremiego.

Podczas gdy Jeremi pobierał jeszcze nauki u lwowskich jezuitów i gdy podróżował po dalekich krajach, w Polsce i na jej rubieżach rozgrywały się wydarzenia ważne, a ich wynik wkrótce miał przesądzić o jego losie.

Nie załatwiona była sprawa Inflant. Wojna z Moskwą trwała w najlepsze, klęska cecorska uświadamiała powagę zagrożenia tureckiego. Coraz wyraźniej widać też było symptomy wewnętrznego rozkładu. Słaba władza centralna, rozbieżność interesów poszczególnych dzielnic Rzeczypospolitej, chroniczny brak pieniędzy w skarbcu i w związku z tym ciągle nie opłacane na czas wojsko, buntujące się i rozłażące przy lada okazji. Do tego prowadzący na własną rękę politykę magnaci dopełniają obrazu stanu ówczesnego państwa.

W Smoleńsku była ledwie garstka wojska, w dodatku nie opłaconego, a więc i nieposłusznego, z najwyższym trudem — raz prośbą, raz groźbą — utrzymywanego w posłuszeństwie przez komendanta Szczuckiego. W tym czasie kiedy hetman Jan Karol Chodkiewicz bez skutku błaga o posiłki, istnieje zupełnie realne niebezpieczeństwo

powstania antypolskiej koalicji szwedzko-moskiewskiej. W tych nader niesprzyjających warunkach Rzeczpospolita podjęła ostatnią próbę wprowadzenia siłą królewicza Władysława na tron moskiewski. W grudniu 1616 Władysław, jako „car i władca Wszech Rosji" ogłosił swym moskiewskim „poddanym", że wnet wyruszy do Moskwy. W manifeście jego znalazły się też zapewnienia o tym, że nie naruszy w niczym wiary chrześcijańskiej starodawnego, greckiego obrządku, że dbać będzie o dobrobyt kraju, że bojarom zachowa nietykalność ojcowizny etc., etc.

Ekspedycji, która w początkach kwietnia wyruszyła z Warszawy, towarzyszyły nader wymowne ceremonie. Najpierw prymas Wawrzyniec Gembicki wręczył królewiczowi-carowi chorągiew i miecz obosieczny, prosząc, aby pamiętał o Polsce. Prośba ta, jak się zdaje, nie była potrzebna, bowiem już wcześniej Władysław obiecując wiele swym moskiewskim poddanym, jeszcze więcej obiecał Rzeczypospolitej i swemu ojcu. Smoleńsk i Siewierszczyznę miał oddać Litwie, Połock, Wieleż i tę część Inflant, do której Moskwa rości sobie pretensje, obiecał Koronie. Poprosił jednak papieża Pawła V o błogosławieństwo i zezwolenie na koronację w prawosławnym obrządku, którą zamierzał odbyć w Moskwie. Mając przy sobie kniazia Trubeckiego i kilku innych wybitnych bojarów, przyjął w Mohylewie hołd od emigrantów rosyjskich. Stał teraz Władysław dobrotliwe, ojcowskie listy na Kreml, a równocześnie posuwał się zbrojnie naprzód. Jesienią Dorohobuż, a później Wiaźma otwarły przed nowym carem bramy.

Ale zwycięski z początku pochód zatrzymać miał wkrótce najstraszliwszy, a zarazem najskuteczniejszy obrońca ziem rosyjskich — sroga rosyjska zima. Jedenastotysięczna armia Władysława została uwięziona przez mrozy i śniegi. Równocześnie nie ołacane — to już reguła — wojsko zaczęło się buntować, Kozacy wbrew zaleceniom zaczęli grabieże, wzrósł więc opór Rosjan. Chodkiewiczowi nie udało się zdobyć Możajska.

Zniecierpliwiony sejm (luty—marzec 1618) uchwalił podatki, ale pod stanowczym warunkiem ukończenia wojny w czasie roku. Od uchwalenia podatku do jego zebrania droga była wówczas w Polsce długa, toteż Sapieha przywozi wojsku — zamiast żądanych pieniędzy — tylko obietnicę zapłaty, wobec czego część wojska się buntuje i odmawia posłuszeństwa. Sprawy zaczynają przyjmować dla Władysława obrót bardzo niebezpieczny, żeby nie powiedzieć, że wprost tragiczny. Od tragedii ratują królewicza Kozacy pod Piotrem Konaszewiczem Sahajdacznym, przyprowadzeni przez Lwa Sapiehę. Dwadzieścia tysięcy Zaporożców, idących od Zadnieprza, aby połączyć się z wojskiem Chodkiewicza, zajmuje kolejno Putywl, Liwny i Jelec.

Ucieszony pomocą Władysław wysyła więc Konaszewiczowi insygnia hetmańskie. Odtąd już hetman zaporoski (ale z łaski cara rosyjskiego i polskiego królewicza, a nie Rzeczypospolitej) gromiąc po drodze Wasyla Buturlina, który próbuje zagrodzić mu drogę, łączy się z wojskiem Władysława. Tak umocniony królewicz-car przystępuje do szturmu Moskwy. Kawaler Maltański, Bartłomiej Nowodworski bombą wysadza jedną z bram moskiewskich (podobnie jak przed laty, kiedy podłożoną przez siebie bombą rozerwał mury Smoleńska), ale szturm mimo to nie udaje się. Zaczynają się rokowania, których finałem będzie podpisanie w Dywilinie (Deulinie) rozejmu na lat 14 i pół (23.12.1618). Przy Rzeczypospolitej zostaną wszystkie zdobycze terytorialne Zygmunta III z lat 1609—1611, jeńcy obu stron wracają do domu. Na lat kilkanaście wschodnia granica stanie się spokojna.

Tymczasem zagrożone zostały kresy południowo-wschodnie. Skinder-pasza — jeden z najznakomitszych wodzów tureckich — wiódł przeciw Polsce blisko 50 tysięcy wojowników, oficjalnie jedynie dla ukarania Kozaków za ich napady na pogranicze Imperium Tureckiego. Zastąpił mu drogę Żołkiewski w niecałe 20 tysięcy wojska. Nie doczekawszy się pomocy kozackiej, hetman wolał uniknąć starcia i zawarł z paszą traktat w Buszy (22/23.09.1619). Strona polska zobowiązała się nie mieszać do sprawy wołoskich ani siedmiogrodzkich.

Na ten traktat, jawnie zrywający ze starą koncepcją polityczną Zamoyskiego, będący nadto nie w smak różnym magnatom kresowym przywykłym do interweniowania po drugiej stronie Dniestru, oburzano się na sejmie. Tymczasem Turcja wprawdzie wojny Polsce nie wypowiedziała, ale za najazdy kozackie brała rewanż, wysyłając czambuły tatarskie. Byliby Tatarzy drogo za to zapłacili, gdyby nie to, że nie tylko panowie kresowi (Wiśniowieccy, Zbarascy i Koreccy), ale nawet taki poważny mąż stanu jak Tomasz Zamoyski, późniejszy kanclerz, nie podporządkowali się Żółkiewskiemu i stanęli odrębnym obozem.

Ci sami, którzy nie dali hetmanowi rozgromić Tatarów, jednocześnie podnieśli przeciw niemu lament, że nie broni ich należycie, iż pozwala na bezkarne plądrowanie ich włości. Naciskany ze wszystkich stron Żołkiewski dążył do radykalnej rozprawy z Turcją. Ale hetman nie był szaleńcem. Rozumiał, że do takiej rozprawy potrzeba sił, jakimi Rzeczpospolita nie rozporządza.

Na sejmie 1619 tłumaczył, że do wojny z Turcją potrzeba ponad 100 tysięcy wojska własnego, a ponadto posiłków wołoskich i siedmiogrodzkich. Stworzenie tak wielkiej armii wymaga pieniędzy, których bez reformy skarbowej i bez zasiłków od papieża uzyskać się nie da.

Sejm bardziej niż Turków przeraził się podatków. Zlecono więc

posłowi Piotrowi Ożdze, aby przekonał Turcję „po dobroci" do niewysyłania Tatarów na Polskę. Z drugiej strony postanowiono, aby nowa komisja zrobiła wreszcie porządek z Kozakami. Pierwsza część zadania powiodła się, bowiem Turcja zatwierdziła układ z Buszy. Gorzej było z „robieniem porządku" z Kozakami, którzy dopiero co zasłużyli się pod Moskwą. Komisja podniosła rejestr z 1000 na 3000 Kozaków, zapewniając im podwyższony żołd. Nie rozwiązywało to sprawy, bowiem — jak pamiętamy — pod Moskwę ruszyło Kozaków 20 000, faktycznie było ich jeszcze więcej. W zamian za podniesienie rejestru Kozacy obiecali spalić czajki i zaniechać wypadów na terytoria sułtańskie. Obiecać zawsze łatwiej niż dotrzymać. Jeszcze łatwiej, gdy dotrzymać nie ma się wcale zamiaru.

W niezadowolonych i obrażonych na Polskę Kozakach Moskwa wyczuła dogodne narzędzie do zemsty za Dywilin. Ukradkiem więc zaproszono do Moskwy na Nowy Rok 1620 poselstwo kozackie. Niedawni nieomal pogromcy Moskwy będą w niej teraz wypytywani czy król aby nie prześladuje w Polsce prawosławia. W ślad za powracającym z Moskwy poselstwem przyjeżdża do Rzeczypospolitej patriarcha Jerozolimy (a więc poddany sułtana), Teofanes. Hetman zaporoski da mu 1 500 Kozaków do eskorty, król Polski... komisarza-dozorcę. Teofanesowi uda się mimo wszystko potajemnie mianować nowego metropolitę prawosławnego (Joba Boreckiego) oraz 5 biskupów, nie bacząc, że należy to do prerogatyw Korony — następnie wykląć władyków unickich. Prawosławna hierarchia kościelna została w Rzeczypospolitej — wbrew jej woli i z naruszeniem jej suwerenności — zrekonstruowana.

W tym czasie kiedy ośmioletni Jeremi Wiśniowiecki uczy się pierwszych liter w jezuickiej szkole, w Kijowie posiane zostało ziarno, które z czasem najstraszliwsze Polsce miało wydać owoce. Kozaczyzna zacznie stopniowo oddalać się od Rzeczypospolitej. Stanie się zbrojnym ramieniem i obrońcą dyzunii, zajmie w ruskim narodzie lukę powstałą po zlatynizowanej i spolonizowanej szlachcie i magnaterii. Stanie się siłą wymierzoną głównie nie przeciw sąsiadom, ale państwu. Na razie jednak na czele Kozaków stał najwierniejszy Polsce — spośród wszystkich zaporoskich hetmanów — Konaszewicz Sahajdaczny.

III. PIERWSZA WOJNA

Biograf i panegirysta, a niegdyś dworzanin Jeremiego, Michał Kałyszowski wyliczył, iż książę w swym krótkim życiu zdążył wziąć udział w dziewięciu wojnach. Pierwszą z nich była wojna moskiewska.

Dwudziestoletni Jeremi, powróciwszy z zagranicy, zajęty był przejmowaniem ogromnego majątku, którym w czas jego niepełnoletności zarządzał książę Konstanty. Przejmowanie tych rozległych majątków było rzeczą niesłychanie trudną i czasochłonną. Wiązało się z rozliczaniem dochodów, działami granicznymi i całą masą podobnych problemów. Zajętego tymi sprawami Jeremiego zaskakuje wojna. Moskwa — nie czekając aż termin nieznośnego dla niej rozejmu dywilińskiego upłynie wiosną 1633, rozpoczyna już jesienią 1632 działania wojenne. Czas rozejmu wykorzystała nie tylko na przygotowanie sił zbrojnych, ale także na chwilę nawet nie ustawała w działaniach dyplomatycznych. Montowała sojusz z Turcją, starając się równocześnie godzić Turków z Persami, aby tym łatwiej skłonić tych pierwszych do wojny z Rzecząpospolitą. Z drugiej strony, Rzeczpospolita, która w rozejmie dywilińskim mówiła o Michale Romanowie z dyplomatyczną powściągliwością, jako o tym „którego wy teraz nazywacie swoim carem", wciąż odmawiała mu prawa do tytułu carskiego, traktując sprawę korony rosyjskiej dla Władysława, jako kwestię otwartą. Stanowiska swego nie umiała jednak wesprzeć siłą zbrojną, której utrzymywała niewiele ponad to, co było potrzebne do stałego uganiania się za Tatarami w południowo-wschodnich województwach.

Korzystając — z typowego zresztą dla Polski — chaosu w okresie bezkrólewia po śmierci Zygmunta III, Moskwa zrywa rozejm, uderzając na ziemie Rzeczypospolitej. Uderzenia idą w kilku kierunkach naraz, prawdopodobnie dla zamaskowania głównego uderzenia na Smoleńsk. Rosjanie błyskawicznie zajmują Siebież, Newel, Uświat, Dorohobuż, Białą, Rosławl, Trubeck, Nowogród Siewierski, Starodub, Mścisław, Krzyczew. Na Smoleńsk Michał Szein prowadzi 30 000 woj-

ska i 200 armat. Dobrze ufortyfikowana twierdza broniona jest jedynie przez dwutysięczną załogę pod dowództwem podwojewodziego Samuela Stanisława Druckiego-Sokolnickiego. Załoga ta wytrwa w bohaterskiej obronie aż do lutego, kiedy to Krzysztof Radziwiłł, hetman polny litewski, przedarłszy się szczupłymi siłami w sąsiedztwo twierdzy, wprowadzi do niej — mimo oblężenia — dwukrotnie po tysiącu nowych obrońców.

W czasie, kiedy Szein łamał sobie zęby na twierdzy smoleńskiej, padały — brane czasem szturmem, czasem zdradą — pomniejsze miasta: Połock, Wieliż, Uświat.

Napadnięta Rzeczpospolita brała się do obrony ospale. Na błyskawiczne ataki nieprzyjaciela odpowiedziała dopiero w lutym 1633... ustawą sejmową (uchwaloną na sejmie koronacyjnym) „o wojnie moskiewskiej". Dało to początek werbowania armii. Znane kłopoty z wypłatą żołdu spowodowały, że zaciąg częściowo rozbiegł się, wybierając lepiej (i pewniej) płatną służbę cesarską. Pierwsze symptony niewydolności ustrojowej i organizacyjnej państwa dawały coraz bardziej znać o sobie. Drzemiąca potęga Rzeczypospolitej budziła się ze snu powoli. Ale drzemiący olbrzym jeszcze mimo wszystko był olbrzymem.

Na razie hetman Radziwiłł ze szczupłymi siłami litewskimi operował w rejonie Smoleńska. Stanisław Koniecpolski, hetman wielki koronny, z głównymi siłami roztasował się na południu dla strzeżenia granicy tureckiej, tylko z Zadnieprza rusza na terytorium moskiewskie wyprawa kasztelana kamienieckiego Aleksandra Piasoczyńskiego, w której uczestniczy na czele swych prywatnych wojsk młodziutki Jeremi, przechodzący tu swój chrzest bojowy. Z końcem grudnia podjazd jego wojsk o 7 wiorst od Putywla ściera się z podjazdem moskiewskim. W lutym Wiśniowiecki wraz z Piasoczyńskim oblegają Putywl, ale mając samą prawie jazdę, nic nie mogą wskórać, więc zwijają oblężenie i wracają. Za to w dwa miesiące później znów są pod Putywlem, mając za towarzysza Doroszenkę i jego Kozaków. Wodzowie polscy nie chcieli wprawdzie oblegać twierdzy, tylko minąć ją i prowadzić dywersyjny zagon aż pod Smoleńsk, ale ulegli Kozakom, którzy uparli się Putywl zdobywać. Chełpili się, że zdobywanie twierdzy nie zajmie im więcej niż trzy dni.

Mijało wielokroć po trzy dni, a zamek wciąż bronił się, będąc dobrze obwarowanym i posiadając około 20 000 obrońców, z czego połowę stanowiło regularne wojsko.

Zarówno kasztelan Piasoczyński jak i Jeremi dysponowali głównie jazdą, do zdobywania twierdz nieprzydatną, zdani więc byli na łaskę i niełaskę Kozaków, którzy wbrew deklaracjom, do zdobywania twierdzy większego zapału nie wykazywali. Żali się tedy Piasoczyński

w swej relacji, że Kozacy „szturmy tylko okrzykiem okazują". Chcąc nie chcąc, stoją więc nasi wodzowie pod Putywlem, jazdę swą na podjazdy w różne strony wysyłając i znosząc drobne, rozproszone w okolicy oddziały moskiewskie. W tej sytuacji Piasoczyński, widząc bezsens dalszego tkwienia pod Putywlem, decyduje się odstąpić od oblężenia i ruszyć pod Smoleńsk. Aprobuje to Doroszenko, cóż z tego, kiedy go Kozacy ze starszeństwa zrzucili, wybierając na jego miejsce Ostrzanina. Ten zgadzał się iść pod Smoleńsk, ale nie przez terytorium nieprzyjacielskie, jak chciał Piasoczyński, ale przez ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Kasztelan nie godzi się na wycofanie z terytorium wroga, wobec czego nocą Kozacy po kryjomu opuścili obóz. Widząc swe siły tak uszczuplone, dnia 19 czerwca 1633 Piasoczyński zwinął oblężenie.

Połączone siły Piasoczyńskiego i Wiśniowieckiego były jednak — po odejściu Kozaków — zbyt szczupłe, aby podejmować się z nimi rajdu pod Smoleńsk poprzez ziemie rosyjskie. Nie chcąc ustąpić bez walki i bezskuteczne, owszem, okupione znacznymi stratami oblężenie jakoś sobie powetować, postanowili omijając grody — do ich zdobywania sił odpowiednich nie mając — szukać nieprzyjaciela w polu. Ruszyli więc w głąb Rosji. Jakoż istotnie natrafili na wojska, które się przeciw nim zapewne zbierały i rozbili je. Zgromili później Rylsk, Siewsk, popalili przyległe włości, według słów Piasoczyńskiego „nie oszczędzając żelaza i ognia, dobrą pamiątkę tam zostawili". Po tych dokonaniach wycofali się na polskie Zadnieprze.

Tymczasem latem 1633, niby to bez wiedzy sułtana, Abazy-pasza przeprawia przez Dniestr koło Chocimia dwutysięczny oddział tatarski, który pustoszy pogranicze. Rusza przeciw niemu Koniecpolski. Uciekających do Mołdawii Tatarów dogania hetman koło Sasowego Rogu nad Prutem (ok. 70 km od Jass), zdrowo trzepie, odbiera jasyr i łupy. Drobniejsze kilkusetosobowe czambuły zapuściły się wówczas w głąb Rzeczypospolitej. Część z nich wytępił na Pokuciu strażnik koronny Samuel Łaszcz.

Wówczas rusza osobiście Abazy. W początkach sierpnia przekroczył Dunaj, połączył się z wojskiem hospodara wołoskiego Mateusza Besaraby. Czas jakiś zwlekał udając, że chce nawet prowadzić rozmowy pokojowe. Potem powiódł leniwe wojsko wzdłuż Prutu, ku granicom Rzeczypospolitej. W połowie października 1633 dotarł pod Chocim, gdzie zajął dawny obóz Osmana. Blisko 25-tysięcznej armii Abazy Koniecpolski mógł przeciwstawić: tysiąc żołnierzy kwarcianych, 1250 Kozaków zaporoskich i ok. 7000 żołnierzy wojsk prywatnych, które zgromadził w warownym obozie pod Kamieńcem Podolskim.

Tymczasem na froncie północnym główne siły polskie pod oso-

bistym dowództwem królewskim 4 września ściągają pod Smoleńsk. Armia królewska liczyła blisko 40 000 ludzi i złożona była w połowie z rycerstwa (pod hetmanem polnym Marcinem Kazanowskim), w połowie z Kozaków.

Po zbudowaniu na Dnieprze dwóch mostów, już trzeciego dnia udaje się królowi wprowadzić do twierdzy ponad tysiąc nowych obrońców. Następnie armia polska przystępuje do przełamywania oblężenia i spychania wojsk moskiewskich z pozycji górujących nad miastem. W ciągu miesiąca trwającej operacji nie tylko że przerwano oblężenie, ale oblężono dotąd oblegających. Szein w swym obwarowanym obozie, otoczony przez przeważające siły polskie na próżno oczekiwał pomocy carskiej.

Równocześnie 19 października orda budziacka przeprawia się przez Dniestr niedaleko Chocimia, nieco na południowy wschód od obozu Koniecpolskiego, na który uderzy z furią następnego dnia.

W tym samym czasie na Zadnieprze maszeruje rosyjski korpus Buturlina. Po nieudanym szturmie Czernihowa, Buturlin idzie na południowy zachód, 10 października zdobywa i plądruje Mirhorod (Mirgorodek). Broniący Czernihowszczyzny Adam Kisiel zbiera wojsko: garść swoich z Czernihowa, Kozaków pułkownika Ławrynki, garść ludzi Wiśniowieckiego i próbuje zaskoczyć cofającego się ku granicy Buturlina. Chciał go wziąć w dwa ognie, współdziałając z oficerem Wiśniowieckiego, Dłotowskim, który miał uderzyć z Łubniów. Niestety, Dłotowski pośpieszył się, już 11 października uderzył na Buturlina, kiedy wojsko Kisiela było jeszcze o 20 mil odległe i został pobity. Buturlin, przez nikogo już nie niepokojony, pustoszy po drodze Rumno, Borznę, Batoryn.

23 października pod Kamieńcem Podolskim w świetnie zaplanowanej bitwie obronnej Koniecpolski odparł Turków i Tatarów Abazy, którzy ponieśli wielkie straty i wycofali się za Dniestr. W bitwie poważną rolę odegrały prywatne wojska Janusza Wiśniowieckiego, koniuszego koronnego.

Uchodzący wzdłuż Dniestru Abazy raz jeszcze ukąsił. Obległ, a trzeciego dnia szturmem zdobył Studzienicę, kresowe miasteczko, własność Stanisława Potockiego. Na wieść o tym Koniecpolski rusza w pościg za nieprzyjacielem, który wkrótce wycofał się z terytorium Rzeczypospolitej.

Zdawało się nie budzić wątpliwości, że działania tureckie uzgodnione były z Moskwą. Nie darmo zaraz po rozpoczęciu wojny posłowie rosyjscy przybyli do Stambułu z cennymi darami dla tureckich dygnitarzy i propozycją carską dla sułtana: „Ja car będę stale płacić tobie daninę roczną 100 tys. złotych denarów, a ponadto 200 futer so-

bolowych. Ale teraz proszę Ciebie Sułtana o pomoc. Ja — car, pójdę od wschodu, Ty od południa i zniszczymy Polskę".

Ale chytry sułtan Murad IV bał się udziału w tej bądź co bądź ryzykowanej imprezie. Nie bardzo wierzył w wartość bojową sojusznika i wolał poczekać na rozstrzygnięcie pod Smoleńskiem. Niby „prywatna" wojna Abazy-paszy była rozwiązaniem idealnym. Faktycznie wspierała Moskwę, odciągając z głównego teatru działań znaczne siły polskie, dawała również Moskwie pozory wywiązania się z zobowiązań sojuszniczych, Polsce zaś pozory zachowania neutralności. Dawała więc możliwość manewru.

Na głównym, smoleńskim froncie, Moskwie wyraźnie się nie wiodło. Zamknięty ciasnym oblężeniem Szein, po kilku miesiącach ciężkiej obrony, 25 lutego 1634 imieniem całego swego wojska recytował długą formułę, kończącą się słowami: „Przysięgamy Panu Bogu Wszechmogącemu, Przeczystej Bogarodzicy i wszystkim świętym, że będąc od wojsk Jego Królewskiej Mości oblężeni, przyjęliśmy pewne kondycje, nam za wolą i wiadomością Jego Królewskiej Mości przez J.W.ks. Krzysztofa Radziwiłła, wojewodę wileńskiego, hetmana polnego Wielkiego Księstwa Litewskiego podane [...] rękami naszymi podpisane i zapieczętowane, strzymać, spełnić i według nich postępować". W ręce polskie dostało się 118 dział, 8 000 muszkietów, 129 sztandarów.

Armia królewska rusza na Moskwę. Zagrodził jej jednak skutecznie drogę w Białej kniaź Fiodor Wołkowski.

Zanim padł pod Smoleńskiem obóz Szeina, rusza z Zadnieprza nowa wyprawa dywersyjna. Pod nieobecność Piasoczyńskiego, który walczy w tym czasie na froncie północnym, wyprawę organizuje Kisiel, wspólnie z Łukaszem Żółkiewskim, starostą kałuskim i Jeremim Wiśniowieckim, który na wyprawę przyprowadza swe prywatne wojska w liczbie 4 000 ludzi, co stanowi — jeśli nie liczyć Kozaków — dwie trzecie wszystkich wojsk. Przy takim układzie sił, niespełna dwudziestodwuletni Jeremi jest faktycznie dowódcą wyprawy. W wyprawie mają też uczestniczyć Kozacy zaciągnięci przez Kisiela, którymi dowodzą Iljasz Karimowicz i Jakub Ostrzanin. Punktem zbornym jest Batoryn. Na kilka dni przed kapitulacją Szeina pod Smoleńskiem, wojsko to przekracza granicę rosyjską, kierując się na Putywl. Zadaniem tej wyprawy jest dywersja na tyłach rosyjskich, a zarazem ogołocenie kraju z żywności i przesłanie jej na główny front, pod Smoleńsk. Przez tydzień oblegał Wiśniowiecki Siewsk, jednak szturm się nie udał i oblężenie trzeba było zwinąć. Przyczyną niepowodzeń był znów brak artylerii (Wiśniowiecki dysponował tylko 9 armatami) oraz

nieporozumienia z Kozakami, którzy tym razem wymyślili, że zamiast oblegać Siewsk,lepiej iść na Murawski Szlak, przeciw Tatarom.

Oblegając bez powodzenia Siewsk, Wiśniowiecki rozsyłał dookoła podjazdy, które pustoszyły okolice. Po odstąpieniu od oblężenia rozpuszczono — tatarską modą — zagony po stanowiącej osobistą własność cara komiaryckiej włości, którą spustoszono dokładnie. Następnie, nie zrażony niepowodzeniem pod Siewskiem, oblegał Wiśniowiecki Kursk, spalił przedmieścia, ale zamku, mimo dwutygodniowego oblężenia, nie zdobył. Splądrował więc okolicę, aby — tak jak nauczył się od Piasoczyńskiego — „dobrą pamiątkę nieprzyjacielowi zostawić". Ruszaj dalej, „ognia, ni żelaza nie żałując", w stronę Smoleńska, próbując realizować to, czego nie udało mu się dokonać przed rokiem z Piasoczyńskim. Pod Smoleńsk nie doszedł, bowiem w tym czasie front przesunął się już dalej na wschód i zatrzymał na Białej, a 27 maja 1634 zawarto ostatecznie pokój z Rosją.

Przesadził więc nieco poeta-panegirysta Jan Białobłocki pisząc, że zagony wojsk Wiśniowieckiego widziały już ognie „z Smoleńska samego". Fakt, że dalszy marsz na północny wschód nie był już potrzebny. Jeszcze w maju 1634 wraca Jeremi do Łubniów. Wspomniany już biograf Jeremiego, Michał Kałuszowski pisze, że drugą kampanią księcia była wojna z Abazy-paszą. Czy rzeczywiście brał w niej udział? Z całą pewnością nie był Jeremi pod Kamieńcem Podolskim, gdzie walczył dzielnie inny Wiśniowiecki: mianowicie książę Janusz, koniuszy koronny. Nie jest wykluczone, że Jeremi podesłał krewniakowi część swoich wojsk.

Jak ustalił niedawno J. Podhorodecki, z końcem sierpnia 1634 w skład zgrupowania wojsk pod Kamieńcem wchodziło też 900 Kozaków i 100 piechoty Jeremiego. Brak husarii, dragonii i artylerii świadczy o tym, że nie były to siły główne księcia, ale tylko jakaś wydzielona część jego wojsk.

Nie wiemy, co działo się z Jeremim pomiędzy latem 1633 a styczniem 1634, tzn. pomiędzy wycofaniem się wraz z Piasoczyńskim spod Putywla a drugą wyprawą na terytorium moskiewskie. Akurat na ten okres przypada wojna z Abazy-paszą. Nie ma widocznie Jeremiego w październiku 1633 na Zadnieprzu, skoro Kisiel układa się z jego oficerami i bierze w komendę część jego wojsk, z którymi rusza przeciw Buturlinowi. Może rzeczywiście jest w tym czasie na Podolu lub Pokuciu i tam z częścią swego wojska wojuje przeciw licznym czambułom tatarskim, towarzyszącym głównej wyprawie Abazy-paszy? Na to pytanie trudno odpowiedzieć.

Przebieg wojny 1632—34 znany jest w zasadzie jedynie z walk

na głównym froncie, smoleńskim (później moskiewskim). Natomiast działania na froncie pomocniczym, południowym, są mało znane.

Panegiryści Wiśniowieckiego rolę działań prowadzonych z Zadnieprza zdają się przeceniać, zaś działania księcia opiewają jako pasmo wielkich a nieprzerwanych zwycięstw. Jest w tym wiele przesady. Wojna, którą tu prowadzono, swymi metodami i taktyką przypominała najazdy tatarskie. Nie odmawiając młodziutkiemu wodzowi (w chwili rozpoczęcia wojny Jeremi liczył sobie niespełna 20 lat) osobistej odwagi i czupurności, przyznać trzeba, że żadnego wielkiego zwycięstwa w tej kampanii nie odniósł. Nie udało mu się — mimo dwukrotnego oblężenia — zdobyć Putywla ani Kurska, ani Siewska. Walki w otwartym polu miały raczej charakter potyczek i z żadnymi poważnymi siłami moskiewskimi nie starł się. Była to typowa dywersja na tyłach wroga. Palił i grabił okolice, siał terror, za co uzyskał w Moskwie miano „Palieja" czyli „Podpalacza". Pamiętać jednak trzeba, że była to pierwsza w życiu wojna Jeremiego i to wojna, w której przyszło mu od razu wystąpić w roli dowódcy. Niepowodzenia zaś w zdobywaniu zamków rosyjskich przypisać trzeba głównie niewłaściwemu składowi sił polskich (prawie wyłącznie jazda, przy braku piechoty i artylerii) oraz ciągłym nieporozumieniom z nader wątpliwym sojusznikiem, jakim w wojnie z Rosją byli Kozacy.

Rolę frontu południowego i walczących tam wojowników doceniał Władysław IV pisząc o Jeremim: „z drugiej strony moskiewskiego infestował monarchę i nam tak znaczną odwagą swoją siła do tak wielkiego zwycięstwa dopomagał".

W przywileju zaś na kasztelanię kijowską, wystawionym Adamowi Kisielowi w imieniu króla napisano: „gdyśmy pod Smoleńskiem stanęli i tam wojska wszystkie ściągnąwszy, całość granicy od Putywla jemu [tj. Kisielowi] poruczyli, takową nam przysługę uczynił, że zamek nasz Czernihów od Moskwy oblężony uwolnił i dalszą wykonując wolę naszą, szedłszy na Zaporoże i zaciągnąwszy wojska 20 000, z Łukaszem Żółkiewskim, wojewodą bracławskim, tudzież Jeremim ks. Wiśniowieckim złączywszy się, szedł w ziemie moskiewskie, siły nieprzyjacielskie, które się na nas kupiły rozrywał, putywelskie, brańskie, siewierskie, rylskie, kurskie, bromskie, kuraczkowskie, i błochowskie włości ogniem i szablą znosił".

Jak widać, działania Wiśniowieckiego i pozostałych walczących na froncie południowym wodzów zgodne więc były z oczekiwaniami w obozie królewskim, zgodne z ogólnym założeniem strategicznym wojny.

IV. „PRAWEM I LEWEM"

Główna część majątków Jeremiego leżała na Zadnieprzu. Stanowiły one tam w zasadzie zwarty kompleks, nie rozdzielony ani królewszczyznami, ani włościami prywatnymi. Dobra te nazywano najczęściej „wiśniowiecczyzną". Oczywiście ani nazwa „wiśniowiecczyzna" ani nawet nazwa „Zadnieprze" nie były nazwami urzędowymi, a jedynie potocznymi. „Zadnieprzem" nazywano zrazu połać województwa kijowskiego leżącego za Dnieprem, na jego lewym brzegu. Po odzyskaniu utraconej przez Litwę w XVI w. Czernihowszczyzny nazwą tą objęto także te ziemie. Mówi się odtąd o „Zadnieprzu Kijowskim" (czyli południowym) oraz o „Zadnieprzu czernihowskim" (czyli północnym). Z czasem ziemie te zacznie się nazywać „Lewobrzeżną Ukrainą".

Niegdyś ludne te ziemie zostały przez liczne napady tatarskie w ciągu XV i pierwszej części XVI wieku obrócone w bezludne pustki. Ludność wycofała się na zachód i na północ. Liczne niegdyś gródki i osady zamieniły się w uroczyska. Kiedy po unii lubelskiej ziemie te zostały wcielone do Korony, przeprowadzono ich lustrację. Lustratorzy nie znajdują tam ani jednego zamku, ani jednego warownego miasta czy osady, za to „horodyszcz pustych bardzo wiele". W dokumentach urzędowych obszary te nazywa się wprost „pustyniami". Nadania czynione tu przez Zygmunta Augusta na rzecz bojarów niewiele zmieniają obraz tych stron. Tymczasem od wschodu, nie napotykając niczyjego oporu, Księstwo Moskiewskie przesuwa na zachód swe granice, zajmując dorzecza górnych biegów Suły, Psiołu i Worskły. Na terenach pokojowo zawłaszczonych przez Moskwę znajdzie się np. Putywl, leżący niegdyś na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Po 1569 r. południowe Zadnieprze stanowi część starostwa czerkaskiego.

Część Zadnieprza swego czasu należała do kniaziów Glińskich. Po tych tatarskiego pochodzenia kniaziach jeszcze przed unią przeszła nieformalnie w ręce bojarów Bajbuzów Hrybunowiczów. Nie prowadzono tam jednak żadnej zorganizowanej akcji kolonizacyjnej, traktu-

jąc te, faktycznie bezpańskie obszary, jako tereny łowieckie i rybackie. Starosta czerkaski, książę Michał Wiśniowiecki wyjednał u Batorego przywilej dla Michała Hrybunowicza Bajbuzy, na mocy którego mógł on osadzać ludźmi tereny „z rzekami i jeziorami począwszy od końca górą Suły od Śniatynia, granicy moskiewskiej, aż w dół do ujścia do Dniepru". Bajbuza z przywileju skorzystać nie umiał czy też nie chciał, a może po prostu nie zdążył, i okolica nadal pozostawała pustkowiem, które w 1582 najechał i zajął książę Aleksander Wiśniowiecki, syn księcia Michała i jego następca na starostwie czerkaskim. Najazd odbył się niby w celu włączenia Posula (dorzecza Suły) na powrót do starostwa czerkaskiego. Jednak pozwany przez Bajbuzę przed sąd królewski rychło ujawnił, o co właściwie mu szło.

W trakcie ciągnącej się sprawy sądowej kniaź Aleksander załatwił sprawę polubownie: w zamian za załatwienie mu u króla nadania dorzecza Psiołu w dożywocie, Bajbuza odstępuje Wiśniowieckiemu Posule. Ten nie twierdzi już, że jest to część starostwa czerkaskiego, ale za wiedzą króla odkupuje od Bajbuzy prawa do tych obszarów. Król nadaje teraz Aleksandrowi Posule w dziedziczne władanie, zalecając „spokojnie trzymać, zamki zakładać, miasta i sioła na tych gruntach ludźmi osadzać, kościoły i cerkwie fundować, ziemię uprawiać". Obrotny kniaź Aleksander postarał się, aby przywilej królewski został zatwierdzony przez sejm i wciągnięty do księgi ustaw, co rzeczywiście nastąpiło w roku 1590.

Obejmując w dziedziczne władanie znaczny obszar Zadnieprza, Aleksander energicznie zabrał się do jego kolonizacji. Na uroczysku Łubny, na miejscu dawnych zgliszcz wznosi miasto Aleksandrów (późniejsze Łubnie), na uroczysku Piratyn na Udajem — Michajłów (późniejszy Piratyn). Ucieszony postępem kolonizacji król nadaje już w 1591 miastom tym prawo magdeburskie. Kniaź zaś buduje przy miastach zamki.

Energiczną akcję kolonizacyjną zapoczątkowaną przez Aleksandra przerywa jego śmierć już w roku 1594. Wcześniej jednak zdążył on poszerzyć dobra przez zakupienie od kniaziów Dowmontów Moszen, gdzie zbudował zamek i wystarał się o przywilej na prawo magdeburskie. Po bezpotomnej śmierci Aleksandra dobra na Zadnieprzu dziedziczą jego bracia: Michał i Jerzy. Ten drugi z nich, kasztelan kijowski, dziedziczył zachodnią część zadnieprzańskich dóbr. Wschodnią — z Łubniami — dziedziczył po bracie kniaź Michał, ojciec Jeremiego. Prowadził on dalej energiczną akcję kolonizacyjną.

Brak dokładnych map, nie ujednolicone nazewnictwo geograficzne, wreszcie niezwykle skomplikowane stosunki własnościowe, niezgodność stanów faktycznych ze stanem prawnym, a także znaczne oddalenie

tych egzotycznych dla centralnej Polski ziem od stolicy i niesprawność administracji królewskiej powodowały szereg dalszych komplikacji. Kancelaria królewska wydała cały szereg niezgodnych ze sobą przywilejów, nadając te same ziemie (choć nieraz różnie nazwane) różnym osobom. Tak np. Aleksander Wiśniowiecki otrzymał całe Posule, mimo że górna jego część zajęta była — nieprawnie, ale faktycznie — przez Moskwę. Z drugiej strony jako „niezaludnione pustynie", które król będzie rozdawał, ustawa sejmowa wylicza między innymi Śleporod i Horoszyn, mimo że leżą one w dorzeczu Suły i stanowią tym samym część Posula. Wiśniowieccy w myśl przywileju z 1590 zaczęli kolonizować te ziemie i wówczas okazało się, że hetman Stanisław Żółkiewski posiada przywilej królewski na te tereny. Jak długo leżały odłogiem — hetman nie interesował się nimi, teraz widząc akcję Wiśniowieckich, przypomniał sobie o swoim przywileju i oskarżył kniaziów przed królem. Dopiero gdy sprawę badał sąd sejmowy, okazało się, że obydwie strony mają rzeczywiście przywilej na te ziemie. Postanowiono wówczas, jak zwykle w takich razach, powołać komisję, która po przybyciu na miejsce zbada sprawę i rozgraniczy sporne dobra. Zanim komisja zdążyła przybyć na Zadnieprze — zmarli bezpośrednio po sobie: w 1615 Michał, a w trzy lata później Jerzy Wiśniowiecki. Po obydwu majątek odziedziczy niepełnoletni jeszcze Jeremi.

Kniaź Michał Wiśniowiecki był legalistą — jak się wkrótce okaże — tylko w takim zakresie, w jakim prawo zabezpieczało jego racje. Nie przejmował się więc tym, że nikt mu przywileju na kolonizację dorzecza Psiołu ani Worskły nie nadał, uważając je za niczyje, bo należące „tylko" do starostwa czerkaskiego, i po prostu ziemie te zajął.

Starosta czerkaski, kniaź Janusz Ostrogski znając nieudolność władzy centralnej nie oglądał się na nią, tylko zbrojnie odebrał zagarnięte bezprawnie przez Michała ziemie, a przy okazji splądrował mu Posule, paląc m.in. Łubnie. W przywracaniu porządku i egzekwowaniu prawa przesadził więc nieco, na czym dobrze w konsekwencji wyszli Wiśniowieccy. Teraz bowiem oni, a nie starostwo, wystąpili w roli pokrzywdzonych. Nieruchawy sąd sejmowy rozstrzygnął sprawę dopiero po kilkunastu latach, kiedy kniaź Michał już nie żył. Sąd doszedł do przekonania, że zajęcie dorzecza Psiołu i Worskły było nieprawne, ale Chorol i okalające go włości — choć leżące poza Posulem w dorzeczu Psioły — pozostały w rękach Wiśniowieckich. Zatem Jeremi będzie mógł potem tytułować się jeszcze przez jakiś czas „kniaziem na Łubniach i Chorolu".

Wiśniowieccy toczyli też cały szereg innych procesów. Instygator koronny zarzucił Wiśniowieckim nieprawne posiadanie Moszen, jako że akt ich nabycia od Dowmontów przez Aleksandra uważał za nie-

ważny, jednak sąd uznał prawa kniaziów do tych włości. Toczyli też Wiśniowieccy procesy o dobra saletrowe nad Worskłą, które zagarnęli swego czasu zbrojnie. Poszerzenie włości i egzekwowanie przywileju z 1590 miało też w pewnym sensie wymiar międzynarodowy. Jak wspomniano, górne Posule zajęła swego czasu pokojowo Moskwa. Kniaź Michał korzystając z zamieszania, jakie w Moskwie wywołały aranżowane m.in. przez kuzynów „dymitriady", sam do Moskwy się nie pchał, ale poszerzył swe dobra, odbierając górne Posule, i nawet przejściowo władał Putywlem. Miasto to zostało zwrócone wkrótce Moskwie, ale górne Posule wraz z gródkami Przyłuką i Sieńczą włączono wreszcie do „wiśniowiecczyzny".

Kolonizując Zadnieprze kniaź Michał osadzał chłopów na prawach słobód, zwalniając ich od pańszczyzny na okres nawet do lat dwudziestu. W tej sytuacji nic dziwnego, że ciągnęli na Zadnieprze chłopi zbiegli z różnych przyległych ziem ruskich, głównie z prawobrzeżnej Ukrainy, z Podola, odległej Rusi Czerwonej, Polesia, a także z dalszych stron Polski. Ciągnęła też drobna szlachta, z której rekrutować się będzie książęca administracja, dzierżawcy, oficerowie.

Chłop uważany był wówczas za własność pana. Stąd też niedozwolone było przyjmowanie zbiegłych chłopów. Właściciel zbiega mógł więc wytoczyć przyjmującemu proces. Odzyskanie zbiegłego chłopa na drodze sądowej nie było jednak rzeczą prostą. Poprzedni pan musiał najpierw dokonać tzw. rekwizycji zbiega, czyli wezwać nowego pana do zwrotu chłopa. Czynność ta musiała być dokonana w majątku, w którym chłop aktualnie przebywał. Mało tego, musiał poprzedni właściciel dokonać „aresztowania" zbiega, to znaczy formalnie i oficjalnie stwierdzić jego obecność w majątku nowego pana. Dopiero teraz mógł wystąpić do sądu o zwrot chłopa.

Nic też dziwnego, że panowie kresowi niewiele sobie z tego wszystkiego robili, osadzając pustki głównie zbiegami. Procesy o zwrot zbiega należały do wyjątków, a nawet gdy do nich dochodziło, egzekucja wyroku była bardzo trudna. Pod rządami Michała Wiśniowieckiego Zadnieprze zaczyna się z wolna zaludniać. Jeszcze niedawno — jak pamiętamy — na tym zupełnym pustkowiu kniaź Aleksander podnosi z popiołów dwie pierwsze osady: Łubnie (Aleksandrów) i Piratyn (Michajłów). W kilkanaście lat później osad-miasteczek jest już kilkanaście: Chorol, Horoszyn, Śleporod, Śniatyń, Żołnin, Żeld, Łukoml, Buroml, Zamoście, Kozowicze, Fośnica, Mnoha, Meżwyce i Sitownicze. Dochodzą do tego odebrane świeżo Moskwie Rumno, Przyłuka, Sieńcza, Łochwica. W większych osadach np. Łubniach, Śniatyniu czy Chorolu budowane są cerkwie. Funduje też kniaź Michał dwa prawosławne klasztory: Husiatyński oraz Podhorski koło Przyłuki i dobrze je wy-

posaża. Buduje też młyny. Dalsze dwa klasztory dyzunickie funduje wdowa po Michale, Raina. Kiedy więc Jeremi dziedziczy dobra zadnieprzańskie, są one już jako tako zagospodarowane. Na razie jednak w imieniu małoletniego dziedzica gospodaruje na Zadnieprzu jego opiekun, kniaź Konstanty Wiśniowiecki. Sumienny opiekun przebywa jednak głównie na pograniczu Podola i Wołynia, gdzie w Załoźcach ma swą wspaniałą rezydencję. Okres jego rządów cechuje zwolnione tempo akcji kolonizacyjnej Zadnieprza. Wdał się natomiast Konstanty w nie kończący się latami spór o dzierżawy saletrowe, które król darował niejakiemu Czerniszewskiemu, podczas gdy Wiśniowiecki uważał, że są one częścią zarządzanych przez niego dóbr zadnieprzańskich. Ciągnący się latami spór — w trakcie którego Konstanty był nawet skazany na banicję i zapłacenie 50 000 zł kary, z czego niewiele sobie robił i procesował się nadal — zakończył się w pewnym sensie polubownie. Część dóbr książę zwrócił, część zatrzymał i nikt go już w posiadaniu nie niepokoił, nie mówiąc już o tym, że nikt wyroku sądowego nie próbował nawet egzekwować.

Swoją drogą, surowość nieegzekwowalnych wyroków była nie tylko wyrazem słabości państwa, ale także jedną z jego przyczyn. Stanowiła jeden z ważkich, choć może do dziś nie dość docenianych elementów demoralizacji, zaniku kultury prawnej w społeczności szlacheckiej, osłabiała autorytet państwa i jego wymiaru sprawiedliwości.

Tymczasem nie wiadomo czy celowo, czy — co bardziej prawdopodobne — dzięki bałaganowi w kancelarii królewskiej, uznano Rumno i przyległe tereny za królewszczyzny i nadano najpierw Marcinowi Kalinowskiemu, potem Adamowi Kazanowskiemu. Nadanie królewskie było jawnie sprzeczne z prawem, bowiem Rumno leżało nad rzeczką wpadającą do Suły, a więc na mocy przywileju z 1590 należało do dóbr Wiśniowieckich. Mało tego, są to tereny odebrane przez Michała Wiśniowieckiego Moskwie, która w międzyczasie je sobie przywłaszczyła. Włość rumeńska była m.in. przedmiotem sporu między księżną Rainą Wiśniowiecką a księciem Januszem Wiśniowieckim i została wyrokiem trybunału przyznana Rainie.

Konstanty zaprotestował przeciw temu bezprawnemu oderwaniu części zadnieprzańskich dóbr, ale zajęty swoimi problemami, poprzestał jedynie na tym. Sprawę załatwił dopiero znacznie później Jeremi i to w sposób, który odbił się głośnym echem w całej Rzeczypospolitej.

Podczas gdy Jeremi przebywał jeszcze za granicą, w 1628 sejm uchwalił podatek zwany „podymnym", który obciążał domy chłopów i szlachty zagrodowej. Trzeba więc było sporządzić spis „dymów" na Zadnieprzu. Spis ten dokonany niemal w przeddzień uzyskania przez Jeremiego pełnoletności i objęcia dziedzictwa zadnieprzańskiego, sta-

nowi doskonały obraz zaludnienia i zagospodarowania tych terenów. Największym miastem wiśniowieckiego Zadnieprza są Łubnie. Obok miasta jest nowy zamek budowany przez Michała (w miejsce starego, drewnianego, budowanego przez Aleksandra). Zamek jest dobrze wyposażony. Wiemy skądinąd, że kniaź Michał ściągał tu z Owrucza 43 hakownice. Obok zamku leży miasto, z rynkiem, na którym stoi 18 domów, na przyległych ulicach jest jeszcze 8. Na przedmieściach znajduje się razem 40 domów i 87 ubogich chałup. Tak więc w całych „stołecznych" Łubniach było wszystkiego nieco ponad półtora setki domów, z tego większość stanowiły „ubogie chałupy". Spis wykazał też obecność „5 kół młyńskich oraz 2 stępnych". Wśród mieszkańców znajdowali się m.in.: 1 pop, 1 młynarz, 2 krawców, 4 szewców, 2 kowali, 4 rzeźników. Ludność Łubniów liczyła prawdopodobnie około 1000 mieszkańców.

Drugim co do wielkości miastem po Łubniach był Łukoml (ok. 800 mieszkańców). Z innych miast Chorol liczył ok. 400 mieszkańców, podobnie Piratyn czy Przyłuka. Większość osad była jednak mała, zamieszkiwana przez kilkunastu, najwyżej kilkudziesięciu ludzi. Najmniejszą osadą było Krasne — zamieszkałe przez mniej niż 10 ludzi.

Jak oblicza Tomkiewicz, w przeddzień objęcia rządów przez Jeremiego jego zadnieprzańskie ziemie zamieszkiwało nieco ponad 4 500 ludzi. Były tam 4 klasztory prawosławne i kilka cerkwi.

Przejęcie dóbr od opiekuna zbiegło się Jeremiemu z udziałem w wojnie moskiewskiej i przeciągnęło aż po rok 1635. Granice tych posiadłości nie były do końca ustalone i miały o nich zadecydować zarówno wyroki kilku toczących się naraz procesów, jak i rokowania z Moskwą.

Na północy granica dóbr Wiśniowieckiego była zarazem granicą państwową, która ulegała ciągłym przesunięciom. Zgodnie z postanowieniem pokoju polanowskiego specjalna mieszana komisja miała dokonać rozgraniczeń. Na czele komisji polskiej stał podkomorzy czernihowski, towarzysz bojów Jeremiego czasów ostatniej wojny, a późniejszy przeciwnik polityczny, Adam Kisiel. Prace komisji szły mozolnie, żadna ze stron nie była skora do ustępstw.

Ostateczne rozgraniczenie nastąpiło dopiero latem 1644, faktycznie zaś postanowienia porozumienia zrealizowano dopiero w 3 lata później. Wiśniowiecki musiał oddać Moskwie miasteczko Neryhajłów wraz z dwoma wsiami oraz Horodyszcze Olszańskie. Ludność opuściła te tereny nie tylko z całym dobytkiem, ale rozebrała także znaczną część domów i zabrała ze sobą wyposażenie młynów, ikonostas z cerkwi, dzwony i obrazy.

Zarówno panegiryści jak i najzagorzalsi krytycy Jeremiego, zwra-

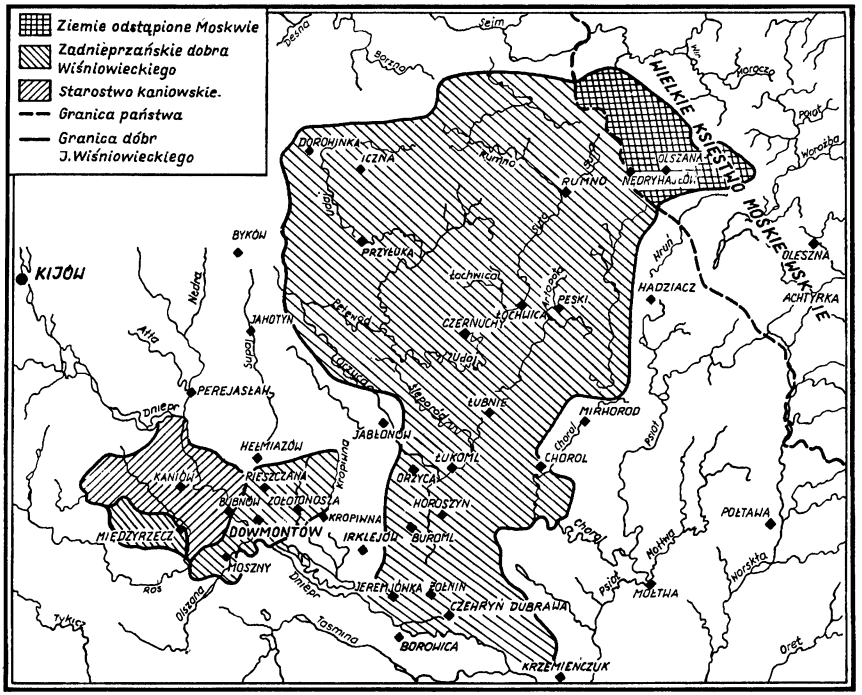

Zadnieprzańskie dobra Jeremiego Wiśniowieckiego (wg W. Tomkiewicza)

cają głównie uwagę na jego czyny wojenne, w których jedni widzą przejaw bohaterstwa, drudzy dziką i nieokiełznaną naturę. Natomiast mało kto zwraca uwagę na działalność gospodarczą młodego księcia. Jest to może rzecz naturalna w kraju, w którym bohaterstwo zawsze ceniono znacznie wyżej od pracy. Warto jednak zwrócić uwagę i na tę stronę działalności Jeremiego, tym bardziej że jego osiągnięcia były na tym polu nie spotykane. Obejmując zadnieprzańskie posiadłości z początkiem lat trzydziestych, miał tam Jeremi — jak wspomniano — nieco ponad 4500 poddanych, mieszkających w kilkunastu zaledwie osadach, z których tylko niektóre mogą być nazwane miasteczkami.

Pod koniec rządów Jeremiego, w kilkanaście lat później (według spisu z 1646) dobra te zamieszkuje grubo ponad 230 000 poddanych. Mieszkają oni w 30 miastach (z których 20 jest ufortyfikowanych) i w licznych wsiach.

Miasta rozrosły się niepomiernie. Łubnie na przykład, które za księcia Michała liczyły ledwie sto pięćdziesiąt kilka gospodarstw, teraz liczą ich 2646, Łochwica jest jeszcze większa (ponad 3000 gospo-

darstw), Piratyn blisko 2000, Chorol około 1300, Krasne, w którym w 1628 mieszkało mniej niż 10 ludzi (lustratorzy zaliczyli tam tylko 1 „dym") liczy teraz blisko 1000 gospodarstw! Zwielokrotniła się liczba młynów, cerkwi. W miastach osiadają Żydzi trudniący się rzemiosłem i handlem. W samych Łubniach — w chwili wybuchu wojny 1648 mieszkało kilkaset rodzin żydowskich. Łącznie ludność zdanieprzańskich majątków Wiśniowieckiego wzrosła ponad pięćdziesięciokrotnie.

Prowadzenie kolonizacji na taką skalę wymagało nie lada talentów organizatorskich i dlatego trudno się zgodzić z sądem Karola Szajnochy, który w Jeremim widzi tylko anioła zniszczenia, „nie posiadającego najmniejszej iskry twórczości".

Posiadanie tak rozległych majątków zadnieprzańskich, a także majątków w województwie ruskim oraz na Wołyniu, z którego Wiśniowieccy wywodzili się, czyniło z Jeremiego jednego z najbogatszych ludzi w Rzeczypospolitej. Roczne dochody Jeremiego W. Tomkiewicz szacuje na około 600 000 złp. Wydaje się to liczbą nieco przesadzoną. Skądinąd wiadomo, że dochody księcia Ostrogskiego-Zasławskiego, który miał więcej ziemi od Wiśniowieckiego, wynosiły ok. 200 000 złp, zaś dochody największego magnata małopolskiego, Stanisława Lubomirskiego, przekraczały nieznacznie 300 000 złp rocznie, w czym mieściły się dochody z żup solnych. Można wprawdzie podejrzewać, że Jeremi, będąc lepszym gospodarzem niż Zasławski, potrafi ze swych majątków wyciągać większe zyski. Możliwe, ale też trzeba pamiętać, że znaczne części majątku Wiśniowieckiego osadzone były na prawach słobód, a więc dochodu — na razie — księciu nie przynosiły.

Pozyskanie tak dużego majątku i idąca z tym w parze pozycja społeczna musiały wywrzeć na osobowości młodego księcia poważne piętno. Na dobrą sprawę nie musi się liczyć z nikim ani z niczym. Żyje sobie na Zadnieprzu, z dala od stolicy i centrum spraw państwowych, jak udzielny książę. Dysponuje własną siłą zbrojną, jaką nie zawsze dysponują hetmani. Jest typowym „królikiem kresowym" z wszystkimi typowymi cechami swego gatunku.

Warcholstwo było — jak się zdaje — najpowszechniejszą cechą całej magnaterii polskiej XVII wieku, a zbrojne najazdy na sąsiadów, samosądy, jawne kpienie sobie z wyroków sądowych były stałą praktyką w całej Rzeczypospolitej. Załatwianie sporów granicznych i realizowanie wzajemnych pretensji majątkowych „prawem i lewem" było wręcz przysłowiowe. Jeśli tak było nawet w Polsce centralnej, gdzie i kultura była wyższa, i sprawy własnościowe lepiej i dokładniej uregulowane, i obecność administracji państwowej bardziej widoczna — to cóż dopiero na dalekich kresach ukraińskich!

Jeremi szybko zasłynął i na tym niezbyt chlubnym polu. Jeszcze

w czasie trwania wojny moskiewskiej Wiśniowiecki razem z kasztelanem sieradzkim, Maksymilianem Przerembskim, wpadli zbrojno do Uścia w województwie ruskim, rabując ruchomości po zmarłym dopiero co Mironie Bernawskim. Obaj magnaci zabezpieczali w ten sposób swoje pretensje do spadku po Mohyłach. Zrabowano wówczas — według pozwu siostry Bernawskiego, Teodozji Nikoryczyny — m.in. „krzyż z dyamentem i 50 cewek ciągnionego złota, *valoris* [gotówki] 1 000 dukatów, kilka szabel przepysznie oprawnych, szkatułę srebrną z relikwiami, buławy złotem oprawne, rzędy bogato kamieniami drogimi sadzone, czapraki złotem haftowane, strzemiona srebrne, zegary, sajdaki, 50 drogich kobierców, garderobę z całym bezlikiem futer, ferezyj, [...], broń z zamku wszystką, 8 beczek prochu, 6 cetnarów ołowiu [...], 30 koni tureckich, 1000 owiec, 3000 sztuk bydła [...]". Ale piękna Teodozja nie pozostała dłużna. Wdziękami jej ujęty rotmistrz Krusiński wraz z wojskiem tak długo Uście oblegał, aż Przerembski skapitulował i wszystką zdobycz zostawiwszy, zamek opuścił (Jeremi wojował wtedy z Moskwą). Po „kapitulacji" Przerembski, który własną bronią został pokonany, wystąpił na drogę sądową, jakoż istotnie uzyskał pomyślny dla siebie wyrok trybunału, który Nikoryczynę skazuje na utratę czci i na ścięcie. Nikt nie ścina jednak jej pięknej głowy, mało tego, bierze ją za żonę rotmistrz Podhorecki. Piękna Teodozja jako pani rotmistrzowa Podhorecka uzyskuje od króla glejt przeciw wyrokowi trybunału.

Awanturniczy, żądny przygód, zawsze chętny do demonstrowania swej potęgi, kniaź Jeremi z ochotą wkrótce potem pomaga starej Dowmontowej i jej wnukom Olekszycom przepędzić ludzi starosty kaniowskiego, znanego zresztą awanturnika Samuela Łaszcza, który nieprawnie zajął włości Dowmontów. Odzyskane po stoczeniu regularnej bitwy z ludźmi Łaszcza i zdobyciu kolejno Dowmontowa, Zołotonoszy i reszty dóbr dowmontowskich, zostały one przez Jeremiego odkupione w nieznanych bliżej okolicznościach. W ten sposób zniknęła jedyna obca enklawa w zwartym kompleksie zadnieprzańskich dóbr Wiśniowieckiego.

Dobra wiśniowieckie rozrastały się zarówno przez wykup ziemi od sąsiadów, jak i też przez procesy z nieprawnymi posiadaczami. Procedura sądowa była jednak długa, wyroki zaś z reguły trudno egzekwowalne. Najpewniejszą metodą było zajęcie zbrojne spornych terenów, a następnie procesowanie się o nie. Kończyło się to zwykle jakimś kompromisem, a więc trzeba było z części zagarniętych włości się wycofać, część zaś, zwykle tytułem tego kompromisu, zostawała przy najeźdźającym. Przy takich sposobach załatwiania sporów niebezpiecznym nader sąsiadem był kniaź Jeremi, który na wojennej sto-

pie trzymał zawsze kilka tysięcy wojska. Toteż drobni sąsiedzi w sporach z takim magnatem byli z reguły bezbronni. Do zajęcia spornych włości mógł kniaź wysłać — jak np. do włości dorohińskiej — 1 200 dragonów, przeciwnik mógł się zasłaniać nieegzekwowalnym wyrokiem sądowym. Gorzej gdy spór toczyło ze sobą dwóch potężnych magnatów. Dochodziło wówczas nawet do całych wojen prywatnych, w których po obydwu stronach walczyły wojska i ginęli ludzie (najbardziej głośną była w XVII w. wojna „Dyabła łańcuckiego" — Stanisława Stadnickiego z Łukaszem Opalińskim, w której po obydwu stronach zaangażowanych było kilkanaście tysięcy żołnierzy, staczano regularne bitwy z użyciem artylerii, palono wsie i miasta).

Musiało księcia niepomiernie drażnić, że Rumno, nadane bezprawnie w czasie jego niepełnoletności Kalinowskiemu, a następnie Kazanowskiemu, pozostaje nadal w rękach tego ostatniego. Nie chciał widać Jeremi ryzykować zatargu z marszałkiem Adamem Kazanowskim, ulubieńcem królewskim, zawarł więc z nim układ, mocą którego marszałek miał trzymać Rumno dożywotnio, po czym miało być włączone na powrót do dóbr wiśniowieckich. Kiedy w 1644 rozeszła się po Ukrainie pogłoska o śmierci Kazanowskiego, Jeremi uznał, że czas Rumno odebrać. Zrobił to książę w sposób dość osobliwy. Oddajmy głos kanclerzowi litewskiemu, a zarazem pamiętnikarzowi Albrychtowi Radziwiłłowi, który opisuje to tak: „posłał więc [Wiśniowiecki] sługę który przybył do zamku [Rumno] niby dla odwiedzenia burgrabiego, a gdy przez niego uprzejmie przyjęty zasiadł zaproszony do wieczerzy, zjawił się drugi, i trzeci, i czwarty sługa. Burgrabia sądząc, że tylu gości przybyło usiłował ich ugościć. Ci gdy spostrzegli, że mają przewagę, dziękują za ucztę i gotowi oddać przysługę za przysługę, jako gościa zapraszają go na nocleg. Kiedy ów przerażony chciał bronić spraw swego pana, został przez nich pojmany. Po wkroczeniu do zamku żołnierza Wiśniowieckiego, który zajął zamek i miasto i całą włość, odprawiono łaskawie burgrabiego, by powiadomił Kazanowskiego, że książę z Wiśniowca ma dziedziczne prawo do tych dóbr". Jednym z przybyłych do Rumna sług Wiśniowieckiego był imć Stanisław Poniatowski, znany nam z *Ogniem i mieczem* rotmistrz kozackiej chorągwi kniazia Jaremy.

Dowcip był znakomity, należy jednak wątpić czy śmiał się z niego Adam Kazanowski. Pozbawiony Rumna i ośmieszony marszałek pognał co prędzej do króla ze skargą na Wiśniowieckiego. Król wysłuchał swego ulubieńca, doradził sprawę skierować na drogę sądową. Pozwany przez sąd królewski, Jeremi nie stawił się. Kazanowski uzyskał więc zaoczny wyrok banicji dla przeciwnika, ten miał zaś nadal Rumno

i ani myślał zeń ustępować. Mało tego, „banita" nie tylko nie myślał opuszczać kraju, i choć teoretycznie banitę każdy mógł bezkarnie zabić, nie obawiał się tego. Przeciwnie, udał się z kresów — pod pozorem odwiedzania miejsc świętych — do Krakowa, by tu osobiście rozmówić się z królem. Król chcąc uniknąć kłopotliwego spotkania z kniaziem, opuścił Kraków. Wobec takiego obrotu sprawy Jeremi ku zdziwieniu współczesnych „nie wnosząc o krzywdę ani nie działając gwałtownie", powrócił do domu. Widząc, że w ten sposób nie załatwi sprawy, kniaź zmienił taktykę. Powysyłał na sejmiki pisma, w których opisał wyrządzoną mu przez Kazanowskiego krzywdę. Na sejmik łucki przybył osobiście. Przedstawił zebranej tam szlachcie swe prawa do Rumna i wykazawszy, że to Kazanowski dotąd bezprawnie je dzierżył, dzięki swej znacznej już wówczas u szlachty popularności uzyskał poparcie sejmiku. Sejmik przyjął uchwałę, że jeśli sejm będzie chciał rugować księcia z Rumna, to należy raczej sejm zerwać. Mało tego, „banitę" wybrano na posła, mimo że Kazanowski przez swego sługę próbował temu przeciwdziałać.

Na marcowym sejmie 1645 król polecił wnieść sprawę Wiśniowieckiego z Kazanowskim. Przedtem ten ostatni nie chciał dopuścić do odbioru marszałka, zanim Wiśniowiecki nie zostanie z izby usunięty. Jeremi ani myślał dać się z izby wyrugować, a mając mocne poparcie co najmniej trzydziestu stronników, czuł się nader pewnie. Posłowie wołyńscy, korzystając z obrony zredagowanej przez Kisiela, wykazali, że zgodnie z ustawą z 1598 nie ma podstaw do rugowania Wiśniowieckiego. Został więc kniaź w sejmie, a Kazanowski wyszedł na warchoła o dyktatorskich zapędach.

Sprawę badał osobiście król wraz z kilkoma senatorami i sprawdziwszy, że Rumno z mocy prawa należy się rzeczywiście Wiśniowieckiemu, przysądził mu wieczyste posiadanie. Taki finał sprawy Albrycht Radziwiłł skwitował w swym *Pamiętniku:* „I tak z wielkiej chmury nastąpił mały deszcz".

O tym jak ważne prestiżowo były takie sprawy, świadczy dalszy zapis *Pamiętnika*: „Wiśniowiecki umiał zwyciężać i wrogów ojczyzny, i własnych nieprzyjaciół. Nie ustępował ten tryumf zeszłorocznemu zwycięstwu nad Tatarami".

Nie wiadomo czy Wiśniowiecki obydwa sukcesy też traktował na równi, dość że wydał z okazji zakończenia sprawy o Rumno wspaniałą ucztę.

Ledwie przycichła wrzawa wzniesiona z powodu sprawy Rumna, wdał się Jeremi w jeszcze głośniejszy spór o Hadziacz. Tu przeciwnikiem był równie potężny pan kresowy, chorąży koronny Aleksander

Koniecpolski, syn wielkiego, zmarłego dopiero co hetmana, w dodatku szwagier Jeremiego, dotąd z nim zaprzyjaźniony. W sprawach majątkowych sentymenty rodzinne nie liczyły się jednak.

Sprawa o Hadziacz, podobnie jak i sprawa o Rumno, była wynikiem podwójnego nadania tej samej ziemi dwom różnym ludziom. Leżąca nad Psiołem na Zadnieprzu włość hadziacka należała do królewszczyzn. Stanowiła ona uposażenie dożywotnie hetmana Stanisława Koniecpolskiego. Po śmierci hetmana Jeremi Wiśniowiecki wystarał się u króla o wydzierżawienie mu tych włości, na co istotnie otrzymał z kancelarii królewskiej oficjalny dyplom. Jednocześnie wydano Wiśniowieckiemu drugi przywilej, na mocy którego mógł kniaź przez 10 lat eksploatować na wydzierżawionych ziemiach „potasy" i „saletry".

Jeremi oblatował [wpisał akt do ksiąg sądowych] nadanie w grodzie kijowskim. Przybyły jednak do Kijowa dla dokonania intromisji [przyjęcia nieruchomości] Jeremiego urzędnik królewski, niejaki Karniewski, nie mógł wykonać swych czynności, ponieważ został przepędzony przez ludzi Aleksandra Koniecpolskiego. Karniewski opisał to wydarzenie, po czym złożył w grodzie kijowskim protest i opuścił Ukrainę. Okazało się niebawem, że jeszcze za życia hetmana Hadziacz przyznano jego synowi. Młody Koniecpolski bronił więc swych słusznych praw, Jeremi zaś chciał realizować swoje nadanie. Znalazł się więc Wiśniowiecki względem Koniecpolskiego w identycznej sytuacji, jak Kazanowski wobec niego w sprawie Rumna.

Urzędnik królewski, przedstawiciel władzy, który chciał nadanie królewskie dla Wiśniowieckiego prawnie zrealizować, mógł się tylko ograniczyć do ... złożenia w grodzie protestu. Jeremi miał inne możliwości egzekwowania swego prawa i natychmiast je uruchomił. Na Hadziacz ruszył więc pochód 7 000 zbrojnych ludzi, ciągnąc za sobą artylerię. Waląc do miasta z dział i hakownic wyłamano bramę i szturmem wzięto przedmiot sporu. Następnie zbrojne oddziały rozjechały się po całym terenie, zajmując siłą wszystkie miasteczka i osady do włości hadziackiej przynależne. Sposób zajęcia przez Jaremę tejże włości, który tylko z najazdem tatarskim mógł być porównany, przyniósł młodemu Koniecpolskiemu — według jego wyliczeń — w samych ruchomościach straty na pół miliona złotych. Teraz Aleksander Koniecpolski złożył w grodzie kijowskim protest, ale bez skutku, bowiem Wiśniowiecki uzyskał właśnie oficjalną intromisję do wszystkich zajętych terenów. Chorąży koronny nie dał za wygraną i oskarżył swego szwagra o nieprawne zajęcie Hadziacza, a nadto o nieprawne posiadanie Chorola.

Chorolem Wiśniowieccy władali nieprzerwanie przez lat blisko 40

i skarb koronny, do którego płacili podatki także z tej włości, nie zgłaszał żadnych pretensji. Teraz uznano, że ponieważ rzeka Chorol, nad którą stoi miasto, nie wpada do Suły, Wiśniowiecki nie ma do tej włości praw. Później spostrzeżono, że popełniono błąd, kazano chorążemu wypłacić odszkodowanie, jednak dekretu nie zmieniono. Dopiero w trzy lata później uchwałą sejmową Chorol uznany został za dziedziczną włość Wiśniowieckiego. Jednak uchwała ta nie miała już szans na realizację, jako że ziemie te pozostawały wówczas w faktycznym władaniu Kozaków.

Sprawa o Hadziacz miała być rozstrzygnięta na sejmie. Ale na sejm książę nie przyjechał, tłumacząc się chorobą. Wobec tego sprawę odłożono do następnego sejmu, który miał zebrać się w maju 1647, natomiast zaocznie rozstrzygnięto skargę o nieprawne posiadanie Chorola. Uznano wówczas, że włość ta należy do starostwa perejasławskiego i że Wiśniowiecki ma ją niezwłocznie zwrócić.

Koniecpolski uparł się, aby książę złożył przysięgę, że istotnie był chory i nie mógł stanąć do sprawy w grudniu. Choroba księcia była chyba prawdziwa. Zbyt dużo ryzykował swoją nieobecnością i nie mógł być pewnym czy sprawa nie zostanie rozstrzygnięta zaocznie pod jego nieobecność. Co prawda, choroba ta nie była chyba też zbyt ciężka, skoro w niecały miesiąc później, po Nowym Roku (sejm trwał do 9 grudnia) kniaź popędził na Ukrainę, wjechał do Kaniowa, dokonując formalnej intromisji na starostwo, z którego wyrugował wcześniej — do spółki z wojewodą Januszem Tyszkiewiczem — banitę Samuela Łaszcza, konkurując teraz o to starostwo z synem Samuela, Michałem. Z Kaniowa udał się książę na Zadnieprze. Zdążał do Hadziacza, ale ostatecznie przejeżdżając przez Łochwice zatrzymał się w Rumnie, do Hadziacza nie dojechał, lecz — jak zapisał jego dworzanin, Bogusław Maskiewicz — zawrócił i „poleciał jak z pęcherzem do Wiśniowca na mięsopusty".

Koniecpolski nie dawał wiary w chorobę księcia i zapowiadał, że i on do sprawy nie stanie, chyba że Jeremi złoży przysięgę, że w grudniu naprawdę był chory.

Zbliżał się termin majowego sejmu. 29 kwietnia 1647 wjechał do Warszawy książę Jeremi Wiśniowiecki na czele 4-tysięcznego orszaku. Szczęściem, z powodu uciążliwej drogi, artylerię zostawiwszy na Zadnieprzu. Książę stanął kwaterą u swej krewnej Krystyny z Wiśniowieckich Daniłowiczowej, krajczyni koronnej, której dwór znajdował się „w tyle dworu księcia marszałka a przeciw kanclerza koronnego pałacowi". W tydzień później do Warszawy wjechał — na czele znacznie skromniejszego orszaku — Aleksander Koniecpolski. Młody chorąży upierał się, że nie będzie „do niczego przystępować, aż książę Wiś-

niowiecki jurament [przysięgę] wprzódy wykona, że był chory podczas przyszłego sejmu". Wspieranie przysięgą własnych słów, których prawdziwość tak jawnie była kwestionowana, musiało niepomiernie razić ambicję dumnego kniazia. Zareagował więc po swojemu. Zebrał — jak pisze jeden z towarzyszących księciu dworzan — swoich ludzi, a więc 4 000 rębajłów i „uczynił przedmowę do wszystkich prosząc, aby wszyscy przy nim stali i na jego początek patrzeli, a potem kończyli to co on zacznie. Bo z tym się deklarował, że jeśli przysięże, zaraz wstawszy chorążego szablą miał ciąć i wszystkich siec, którzyby się przy nim opowiadali, by i króla samego. A wy — powiada — wszyscy co do jednego [...] do senatorskiej izby wciśnijcie się, a posiłkujcie mnie".

Można mieć wątpliwości czy Jeremi rzeczywiście miał zamiar rzucić się z szablą na przeciwnika, na senat, ba, na samego króla. Sądzić raczej należy, że swe rzekome plany wyjawił publicznie właśnie po to, aby dotarły one do przeciwnika, a także do senatu w przekonaniu, że ten będzie czynił wszystko, aby do przysięgi nie dopuścić. Ten niewielkiego wzrostu sławny wojownik kresowy mający opinię mogącego ważyć się na wszystko, zawsze wzbudzał w Warszawie zainteresowanie pomieszane z lękiem. Jakoż nie pomylił się. Trudno powiedzieć, czy groźby Jeremiego senatorowie i król potraktowali poważnie, dość, że na wszelki wypadek, jak zapisze Albrycht Radziwiłł „przez dwie godziny proszono chorążego by oszczędził przysięgi księciu wojewodzie, wreszcie ustąpił przed powagą królewską i naszym wstawiennictwem. Byliśmy zmuszeni, hetman wielki a zarazem kasztelan krakowski z jednej strony, ja z drugiej siłą przyprowadzić go do króla i tak się dokonało darowanie przysięgi". Inaczej mówiąc, dwaj najpoważniejsi senatorowie wzięli młodego chorążego za łeb, zawlekli przed króla i tam mu wyperswadowano konieczność rezygnacji z przysięgi. Sprawy sporne ostatecznie tak rozstrzygnięto, że Hadziacz musiał Jeremi zwrócić (podobnie jak kiedyś Kazanowski musiał jemu zwrócić Rumno), jako że Koniecpolski miał starsze nadanie. Musiał też zwrócić zagarnięte tam ruchomości oraz wydalić ze służby tych, którzy w czasie najazdu wykazywali się największą aktywnością. Można mieć poważne wątpliwości czy Jeremi rzeczywiście wydalił ze służby z tego powodu choć jedną osobę. Była to już jednak połowa roku pańskiego 1647. Za niecały rok zwaśnionych magnatów ukrainnych pogodzić miał już nie król, nie sejm, nie sądy, ale były setnik kozacki, syn marnego szlachetki spod Czehryna, były pisarz wojska zaporoskiego — Bohdan Chmielnicki.

V. W GRONIE RODZINNYM

Objąwszy olbrzymi majątek po ojcu i stryju, zdobywszy sławę na pierwszych wyprawach wojennych, postanowił się Jeremi ożenić. W czasie uroczystości koronacyjnych królowej Cecylii Renaty (1637) ujrzał ponoć po raz pierwszy młodziutką kanclerzankę Gryzeldę Zamoyską. Panienka miała wówczas lat niespełna 15 i bardziej niż urodą była „wysokością koligacyj i posagiem powabną", ale za to jak na ówczesne czasy była znakomicie wykształcona. Jej edukacją zajmowali się profesorowie Akademii Zamoyskiej, kulturalna też była atmosfera domu rodzicielskiego. Ojciec Gryzeldy, kanclerz wielki koronny Tomasz Zamoyski, z pewnością talentem i siłą osobowości nie dorównywał swemu wielkiemu ojcu, niemniej należał do najbardziej kulturalnych i światłych ludzi swej epoki. Do osób wykształconych zaliczał się też brat Gryzeldy, Jan Zamoyski starosta kałuski, późniejszy pierwszy mąż przyszłej królowej Marysieńki (znany jednak najbardziej z Sienkiewiczowskiego *Potopu*, kiedy to za podszeptem imć pana Zagłoby ofiarowuje królowi szwedzkiemu Niderlandy). Sam Zamość był wówczas ważnym ośrodkiem życia umysłowego i duchowego.

O zaletach duchowych 15-letniego dziecka trochę za wcześnie mówić, o ile nie jest się zawodowym panegirystą, jakkolwiek późniejsze wydarzenia wykażą, że istotnie Gryzelda była osobą nie tylko obdarzoną intelektem, ale i charakterem.

O rękę kanclerzanki konkurowało wielu młodych magnatów. Nad niektórymi z nich Jeremi miał zapewne tę przewagę, że widział ją na własne oczy na owych wspomnianych uroczystościach koronacyjnych. Wielu konkurentów znało obiekt swych westchnień tylko z pozycji ojca, koligacji i posagu. Wśród kandydatów najpoważniejszymi urodzeniem i bogactwem byli książęta Dominik Zasławski i Jeremi Wiśniowiecki. Za 10 lat obydwaj oni znów będą konkurentami. Tym razem do buławy regimentarskiej. Te drugie konkury niestety wygra książę Dominik.

Obydwaj rywale należą do najbogatszych ludzi w Polsce. Zasławski o 6 lat od Wiśniowieckiego młodszy, urody był delikatnej i takiejż natury. Mimo młodego wieku od roku był koniuszym koronnym. Jeremi wzrostu był niedużego, cerę miał smagłą i kruczoczarne włosy. Widać urodę odziedziczył po matce, Mohylance z domu. Natury porywczej, obdarzony silnym męskim charakterem, miał za sobą mimo że dopiero skończył lat 26, przeszłość rycerską. Wiśniowieckiemu sprzyjał — jak się zdaje — kanclerz, który jeszcze przed kilku laty — jako ówczesny podkanclerzy — pisał specjalnie do Kisiela, aby uczestnicząc w komisji, która po pokoju w Polanowie rozgraniczała ziemie polskie od moskiewskich, pilnował, by w tych rozgraniczeniach Jeremi nie poniósł uszczerbku. Co mogło powodować niewytłumaczalną racjonalnie sympatię jednego z największych dygnitarzy Rzeczypospolitej, wybitnego męża stanu, humanisty, do młodego kniazia, który dopiero co powrócił z wojny z przydomkiem „Podpalacza"? Może Tomasz Zamoyski dostrzegł w Jeremim te cechy, których jemu samemu brakło?

Postawione w testamencie kanclerza warunki, jakim winien odpowiadać jego zięć, wyraźnie preferowały Jeremiego, bowiem jednym z warunków było wykazanie się męstwem na wojnie. Postanowienia testamentu były wyjawione, jako że nazajutrz po Trzech Królach 1638 roku kanclerz rozstał się z tym światem. Kanclerzyna natomiast, z domu księżna Ostrogska, zdaje się rada by popierać dalekiego krewnego. W tej sytuacji także i dlatego, aby arbitralnym wyborem nikogo nie urazić, wolną rękę pozostawiono Gryzeldzie.

Książę Dominik przekupił podobno panny z fraucymeru i służące, aby zachwalały go panience, a odradzały jej wybór Jeremiego. Jakoż i jedna z przekupionych, widząc, że Gryzeldzie bardziej podoba się Jeremi, jęła jej perswadować: „cóżeś ty sobie w nim upatrzyła, on taki czarny?". Kanclerzanka zareplikowała — jak na owe czasy nieco frywolnie — „nie frasuj się, nie poczerni on mnie".

Z powodu żałoby po niespodziewanej śmierci Tomasza Zamoyskiego, 13 lutego 1638 odbyły się tylko skromne i ciche zaręczyny. Wyznaczono też termin ślubu na dzień 16 urodzin Gryzeldy, a więc 27 lutego 1639.

W pierwszą rocznicę śmierci kanclerza odprawiono za jego duszę uroczystą żałobną mszę świętą, na której obok rodziny zmarłego w ławach kolatorskich kolegiaty zamoyskiej zasiadł już Jeremi Wiśniowiecki. 25 lutego rozpoczęło się uroczyste, trwające bez przerwy 48 godzin nabożeństwo odprawiane za pomyślność przyszłego małżeństwa. Uroczystości ślubne rozpoczęły się „w niedzielę przed mięsopusty", 27 lutego. Ślub — który odbył się w kościele farnym w Zamościu,

w owej przepięknej, fundowanej przez Jana Zamoyskiego kolegiacie, dawał arcybiskup lwowski Stanisław Grochowski, czyli jak go wówczas zwano „Arcybiskup Metropolita Kościołów Rzymskich w Krajach Ruskich", w asystencji licznego duchowieństwa.

Kazanie wygłosił jezuita, ksiądz Wojciech Czarnocki. Kaznodzieja nie dorównywał Piotrowi Skardze (tekst kazania zachował się w formie specjalnego druku), niemniej wzruszył bardzo obecnych. Wywiódł pochodzenie Wiśniowieckich od Giedymina (co mu przyszło łatwo), Zamoyskich od Lecha (co mu przyszło trochę trudniej). Sens polityczny tego kazania przedstawia się jednak dość jasno. W osobach potomków pierwszych władców łączy się węzłem małżeńskim Litwa i Korona, jedną odtąd tworząc rodzinę. Wysłuchali tego kazania oprócz pary młodej posłowie króla polskiego, hospodara wołoskiego i siedmiogrodzkiego, liczni senatorowie, tłum szlachty, delegacje mieszczan. Organista przeszedł sam siebie wykonując *Veni Creator*, za co wzruszony pan młody podarował mu wieś. Po uroczystościach ślubnych przyszedł czas na uroczystości weselne. Trwały one podobno 6 dni. Piękną mowę weselną w imieniu matki panny młodej wygłosił przyjaciel domu Zamoyskich a zarazem jeden z najznakomitszych mówców sejmowych, Jakub Sobieski, ówczesny wojewoda bełski, wkrótce kasztelan krakowski. Po nim okolicznościowe przemówienia i wiersze wygłaszali profesorowie i uczniowie Akademii. Poezja okolicznościowa, pisana na zamówienie pana, bądź nawet z własnej inicjatywy, ale jedynie w celu przypodobania się chlebodawcy, także wówczas była — jak się zdaje — nie najwyższych lotów i do historii literatury nie przeszła. Jedyną nagrodą pochlebców była możliwość jedzenia i picia, i krzepienia się myślą, że są jeszcze na wydaniu dwie następne kanclerzanki. Jakoż istotnie jedzono, pito, bawiono się do końca tygodnia. Od ślubu aż do początków września 1639 młoda para przebywała w Zamościu, po czym po kolejnej fecie pożegnalnej, znów uświetnionej mową Jakuba Sobieskiego, wyruszyła w podróż do specjalnie przygotowanej rezydencji w Białym Kamieniu. Zapewne nikt ze słuchaczy owych pięknych przemówień Sobieskiego nie spodziewał się nawet, że i przemawiający, i ten, na którego część przemowy wygłaszano, będą ojcami dwóch kolejnych królów polskich.

W półtora roku po ślubie dnia 31 lipca 1640 roku narodził się pierworodny syn Jeremiego. Na chrzcie dano mu po dziadkach imiona: Michał Tomasz. Gdyby przyszły król Polski odziedziczył mądrość i rozwagę polityczną po Tomaszu, waleczność po Michale, byłby zepewne jednym z najwybitniejszych polskich monarchów. Niestety, stało się odwrotnie. Wprawdzie młodzieniec był starannie wychowany i kształcony, biegle władał kilkoma językami, ale — jak twierdził profesor

Władysław Konopczyński — w żadnym z nich nie miał nic ciekawego do powiedzenia.

Mniej więcej wówczas, kiedy Jeremi, żeniąc się z Gryzeldą, wiązał węzłem powinowactwa rodzinę Zamoyskich i Wiśniowieckich, zmarło bezpośrednio po sobie kilku jego krewnych. Najpierw w 1636 zmarł książę koniuszy koronny Janusz Wiśniowiecki, ojcu swemu, sędziwemu już Konstantemu, zostawiając opiekę nad wdową Eugenią z Tyszkiewiczów i pięciorgiem małych dzieci.

Sprawowanie opieki nie ograniczało się do samych funkcji wychowawczych. Opieka obejmowała bowiem nie tylko osoby niepełnoletnie, ale także ich majątki. Teoretycznie opiekun miał obowiązek składać coroczne rachunki z opieki, potrącając sobie zwyczajowo przyjęte wynagrodzenie. Praktycznie, najczęściej włączał majątki podopiecznych do swoich i traktował jak swoje, z tym jednak, że nie mógł ich sprzedać, zamienić czy zastawić. Opieka była więc na ogół bardzo opłacalna, zatem często ubiegano się o nią, a nawet procesowano, zwłaszcza gdy majątek podopiecznych był znaczny. Książę Janusz umierając pozostawił nie tylko żonę i pięcioro dzieci, ale także ogromną fortunę, wzmocnioną w 1631 majątkami odziedziczonymi po książętach Zbaraskich. Konstanty ustanowiony testamentem syna opiekunem wnuków natychmiast wziął w swe ręce całość spraw majątkowych, odsuwając od nich niemal całkowicie synową. Takie postawienie sprawy Eugenia uważała za krzywdzące i zwróciła się o pomoc do swej rodziny, zwłaszcza zaś do ojca, wojewody trockiego. Wojewoda Tyszkiewicz zwrócił się o interwencję do samego króla. Król istotnie upomina się u Konstantego o prawa dla Eugeni, ale bez skutku.

W dwa lata po Januszu zmarł kolejny syn Konstantego, Aleksander, rotmistrz królewski i starosta czerkaski, niegdyś, razem ze zmarłym wiosną 1641 Jerzym, starostą kamionackim, współtowarzysze Jeremiego z czasów jego dzieciństwa, pobytu w szkołach i podróżach.

Opłakawszy ostatniego syna, kniaź Konstanty zmarł wkrótce po nim, w maju 1641, dożywszy lat 77.

Jeremi pozostał jedynym dorosłym przedstawicielem rozgałęzionego niegdyś szeroko rodu Wiśniowieckich. Jemu też niegdysiejszy jego opiekun, Konstanty, zlecił opiekę nad swymi osieroconymi wnukami. W tym jednak czasie Eugenia zdążyła już ponownie wyjść za mąż za Aleksandra Radziwiłła, marszałka litewskiego. Ten ostatni jako ojczym również chce sprawować opiekę nad synami swej żony i nad ich majątkami. Zaczyna więc procesować się z Konstantym.

Zanim zapadło rozstrzygnięcie, sędziwy kniaź już nie żył. Na mocy jego testamentu Jeremi poczuł się opiekunem. Nie czekając na wyrok trybunału, swoją wypróbowaną metodą — a więc zbrojnie —

zajął zamki swych podopiecznych, mało tego, zaczął procesować się o wydanie mu dzieci i ruchomości, które zabrała ze sobą Eugenia. Ruchomości te — zdaniem Jeremiego — należały się jego podopiecznym jako scheda po Zbaraskich oraz po stryjach Aleksandrze i Jerzym. Z drugiej strony Radziwiłł chce unieważnić opiekę Jeremiego, obalając stosowną część testamentu Konstantego. Zyskawszy sobie poparcie bardzo wpływowego na dworze kuzyna Albrychta Radziwiłła, kanclerza litewskiego, wyprosił u króla powołanie w czasie jesiennego sejmu w 1641 komisji, która miała zbadać całą sprawę.

Skład komisji był stronniczy, dość powiedzieć, że powołano doń nie tylko Albrychta Radziwiłła, ale nawet samego zainteresowanego Aleksandra Radziwiłła. Oprócz nich w skład komisji weszło jeszcze kilku senatorów. Nic też dziwnego, że werdykt komisji był dla Wiśniowieckiego niepomyślny. Komisja uznała mianowicie, że książę Konstanty, sam będąc jedynie opiekunem, nie miał prawa wyznaczać dalszych opiekunów. Jeremi nie będąc sukcesorem Konstantego, nie może po nim dziedziczyć opieki, wreszcie że Jeremi jest zbyt dalekim krewnym podopiecznych książątek, bowiem pozostaje z nimi dopiero w siódmym stopniu pokrewieństwa. Opierając się na tych argumentach, komisja unieważniła stosowną część testamentu księcia Konstantego. Aleksander Radziwiłł zaproponował więc, aby najstarszemu z synów Janusza, Dymitrowi Jerzemu — późniejszemu hetmanowi — liczącemu wówczas lat niespełna 12, przyznać pełnoletność w takim zakresie, aby sam sobie naznaczył opiekuna. Na takie rozwiązanie jednak nie przystano ze względów formalno-prawnych. Komisja zaproponowała, aby opiekę nad sierotami przejął sam król, który do pomocy wyznaczyłby sobie kilku senatorów. Król zgodził się na takie rozwiązanie, wyznaczając jako współopiekunów: biskupa poznańskiego Szołdrskiego, hetmana Koniecpolskiego, wojewodę ruskiego Sobieskiego oraz Aleksandra i Albrychta Radziwiłłów, z tym że Albrycht od pełnienia tej funkcji jakoś się wykręcił.

Ale łatwiej było skompletować stronniczą komisję, jeszcze łatwiej uzyskać od niej oczekiwane rozstrzygnięcie, niż faktycznie pozbawić Jeremiego opieki. Werdykt komisji i decyzję królewską miał Jeremiemu zawieźć kanonik Lipski, brat zmarłego prymasa. Nim jednak Lipski dotarł do Wiśniowieckiego, ten już zdążył być u króla z awanturą, na koniec przerazić go groźbą, że „prędzej życie straci niż do opieki kogo innego dopuści" i wyjechać z Warszawy.

Wycofawszy się ze sprawy, Albrycht Radziwiłł medytował sobie co to będzie, bowiem „Jeremi, mąż wielkiego ducha, ufny w siłę swego wojska, a nie powstrzymany szacunkiem dla prawa, odważył się stanowczo trwać przy dobrach i odmówił ich wydania." Na dodatek

okazało się, że na dekretach wiezionych przez Lipskiego brak było pieczęci kanclerskiej, a więc formalnie nie były ważne. Dla świętego spokoju król odłożył więc sprawę do następnego sejmu.

Następuje teraz okres agitacji Radziwiłłów wśród senatu i dworu, Jeremiego na sejmikach małopolskich, które, jak zwykle, w pełni popierają księcia. Radziwiłł udał się po protekcję nawet do teściowej swego przeciwnika, sędziwej kanclerzyny Zamoyskiej, sądząc widać, że w walce z zięciem z natury rzeczy będzie mu niezawodnym sojusznikiem. W międzyczasie król powołał nową komisję dla zbadania całej sprawy. Weszli do niej arcybiskup lwowski Grochowski, wojewoda Sobieski oraz podczaszy koronny Mikołaj Ostroróg. Komisja miała zebrać się we Lwowie i wysłuchać racji obydwu stron. Zanim komisja zdążyła przystąpić do działania, zaszły dalsze wydarzenia, które przesądziły o losach sprawy.

Otóż w połowie maja 1642 Eugenia oświadcza mężowi, że została zaproszona przez kuzynkę Annę Zbaraską do odwiedzenia Zbaraża. Radziwiłł nie tylko zgodził się na wyjazd żony, ale jeszcze dał na drogę stosowny poczet i eskortę. „A ona — używając słów Albrychta Radziwiłła — wziąwszy synów i córki skierowała się prosto do Wiśniowieckiego i powierzyła się jego opiece wraz z potomstwem. Jeremi — który do Wiśniowca przybył dopiero w trzy dni później — pochwalił ją za przywiezienie dzieci, za których prawego opiekuna się uważał jej samej zalecił jednak powrót do męża. Eugenia oświadczyła kategorycznie, że nie ma najmniejszej na to ochoty. Nie pomogły też prośby męża, który najpierw wysłał jej list z napomnieniem i żądaniem powrotu, następnie zaś przysłał swego kapelana z poufną misją nakłonienia do zmiany decyzji... Ale pani Eugenia listu nawet nie przyjęła, kapelana zaś odprawiła z niczym. Ta nagła — i co raczej pewne — nie uzgodniona wcześniej z Jeremim decyzja stawiała tego ostatniego w dość kłopotliwej sytuacji. Ale dama była uparta i tym razem konsekwentna: rozpoczęła też kroki rozwodowe. Ważną i nie do końca wyjaśnioną rolę odegrał w tym wszystkim ksiądz Mikołaj Krasicki, biskup sufragan łucki, który wcześniej — jak się zdaje — namawiał marszałkową do pozostawienia dzieci pod opieką Jeremiego, a teraz obiecał jej przeprowadzić rozwód. Rzeczywiście, biskup łucki Gembicki — dzięki pośrednictwu swego sufragana — unieważnił ślub Eugenii Wiśniowieckiej z Aleksandrem Radziwiłłem a to na tej podstawie, że Aleksander pozostawał w trzecim stopniu pokrewieństwa z pierwszym mężem Eugenii. Okazało się jednak niebawem, że Radziwiłł miał na ślub dyspensę papieską, o której rzekomo nie wiedział biskup. Ale tymczasem jego dekret unieważniający małżeństwo uprawomocnił się.

Poczuwający się do winy biskup Gembicki wystąpił teraz w roli

pośrednika pomiędzy rozwiedzionymi małżonkami, jakoż udało mu się w końcu wynegocjować jakieś porozumienie. Eugenia do Radziwiłła nie wraca, ale zrzeka się wszelkich do niego pretensji majątkowych. Jeremi tymczasem zajął się i majątkami młodych książąt, i ich wychowaniem. Chłopców: Dymitra i Konstantego wysłał do szkół w Krakowie, dziewczęta zaś umieścił na dworze księżnej Gryzeldy. Matkę podopiecznych wyprawił do własnych dóbr i odsunął od wszelkich spraw wychowawczych i opiekuńczych. Żyjąc we własnych dobrach, musiała Eugenia ze swoich dochodów spłacać długi zmarłego małżonka. Uważała ona jednak, że długi powinien spłacać Wiśniowiecki, jako że administrował majątkami spadkobierców Janusza. Jeremi był innego zdania i innego zdania był także sąd, przed którym postawiono w końcu niepłacącą długów Eugenię. Trybunał lubelski skazał ją na banicję i infamię. Wówczas napisała nieszczęsna do Jeremiego długi, rozpaczliwy list pełen żalu, wymówek i próśb o zapłacenie zaległych kwot. Sądzić można, że Jeremi — co mu się nader rzadko zdarzało — wzruszył się listem krewniaczki i popłacił jej długi, bowiem do procesu pomiędzy nimi nie doszło, a dalsze stosunki pomiędzy nimi były już — jak się zdaje — nie najgorsze. Jeremi występował nawet w innych sprawach jako obrońca Eugenii, która ze swej strony przy okazji rozliczeń z opieki zeznawała, że nie ma żadnych pretensji do opiekuna.

Stosunki z Radziwiłłami, mocno popsute przez rozwód Eugenii Wiśniowieckiej z Aleksandrem Radziwiłłem, szybko uległy poprawie. Już w jesieni 1642 na pogrzebie kanclerzyny Zamoyskiej w Zamościu honory domu pełnił syn zmarłej Jan Zamoyski i zięć — Jeremi Wiśniowiecki, zaś wśród gości było wielu Radziwiłłów. Pogrzeb wypadł dostojnie i spokojnie. Obeszło się bez incydentów. Tym różnił się od pogrzebu Konstantego i Jerzego Wiśniowieckich z ubiegłego roku, kiedy to doszło do awantury pomiędzy Jeremim a kasztelanem wojnickim Piotrem Szyszkowskim, zięciem Konstantego. Kasztelan w czasie stypy po pijanemu ubliżył swojej żonie, z domu Wiśniowieckiej, zareagował na to błyskawicznie Jeremi. Doszło do ogólnej burdy, do której dołączyła służba. Efektem było pięć trupów, a niewiele brakowało, by szóstym była sama księżna Gryzelda, gdyby nie to, że biskup wołoski Jan Zamoyski, „prawicą uchronił jej głowę od cięcia szablą".

Jak widać, delikatnością obyczajów nasza magnateria w XVII wieku nie grzeszyła, zaś obraz stypy w Załoźcach odbiega nieco od wizji uroczystości na dworze Jeremiego, opisywanych przez Sienkiewicza. Nie odbiega natomiast wcale od obrazu obyczajowości współczesnej w dowolnym krańcu Europy. W ówczesnej kulturalnej Francji do szpad sięgano równie chętnie i często jak w Polsce do szabel. Ale zdarzały się i bardziej subtelne uroczystości dworskie... Do szczególnie ulubionych

na dworach polskich należała zabawa towarzyska nazywana z niemiecka „Wirtschaft". Było to swoiste połączenie balu maskowego i improwizowanego przedstawienia. Miało to być niby przypadkowe spotkanie osób o ustalonych z góry rolach w gospodzie. Stąd też nazwa zabawy. Uczestnicy losowali więc role, w których mieli wystąpić. W czasie jednej z takich zabaw odbywanej z udziałem króla, królewiczów i wielu najpoważniejszych senatorów, Jeremiemu przypadła rola kupca. Musiał się więc kniaź przebrać we wschodnie szaty, udawać kupca, i co więcej — kosztownymi prezentami obdarować obecnych.

Znając naturę Jeremiego, należy wątpić o tym, aby takie zabawy przypadały mu do gustu. Nie gustował on w ogóle w życiu dworskim. Wprawdzie jego dwór składał się stale z około stu osób, jednak nie przetrwały żadne informacje o wystawnym życiu czy przepychu tego dworu. Nie zbudował sobie też Jeremi, jak tylu współczesnych mu, a nie dorównujących nawet bogactwem magnatów, żadnej wspaniałej rezydencji na wzór Podhorców Koniecpolskiego czy Krzyżtoporu Ossolińskiego. Mieszkał najczęściej w Łubniach, w zamku zbudowanym przez ojca, często przebywał w Przyłuce, Wiśniowcu i Białym Kamieniu. W dzisiejszych muzeach na próżno by szukać jakichś zbytkownych pamiątek po nim, czy chociażby malowanego za jego życia portretu.

Szczycił się zawsze Jeremi, że nie do polityki i nie do dworskiego życia jest stworzony, ale do wojny. A przyszło mu żyć w czasach, w których przeznaczenie wyszło naprzeciw jego zamiłowaniom. W ciągu dziewiętnastoletniego okresu jego dojrzałego życia, wyjąwszy cztery lata pomiędzy 1634 a 1638, zwykle co dwa lata wyruszał na wojnę, zaś ostatnie trzy lata życia wojna zajęła mu niemal bez reszty.

VI. PO RAZ PIERWSZY PRZECIW KOZAKOM

Wkrótce po zakończeniu wojny moskiewskiej zaczęło się zanosić na nową wojnę: szwedzką. Szwecja dążyła do opanowania wybrzeży Bałtyku, co stanowiło już samo przez się przyczynę konfliktu z Polską, zaś pretensje Wazów do korony szwedzkiej jeśli nawet nie dostarczały wygodnego pretekstu, to w każdym bądź razie zadrażniały sytuację. Toteż śmierć Gustawa Adolfa (1632) i związane z tym krótkotrwałe rozprzężenie w Szwecji, zbiegające się z zakończeniem rozejmu altmarskiego, zdawało się być dogodną dla Polski chwilą dla ostatecznego rozstrzygnięcia sporu. Tak rozumiał to Władysław IV. Inaczej jednak rozumowała szlachta, w swej masie pacyfistyczna i zadufana w sobie. Wierząca, że ustrój Polski jest najdoskonalszy na świecie (absolutnie przekonana, że jest on wzorowany na rzymskim), wierząca w niezachwianą potęgę Rzeczypospolitej i z tego tytułu lekceważąca sobie wszelkie zewnętrzne, narastające stopniowo niebezpieczeństwa. Syta zdobyczy i nie zainteresowana dalszymi podbojami. Częste porównywanie ustroju polskiego z rzymskim jakoś nie nasunęło szlachcie przypuszczenia, że ich prześwietna Rzeczpospolita, podobnie jak kiedyś Rzym i w gruncie rzeczy z podobnych przyczyn, runie, co też i za półtora wieku istotnie dokonało się.

Tymczasem hetman Koniecpolski stanął obozem pod Kwidzyniem i niebawem obóz zaczął zapełniać się nie tylko wojskiem kwarcianym, ale także wojskami prywatnymi ściągającymi z różnych stron Rzeczypospolitej. Przyprowadził też swoją dywizję pod Kwidzyń Jeremi Wiśniowiecki. Dotarcie w stosunkowo krótkim czasie kilku tysięcy wojska (kronikarze podają liczbę wojsk książęcych pod Kwidzyniem na 8000) z Zadnieprza na Pomorze było nie lada wyczynem. Okazało się jednak zupełnie niepotrzebnym manewrem. Pacyfistycznie nastawione stany potrafiły na królu wymóc pokojowe rozstrzygnięcie sprawy, które — samo w sobie może i chwalebne — faktycznie równało się rezygnacji z mocarstwowej pozycji i pośrednio stało się przyczyną „potopu",

który w 20 lat później ostatecznie zachwiał pozycją Polski w Europie. Na razie zawarłszy 12 września 1635 roku 26-letni rozejm w Sztumdorfie (Sztumskiej Wsi), Rzeczypospolita odzyskując grody pruskie, rezygnowała z Inflant. Zgromadzone wojsko rozjechało się. Jeremi powrócił spokojnie na Ukrainę.

Spokój trwał zaledwie dwa lata. W 1637 wybuchło kolejne już powstanie kozackie pod wodzą Pawluka (właściwie: Paweł Michnowicz). Ten samozwańczy hetman kozacki, niegdyś towarzysz dopiero co straconego w Warszawie Iwana Sulimy, niespodziewanie opanował Korsuń, gdzie dozbroił swoją watahę i ruszył na Zaporoże. Akt Pawluka nie tylko zaskoczył Polaków, ale także starszyznę kozacką. Siły jego poważnie wzrosły, zasilone głównie przez wypisanych z rejestru Kozaków, dołączyła do nich też czerń. Zamordowawszy starszego wojska zaporoskiego Sawę Kononowicza i wielu innych spośród starszyzny i zagarnąwszy ich majątki, ruszył Pawluk w głąb Ukrainy. Powstanie zaczęło ogarniać coraz większe tereny, rozprzestrzeniając się głównie na Zadnieprzu. 12 sierpnia 1637 w Kryłowie Pawluk wydaje uniwersał do Kozaków i czerni, proklamując powstanie i tytułując się „hetmanem wojska zaporoskiego."

Z siedziby hetmanów koronnych, Baru, 3 września 1637 odpowiedział uniwersałem Stanisław Koniecpolski: „Wszem wobec Ich Mościom panom starostom, dzierżawcom, podstarościm, namiestnikom i urzędnikom Ukrainnym oznajmuję, mając wiadomość, że nie oglądając się na przysięgę, wiarę, cnotę i powinność swą Majestatowi Jego Królewskiej Mości winną, niektórzy łotrowie bunt w wojsku Jego Królewskiej Mości zaporoskim wszczęli i nad starszymi swymi sprośne popełniwszy zbrodnie, wiele swawoleństwa do siebie garną, które aby górę nie brało, napominam waszmościów imieniem JK Mości, abyście którzybykolwiek do tej swawolnej kupy przymięszali, a stamtąd nie pokajawszy się, w niedziel dwie nie wrócili się, onych za Kozaki nie poczytali i żadnych im nie dopuściwszy zażywać wolności, które Kozakom w regestrze będącym i powinności swej przestrzegającym należą, pilnie się o nich starali i do mnie odsyłali. Jeżelibyście też ich dostać nie mogli, abyście waszmościowie onych na żonach, dzieciach karali i domy ich wniwecz obrócili, gdyż lepsza jest rzecz, żeby pokrzywa na tem miejscu rosła, aniżeli żeby się zdrajcy Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej tam mnożyli. W Barze, 3 septembra 1637".

Czytając dziś groźne ostatnie słowa hetmańskiego uniwersału, mimo woli przed oczy ciśnie się widok ciemnozielonych prostokątów pokrzyw porastających ślady dawnych domostw w bieszczadzkich wioskach, które od lat nie są już wioskami...

Wprawdzie tytułującego się „hetmanem z wojskiem Jego Królewskiej Mości zaporoskim" Pawluka Koniecpolski nazywa „łotrem" winnym popełnienia „sprośnych zbrodni", ale nie przeszkadza mu to podjąć z owym „łotrem" rokowań. Koniecpolski chce zyskać na czasie. Obawia się wojny z Turcją. Kiedy jednak dojdzie do przekonania, że zagrożenie tureckie minęło, a rokowania i tak nie dają rezultatu, przystąpi do zbrojnego tłumienia powstania. Zgromadził więc wojsko, ale choroba kazała mu przekazać dowództwo hetmanowi polnemu Mikołajowi Potockiemu.

Do spotkania wojsk koronnych z powstańczymi doszło 16 grudnia 1637 pod Kumejkami, między Mosznami a Kaniowem. Wojska kozackie broniły się dzielnie, jednak nie dorównywały lepiej wyszkolonym i uzbrojonym wojskom koronnym. Po zaciętym, okupionym krwawo przez obie strony boju, zwycięstwo przechyliło się na stronę wojsk polskich, które w końcu przełamały opór otaborzonych Kozaków. Rozbici i zdziesiątkowani wycofali się Kozacy spod Kumejek, ścigani przez Potockiego, który 20 grudnia 1637 otoczył resztki powstańczej armii pod Borowicą. Pawluk próbował, porzuciwszy swe wojsko, uciekać na własną rękę. Okrzyknięty przez swoich zdrajcą i zrzucony z hetmaństwa, został wkrótce wydany Polakom i wraz ze swym zastępcą Tomilenką poniósł z ręki kata śmierć w Warszawie.

W wigilię 24 grudnia 1637 w Borowicy Kozacy podpisali akt kapitulacji: „...poprzysięgamy i na to wszystko i dla wiecznej i nieśmiertelnej pamiątki, tak pokarania nas za wszystkie występki nasze, aby na potomne czasy nie bywało takowych buntów, jako i miłosierdzia nad nami pokazanego, to pismo i obowiązek nasz krwawy pod pieczęcią wojskową i z podpisem pisarza wojskowego daliśmy, który to obowiązek nasz zawsze przy regestrach wojskowych ma być abyśmy byli pamiętni tego tak pokarania naszego jako miłosierdzia Jego Królewskiej Mości wszystkiej Rzeczypospolitej..."

Tekst kapitulacji, będący zarazem swoistą deklaracją wymuszonej lojalności i zobowiązaniem do przestrzegania prawa podpisał pisarz wojska zaporoskiego — Bohdan Chmielnicki. Ile taka deklaracja jest warta, przekonała się szlachecka Rzeczpospolita 10 lat później. Nie ma jasności co do tego, czy Jeremi Wiśniowiecki brał udział w bitwie pod Kumejkami i czy był pod Borowicą. Autor monografii o Wiśniowieckim, Władysław Tomkiewicz, jest zdania, że Jeremi nie brał udziału w tej kampanii, jako że był zajęty swoimi sprawami osobistymi (jak pamiętamy, w lutym 1638 poślubił kanclerzankę Zamoyską). Tymczasem Michał Kałuszowski, piszący biografię księcia w 1669, spisując wojny, w których Jeremi brał udział, wymienia wyraźnie: „trzecia wojna

pod Kumeykami, przeciw Pawlukowi, Hetmanowi Zaporoskiemu". Jeśli więc nawet Jeremi w kampanii przeciw Pawlukowi wziął udział, to i tak nieznane są żadne szczegóły tej jego wyprawy.

Mimo kapitulacji podpisanej w Borowicy, mimo rozgromienia głównych sił powstańczych, mimo śmierci Pawluka powstanie trwało jeszcze. W okolicach Łubniów przy samej stolicy zadnieprzańskiej wiśniowiecczyzny grasował jeszcze czas jakiś niejaki Kizymienko, ale wkrótce wataha jego została rozbita, on sam zakończył życie na palu w Kijowie. Na obszarze niedawno jeszcze objętym płomieniem powstania hetman rozlokował wojsko na zimowe leże. Rozlokowawszy wojsko, udał się do Warszawy na sejm, zlecając rotmistrzowi Mieleckiemu rozpędzić gromadzących się na nowo na Zaporożu Kozaków.

Uchwalenie przez sejm *Ordynacji wojska zaporoskiego regestrowego w służbie Rzeczypospolitej* — ustalającej rejestr na 6000 Kozaków, a wszystkich pozostających poza rejestrem traktującej jako „w chłopy obrócone pospólstwo" zbiegło się z niepowodzeniem misji pacyfikacyjnej Mieleckiego. Klęska ostatniego powstania i uchwała sejmu rodziła poczucie krzywdy i budziła chęć odwetu. Nieporadność oddziału pacyfikacyjnego Mieleckiego — choć spowodowana bardziej roztopami wiosennymi, zmieniającymi step w bajoro, niż nieudolnością rotmistrza — zachęcała do wystąpienia zbrojnego. Tym razem na czele Kozaków stanęli: Ostrzanin, Hunia i Skidan. Ten ostatni był towarzyszem Pawluka i po Kumejkach i Borowicy ledwie ucieczką gardło ocalił. Ostrzanin natomiast był weteranem z wojny smoleńskiej i pamiętamy go jako krnąbrnego komilitona Piasoczyńskiego i Wiśniowieckiego z okresu walk pod Putywlem. Dowódcy powstańczy zabiegali o pomoc nie tylko ludności ruskiej, ale także szukali jej za granicą u swych pobratymców znad Donu, a nawet w Krymie.

Wojska kozackie ruszyły w górę Dniepru, zajmując Czehryn i Krzemieńczuk. Opanowując przeprawy u ujścia Psiołu i Suły, Kozacy rozdzielili się. Część poszła w górę Psiołu, zajmując najpierw Hołtew, później Chorol. Druga poszła na północny zachód w kierunku Perejasławia, gdzie stali Kozacy rejestrowi. Prawdopodobnie powstańcy liczyli na to, że uda im się przeciągnąć ich na swoją stronę, a może był to tylko manewr mający na celu zmylenie polskiego dowództwa. Jakoż istotnie główne siły dowodzone przez Ostrzanina zajęły tymczasem obszar od Dniepru, pomiędzy Psiołem a Worskłą, aż po granicę moskiewską. Dowodzący wojskami kwarcianymi regimentarz Stanisław Potocki, brat stryjeczny hetmana polnego Mikołaja, zmylony manewrem kozackim próbował nie dopuścić Kozaków do Perejasławia, tymczasem Ostrzanin uczyniwszy swą stolicę w Hołtwi, otaborzył się tam i przygotował do obrony. Wojska Potockiego dotarły pod Hołtew na

początku maja, lecz pierwszy szturm skończył się niepowodzeniem. Wówczas regimentarz postanowił wywabić Kozaków w otwarte pole i wycofał się pod Łubnie. Ostrzanin istotnie opuścił swój obronny obóz, ruszył za cofającymi się wojskami koronnymi. Mając w polu zdecydowaną przewagę, Potocki uderzył silnie i rozbił siły kozackie, jednak nie udało mu się ich oskrzydlić i zniszczyć ostatecznie. Zręcznie manewrując, Ostrzanin wymknął się wojskom koronnym, pierzchając wraz z taborem na północ ku Łochwicy. Ścigający go silny podjazd polski natknął się na idące w sukurs Ostrzaninowi posiłki, ok. 2000 ludzi (z czego 500 stanowili Kozacy dońscy) dowodzonych przez Putywlca i Rzepkę. Dowodzący podjazdem rotmistrz Giżycki natrafiwszy nie na rozproszone, dopiero co pobite oddziały, ale na silny oddział idący dopiero do walki, wycofał się pod Łubnie. Putywlec sądząc, że to główne siły koronne przed nim uchodzą, rozpoczął za nimi pościg, nadziewając się na Potockiego, który otoczył go w miejscu do obrony bardzo niewygodnym, a nadto pozbawionym wody. W tej sytuacji Kozacy po dniu walki rozpoczęli układy. Regimentarz postawił ostre warunki (m.in. zażądał wydania przywódców) i mimo spełnienia warunków kapitulacji strona polska nie dotrzymała układów — poddających się Kozaków wycięto niemal do nogi. Nie zawsze „rycerstwo spod kresowych stanic" było takie, jak w harcerskiej piosence czy gawędzie. Ów dzień 10 maja 1638 zapisał się w dziejach polskiego oręża — mimo odniesionego zwycięstwa — jak najgorzej.

Kiedy wojsko koronne, które w walkach z Putywlcem też poniosło spore straty — odpoczywa kilka dni, lecząc rany, Ostrzanin ma czas, aby umocnić się na pograniczu moskiewskim, ale za to zupełnie odcięty od reszty Ukrainy.

Regimentarz też nie uderzał, tylko czekał na posiłki, silnymi podjazdami oczyszczał tymczasem teren między Łubniami a Dnieprem, opanowywał przeprawy, rozbijał pomniejsze watahy.

W tym czasie Jeremi, po zaręczynach z Gryzeldą Zamoyską w lutym 1638, udał się na sejm (marzec—kwiecień). Teraz, na wieść o tym, że walki z Kozakami toczą się akurat na jego Zadnieprzu, zebrał wojsko, częściowo wziąwszy je na własny żołd, część wojsk prywatnych pożyczył od krewniaków i w połowie maja ruszył na pomoc regimentarzowi. Dywizja Jeremiego składała się z 4000 ludzi, w większości jazdy, ale obok niej prowadził kniaź 1000 piechoty i artylerię. Te ostatnie rodzaje wojsk, jako najzdatniejsze do przełamywania taborów lub broniących się zza okopu Kozaków, były szczególnie cennym uzupełnieniem sił koronnych.

Dnia 5 czerwca 1638 stanął Jeremi w obozie Potockiego. Przybycia tak znacznych świeżych sił dodało rycerstwu koronnemu otuchy i wiary

w ostateczne zwycięstwo. Ogólny nastrój witających kniazia i jego dywizję najlepiej odmalowuje współczesny kronikarz, porównując przybywającego Jeremiego do „anioła z nieba posłanego". Owemu aniołowi śpieszno było mieczem ognistym porazić swego niegdysiejszego towarzysza broni, dziś Rzeczypospolitej i całego stanu szlacheckiego nieprzyjaciela.

Ostrzanin tymczasem, uzupełniwszy swe siły zbiegłymi chłopami, ruszył znad górnej Suły, opanował gródek Mirhorod, w którym znajdowały się znaczne składy prochu. Ruszył teraz ku Sule, opanował Łukoml, pomaszerował dalej na zachód, by przeciąć Wiśniowieckiemu drogę do obozu regimentarskiego. Część sił swoich pod dowództwem Siekierawego pchnął wprost na obóz Potockiego, z zadaniem zatrzymania na sobie sił regimentarskich na czas, kiedy on rozprawiał się będzie z Wiśniowieckim. Szybkością swego marszu Jeremi udaremnił plan Ostrzanina: zostawił pod Łubniami tabor z piechotą i częścią artylerii, sam komunikiem ruszył na Śleporod. Uderzenie Siekierawego trafiło w próżnię. Oddalił się od głównych sił powstańczych, dotarł pod Łubnie, nadział się na tabor Wiśniowieckiego, którego zdobyć szturmem nie miał czasu, zawrócił na pomoc Ostrzaninowi, który tymczasem stanął osłabiony naprzeciw połączonych sił koronnych. Widząc przewagę tych sił, Ostrzanin nie przyjął bitwy, porzucił tabory, a sam pośpiesznie, pod osłoną nocy wycofał się na Łukoml. Siekierawy przybył na Śleporod, kiedy tam nie było już Ostrzanina. Tak półtora tysiąca ludzi Siekierawego stanęło w obliczu kilkakroć liczniejszych wojsk koronnych (w nocy z 10/11 czerwca 1638).

Dla lepszego rozeznania sytuacji sam wódz kozacki oddalił się od obozu, wlazł na rozłożysty dąb, by stamtąd dokonać osobiście rozpoznania sił polskich. Miał jednak pecha, bo rejestrowi Kozacy, będący w składzie wojsk koronnych, spostrzegli go i wzięli do niewoli. Pozbawieni wodza Kozacy wycofali się w błota nadrzeczne i tam obwarowali się. Szturmowali ich tam jeszcze tej nocy Kozacy rejestrowi, a następnie dragoni, ale bez większego powodzenia. Jedynym sposobem likwidacji tej grupy musiało być długotrwałe oblężenie. Postanowiono więc pozostawić w błotach niedobitki Siekierawego i co prędzej ruszyć w pościg za Ostrzaninem.

Dzień 11 czerwca, kiedy na próżno próbowano szturmować broniących się na bagnach Kozaków Siekierawego, Ostrzanin dobrze wykorzystał, wycofując się w porządku pod Łukoml. W ślad za cofającym się wodzem kozackim regimentarz wysłał silny podjazd, któremu nawet udało się dojść do tylnych straży kozackich, ale został odparty i musiał wycofać się. Nadejście głównych sił polskich spowodowało prze-

prawienie się Kozaków za rzekę i próbę spalenia za sobą mostu, do czego jednak dragoni polscy nie dopuścili.

Ostrzanin próbował teraz uciekać na południe, w stronę Dniepru, skąd spodziewał się nadejścia posiłków Skidana. W razie zaś niepowodzenia mógłby — jak sądził — uciekać Dnieprem w dół.

Siły koronne ścigały Kozaków wzdłuż Suły. Już 13 czerwca, nad ranem, Wiśniowiecki dopadł Ostrzanina niedaleko Żołnina, blisko ujścia Suły do Dniepru. Nie czekając, aż przybędą główne siły regimentarskie, Jeremi uderzył na Kozaków, nie dopuszczając do ich otaborzenia się. Wnet nadszedł Potocki i część polskiego taboru. Puszczono go środkiem, jazdę rozdzieliwszy po obu stronach tej ruchomej fortecy. Prawe skrzydło jazdy prowadził Jeremi, lewe regimentarz. Jeremi brawurowym atakiem zmiótł lewe skrzydło wojsk kozackich, rozbił ich tabor, wszczynając popłoch w ich szeregach. Niestety, lewe skrzydło pod Potockim nacierało niemrawo, nie spisał się też polski tabor. Przełamawszy tabor kozacki, który zamykał nasadę obszernego półwyspu, znalazł się Jeremi na tym półwyspie jakby w matni, oddzielony od reszty sił polskich. Siły te taboru ostatecznie nie rozbiły, pozwoliły też ochłonąć Kozakom z pierwszego wrażenia i odciąć Wiśniowieckiego.

Położenie kniazia stało się straszne. Znajdował się tylko z jazdą na półwyspie przez zakole Suły uczynionym, odgrodzonym zrekonstruowanym już taborem kozackim od reszty sił. Nie mając przy sobie piechoty ani artylerii, musiał jazdą atakować tabor. Dwie szaleńcze szarże nie udały się. Książę sam prowadził swą jazdę, dwakroć szarże załamywały się pod ogniem taboru. Ubito pod nim konia. Niepowodzenia nie osłabiły ducha dzielnego kniazia. Po raz trzeci poderwał swą jazdę do ataku. Tym razem, nacierając z wściekłością i determinacją, udało się raz jeszcze przełamać kordon spiętych łańcuchami, ziejących ogniem wozów i dostać się do swoich. Był już wieczór dnia 13 czerwca.

Tymczasem nocą Kozacy obwarowali się silnie, sypiąc wysoki wał zamykający zakole rzeki. W miejsce zbiegłego w piewszej fazie bitwy Ostrzanina obrali sobie na wodza Dymitra Tymofiejewicza Hunię.

Świtem 14 czerwca niezmordowany Jeremi prowadzi do ataku piechotę. Artyleria koronna rozpoczyna ostrzeliwanie obozu kozackiego. Po kilku godzinach walki Kozacy dają znać, że chcą rozpocząć układy: Był to z ich strony podstęp, bowiem spodziewając się przybycia posiłków — które przyprowadzić miał Skidan — chcieli zyskać na czasie. Toteż propozycje kozackie były dość bezczelne. Zaproponowali — jakby to nie oni, a siły koronne były osaczone — wydania starszyzny Kozaków rejestrowych, oddania zdobytych pod Kumejkami dział, zatwierdze-

nia Huni jako starszego. Mało tego, miały to być dopiero warunki wstępne, po spełnieniu których można by przystąpić dopiero do dalszych, zasadniczych rokowań.

Dyktowanie, bądź co bądź zwycięskiej jak dotąd stronie, dość mocno przyduszającej oblężonych Kozaków, warunków, które tylko z warunkami kapitulacji mogły być porównane, świadczy dobitnie o tym, że nie chodziło tu o rzetelne pertraktacje, ale jedynie o zyskanie na czasie. Dlatego też strona polska rokowania zerwała. Zaczęto więc znów ostrzeliwać szaniec kozacki, a część sił — w tym wszystkich Kozaków rejestrowych — skierowano przeciw Skidanowi. Ekspedycja ta doszła go nad Dnieprem, rozproszyła mu siły i poniszczyła czółna. Mimo porażki udało się jednak Skidanowi część sił zgromadzić na nowo i doprowadzić do obozu Huni.

16 czerwca znów szturmowano obóz kozacki. Straty były znaczne po obu stronach. Do niewoli polskiej dostał się sam Skidan, jednak nie udało się rozerwać taboru i zdobyć obozu kozackiego.

Broniącym się Kozakom śpieszyły z całej Ukrainy na pomoc drobne oddziały, przeciw którym wojska koronne rozsyłały podjazdy. Mimo to poszczególnym watahom udawało się przedostać do obozu Huni. Dobrze umocnione, w świetnie nadającym się do obrony miejscu siły kozackie były wciąż zasilane nowym ludem. Siły koronne przeciwnie — mocno w ostatnich walkach stopniały. Dawał się odczuwać brak piechoty, szczególnie zdatnej do zdobywania szańca. Kurczyły się też raptownie zapasy amunicji artylerii koronnej. Nastąpił więc pewien impas, który mógł być przełamany tylko nadejściem nowych posiłków. Jakoż istotnie, nadeszła wiadomość, że zbliża się już hetman polny Potocki, prowadzący znaczne posiłki. Wiadomość o tym dotrzeć musiała i do Huni, który postanowił opuścić obóz i przenieść go bliżej Dniepru.

Dużym wyczynem kozackim było zbudowanie w nocy pod ogniem koronnym mostu na Sule i przeprawienie przezeń wojska. Operacja ta, nader trudna, udała się Huni, który odskoczywszy na 3 mile od wojsk polskich, umocnił się na uroczysku Starec, u ujścia Suły do Dniepru. Uroczysko to z natury samej obronne, było też już z dawna ufortyfikowane, toteż Hunia umocnił tam tylko dawne wały, a mając dość wody i paszy dla koni, miał nadzieję wytrzymać długie nawet oblężenie.

W połowie czerwca, a więc wówczas kiedy Wiśniowiecki wraz z regimentarzem szturmowali bezskutecznie okop kozacki, hetman Mikołaj Potocki ściągnąwszy kilkanaście chorągwi jazdy i artylerię, ruszył z Chwastowa, gdzie naznaczył sobie punkt zborny. Do Kijowa dotarł, gdy bitwa żołnińska trwała w najlepsze. Tam zapewne otrzymał wiadomość o sytuacji wojsk brata-regimentarza i Jeremiego Wiśniowieckie-

go. Widząc, że pośpiech jest tu konieczny, hetman zostawił artylerię, a sam tylko z jazdą ruszył nad Sułę. Gdy forpoczty hetmańskie docierały po południu 22 czerwca w pobliże Starca, do obozu Huni wkraczały właśnie ostatnie oddziały kozackie. Wprawdzie hetman od razu uderzył, jednak udało mu się jedynie rozbić i rozproszyć tych, którzy nie zdążyli skryć się w obozie. Gdyby hetman przyszedł o dzień wcześniej, Kozacy wzięci by byli w otwartym polu między starym a nowym obozem w dwa ognie.

W kilkanaście godzin później przybyli Wiśniowiecki i Stanisław Potocki. Obóz kozacki otoczono i rozpoczęto nękanie oblężonych, jednakże nie decydując się na szturm, jako że wśród oblegających przeważała jazda i bez piechoty hetmańskiej i artylerii niepodobna było zdobyć warownego obozu. A te, pozostawione przez hetmana w Kijowie, dopiero z wolna ciągnęły na miejsce walki. Na ich przybycie trzeba było czekać ponad tydzień. Wraz z artylerią i tysiącem piechurów przybyło jeszcze kilkanaście chorągwi jazdy. Równocześnie z przygotowywaniem szturmu spróbowano też rokowań.

Obie strony stawiały jednak warunki nie do przyjęcia. Gdy bezowocność dalszych rokowań w tym stanie stała się oczywista, przystąpiono do szturmu.

Najpierw na szaniec kozacki ziała ogniem artyleria koronna, następnie ruszył atak. Szturmujących wiódł osobiście hetman Potocki. Wprawdzie hetman zwykle przedkładał Bachusa nad Marsa, tym razem jednak stawał bardzo dzielnie, prowadząc atakujących pod sam szaniec, czego o mało życiem nie przypłacił, gdyż konia pod nim ubito. Szturm trwał aż do nocy, jednak nie udało się przełamać obrony kozackiej. Determinacja Kozaków budziła podziw szturmujących. Nazajutrz, 11 lipca, uprzedzając szturm, Kozacy zaproponowali podjęcie rokowań pokojowych, lecz znów ich propozycje były zupełnie nie do przyjęcia dla strony polskiej, która uważała, że ma Kozaków w garści.

Oblegający zmienili jednak taktykę. Nie chcąc dopuścić do dalszych krwawych strat, które przynieść musiałby kolejny szturm, rozpoczęto regularne oblężenie licząc, że odciętym od reszty Ukrainy Kozakom zabraknie w końcu żywności i amunicji. Ograniczono się tylko do nękania oblężonych ogniem artylerii i wysyłania silnych oddziałów pacyfikacyjnych po najbliższej okolicy.

Przedłużające się oblężenie i faktyczna bezczynność jazdy, brak sukcesów militarnych powodowały rozprzężenie dyscypliny w obozie polskim. Część wojsk prywatnych opuściła obóz. Oblężeni też nie zachowywali się biernie. Jedna z urządzonych przez nich „wycieczek" w nocy z 22/23 lipca omal nie zakończyła się dla wojsk koronnych tragicznie. Udając Kozaków rejestrowych, kilkudziesięciu obrońców po-

deszło pod same baterie, wycięło artylerzystów i omal nie wysadziło zapasów amunicji, zanim nie zostali wyparci i pobici.

Otrzymawszy wiadomość, że ataman Filonienko zgromadził znaczne posiłki i ciągnie z nimi prawym brzegiem Dniepru z odsieczą, Hunia znów rozpoczął rozmowy pokojowe, obliczone wyraźnie na zyskanie na czasie. Potocki rozmowy podjął, ale jednocześnie część sił skierował naprzeciw Filonience, częścią zaś przystąpił do szturmu obozu.

Rozpoczęty 4 sierpnia atak trwał całą dobę. W tym czasie Samuel Łaszcz, wysłany przez Potockiego z częścią nieprzydatnej w szturmie jazdy, zagrodził drogę Filonience. Udało się Łaszczowi siły Filonienki rozproszyć, nie udało mu się ich zniszczyć. Dla Huni pomoc Filonienki była jedynym ratunkiem, toteż próbuje kontratakować ze swego obozu, tak aby odciążyć przebijającego się w jego kierunku Filonienkę. Między Dnieprem a okopem kozackim rozegrał się bój na śmierć i życie. Rzucił tam hetman całą jazdę — w obozie polskim pozostawiając tylko piechotę i artylerię. W wąskim przesmyku, pod ogniem kozackiego okopu część jazdy polskiej zaszła Filonienkę od tyłu, od czoła atak prowadził Potocki i Wiśniowiecki.

Obydwaj wodzowie dawali wojskom przykład męstwa i poświęcenia. Świadek tej walki, Szymon Okolski w *Djariuszu* swym zapisał z podziwem: „dokazywał tam książę Jeremi Wiśniowiecki męstwa swojego". Walka na śmierć i życie trwała całą noc, aż do świtu. Filonienko przedarł się wprawdzie do oblężonego obozu, ale jedynie z kilkuset ludźmi. Zostawił na pobojowisku nie tylko setki poległych, ale — co dla oblężonych najgorsze — cały zapas amunicji i żywności. Ta bitwa przesądziła więc o losie oblężonych. Nie czekając finału, Hunia nocą uciekł z obozu, przekradając się ku granicy moskiewskiej, za którą znalazł wkrótce schronienie. Poszedł więc starym szlakiem, utartym przez swojego poprzednika, Ostrzanina. Obydwaj wodzowie kozaccy, z których każdy opuścił swe wojsko w najtrudniejszej chwili, otrzymali nadania w Moskwie, ale wkrótce poginęli wśród osobistych porachunków w dość niejasnych okolicznościach.

Opuszczeni przez swego wodza, zmęczeni półtoramiesięcznym oblężeniem, głodni, pozbawieni widoków na jakąkolwiek odsiecz, 7 sierpnia kozacy wysłali parlamentariuszy. Zgodzili się na kapitulację, którą dziś nazwano by bezwarunkową: zgodzili się przyjąć wszelkie warunki, jakie podyktuje im hetman. Powstanie zostało zlikwidowane. Żołnierze wykonali swój obowiązek. Przyszedł czas dla mężów stanu i polityków. Czas, w którym można było podjąć jakąś próbę rozwiązania problemu Kozaczyzny. Takich prób nie podjęto. Nie usunięto ani jednej przyczyny prowadzącej do ciągłych powstań i buntów kozackich. Sądzono, że skoro stłumiono powstanie i na Ukrainie siłą zaprowadzono spokój,

to problem jest tym samym rozwiązany. Upojona triumfem siły Polska przegapiła ostatni moment na zawarcie czegoś w rodzaju ugody hadzickiej, która w 20 lat później, niestety, nie miała już szans powodzenia.

Tymczasem Kozakami miała się zająć komisja w Masłowym Stawie. Wyznaczono im komisarza (Piotra Komorowskiego) i pułkowników spośród szlachty. Grunta rozdzielono pomiędzy kresowych magnatów. Kozakom zabroniono nawet polowania i rybołówstwa. Wzmogło to tylko napięcie — a miało rozładować. Do starych, nie załatwionych problemów doszły nowe. Świeżo spacyfikowana Ukraina, pozornie spokojna, stała się wielką, gigantyczną beczką prochu. Gdy po 10 latach beczka ta eksploduje, mocno zarysują się mury potężnego jeszcze tak niedawno gmachu Rzeczypospolitej.

VII. DZIAŁALNOŚĆ PUBLICZNA

Jak wiemy, bezpośrednio po powrocie z zagranicy rozpoczyna Jeremi przejmowanie majątku od opiekuna i na tym czasochłonnym zajęciu zastaje go wojna moskiewska. Sukcesy odnoszone przez młodziutkiego Jaremę na południowym teatrze wojny zjednują mu sympatię dworu. Jest w tym czasie zaliczany w poczet dworzan królewskich. Jak widać, kariera kniazia przebiega w sposób typowy i prawidłowy. Służba u boku króla to początek kariery politycznej. Król ma słabość do młodego, świeżo przez jezuitów wyedukowanego, wygładzonego za granicą paniątka, które w wojnie wykazało swą dzielność, a nawet dzikość odziedziczoną po przodkach. Ale jeszcze większą słabość ma król... do siostry Jeremiego, pięknej, kruczowłosej Anny. Właśnie dojrzewa sprawa małżeństwa króla. Władysław IV przedstawia senatowi propozycję zawarcia małżeństwa z palatynówną reńską, Elżbietą. Palatynówna jest ponoć piękna, ale co ważniejsze, swata ją dwór angielski. Król zaś spodziewa się poparcia Anglii w walce o tron szwedzki. Ale palatynówna jest protestantką. Tego argumentu chwytają się senatorowie. Jak tu dysydentkę posadzić na tronie polskim? Nie, to stanowczo nie wypada. Biskupi są tu zgodni, zgodna jest też większość senatorów świeckich. Należy przypuszczać, że nie tylko o sprawy religijne tu chodziło, choć te w dobie kontrreformacji miały znaczenie istotne. Senatorowie być może obawiali się, że obiecana protekcja angielska i uzyskanie tronu szwedzkiego wzmocni pozycję króla w Polsce. A *absolutum dominium* (władzy absolutnej) bali się senatorowie — tak duchowni jak i świeccy — gorzej niż samego diabła. Dlatego też szlachta wolała zwykle, by król zawdzięczał wszystko stanom Rzeczypospolitej, a nie obcym dworom. Ale polskim zwyczajem sprawa nie padła od razu, tylko rozwleczono ją w czasie. Odłożono ją tedy do następnego zjazdu senatorów, wysyłając w tym czasie poselstwo do Londynu, celem delikatnego wypytania czy palatynówna nie byłaby skłonna przyjąć obrządku katolickiego. Swego czasu Hen-

ryk z Nawarry orzekł, że „Paryż wart mszy", przyjął katolicyzm i został królem Francji. Palatynówna nie chciała go jednak naśladować, uznała zapewne, że Paryż może i mszy wart, ale nie Warszawa. Uparła się przeto w sprośnych heretyckich błędach wytrwać" — wobec czego senat odrzucił jej kandydaturę na małżonkę dla Władysława IV.

Wówczas król zaskoczył senatorów nową propozycją: ożeni się z Polką. Wprawdzie nazwisko wybranki nie zostało ujawnione, dla wszystkich było wszak jasne, że chodzi tu o Annę Wiśniowiecką. Pomysłem tym zabił Władysław IV senatorom poważnego klina. Z jednej strony małżeństwo takie zgodne byłoby z ogólnym, demokratycznym duchem Rzeczypospolitej; z drugiej jednak strony, wyrządzając jednemu domowi magnackiemu honor spokrewnienia z tronem, pozostałym wyrządziłby tym samym afront. Pozorów demokracji strzeżono bardzo gorliwie, wręcz chorobliwie. Taki spokrewniony z tronem ród magnacki mógłby się uważać za lepszy od innych. Nie, do tego absolutnie nie można dopuścić. Za pomysłem królewskim optowali bardzo aktywnie m.in. Firlej, Jan Koniecpolski i Tyszkiewicz. Zarzucono im jednak prywatę, jako że Firlej i Koniecpolski żonaci byli z ciotkami Anny, zaś Tyszkiewicz był teściem Janusza Wiśniowieckiego i w razie zawarcia tego małżeństwa staliby się powinowatymi króla. Tak więc i ten projekt małżeństwa Władysława IV upadł.

Niektórzy historycy mają wątpliwości, czy Władysław IV rzeczywiście chciał się żenić z Anną, czy chciał tylko zaszachować w ten sposób senatorów, aby wyrazili zgodę na małżeństwo z palatynówną. Wątpię w to. Zresztą sam bieg wydarzeń pokazał dowodnie, że senat potrafił nie zaakceptować dwóch kandydatur na królową pod rząd i nie było wcale mowy o jakimś alternatywnym związku pomiędzy kandydatkami.

Anna, dziedzicząca po matce wołoską urodę, rzeczywiście była piękna i nie brak było dowodów na to, że podobała się królowi. Można więc przypuszczać, że tę kandydaturę podsunęło Władysławowi serce, nie polityczny rozum.

Wkrótce Władysław ożenił się z Cecylią Renatą, piękna Anna Wiśniowiecka poszła za mąż za Zbigniewa Firleja, tylko starostę lubelskiego.

Gdyby małżeństwo króla z księżniczką Anną doszło do skutku, Jeremi zrobiłby prawdopodobnie zawrotną karierę dworską, a następnie polityczną. Niestety, nie został szwagrem królewskim. Od tego czasu datuje się wyraźne ochłodzenie stosunków księcia z dworem. Nie wiadomo, czy ambitny kniaź czuł się urażony stanowiskiem senatorów, czy też miał pretensje do Władysława IV, że nie był w swych planach małżeńskich tak stanowczy, jak kiedyś Zygmunt August; dość

że opuścił dwór i udał się do swoich posiadłości na wschodnich kresach Rzeczypospolitej, pojawiając się w Warszawie już tylko sporadycznie, głównie w czasie sejmów. Po raz pierwszy posłuje z województwa ruskiego na sejm jesienny w 1635. Ma wówczas 23 lata. Działalność poselska Jeremiego nie jest efektowna i nie stanowi szczebla w jego karierze politycznej. W sejmie błyszczą przede wszystkim wielcy mówcy. Książę do nich nie należy. Sam powie o sobie przy innej okazji, że „jest stworzony do wojny, nie do perory". Pod tym względem podobny był do wielkiego hetmana Stanisława Koniecpolskiego, który był fatalnym mówcą, zacinał się, i z tej racji mówiono o nim, że „hetman wprzód uderzy, nim wymówi".

Przy okazji posłowania wdał się natomiast książę w spór, który przesądzić miał negatywnie o jego karierze politycznej. Był to konflikt dotyczący tytułów książęcych. Cały spór, prowadzony z zaangażowaniem godnym naprawdę lepszej sprawy, spowodował Jerzy Ossoliński. Wysłany w 1633 do Rzymu z delikatną misją wyjednania u papieża Urbana VII zakazu nabywania w Polsce przez duchownych dóbr ziemskich, zakazu nie wyjednał, załatwił sobie natomiast tytuł książęcy, nadany mu przez papieża i cesarza Ferdynanda II. Taki obrót sprawy wywołał oburzenie w kraju. Ossolińskiego zaczęto — słusznie czy niesłusznie — oskarżać o prywatę. Przez przyjęcie tytułu książęcego chciał się wywyższyć ponad brać szlachecką! Zadał cios równości szlacheckiej! Pogwałcił odwieczne prawa Rzeczypospolitej! W Polsce bowiem szlachta formalnie była sobie równa (stare przysłowie: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie" wyrażało jedną z podstawowych zasad ustrojowych). Oczywiście, że równość ta była tylko formalna, bo faktycznie przysłowiowy szlachcic na zagrodzie nie tylko fortuną, ale i znaczeniem nie mógł się równać z wojewodą. I choć ten ostatni często — zwłaszcza gdy potrzebował na sejmiku jego kreski — tytułował go „panem bratem", to na co dzień dawał temu „panu bratu" rękę do ucałowania. Jednak faktem jest, że w Polsce, inaczej niż na zachodzie Europy, nie było stopni szlachectwa i praktycznie, wprawdzie rzadko i z wielkim trudem, ale ubogi szlachcic mógł awansować na magnata i zrobić karierę polityczną, czego przykładem może być kariera Stefana Czarnieckiego, a w pewnym sensie także Stanisława Koniecpolskiego. Na punkcie swej równości szlachta była więc ogromnie wrażliwa i stąd tak wielkie oburzenie na tytuł książęcy Ossolińskiego i na niego samego. Ten niewiele sobie z tego robił i tytułu książęcego używał.

Miara przebrała się dopiero w kilka lat później. Król występuje z projektem utworzenia wielkiego orderowego zakonu „Kawalerii Orderu Niepokalanego Poczęcia". Jeśli nawet sam pomysł stworzenia

„Kawalerii" nie wyszedł od Ossolińskiego, to w każdym bądź razie był on autorem projektu statutu, który przewidywał, iż będzie 72 „kawalerów krajowych" i 24 „kawalerów zagranicznych". Król polski miał być ich mistrzem. Montowano w ten sposób silne stronnictwo dworskie i o to głównie chodziło. Jako cele statutowe podano jednak wzniośle „obronę czci Boga, Najświętszej Marii Panny i Kościoła Rzymskiego", a dopiero dalej „obronę królestwa, jego całości, zacności i pożytków". Kawalerowie mieli też strój orderowy, opracowany szczegółowo ceremoniał, nawet hymn. Akcentowanie kultu Najświętszej Marii Panny (już w samej nazwie), wprowadzenie „obrony Kościoła Rzymskiego" jako jednego — z fikcyjnych chociażby — celów, nie najlepiej świadczy o zręczności politycznej projektodawców. Wprawdzie ogół szlachty był katolicki, ale przecież znaczna część społeczeństwa do Kościoła Rzymskiego nie należała, ba, wśród najpoważniejszych dygnitarzy państwowych nie brakło kalwinów czy dyzunitów, których statut „Kawalerii" stawiałby na marginesie, a którzy byli dość potężni, aby do tego nie dopuścić.

Zgodnie z przewidywaniami, przeciw projektowi wystąpił kalwin, hetman wielki litewski a zarazem wojewoda wileński Krzysztof Radziwiłł, ogłaszając osiemnaście *Rationes przeciwko Kawalerii*. Ostrzegał w nich, że jej powstanie spowoduje rozłam w państwie, „stanie fakcja przeciw fakcji, familia przeciw familii, bo przeciwnicy łączyć się będą w równą kawalerom potęgę".

Radziwiłłowi zawtórował nieoczekiwanie Stanisław Lubomirski — ówczesny wojewoda ruski (późniejszy krakowski). Lubomirski podniósł, że utworzenie „Kawalerii" godzi w równość szlachty. Wywody Lubomirskiego mocno trafiły do przekonania szlachcie, która gotowa była bronić Kościoła Rzymskiego (choć ten naprawdę w Polsce nie wymagał obrony) i czci Najświętszej Marii Panny, ale bardziej bała się naruszenia zasady równości. Toteż łatwiej przyszło ją przekonać Lubomirskiemu niż Ossolińskiemu.

Na sejmie wiosennym 1638 zawrzało. Izba poselska żądała ujawnienia tajnych protokołów z rad senatu. Król był poza zasięgiem, zresztą szybko wycofał się z całej sprawy, podpisując skrypt znoszący „Kawalerię" i zawierający przyrzeczenie, że bez pozwolenia stanów nigdy w przyszłości orderów tworzyć nie będzie, cały więc gniew skierowano przeciw podkanclerzemu Ossolińskiemu, którego uważano za głównego winowajcę. Wnet przypomniano mu tytuł książęcy. Sprytny podkanclerzy starał się osobiście w batalię nie wdawać, chowając się za plecy Radziwiłłów, w których wmówił, że sprawa i ich dotyczy, bowiem również oni tytuł książęcy uzyskali od cesarza, choć dawno, bo w 1547. Doszło do ogólnej kłótni, aż król musiał uspokoić zwaś-

nionych, grożąc usunięciem z Izby. Widząc sprawę swoją przegraną, Ossoliński zrzekł się tytułu książęcego (wiedząc, że inaczej tytułu pozbawi go sejm), ale zażądał, aby skasowano wszystkie inne tytuły książęce, w tym także stare, potwierdzone przez unię lubelską tytuły litewsko-ruskie.

Części szlachty (zwłaszcza małopolskiej i mazowieckiej, bo w Małopolsce i na Mazowszu nie było książąt) projekt Ossolińskiego spodobał się. Oliwy do ognia dolał wojewoda poznański Krzysztof Opaliński, który w swej mowie, ocenionej przez Albrychta Radziwiłła jako „nad swój wiek bezczelnej" — szydził z „marności tytułów książęcych". Broniący dotąd Ossolińskiego Radziwiłłowie, którzy tytuł mieli od cesarza, ale otrzymali go jeszcze przed unią, przyłączyli się na chwilę do „starych" książąt litewsko-ruskich.

Po długich kłótniach, w których brał udział Jeremi, przetykanych górnolotnymi wywodami, uchwalono zniesienie wszystkich tytułów cudzoziemskich, z tym jednak, że przyszły sejm zajmie się korekturą tej ustawy. Hardy i ufny w swą potęgę kniaź musiał bardzo ostro zaatakować podkanclerzego, który od tego czasu szczerze i prawdziwie go znienawidził.

Dopiero teraz rozgorzała walka stronnictw. Ossoliński i jego poplecznicy chcieli doprowadzić do tego, by nowy sejm albo zniósł dopiero co uchwaloną konstytucję, albo zniósł wszystkie tytuły, łącznie ze „starożytnymi" (czyli tymi sprzed unii).

Na czele drugiego stronnictwa, stronnictwa „książąt starożytnych" stanął młody Jeremi. Fakt, że „książęta starożytni" na rzecznika swych interesów kreowali 26-letniego kniazia, jest dość zastanawiający i znamienny. Zgoda, że bogactwem i znaczeniem książęta Wiśniowieccy górowali nad takimi Koreckimi czy Czetwertyńskimi (ustępując jednak Zasławskim). Ale nawet wśród Wiśniowieckich Jeremi nie był jeszcze wcale osobą najwybitniejszą. Żył wszak wówczas jego dawniejszy opiekun, książę Konstanty, człowiek bardzo bogaty, o rycerskiej przeszłości i bądź co bądź senator Rzeczypospolitej. Jeremi natomiast nie piastował wówczas żadnego urzędu, nawet powiatowego. Poważniejsi urzędem byli więc nawet rówieśnicy Jeremiego, synowie Konstantego: Jerzy, starosta kamionacki, czy Aleksander — starosta czerkaski. A jednak Jeremi stanął na czele stronnictwa. Czy zadecydowała o tym jego postawa na sejmie wiosennym? Czy znane cechy jego charakteru, jego energia granicząca z awanturniczością, zdecydowanie i bezkompromisowość w działaniu; odwaga cywilna granicząca z bezczelnością. Zapewne wszystko po trosze.

Jeremi wziął się energicznie do dzieła. Agitował jak mógł. Zaczynają pojawiać się druki sławiące starożytne rody i broniące ich

prawa do tytułów książęcych. Większość z nich dedykowana jest Jeremiemu i można zasadnie przypuszczać, że powstały z jego inicjatywy i za jego pieniądze. Przed sejmem rozsyła Wiśniowiecki agitujące uniwersały do powiatowych zjazdów szlachty. Uniwersały te, pełne makaronizmów — jak wszystkie pisma Jeremiego — zawierały nieco mętne wywody, jak to atakując stare tytuły... godzi się w równość szlachecką. W równość tę godzą również, jakże szkodliwe dla Rzeczypospolitej *„novos titulos"*. Trudno uwierzyć, by te wywody wątpliwą siłą swej argumentacji przekonały szlachtę, dość że zrozumiała z nich, iż Jeremi przy dawnej równości (?) obstaje, a Ossoliński szykuje na tę równość zamach.

Jeremi wśród szlachty był popularny, Ossoliński nie. Nadto podkanclerzego zawsze podejrzewano, że do spółki z dworem szykuje jakiś zamach na wolności szlacheckie. Toteż panowie bracia bardziej instynktem niż rozumem się kierując, tłumnie opowiadali się za Wiśniowieckim. Sejmik łucki uchwalił dla swych posłów instrukcję, aby kategorycznie żądali zachowania starych tytułów książęcych i bez załatwienia tej sprawy nie dopuszczali do debat na inne tematy.

Sejm rozpoczął obrady 5 października 1639, ale dopiero po miesiącu, 6 listopada, kiedy właśnie ksiądz prymas Jan Lipski podejmował przedniejszych senatorów obiadem, trwającym prawie 6 godzin — do Warszawy z wielką pompą i licznymi orszakami wjechali dwaj „książęta starożytni": Jeremi Wiśniowiecki i Zasławski-Ostrogski. Demonstracyjny, okazały wyjazd do Warszawy był zapewne zręcznie obmyślonym chwytem propagandowym i miał być argumentem w dyskusji o tytułach.

15 listopada król wezwał do siebie litewskich senatorów i znaczniejszych urzędników, naradzając się z nimi, co robić w sprawie tytułów. Uzgodniono, że następnego dnia rankiem zejdą się znaczniejsi Litwini i Koroniarze, by uzgodnić poglądy na kwestię tytułów książęcych, która miała stanąć nazajutrz — 16 listopada — w ostatni dzień sejmu.

W ten ostatni dzień doszło, jednak do kolejnej awantury. Ossoliński — jakby uparł się stracić resztki sympatii szlachty — zagroził występującemu przeciw niemu podkomorzemu drohickiemu Stanisławowi Baranowskiemu, że po zakończeniu sejmu poczęstuje go kijem. Wedle innej wersji podkanclerzy miał powiedzieć Baranowskiemu: „pamiętaj baranie, że jeszcze się dobiorę do twojego kożucha". W izbie poselskiej zawrzało. Jak twierdzi Albrycht Radziwiłł — gdyby wówczas Ossoliński pojawił się w izbie, rozniesiono by go na szablach. Posła nikomu nie wolno było obrażać. Nawet królowi. Nawet tak potężnemu królowi jak Stefan Batory. Gdy temu wielkiemu monarsze

zdarzyło się kiedyś krzyknąć w sejmie na szlachcica: „milcz błaźnie", nazwany błaznem nie tylko nie zamilkł, ale godnie i hardo odpowiedział: „Nie jestem błaznem, lecz obywatelem, który wybiera królów i obala tyranów". Sądząc po tej ripoście, chyba rzeczywiście błaznem nie był. Nic więc dziwnego, że teraz żądano ukarania podkanclerzego. Aby do tego nie doszło, stronnicy Ossolińskiego doprowadzili do pośpiesznego zamknięcia sesji.

Sejm jesienny 1639 zakończył się więc bez powzięcia ustawy nie tylko o tytułach książęcych, ale także bez ustaw o najważniejszych sprawach państwowych. Powszechnie zdawano sobie sprawę, że do faktycznego (choć nie formalnego) zerwania sejmu doprowadził Ossoliński, i to ze względów czysto prywatnych. Posypały się więc liczne paszkwile na podkanclerzego, otoczonego coraz większą niechęcią ze strony szlachty.

18 listopada u marszałka wielkiego litewskiego Aleksandra Ludwika Radziwiłła zebrali się książęta (w tym także poważny mąż stanu Albrycht Radziwiłł — kanclerz wielki litewski), którym ustawa z 1638 nie dogadzała i medytowali, jak to „krzywdzące prawo" o nich mogłoby być na następnym sejmie zniesione lub złagodzone. Widać ten problem nurtował ich bardziej niż wszystkie pozostałe, niezałatwione na sejmie problemy.

Dopiero latem 1641 powrócono do sprawy tytułów. Zatwierdzeniem ustawy z 1638. Najbardziej zagrożeni czuli się Radziwiłłowie: tytuł książęcy dostali od cesarza Karola V w 1547. Mikołaj Czarny Radziwiłł, podówczas marszałek wielki litewski, otrzymał tytuł „księcia Cesarstwa Rzymskiego na Nieświeżu i Ołyce", Mikołaj Rudy, podczaszy wielki litewski „księcia Cesarstwa Rzymskiego na Birżach i Dubinkach". Tytuł mieli więc dokładnie taki sam jak Ossoliński, tyle tylko, że otrzymali go przed unią lubelską. Nic więc dziwnego, że szacowny Albrycht Radziwiłł wygłosił płomienne przemówienie w obronie tytułów swojej familii. Mówił między innymi: „Książęta Świętego Cesarstwa Rzymskiego są [...] dobrymi obywatelami Polski; musi być pozbawiony wzroku ten, który nie zna ich zasług i nie wie o ile bardziej poświęcają fortuny i życie dla dobra ojczyzny, niż ci, którzy się na nich miotają [...]. Krzywdę uczyniono tym, którym [tytuły książęce] odebrane są bez winy, bez pozwania, bez sądu, bez skazującego dekretu, bez wzajemnej zgody. Okrutne i nieludzkie jest pozbawienie zaszczytu!"

Co prawda w XVII-wiecznej Polsce więcej było chyba rzeczy „okrutnych i nieludzkich" — jak chociażby traktowanie chłopa — współczesnych to jednak nie raziło, przeciwnie, uważali to za rzecz

naturalną. Natomiast nad „okrutnie i nieludzko" pozbawionymi tytułu ludzie byli się gotowi litować.

Książęta ruscy — pod przewodnictwem Jeremiego — nie dawali za wygraną. Jednak jako spokrewnieni z Radziwiłłami do ich tytułu nie zgłaszali zastrzeżeń. Stanęło więc na tym, że powzięto uchwałę, głoszącą, że konstytucja z 1638 pozostaje w mocy „na wieczne czasy" z tym jednak, że te tytuły, które nadano przed unią lubelską, pozostają i nie będą już w przyszłości kwestionowane. Ostał się więc tytuł książęcy Radziwiłłów, przepadł Ossolińskiemu. Dumny podkanclerzy został upokorzony. Łatwo wyobrazić sobie, jakie uczucia żywił wówczas ten ambitny magnat. Wiśniowieckiego znienawidził ostatecznie i będzie mu odtąd stale, przy każdej okazji szkodził. Będąc od 1643 kanclerzem wielkim koronnym, zaufanym króla i z roku na rok w coraz większym stopniu rzeczywistym sternikiem nawy państwowej, miał aż nadto okazji do brania rewanżu na Jeremim. Nie przypadkiem — mimo niewątpliwych zasług wojennych, mimo sukcesów w kolonizacji Zadnieprza, mimo swego urodzenia i majątku wreszcie — nie otrzymał Jeremi żadnego tytułu ani urzędu, żadnego starostwa. Mniej zasłużeni i mniej możni pięli się w karierze politycznej znacznie szybciej, mimo że o księcia upominały się niejednokrotnie sejmiki. Senatorem zostanie dopiero na dwa lata przed zawieruchą kozacką (a na 5 przed śmiercią), kiedy to król, dając mu województwo ruskie, chce go skaptować do swojej doraźnej polityki.

Pierwsze starostwo otrzyma na dobrą sprawę dopiero jako weteran obrony Zbaraża, kiedy po utracie zadnieprzańskiej fortuny był już zupełnie zrujnowany. Nawet po śmierci Władysława IV wszechwładny już wówczas kanclerz potrafił nastawić wrogo do księcia nowego króla Jana Kazimierza.

W swej walce z Jeremim Ossoliński nie dbał nawet o pozory i jawnie okazywał mu swe lekceważenie. W aktach wychodzących z jego kancelarii stale, programowo pomijano tytuł książęcy Wiśniowieckiego. Nawet w sejmie, relacjonując zwycięstwo nad Tatarami pod Ochmatowem, Ossoliński zrobił nieprzyjemny unik, aby w rzędzie zwycięzców nie wymieniać Jeremiego. Obiektywny tu Albrycht Radziwiłł tak zapisał to w swym pamiętniku.

„Gdy kanclerz koronny wyliczał współuczestników tryumfu i nie mógł pominąć księcia Wiśniowieckiego, powstrzymał się od słowa „książę" i wymienił tylko ród Wiśniowieckich, co księcia, chociaż nieobecnego, bardzo obruszyło". Można powiedzieć, bez przesady, że wygrywając batalię o tytuły książęce, przegrał Jeremi całą swoją karierę polityczną i uczynił swym wrogiem najbardziej, wpływowego

w państwie dygnitarza. Może taki finał sprawy przewidywali starsi, bardziej doświadczeni „książęta starożytni" i dlatego mniej aktywnie angażowali się w spór?

Można by zgłosić zarzut, że sprawie w gruncie rzeczy tak mało ważnej poświęcił Jeremi tyle energii i że zaryzykował dla niej całą swoją karierę polityczną. Można też podnieść zarzut, że energii spożytkowanej w tym sporze nie wykorzystał w innym, bardziej dla Rzeczypospolitej pożądanym kierunku. Cóż, kiedy takimi problemami zajmował się niestety sejm. Nie zapominajmy też, że całą sprawę nie tylko spowodował, ale i podsycał Ossoliński, uznawany za jednego z najpoważniejszych i najświatlejszych mężów stanu ówczesnej Polski.

Poza batalią o tytuły książęce, Jeremi żadnej znaczniejszej roli w sejmie nie odegrał. W 1640 sejm wyznaczył go jedynie komisarzem granicznym województw wschodnich, zaś w 1642 powołano go na komisarza granicznego w sprawach granicy polsko-mołdawskiej. Natomiast przypisywany Jeremiemu incydent z krzesłem senatorskim, które ten kazał sobie rzekomo wnieść do izby poselskiej, narażając się na gniew szlachty i śmieszność, przypisywany jest mu niesłusznie. Jak wykazał to prof. Władysław Tomkiewicz — krzesło to kazał sobie wnieść nie Jeremi, ale wojewodzic ruski Jerzy Wiśniowiecki, starosta kamionacki.

W czasach swej działalności poselskiej (1635—1646), jak widać, praktycznie nie odegrał Jeremi żadnej roli politycznej i trudno nazwać go mężem stanu. Sytuacja ta zmieni się, kiedy Jeremi zostanie senatorem Rzeczypospolitej, obejmując w 1646 województwo ruskie, a dojrzewać będą plany wojny tureckiej Władysława IV.

VIII. PRZECIW TATAROM

Najazdy tatarskie na południowo-wschodnie tereny Rzeczypospolitej, w czasach Zygmunta III tak częste, że aż niemal normalne, po zawarciu przez Turcję w 1634 pokoju „wiecznego" z Polską stały się jedynie sporadyczne i nie przybierały z reguły wielkich rozmiarów. Wszystkie napady tatarskie przebiegały z reguły tymi samymi szlakami: „wołoskim", „kuczmańskim", „czarnym" albo „murawskim".

Szlak „wołoski" wiódł z Białogrodu (Akermanu) wzdłuż prawego brzegu Dniestru w kierunku Chocimia, poniżej którego skręcał na zachód i omijając południem Kamieniec Podolski, prowadził dalej przez bogatą Ruś Czerwoną, na Buczacz i Lwów.

Szlak „kuczmański" prowadził od stepów czarnomorskich działem wodnym pomiędzy Dniestrem a Bohem, przez dobrze zagospodarowane ziemie województwa bracławskiego i dalej na Podole. Zdarzało się, że zagon puszczony tym szlakiem dochodził aż ku Rusi Czerwonej, skąd po przeprawieniu się przez Dniestr wracał szlakiem wołoskim.

Szlak „czarny" wykorzystywany był przez Tatarów głównie w zimie, kiedy zamarznięty był dolny odcinek Dniepru. Wówczas przeprawiali się koło Tumani na jego prawy brzeg, w kierunku północno-zachodnim. Dalej szlak biegł przez stepy aż do Ingułu, czas jakiś wiódł jego prawym brzegiem, po czym rozdzielał się: południowe odgałęzienie prowadziło na Humań i Targowicę, północne na Korsuń i Białą Cerkiew. Nad górną Rosią obydwa odgałęzienia ponownie łączyły się i biegnąc przez południowy Wołyń, spotykały się ze szlakiem „kuczmańskim".

Szlak „murawski" wiódł z Perekopu na północ, wzdłuż lewego brzegu Dniepru; południem omijając Zaporoże prowadził dalej na północ, ku ziemiom moskiewskim, w zasadzie omijając Zadnieprze. Wprawdzie jedno z odgałęzień szlaku skręcało w kierunku północno-zachodnim i przechodziło przez ziemie polskie, ale wyprawy tatarskie idące niegdyś tym szlakiem tak zrujnowały Zadnieprze, że obróciły je

w „pustynię", wobec czego tereny te przestały być dla ordyńców atrakcyjne. Woleli oni najeżdżać bogate i gęsto zaludnione tereny Podola i Rusi Czerwonej.

Celem najazdów tatarskich nie było rozbicie armii polskiej, zdobywanie terenu czy fortec, ale najzwyklejszy rabunek. Rabowali dobytek, porywali ludzi w jasyr i uciekali z powrotem w stepy. Z reguły starali się unikać starć z regularnym wojskiem polskim. Byli więc Tatarzy niezwykle trudnym przeciwnikiem, pojawiającym się nagle w granicach Rzeczypospolitej, rabującym i bez realizacji jakichkolwiek innych celów strategicznych uchodzącym w stepy. Ruchliwe zagony lekkiej jazdy tatarskiej trudne były do pościgu i rozbicia. Dopiero wracający ordyńcy, obładowani łupem i prowadzący jasyr byli wolniejsi, mniej zwrotni i łatwiejsi do dogonienia dla polskich chorągwi. Ciągłe napady tatarskie miały — jak się zdaje — dwie główne przyczyny. Najazdami tymi Turcja płaciła Polsce za napady kozackie na pogranicze Imperium i za interwencję polskich magnatów w Mołdawii. Ale była też i druga przyczyna. Koczowniczy, prymitywny lud nie umiał gospodarować w warunkach osiadłych, nie potrafił sam utrzymać się na Krymie i głód lub jego groźba zmuszała go do podejmowania łupieskich wypraw, bez oglądania się na straty. A te bywały znaczne. Nieraz z wypraw przeciw Polsce nie powracała trzecia część wojowników tatarskich. Przez kilka lat łupieska działalność ordy osłabła, po części hamowana przez Turcję, po części też orda rozdarta była wewnętrznie walkami.

Na początku 1640 — akurat wówczas, kiedy poselstwo polskie bawiło w Stambule negocjując utrwalenie wiecznego pokoju — Tatarzy przeszli pod Tawanią przez zamarznięty Dniepr i błyskawicznym zagonem po „czarnym" szlaku już w pierwszych dniach lutego stanęli pod Białą Cerkwią, skąd rozprzestrzenili się po okolicy kilkoma zagonami, paląc i łupiąc.

Zebranie rozlokowanego na leżach zimowych na Podolu wojska zabrało hetmanom kilka dni. Koniecpolski chciał ruszyć na „czarny" szlak i odciąć Tatarom odwrót. Nie udało się to, bowiem Tatarzy błyskawicznie zawrócili na wschód pod Trypolem, niedaleko Perejasławia sforsowali Dniepr i plądrując Zadnieprze, przeszli przez nie na „murawski" szlak. Koniecpolski ruszył za nimi w pogoń, niestety, trudne warunki atmosferyczne uczyniły ją bezskuteczną.

Zaskakujący napad tatarski, dokonany w dodatku od zupełnie niespodziewanej strony, bo od zachodu, uszedł najeźdźcom bezkarnie. Jeremiego nie było w tym czasie na Zadnieprzu, a zastępujący go Aleksander Zamoyski, zupełnie zaskoczony niespodziewanym napadem,

ledwie starł jakąś pomniejszą watahę, sił głównych tatarskich nie tykając. Tatarom udało się spokojnie i bezkarnie odejść i uprowadzić wyjątkowo liczny jasyr.

Zimowy najazd roku 1640 miał istotne znaczenie dla obydwu stron. Tatarzy zobaczyli, że Zadnieprze — ponownie przez Wiśniowieckich skolonizowane — ostatnio przez nich omijane, stanowić może równie dobry cel najazdów jak Ruś Czerwona czy Podole. Dla strony polskiej najazd ten był ostrzeżeniem. Tym razem ostrzeżeniem potraktowanym poważnie. Koniecpolski wzmocnił swój wywiad, który miał go w porę ostrzegać przed kolejnymi najazdami, usprawnił system łączności między rozlokowanymi wzdłuż południowej granicy wojskami, wydał też stosowne uniwersały ostrzegające szlachtę ukraińną. Wyciągnął też z tego wnioski Jeremi, którego siły na dobrą sprawę były w obronie Zadnieprza samowystarczalne i na których pomoc w razie czego liczył nie tylko hetman, ale nawet król (czego dowodem listy Władysława IV do Jeremiego).

Należy sądzić, że książę, poniósłszy poważne straty w czasie ostatniego najazdu na Zadnieprze, niezależnie od zachęty królewskiej podniósł gotowość swego wojska. Spodziewany atak tatarski latem 1640 nie doszedł do skutku, kolejnego spodziewano się zimą 1641. I ten nie nastąpił. Być może, wiedząc o podwyższonej gotowości wojsk polskich Tatarzy nie zdecydowali się na najazd.

Dopiero jesienią 1641 pogranicze zostało najechane przez drobne watahy tatarskie. Przedłużająca się czujność przestaje być czujnością, a kolejne fałszywe alarmy zrazu mobilizują, później już mobilizować przestają, a nawet demobilizują. Toteż najazd tatarski dokonany na Zadnieprze latem 1643 znów był zaskoczeniem. Omer-aga wraz z synem Bajram-Kazim w kilka tysięcy komunika przeszedł „murawskim" szlakiem, skręcił z niego na południowy zachód, między Sułą i Chorolem wpadając do samego serca zadnieprzańskiej wiśniowiecczyzny, rabując i porywając w jasyr ludzi zajętych żniwami. Jeden z zagonów dotarł do Sieńczy, rozpoczął przeprawę przez Sułę niedaleko Łochwicy, gdzie aktualnie znajdował się nic jeszcze o napadzie nie wiedzący Jeremi. Zorientowawszy się w sytuacji, książę błyskawicznie zmobilizował swój dwór, przy którym zapewne znajdowała się też część chorągwi i z tą garścią ludzi ruszył bronić przeprawy przez rzekę. Na widok wojsk książęcych ordyńcy zrezygnowali z przeprawy i cofnęli się ku swym głównym siłom. Jeremi mając za mało ludzi przy sobie, aby mógł ważyć się na pościg, zatrzymał się przez jeden dzień i ściągnął resztę swoich wojsk, nadto uzupełnił siły załogami okolicznych zameczków i Kozakami (z pułku perejasławskiego). Tak

wzmocniony, ruszył kniaź tropem Tatarów, którzy przekonani, że nikt ich nie ściga, nie śpiesząc się — dla oszczędzenia licznego jasyru — opuścili granice Rzeczypospolitej. Nie spodziewali się, że mściwy kniaź idzie za nimi krok w krok.

6 sierpnia 1643 nad rzeką Surzą (Surą) Jeremi dopadł Tatarów. Na próżno Bajram-Kazi bronił przeprawy, podczas gdy Omer-aga próbował uciekać z jeńcami. Kniaź natarł tak mocno, że od jednego uderzenia rozbił osłonę tatarską. Ariergarda tatarska przestała istnieć. W niewolę wzięto tylko znaczniejszych, w tym rannego Bajram-Kaziego, który wkrótce zmarł z odniesionych ran, resztę ścięto na miejscu.

Omer-aga próbował wymordować jasyr i uciekać w stepy. Nie zdążył. Większość jasyru odbito. Omer-agę w ciągłej walce ścigano jeszcze przez dwie mile stepem, jego ordyńcy rozpierzchli się, część z nich uciekła ku granicy moskiewskiej i tam dostała od Rosjan srogą odprawę.

Zwycięstwo Jeremiego było zupełne, a wagę tego powiększał jeszcze fakt, że Tatarów dopadł poza granicami państwa, w stepie, czego dotąd nie praktykowano. Toteż rosła sława księcia wśród szlachty, a sam hetman Koniecpolski — najzasłużeńszy obrońca południowo-wschodnich kresów — odnosił się do niego z niekłamanym szacunkiem i podziwem.

Po najeździe Omer-agi wysłano do Stambułu posła ze skargą na Tatarów, bowiem — jak słusznie podejrzewano — najazd ten odbył się za aprobatą chana Islam Giraja. Poseł miał też żądać od sułtana, aby koczowiska tatarskie odsunięto od pogranicza Rzeczypospolitej, bowiem prowadzi to do stałych nieporozumień. Jakoż te ostatnie prowokowane były w istocie przez obie strony. Właśnie tuż przed przybyciem posła Kozacy zagarnęli w stepach oczakowskich stada tatarskiego bydła. Sułtan Ibrahim nie tylko nie przyjął żądań polskich, ale wręcz oświadczył, że najazdy tatarskie Polacy sami prowokują. Jeszcze mniej pomyślną odpowiedź otrzymał poseł hetmana wysłany na Krym. Traktując zagarnięcie przez Kozaków bydła w stepach oczakowskich jako pretekst, chan oświadczył wysłannikowi hetmana, że zaraz po bajramie (święcie muzułmańskim), czyli w grudniu 1643, osobiście poprowadzi na Polskę wszystkie ordy. Pogróżkę chana urealniały doniesienia szpiegów (zarówno Koniecpolski, jak i Wiśniowiecki mieli swoje, dobrze zorganizowane wywiady) o koncentracji wojsk tatarskich. Potwierdzał to także w tajnej krespondencji życzliwy Polsce hospodar mołdawski. Wiadomo było, że Tatarzy zaatakują. Pozostawało pytanie, którędy pójdzie uderzenie? Najbardziej prawdopodobnym wydał

się Koniecpolskiemu szlak „czarny" albo „kuczmański". Na miejsce koncentracji wojsk wybrał więc Winnicę, położoną pomiędzy tymi szlakami. Tam też specjalnymi uniwersałami ściągał chorągwie kwarciane i wojska prywatne, polecając stawić się do dnia 27 grudnia.

Hetman Koniecpolski, w porę o grożącym najeździe uprzedzony, postanowił zastosować taktykę inną niż ta, którą stosowano, gdy napady były niespodziewane, a polegającą na ściganiu wracających już z łupem Tatarów. Mając jednak wcześniejszą wiadomość o szykującym się najeździe, postanowił z niej hetman zrobić użytek. Chciał mianowicie rozbić Tatarów już u wrót państwa, zanim zdążą rozpuścić swe rabujące i szerzące pożogę zagony. W tym celu zgromadzone pod Winnicą wojska rozdzielił na trzy dywizje. Do pilnowania Zadnieprza i „czarnego" szlaku wysłał Jeremiego z częścią wojska. Na szlak „kuczmański" wysłał drugą dywizję, której dowództwo powierzył staroście winnickiemu Odrzywolskiemu. Mając ze sobą całą piechotę i artylerię, jako odwód stanął Koniecpolski w Barze.

Koniecpolski miał albo doskonały wywiad, albo genialną intuicję. Ledwie rozlokował swe wojsko, gdy przyszła wiadomość, że 3 stycznia orda próbowała pod Tawanią przeprawić się przez Dniepr, ale ponieważ środek rzeki nie był jeszcze zamarznięty, zmieniała zamiar i udała się w górę, lewym brzegiem, by przeprawić się poniżej ostatniego porohu na prawy brzeg. Wyprawą dowodził bej perekopski Tohaj-bej, a obok niego cały szereg znacznych osobistości tatarskich: Murtaży-aga, Emir-aga i zeszłoroczny niefortunny najeźdźca Omer-aga. Powziąwszy wiadomości o ruchach wojsk tatarskich, hetman rozkazał wojskom Odrzywolskiego przesunąć się w kierunku Stawiszcza, naprzeciw nieprzyjacielowi. Hetman dogonił wojsko stojące dotąd nad „kuczmańskim" szlakiem i połączył się z nim. W obozie Koniecpolskiego znajdowało więc wielu wybitnych oficerów (m.in. znakomici artylerzyści Krzysztof Arciszewski i Krzysztof Grodzicki), a nawet dygnitarzy koronnych, wśród których pojawił się podczaszy koronny Mikołaj Ostroróg, późniejszy niefortunny regimentarz.

Książę Jeremi, dysponujący znacznymi siłami (oprócz własnych 3 000 żołnierzy miał jeszcze m.in. 5 pułków kozackich dowodzonych przez komisarza Mikołaja Zaćwilichowskiego i kilka chorągwi kwarcianych z czernihowskiego), skoncentrował je koło Moszen, część wyprawił na lewy brzeg Dniepru pilnując i „czarnego" szlaku, i obydwu brzegów rzeki. Rozsyłając na wszystkie strony podjazdy, szybko zorientował się, że Tatarzy idą na Korsuń. Wysłał więc co prędzej gońca z wiadomością do hetmana, sam ściągnął pozostawione po drugiej stronie Dniepru chorągwie i ruszył na zachód. Wiadomości uzyskane

przez Jeremiego potwierdził pułkownik kozacki Stanisław Krzyczewski, który wraz ze swym czehryńskim pułkiem spotkał Tatarów idących wzdłuż Ingułu i musiał się wycofać.

Od tego czasu Jeremi już cały czas kontroluje ruchy Tatarów i informuje o nich hetmana. Gdy hetman 27 stycznia wjechał do Stawiszcza, przybył goniec Jeremiego informując, że Tatarzy idą „czarnym" szlakiem. Koniecpolski postanowił więc zaczekać na miejscu do czasu, dokąd nie ustali, gdzie aktualnie znajduje się orda. W tym celu wysłał podjazd. Ale zanim podjazd wrócił, przybył kolejny goniec Jeremiego, informujący, że Tatarzy doszli do rzeki Wiś. Hetman postanowił więc iść ordzie na spotkanie i pod Ochmatowem zagrodzić jej drogę. Polecił też Jeremiemu co prędzej ściągnąć pod Ochmatów.

Oczekując Tatarów na wybranej przez siebie, dogodnej pozycji, hetman sformował tabor, ustawiając wozy w 7 rzędów. Przed taborem rozlokował artylerię i piechotę. Chorągwie dragońskie i kozackie ustawił po bokach taboru i na jego tyłach, zaś na środku, przed taborem, ciężką jazdę. Powierzywszy komendę nad całością staroście Odrzywolskiemu, hetman na czele kilkunastu chorągwi jazdy ruszył naprzeciw nieprzyjacielowi. Pozostała przy taborze jazda na odgłos strzałów armatnich, którymi załoga ochmatowskiego zameczku nadejście Tatarów oznajmiała, nie bacząc na komendę ruszyła do przodu z wielkim krzykiem i hałasem. Ale do nieprzyjaciela było jeszcze daleko, a drogę przegradzał hetman z częścią jazdy. Usłyszawszy hasło, myślał Koniecpolski, że Tatarzy bokiem go ominąwszy, zdobywają tabor, cofnął się więc co prędzej — jak sądził — taborowi z pomocą. Za taką niesubordynację należałoby żołnierzy ukarać. Hetman jednak był zbyt doświadczonym wodzem i zbyt dobrym psychologiem. Zamiast karać żołnierzy przed bitwą, pochwalił ich „za wielką do bitwy ochotę".

Tymczasem Tohaj-bej, nic nie wiedząc o nadciągających siłach Wiśniowieckiego, sądził, że ma przed sobą całość sił koronnych, w dodatku był przekonany, że są szczuplejsze niż były w rzeczywistości (Koniecpolski miał ok. 10 000 ludzi) i postanowił wydać im bitwę. Nie wiedząc o tym, że nadciąga Wiśniowiecki i że siły koronne lada dzień się podwoją, zamiast atakować od razu, przybywszy pod Ochmatów postanowił dać swoim wojownikom przed bitwą dzień odpoczynku.

Ochmatów, pod którym hetman postanowił stoczyć decydującą bitwę leżał nad ujściem Hołupi do Tykicza, otoczony trzema stawami. Ponieważ siły Wiśniowieckiego nie nadeszły jeszcze, hetman nie chciał ryzykować walki w szyku rozwiniętym i wolał zastosować szyk taborowy, pozwalający w razie czego na przejście z ataku do obrony. Ustawiając na skrzydłach dwa tabory osłaniane przez jazdę, mając na

czele artylerię, z tyłu zaś piechotę, w środku umieścił główne siły jazdy pod dowództwem starosty Odrzywolskiego. Od Tatarów oddzielały siły koronne stawy. Gdyby zdecydowano się na atak, trzeba by przeprawić się przez groblę między stawami. Łatwiej byłoby oddać inicjatywę w ręce przeciwnika i bronić mu przeprawy. Przy szczupłości swych sił hetman wybrał to drugie rozwiązanie. Stał więc i czekał.

Pewny swej przewagi Tohaj-bej rozpoczął pierwszy. Sforsował rzekę i ruszył ku grobli między stawami. Ponieważ była gęsta mgła, Tatarzy bali się wysunąć za daleko do przodu i dla rozpoznania sił polskich wysłali tylko harcowników. Ci, w liczbie ok. 500 sforsowali groblę i ruszyli w stronę sił polskich. Dowodzący środkiem jazdy Odrzywolski odpowiedział na to atakiem kilku chorągwi, które zepchnęły harcowników z pola i przepędziły za groblę. Tohaj-bej wysłał uchodzącym harcownikom posiłki. Polskim chorągwiom ruszył z pomocą sam hetman. Walka właśnie rozgorzała na dobre, gdy od lewego skrzydła, od wschodu, nadciągnął na pole bitwy książę Jeremi. Wzajemne rozpoznanie się sił polskich było z początku z powodu mgły utrudnione, toteż o mało nie doszło do tragicznego w skutkach nieporozumienia. Wiśniowiecki wziął siły hetmańskie za nieprzyjaciela i już rozwinął jazdę do ataku, gdy z drugiej strony Grodzicki, sądząc że to atakują Tatarzy, zdążył już odwrócić armaty, a jazda zaczęła zmieniać front. Po obu stronach trąbki zagrały do ataku i po dźwięku sygnałów obie strony zorientowały się, że mają przed sobą... swoich! Nieporozumienie zostało wyjaśnione i Jeremi już meldował się hetmanowi, prosząc o wyznaczenie stanowiska i zadań.

Ponieważ bitwa już trwała i nie było czasu na przegrupowanie, Koniecpolski kazał Wiśniowieckiemu objąć lewe skrzydło i przeprawiwszy się przez zamarznięty staw, atakować Tatarów. Gdy chorągwie polskie rozwinęły się do ataku, akurat mgła opadła, ukazując Tatarom podwójne siły polskie. Wywołało to popłoch. Kosz rozpoczął odwrót, osłaniany przez 7000 komunika. Osłonę tę zmiotło natarcie Wiśniowieckiego z lewego skrzydła, wsparte potężnie od prawego natarciem husarskim prowadzonym przez Czarnieckiego. Obydwa skrzydła jazdy polskiej zwarły się tak szczelnie, że nie zostało już środkiem miejsca dla chorągwi, które nadchodziły z pomocą i chciały uderzyć w centrum. Tabor został w tyle i w ogóle nie wziął udziału w walce. Straciwszy prawie połowę ludzi, osłona zaczęła uchodzić za koszem. Pościg trwał kilka godzin i tylko krótkość zimowego dnia uratowała Tatarów przed zupełną zagładą. Trąbki sygnałowe odwołały ścigających. Postanowiono nocą kontynuować pościg, z tym jednak, że część sił była do niego zupełnie niezdolna. Wojska Wiśniowieckiego oraz

przybyłych wraz z nim Piasoczyńskiego i Zaćwilichowskiego, które do bitwy weszły wprost z uciążliwego marszu, do pościgu nie nadawały się. Nie nadawała się też do niego ciężka jazda. Przewaga liczebna i techniczna wojsk polskich oraz straty poniesione przez Tatarów w bezpośrednim starciu były tak duże, że nie było potrzeby kontynuowania pościgu całością sił. Dlatego też Koniecpolski polecił wybrać ochotników, których w liczbie ok. 5000 (wśród nich był Stefan Czarniecki) oddał pod komendę komisarza Zaćwilichowskiego.

Nie zwlekając Zaćwilichowski ruszył w pogoń za uchodzącymi Tatarami. Rankiem dopadł ich nad Siną Wodą. Na widok nadciągających wojsk, ordyńcy, nie zdążywszy wybadać grubości lodu, zaczęli w popłochu przeprawiać się na drugi brzeg. Lód nie wytrzymał, załamał się i wielu Tatarów, co pierwsi na lód wpadli, znalazło pod nim śmierć. Ogarnięci paniką ordyńcy stali się łatwym przeciwnikiem dla doświadczonego Zaćwilichowskiego. Na drugi brzeg Sinej Wody zdołała się przedostać ledwie część Tatarów, którzy w mig podzieliwszy się na kilka czambułów, ruszyli na wschód. Mając bardzo zmęczone konie, Zaćwilichowski zdecydował się nie gonić dalej uciekinierów (co zresztą przez fakt podzielenia się na kilka czambułów było nader trudne), ograniczył się do wyłapywania rozproszonych na prawym brzegu Sinej Wody Tatarów. Tymczasem liczący kilkaset koni czambuł, uciekający w stronę Czehryna, sądząc że miasto jest bezbronne, postanowił sobie na nim powetować dotychczasowe niepowodzenia. Mieli jednak Tatarzy pecha, bo natknęli się na kozacki pułk czerkaski, który nie biorąc udziału w bitwie pod Ochmatowem znalazł się akurat w okolicach Czehryna. Nie spodziewający się wojska w Czehrynie Tatarzy byli zupełnie zaskoczeni i dali się łatwo rozbroić, tracąc wielu ze swej starszyzny. Tymczasem pułk czehryński, który natknął się jeszcze przed bitwą ochmatowską na Tatarów nad Ingułem (o czym powiadomił stronę polską), sam korzystając z faktu, że Krym został ogołocony z wojska, wyprawił się na Perekop paląc i niszcząc, biorąc jeńców. Dowiedziawszy się o tym, hetman śmiał się, że Tatarów Kozacy „tatarską modą" (*mode Tatarico*) zawojowali.

Tak więc wielka wyprawa tatarska zakończyła się zupełną klęską. Kampania ochmatowska była ostatnim sukcesem wielkiego hetmana Stanisława Koniecpolskiego. Była też ostatnią kampanią, w której z takim powodzeniem Polacy i Kozacy wystąpili jako towarzysze broni. Szły czasy, kiedy dzisiejsi towarzysze broni mieli wystąpić przeciwko sobie, w zmaganiu, które zakończyło się tragedią obydwu pobratymczych narodów. Tragedią wspólną i tragedią każdego narodu z osobna.

Echa zwycięskiej kampanii ochmatowskiej ukazywały opinii szlacheckiej Tatarów jako grabieżców i rabusiów, niebezpiecznych dla ludności cywilnej, z drugiej jednak strony jako przeciwnika militarnie słabego. Wywołało to ogromny zapał wojenny szlachty i chęć odwetu większego niż ochmatowska kampania. Nastroje antytatarskie, podtrzymywane zapewne przez dwór, zbiegły się ze sprzyjającymi okolicznościami zewnętrznymi.

Stosunki turecko-weneckie były tak napięte, że wojna dosłownie wisiała w powietrzu. Na Krymie, nie bez związku z klęską ochmatowską, doszło do konfliktów wewnętrznych, w wyniku których wypędzono chana Mechmed-Giraja, którego miejsce zajął brat Islam-Giraj, co prawda zatwierdzony przez sułtana, niemniej walki między stronnikami braci trwały nadal.

Nadszedł więc moment stosowny do ostatecznej rozprawy, jeśli nie z Turcją, to chociażby z chanatem krymskim. O takiej rozprawie od dawna marzył Władysław IV.

25 lutego 1644 powrócił ze Stambułu Mikołaj Bieganowski, podstoli lwowski, wysłany przez hetmana z interwencją, że wbrew umowie Tatarzy znów powrócili na Budziak. Bieganowski nic nie załatwił, bowiem sułtan Ibrahim nie odpowiadając na skargi posła, tak natarczywie upominał się o podarki, że aż wezyr musiał go uspokajać. Wraz z Bieganowskim przyjechał do Polski poseł sułtana, którego król przyjął w Wilnie grzecznie, ale z niczym odprawił. 29 lutego odbyła się tajna narada, która postanowiła na razie nie dawać zagwarantowanych umową „podarunków" Tatarom, wstrzymując się z ostateczną decyzją aż do sejmu. Ten zebrał się zimą, z początkiem 1645. Do wojny z bisurmanami agitowały już wcześniej uniwersały królewskie, rozsyłane na sejmiki. Teraz na sejmie uroczystą mowę agitującą za wojną wygłosił kanclerz Ossoliński. Urządzono też uroczystą owację hetmanowi Koniecpolskiemu i wszystkim uczestnikom kampanii ochmatowskiej, przy której — jak już wiemy — kanclerz wyrządził afront Jeremiemu, którego udział w kampanii był znaczny, a nawet kto wie czy nie decydujący o zwycięstwie. Na tym sejmie Kazanowski — w związku ze sporem o Rumno — usiłował usunąć ze zgromadzenia naszego współtriumfatora spod Ochmatowa, co mu się jednak nie udało, bowiem „miłość wszystkich do Wiśniowieckiego i niechęć niektórych do marszałka zatwierdziły jego wybór na posła". W marcu sejm rozsądził spór o Rumno. W sprawie wojny tatarskiej nic nie uchwalono. Wobec tego obowiązywały — aż do następnego sejmu — uchwały senatu. Było to po myśli króla. Liczył się bowiem z tym, że do tego czasu nastąpi z pewnością najazd tatarski, a wówczas woj-

na rozpocznie się sama i sejm stanie przed faktem dokonanym. Tymczasem trwały przygotowania do wojny. Budowano i zapełniano arsenały, zaciągano pożyczki zagraniczne.

Nie obdarzony „podarkami" i powiadomiony o przygotowaniach wojennych Rzeczypospolitej chan Islam-Giraj prosi sułtana o zezwolenie na wyprawę do Polski. Sułtan skwapliwie zgadza się — toczy właśnie wojnę z Wenecją i sam na Polskę najechać nie może. Chan mobilizuje wszystkie ordy krymskie, nohajskie i budziackie. Na wieść o tym król pisze list do Wiśniowieckiego, uprzedzając go o spodziewanym napadzie tatarskim. W ślad za tym listem pisze następny, prosząc, by z wojskiem swym ciągnął do obozu hetmana. O przygotowaniach ordy Jeremi wiedział już, zanim powiadomił go o tym król (list królewski datowany jest 29 lipca) i już tydzień wcześniej z Wiśniowca wydaje polecenia swym oficerom i komisarzom, by na Zadnieprzu wojsko ściągało i aby wysłać gońca do Kudaku po aktualne wiadomości o Tatarach. Królowi odpisuje grzecznie, że zawsze do obrony ojczyzny jest gotów, ale równocześnie powiadamia Koniecpolskiego, że do obozu hetmana polnego przybyć nie może. W pierwszym liście pisze, że wybrane przez hetmana Potockiego uroczysko Płoskie nie wydaje mu się miejscem odpowiednim. W drugim liście donosi, że przybyć nie może, bowiem spodziewa się komisji sejmowej, mającej rozgraniczyć jego zadnieprzańskie dobra od królewszczyzny. Dlaczego Wiśniowiecki nie chciał zgłosić się pod komendę hetmana Potockiego?

Władysław Tomkiewicz podejrzewa, że między księciem a którymś z hetmanów mogło dojść w międzyczasie do jakichś prywatnych zatargów, albo że książę miał jakieś informacje, że napad tatarski ma spustoszyć Zadnieprze i dlatego nie chciał go ogołacać z wojsk, przeprawiając się na prawy brzeg Dniepru. Wydaje się jednak, że książę czuł się urażony za traktowanie go po kampanii ochmatowskiej, kiedy to jego, współtriumfatora, ogłoszono banitą z powodu Rumna, kiedy król go unikał, Kazanowski chciał wyrugować z sejmu, a Ossoliński przy odprawianiu triumfu celowo wyrządził mu afront. Tym razem dumny kniaź cynicznie odpowiedział, że czeka na komisję sejmową. Bo nuż on pójdzie przeciw Tatarom, a tymczasem warszawscy statyści typu Kazanowskiego czy Ossolińskiego, nie ryzykujący w wojnach tych ani życiem, ani mieniem, jakie nowe Rumno mu obmyślą?

A swoją drogą ogołacać Zadnieprze z wojska i iść pod komendę nie wspaniałego hetmana wielkiego Koniecpolskiego, ale chronicznie pijanego hetmana polnego Potockiego wcale się księciu nie śpieszyło. Rozumiał go, zdaje się dobrze, Koniecpolski. Toteż odpisując Wiśniowieckiemu zgadza się, że Płoskie nie jest najlepszym miejscem, że gotów je zmienić, że owszem „bliżej nam się między szlakami za-

mknąć trzeba", a on, hetman wielki, chętnie rady księcia wysłucha, „gdziebyś W.K.Mość miejsce sposobne rozumieć raczył, na którembyśmy się kupili". Zrozumiał — jak się zdaje — stary hetman złośliwość argumentu oczekiwania na komisję sejmową, bo nie ujawniając urazy, łagodnie tłumaczy księciu, że w dobrych układach, w tydzień nieprzyjaciela rozgromią, a wtedy będzie czas na sprawy graniczne. Na razie Rzeczpospolita jest w potrzebie i pomoc księcia potrzebna. Nie wiadomo czy książę dał się przekonać — być może jego urażona duma domagała się tego, by go o pomoc proszono i teraz gdy to nastąpiło, gotów już był stanąć ze swymi chorągwiami w obozie hetmańskim — czy też nie. Do wojny w każdym bądź razie nie doszło.

Król szykował wojnę na zimę, teraz latem nie był jeszcze do niej gotowy. Chciano więc sprawę odwlec. W tym celu hetman wysłał list do wezyra, że jeśli Tatarzy wejdą w granice Rzeczypospolitej, czajki kozackie zostaną w odwet wysłane na Morze Czarne. Zaangażowana w wojnę z Wenecją Turcja takiej dywersji się bała, toteż sułtan zakazał chanowi najazdu na Polskę, radząc zgromadzone ordy skierować na Moskwę. Otrzymawszy taką wiadomość, Władysław IV natychmiast ostrzegł cara i zaproponował współdziałanie przeciw Tatarom.

W grudniu ruszyła na Moskwę wyprawa 30 000 ordyńców pod dowództwem brata chańskiego Nuradyna. Moskale bronili się niemrawo, toteż Tatarzy bezkarnie łupili graniczącą z Polską kamarycką włość, zgarniając w okolicach Putywla i Rylska ogromny jasyr, stada bydła i koni.

Zgodnie z zawartym porozumieniem ruszyła na pomoc wyprawa polska, dowodzona przez hetmana polnego. Potocki — w kilkanaście tysięcy wojska — przybył na „murawski" szlak, gdzie postanowił przyczaić się na Tatarów powracających ze swymi łupami. Fatalnie dowodzona i unieruchomiona przez mróz wyprawa nie osiągnęła sukcesu. Nie niepokojeni przez nikogo Tatarzy ominęli obóz polski, podążając spokojnie na południe. W obozie polskim tymczasem, od mrozu, a nie od wroga, zginęło ponad 2000 ludzi. Hetman tłumaczył swe niepowodzenie mrozami, co jest o tyle mało przekonujące, że te same mrozy cierpieli też Tatarzy, którzy nadto znajdowali się w uciążliwym marszu, podczas gdy strona polska stojąca obozem mogła się jakoś przed nimi zabezpieczyć. Poza tym mrozy, które zupełnie sparaliżowały siły Potockiego, nie zaszkodziły jakoś Wiśniowieckiemu. Będący wówczas na Zadnieprzu książę zmobilizował ok. 4000 żołnierzy i ruszył w stronę „murawskiego" szlaku. Sam zatrzymał się w Hadziaczu, chorągiew wołoską wysłał na podjazd pod Putywl. Zebrawszy wszystkie siły, przekroczył granicę i 4 stycznia przeprawił się przez rzekę Worskłę, by stanąć z wojskiem na osłoniętym lasem uroczysku Hu-

siniec. W lesie mróz nie był tak dotkliwy, jak w otwartym polu. Dla ogrzania wojska rozpalono też pod osłoną lasu ognie. Wojsko ogrzawszy się nieco i wypocząwszy przy ogniach, ruszyło pod wieczór w kierunku na Marło — gdzie doszło do spotkania z ordą. Księciu nie udało się rozbić Nuradyna (wbrew twierdzeniom panegirystów), niemniej odbił część jasyru, który odesłał carowi. Okazało się, że rację miał latem książę, nie chcąc oddać się pod dowództwo hetmana polnego.

Mimo formalnie trwającego pokoju pomniejsze czambuły tatarskie raz po raz wdzierały się w granice Rzeczypospolitej. Zapędzały się nieraz na Zadnieprze i tam uganiały się za nimi chorągwie książęce, czasem pod jego osobistym dowództwem, częściej pod dowództwem jego oficerów.

Osobista odwaga, talent wojenny Wiśniowieckiego, zyskały uznanie w oczach Tatarów. Współczesny mu kronikarz tatarski nazywa go „słynnym i znakomitym mężem", innych polskich panów kresowych tytułując jedynie „niewiernymi psami".

IX. PRZED BURZĄ

Gdy nic nie wyszło z wojny tatarskiej, która z obronnej przejść wedle planów miała w ofensywną, zamyślał jeszcze król czy nie udałoby się rozpocząć wojny z Turcją, lub chociażby z Krymem, bez oficjalnego angażowania w nią Rzeczypospolitej. Tak jak czambuły tatarskie plądrowały kresy nieraz bez wiedzy, a czasem tylko niby bez wiedzy chana, jak wojnę prowadził Abazy-pasza, też niby bez wiedzy sułtana, tak marzył Władysław IV, panowie ruscy i Kozacy „bez jego wiedzy" mogą najechać imperium. Najlepiej gdyby to było w odwet za najazd, jakiegoś, choćby najmarniejszego, czambułu. Ale panowie ruscy, mimo że teraz kokietowani przez dwór, do tak ryzykownej wyprawy wcale nie mieli ochoty.

Tymczasem zbliżał się czas najstosowniejszy na rozpoczęcie wojny tureckiej. Turcja zaangażowana była na dobre w wojnę z Wenecją, stosunki z Moskwą nareszcie były dobre, zniszczenie tatarskiego gniazda na Krymie leżało we wspólnym interesie obydwu nękanych najazdami państw. Likwidacja chanatu krymskiego miałaby istotne dalekosiężne znaczenie realne i byłaby nie tylko, jak sądzą niektórzy, realizacją osobistych ambicji królewskich czy też jedynie krucjatą przeciw poganom. Ten ostatni argument wprawdzie często był używany, ale raczej dla celów propagandowych. Chodziło bowiem o zjednanie dla takiej wojny poparcia szerokich rzesz szlachty, także z dzielnic w ogóle przez Tatarów nie zagrożonych (jak Wielkopolska, Mazowsze czy niektóre dzielnice Wielkiego Księstwa), jak i o uzyskanie poparcia papiestwa i katolickich dworów zachodniej Europy.

Pod osłoną haseł wojny religijnej („wojna z bisurmanem") kryło się nawet coś więcej niż chęć rozbicia Tatarów i uwolnienia raz na zawsze południowo-wschodnich ziem Rzeczypospolitej od wyniszczających najazdów. Nie licząc strat materialnych, a te były znaczne, ocenia się, że straty w ludności (wymordowanej, bądź wziętej w jasyr) wynosiły w pierwszej połowie XVII wieku na samej tylko Rusi Czer-

wonej ok. 300 000 osób! Ale ponosiła też Rzeczpospolita z powodu Tatarów i ciągłej groźby ich najazdu i straty znacznie poważniejsze. Cierpiała na tym praca kolonizacyjna na południowo-wschodnich kresach, które nie mogły — pod ciągłą groźbą najazdu — funkjonować normalnie gospodarczo. Za naturalny zatem uznać trzeba fakt, że ludność wiejska była uzbrojona (w przeddzień wybuchu powstania Chmielnickiego Jeremi Wiśniowiecki odbierze swoim 230 tysiącom poddanych zadnieprzańskich aż 60 tysięcy samopałów). Konsekwencją tego zagrożenia i konsekwencją nieskolonizowania olbrzymich obszarów stepów było wreszcie istnienie Kozaczyzny. Ta ostatnia stanowić będzie zabezpieczenie przed Tatarami tylko do czasu. Rzeczpospolita nie potrafi zapanować nad Kozaczyzną, która ściągnie na nią wkrótce kłopoty zewnętrzne. Wypady kozackie na terytoria poddanych sułtana prowokować będą przecież kolejne najazdy tatarskie, ba, nawet wojnę z samą Turcją. Mało tego, z czasem Kozaczyzna skieruje się nie na zewnątrz państwa, przeciw jego wrogom, ale do wewnątrz. Będzie siłą odśrodkową, fenomenem wojskowo-społecznym, z którym szlachecka Rzeczpospolita nie potrafi sobie w żaden sposób poradzić. Fenomenem, który od środka nadwerężyć potężne niegdyś państwo, stanowiąc dla niego niebezpieczeństwo bodajże większe niż tatarskie.

Zagrożenie tatarskie zmuszało też magnatów kresowych do posiadania swojej własnej siły zbrojnej. Jej istnienie tyleż było niebezpieczne, co demoralizujące. Przeznaczone do ochrony włości pańskich przed najazdem tatarskim (później też kozackim), dawało magnatom poczucie samodzielności, pozwalało na lekceważenie władzy państwowej, na łamanie prawa i prowadzenie prywatnych wojen między sobą, a nawet — jak w początkach XVII wieku — także poza granicami państwa, po drugiej stronie Dniestru, co, jak wiemy, ściągnęło na Polskę klęskę cecorską.

Ostateczna likwidacja zagrożenia tatarskiego musiała w perspektywie dać likwidację Kozaczyzny i ukrócenie samowoli magnackiej na kresach, wzmocnienie władzy centralnej. Niezależnie od tych tak potrzebnych skutków wewnętrznych, zniszczenie państwa tatarskiego, oparcie granic państwowych na wybrzeżach Morza Czarnego i na Dunaju zmieniłoby układ sił w Europie, na długo zapewniając Polsce mocarstwową pozycję i kto wie, czy nie uratowałoby jej państwowego bytu, który runął w 150 lat później. Zdaje się, że Władysław IV świadom był tych konsekwencji i dlatego tak uparcie dążył do wojny.

Ten niewątpliwie jeden z najświatlejszych i najpotężniejszych monarchów polskich nie umiał jednak dla swych słusznych celów zjednywać sobie szlachty, zaś jego główny doradca i realizator polityki, kanclerz Ossoliński, będąc również umysłem nieprzeciętnym — choć

i nieprzeciętnym intrygantem — specjalizował się w drażnieniu opinii szlacheckiej i był w stanie zniechęcić szlachtę do najsłuszniejszych nawet celów. Wydaje się, że ta para: monarcha i jego minister — obydwaj być może przerastający epokę — gdyby przyszło im działać w jakimś absolutystycznym kraju zachodnim, byliby w stanie doprowadzić go do szczytu potęgi. W Polsce nie mogli zdziałać nic, nie rozumieli bowiem społeczeństwa, którym pragnęli kierować i zrozumieć nie chcieli. Rządzenie państwem jest trudną sztuką. Aby rządzić, nie wystarczy wiedzieć, co dla państwa jest dobre, co złe. Trzeba o tym umieć przekonać społeczeństwo, zwłaszcza jeśli państwo jest demokratyczne, a społeczeństwo ceni sobie wolność, choćby to była tylko wolność pozorna. W opozycji do społeczeństwa rządzić się nie da, choćby się chciało realizować program najsłuszniejszy ze słusznych. Tego, niestety, nie rozumiał ani Władysław IV, ani Ossoliński. Dlatego też ich wielkie plany z góry skazane były na niepowodzenie.

Żył w tym czasie człowiek, który szerokością politycznego horyzontu dorównywał i królowi, i kanclerzowi, a który przewyższał ich obu znajomością duszy szlacheckiej i umiejętnością postępowania ze szlachtą, który przy całej szerokości swego horyzontu politycznego rozumu potrafił być legalistą. Potrafił szanować prawa szlacheckiego stanu. Był nim hetman Stanisław Koniecpolski. Niestety, w decydującym momencie człowieka tego zabrakło. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Na razie jednak, w czasie kiedy Potocki niefortunnie wypełniał sojuszniczą powinność wobec Moskwy, w Warszawie trwały gorączkowe narady senatu. Hetman wielki przedstawił na nich swoją koncepcję rozgromienia Tatarów. Uważał on, że samodzielne rozbicie państwa tatarskiego nie jest możliwe. Do tego, zdaniem hetmana, konieczne jest współdziałanie z Moskwą, również jak Polska nękaną najazdami tatarskimi. W tej sytuacji Moskwa będzie też chciała jakichś nabytków terytorialnych. Proponował więc, aby Moskwie oddać Krym. Polska miałaby zabrać tereny Budziaku, oprzeć granice swe o Dunaj. Takie rozumowanie miało i dalszą perspektywę: ziemie wołoską i multańską, a kto wie, może nawet Siedmiogród. Jak widać, w polityce zagranicznej chciał Koniecpolski poprzez odzyskanie wpływów między Dniestrem a Dunajem wskrzesić starą ideę; Zamoyskiego i Żółkiewskiego, zahamowaną w Buszy, a pogrzebaną pod Cecorą. Przy okazji przestrzegł Koniecpolski przed możliwością przeciwpolskiego sojuszu tatarsko-kozackiego i dlatego radził pośpiech, aby przed zawiązaniem tej zgubnej dla Rzeczypospolitej ligi rzucić Kozaków przeciw Tatarom. Wywód hetmana był po myśli króla, chociaż hetman głosował jedynie za wojną z Tatarami, którym, jak sądził, Turcja zajęta wojną

z Wenecją i szachowana przez hospodarów nie mogłaby udzielić pomocy. Dopiero w przyszłości uwolniona od Tatarów Rzeczpospolita, umocniona między Dniestrem a Dunajem mogła podjąć się wojny z samą Turcją. „Łatwiejsza byłaby sprawa z Turkami — mówił hetman — gdyby Tatarzy od nich odłączeni zostali". Król był natomiast zdania, że wojna z Tatarami siłą rzeczy będzie też wojną z Turcją. Ciesząc się tedy z postawy hetmana, kazał Władysław IV wysłać pieniądze Kozakom wraz z zaleceniem, aby budowali łodzie morskie.

Co do celowości rozpoczęcia wojny zgodni byli i król, i hetman, i kanclerz. Tyle tylko, że król i kanclerz zdecydowani byli rozpocząć wojnę bez oglądania się na sejm, hetman natomiast żądał jego zwołania. Wywołało to spory między hetmanem a kanclerzem, który opinię szlachecką lekce sobie ważył, co już niejednokrotnie spowodowało jak najfatalniejsze skutki. Niespodziewana śmierć wielkiego hetmana (11 marca 1646) przesądziła niestety o zwycięstwie koncepcji kanclerza.

Rozpoczęto wielką ofensywę polityczną, przynoszącą szereg doraźnych sukcesów: w kilka tygodni marca i kwietnia dogadano się z Wenecją, porozumiano z Moskwą i hospodarami. Świadczy to o dużej zręczności dyplomatycznej króla i kanclerza. Rozpoczęto przygotowania wojenne i opracowano plan kampanii. Wszystko było obmyślone dobrze i opracowane precyzyjnie. Popełniono jednak błąd niewybaczalny, który miał to wszystko zniweczyć: wbrew zaleceniom nieżyjącego już hetmana wszystko działo się poza plecami sejmu.

Planowano, że król w końcu lipca wyruszy na Podole. Wojska hetmańskie połączą się nad Dnieprem z prywatnymi, zaczekają na przybycie posiłków moskiewskich, by wspólnie z nimi i Kozakami uderzyć na Krym. Król na czele pozostałych 45 000 wojska miał uderzyć na pograniczne zamki tureckie, kierując swe uderzenie nad Dunaj, gdzie wspierać go mieli hospodarowie. Do realizacji takiej koncepcji potrzebne było poparcie magnatów kresowych, dysponujących własną siłą zbrojną. Wśród nich na czoło zdecydowanie — tak doświadczeniem wojennym, jak i liczebnością wojska — wysuwał się Jeremi Wiśniowiecki.

Książę dotychczas od spraw państwowych skutecznie odsuwany, nie obdarowany do tej pory żadnym, nawet powiatowym urzędem, nie uposażony żadnym starostwem, mało tego, postponowany przy każdej nadarzającej się okazji, teraz stał się dworowi potrzebny. Śmierć nieodżałowanego hetmana Koniecpolskiego, zarazem kasztelana krakowskiego, powodowała wakanse na obydwu stanowiskach, które król skwapliwie chciał dla swej polityki wykorzystać. Toteż chcąc sobie zjednać Jakuba Sobieskiego, wojewodę ruskiego, wybitnego męża sta-

nu oraz znanego mówcę sejmowego, cieszącego się powszechnym szacunkiem szlachty, król obdarował go godnością pierwszego świeckiego senatora Rzeczypospolitej, dając mu kasztelanię krakowską. Województwo ruskie dał po nim Jeremiemu. Tak więc dnia 4 kwietnia 1646 został Jeremi wojewodą ruskim. Stał się senatorem Rzeczypospolitej. Miał wówczas lat 34. Nominacja wyszła z kancelarii koronnej, opieczętowana przez podkanclerzego koronnego Andrzeja Leszczyńskiego.

Dla Jeremiego był to awans znaczny. Stawał się od razu jednym z najpoważniejszych senatorów. Przed nim stanowisko senatorskie piastowało niewielu Wiśniowieckich (stryj Jerzy był kasztelanem kijowskim, opiekun Jeremiego, książę Konstanty, był wojewodą bełskim, potem ruskim).

Trwające przygotowania wojenne były bardzo kosztowne. Wenecja obiecała Władysławowi pożyczkę, ale płatną dopiero po wyruszeniu króla w pole. Zaczął więc król zaciągać pożyczki na konto spodziewanych pieniędzy weneckich.

Wynikiem ożywionej działalności politycznej były wizyty, jakie w Warszawie złożyli posłowie moskiewscy (co prawda bez pełnomocnictw do zawierania układów), po nich wysłannicy hospodarów multańskiego i mołdawskiego, a nawet wysłannicy kościoła wschodniego, mnisi z monasteru w Atos, zapewniający Władysława o możliwości wybuchu antytureckiego powstania Słowian na Bałkanach. Zaproszono też po kryjomu do Warszawy przedstawicielstwo Kozaków — w skład którego wchodził m.in. Bohdan Chmielnicki — któremu król nie bacząc na to, że należy to do prerogatyw sejmu, obiecał podwoić rejestr (z 6 do 12, a nawet 20 tysięcy), dać wolny teren za Białą Cerkwią, a teraz zlecił zbrojenia. Król liczył, że w razie wojny uda mu się zmobilizować 50 do 100 tysięcy Kozaków. Liczył też król — mając tylko jakieś niejasne obietnice — na pomoc Francji.

Władysław IV sądził, że opinię krajową uda mu się utrzymać w szachu, mając do rozdawania buławy hetmańskie (koronną i litewską), a nęceni nimi magnaci w nadziei otrzymania hetmaństwa poprą go. Poczyniwszy takie przygotowania rozpoczęto werbunek wojska.

Dnia 9 maja 1646 ogłosił król wojnę turecką, chcąc faktem dokonanym zaskoczyć stany. O ile jednak wojna z Tatarami, zwłaszcza po zachęcającym wyniku kampanii ochmatowskiej, mogła liczyć na aprobatę szlachty, tym bardziej że z wojny obronnej łatwo było niepostrzeżenie przejść do ofensywy, a za pretekst mógł posłużyć najazd nawet drobnego czambułu, czego doczekać się było nietrudno, to wojna zaczepna z całym Imperium Tureckim była w Polsce niepopularna. Pretekst do wojny — że wbrew umowie nie usunięto ordy z Budziaku, a nawet ją powiększono (do blisko 30 tysięcy) — nie tra-

fiał do przekonania przeciętnego szlachcica. Co gorsza, wojna zaczepna mogąca się toczyć poza granicami kraju wymagała akceptacji sejmu. Wypowiadając ją bez zgody sejmu, naruszał król obowiązujące przywileje, łamał *pacta conventa*. W kraju zerwała się burza. Oburzenie na króla i dwór nie miało granic. Król jednak — przy całej ograniczoności swej władzy — był w Polsce szanowany, toteż zrazu nie atakowano go bezpośrednio, a jedynie jego plany, jego doradców i cały w ogóle dwór. Gdyby Władysław IV czytał *Księcia* Machiavellego, wiedziałby, że w takim przypadku trzeba uciąć głowę pierwszemu ministrowi i wtedy można dalej funkcjonować w roli dobrego monarchy. Władysław IV albo rad Machiavellego nie znał, albo był za uczciwy, by winę zwalać na Ossolińskiego, toteż przyszło mu do końca samemu wypić kielich goryczy. Upominali króla najpoważniejsi senatorowie — prymas Maciej Łubieński pierwszy spośród senatorów duchownych przypomniał królowi *pacta conventa* i zażądał zwołania sejmu. Podobnego zdania byli wszyscy senatorowie duchowni.

O ile prymas i biskupi tylko upominali króla, a wielu senatorów czyniło to również dyskretnie w cztery oczy, to ostro przeciw niemu wystąpił Stanisław Lubomirski, wojewoda krakowski. Ten stary legalista, trybun szlachty, opromieniony sławą zwycięzcy spod Chocimia, wysłał do króla list, którego odpisy krążyły po całym kraju. W tym, jakbyśmy to dziś powiedzieli — „liście otwartym" pisał wojewoda m.in. o tym, że przygotowania wojenne są w toku, że za granicą o nich głośno, a wszystko to trzymane jest w tajemnicy przed szlachtą, ba, przed niektórymi senatorami; „a my o niczym nie wiemy, choć o naszą skórę idzie" — oburzał się stary wódz i senator. List swój kończy zaklinając króla, by zachował w poszanowaniu jeśli nie dobro ojczyzny, jeśli nie prawa i swobody, to przynajmniej „wiarę królewską, tę ozdobę monarchów i podporę państwa". Przeciwny wojnie głoszonej bez zgody sejmu był nawet świeżo obdarowany wakującą po Koniecpolskim kasztelanią krakowską Jakub Sobieski, który po ostrej rozmowie z królem zmarł na serce; przeciwni wojnie byli także nuncjusz papieski Jan de Torres, jezuici, a nawet wojowniczy Jeremi Wiśniowiecki. Jedni oburzali się na króla, inni będąc pewnymi, że do wojny z Turcją nie dojdzie, bo stany do tego i tak nie dopuszczą, pokpiwają sobie z niego. Przyjazny królowi kanclerz litewski Albrycht Radziwiłł napisał w swym pamiętniku pod majową datą w 1646 roku: „z początkiem miesiąca i jeszcze wcześniej dręczył mnie bardzo przykry ból zębów. Król zamiast polowania wykoncypował sobie wojnę z Turkami".

Królowi wyliczano, że złamał *pacta conveta* w następujących

punktach: o zachowaniu pokoju, o prywatnych zaciągach, o dopuszczeniu cudzoziemców do rady, o wszczynaniu wojny bez sejmu (wszak w podpisanych przez Władysława *pactach conventach* w jednym z punktów wyraźnie stało: „wojsk cudzoziemskich *sine scitu et consensu Republicae* [bez wiedzy i zgody Rzeczypospolitej wprowadzić w państwa koronne, ani *bella ofensiva* [wojny zaczepnej] podnosić i prowadzić, ani suplementów żadnych tak kwarcianego jako i inszego wojska przyczyniać i za granicę wyprowadzać także *sine scitu et consensu* Rzplitej nie będziemy".).

Sytuacja była groźna, królowi łamiącemu *pacta conventa* szlachta miała prawo wypowiedzieć posłuszeństwo. Ossoliński zrozumiał powagę sytuacji — on na pewno czytał Machiavellego — zaczął się gwałtownie odcinać od polityki królewskiej. Przyciśnięty do muru przez podkanclerzego Leszczyńskiego, który zaciągi wojskowe potraktował jako naruszenie prawa i chciał wnosić protest do sądu, nie zgodził się Ossoliński na pieczętowanie listów przepowiednich dla oficerów. Podobnie postąpił kanclerz litewski Radziwiłł. Zmusiło to króla do pieczętowania listów pokojową pieczęcią prywatną.

W sprawie odmówienia pieczęci król odbył rozmowę z kanclerzem litewskim, który tak ją relacjonuje:

„21 maja [...] król, szeroko rozwodząc się nad moim ku jego osobie afektem, powiedział o zamierzonej wojnie. Do tego wiódł, abym poszedł za jego zdaniem. Odrzekłem, że chcę w dalszym ciągu służyć domowi króla aż do ostatniego tchu, lecz proszę króla o wiadomość w sprawie tej wyprawy wojennej, aby mi podał przyczynę, dlaczego bez wiedzy senatu i Rzeczpospolitej podjął tak wieki ciężar wojny i w jaki sposób będzie się ona toczyła? Niedostateczna była odpowiedź króla na te punkty; a ponieważ z panem mym rzecz szła, z wielkim umiarkowaniem ją zbijałem. Ostatecznie rzekł, że to jego własne fatum ciągnie go na tę wojnę. Zdziwiłem się usłyszawszy taką odpowiedź; a potem zapytał dlaczego nie przyłożyłem pieczęci do patentów na zaciąg żołnierzy. Podałem trzy przyczyny, którymi dzięki Bogu zadowoliłem króla.

1. że król czynem tym obraziłby Rzeczypospolitą, gdybyśmy my, urzędnicy, wyciśniętymi pieczęciami to aprobowali, stracilibyśmy zaufanie u stanów i w jaki sposób pogodzilibyśmy umysły obrażonych z królem?

2. jesteśmy zobowiązani przysięgą niczego bez zgody Rzeczypospolitej nie zaopatrywać pieczęciami.

3. gdyby już patenty opatrzono naszą pieczęcią, to byśmy my urzędnicy powstali na sejmie przeciw królowi. Pytano by nas bowiem, dlaczego położyliśmy te pieczęcie. Odpowiedzielibyśmy, że król nam na-

kazał. Tak więc razem wystąpilibyśmy przeciw królowi, który przywiódł nas do tego perswazją i strachem [...]".

Tymczasem w kraju, uznawszy zaciągi za nielegalne, szlachta zaczęła je rozpędzać, ba, podawać oficerów do trybunału. Tak podano to trybunału w Lublinie Przyjemskiego — późniejszego zasłużonego zbarażczyka — który „nielegalnie" piechotę werbował. Zagrożony utratą gardła, musiał się nieszczęsny Przyjemski ucieczką ratować. Rozsierdzony Lubomirski nie chodził nawet do trybunału, „kazał bęben doboszowi o łeb stłuc" i świeżo formowaną piechotę przepędził z Krakowa. Widząc, co się dzieje, król zaczął zaprzeczać ogłoszeniu wojny — by opinię uspokoić, a mimo to przygotowania wojenne prowadził dalej. W Częstochowie, u stóp cudownego obrazu święcił sztandar chorągwi husarskiej, do końca czerwca wysyłał jeszcze listy przepowiednie.

Po zakończeniu uroczystości koronacyjnych Ludwiki Marii, 18 i 19 lipca 1646 odbyło się w Łobzowie pod Krakowem posiedzenie senatu. Brało w nim udział 19 senatorów — wśród nich wojewoda ruski — Jeremi Wiśniowiecki. Ossoliński, który dopiero co odmówił pieczętowania listów werbunkowych, teraz imieniem króla zapewniał senatorów, że zarzut złamania prawa stawiany jest mu bezpodstawnie. O wojnie z Turcją „i przez sen nie myślał", chciał tylko Tatarów rozgromić. Przygotowania rozpoczął zawczasu, bo warunki były sprzyjające, ale przecież król bez sejmu niczego nie chciał postanawiać. Senatorzy, chcąc niechcąc, wzięli słowa kanclerza imieniem króla przemawiającego za dobrą monetę, zaaprobowali wojnę z Tatarami, ale dla rozpatrzenia wojny zaczepnej z Turcją uznali za konieczne zwołanie sejmu.

Zaszły i poza granicami Polski zmiany dla planów królewskich niekorzystne. Car przeszedł od wojny zaczepnej z Tatarami do obronnej i zdaje się, że na Krym przestało mu być śpieszno. Jerzy I Rakoczy, książę siedmiodrodzki, z którym w imieniu króla potajemnie znosił się Janusz Radziwiłł, był bardziej lojalny wobec sułtana niż wobec króla. Mało tego, Turcja deklarowała, że pokój z 1634, który nazywała „świątobliwym" teraz i w przyszłości we wszystkich postanowieniach dotrzyma.

W takiej atmosferze zwołał król sejm na 25 października 1646. Już wybory posłów (13 września) i uchwalane przy tej okazji instrukcje źle wróżyły polityce królewskiej. Domagano się pociągnięcia do odpowiedzialności ministrów i senatorów — rezydentów. Odgrażano rokoszem. Nie tylko występowano przeciw naruszeniu prerogatyw sejmu, ale i przeciw samej koncepcji wojny z Turcją. Ktokolwiek w tej wojnie zwycięży, wyniknie stąd — wywodzono — niewola. Albo turecka, gdyby wojna nie powiodła się, albo, gdyby się powiodła, to król tak

wzmocniłby swą władzę, że mógłby bezkarnie deptać wolności szlacheckie.

Władysław IV tego wszystkiego nie przyjmował do wiadomości. Schorowany monarcha chciał za wszelką cenę postawić na swoim. Ta przemożna chęć zrealizowania jego wielkiego życiowego planu powodowała, że zatracił całkowicie realizm. Zdradzony — jak rozumiał — przez najbliższych współpracowników, otaczał się ścisłym gronem cudzoziemskich doradców i w ich otoczeniu snuł zupełnie już nierealne projekty i czynił, na przekór senatowi i szlachcie, na przekór najżyczliwszym mu doradcom i ministrom, dalsze beznadziejne już przygotowania wojenne. Poprzez posła cesarskiego Francesco Magniego próbował dalszych pertraktacji z Wenecją, szukał poparcia we Francji, próbował nawiązywać kontakt z Persami. Od własnej małżonki pożyczył (pod zastaw klejnotów) 660 tysięcy złotych. Armatami zapełniał lwowski arsenał, hetmanowi kazał w 22 tysiące żołnierzy stanąć na wołoskiej granicy.

W tym czasie Jeremi Wiśniowiecki staje się jedną z najważniejszych figur na polskiej szachownicy politycznej. Nominacja na wojewodę ruskiego i przy tej okazji jawne podkreślenie przemilczanych lub umniejszanych zasług świadczyły jednoznacznie o tym, że dwór chce sobie Jeremiego pozyskać. W akcie nominacyjnym, wydanym w imieniu króla, Jeremiego nazywa się „mężem z wielu miar zasłużonym", który uczestniczył na własny koszt w wielu ekspedycjach wojennych, krwią swoją służył, który „wojska nasze swemi na każdą potrzebę Rzplitej posiłkował i dotąd z odwagą zdrowia i kosztów swoich posiłkować nie przestawał". Z rozpędu pochwalono nawet udział Jeremiego w ekspedycji pruskiej, w której również „zdrowia, krwi etc." nie żałował, choć jak wiadomo, Jeremi przyprowadził do obozu hetmana pod Kwidzyniem wojsko, ale pokój w Sztumskiej Wsi nie pozwolił mu zdrowia ni krwi narażać.

Jak reagował na te nagłe zaszczyty i pochlebstwa Jeremi?

Kniaź od marca był w Warszawie, spotkał się w tym czasie z królem. O czym konferowali, jak dalece w plany swe król go wtajemniczał — nie wiadomo.

W kwietniu był Jeremi w Brodach, gdzie uczestniczył we wspaniałym pogrzebie hetmana Koniecpolskiego. Pogrzeb był zarazem zjazdem wielu poważnych dostojników i zapewne okazją do wymiany poglądów na tak ważne, rozgrywające się właśnie wydarzenia. Wzięli w nim udział — nie licząc Jeremiego i rodziny zmarłego — m.in. kasztelan krakowski Jakub Sobieski, wojewodowie: poznański Krzysztof Opaliński, podolski Stanisław Potocki, bracławski, a zarazem hetman polny Mikołaj Potocki, podczaszy koronny Mikołaj Ostroróg. Tak się

jakoś złożyło, że wśród uczestników pogrzebu znaleźli się niemal wszyscy potencjalni kandydaci do buławy.

W maju król wezwał Jeremiego wraz z hetmanem Potockim na tajną naradę. Wezwani przybyli do Warszawy w połowie czerwca. Fakt wezwania tych właśnie ludzi komentowano jednoznacznie. Potocki zgodnie ze zwyczajem dostanie buławę większą, Wiśniowiecki mniejszą. Było tym bardziej prawdopodobne, że wiadomo już było o fiasku zabiegów Ossolińskiego. Otóż kanclerz rozpoczął w kwietniu zabiegi o przyznanie mu wielkiej buławy hetmańskiej, lub ewentualnie o przyznanie buławy polnej jego synowi. Ossoliński liczył widać, że w obliczu wojny tureckiej król, nie mając zaufania do innych, da hetmaństwo jemu. Kanclerz tym razem naprawdę przesadził, nie miał bowiem najmniejszego doświadczenia wojennego (jeśli nie liczyć jego udziału w kampanii moskiewskiej, którą odbył swego czasu w towarzystwie jeszcze królewicza Władysława).

Fakt ubiegania się o buławę przez kanclerza wywołał powszechne oburzenie. Potocki, gdy dowiedział się o tym, że Ossoliński chce mu podebrać buławę, napisał nie przebierający w słowach list do podkanclerzego Leszczyńskiego, prosząc go — po wyliczeniu całej litanii epitetów pod adresem kanclerza — aby przekazał temu ostatniemu, by zabiegów swych o hetmaństwo zaniechał, bo inaczej „po rusku ne zderżu, a po polsku szablą mu gębę przetnę". Nie wiadomo czy Leszczyński przekazał Ossolińskiemu ostrzeżenie hetmana polnego, ani tym bardziej czy kanclerz o całość gęby swojej się przeraził, dość że, być może pod wpływem perswazji królewskiej, zabiegów zaniechał. Trudno natomiast ocenić, na ile miało to wpływ na zmianę postawy kanclerza wobec planów wojny tureckiej. Tymczasem król spotkał się z Mikołajem Potockim. Hetman polny ostrożnie wypowiedział się przeciw wojnie tureckiej, pomysł tatarskiej pochwalił, obiecał lojalność i ... został hetmanem wielkim. Jeremi spotkał się z królem w kilka dni po Potockim, 19 czerwca w Ujazdowie. Znał więc już cel i finał wizyty Potockiego. Musiał być świadom, że od wyniku tego spotkania zależeć będzie czy otrzyma upragnioną buławę mniejszą, czy nie.

Na wstępie książę podziękował królowi za nominację nad urząd wojewody, następnie złożył przysięgę jako nowo mianowany senator. Po tej ceremonii król, zgodnie zapewne z oczekiwaniami kniazia, zaczął go wypytywać o stosunek do planów wojny tureckiej. Wiedząc, że grozi to przekreśleniem jego szans na otrzymanie buławy, miał Jeremi odwagę powiedzieć królowi, co myśli. Nie dał się kupić województwem ruskim, ani łudzić nadzieją hetmaństwa, tylko „w oczy królowi się sprzeciwił i niezadowolony wyszedł z sali".

Może się wydać dziwnym, że ten wojowniczy kniaź wypowiedział

się — i to z oczywistą szkodą osobistą — przeciw wojnie. Dziwnym może wydać się, że magnateria, na co dzień depcząca prawo prywatne, była tak legalistyczna, gdy chodziło o prawo publiczne. Można było w XVII-wiecznej Polsce zbrojnie zajmować przedmiot sporu, kpić z wyroków trybunału. Nikogo to nie dziwiło ani nie gorszyło. Przeciwnie, niejednokrotnie budziło zachwyt. W takich kwestiach jakże można było liczyć na poparcie braci szlacheckiej. Ale każdy rzeczywisty, bądź tylko urojony zamach na prawa ustrojowe, na złote wolności, wywoływał zawsze jednoznaczny sprzeciw. Osobliwa i chyba wciąż jeszcze nie zbadana do końca jest kultura prawna XVII-wiecznej społeczności szlacheckiej w Polsce.

Tak więc Jeremi Wiśniowiecki, podobnie jak zmarły dopiero co Stanisław Koniecpolski byli legalistami w XVII-wiecznym rozumieniu. Poza tym książę miał na tyle doświadczenia wojennego, by być nadto świadomym tego, że wojna z Turcją jest przedsięwzięciem mimo wszystko ryzykownym, a wysiłek zbrojny, jaki trzeba by tu podjąć, przekracza możliwości Rzeczypospolitej.

Z rodzinnych, smutnych doświadczeń wiedział, jak zawodnym sojusznikiem są Mołdawianie i Wołosi. Z doświadczeń wojny smoleńskiej wiedział, jak kłopotliwym towarzyszem broni potrafią być Kozacy. Wiedział i to, że nie ciesząca się poparciem całego narodu wojna (a brak tego poparcia był w czerwcu 1646 już faktem) nie może zakończyć się sukcesem. Dlatego też w sprawie wojny tureckiej, mimo nęcenia buławą, Jeremi Wiśniowiecki miał odwagę powiedzieć „nie"!

Tymczasem w ślad za wojskiem, które hetman polny gromadził pod Kamieńcem, ruszył król do Lwowa. Odbył tu przegląd wojska — który, nawiasem mówiąc, wypadł dość marnie — i miał wracać do Warszawy. Wracając ze Lwowa do Warszawy odwiedził król (19 sierpnia) Jeremiego Wiśniowieckiego w Białym Kamieniu. Książę wojewoda ruski urządził monarsze godne przyjęcie. Gdy orszak królewski wjeżdżał do rezydencji, uderzyły na wiwat zamkowe działa. Wieczorem odbyła się uroczysta uczta, której nie mogli się nadziwić członkowie towarzyszącego królowi poselstwa francuskiego. Wytoczono bowiem takie ilości najwspanialszych win, że — jak twierdzili w swych relacjach Francuzi — wszyscy upili się do nieprzytomności. Trudno jednak ich świadectwo uznać za absolutnie wiarygodne, skoro nie przyzwyczajeni do takiej ilości trunków padli biedacy jako pierwsi. Nazajutrz, dla uczynienia nudności i bólu głowy mniej nieznośnymi, obdarował gospodarz swych gości nader kosztownymi prezentami. Królowi podarował Jeremi konia wysokiej krwi wraz z rzędem wysadzanym turkusami i rubinami i takiż buzdygan i szablę. Księżna

Gryzelda ofiarowała królowej karetę zaprzężoną w 6 koni. Kosztownie obdarowani zostali też wszyscy członkowie królewskiego orszaku.

Zaprezentowano taki przepych, że podobno kilka panien pokojowych królowej poprosiło o zwolnienie ze służby, aby dostać się do fraucymeru Gryzeldy.

Wyjeżdżających gości żegnało 5 tysięcy książęcego wojska, uszeregowanego na tle specjalnie na tę okazję zaimprowizowanego obozu otoczonego wałami, na które zatoczono działa. Wszystko to czyniono zapewne nie tylko po to, aby uczynić zadość staropolskiej zasadzie „zastaw się a postaw się" ale też po to, by zaprezentować się jak najlepiej, jako wciąż jeszcze kandydat do buławy.

Przepych dworu, a nade wszystko owe 5 tysięcy wojska musiało zrobić wrażenie na królu, któremu najbliższy sejm ograniczyć miał liczebność gwardii do 600 ludzi. Ale buławę ofiarował komu innemu. Ulegając namowom Ossolińskiego, zdecydował Władysław IV dać buławę wojewodzie czernikowskiemu Marcinowi Kalinowskiemu. Prywatnie: ojcu zięcia Ossolińskiego. Fakt ten opinia szlachecka przyjęła nieprzychylnie. Wśród panów ruskich wywołało to oburzenie. Wybór nie był trafny, przez kilka lat hetmanowania Marcin Kalinowski niczym się nie wyróżnił.

25 października 1646 zebrał się sejm. W kłopotliwej sytuacji byli senatorowie, którzy znaleźli się między dworem a izbą poselską niby między przysłowiowym młotem a kowadłem. Na wszelki wypadek wielu z nich z różnych przyczyn nie przybyło do Warszawy na czas, tak że wiele senatorskich krzeseł stało pustych. Kanclerz, jak niegdyś w Łobzowie senatorów, teraz piękną mową próbował uspokoić szlacheckich posłów i oczyścić dwór z „niesłusznych podejrzeń". Kto jak kto, ale niepopularny Ossoliński, podejrzewany — mimo odmowy pieczętowania listów przepowiednich — o główne autorstwo planu wojny, nie był w stanie nikogo przekonać. Tym bardziej że jego młodszy kolega podkanclerzy Leszczyński wystąpił z ostrym oskarżeniem dworu.

Klimat obrad był taki, że nawet ci, co dworowi w gruncie rzeczy sprzyjali, bali się jawnie wystąpić w jego obronie, ograniczając się jedynie do ogólnikowego prawienia o niebezpieczeństwie tatarskim, o konieczności bycia w pogotowiu itp. Nic to nie pomogło i izba poselska stwierdziła naruszenie *pactów conventów*. Król nie mając innego wyjścia, 16 listopada wydał uniwersał polecający rozpuścić poczynione już zaciągi, a tych żołnierzy, którzy nie chcieliby się rozejść, kazał traktować jak „wyjętą spod prawa hałastrę".

Uspokoiło to wzburzoną izbę, która jednak wkrótce zawrzała znowu, doniesiono bowiem, że uniwersał wydany był tylko dla zamydlenia oczu, a zgrupowane wojsko wcale się nie rozchodzi. Wówczas mar-

szałkujący izbie poseł żmudzki Mikołaj Stankiewicz zgłosił pod adresem króla dalsze żądania: aby król powstrzymał Kozaków od drażnienia Turcji, aby ograniczył znacznie liczebność swej gwardii, aby nie wydawał nowych patentów na zaciągi i aby pozwolił na *colloquium* (posiedzenie) posłów z senatem. Wzburzenie umysłów w izbie poselskiej było tak wielkie, że atmosferę tego sejmu historycy porównują z początkiem Długiego Parlamentu w Anglii lub z Czechami tuż przed defenestracją w 1618. Po owym *colloquium* posłów z senatorami senat przychylił się bez specjalnego oporu do opinii posłów, wobec czego król musiał podpisać konstytucję o rozpuszczeniu nowego wojska, zalecając wszystkim władzom rozpędzać nieposłuszne zaciągi. Liczebność gwardii królewskiej ograniczona została do 600 ludzi, a król musiał obiecać, że wydali swych cudzoziemskich doradców i dyplomatów. Dwór poniósł olbrzymią klęskę moralną.

W obradach sejmowych jesienią 1646 książę Jeremi udziału nie brał. Chory, kurował się w Wiśniowcu, interesował się jednak przebiegiem sejmu, raz po raz śląc i przyjmując kurierów z Warszawy. Poza tym książę był uwikłany w dwa procesy (o których była mowa w rozdziale „PRAWEM I LEWEM") — z Aleksandrem Koniecpolskim o Hadziacz i z młodym Łaszczem o starostwo kaniowskie. O ile nadanie kniaziowi Hadziacza i wpuszczenie go w spór z Koniecpolskim mogło być efektem intryg Ossolińskiego — co, jak się zdaje, zasadnie podejrzewa Tomkiewicz — o tyle sprawa starostwa kaniowskiego wygląda dość zagadkowo. Starostwo to dzierżył poprzednio strażnik koronny, Samuel Łaszcz, który — jak wspominano — był arcyłotrem, łotrostwem przewyższającym chyba (w co aż trudno uwierzyć) „Dyabła"-Stadnickiego. Był postrachem wszystkich okolicznych dworów — „kilkaset człowieka zawsze znachodziło się przy boku jego" — a byli to ludzie, przy których sławna Kmicicowa kompania z Sienkiewiczowskiego *Potopu* uchodzić mogła za drużynę skautów. Przy pomocy tej czeredy pan strażnik koronny i starosta kaniowski najeżdżał sąsiadów, „gwałty czynił, mordował, uszy i nosy obcinał, gwałtem panny i wdowy biorąc". Wyliczono mu, że ciąży na nim 236 wyroków banicji i 37 infamii, z których nic sobie nie robił, bowiem jako dobry żołnierz, osobiście dla hetmana Koniecpolskiego zasłużony, korzystał z jego potężnej opieki. Hetman zawsze potrafił swojemu pupilowi załatwić glejt królewski, tak że egzekucje wyroków były niemożliwe. Dopiero śmierć hetmana pozbawiła Łaszcza protektora. Brakło glejtów, formalnie można było wyroki egzekwować. Formalnie można było, ale faktycznie? Trybunał lubelski ogłosił infamię Samuela Łaszcza — a egzekucję wyroku powierzył wojewodzie Januszowi Tyszkiewiczowi.

Aby polecenie Trybunału wykonać, musiał wojewoda powołać pod

broń szlachtę kijowską i na czele 1200 zbrojnych ludzi, wspierany częścią wojsk Wiśniowieckiego, ruszył oblegać infamisa w jego dworze w Makarowie. Widząc, co się święci, Łaszcz umknął z Makarowa i przesiedział czas jakiś w ukryciu, zanim nie znalazł nowego protektora w osobie księcia Dominika Zasławskiego.

Jako infamis pozbawiony został Łaszcz nadanych mu starostw (kaniowskiego i owruckiego), a także pozbawiony urzędu (a raczej już tylko tytułu) strażnika koronnego. Zanim to nastąpiło, udało się Łaszczowi przekazać starostwo kaniowskie synowi Michałowi, który istotnie otrzymał prawną intromisję na to starostwo. Egzekując wyroki, Tyszkiewicz poddawał dobra prywatne Łaszcza jego wierzycielom, królewszczyzny ogłosił za wakujące.

Tu następuje rzecz dziwna. Jeremi Wiśniowiecki zajmuje zbrojnie starostwo kaniowskie. To może jeszcze nikogo nie dziwić, bowiem w podobnych przypadkach książę zwykle postępował podobnie. Ale w sprawie Rumna czy Hadziacza miał jeszcze jakiś tytuł prawny i zajmując je zbrojnie, realizował swoje słuszne — jak miał prawo sądzić — prawo. Zajmując starostwo kaniowskie i uzurpując sobie tytuł „starosty kaniowskiego" naruszał jawnie kompetencje królewskie (król rozdawał starostwa) bez żadnego tytułu prawnego.

Michał Łaszcz wniósł w listopadzie (1646) skargę na księcia, że nie mając żadnych praw zajął starostwo i pobiera z niego podatki. Jeremi został wezwany do Warszawy (14 lutego 1647), na który to termin się nie stawił, wobec czego wydano wyrok zaoczny, wedle którego książę musiał z Kaniowa ustąpić najdalej w 6 tygodni, mało tego, miał wypłacić młodemu Łaszczowi 100 000 tytułem odszkodowania, wszystko pod rygorem banicji. Wiśniowiecki nic sobie z tego nie robił, ze starostwa nie ustąpił, nadal używał tytułu „starosty kaniowskiego". Co więcej, jeszcze przed tym wyrokiem Jeremi—jako „starosta kaniowski" — procesuje się z jezuitami z Perejasławia i proces wygrywa. Kancelaria koronna — choć formalnej nominacji na starostwo nigdy nie dostał — mimo wyroku sądowego tytułuje go oficjalnie „starostą kaniowskim", którego to tytułu, już nie kwestionowanego przez nikogo, książę do śmierci używał.

Można podejrzewać, że to tajemnicze objęcie starostwa i dziwne zachowanie kancelarii koronnej miało jakiś związek z ogólną sytuacją. Bo też i rok 1647 był to dziwny rok, chciałoby się powtórzyć za Sienkiewiczem.

W chwili, gdy król podpisywał ową nieszczęsną konstytucję sejmową, która raz na zawsze miała przekreślić jego plany wojny tureckiej, wysłany przez niego kapucyn Magni załatwił zasiłki w Wenecji i Florencji, a przede wszystkim u papieża Innocentego X. Wojna mos-

kiewsko-tatarska po chwilowym rozejmie wybuchła na nowo. Sytuacja zewnętrzna znów wydała się sprzyjać Władysławowi.

Król postanowił raz jeszcze spróbować i wcielić w życie swój plan. Tym razem idąc już drogą legalną. Zwołał więc na maj 1647 sejm nadzwyczajny dla opatrzenia granic państwa. Tym razem, działając oficjalnie i legalnie, Ossoliński i Potocki agitowali na sejmikach za królem. Nic z tego. Gdyby tą drogą szedł Władysław IV przed rokiem, być może coś by wskórał. Teraz plan jego nie miał najmniejszych szans powodzenia. Szlachta zbyt była wzburzona przeciw niemu. Przed rokiem król utracił i autorytet, i popularność, i zaufanie, toteż sejm do wojny porwać się nie dał. Za to specjalna komisja pod przewodnictwem królewicza Jana Kazimierza obradowała nad sposobem pogodzenia Wiśniowieckiego z Koniecpolskim i była to bodaj najpoważniejsza sprawa załatwiona przez ten sejm. Tyle tylko, że przeszła ustawa o zatrzymaniu pod bronią wojska kwarcianego. Król nie zrażał się tym, tylko swoją koncepcję wojny realizował w sposób iście już maniakalny. Miał czas do następnego sejmu, wierzył w lojalność senatu. Posła od chana potraktował tak ostro, że można to było uznać za wypowiedzenie wojny. Kasztelana kijowskiego Adama Kisiela wyprawił król z poselstwem do cara Aleksego Michajłowicza, by montować antybisurmański sojusz. Energiczne, choć beznadziejne zmagania Władysława IV przerwała niespodziewana śmierć jego naprawdę ukochanego dziecka, 6-letniego królewicza Zygmunta Kazimierza (9 sierpnia 1647 roku). Cios ten załamał króla. Przygotowania wojenne szły jeszcze samą siłą rozpędu.

Tymczasem Jeremi z początkiem września przybył na Zadnieprze i zarządził mobilizację swych wojsk. Zwerbowano 6000 sług (szlachty, urzędników i dzierżawców książęcych) wraz z pocztami oraz 20 000 chłopów „wybrańców". Ci ostatni służyli w piechocie, a także dragonii i chorągwiach kozackich. Była to już nie dywizja, ale korpus. Takie siły mobilizowała nieraz, i to z trudem, cała Rzeczpospolita. Koncentrację wojsk wyznaczył książę w Żołninie, miejscu pamiętnym ze zmagań z Kozakami w 1638. Stąd 8 października korpus książęcy ruszył w stepy. Stepami prowadził swych żołnierzy Jeremi pod Kudak.

Zostawiwszy część wojska w obozie naprzeciw Kudaku, tylko w 3000 jazdy udał się kniaź wzdłuż Dniepru obejrzeć Dnieprowe porohy. Niedaleko Chorotycy na uroczysku Kuczkasów kazał książę usypać wielką mogiłę z kamieni, aby tak upamiętnić swą bytność w tym miejscu. Dworzanin królewski, uczestnik wyprawy, autor znanego *Dyariusza* Bogusław Maskiewicz cel owego sypania mogiły określił przesadnie „na pamiątkę wieczną, gdyż tamtą stroną żaden jeszcze pan naszego narodu nie bywał tak daleko".

Mylił się imć Maskiewicz. Bywał, i nawet Chorotycę ufortyfikował, a był nim — jak już wiemy — jeden z najgłośniejszych kniaziów: Dymitr-Bajda, przodek Jeremiego.

Zawróciwszy znad porohów, połączył się książę z resztą wojska, ruszając dalej w step, w kierunku południowo-zachodnim, kierując się na Perekop. Po 6 dniach drogi wyprawa dotarła do Perekopu, choć niektórzy historycy w to wątpią, pogrążając się już niewątpliwie w ziemie tatarskie. Nie spotkano tam jednak — zwykłych na tym miejscu — koczowisk tatarskich. Uprzedzeni zapewne o wyprawie księcia, Tatarzy cofnęli się, nie dając się za wszelką cenę sprowokować. Zawrócono więc. Poprzez Kudak powrócił książę do Łochwicy, do której dotarł w połowie listopada.

Wkrótce po wyprawie Wiśniowieckiego, podobną podjął chorąży Koniecpolski, kierując się na Oczaków. Cel tych wypraw nigdy nie był wyjaśniony. Można jedynie domyślać się, że miały one sprowokować Tatarów. Pozostaje kwestią czy były one uzgodnione z królem, czy nie. Niektórzy historycy twierdzą, że były to wyprawy zupełnie samodzielne, podejmowane bez wiedzy króla (Wiktor Czermak). Ostatnio jednak przeważa pogląd, że wyprawy te odbyły się nie tylko za wiedzą króla, a też na jego prośbę. Gdyby przyjąć taką hipotezę, należałoby zastanowić się, jak to możliwe, że Jeremi, który jeszcze przed rokiem jawnie wypowiadał się przeciw wojnie, choć wiedział, że traci w ten sposób szansę na buławę, teraz wspólnie z królem i z jego poduszczenia próbuje tę wojnę za plecami sejmu sprowokować, nie mając już nic do zyskania, ponosząc przy tym niebywałe przecież koszty, ryzykując, że w razie starcia zbrojnego koszty te zwielokrotnią się. Jakoś to wszystko nie pasuje do Jeremiego. A może król zapłacił mu za to starostwem kaniowskim? Jeśli jednak tak, to dlaczego nie dał mu oficjalnego nadania, tylko zachęcił do bezprawnego zajęcia starostwa, które później zalegalizował? Podobnie nieznanym do końca pozostaje cel sierpniowego wyjazdu na Ukrainę Ossolińskiego. Oficjalnie jechał kanclerz lustrować swe dobra. Przy okazji miał łagodzić spory między unitami a dyzunitami. Ale też miał rozmawiać z Kozakami, którym w Warszawie obiecano zwiększenie rejestru i wolności, którym poufnie polecono się zbroić, a teraz oficjalnie kazano rozbroić. Treść rozmów kanclerskich pozostanie jednak zagadką.

Zaiste rok 1647 był to dziwny rok... Rok przyszły miał przynieść wojnę. I to nie tę upragnioną przez króla, zaczepną wojnę z Turcją, ale „z wszystkich najgorszą, wojnę domową", okrutną. „Sroższej której ani krwawszej nigdy nie było"...

X. PIERWSZA BURZA

Nadszedł rok 1648. Ów rok zapowiadany dziwnymi znakami na niebie i ziemi, które Samuel ze Skrzypny Twardowski tak opisuje:

> ... słoneczne rok przed tym zaćmienie
> Niezwyczajne, straszliwe. Jako w srogiej owej
> Na onczas defekcyey, przy Zbawicielowej
> Śmierci było widziane. Także prędko po-tym
> Rozczochrany kometa, niźli się kto o tym
> Mógł dowiedzieć dni dziesięć, strzelając od siebie
> Jadowite zarazy, przegorzał na Niebie.
> Nawet tedy, gdy się ta Chimera rodziła
> Szarańcza niebywała świat tu nasz zaćmiła...

Jeremi 7 stycznia wraz z księżną Gryzeldą udał się do swego dworzanina i oficera Suffczyńskiego do Sieńczy na chrzciny. W tydzień później pojechał do Łubniów na pogrzeb innego swego sługi i żołnierza, Zakrzewskiego, który jeszcze niedawno brał udział w wyprawie na stepy, a teraz zmarł nagle. Książę na swój koszt sprawił mu okazały pogrzeb. W uroczystościach tych towarzyszyli mu panowie Bodzyński i Lasota, którzy przybyli w roli dziewosłębów od wojewodzica łęczyckiego oświadczyć się o rękę księżniczki Barbary Zbaraskiej, wychowanicy książęcej. Ledwie dziewosłęby, obdarowani hojnie przez księcia odjechali, 15 lutego przyszła wiadomość, że „Chmielnicki jakiś, zebrawszy trochę hultajstwa z Zaporoża, spędził pułk korsuński, który był w załodze". Zapisujący te słowa dworzanin książęcy pan Bogusław Maskiewicz, bawiący na Ukrainie od niedawna i w wielkiej polityce nie obeznany, nie znał wagi tej wiadomości. Poznał się na niej Jeremi. Ów „Chmielnicki jakiś" — był to przecież pisarz wojska zaporoskiego, uczestnik kozackiego poselstwa do króla z czasów przygotowań do wojny tureckiej, pisarz i współorganizator nowego zaciągu kozackiego czynionego bez zgody sejmu, a teraz z polecenia sejmu ku wzburzeniu Kozaków, z powrotem „w chłopów" obracanych, rozwiązanego. Wiśniowiecki pojął, czym przy obecnych nastrojach ukrainnych ta ucieczka

na Sicz Chmielnickiego i zapoczątkowany przez niego bunt Kozaków może się skończyć. Toteż natychmiast wysłał Maskiewicza z listem do hetmana Potockiego, uprzedzając go o niebezpieczeństwie. Hetman bawił w tym czasie w Bohusławiu, 30 km od Kaniowa, gdzie przybył na pogrzeb swego szwagra. Wiadomość przyjął spokojnie i poprzez Maskiewicza odesłał odpowiedź. W tym też czasie przybył do hetmana poseł od chana, który hetmanowi przywiózł od swego pana „pokój i pozdrowienia", w rzeczywistości zaś miał zapewne uśpić jego czujność i wybadać siły.

Maskiewicz do Przyłuki powrócił z końcem miesiąca. Książę nie podzielał początkowego optymizmu hetmana i na wszelki wypadek rozpoczął rozbrajać swych zadnieprzańskich chłopów. Odebrał im wówczas 60 tysięcy samopałów. Z postępowania książęcego widać, że spodziewał się, iż tym razem nie skończy się na buncie wypisanych z rejestru Kozaków, których można przy pomocy rejestrowych — jak nieraz w przeszłości bywało — rozpędzić, ale że zanosi się na wielkie powstanie ludności chłopskiej. Na nieszczęście hetman zrozumiał to znacznie później. Tymczasem 1 kwietnia przybył do księcia poseł od chana, Czaumis Murza z dwudziestoosobowym orszakiem, prosząc go o zwolnienie trzech posłów, którzy idąc przed dwoma laty w poselstwie do Moskwy, widocznie w dobra książęce zbłądzili, bo książę zatrzymał ich. Poseł przyprowadził też księciu dary od chana „konia gniadego, tureckiego, choć starego, ale nieszpetnego z kulbaką nie bardzo wyśmienitą" i łuk turecki „piękny". Cel tego poselstwa również wydaje się jasny, jak jasnym wydaje się, dlaczego sobie chan o więzionych posłach przypomniał dopiero po dwóch latach. Podobnie jak w poselstwie wysłanym do hetmana, tak i tu chodziło o uspokojenie czujności i ocenę sił. Jeremi w lot pojął politykę chana i dlatego... zatrzymał członków poselstwa jako zakładników. W tym czasie wiedziano już na Ukrainie o lidze tatarsko-kozackiej.

3 kwietnia wiedziano już w odległym przecież Barze, że „Chmielnicki rachuje swoich 2500, między niemi Tatarów na 500" (pod tą datą wiadomość tę przesłał z Baru do niewiadomego nam adresata Łukasz Miaskowski — sędzia podolski).

Chmielnicki tymczasem „leży na Ostrowie (Bucku nazwanym) Dnieprowym, od brzegu 2 mile tu od nas, a po tamtej stronie od Krymu, z działa dobrego ledwie dostrzeli" i czeka.

Hetman Potocki wysłał do niego posła, pana Chmieleckiego, rotmistrza, aby wybadał sytuację. Przesłał mu hetman przez posła obietnicę „miłosierdzia i postępków jego *indulgentiam* [przebaczenie]". Ale Chmielnicki już nie miłosierdzia oczekiwał od hetmana. Zażądał, aby hetman z Ukrainy ustąpił, aby rejestrowych pułkowników oddalił

i przy wolnościach, nie bacząc na ostatnie uchwały sejmu, Kozaków zostawił. Krótko mówiąc, żądał, aby zrealizowano obietnicę królewską, później pod wpływem sejmu przez króla odwołaną. Równocześnie dowiedziano się, że Chmielnicki po dalsze posiłki tatarskie posłał i na ich przybycie oczekuje. Teraz dopiero hetman zrozumiał, co się święci. Nie czekając na decyzje królewskie, zmobilizował swe siły i ruszył na Ukrainę. W liście do króla usprawiedliwia swe postępowanie i przedstawia — wyjątkowo jak na niego trzeźwo — sytuację. Pisze, że z wojskiem na Ukrainę ruszył, bowiem „do ugaszenia szkodliwego ognia pośpieszył, który tak by się zajął, że nie byłoby tej wsi, tego miasta, w którejby na swawolę nie wołano i nie myślano i o zdrowiu, i o substancjach panów swoich i dzierżawców, swawolnie upominając się zasług swoich i częste zanosząc w krzywdach i dolegliwościach supliki".

Przy okazji wymienił hetman jedną z ważnych przyczyn wojny kozackiej. Ale czy ją rozumiał? Czy w całej szlacheckiej Rzeczypospolitej był człowiek, który mógł to zrozumieć? (A swoją drogą czy to tak trudno zrozumieć, że intryga intrygą, ale zadowolony lud nigdy do buntu nie przystąpi?)

W dalszej części listu hetman donosi królowi, że jego działania zbrojne o charakterze prewencyjnym mają nadto zapobiec dozbrojeniu się buntowników w armaty w małych miasteczkach ukraińskich.

Jak dotąd ocena sytuacji jest — jak wspomniano — bardzo trzeźwa. Ale hetman jest optymistą, pisząc dalej: „chociażem się ja w Ukrainę ruszył, nie ruszyłem się *ad profundendum christianum sanguinem* [by krew chrześcijańską przelewać], [...] ale abym nie dobywszy broni strachem samym wojnę skończył".

Za ten optymizm miała wkrótce zapłacić cała Rzeczpospolita, miał ogromną cenę zapłacić sam hetman. Wierząc, że „nie dobywszy broni samym strachem wojnę skończy" nie potrzebował Potocki pomocy Wiśniowieckiego. Książę tymczasem spokojnie na Zadnieprzu siedział, pogrzeby kilku kolejnym towarzyszom swojej chorągwi wyprawiał, ale wojsko swe mobilizował. Od hetmana, który głównymi siłami stanął pod Czehrynem na granicy Dzikich Pól, nie było żadnej wiadomości. Stojąc pod Czehrynem hetmani popełnili kardynalny błąd, bowiem rozdzielili swe siły na trzy części. Trzon sił głównych zastawiając przy sobie, przeciw Chmielnickiemu w głąb Dzikich Pól wyprawili dwa praktycznie niezależne od siebie oddziały. Jeden lądem, pod dowództwem hetmańskiego syna, Stefana Potockiego, drugi Dnieprem w dół. W tym drugim oddziale, złożonym w głównej mierze z Kozaków rejestrowych (w sile ok. 4 tysięcy) płynął przeciw Chmielnickiemu m.in. Iwan Barabasz, niegdyś również uczestnik tajnych narad z królem, niedoszły hetman nowego zaciągu. W oddziale młodego Potockiego

znajdował się nowo mianowany komisarz kozacki Jacek Szemberk, a także doświadczony żołnierz, weteran spod Ochmatowa — późniejszy pogromca Szwedów i Kozaków — Stefan Czarniecki.

4 maja Chmielnicki z Tohaj-bejem ogarnęli płynących Dnieprem rejestrowych, którzy wymordowawszy wierną Polsce starszyznę (zginął m.in. Barabasz), przeszli na stronę buntu. Tak wzmocnieni, Chmielnicki z Tohaj-bejem ruszyli przeciw oddziałowi Stefana Potockiego. Do spotkania doszło 11 maja u Żółtych Wód. Niewielki polski oddział (ok. 1200 ludzi) nie miał żadnych szans w walce z wielokroć już liczniejszym przeciwnikiem. Usypano obronne szańce, w których dawano dzielny, acz beznadziejny opór (do 16 maja), jednak na skutek zdrady znajdujących się w oddziale Kozaków rejestrowych i dragonów, którzy przeszli na stronę Chmielnickiego, opór załamał się. Pod nóż lub w pęta poszli wszyscy. Zginął młodziutki Stefan Potocki, syn i nadzieja hetmana. Komisarza Szemberka zamordowano w wymyślny sposób. Czarniecki dostał się do niewoli, zbiegł z niej i schronił się w Kudaku. Dopiero po jego kapitulacji dostanie się do niewoli po raz drugi. W tym czasie nieświadomi niczego hetmani stali spokojnie pod Czehrynem.

Nie mając żadnych wiadomości o sytuacji, nic jeszcze o klęsce żółtowodzkiej nie wiedząc, wysłał Jeremi Maskiewicza do Jeremiówki na drugi brzeg Dniepru, aby wywiedział się o rozwój sytuacji. Tu Maskiewicz dowiaduje się o klęsce u Żółtych Wód, wysyła więc księciu przez gońca list. W odpowiedzi książę przesyła mu kolejny list z poleceniem przekazania hetmanom zapytania, gdzie ma ze swoim wojskiem stanąć. Jedzie więc Maskiewicz z Jeremiówki do obozu koronnego, aliści okazuje się, że hetmani na wieść o klęsce zaczęli się gwałtownie cofać w kierunku na Czerkasy i Korsuń. Musiał tedy Maskiewicz ich gonić. Poselstwo jego stało się nadar niebezpieczne, bowiem na terenach, z których wycofało się wojsko koronne, chłopstwo chwytało już za broń, tak że nawet w Skiernej, gdyby w porę przez dziurę w płocie nie zbiegł, pewnie listu książęcego hetmanom by już nie doręczył. Pustoszały miasta i dwory, szlachta uchodziła za cofającym się wojskiem koronnym. Spodziewany płomień buntu ogarniał coraz szerzej Ukrainę. Jazda Maskiewicza z listem do cofających się hetmanów, z Kozakami depczącymi mu po piętach, przez kraj zrywający się do buntu, przypomina żywo ucieczkę Zagłoby i Heleny z Rozłogów.

Dopiero 3 mile za Mosznami dogonił Maskiewicz hetmanów. Nie mieli oni żadnych wiadomości o nieprzyjacielu, ani prawdopodobnie żadnej koncepcji bitwy. Dali Maskiewiczowi list do Jeremiego, w którym „nic pewnego [...] gdyż sami hetmani żadnej nie mają wiadomości". Przez Perejasław wrócił Maskiewicz do księcia na Zadnieprze.

Stan hetmańskiego wojska zrobił na nim przygnębiające wrażenie. Musiał poważnie zatroskać się książę Jeremi, kiedy od sługi swego taką o wojsku koronnym usłyszał relację: „I diabła tam miał być dobry rząd, kiedy pan krakowski hetman wielki koronny, Mikołaj Potocki ustawnie się opił gorzałką, jako i w te czasy pijany w karecie siedział, a drugi polny hetman Kalinowski, choć chciał co począć, nie bardzo go posłuchano, a do tego wzroku dobrego nie miał, bo na staję nie widział dobrze".

Nie mając żadnych nie tylko poleceń, ale nawet informacji od hetmanów, którzy rozpoczynając odwrót nie raczyli go nawet o tym poinformować, a cofając się na zachód oddalali się od niego coraz bardziej, rozpoczął Jeremi — nie mając innego wyjścia — działania na własną rękę. Dwór, a wraz z nim księżną Gryzeldę, wyprawił do Brahina, sam z wojskiem z Przyłuki poprzez Rudawkę podążył w kierunku na Perejasław, zbliżając się do Dniepru. 27 maja ruszył dalej z Turówki i pod Jahotynem spotkał swego żołnierza, towarzysza husarskiego Polanowskiego, uczestnika bitwy pod Korsuniem i od niego dowiedział się o kompletnej klęsce hetmanów. Na wieść o tym książę przyśpieszył marsz i dotarł do Perejasławia. Tu okazało się, że przeprawa przez Dniepr jest już właściwie i spóźniona, i nader niebezpieczna, i w sumie niecelowa. Na prawym brzegu Dniepru nie było już armii koronnej. Przestała istnieć, rozbita zupełnie dnia poprzedniego, to jest 26 maja. Obydwaj hetmani byli w niewoli. Klęska korsuńska, spowodowana w dużej mierze nieudolnością hetmanów, którzy niepotrzebnie i nieostrożnie już wcześniej rozdzielili swe siły, a teraz dysponowali tylko około 5-tysięcznym korpusem (w którym obok żołnierzy kwarcianych byli wolontariusze m.in. z prawobrzeżnych dóbr Jeremiego, pod dowództwem jego pułkownika; jednym z tych wolontariuszy był zapewne spotkany pod Jahotynem Polanowski). Drugim błędem hetmanów było zlekceważenie oferty pomocy Wiśniowieckiego, który dysponował przecież siłami równymi siłom hetmańskim. Do tego wszystkiego doszło jeszcze morale wojska (i jego głównego wodza) i nieudolne, niezdecydowane prowadzenie bitwy.

Tak czy owak, wojsko koronne na Ukrainie już nie istniało. Położenie Wiśniowieckiego stało się nader trudne. Pozostał na Zadnieprzu, odcięty od reszty ziem Rzeczypospolitej. Cała prawobrzeżna Ukraina była w ręku Kozaków. Przeprawa przez Dniepr w tej sytuacji byłaby już czystym szaleństwem — cóż znaczyć mogło owych 6000 żołnierzy książęcych przeciw już w tej chwili krociom Chmielnickiego i Tatarów? Przeciw całemu powstającemu i chwytającemu za broń chłopstwu ukrainnemu? Mimo to książę zdecydował się iść na prawobrzeżną Ukrainę. Stanął nad Dnieprem na wysokości Ryszczewa (na

południowy zachód od Perejasławia), rozesłał podjazdy po całej okolicy rozkazując, aby wszystkie promy i łodzie, jakie na odcinku od Czerkas do Rzyszczewa znajdą, rekwirowali i do obozu ściągali. Książę liczył się z tym, że pod Korsuniem rozbito wprawdzie wojska koronne, ale ich nie zlikwidowano. Sądził więc, że część tego wojska, choć rozproszona, jednak istnieje i będzie mogła zwiększyć jego siły. Okazało się to niemożliwe. Brzegi Dniepru ogołocone już były z łodzi, częścią przez Kozaków rejestrowych, których jeszcze hetman w dół Dniepru ekspediował, częścią zaś celowo poniszczone przez Kozaków i chłopów, aby księciu uniemożliwić przeprawę. Mało tego, prawy brzeg rzeki pilnie strzeżony był przez Kozaków. Musiał więc Wiśniowiecki ustąpić i od Dniepru cofnąć się w głąb Zadnieprza.

Należało się zastanowić nad położeniem. A było ono zaiste ciężkie. Zwołał więc książę swoich oficerów na radę, co dalej uczynić. „Stanęło na tym, że uchodzić z tym wojskiem kędykolwiek za Dniepr, nim się jeszcze zadnieprzańscy chłopi zbuntują. Nigdzie tedy nie widzieli jeno jedną dziurę do uchodzenia: na Czarnihów". Oprócz wojska uchodziło z Jeremim z Zadnieprza wiele rodzin szlacheckich i żydowskich. Tłumy uciekinierów, ich wozy niezwykle utrudniały pochód, którego szlaku współcześni nie wahali się określać jako „podobnym gdzieś z Egiptu Mojżeszowym torem".

Po kilku dniach marszu, w czasie którego wojsko musiało cały czas ochraniać tabory, staczając bitwy z coraz bardziej agresywnymi i coraz liczniejszymi watahami uzbrojonego chłopstwa i Kozaków, 4 czerwca dotarł książę do Desny pod Czernihowem i rozpoczął przeprawę. Przeprawienie takich ilości ludzi i sprzętu przez rzekę zabrało mu kilka dni. W czernihowskim zamku zamknęło się nieco okolicznej szlachty, gotowej tam bronić się przed Kozakami. Książę radził im, aby przyłączyli się do jego pochodu, ale oni, ufni w obronność miejsca i nie bardzo świadomi niebezpieczeństwa, uparli się zostać w Czernihowie, co wszyscy wkrótce życiem przypłacili, bowiem Kozacy zdobywszy zamek, wszystkich wziętych do niewoli pościnali.

Tymczasem Jeremi wraz z całym pochodem dotarł do Lubecza nad Dniepr, gdzie wojsko przeprawiało się przez rzekę, książę zaś z niewielkim tylko orszakiem przedostawszy się na drugi brzeg jako pierwszy, ruszył do Brahina, gdzie wcześniej odprawił dwór i rodzinę. Wojsko miało iść za nim. Gdy wreszcie przeprawę ukończono, Wiśniowiecki zatrzymał pochód na kilka dni, które spędził z małżonką i dworem, zaś wojsko rozłożyło się obozem dla odpoczynku.

Kozacy szli, jak się okazało, trop w trop za księciem. Zatrzymali się jednak pod Czernihowem i jakiś czas zajęło im zdobywanie miasta. Uratowało to być może Jeremiego, który tymczasem ruszył w dalszy

Ukraina — trasa odwrotu Jeremiego Wiśniowieckiego z Zadnieprza

pochód przez Babicz pod Mozyr. Tu przeprawił się przez Prypeć, żonę i dwór odesłał do Turowa, do wojewodziny Chodkiewiczowej. Sam natomiast wraz z wojskiem zamierzał przez lasy i błota poleskie dostać się na południe, by wpaść na Ukrainę na wysokości Żytomierza. Zdając sobie sprawę z tego, że po rozgromieniu hetmanów jego wojsko jest jedyną zorganizowaną siłą zbrojną, chciał ją książę za wszelką cenę powiększyć. Jeszcze spod Czernihowa słał więc uniwersały do szlachty, aby jako że „dalsze nam grozi niebezpieczeństwo, a wspólna miłość ojczyzny nas wiąże [...] zgromadzić się raczyli, a do mnie jako najprędzej przybywali"... Oczekiwania książęce nie spełniły się, część bowiem adresatów uniwersału już poszła pod nóż — płomień powstania błyskawicznie ogarniał całą Ukrainę — część pakowała rodziny i dobytek, i uchodziła co prędzej na zachód.

Aby szlachcie umożliwić gromadzenie się pod jego sztandarami, zostawił książę tabory, a sam komunikiem ruszył pośpiesznie na południe. Przeprawienie się z Zadnieprza przez lasy i bagna uważane za nieprzebyte było nie lada wyczynem książęcym. Przez cały ten czas nie miał Jeremi żadnej łączności z resztą kraju. I wzajemnie. W Polsce nie wiedziano nic o losach księcia i zadnieprzańskiej szlach-

ty. Kursowały na ten temat najbardziej fantastyczne pogłoski. Według jednej z nich, książę miał wraz z 15 tylko osobami granicę moskiewską przekroczyć, i w ten sposób życie ratować. Nawet dobrze na ogół zorientowany Kisiel pisał prymasowi w końcu maja, że książę z garścią szlachty „przeprawił się w bracławskie województwo"!

Gdy tylko Wiśniowiecki wydostał się z okrążenia, natychmiast powiadomił o tym Warszawę. Jeszcze z Polesia wysłał list do kanclerza. List ten minął się w drodze z listem kanclerskim, w którym Ossoliński powiadamia księcia o śmierci króla.

Bowiem dnia 20 maja zmarł w Mereczu Władysław IV. Rozpoczął się trudny i paraliżujący kraj okres bezkrólewia. Kanclerz pisał też do księcia, w formie nader obiecującej, że będzie z nim w listownym kontakcie, komplementując na koniec, że jest pewien, że „jako ojczyzna zawsze uznawała W.K. Mość najdzielniejszym swym obrońcą, tak i teraz dozna wielkiego całości swej zbawcę".

Książę tymczasem szedł dalej na południe. W Owruczu zatrzymał się na dwa dni celem zgromadzenia dla wojska żywności. Następnie ruszył przez Horoszków, Wiszomierz do Żytomierza, gdzie odbywał się właśnie sejmik województwa kijowskiego, zwołany przed sejmem konwokacyjnym.

W korespondencji z kanclerzem Wiśniowiecki jasno przedstawił swój pogląd na sposób, w jaki winno się uśmierzyć rebelię. Jest nim tylko pobicie nieprzyjaciół. Pisał Jeremi: „zbliżam się z ludźmi mymi ku temu nieprzyjacielowi, azali Pan Bóg przy ochotnych Ichmościów posiłkach zdarzy szczęśliwy z onym kongres".

„Ichmościowie" w Warszawie tymczasem wcale nie myśleli o posiłkach dla Wiśniowieckiego, wchodzącego w kraj ogarnięty przez pożogę buntu. W czasie kiedy Wiśniowiecki za Żytomierzem wkraczać będzie w teren objęty wojną, Ossoliński zamiast spodziewanych posiłków przyśle mu... zaproszenie na wspólną naradę do Warszawy, Kisiel zaś trochę cyniczny, trochę naiwny list zaczynający się od słów „*Gratulator* [spieszy z wdzięcznością] Ojczyzna zbliżenia się WXMci Pana w te tu kraje *in hac calamitate sua* [w czas klęski swej]. *Gratulator* [winszuję] i ja przy niskim pokłonie..." Dalej Kisiel zapewnia Wiśniowieckiego, że za zgodą „JMCi X. Arcybiskupa, osierociałej Rzplitej Dyrektora i wszystkiego senatu do Warszawy zgromadzonego" posłańcem swoim „ujął Chmielnickiego" i „znów do niego posyła". Zaleca Wiśniowieckiemu wstrzymać kroki wojenne i „czekać, co będzie *in eventus* [na wypadek] traktatu". Jeremi odpowiada na ten list z obozu w Horoszkowie. Z listu przebija gorycz i rozczarowanie: „Dziękuję ja wielce WMci Panu, że z mego w ten kraj przybycia cieszyć się raczysz; a ja zaś na to uskarżać się muszę, że niedawniej mi

przyszło stanąć z wojskiem kwarcianym do starcia tych żądeł, które teraz zdrajcy ci, rebelizantowie na Rzplitą wywarli. Muszę i na to ze zdumieniem boleć, patrząc na tak mizerny stan Rzeczypospolitej, której słudzy i niewolnicy rozkazują i nie dość na tym, że tak znaczną ze krwi braci naszej odnieśli korzyść, taką zniewagę Rzeczypospolitej zadali, ale jeszcze, że tak horendalną w granicach państwa zostawiwszy klęskę w nagrodzie i ukontentowaniu odnoszą otuchę. O! raczej było umierać potrzeba aniżeli takich doczekać czasów [...] Rady w tej mierze nie mogę chwalić [...] Ale aby takowy z Kozakami traktament miała Rzeczpospolita pacyfikować żadnego w tem nie widzę fundamentu, tylko ten, że wiecznie w tym niewolniczym umyśle utkwi dla dalszego swawoleństwa i rebeliej odwaga, coraz gorsza ambicja i dla stanu rycerskiego ustawiczna opresja. Jeżeli tedy Rzeczpospolita, tak nadmierne rany od tych zbójców zadane [...] twardym snem pokryje, nic inszego sobie obiecywać nie może, tylko ostateczną klęskę i zgubę [...] któż większym nieprzyjacielem ojczyzny, jak nie ci, którzy już ją poganinowi zaprzedali, którzy krew szlachecką w wodę prawie temperują i obrońców granic Koronnych znoszą? [...]". List kończy jeszcze *post scriptum*: „Jeżeli za zniesieniem wojska kwarcianego i pobraniem hetmanów do więzienia kontentacyą otrzyma Chmielnicki, i przy dawnych wolnościach zostawać będzie z tem hultajstwem, ja w tej ojczyźnie wolę nie żyć; i lepsza rzecz umierać aniżeliby hultajstwo i pogaństwo miało nam panować — Hieremi Michał Korybut na Wiśniowcu i Łubniach — W.Z Ruskich".

Tymczasem zwycięski po Korsuniu — a być może nawet oszołomiony nie tyle zwycięstwem nad hetmanami, co rozmiarami powstania — Chmielnicki dalszych kroków wojennych nie przedsiębrał, w głąb Rzeczypospolitej nie ruszał, a jedynie luźne oddziały Kozaków i czerni niosły płomień zniszczenia po całej Ukrainie. Zdobywano pomniejsze, pozostające w rękach Polski miasta i zamki, mordowano szlachtę, Żydów, duchownych katolickich. Wojna kozacka jeszcze w tej fazie nie skrystalizowała się jako wojna narodowa ani religijna, szlachta prawosławna ruska jeśli jawnie i czynnie nie opowiadała się za buntem, szła pod nóż na równi ze szlachtą rzymskokatolickiego wyznania. Powstańców ruski i prawosławny szlachcic Joachim Jerlicz, autor głośnej *Kroniczki* nazywa „zbójcami, niecnotliwymi psami, jako nie może być pod słońcem gorszego stworzenia nad one" i przed nożem kozackim chroni się — jak wspomniano — w Kijowie, w Ławrze Peczerskiej, gdzie przesiedział do końca wojny ukrywany przez prawosławnych mnichów. Sejmik ziemi kijowskiej, na który do Żytomierza przybył Wiśniowiecki, w swej uchwale głosi wyraźnie jedność szlachty prawosławnego („greckiego") i rzymskiego obrządku: „Przyrzekamy,

iż którzy jesteśmy w wyznaniu greckim i rzymskim różnymi, pokój pomiędzy sobą zachować, a dla różnej wiary greckiej i rzymskiej krwie nie przelewać ani odbieraniem dóbr i uczciwości i uciążeniem jeden drugiego poenować [karać] i urzędów tym zabronić. Owszem, gdyby pod tym pretekstem chciał ją przelewać, mamy się zastawiać jako spólni i zgodni bracia..."

W instrukcjach dla posłów uchwalono, by zażądali od prymasa, na czas bezkrólewia interreksa, zwiększenia wojska kwarcianego i nadesłania posiłków Wiśniowieckiemu, który już przybył gasić bunt. Uchwalono też podatki na wojsko, których jednak na razie ściągać nie było sposobu i na ich konto wojewoda Tyszkiewicz pożyczył ze swojej szkatuły kilkanaście tysięcy złotych. Obrano też czterech rotmistrzów, którzy mieli rozpocząć zaciągi.

W tym czasie, kiedy na północno-zachodnich skrawkach województwa kijowskiego nad obroną obradował sejmik, kiedy Kisiel, za zgodą prymasa, kanclerza i kilku rezydujących w Warszawie senatorów posyłał posłańców do Chmielnickiego i naiwnie jak dziecko cieszył się, że „Chmielnickiego sobie ujął" i że „jeszcze do niego pośle"; kiedy Wiśniowieckiemu zalecano wstrzymanie się od działań zbrojnych, bunt w niebywałych dotąd rozmiarach rozlewał się po Ukranie. W ogniu stało Zadnieprze, większość województwa kijowskiego, bracławskiego, ziemi czernihowskiej. Kronikarz ruski zapisze z zachwytem: „Gdziekolwiek znalazła się szlachta, sług zamkowych, Żydów, urzędników niedobrych, wszystkich zabijano, nie szczędząc ni niewiast, ni dzieci; majętności rabowano, kościoły palono, księży zabijano, zamki, dwory szlacheckie, domy żydowskie niszczono, nie przepuszczając ani jednego." A rzadki to Kozak lub chłop, który wówczas „swych rąk w krwi nie umoczył i nie brał udziału w grabieniu dobra", a potem doda: „I tak na Ukrainie nie pozostał żaden Żyd, a żony szlacheckie zostały żonami kozackimi".

Jak to „maczanie rąk w krwi" wyglądało i jak „żony szlacheckie zostawały żonami kozackimi" opisuje współczesny kronikarz żydowski, Natan Hannover: „Wielu [...] nie mogących uciec zostało wymordowanych [...] i poległo wśród mąk strasznych i gorzkich. Z jednych zdarto skórę, a ciało rzucano psom na żer, innym obcięto ręce i nogi, a tułów rzucano na drogę; przez ich ciała przejeżdżały wozy i tratowały ich konie. Innym zadawano tyle ran, że byli bliscy śmierci i rzucano ich na ulicę; nie mogąc rychło umrzeć, tarzali się we krwi, aż uszła ich dusza; innych grzebano żywcem. Dzieci zarzynano na łonach matek; wiele dzieci pocięto w kawały jak ryby. Kobietom ciężarnym rozpruwano brzuchy i wsadzano żywego kota do wnętrza i tak zostawiano przy życiu zaszywając brzuchy. Następnie obcinano im

ręce, żeby nie mogły wyjąć tego kota. I wieszali niemowlęta na piersiach matek, inne dzieci nabijano na rożen i tak pieczono na ogniu i przynoszono matkom, aby jadły ich mięso [...]. I nie było żadnej możliwej męczarni, którejby Kozacy tutaj nie stosowali [...]. Kobiety i dziewice bezcześcili, z kobietami spali w obecności ich mężów [...]. Wszystko to czynili gdziekolwiek dotarli, nie inaczej postępowali z Polakami, a szczególnie księżmi".

Inny kronikarz żydowski (Samuel Fajwisz) podaje nazwy ponad 200 miejscowości ukraińskich, w których Kozacy w podobny sposób mordowali Żydów, szlachtę, księży katolickich.

Wspomniany już Jerlicz opisuje to może mniej realistycznie: „Ale zdrajcy za pozwoleniem starszego swego [...] poczęli [...] na domy szlacheckie najeżdżać, brać, łupić, rozbijać komory, z obory i stajni wszystko brać, a kogo w domu zastawszy mordować szlachtę różnymi sposobami, nie folgując ani się Pana Boga bojąc: swych panów poddani właśni swych panów zabijali [...] gwałty robiąc [...] Pana Teodora Jelca, chorążego kijowskiego, dla zarażenia paraliżem nie mogącego uciekać z domu, chłopi właśni naszedłszy w majętności jego własnej zabili, a na potem z dworem spalili. W tym czasie P. Niemirycza właśni chłopi zabili w majętności jego Olesku, gdzie i innych niemało pozabijali i pomordowali szlachcianek panien, służałych ludzi i żydów".

Inny, nieznany autor *Pamiętników o wojnach kozackich* podobne daje relacje: „Kozacy wpadając szlachtę po dworach męczyli, panie i panny profanowali i gwałcili, a potem okrutnie mordowali, kościoły pustoszyli i kapłanów na wzgardę wiary zabijali".

Nie dziw przeto, że na przekór zaleceniu i radzie Kisiela kniaź kroki wojenne podjął i nie czekał, co będzie „*in eventus* traktatu", jak zalecał mu Kisiel.

Ruszył więc książę dalej na południe, przez Kotelnię ku Pohrebyszczom, idąc już przez kraj buntem ogarnięty. Ten kierunek marszu wyjaśnia fakt, że w tych stronach województwa bracławskiego leżały dobra młodych książąt Wiśniowieckich, podopiecznych Jeremiego. Chciał tu książę i rozpalający się bunt przygasić, i póki czas wybrać jeszcze trochę pieniędzy — jego sytuacja finansowa zaczynała być trudna — zebrać też ludzi dla wzmocnienia swej dywizji.

Przed przybyciem księcia pułkownik kozacki Maksym Krzywonos na czele dość znacznych sił, dzięki zdradzie mieszczan wziął szturmem Pohrebyszcze, Żydów i szlachtę wymordował, poniszczył kościoły i uprowadzając znaczny łup, uszedł przed księciem. Zastawszy taki stan rzeczy w mieście i dowiedziawszy się o zdradzie, po krótkim śledztwie, próbując ustalić, kto wszedł w porozumienie z Kozakami, kto wskazywał ukrywającą się szlachtę i Żydów, kto ukryte przez nich mienie,

kazał książę wbić na pal wójta, kilku rajców i popów, po czym udał się pod Spiczyńce. Nie miało Pohrebyszcze szczęścia: w 5 lat później rzezi zgromadzonego tam chłopstwa dokonał na czele pacyfikacyjnego oddziału Stefan Czarniecki, mszcząc się za swoją niewolę, za śmierć brata zamordowanego wraz z setkami polskich jeńców pod Batohem, na okrucieństwa odpowiadając okrucieństwem.

Dano wówczas znać księciu, że Niemirów (również własność Wiśniowieckich) został opanowany przez 600 Kozaków. Ponieważ Niemirów leżał znacznie na południe od planowanej trasy przemarszu Jeremiego (książę kierował się teraz na zachód), wysłał do Niemirowa jednego ze swych najpoważniejszych oficerów, Jana Baranowskiego, na czele 200 żołnierzy. Oddział ten na 4 mile przed Niemirowem, w Obodnym, zaskoczył nocą niewielki 60-osobowy oddział Kozaków, „których wszystkich za łaską Bożą wygolono" — jak zapisał uczestnik ekspedycji. Baranowski dowiedział się tu, że w Niemirowie jest znacznie więcej Kozaków niż się spodziewano, posłał więc do księcia po posiłki, jakoż istotnie dostał jeszcze dodatkowo 200 żołnierzy. Tymi siłami Baranowskiemu udało się przepędzić z miasta Kozaków. Pod jego opiekę oddali się Żydzi, którzy wraz z wojskiem opuścili Niemirów, udając się w bezpieczniejsze miejsce. Niemirów wydawał się być spacyfikowanym. Toteż w jakiś czas potem posłał tam książę dwóch oficerów w 50 koni, aby pobrali żywność dla wojska. Wójt kazał oficerom poczekać, tymczasem jeden z chłopców ostrzegł ich, że wójt posłał po Kozaków. Jakoż istotnie, nad ranem przybyli Kozacy i z żądaniem poddania się, szturm do zameczku przypuścili. 50 dragonów książęcych broniło się mężnie („a dragonia tak cnotliwa była, choć z tejże Ukrainy wybrańcy byli"), tak że wszyscy polegli, tylko jeden „między trupami ukrywszy się" nocą uszedł i dał znać księciu, który był przekonany, że dragoni spokojnie „chleb jeszcze wybierają" i wraz z wojskiem maszerował już na zachód, ku Wołyniowi. Dowiedziawszy się o niemirowskiej zdradzie, wysłał tam książę 1500 jazdy, aby zdobyli miasto, a zdobywszy „winnego i niewinnego wyścinali", a miasto spalili. Nie doszło jednak do tego, bowiem Kozacy dobrze się w mieście ufortyfikowali i książęca jazda nie mogła przeciw nim nic wskórać, a na oblężenie nie było czasu. Obiecując sobie powetować innym razem, odstąpiła od miasta. Tymczasem dywizja książęca posuwała się wciąż na zachód w kierunku Wołynia.

Z odpisów korespondencji z prymasem i kanclerzem, które do swego listu dołączył Kisiel, wiedział już książę o mianowaniu, w miejsce będących w niewoli hetmanów, trzech regimentarzy: księcia Dominika Zasławskiego-Ostrogskiego, Mikołaja Ostroroga i Aleksandra Koniecpolskiego.

Tego samego dnia, kiedy Ossoliński pisał uprzejmy list do księcia zapraszając go na radę, udało się mu już przeforsować nominacje dla regimentarzy. W okresie bezkrólewia najwyższą władzę w Polsce sprawował prymas, jako interreks. Prymas Łubieński był człowiekiem dobrotliwym i zapewne szlachetnym, ale nie był to mąż stanu dużego formatu. Toteż faktyczne rządy sprawował energiczny i umiejący narzucić otoczeniu swą wolę kanclerz Ossoliński. Wytrawny mąż stanu, doświadczony gracz polityczny, a przy tym nieprzeciętny intrygant. Kanclerz zawsze niepopularny u szlachty, teraz obwiniany powszechnie — i częściowo nie bez racji — o wywołanie kozackiej burzy, znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Gdyby wówczas władzę nad wojskiem objął któryś z jego przeciwników, kanclerz z całą pewnością zostałby odsunięty od wszystkiego, utracił pozycję, kto wie, czy nie byłby nawet pociągnięty do odpowiedzialności. A kanclerz chciał nie tylko utrzymać swoją pozycję, ale mało tego, teraz właśnie chciał rządzić. Zwołał do Warszawy zjazd partykularny, nie bacząc na prawo i zwyczaje zmienił go w coś na kształt sejmu konwokacyjnego i przeforsował cały szereg spraw, które powinny należeć do kompetencji sejmu.

Jedną ze spraw załatwionych przez tę niby konwokację były nominacje regimentarskie. Ta decyzja spotkała się natychmiast, jeszcze przed piławiecką kompromitacją, ze zdecydowanym oburzeniem i sprzeciwem. Sam fakt powołania regimentarzy łamał dotychczasowe zwyczaje. Pominięto tu bowiem, wbrew tradycji, obydwu hetmanów litewskich: i wielkiego Janusza Kiszkę, i polnego księcia Janusza Radziwiłła. Dotąd hetmani litewscy i koronni zastępowali się wzajemnie. Niepowołanie Kiszki można było jeszcze tłumaczyć jego wiekiem i stanem zdrowia, ale pominięcie Radziwiłła nie było niczym uzasadnione. Jeśli już rzeczywiście z jakichś względów nie chciano oddawać władzy nad wojskiem koronnym hetmanowi litewskiemu, to w Koronie dość było ludzi odpowiednich. Należał do nich bez wątpienia wojewoda krakowski Stanisław Lubomirski, bohater spod Chocimia, który za zmarłego Chodkiewicza kończył kampanię. Był to nie tylko doświadczony wódz, ale także człowiek cieszący się ogólnym autorytetem i wielką popularnością wśród szlachty. Ale Ossoliński bał się oddawać władzę nad wojskiem Lubomirskiemu, któremu pamiętał ostre wystąpienie sprzed dwóch lat przeciw wojnie tureckiej i przeciw trybowi jej przygotowania. Stary Lubomirski nie krył zresztą nigdy swej antypatii do Ossolińskiego i ten uważał go za swego wroga.

Innym, godnym dźwigania buławy regimentarskiej był Stanisław Rewera Potocki, wojewoda podolski, wytrawny wódz, regimentarz sprzed lat 10 (który buławę hetmańską otrzyma w 1654). Doświadczo-

nymi wodzami byli także Janusz Tyszkiewicz, wojewoda kijowski czy Andrzej Firlej, kasztelan bełski (istotnie powołany regimentarzem przez Jana Kazimierza).

Ale człowiekiem najbardziej godnym tego stanowiska był wówczas bezsprzecznie Jeremi Wiśniowiecki. Za Wiśniowieckim przemawiało, mimo młodego jeszcze wieku (liczył wówczas 36 lat) spore doświadczenie wojenne, niewątpliwe talenty wojskowe, dobra znajomość realiów aktualnie toczącej się wojny, wreszcie fakt, że jako jedyny z potencjalnych kandydatów bił się już na froncie i próbował organizować obronę. Nie bez znaczenia był tu fakt, że za Jeremim opowiadała się także opinia szlachecka, że był bohaterem pisanych teraz masowo na jego cześć panegiryków. Był więc kimś, kto mógł poderwać pogrążony w marazmie po stracie wojska koronnego i hetmanów, tonący w chaosie pogłębionym jeszcze przez fakt bezkrólewia naród. Tymczasem regimentarzami zostali Zasławski, Ostroróg i Koniecpolski. Tę doborową trójkę Chmielnicki nazwie (w odwrotnej kolejności): „Dzieciną", „Łaciną", „Pierzyną".

Książę Władysław Dominik Zasławski-Ostrogski, wojewoda sandomierski był najbogatszym ówcześnie magnatem w Polsce. Doświadczenia wojskowego nie miał żadnego, a jego największym bodajże wyczynem było wydanie swego czasu uczty, która kosztowała tyle, ile wynosił średni roczny dochód jednowioskowego szlachcica. Drugie tyle zapłacił wówczas specjalnie sprowadzonej orkiestrze królewskiej, która przygrywała biesiadnikom. Jedyną wyprawą, jaką dotąd dowodził, była wyprawa do Rzeszowa, przedsięwzięta w celu obdarcia umierającego teścia, kasztelana sandomierskiego Mikołaja Ligęzy. Mimo młodego wieku niedołężny, zapasiony, bezwolny, marionetka w rękach Ossolińskiego. Jego niedołęstwo i brak inteligencji streścił Chmielnicki w przezwisku „Pierzyna". Współcześni Polacy inaczej charakteryzowali regimentarza: „ilekroć co niedorzecznego zrobił, niedołęstwo samo go usprawiedliwiało". Swego czasu niefortunny konkurent Wiśniowieckiego w staraniach o rękę kanclerzanki Zamoyskiej i od tej pory niechętny księciu.

Mikołaj Ostroróg, podczaszy wielki koronny, człowiek uczony, doświadczony mąż stanu, ale wojownik żaden, choć zdradzający jakieś wojskowe ambicje (zupełnie bez pokrycia), ubiegał się niegdyś o buławę, był też w otoczeniu Koniecpolskiego pod Ochmatowem i to było właściwie całe jego doświadczenie wojenne. Gdyby wojna kozacka rozstrzygnąć się miała nie na polu bitwy, ale w uczonej dyspucie, nominacja jego byłaby niezwykle trafna. Chmielnicki szydząc z uczoności imć podczaszego koronnego nazwał go „Łaciną" i nic nie wydaje się wskazywać na to, aby miał to być z jego strony komplement.

Aleksander Koniecpolski — trzeci z regimentarzy, syn wielkiego hetmana, sprawujący urząd chorążego koronnego, byłby może dobrym regimentarzem, gdyby dwaj jego starsi koledzy coś więcej sobą prezentowali. Jego nominacja i „unieruchomienie" pomiędzy dwoma starszymi, zupełnie do dowództwa wojskowego niezdatnymi regimentarzami była zapewne motywowana chęcią dalszego poróżnienia „szwagroszków" (sprawa o Hadziacz, to było jednak — jak się okazało — za mało) i ostatecznego rozbicia niebezpiecznej dla kanclerza frakcji. Powołując Koniecpolskiego, a pomijając Wiśniowieckiego chciał zapewne kanclerz nie tyle uhonorować tego pierwszego, co raz jeszcze dokuczyć temu ostatniemu.

Nie wdając się w dalsze odgadywanie motywacji kanclerskich stwierdzić trzeba, że na czele armii postawiono ludzi, o których z góry wiadomo było, że dowodzić wojskiem nie potrafią. Dawał ten zespół za to całkowitą gwarancją, że żadnych samodzielnych działań nie podejmie, że we wszystkim będzie posłusznym kanclerzowi. Toteż fala powszechnego oburzenia przeszła przez kraj. Kanclerz obłudnie tłumaczył się, że ani z Tyszkiewiczem, ani z Wiśniowieckim nie mógł się porozumieć („żaden z Ichmościów nam się nie odezwał, aniśmy wiedzieli, gdzie podówczas są"). Było to kłamstwo, bowiem — jak wiemy — Wiśniowiecki właśnie „odezwał się" jeszcze z Polesia i kanclerz utrzymywał z nim korespondencję. Ale ogół o tym nie wiedział, książę zaś urazę w sercu chowając, o swoje słuszne prawa nie upominał się, ale dalej prowadził działania zbrojne, choć teraz pozbawione już szans powodzenia w większej strategicznej skali.

Maszerującego na zachód ku Wołyniowi księcia, który właśnie do Rajgrodu przybył i do obiadu zasiadał powiadomiono, że rano Kozacy oblegli Machnówkę należącą do wojewody Tyszkiewicza i szturmy do niej przypuszczają. Wojewoda zaś prosi księcia o pomoc. Książę natychmiast „porzuciwszy jeść w 1000 komunika dobrego skoczył".

Mimo ulewnego deszczu pędził książę na czele swej jazdy w stronę Machnówki. W pobliżu miasteczka spotkał go wojewoda Tyszkiewicz, który dziękując księciu, „że się nie lenił sam iść na odsiecz Machnówce" — równocześnie oznajmia mu, że odsiecz jest już spóźniona. Książę, który na wcześniejszą prośbę wojewody zmienił kierunek marszu i śpieszył z ratunkiem Machnówce, upierał się iść pod miasto. Po długiej naradzie odbytej w polu, książę zdołał przeforsować swoje zdanie, jednak niepotrzebnie stracono wiele cennego czasu. W czasie, kiedy Jeremi przekonywał Tyszkiewicza, że trzeba śpieszyć pod Machnówkę, a stary wojewoda upierał się, że śpieszyć już pewnie nie ma po co, Kozacy szturmowali klasztor bernardynów i zamek, w którym broniła się chorągiew wojewody kijowskiego pod dowództwem

pana Lwa i, w którym szukała schronienia okoliczna szlachta i Żydzi. Kozacy zdobywszy najpierw klasztor, przypuścili z niego gwałtowny szturm do zamku, tak że zamek padł. Swoim zwyczajem zdobywcy wymordowali jego obrońców i osoby szukające tam schronienia. Pan Lew na czele kilku rycerzy ledwie uszedł rzezi.

Zbliżając się do miasta, książę wysłał przodem kilka chorągwi. Te „z okrzykiem skoczyły niepotrzebnie", bo uprzedziły Kozaków o nadciągającej odsieczy. Kozacy widząc nadchodzące wojsko, opuścili pośpiesznie miasto i w polu potężnie się otaborzyli. Jazda książęca niewiele mogła przeciw taborowi zdziałać, tak że tylko „całą noc mu kuczyła, nic uczynić nie mogąc". Baranowski kilka razy prowadził do szturmu chorągwie książęcej jazdy, Łaszcz tymczasem szturmował z kijowskimi zaciągami. Dragoni atakowali pieszo. Tabor mimo to trzymał się. Oddziałom polskim brakowało piechoty, która do szturmu była najlepsza. Jeździe rzadko udawało się rozerwać tabor. Mogła ona w zasadzie być użyta jedynie do osaczenia go w polu i trzymania w oblężeniu. Nad ranem ustąpiły wojska polskie za rzekę i tamę, schowawszy się za wzgórzem, czekały rana. Następnego dnia zaraz po świcie książę chciał powtórzyć szturm, ale wojewoda był temu przeciwny. Przekonując księcia o niecelowości tych działań, używał argumentów różnych, między innymi takiego, że zirytuje to nieprzyjaciela, który będzie się później mścił na jego majętnościach. Tymczasem tabor kozacki, przez nikogo już nie niepokojony, spokojnie uchodził w kierunku Pohrebyszcza.

Nie mogąc tym razem przekonać wojewody Tyszkiewicza, ograniczył się Jeremi jedynie do wysłania za uchodzącymi podjazdu w sile kilkudziesięciu koni. Podjazd porwawszy „języka" z żalem stwierdził, że rozbicie Kozaków byłoby stosunkowo łatwe, bowiem można ich było dojść w polu i zmusić do otaborzenia się w miejscu pozbawionym wody. Niestety, upór i kunktatorstwo Tyszkiewicza nie pozwoliły na to.

Zawróciło więc wojsko i podążyło na Cudnów i dalej ku Wołyniowi, likwidując po drodze drobne oddziały kozackie bądź też liczne watahy zbuntowanego, uzbrojonego chłopstwa.

Tak zakończył się epizod pod Machnówką, opisany tu głównie w oparciu o pamiętniki uczestnika tej imprezy, Maskiewicza, z którego relacją zgodna jest też relacja Jerlicza oraz tzw. relacja warszawska. W *Ogniem i mieszem* — jak pamiętamy — Sienkiewicz każe stoczyć Wiśniowieckiemu pod Machnówką zwycięską bitwę w otwartym polu. Autor *Trylogii* oparł się głównie na *Pamiętnikach o wojnach kozackich za Chmielnickiego*, spisanych przez nieznanego autora, a wydanych drukiem w 1840 we Wrocławiu. Jednakże tamtejsza relacja nie odpowiada — jak się zdaje — prawdzie.

Podobnie niewiele wspólnego z prawdą ma relacja Samoiła Wełyczki, którego *Letopis* powstał dopiero z końcem XVII wieku (Wełyczko urodził się ok. 1670, a więc ponad 20 lat po opisywanych wydarzeniach). Według relacji Wełyczki, pod Machnówką nastąpił istny pogrom wojsk polskich. W pierwszym ataku miał Wiśniowiecki stracić tysiąc żołnierzy. W obronie, do której przeszedł po załamanym ataku, miało paść dalszych półtora tysiąca. „Samego kniazia Krzywonos o mało nie zwalił spisą z konia". Klęska Wiśniowieckiego miała być zupełna, wspaniałomyślny Krzywonos „ukontentowawszy się zdobyczą machnowieką i obfitym rozlaniem polskiej krwi" odstąpił z całym obozem, „darując Wiśniowieckiego pokojem". Sama scena, kiedy Krzywonos zamierza się na księcia, któremu przerażenie wykrzywia twarz, została utrwalona na obrazie Samokisza.

Wełyczko, który znał epizod machnowiecki tylko z opowiadań nie wiedział, że... Krzywonosa w ogóle nie było pod Machnówką. Kozakami dowodził tu pułkownik Hira. Również nieprawdopodobna jest wiadomość o stratach polskich. Wełyczko wierzy, że padło ok. 2500 żołnierzy Wiśniowieckiego. Sądzić należy, że w chwili przybycia pod Machnówkę, siły książęce (1000 komunika) i wojewody Tyszkiewicza łącznie nie liczyły nawet tylu żołnierzy. Tak więc całe opowiadanie, razem z jego ikonografią można spokojnie włożyć między bajki.

Po odejściu Wiśniowieckiego na zachód — książę kierował się z wojskiem w stronę Zbaraża na południowym Wołyniu — obszary te dostały się pod panowanie kozackie.

Siły książęce, jedyne zorganizowane na całym tym terenie siły polskie, powstrzymywały wybuch powstania. W miarę jak wycofywały się one na zachód, ogień powstania zalewał coraz to nowe tereny zachodniej Kijowszczyzny, Wołyń. W ślad za księciem postępował też Krzywonos. Pod Chrycowem dotarło do Wiśniowieckiego poselstwo od szlachty zamkniętej w Połonnem prosząc, aby wobec nadchodzącego Krzywonosa śpieszył im z pomocą. Ponieważ siły książęce nie były wielkie, a w pobliżu na Wołyniu stała piechota królewska i oddział piechoty ordynackiej księcia Dominika Zasławskiego-Ostrogskiego, zwrócił się do nich z propozycją współdziałania. W wojsku książęcym dawał się szczególnie odczuć brak piechoty, bez której nie było co myśleć o zdobywaniu taborów czy miast. Dlatego też Jeremi liczył na to, że pozostawione samym sobie piechoty królewskie i ordynackie wzmocnią jego siły. Niestety — okazało się, że miały obie formalny zakaz regimentarza i nie wolno im połączyć się z Wiśniowieckim. Odpowiedź odmowna dowódców tych oddziałów (Samuela Koryckiego i Krzysztofa Osińskiego) o mało nie załamała kniazia. Stalowy ten mąż od kilku tygodni był w ogniu. Walczył osamotniony, tymczasem nikt

nie posyłał mu posiłków; regimentarzy powołano z pominięciem jego osoby. Rozkaz wydany Osińskiemu i Koryckiemu, nie pozwalający im łączyć się z nim, był kolejnym dowodem niechęci regimentarzy, a nadto ich bezmyślności. Nic też dziwnego, że Jeremi nagle poczuł, że ma wszystkiego dość. „Żałośny na to książę chciał zaraz wszystko porzucić i obmyśleć sobie także gdzie spokojny kącik". Ruszył więc dalej na zachód, nie mając stosownych sił do powstrzymania Krzywonosa i dania odsieczy Połonnemu. Połonne padło 22 lipca — setki szlachty i Żydów poszło pod nóż.

Gdy książę ze swym wojskiem dochodził do Rosołowic, dogoniły go piechoty Osińskiego i Koryckiego, którzy stwierdzili, że wobec nadciągającego wroga los ich oddziałów jest zagrożony i dlatego nie czują się już związani rozkazami regimentarskimi, przeciwnie, proszą nawet księcia o objęcie nad nimi dowództwa. Od nich też dowiedział się Jeremi, że Krzywonos następuje na Konstantynów. Po odbyciu ze starszyzną rady postanowił więc książę ruszyć naprzeciw Krzywonosowi.

Ten ostatni, wysunąwszy naprzód jazdę, mając tabor w odwodzie parł ku Konstantynowowi. Jeremi tymczasem opatrzywszy miasto, które stanowić miało dla jego wojska zaplecze, rozwinął swe chorągwie wzdłuż rzeki Słucz, przed miastem. Wedle informacji podanych przez „języka" — Krzywonos miał wieść ok. 50 000 ludzi. Wiśniowiecki dysponował ok. 6000 do 9000 żołnierzy.

Jakoż niedługo, 8 lipca na wzgórzach dominujących nad prawym brzegiem Słuczy ukazywać się zaczęli Kozacy. Jeremi wysłał na przeprawę kilkuset harcowników, którzy mieli się potykać z przeprawiającymi się przez Słucz Kozakami, na ich prawym brzegu. Jednak liczba przeprawiających się była tak wielka, a ich napór tak silny, że polski „harcownik" musiał się wycofać.

Krzywonos pchnął za nimi całą prawie swoją jazdę. Ale brodu broniła piechota Osińskiego i parę działek. Równocześnie reszta artylerii otworzyła do przeprawiających się ogień z przeciwnego skrzydła. W silnym ogniu piechoty i artylerii załamało się natarcie kozackie. Nie osiągnąwszy lewego brzegu, Kozacy musieli zawrócić. Wówczas w pogoń za cofającym się przez rzekę nieprzyjacielem ruszył na ochotnika młodziutki Gabriel Aksak na czele swoich 300 jeźdźców. W ślad za Aksakiem podążyły inne chorągwie jazdy. Zajadłość nacierających była tak wielka, że wielokroć liczniejszy nieprzyjaciel zaczął się cofać. Wówczas Wiśniowiecki rzucił za Słucz całą jazdę. Pod naporem natarcia prowadzonego osobiście przez księcia, Kozacy zaczęli zmykać z pola, gnani przez polską jazdę przez półtorej mili, aż do taborów.

Jazda — jak już wiadomo — do zdobywania taborów nie nadawała się, toteż Jeremi poprzestał na zajęciu wzgórz nad taborem i czekał

na przybycie piechoty. Piechota przyszła dopiero pod wieczór. Znów — jak pod Machnówką — Jeremi chciał od razu przypuścić szturm, wojewoda Tyszkiewicz upierał się zaczekać z tym do świtu. Pomanifestowało więc wojsko na wzgórzach koło taboru, fakt zdobycia placu w ten sposób oznajmiając i cofnęło się na noc do obozu pod Konstantynowem. Okazało się tymczasem, że mieszczanie konstantynowscy sprzyjając Kozakom, nocą zaopatrywali tabor nie tylko w żywność, ale i w proch. Na wieść o tym książę, wybrawszy 40 najwinniejszych kazał ich ściąć.

Cały następny dzień trwały narady. Jeremi chciał szturmować tabor, Tyszkiewicz sprzeciwiał się, reszta nie mogła uzgodnić stanowiska. Kontentowano się zwycięstwem w polu, w którym zginęło wielu Kozaków (diariusze podają tu liczby od 2000 do 10 000). Zdobyto wiele sztandarów kozackich, a jeszcze więcej... polskich, utraconych pod Korsuniem. Wśród tych ostatnich szczególnie cenną zdobyczą był sztandar hetmana polnego Kalinowskiego. Rotmistrz Baranowski żywcem wziął do niewoli setnika Połujana (jak pamiętamy, w *Ogniem i mieczem* zrobił to imć Longinus Podbipięta), który brał udział we wszystkich naradach starszyzny i z tej racji był wielce interesującym „językiem". Od niego dowiedziano się, że Chmielnicki, który polecił zatrzymać Krzywonosowi Jeremiego możliwie jak najdłużej, sam już wyruszył na czele wszystkich sił kozackich. Radzono więc wycofywać się na zachód. Jeremi jeszcze upierał się, by koniecznie szturmować tabor, ale nie udało mu się przekonać Tyszkiewicza i innych, a rozkazywać na dobrą sprawę nie miał im prawa. W międzyczasie do taboru doszły jeszcze posiłki (liczone — być może przesadnie — na 20 000 chłopów).

Zdecydowano ostatecznie taboru nie zdobywać, tylko cofnąć się dalej na zachód, aby w głębi Polski, w krainach wojną nie ogarniętych wypocząć i wzmocnić się, a potem „iść ku nieprzyjacielowi znowu w oczy". Na przeszkodzie w realizacji tego planu stanął Krzywonos, który ochłonąwszy po klęsce pierwszego dnia bitwy, nie niepokojony w taborze, przeciwnie — wzmocniony nowymi posiłkami, ufny w bliskość nadciągającego Chmielnickiego, przeszedł do działań zaczepnych.

Gdy Krzywonos zaczął następować, tabor polski, piechota i artyleria były już o milę od Konstantynowa, a i jazda miała zaraz w ślad za nimi postępować, zostawiwszy dragonię nad rzeką, jako straż tylną. Krzywonos nacierał teraz całym taborem. Nie wytrzymała tego uderzenia dragonia i Kozacy szerokim frontem zaczęli przeprawiać się przez Słucz. Uszykowali front w ten sposób, że ich prawe skrzydło stanowił tabor, silnie obsadzony przez piechotę, na lewym skrzydle

ustawili jazdę, zaś w centrum umieścili całą swoją artylerię. Zorientowawszy się szybko w sytuacji, książę zawrócił jazdę, ustawiając ją również w front. Cofając teraz swój front, zwabił Wiśniowiecki Kozaków, którzy wzięli ten manewr za początek paniki. Natychmiast jazda kozacka przeprawiła się przez rzekę. Jeremi przepuścił na swój brzeg kilkanaście tysięcy Kozaków, silnym ogniem powstrzymując resztę za rzeką. Na tych, którzy się przeprawili, uderzył książę całą jazdą. Atak jazdy był tak silny, że złamał szyki jazdy przeciwnika i przepędził ją przez rzekę aż pod osłonę taboru. Manewr ten powtórzono trzy razy. Dziwnym może się wydawać, że Krzywonos, który za pierwszym razem dał się złapać w pułapkę, wpadł w nią jeszcze dwa razy. Tłumaczyć to można chyba tylko tym, że ów wódz kozacki ufny był w swą liczebną przewagę i był pewien, że za kolejnym razem rozbije jazdę książęcą. Za trzecim razem sam książę poprowadził jazdę. Znów przepędzono Kozaków ze swego brzegu rzeki, ale tym razem gnano ich jeszcze dalej. Przechodząc w pościg przez rzekę, Jeremi uderzył z wściekłością na nieprzyjacielską artylerię, siekąc kozackich puszkarzy bez miłosierdzia. Łupem księcia padło 5 dużych dział, a nadto 2 hakownice i dwoje „organków". Zdobyto też dalsze chorągwie. Lewe skrzydło i centrum kozackiego frontu przestało istnieć. Nietknięty pozostał jednak tabor. Chciał książę, wykorzystując i taktyczną i psychologiczną przewagę, uderzyć jazdą na tabor. Nie zgodził się na to Tyszkiewicz, co wywołało zarówno złość księcia, jak i wzmogło niechęć do wojewody jego żołnierzy. O nastrojach tych niech świadczy zapis Maskiewicza kwitujący to zdarzenie: „książę złotem zapisał, a wojewoda gównem przypieczętował". Nie mając innego wyjścia, zostawił książę tabor w spokoju, a ubezpieczywszy się podjazdem, zaczął się wycofywać dalej na zachód.

Co prawda, zdobywanie taboru jazdą było trudne i niosło ze sobą zawsze ogromne straty, jednak tym razem rzeczywiście wykorzystano by przewagę psychiczną nad Kozakami, którzy po klęsce swej jazdy i artylerii bliscy byli paniki, co potwierdzali później wzięci przez wysłany pod Konstantynów podjazd jeńcy. Jeńcy ci przyznali, że w razie szturmu taboru Kozacy byli gotowi się poddać, a nawet wydać Krzywonosa. Niestety, za sprawą Tyszkiewicza nie stało się tak. Może więc imć Maskiewicz miał rację, że całą sprawę wojewoda rzeczywiście „gównem przypieczętował".

Krzywonos poniósł straty bardzo znaczne. Nie znana jest liczba poległych. Uczestnik bitwy, Maskiewicz, podaje, że Kozaków legło 15 000 (co jest z pewnością liczbą bardzo przesadzoną), „naszych ze 100 dusz". Wprawdzie nie poległ żaden z wodzów kozackich (Krzywonos, Hira, Handza), ale zginęło bardzo wielu setników. Toteż przy takich stratach

i przy takim morale wojska Krzywonos zrezygnował z dalszej akcji zaczepnej i zamiast postępować za księciem na Wołyń, zawrócił na Podole.

Wiśniowiecki tymczasem podążył w kierunku Zbaraża. Po drodze wysłał książę podjazd pod Zasław — mając wiadomość, że tam Kozacy gniazdo rodzinne głównego regimentarza plądrują — ale przed nadejściem podjazdu Kozacy z Zasławia zbiegli.

Po wycofaniu się Jeremiego do Zbaraża, cały wschodni Wołyń przeszedł w ręce kozackie. Padły kolejne forteczki koronne: Konstantynów, Zasław, Ostróg.

Zatrzymując się na nocleg w Kolczynie, wysłali 30 lipca 1648 wodzowie konstantynowscy znamienny list do senatu. W liście tym relacjonują przebieg bitwy konstantynowskiej, a następnie żalą się, że nieprzyjacielowi zewsząd płyną posiłki „nam zaś tylko od nieba jeden *manebat eventus* [los sprzyja]". Ostrzegają też warszawskich statystów, że „nieprzyjaciel pod pretekstem obiecanego pokoju coraz więcej wyprawuje okrucieństwa, coraz bardziej szerzy się i mocni" [...] „Remedium zatrzymania swawoleństwa tego, ukazać przynajmniej nieprzyjacielowi szablę [...]" Proszą na koniec senatorów by „raczyli i siebie samych, sławę narodu swego i nas wszystkich ratować prędkimi wojsk koronnych supplementami i znacznymi posiłkami" jako że oni sami nie są już w stanie dłużej nieprzyjacielowi opór dawać.

Warszawa tymczasem żyła sejmem konwokacyjnym. Jeremi Wiśniowiecki rozłożył więc wojsko dla wypoczynku — obozem koło Jampola, sam z garścią przybocznych udał się do Zbaraża. Zakończył się pierwszy akt epopei.

Ten okres działalności Jeremiego od przedostania się przez lasy i bagna poleskie, poprzez Pohrebyszcze, Niemirów, Machnówkę, Konstantynów, jest najbardziej kontrowersyjny. I był kontrowersyjny od początku.

Stronnictwo „pokojowe" z Ossolińskim i Kisielem, mające nadzieje na pokojowe rozwiązanie sprawy, miało do Jeremiego pretensje, że akcją swą utrudnia im kroki pokojowe. To jakby ich słowa wypowiada historyk okresu międzywojennego, W. Konopczyński, mówiąc: „pobić się nie dał, wojny też nie rozstrzygnął, a pokój uniemożliwił".

Zupełnie inaczej oceniała Jeremiego opinia szlachecka. Ogół szlachty widział w nim jedynego zbawcę ojczyzny, jedynego, który zbrojnie przeciwstawił się rebelii. Toteż rosła sława i legenda Jeremiego, a jego nawet mało znaczące potyczki rozdmuchiwano do gigantycznych rozmiarów i sławę przynoszących zwycięstw. To naprawdę nie za jego pieniądze — w tym czasie nie miał nawet pieniędzy na wypłatę żołdu i dlatego też ten i ów towarzysz opuszczał jego szeregi — pisano

na jego część panegiryki (np. Białobłockiego *Pochodnia wojennej sławy J.O. Xięcia Jeremia Michała Korybuta Wiśniowieckiego*), najpiękniejsze strofy polskiej poezji tego czasu poświęcił mu Samuel ze Skrzypny Twardowski. Jeszcze inaczej musiały oceniać księcia tłumy szlachty ukrainnej, Żydów i duchowieństwa, bowiem jego rajd ratował ich spod kozackiego noża.

Oczywiście, że ścinanie głów kozackich czy nabijanie na pal nie stanowi specjalnego tytułu do chwały. Przedstawianie jednak Jeremiego jako okrutnika i sadysty, niemal równego Drakuli, jest również ani sprawiedliwe, ani prawdziwe, ani mądre. I nawet nie chodzi o to, że strona przeciwna praktykowała nieporównanie większe okrucieństwa i na znacznie większą skalę.

Na wydarzenia trzeba jednak patrzeć przez pryzmat współczesnej epoki i oceniać je trzeba na jej tle. Śmierć na palu jest bardzo okrutna. Jednak w XVII wieku polskie prawo znało cały katalog kwalifikowanych kar śmierci, takich jak łamanie kołem, zakopanie w ziemi i przebicie palem, zadanie śmierci przez wypuszczenie jelit, ćwiartowanie czy wreszcie wbicie na pal. Napad na drodze — od drugiej połowy XVI wieku karany był właśnie wbiciem na pal, ćwiartowaniem żywcem lub zawieszeniem na haku za żebra. Jeremi stosował więc takie kary, jakie przewidywało ówczesne prawo i karał w ten sposób — w swoim rozumieniu — rozbójników dopuszczających się gwałtu, mordów i rozboju.

Dziś, z perspektywy stuleci inaczej oceniamy powstanie kozackie. Inaczej jednak oceniono je współcześnie. Tłumy, które z nadzieją ciągnęły pod sztandary kozackie, w ocenie prawosławnego Rusina a zarazem senatora Rzeczypospolitej i największego zwolennika pojednania, Adama Kisiela, to tylko „plebs bezrozumna". Wojsko zaś Chmielnickiego nazywał Kisiel „wojskiem kozackim czy chłopskim, czy rozbójniczym". Tenże „gołąb pokoju" i dlatego Wiśniowieckiego przeciwnik Kisiel, gdy zwątpił o sukcesie swej misji, oświadczył: „wiarą błahoczestywą szczycę się, ale radbym dzisiaj, żeby wszystkich buntowników na pal wbito, a rebelię wyniszczono [...]". Dla prawosławnego szlachcica ruskiego, wielokroć już cytowanego Jerlicza, Kozacy i czerń to też „zbójcy", którzy „bezbożną wojnę chłopską, czyli rozbój domowy" uprawiają. Czy można mieć dziś pretensje do Wiśniowieckiego, że rozumował podobnie?

Działalność pacyfikacyjna Wiśniowieckiego nie była celem samym w sobie. Jeremi rozpoczął działania wojenne po klęsce korsuńskiej i po zniesieniu wojsk hetmańskich licząc, że otrzyma z głębi kraju posiłki, pozwalające mu stawić czoła całej potędze Chmielnickiego. Posiłków

takich — jak wiemy — nie dostał i przeciwstawić się Chmielnickiemu nie mógł, mając po wielekroć za mało wojska. Toteż zamiast planowanej przez księcia kampanii, skończyło się — bez jego winy, a nawet wbrew jego woli — na lokalnej akcji pacyfikacyjnej. Książę sam nie szukał nieprzyjaciela, szedł tylko tam, gdzie nieprzyjaciel coś oblegał bądź szturmował. Szedł zawsze z odsieczą i pomocą. Prawdą jest, że szlak książęcego rajdu znaczyły pale i konający na nich Zaporożcy, bądź ci, którzy dopuszczając się — w rozumieniu Jeremiego — zdrady, Zaporożcom ułatwiali rozbój, mordy i grabieże (jak w Pohrebyszczach). Prawdą jest też, że pod mieczem jego żołnierzy spadło wiele głów. Ale też prawdą jest, że dzięki temu rajdowi uratowały życie setki ludzi, szlachty, duchowieństwa i Żydów, których bez pomocy księcia czekałaby śmierć wśród najbardziej wymyślnych nieraz mąk zadanych przez Kozaków.

I jeszcze kwestia egzekwowania odpowiedzialności zbiorowej. Pamiętamy, jak wysyłając ekspedycję karną na Niemirów, rozkazał im książę, mszcząc zdradziecko wymordowanych dragonów „winnego i niewinnego wyścinać, a miasto spalić". Rozkazu księcia nie udało się jednak — jak wiemy — wykonać. I znów można by ów rozkaz potraktować jako jeszcze jeden dowód na to, że Jeremi był niezwyczajnym okrutnikiem. Ale zanim taki wyrok wydamy, popatrzmy na to przez pryzmat epoki. Wspominano już o uniwersale hetmana Koniecpolskiego z 1637 — zalecającym karanie buntowników, a jeśli ich dostać się nie uda, karanie ich na „żonach i dzieciach". Podobnej treści był uniwersał hetmana Potockiego z początków 1648. [...]

Żadna pacyfikacja nie przynosi chwały. Choćby była najbardziej słuszna i potrzebna. Toteż nikt dziś nie stawia pomników Czarnieckiemu za to, że pacyfikował Ukrainę (a jego pacyfikacje niczym nie ustępowały podobnym akcjom Wiśniowieckiego), ale za to, że walczył ze Szwedami, że potykał się z wojskiem nieprzyjacielskim, że podrywał naród do walki. Okrucieństwo ludzi połowy XVII wieku może być ocenione tylko na tle okrucieństwa tamtej epoki. Wszystkie inne punkty odniesienia po prostu nie mają sensu.

Spróbujmy rozważyć czy — niezależnie od swych najszczerszych przekonań — Jeremi Wiśniowiecki swoją działalnością z początku lata 1648 rzeczywiście „pobić się nie dał, wojny też nie rozstrzygnął, a pokój uniemożliwił".

To, że pobić się nie dał, jest pewne. Nie tracąc inicjatywy operacyjnej, odpierając (nieraz ze znacznym powodzeniem, jak pod Konstantynowem) ataki wielokrotnie liczniejszego przeciwnika, przemaszerował przed nosem sił kozackich, pacyfikacją swoją siejąc postrach i po-

wstrzymując wybuch buntu. Oczywiście, że działaniami swoimi wojny nie rozstrzygnął. Ale też rozstrzygnąć swoimi tylko siłami nie mógł. Rozpoczynając swoją akcję, wchodząc za Żytomierzem w kraj buntem zalany, liczył na posiłki. Prosił o nie. Gdyby je dostał, być może wojnę by rozstrzygnął. Odmówiono mu ich. Wypad na Ukrainę, który w założeniach miał być początkiem „rozstrzygania wojny", skończył się na kilku niewielkich potyczkach i dwóch bitwach bez większego dla ogólnej sytuacji znaczenia, i na krwawej pacyfikacji. To więc, że „wojny nie rozstrzygnął", nie obciąża Jeremiego, a bardziej tych, którzy odmówili mu posiłków, którzy robili wszystko, aby rozmiary jego akcji umniejszyć, jeśli już nie uda się jej całkiem zahamować. Widząc, że może liczyć tylko na siebie i na „posiłki z nieba" — rozpoczyna odwrót na zachód. Już od Pohrebyszcza i Niemirowa dąży książę nieustannie na zachód i to w ciągłym ogniu, bowiem Kozacy idą za nim krok w krok.

Czy rzeczywiście „pokój uniemożliwił"? Trzeba by założyć, że pokój w ogóle był możliwy. Kniaź w to nie wierzył. I nie wierzył chyba nikt na Ukrainie. Może z wyjątkiem Kisiela, który przy całej swej szlachetności, czując z Kozakami wspólnotę krwi, a będąc równocześnie senatorem Rzeczypospolitej bardziej kierował się sercem niż rozumem. Wyszedł też na don Kichota polskiej polityki wewnętrznej, rychło z obydwu stron okrzyknięty zdrajcą.

W możliwość pokoju wierzono jednak w Warszawie. Bardzo chciano wierzyć. W pierwszej chwili, na wiadomość o śmierci króla i o równoczesnej niemal klęsce wojsk koronnych, o niewoli hetmanów, stolicę ogarnęła panika. „Rzeczpospolita ledwo dyszała w trwodze" — jak napisał Albrycht Radziwiłł. Senat próbował znaleźć prywatne „dojście" do Chmielnickiego. Wysłano doń jego niegdysiejszego przyjaciela, chorążego sandomierskiego Adama Kazanowskiego. Miał poprosić wodza rebelii o uwolnienie hetmanów i jakąś ugodę. Naiwnością było przypuszczać, że Chmielnicki stojąc u progu swych gigantycznych, dziejowych planów, zrezygnuje z nich za namową starego kolegi. Równie bezowocne było poselstwo wysłane przez Kisiela (w którym poseł o mało życiem nie przypłacił swej misji), które miało nakłonić Chmielnickiego „by powrócił do zdrowej myśli". Ale wielki wódz kozacki i plebsu ukraińskiego był przy najzdrowszych myślach, czego nie można było powiedzieć o tych, którzy wysyłali do niego tego rodzaju poselstwa. W nastrojach histerycznych łatwo przechodzi się od paniki do optymizmu, toteż łudzono się nadzieją, że „poseł nagiął umysły buntowników" tak, że „wyznaczyli posłów do Warszawy, wprawdzie do króla, chociaż wiedzieli, że zmarł".

Chmielnicki okazał w ten sposób lekceważenie swoim warszaw-

skim partnerom akcentując, że tylko z królem może rozmawiać, ale jak tonący chwyta się brzytwy, tak i tu senat wziął to za dobrą monetę. Wobec Kozaków chciano grać rolę panów, tym razem panów łaskawych. Sądzono, że w ten sposób uda się ich kupić łaską. W żaden sposób nie przyjmowano do wiadomości, że Chmielnicki tej łaski wcale już nie potrzebuje, ma bowiem dość sił na to, by wyegzekwować od Rzeczypospolitej, co zechce. Nie mając wojska chciano udawać potęgę, jednocześnie cieszono się, że Chmielnicki nie idzie w głąb Polski — bowiem wiedziano, że nic jego pochodu nie byłoby w stanie zatrzymać. Nie przeszkadzało to jednak odpowiedzieć Kozakom, że „ciężko obrazili Rzeczpospolitą, gdyż złączyli swój oręż z pogańskimi Tatarami, dopuścili się tylu mordów szlachty [...] złamali więzy przysięgi, gdyż [...] podburzywszy do rebelii plebs, spustoszyli kilka województw, zniweczyli w niektórych miejscowościach świętości i Eucharystię, a także, przed czym rozum się wzdraga, pili gorzałkę z puszki na św. Hostię". Pozbawiona wojska, bezbronna Rzeczpospolita chciała dalej dyktować Kozakom: „nie mniej jeśli okażą skruchę i uczynią zadość Rzplitej, skoro pokornie proszą o łaskę, może im to być darowane. Niech więc w spokoju oczekują komisarzy, pohamują bunty, wydadzą ich sprawców w ręce komisarzy, zwrócą jeńców z rozbitego wojska, a w innych sprawach oczekują poleceń od komisarzy".

Nic więc dziwnego, że ludzi myślących tymi kategoriami drażnić musiał głos Jeremiego, który z kolejnych obozów na Ukrainie pisał im (powtórzmy raz jeszcze fragmenty jego listów): „Jeżeli tedy Rzeczpospolita tak nadmierne rany od tych zbójów zadane [...] twardym snem pokryje, nic inszego już sobie obiecywać nie może tylko ostateczną klęskę i zgubę [...] Remedium zatrzymania swawoleństwa tego, ukazać przynajmniej nieprzyjacielowi szablę..."

Jeśli sprawy kozackiej, a wraz z nią całej sprawy ukraińskiej nie umiano uregulować wcześniej, a okazje po temu były, jeśli po stłumieniu powstania 1637/38 nie potrafiono się zdobyć na ugodę typu późniejszej o lat 20 hadziackiej, to teraz jedynym wyjściem było jeśli nie rozbicie przeciwnika, to przynajmniej takie zgromadzenie sił, aby takie rozbicie było realnie możliwe i dopiero podjęcie kroków pokojowych. Trzeba było Kozakom co najmniej „pokazać szablę" — jak radził Jeremi — a nie ośmieszać się aktami łaski i wierzyć, że zwycięska dotąd strona da się przekonać i ugłaskać i dobrowolnie przyjmie warunki niemal kapitulacyjne, za co ewentualnie zwiększy się rejestr Kozaków, a „na przyszłość będzie uważać aby kozacy nie doznawali takiego [złego] traktowania".

W tych warunkach o żadnym pokoju nie mogło być mowy. Inna rzecz, że zarówno Chmielnicki — który widząc, że czas pracuje na jego

korzyść, grał najwyraźniej na zwłokę, prowadził więc korespondencję z Warszawą, przyjmował i wysyłał posłów, ale przede wszystkim organizował swe wojsko — jak i Krzywonos wykorzystywali akcję Wiśniowieckiego dla swoich celów propagandowych. Chmielnicki pisał obłudnie do księcia Zasławskiego, że najserdeczniej pragnie pokoju, ale z powodu Wiśniowieckiego musi ruszyć w pole. Podobnie Krzywonos — tłumaczył, że musi coraz to nowe zamki i miasta zdobywać i ludność wyrzynać, bo mu „zajadł książę Jeremi, że ludność mordował i ścinał i na pal wbijał".

W Warszawie, gdzie już panika doprowadziła do tego, że najwięksi dygnitarze kufry pakowali i chcieli spławiać do Gdańska, głosy te były brane za dobrą monetę. Obawiając się, że Chmielnicki może sięgnąć i do stolicy, gotowi byli potępić księcia za to, że prowokuje Kozaków, których oni mają nadzieję ugłaskać. Chmielnicki, który jako mąż stanu chytrością przewyższał o głowę wszystkich współczesnych, wiedział o tych nastrojach i umiejętnie mieszał między polskimi frakcjami. W jego korespondencji teraz Wiśniowiecki — jak jeszcze niedawno Daniel Czapliński — winny był wszystkiemu. Gdyby nie książę, on, Chmielnicki, dawno by już zawarł pokój. W przerażonej Warszawie słuchano tego chciwie.

Ale jeszcze nie tak dawno temu, przed wybuchem konfliktu 1648, stosunki Jeremiego z Kozakami były całkiem poprawne. Kozakom imponował ten waleczny książę, który mimo porzucenia prawosławia był przecież z ich krwi, jeśli już nie z wiary. Szajnocha twierdzi, że z początkiem lat 40-tych brano nawet pod uwagę możliwość wybrania przez kozaczyznę Jeremiego na hetmana. Być może był to jakiś projekt nowego uregulowania kwestii kozackiej (a przy okazji w ogóle ruskiej). Tradycja Dymitra-Bajdy Wiśniowieckiego wciąż była u Kozaków żywa, stąd też prawdopodobnie sympatia dla młodego przedstawiciela rodu, który w dodatku dawał dowody swej waleczności.

Jeremi co prawda zwalczał powstanie Huni i Ostrzanina, ale nawiasem mówiąc, ramię w ramię z Kozakami rejestrowymi. Musiał też książę jeszcze przed 1648 znać Chmielnickiego (w korespondencji późniejszej powołuje się na dawną znajomość). Bezpośrednio po klęsce korsuńskiej do Wiśniowieckiego przybywa poselstwo kozackie z listem od Chmielnickiego, w którym wyjaśnia przyczyny swego postępowania twierdząc, że wszystko stało się z winy Czaplińskiego. Kronikarz ruski Wełyczko zapisał, że kniaź kazał ściąć posłów (wersję tę upowszechnił za nim Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem"), ale nieprawdopodobieństwo jej udowodnił historyk ukraiński, M. Hruszewskij.

Wymiana korespondencji między Chmielnickim a Wiśniowieckim już po klęsce korsuńskiej, a następnie fakt, że Wiśniowieckiemu bez

większych przeszkód ze strony Chmielnickiego udało się wyprowadzić wojsko z Zadnieprza, stała się źródłem zupełnie niedorzecznej hipotezy O. Górki o zmowie tych dwóch kresowych mężów. Rzeczywiście, pozostaje zagadką, dlaczego Chmielnicki nie zdecydował się szukać księcia na Zadnieprzu i dlaczego nie próbował skuteczniej przeszkadzać mu w wydostaniu się z okrążenia. Być może Chmielnicki po Korsuniu był oszołomiony zarówno rozmiarami zwycięstwa, jak i rozmiarami rozpalającego się powstania. Tak twierdzi wspomniany m.in. przed chwilą Hruszewskij. Nie bardzo wiedział, co ma dalej robić. Ten moment niezdecydowania wodza rebelii wykorzystał Wiśniowiecki do wymknięcia się z Zadnieprza. Ale nawet później Chmielnicki traktuje Wiśniowieckiego z pewną kurtuazją. Kiedy w czerwcu 1648 zadnieprzańscy chłopi splądrowali i spalili Łubnie, Chmielnicki kazał przywódców złapać, dwóch z nich ściął, resztę odesłał kniaziowi z zapewnieniem, że nie Kozacy to zrobili, ale pobuntowane chłopstwo. Co mogło być przyczyną tej kurtuazji? Polityk tej miary, co Bohdan Chmielnicki, na pewno nie kierował się sentymentem, ale działał z całym wyrachowaniem. Jak — chyba słusznie — podejrzewa W. Tomkiewicz, chodziło mu o to, aby poróżnić Wiśniowieckiego z rządem, aby go odizolować. Chmielnicki — jak sądzi Tomkiewicz — bał się bowiem Wiśniowieckiego jako wodza. Kiedy zobaczył, że Wiśniowiecki przy rozdaniu buław został pominięty, że na dodatek nie reaguje na umizgi tylko pacyfikuje i bije pomniejsze oddziały, a robi to jedynie na czele swoich wojsk, zaczął łudzić listami i poselstwami przeciwne księciu stronnictwo i trafił w nim na bardziej naiwnego partnera. Od tej pory może już bez przeszkód, a nawet z politycznym zyskiem ogłosić Jeremiego wrogiem numer jeden całego Kozactwa i niemal główną przyczyną wojny.

XI. OD SEJMU KONWOKACYJNEGO DO PIŁAWIEC

Na sejmie konwokacyjnym (lipiec—sierpień 1648) Ossolińskiemu udało się przeforsować swoją politykę. Jego pokojowe stronnictwo zdołało przekonać ogół, że wojnę kozacką można wygrać... bez wojny i bez wojska. Trzeba tylko prowadzić z Chmielnickim układy i broń Boże nie drażnić wodza rebelii. Udało się kanclerzowi i Kisielowi wyrobić wśród posłów i senatorów przekonanie, iż wojnę można jeszcze zażegnać, rezygnując być może z ordynacji kozackiej z roku 1638, że wystarczy podnieść rejestr do... 12 tysięcy i zapewnić Kozaków, że w przyszłości będą lepiej traktowani. Jak jeszcze niedawno „Rzeczpospolita ledwo dyszała w trwodze", tak teraz trwoga ustąpiła miejsca optymizmowi. Wygląda na to, że kompletnie nie zdawano sobie sprawy z powagi sytuacji, mało tego, że zupełnie nie rozumiano tego procesu, który z gwałtownością pożaru rozwijał się na wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Krzepiono się wieścią, że z końcem czerwca Kozacy cofnęli się w głąb Ukrainy, a Tatarzy odeszli w stepy.

Z jednej strony zdawano sobie sprawę „o zaprawdę to cud i cudowne zachowanie królestwa, że po śmierci króla, pojmaniu wodzów, zniszczeniu wojska, przy arcybiskupie dotkniętym starością, wrogowie Kozacy i Tatarzy nie szli w ślad zwycięstwa". Z drugiej zaś łudzono się, że tego typu wroga można w tej sytuacji lada czym, lada jakim ustępstwem zaspokoić i utrzymać tak umiłowany pokój.

Posłowie kozaccy, którzy przybyli do Warszawy, żalili się przed prymasem, że krzywdzili ich starostowie ukrainni, a hetman Potocki nie lubił, przeto „w przerażeniu musieli się uciec do przymierza z Tatarmi, teraz przepraszają za winę". Prymas rozrzewnił się i gotów był im przebaczyć. W tym samym czasie Chmielnicki pod Białą Cerkwią szykował armię, organizował nowe pułki, rozsyłał potężne watahy dla zdobywania resztek zamków i zameczków ukrainnych, dla dorzynania resztek szlachty. Padały po kolei Zasław, Ostróg, Korzec. Sam tylko

Krzywonos wiódł 60 000 ludzi. Bunt kozacki dawno już stał się potężną rebelią ludową i narodową.

W Warszawie łudzono się, że sprawę załatwi podniesienie rejestru do 12 000, a Chmielnicki przez swe poselstwo starał się podtrzymywać Rzeczpospolitą w tym naiwnym przekonaniu, umacniając się tymczasem na Ukrainie i szykując do ostatecznej rozprawy. Nie ustawał też w swych zabiegach dyplomatycznych: Turkom obiecywał w zamian za pomoc Kamieniec, carowi przyrzekał Smoleńsk, Rzeczypospolitej wmawiał, że pragnie pokoju.

W czasie kiedy Wiśniowiecki trwał w śmiertelnych zapasach pod-Konstantynowem, sejm konwokacyjny łudził się, że wszystko jeszcze da się załagodzić. Przy takim nastawieniu sprawy wojskowe zeszły na drugi plan. Rzeczpospolita — wbrew radzie Wiśniowieckiego i skonfederowanych z nim obrońców kresów — chciała prowadzić rokowania bez „pokazywania szabli". Spierano się jedynie czy na czele wojska mają pozostać mianowani trzej regimentarze, czy też hetmani litewscy. Przy okazji pokłócono się z dysydentami o sposób przyjęcia posła francuskiego. Na wieść, że Chmielnicki paktuje z Moskwą, kusi cara, obiecując mu polską koronę,postanowiono... jak najprędzej wysłać Kisiela wraz z podkomorzymi przemyskim i mozyrskim oraz podstolim poznańskim, obdarzonymi szerokimi pełnomocnictwami, w poselstwie do Chmielnickiego.

W sprawie regimentarzy kasztelan chełmski Zbigniew Gorajski proponował, aby dowództwo armii powierzyć hetmanom litewskim, a przydać im jedynie komisarzy, albo aby dać regimentarstwo „rycerskiemu księciu Wiśniowieckiemu". Ale słuchać go już nie chciano. Ossoliński upierał się przy poprzednich nominacjach, powołując się tym razem na względy grzecznościowe: „któż bowiem byłby bardziej pokrzywdzony: czy ten, który został pominięty, czy ten, któremu odebrano już raz nadaną władzę?" Marszałek Bogusław Leszczyński dodał, że „jeśli owych złożymy, innymi ich zastąpimy, z pewnością szybciej niż Kozaków siebie wzajemnie poranią". Zatwierdzono więc — choć bez entuzjazmu, owszem, wśród swarów i kłótni — nominacje Zasławskiego, Ostroroga i Koniecpolskiego, ale dodano im aż 32 komisarzy.

Kiedy kończył się optymistycznie nastawiony sejm konwokacyjny, Kozacy zdobyli Bar (4—5 VIII 1648), jedną z największych twierdz nie tylko Podola, ale całej Rzeczypospolitej, siedzibę hetmańską, największy bodaj arsenał koronny, „i dopuścili się licznych niegodziwości mordując wielu ludzi".

Wśród owych 32 komisarzy o bliżej nieokreślonych kompetencjach znaleźli się wojewodowie Jeremi Wiśniowiecki, Tyszkiewicz, Stanisław Rewera Potocki, Kisiel, Jakub Szczawiński, kasztelan Stanisław Wi-

towski i Andrzej Firlej oraz 25 komisarzy „ze stanu rycerskiego". Jak słusznie ocenił to historyk Ludwik Kubala, „na czele wojska stanęło teraz zamiast trzech, 35 wodzów — to wystarczyło, aby nie jedną, ale 35 bitew przegrać".

Ostroróg wybrał Gliniany pod Lwowem jako punkt zborny. Wojsko zbierano jakby od niechcenia, nie wierząc w wojnę, za to bezgranicznie w powodzene misji pokojowej Kisiela. Gliniany, zdaniem Wiśniowieckiego, były niewłaściwym miejscem dla koncentracji armii, były bowiem zbyt daleko cofnięte na zachód. Przybył więc do Zbaraża i tu wezwał listownie swych przyjaciół na naradę. Wezwania posłuchał jeden z regimentarzy, Aleksander Koniecpolski, nadto ze znaczniejszych jeszcze Stanisław Rewera Potocki, syn będącego w niewoli hetmana Kalinowskiego, Samuel, a także przedstawiciele szlachty województwa lubelskiego, którzy nie uznawali autorytetu regimentarzy i nie chcieli iść pod Gliniany. W Zbarażu postanowiono założyć obóz pod Czołhańskim Kamieniem, ok. 50 km na wschód od Zbaraża. Pomysł ten poparł także regimentarz Koniecpolski, ale ostatecznie posłuchał starszych kolegów-regimentarzy i pomaszerował pod Gliniany. Pod Czołhański Kamień zaczynają ściągać chorągwie powiatowe i prywatne poczty. Ba, nawet oficerowie regimentarscy zgłaszają się pod komendę księcia. W połowie sierpnia pod Czołhańskim Kamieniem jest już 15 000 ludzi, wielokrotnie więcej niż pod Glinianami, w obozie oficjalnych regimentarzy, gdzie 4 sierpnia było 700 ludzi, a z końcem miesiąca jest tam zaledwie 1500. Pod koniec miesiąca jest w obozie Wiśniowieckiego między Czołhańskim Kamieniem a Lachowicami już ok. 18 000 ludzi. Sytuacja ta, znacznie bardziej niż wszystkie perswazje Jeremiego, wpłynęła na zmianę decyzji regimentarzy, którzy zwinęli obóz pod Glinianami i wziąwszy z lwowskiego arsenału 18 dział i duże zapasy amunicji, ruszyli wreszcie na wschód.

Stojąc obozem między Lachowicami a Czołhańskim Kamieniem, próbował Jeremi przekonywać regimentarzy o konieczności przesunięcia się z wojskiem spod Lwowa dalej na wschód. O celowości takiego przedsięwzięcia przekonał — jak się zdaje — swojego szwagra Koniecpolskiego jeszcze w Zbarażu, na owej naradzie odbytej w pierwszych dniach sierpnia. Prowadził też w tej sprawie korespondencję z Ostrorogiem. 12 sierpnia pisze doń ze Zbaraża: „Drugiem to już pisaniem mojem jeszcze *molestus* [naprzykrzam się] WM Panu [...] posyłając zdanie moje. Obóz i kongres wojsk koronnych tak odległy, aby nie zostawał od nieprzyjaciela [...] żadnej nie traktujemy prywaty w tem, gdyż WM Panu pod Lachowice obóz stanowić z Korony życzę, ale upatruję w tem *rerum humanorum necesitatem* [rzecz słuszną i konieczną]. Co bowiem stąd za *commodium* [cel] Rzplitej, że pod Gliniany

mieć będzie *congressum* [zgromadzone] wojsko? Będzie tylko to, że Wołyń, że Podole i wszystka prawie Ruś odbieżana *in praedam* [na rabunek] przyjdzie nieprzyjacielowi [...] chłopstwo widzące nie w oczy, ale z oczu sobie idące wojska nasze zewsząd powstało i nie mając żadnego wstrętu, postrachu przynajmniej żadnego, tak wielkich zbrodni dokonuje, zamki tak potężne bierze [...] jako Bar [...]. Kamieńcowi zaś pewnie też ruina *et calamitas minatur* [i groźba klęski], jeżeli prędko do tego gwałtu nie pobieżemy i przynajmniej *arma* [siły] nie pokażemy i jakiejkolwiek gotowości naszej [...]". List kończą zapewnienia księcia, że jeśli regimentarze znajdują jakiekolwiek inne miejsce na obóz niż Czołhański Kamień, ale nie tak głęboko w ziemie Rzeczypospolitej cofnięte jak Gliniany, to on „z inszymi jegomościami [...] przybyć tam nie omieszka".

Ale nie gorące słowa Jeremiego, nie jego oczywiste racje strategiczne, tylko obawa, że pozostaną bez wojska, które samo do obozu kniazia przejdzie, wpłynęły na zmianę decyzji regimentarzy. Opuścili przeto regimentarze owe nieszczęsne Gliniany 26 sierpnia i chcąc nie chcąc pociągnęli na wschód, z zamiarem dojścia do Czołhańskiego Kamienia.

Szczupłe wojska regimentarskie zaczęły być zasilane przez różne chorągwie powiatowe. Połączyły się z nimi m.in. chorągwie krakowskie, mazowieckie, sieradzkie. Po wolnym marszu, 4 września 1648 stanęli regimentarze w pół mili przed obozem Wiśniowieckiego. W obozie Jeremiego przebywało wielu wybitnych wodzów m.in. Tyszkiewicz, który wprawdzie to i owo czasem „gównem pieczętował", niemniej wojownikiem był śmiałym i doświadczonym. Był też sławny Rewera Potocki, był Marek Sobieski, był wreszcie komiliton spod Konstantynowa — Osiński z gwardią. W dość niejasnych okolicznościach przepędzono jednak Łaszcza. Łaszcz, jak wiadomo, jeszcze przed wojną, (jako skazany na infamię) został wyrugowany z włości przez Tyszkiewicza i Wiśniowieckiego, jego syn procesował się z Jeremim o starostwo kaniowskie, słowem stosunki między nimi były jak najgorsze. W obliczu wroga udało im się jednak pogodzić i walczą razem pod Machnówką i Konstantynowem. Podpisują też wspólny list do senatu, datowany 30 lipca z obozu pod Kolczynem. Nie są znane bliżej okoliczności opuszczenia przez Łaszcza obozu pod Lachowicami i Czołhańskim Kamieniem, ani powody dla których Jeremi będzie się upierał, aby Zasławski wydalił ze swego obozu eks-strażnika koronnego (Sienkiewicz jako powód podaje afront wyrządzony przez Łaszcza Skrzetuskiemu). Faktem jest natomiast, że w tym właśnie czasie Chmielnicki próbuje wejść w porozumienie z Łaszczem oferując mu, w zamian za odstąpienie wojsk koronnych... całą wiśniowiecczyznę. Oczywiście Chmielnickiemu nie

trzeba było ani Łaszcza, ani jego zabijaków — miał swoich pod dostatkiem — ale ten przebiegły wódz rebelii chciał zapewne, znając dawne zatargi, poróżnić Polaków między sobą, dosłownie w przeddzień starcia.

Łaszcz skusić się nie dał, walczył dalej dzielnie przeciw Kozakom, tym niemniej, być może Jeremi przyjął jakąś korespondencję Chmielnickiego, może powstały tu jakieś podejrzenia i dwuznaczności i na ich tle doszło do ostrych kontrowersji.

Obóz pod Czołhańskim Kamieniem (lub Lachowicami, jako że leżał pomiędzy tymi miejscowościami), zgodnie z ówczesną sztuką wojenną ubezpieczał się w ten sposób, że rozsyłał na wszystkie strony podjazdy. Podjazdy takie spełniały zarówno funkcję rozpoznawczą, jak i kwatermistrzowską, ściągając do obozu zapasy żywności i paszy. Przy tej okazji dochodziło do starć z grupami zbrojnego chłopstwa, a także mniejszymi oddziałami kozackimi, które też rozsyłane były na podjazdy. Toteż, mimo że główne siły obydwu stron nie ruszyły się jeszcze, ta mała wojna podjazdowa trwała bez przerwy.

Ale równocześnie z regimentarzami na Ukrainę wyruszył drugi owoc konwokacyjnego sejmu: komisja traktatowa pod przewodnictwem wojewody bracławskiego Adama Kisiela. Kisiel podążał na Ukrainę pełen najlepszych myśli, był nawet zdaje się pewien, że to on wodzi za nos Chmielnickiego (powie później, że przez swoje działania powstrzymał na czas jakiś Kozaków i umożliwił w tym czasie zorganizowanie armii koronnej), a nie Chmielnicki jego. Bał się tylko, żeby przed rozpoczęciem traktatów nie sprowokowano natarcia głównych sił kozackich i dlatego pisał do prymasa „osierociałej Rzplitej Dyrektora", aby zakazał wysyłania podjazdów. W tym samym czasie Chmielnicki rozsyłał podjazdy po całej Ukrainie od Dniestru aż po błota poleskie.

Optymista Kisiel, wedle zalecenia sejmu miał się 23 sierpnia 1648 spotkać z Chmielnickim w Kijowie, tak aby zawrzeć jakiś traktat jeszcze przed sejmem elekcyjnym.

Jadąc przez Wołyń, z bliska zobaczył to, co Jeremi stale miał przed oczyma. Huszcza, z której jeszcze przed kilkoma tygodniami pisał list do księcia zapewniający, że „Chmielnickiego sobie ujął" była spalona. 9 sierpnia wysłał list do kanclerza meldując mu to, co niedawno pisał Wiśniowiecki: „terror taki [na Wołyniu], że nie tylko nieprzyjaciel bierze [...] ale też poddani chłopi śmielą się i dlatego plebs wszystka idzie do tych wojsk kozackich, czy chłopskich, czy rozbójniczych". Nie było mowy o tym, aby przez ten kraj zbuntowany mogło przejechać poselstwo. Zebrał jednak Kisiel kilka chorągwi wołyńskich i z nimi przebijał się między watahami chłopskimi i pomniejszymi oddziałami kozackimi do Łucka. Dalej iść już nie było sposobu. Wy-

słał więc Kisiel z Łucka list do Chmielnickiego, w którym powiadamia wodza rebelii o swym poselstwie, o kompetencjach, prosząc o wyznaczenie czasu i miejsca spotkania.

Chmielnicki nie spieszył się z odpowiedzią, wreszcie powiadomił wojewodę, że może się z nim spotkać pod Konstantynowem. Przy okazji wypomniał mu, że w maju układał się z Moskwą i nastawał na Kozaków i na niego osobiście. Nie omieszkał też poinformować Kisiela, iż winnym nowej wojny jest Wiśniowiecki. Chcąc nie chcąc ruszył Kisiel pod Konstantynów, po staremu przebijając się zbrojnie przez watahy uzbrojonego chopstwa i Kozaków, którzy jakoś dla godności poselskiej nie przejawiali większego respektu.

Z Łucka ledwie doszło poselstwo pod Ostróg. Tu zastąpiła mu drogę liczna, ok. trzechtysięczna wataha. Kisiel obwieścił Kozakom, że idzie w poselstwie do Chmielnickiego i prosił, aby go przepuszczono. Nie bardzo mógł się z komendantami owej watahy dogadać z uwagi na ich zamroczenie alkoholem, dość że po kilku godzinach przekonywania, kiedy Kisiel wypowiedział już po raz setny wszystkie swoje argumenty, a gorzałka wyparowała nieco z łbów, zgodzili się przeprowadzić poselstwo do Chmielnickiego, ale wzięli 10 zakładników. W tym momencie do Ostroga wpadł pojazd polski, wysłany z Czołhańskiego Kamienia, dowodzony przez strażnika polnego koronnego Jana Sokoła. Podjazd podjechał pod miasto i galopem zawrócił, niemniej Kozacy myśląc, że to jakaś zdrada czy też pułapka, zanim epizod się wyjaśnił, zamordowali 3 spośród 10 zakładników. Kozacy dali się jednak później jakoś udobruchać, ale zmienili zdanie i oświadczyli, że nie puszczą teraz tędy poselstwa, niech sobie Kisiel szuka innej drogi. Zawrócił nieszczęsny Kisiel spod Ostroga i udał się pod Czołhański Kamień. Po drodze minął go nowy podjazd dowodzony przez Hołuba i Aksaka, idący znów na Ostróg. Ten liczniejszy niż Sokoła podjazd spalił przedmieście i wyciął część Kozaków. Kisiel rozgoryczony — winiąc Wiśniowieckiego i innych z nim stowarzyszonych za niepowodzenie swej misji — dotarł do obozu. Jak przedtem od Kozaków, teraz doznał zniewagi od swoich. Nikt nie wyjechał mu na spotkanie, a wracający z podjazdu Wolski-Rzemyk kazał czeladzi ściągnąć z wozów Kisiela 3 kozackich zakładników i ściąć ich przed namiotem wojewody. Musiał się Kisiel poskarżyć na Wiśniowieckiego prymasowi, a ten z kolei musiał upomnieć księcia, skoro Jeremi 30 sierpnia spod Czołhańskiego Kamienia listem tłumaczy się z incydentu ostrogskiego: „Kozacy w kilka tysięcy Ostróg zajechawszy, zwykłe popełnili *caedas et spolia* [rzezie i łupiestwa], kościołom nie przepuściwszy. Nie przyszłoby im było do otrzymania miasta; bo jako to tak i wszystkie sam okoliczne mamy na pilnym oku. Ale ubezpieczeni będąc obozowaniem bliskim

tam WMPana Wojewody Bracławskiego, który z ludźmi Województwa Wołyńskiego w półmilu od Ostroga stał, nie rozumieliśmy, aby w oczach JMci umieli tak wiele dokazać [...]. Lubo tedy za perswazyą JMPana Wojewody Bracławskiego jako Komisarza *pacis* [pokoju], pierwszy nasz podjazd *infectis rebus* [nic nie wskórawszy] odjechał, przecie jednak drugi wyprawiliśmy [...]". W dalszej części listu powiadamia Jeremi prymasa, że ma wiadomość o zbliżaniu się Tatarów, prosi więc, aby wpłynął na przyspieszenie akcji zbrojnej, tak aby uprzedzić „ligę pogańską z domowymi poganami". Po liście następuje jeszcze *post scriptum*: „Po napisaniu tego listu przyszła nam wiadomość, że Kozacy w tych dniach Łuck opanowali, Klewań, Ołykę i inne Wołyńskie miasta. Drugi posłaniec przybieżał, że Tatarów trzydzieści tysięcy przeprawiło się do nas". Ostatnie zadanie *post scriptum* wyraża rozgoryczenie. Nawiązując do oskarżeń Kisiela, pisze kniaź z wyrzutem: „[...] i lubo Kozacy miasta biorą, nam każą milczeć, wiążąc ręce wolą Rzplitej, że pokój *non arma decantavit* [bez walki rozgłaszając]".

Niebawem dalsze przykrości miały spotkać pełnego dobrej woli, acz naiwnego Kisiela. Oto opuściły go chorągwie wołyńskie. Na wieść o zdobywaniu przez Kozaków kolejnych wołyńskich miast, wojewoda bracławski stracił już wiarę w skuteczność swej misji, wyznał nawet to otwarcie.

Istotnie, szanse powodzenia poselstwa były żadne. Wątpić należy, czy liczyłby się z nim Chmielnicki, jeśli pomiatał posłami byle pułkownik kozacki. Chmielnicki potrzebował jednak czasu, czekał też na przybycie posiłków tatarskich, toteż zwlekał, udając, że chce paktować, tymczasem umacniał się nie tylko na Ukrainie, ale sięgał otwarcie po Wołyń i Podole. Teraz, mając już wiadomość o nadchodzących ordach, zatrzymał gońców Kisiela i przerwał łączność z wojewodą. Widząc bezsens dalszej działalności poselskiej, Kisiel oficjalnie zrezygnował z prowadzenia pokojowej misji.

Tymczasem obóz między Lachowicami a Czołhańskim Kamieniem zapełniał się wojskiem. Wojska — zarówno kwarciane, powiatowe, jak i prywatne, nie chciały słuchać regimentarzy i głośno to wypowiadały. Deklarowały się walczyć pod komendą Jeremiego Wiśniowieckiego.

Z początku wyglądało na to, że Wiśniowiecki, popierany przez wojsko i szlachtę, dokona jakiegoś wojskowego zamachu stanu, pozbawi władzy regimentarzy i sam przejmie naczelne dowództwo. Fakt, że nie podążył do obozu gliniańskiego, ale założył swój, zdawał się świadczyć o tym, że do takiego celu zmierzał. Już tylko przez to dopuścił się poważnej niesubordynacji wobec wyznaczonych przez sejm regimentarzy. Trudno twierdzić kategorycznie, czy założenie odrębnego obozu blisko 140 km dalej na wschód było pierwszym krokiem do

przeprowadzenia owego zamachu stanu, czy też tylko sposobem na zmuszenie regimentarzy, aby przesunęli swe pozycje bliżej nieprzyjaciela. Czy chodziło tu jedynie o efekty wojskowe, czy też o realizację planu politycznego? Każda z tych wersji jest prawdopodobna i na poparcie każdej można by przytoczyć szereg argumentów. Toteż dla szeregu współczesnych ciekawym było, co stanie się teraz, kiedy regimentarze pod presją Jeremiego przeniosą się z wojskiem w pobliże Czołhańskiego Kamienia.

Czy hardy książę, który jeszcze przed rokiem w sprawie o Hadziacz groził szablą senatowi, teraz świadom poparcia udzielonego mu przez wojsko, za aprobatą poważnych wodzów i senatorów, którzy również przybyli do jego obozu, a nie do obozu regimentarzy, sięgnie po władzę, czy też dobrowolnie odda się pod dowództwo wojskowego idioty, ale naznaczonego przez Sejm Rzeczypospolitej regimentarza księcia Dominika Zasławskiego-Ostrogskiego? Człowieka, z którym miał nadto cały szereg zatargów natury osobistej? Podjęcie decyzji, dokonanie wyboru między tymi dwiema możliwościami na pewno nie było dla Jeremiego rzeczą łatwą. Książę musiał stoczyć walkę z samym sobą, ze swoją dumą, ambicją. I była to chyba — jak słusznie napisał Sienkiewicz — jedna z najzaciętszych walk w jego życiu. Ten moment doczekał się opisu literackiego w *Wojnie domowej z Kozaki i Tatary* Samuela ze Skrzypny Twardowskiego; po dalszych 200 latach opis tej walki w *Ogniem i mieczem* — scena przed krucyfiksem w komnacie zbaraskiego zamku stanie się jedną z najpiękniejszych w całej polskiej literaturze. Sam zaś dramat władzy i dramat odpowiedzialności za władzę nigdy wcześniej ani później nie został tak wyraźnie nakreślony. Koniec tej sceny, a zarazem finał walk z samym sobą przedstawił Sienkiewicz tak:

> „Wtem umilkło wszystko. Książę wszedł.
> Twarz miał spokojną, pogodną — i tylko zaczerwienione bezsennością oczy i ściągnięte rysy świadczyły o przebytej walce. Ale przez ową pogodę, a nawet słodycz przewijała się powaga i nieugięta wola.
> Mości panowie! — rzekł — Dzisiejszej nocy rozmawiałem z Bogiem i własnym sumieniem, co mnie uczynić należy:
> oznajmuję przeto waszmościom, a wy oznajmijcie całemu rycerstwu, iż dla dobra ojczyzny i zgody potrzebnej w czasach klęski poddaję się pod komendę regimentarzów.
> Głuche milczenie zapanowało w zgromadzeniu".

Zanim jednak książę mógł wypowiedzieć owo zdanie, wysłał już nazajutrz po przybyciu pod Czołhański Kamień regimentarzy, wojewodę Tyszkiewicza z misją mediacyjną. Tyszkiewicz oświadczył im, że Jeremi nie ma nic przeciw połączeniu obozów, ale domaga się, aby regimentarze złożyli przysięgę na swój urząd i aby wydalili ze swego

obozu Łaszcza. Książę Dominik Zasławski warunki te odrzucił. Postępowanie Zasławskiego nie spotkało się z aprobatą pozostałych regimentarzy i zapewne pod ich naciskiem wysłano mediatorów do księcia. Misję tę wzięli na siebie podkomorzy bełski Prusiński i pisarz polny Stanisław Koniecpolski. Jednak i tym razem nie osiągnięto porozumienia. Dopiero misja kasztelana Witowskiego i starosty Denhoffa przyniosła zamierzony efekt. Rozmowy trwały przez cały dzień 10 września, przerwano je na noc. Po tej nocy — zupełnie możliwe, że spędzonej bezsennie pod krucyfiksem — gdy Denhoff przybył świtem do kwatery Wiśniowieckiego, ten oznajmił mu i całej starszyźnie swą decyzję o poddaniu się pod komendę regimentarzy.

„Puszczono w amnestie wszystkie dyfidencje". Jeremi Wiśniowiecki wraz z opowiadającymi się przy nim senatorami, dygnitarzami i oficerami wjechał do obozu regimentarzy. Pół mili przed obóz wyjechał naprzeciw regimentarz główny, książę Dominik Zasławski-Ostrogski. Na oczach wojska książęta uścisnęli się, po czym regimentarz wprowadził Jeremiego do swego namiotu na naradę. Pierwszą wspólnie podjętą decyzją było wysłanie silnego podjazdu rozpoznawczego, który miał poprowadzić... eks-strażnik koronny Samuel Łaszcz. Urządzono też przegląd wojska, który wypadł okazale: 36 000 żołnierzy prezentowało się świetnie. Była to liczba imponująca. Tak wielkiego wojska Rzeczpospolita od dawna już nie posiadała.

Warto może jeszcze na chwilę zatrzymać się nad tymi „dyfidencjami", które to sobie „puszczono w amnestię". Zasławski z Wiśniowieckim nie lubili się od dawna, być może od czasów, kiedy to obaj konkurowali o rękę kanclerzanki Zamoyskiej. Obydwaj posiadali ogromne, częściowo ze sobą sąsiadujące majątki na Ukrainie i zapewne niejedną z tego powodu kwestię sporną. Zasławski był faworyzowany przez dwór (w 1636 został — po śmierci Janusza Wiśniowieckiego — koniuszym koronnym, w 1645 wojewodą sandomierskim), Wiśniowiecki przeciwnie, był przez dwór ignorowany. Musiało to pogłębić niechęć Jeremiego do księcia Dominika. Jeremi lubował się w wojnie i wojsku, od 1632 począwszy, brał udział w zasadzie w każdej kampanii i trudno mu chyba było zdobyć się na szacunek dla zniewieściałego, unikającego wojen, a otaczającego się zbytkiem kolegi. Do tych osobistych antypatii dołączyły już w 1648 dwie nowe sprawy. Otóż jeszcze z Polesia wysłał Wiśniowiecki do Zasławskiego jakiś list, który zawiózł dworzanin w otoczeniu dragonów i hajduków. Co było w tym liście — nie wiadomo — wiadomo natomiast, jak na list zareagował Zasławski: hajduków zarekwirował, dragonów pobił (był to zresztą jego jedyny, jeśli nie liczyć zajazdu teścia — jak dotąd — czyn wojenny). Po tym incydencie, którego przyczyna pozostaje nieznana, książęta wymienili

ostrą, obraźliwą korespondencję. Niechęć Wiśniowieckiego do Zasławskiego pogłębiał też niewątpliwie fakt nominacji regimentatarskiej ostatniego z pominięciem tego pierwszego. Doszła do tego jeszcze sprawa Łaszcza, który opuściwszy — z niewiadomych nam powodów — obóz księcia, znalazł schronienie w obozie regimentarskim. Ale te sprawy prywatne nie miały tu chyba bardziej istotnego znaczenia. O wiele gorsze stosunki łączyły Wiśniowieckiego z Łaszczem, a przecież odbyli razem znaczną część kampanii. W obliczu wroga, jak widać, prywatne animozje nie grały u Wiśniowieckiego większej roli. Chodziło tu o coś znacznie poważniejszego: Jeremi Wiśniowiecki wiedział, że Zasławski nie ma żadnych kwalifikacji do dowodzenia armią, że brak mu zdolności, doświadczenia, że jego ograniczoność, brak inteligencji, a przy tym pyszałkowatość i brak odwagi jak najgorzej rokują na przyszłość wojny. Równocześnie Jeremi był świadom swych wartości. Ale Zasławski został naznaczony regimentarzem przez sejm, przez Rzeczpospolitą. I dlatego kniaź wahał się, łamał sam z sobą, być może w scenerii trafnie odgadniętej przez Sienkiewicza.

Na razie zgoda zapanowała powszechna i wiara w łatwe zwycięstwo nad Kozakami. Wiśniowiecki ze swymi stronnikami poddał się pod dowództwo regimentarzy, ale ci ostatni wcale tego dowództwa nie wypełniali. W obozie panował beztroski optymizm. Nikt nikogo nie słuchał, nikt nie próbował zaprowadzać porządku. Nie bardzo wiadomo było, kto czym dowodzi. Chorągwie powiatowe nie chciały słuchać regimentarzy, a jedynie swoich pułkowników, a najchętniej nie słuchać nikogo. Kwarcianym na czas nie wypłacono żołdu, toteż gotowi byli wypowiedzieć służbę. Dyscypliny nie było żadnej, biesiadowano do późna w noc, hałasowano, palono z bandoletów. Nieudolność regimentarzy i ich brak autorytetu mściły się straszliwie.

To, o czym winien decydować jeden wódz, tu poddawano pod istny sejmik 3 regimentarzy, 32 komisarzy i jeszcze starszyzny wojskowej. Wiśniowiecki radził pośpiech. Chciał iść jak najprędzej na Chmielnickiego, tak aby pobić go jeszcze przed nadejściem ordy. Niektórzy podzielali jego zdanie, inni twierdzili, że lepiej na nieprzyjaciela zaczekać. Główny regimentarz w ogóle nie miał swojego zdania. Sejmikowano więc dalej. W tym czasie przekradł się do polskiego obozu Kozak, niejaki Zabuski, który przekazał ważne informacje. Oto Chmielnicki ze 100 000 armią stoi za Konstantynowem. W armii jego nie ma dyscypliny, a uzbrojenie jest raczej podłe. Kozacy nic jeszcze nie wiedzą o połączeniu wojsk polskich, a liczbę ich szacują błędnie na kilka zaledwie tysięcy. Po przeanalizowaniu tych wiadomości postanowiono wyruszyć nazajutrz (14 września), w kierunku Konstantynowa. W przedniej straży wysłano Ostroroga i Koniecpolskiego w kilka

tysięcy koni. Sądzono, że będą oni musieli zdobyć przeprawę na rzece Ikopot i dopiero wtedy przeprawią się przez rzekę główne siły. Tymczasem Chmielnicki wycofał Kozaków broniących przeprawy, jak i wszystkie inne wysunięte oddziały. Doświadczonemu taktykowi, jakim był ten wódz rebelii, chodziło o to, by wciągnąć wojska koronne jak najdalej w głąb, nie staczając bitwy do czasu nadejścia Tatarów. Jazda polska napotkała na swym szlaku pod Konstantynowem jakiś zapóźniony w odwrocie oddział kozacki, na który ochoczo natarto spędzając go z pola. Od jeńców dowiedziano się, że w Konstantynowie zamknęło się 5 000 Kozaków. Ostroróg postanowił zatem ominąć miasto i gdzie indziej szukać przeprawy przez Słucz. Innego zdania był drugi, jadący w przedniej straży regimentarz Koniecpolski, który wziąwszy część ludzi, ruszył pod miasto. W ślad za nim przybył pod Konstantynów Jeremi. Szwagrowie, mając do dyspozycji ok. 2000 ludzi podeszli pod bramy miasta. Ocenili, że miasto można wziąć szturmem, ale do tego potrzebna jest dragonia. Posłali więc do Ostroroga po dragonów. Zanim Ostroróg przybył z dragonami i artylerią, zapadła noc, toteż odłożono szturm. Ranek przyniósł polskiemu dowództwu miłą niespodziankę: Kozacy porzucili nocą miasto i uszli na wschód.

17 września 1648 wojska regimentarskie weszły do Konstantynowa. Po tym pierwszym sukcesie taktycznym znów zaczął obradować sejmik dowódców: iść dalej czy umocnić się w Konstantynowie? Za każdym rozwiązaniem przemawiały pewne argumenty. Konstantynów świetnie nadawał się do obrony, jego położenie nad Słuczą miało charakter strategiczny. Ale leżeć nad brzegami Słuczy, pod umocnionym miastem i czekać na Kozaków nie bardzo miało sens, kiedy Chmielnicki najwyraźniej nie miał zamiaru atakować. Poza tym należało się śpieszyć, aby nie dopuścić do połączenia się jego sił z idącą mu w sukurs ordą. Wiśniowiecki radził, aby w Konstantynowie pozostawić tabory, które stanowiłyby odwód i ubezpieczenie tyłów, natomiast komunikiem ruszyć co prędzej naprzeciw Kozakom.

Białobłocki w swej wierszowanej kronice zapisał:

„... tu zostawić
Obóz, a wojsko pod Chmiela wyprawić,
Bo tym sposobem zawsze postępował
Książę, ilekroć z Kozaki woiował
Pewnie to zdrowa barzo była rada..."

Wysłany podjazd pod Mikołajem Zaćwilichowskim rozbił jakiś podjazd kozacki i uzyskał od jeńców wiadomość, że obóz Chmielnickiego znajduje się o półtorej mili od Konstantynowa, na polach w po-

bliżu Piławiec. Miejsce to oceniono w obozie polskim jako bardzo niedogodne do natarcia, a to z powodu rozlewisk bagnistej rzeczki Ikwy. Zdecydowano ruszyć z Konstantynowa całością sił. Później, już po klęsce, decyzję tę uznano za kardynalny błąd, toteż tłumacząc się Zasławski będzie twierdził, że on zawsze był za pozostaniem w mieście, ale zmianę decyzji wymuszono na nim. Podawał przy tym coraz to inne nazwiska, tych, którzy upierali się opuszczać Konstantynów, Jeremiego wśród nich jednak nie wymieniając.

Z Konstantynowa ku Piławcom ruszyło wojsko podzielone na trzy skrzydła, ubezpieczone strażą przednią. Lewe skrzydło prowadził regimentarz Ostroróg, centrum wiódł Zasławski mając przy sobie Wiśniowieckiego, prawe regimentarz Koniecpolski.

Dnia 20 września armia polska dotarła do brzegów Skry. Okazało się, że Chmielnicki wybrał dla siebie doskonałe miejsce na obóz, obronne rzeką i jej rozlewiskami. Chcąc nie chcąc, armia regimentarzy zająć musiała przeciwny brzeg rzeki, pagórkowaty i pozbawiony wody. Nie było warunków na założenie jednego, dużego obozu, toteż założono praktycznie sześć odrębnych. Brak jednolitego dowództwa oraz zupełny brak autorytetu głównego regimentarza dał znać o sobie i tym razem. Staje więc wojsko koronne „obozem między górami, dołami, a do tego nieszczęścia i rządców było wiele, dlatego się i w dyspozycji mieszało". Powstał więc obóz „który bez porządku ani końca nie mając swego i początku. Dla nierychłej przeprawy wozów nieskończonych. Po górach i wertepach, gdzieś niedostąpionych. I kto gdzie chciał, tam stanął" — zapisał Samuel ze Skrzypny Twardowski.

Pierwszym błędem było zakładanie obozu w miejscu niedogodnym, narzuconym przez nieprzyjaciela. Brak planowego działania przy zakładaniu obozu pogorszył jeszcze sytuację. Poszczególne podobozy nie miały ze sobą łączności, oddziały nie wiedziały, kogo słuchać. Wkrótce się okazało, że wojsko jest odcięte od wody — że może się w nią zaopatrywać tylko pod ogniem nieprzyjaciela. Toteż bitwa, zupełnie chaotyczna, rozgorzała sama o dostęp do wody.

Regimentarze nie mieli żadnego planu bitwy, żadnej nawet jej koncepcji. Bitwa już trwała — rozpoczęła się bez woli i wiedzy regimentarzy. Ci nie bardzo się tym przejęli. Wtedy, widząc co się dzieje, wojewoda Tyszkiewicz na czele swoich chorągwi, nie oglądając się na regimentarzy uderzył na groblę, która stanowiła jedyną przeprawę. Kozacy silnie bronili przeprawy, toteż spędzili z niej Tyszkiewicza, który uderzył ponownie. Za drugim razem przyszło mu z pomocą kilka chorągwi, grobla przechodziła z rąk do rąk. Jeremi Wiśniowiecki wraz z regimentarzem Koniecpolskim ruszyli teraz w 30 chorągwi jazdy na pomoc wojewodzie kijowskiemu, spędzili Kozaków z grobli

i gnali ich aż do samego taboru. Przeprawa była zdobyta, ale nikt nie pomyślał o umocnieniu jej piechotą i artylerią. Ponieważ Zasławski nie wysłał piechoty na przeprawę w ślad za jazdą, Wiśniowiecki i Koniecpolski wracając obsadzili przyczółek kilkoma chorągwiami jazdy. Wkrótce okazało się to stanowczo za mało. Osiągnięto jednak ważny sukces taktyczny, ale nie umiano go wykorzystać. W obozie nadal panowało zupełne bezhołowie, ale nastrój za to był bardzo optymistyczny.

Walną bitwę planowano na dzień następny (21 września). Na życzenie wojska, w dniu tym natarciem miał kierować Wiśniowiecki. Jakoż z rana Jeremi „uszykował wojsko bardzo porządnie". Aliści na natarcie nie pozwolono. Prawdopodobnie regimentarze obawiali się, że w razie zwycięstwa cała zasługa zostanie przypisana Wiśniowieckiemu. Ten epizod wygląda dość niejasno. Nie bardzo wiadomo czy powierzenie Jeremiemu dowództwa na dzień 21 września odbyło się z inicjatywy i za zgodą regimentarzy, czy też rzeczywiście tylko *„ex consensu* wojska". To drugie wydaje się jednak prawdopodobniejsze. Pod presją wojska regimentarze ustąpili wprawdzie, powierzając na jeden dzień dowództwo konkurentowi, ale równocześnie zrobili wszystko, aby ten dzień nie przyniósł rozstrzygającej bitwy. Do bitwy generalnej dnia 21 września nie doszło. Tylko Łaszcz i książę Korecki z 1000 ochotników, nie wiadomo z czyjego rozkazu, a może nawet na własną rękę przeprawili się gdzieś bokiem przez rzekę i znienacka uderzyli na obóz Chmielnickiego od zupełnie niespodziewanej strony, narobiwszy w szeregach kozackich niemałego zamieszania.

22 września pojedyncze oddziały staczały jakieś chaotyczne bitwy, ale bez żadnego strategicznego znaczenia. W tym czasie do obozu kozackiego przybyły pierwsze posiłki tatarskie.

Rankiem, w środę 23 września Chmielnicki całe swe wojsko uszykował w front i ruszył ku rzece. W obozie polskim widok nadciągających Kozaków spowodował nieopisany zamęt. Zaczęto trąbić na trwogę. Jedne oddziały zaczęły się cofać, inne bez żadnego rozkazu ruszyły naprzeciw nieprzyjacielowi, jeszcze inne stały zdezorientowane w miejscu. Nikt nie panował nad sytuacją. W relacji dla prymasa Kisiel żali się, że do pułku jego, stojącego w straży przedniej „jeden Ich MMPanów Komissarzów przypadł [...] nie mając hetmańskiego ordynansu i kazał skoczyć rodzonemu memu ze 4ma Chorągwiami w pół ufców nieprzyjacielskich. Postrzegłem, że chorągwie lecą: skoczyłem zatrzymać. A żem nie mógł ich dopaść, zwiedli tedy bitwę, nie wiedząc z Kozakami czy Tatarami, aż się potem objawiła Orda".

Kiedy chorągwie Kisielowe zwarły się z nieprzyjacielem, ruszyli

im na pomoc ze swymi chorągwiami Jeremi Wiśniowiecki z jednego skrzydła, Aleksander Koniecpolski z drugiego. Walka była krwawa („sparli tedy nasi byli nieprzyjaciela, lubo nie bez naszej szkody"). Oddziałom tym nikt jednak z polskiego obozu nie przyszedł z pomocą. Cały ciężar walki spoczął więc na tych chorągwiach, które same poszły w bój. „Jedne chorągwie i dwa trzy razy się potykały, jako księcia wojewody ruskiego, a drugie potykać się nie chciały, trzecie z obozu się nie ruszyły, czwarte brzydko i wszetecznie uciekały".

W tej sytuacji, kiedy kilkanaście chorągwi dawało odpór nacierającemu nieprzyjacielowi, a pozostałe zaczynała — na wieść o przybyciu ordy — ogarniać panika, „nastąpiła nagła w polu rada na koniach, co dalej czynić?". Rozważano czy wszystkimi siłami co prędzej uderzyć na nieprzyjaciela, czy wycofać się całym obozem w stronę Konstantynowa i tam okopawszy się, bronić przed nieprzyjacielem, czy też ustępować taborem, czy może wozy i tabory porzucić, a tylko komunikiem, wziąwszy ze sobą piechotę uchodzić. Rozważano też możliwość wycofywania taborów, całą zaś jazdę pod Wiśniowieckim zostawić, jako straż tylną. Właściwie nic przed nastaniem nocy nie uchwalono.

W nocy z 23/24 września panika ogarnęła obóz polski. Okazało się bowiem, że regimentarze uciekli z obozu. Kisiel wróciwszy z bezowocnej rady dowiedział się, że „w nocy po odjeździe moim, nie wiem co za *consilium* [postanowienie] nastąpiło, że Ich Mć zaraz puścili się komunikiem, porzuciwszy wszystkich i tabor. Przede dniem dopiero dano mi znać. Zaczem i ja, nie pieszcząc podagry, dopadłszy konia z pułkiem moim na ostatku w drogę puściłem się".

Towarzysz lekkiej chorągwi, Mikołaj Jemiołowski, tak relacjonuje ową straszną noc: „[...] starszyznę tak bardzo trwoga poturbowała, że zaraz konie juczyć kazali [...]. Przydało i to strachu, że Chmielnicki w swoim obozie z kilkunastu dział jeszcze przededniem uderzyć kazał. To tedy wojsko usłyszawszy, a przytem i starszyzny swej mieszaninę widziawszy, za wodzem swym, nie wiem zaprawdę imienia, bo już wszystkich oprócz X. Wiśniowieckiego a Ostroroga podczaszego koronnego widzieć nie było, [...] ku Konstyntanowowi uchodzili".

W ślad za regimentarzami i komisarzami rzuciło się do ucieczki wojsko. Z regimentarzy najdłużej został w obozie Ostroróg (choć Zasławski będzie go później oskarżał, że jeszcze w czasie wieczornej narady zaczęły uciekać jego tabory). Został Wiśniowiecki, który będzie próbował panikę pohamować, zaklinając uciekających, aby zaniechali ucieczki i przy nim się gromadzili. W relacji panegirysty wyglądało to tak:

... iął obiegać w koło
Chorągwie, które mógł ciesząc wesoło
(Choć już źle) mówi, że nic, a do niego
Żeby się brali prosi, gdyż jednego
Miejsca okopem przystęp chciał warować
Ale już nie mógł rzeczy uhamować,
Gdy się gwałtownie rozbiegały koła
Rzadki kto słuchał, każdy w inszą woła,
Wtym też Kozactwo z Ordą nastąpiło
A już się wojsko wszystko powichrzyło
Z lamentem przyszło ustąpić i jemu.
Nowa to była rzecz WIŚNIOWIECKIEMU...

Oprócz Jeremiego został w obozie jeszcze Kisiel, jeszcze Osiński z swą dzielną piechotą. Wycofywali się jako ostatni, jeszcze o świcie będąc w obozie. W tym czasie główny regimentarz — jak sam przyznał — był już w Konstantynowie.

Wyjaśnienia wymaga epizod z rzekomą próbą wręczenia Wiśniowieckiemu buławy już po ucieczce regimentarzy. Scenę taką opisuje Twardowski:

... Położoną Xięciu przynoszą Buławę.
Niewczas (powie) kiedy te gore iuż nieszczęsną
Złe zawzięło, obsyłać taką się poczesną
Nie zdrowi iey donoszą, co przedtem ią wzięli,
A dowiedzą po czasie, czego się podjęli

Szajnocha wersję tę przyjmuje bez zastrzeżeń, mając zdaje się za złe Wiśniowieckiemu, że nie przyjął buławy „a wraz z nią śmierci męczeńskiej. Hruszewskij wątpi w nią przypuszczając, że legendę tę zrodziły zapewne echa nocnej narady komisarzy. Z historykiem ukraińskim zgadza się najwybitniejszy bodaj polski znawca Kozaczyzny, a zarazem biograf Jeremiego — Władysław Tomkiewicz, a za nim inni współcześni historycy. Tomkiewicz dodatkowo powołuje się na brak tej sceny w opisie Białobłockiego („Białobłocki piszący na świeżo, nie byłby zapewne faktu tego pominął"). Tym razem wielki historyk i znawca biografii Jeremiego pomylił się jednak! Białobłocki opisuje tę scenę:

Gdy tak w tey burdzie iako w kotle wrzało
A wojsko wszystko na wstecz iuż się brało
Iżci KSIĘCIU przynoszą buławę
Rzecze: a w taką przyszliśmy to sprawę
I wzniósłszy oczy z żałością do Nieba
BOŻE, tu twego ratunku iuż trzeba...

Wygląda więc na to, że Jeremiemu rzeczywiście, już w czasie paniki ogarniającej obóz po ucieczce regimentarzy, (a przynajmniej

dwóch z nich) oferowano przyjęcie buławy, a książę odmówił. Czy można mieć o to do niego pretensje, tak jak ma Szajnocha? Nie sądzę. Jeremi mógł jeszcze przed rozpoczęciem kampanii, w drodze zamachu odebrać buławy nieudolnym regimentarzom. Miał wtedy za sobą poparcie wojska, przebywających w wojsku senatorów, opinię szlachecką w całej Polsce. Wtedy sięgnięcie po buławę siłą miało nie tylko wszelkie szanse powodzenia, ale z pewnością pozytywnie wpłynęłoby na przebieg kampanii. Jeremi przełamał się jednak, przeszedł pod komendę naznaczonych przez sejm regimentarzy, dając dowód, że nie jest już warcholącym kresowym magnatem, odważnym wprawdzie do szaleństwa, ale też nie szanującym krępujących go praw, nie uznającym nad sobą zwierzchności. Jeśli przełamał się wtedy, kiedy mógł wierzyć, że odbierając regimentarzom dowództwo ratuje Rzeczpospolitą, to postępując konsekwentnie nie mógł pozbawiać ich buław — z woli garstki żołnierzy — w sytuacji, która była już nie do opanowania. W godzinie klęski, która była już nie do odwrócenia.

Oczywiście, zamiast uciekać w ślad za innymi mógł Wiśniowiecki wybrać śmierć bohaterską. Ale czy można mieć do kogokolwiek pretensje o to, że nie chce ponosić śmierci w sytuacji, gdy śmierć ta będzie już tylko gestem?

Kiedy uciekinierzy spod Piławiec znajdowali się już daleko na zachód od Konstantynowa, a więc rankiem 24 września, Kozacy dopiero zobaczyli, co się stało. W miejscu polskiego obozu znajdowało się istne rumowisko wozów, namiotów, armat, wszelkiego sprzętu wojennego, obozowego, a nadto przywleczone do obozu dla wygody i próżności szlachty dywany, zastawy, szaty kosztowne itp. „które ze wszystkiej korony najcenniejsze Panięta nawiozły, wybierając się na wojnę nie tak z żelazem, jako z srebrem i złotem". Łup był tak bogaty, że — jak zapisze Kochowski — Kozacy za czarkę wódki wymieniali srebne zastawy lub jedwabne szaty. Rozmiary klęski — i to zadanej na dobrą sprawę bez bitwy — i rozmiary łatwo zdobytego łupu wydawały się Kozakom aż nieprawdopodobne.

Już na trzeci dzień po klęsce — świtem 26 września — pierwsi uciekinierzy spod Piławiec dotarli do Lwowa. Wpadli do miasta nie tylko klęskę oznajmiając, ale jeszcze panikę szerząc, że za kilka godzin Kozacy mogą być już w mieście.

Z regimentarzy do Lwowa przyjechał jako pierwszy, jak się zdaje, Ostroróg. Książę Dominik Zasławski — główny regimentarz, ale i główny winowajca klęski — „nadjechał do Lwowa, ale zarazem *rebus suis consulendo* [w trosce o swoje bezpieczeństwo] do Rzeszowa obrócił. Jakoż słusznie uczynił: boby przypadek jakiś od wojska rozproszonego, a po kątach lwowskich włóczącego się, go nie uszedł".

Dopiero później dotarli do Lwowa Jeremi Wiśniowiecki, wojewoda Tyszkiewicz i wiele świetnego rycerstwa i oficerów. Jeremi przybył zaledwie w towarzystwie kilkunastu żołnierzy. Znużony prowadzoną ostatniego dnia przed klęską walką, ruszył w ślad za regimentarzami na jakimś wozie taborowym, zrozpaczony, zmęczony i niewyspany, zatrzymał się gdzieś na przedmieściach Lwowa u jakiegoś Ormianina, który poczęstował księcia obiadem i dał mu nocleg, do końca zapewne nie wiedząc, że gości pod dachem swojego wojewodę. Zasławski z Koniecpolskim uciekli gdzieś dalej, z regimentarzy opanował się pierwszy Ostroróg. Wprawdzie i on miał ochotę umykać dalej, ale na prośbę mieszczan został, mając od magistratu obiecaną pomoc finansową.

Opamiętawszy się, rozpoczął energiczną działalność. Wysłał list do podkanclerzego, prosząc o posiłki: wzywał do zwołania pospolitego ruszenia i zaciągnięcia cudzoziemskiej piechoty. Ze swej strony obiecywał, że spróbuje bronić Lwowa, ale nie jest pewien czy mu się to uda, widzi jawną wobec siebie niechęć dowódców wojska. To ostatnie zastrzeżenie uczynione było nieco na wyrost, bowiem do Lwowa jeszcze wówczas nikt znaczniejszy nie przybył i okazać podczaszemu swej niechęci nie był w stanie. Intuicję jednak miał dobrą, a sumienie niezbyt czyste i wiedział, czego się może spodziewać. Dowiedziawszy się, że Wiśniowiecki, Tyszkiewicz i niektórzy inni komisarze przybyli do miasta, wezwał ich Ostroróg na radę. Wśród obopólnych animozji i wzajemnych oskarżeń (Ostroróg miał wypowiedzieć się, że to wojewodowie bić się nie chcieli, oni zaś twierdzili, że widzieli, jak Ostroróg z pola walki uciekał), upływał cenny czas. Tymczasem wojsko oświadczyło, że Ostroroga słuchać nie będzie, godzi się pozostać w służbie tylko pod warunkiem, że Wiśniowiecki obejmie regimentarstwo. Zdanie wojska podzielali obecni w mieście komisarze, nawet patrycjat Lwowa. Wysłano więc do księcia deputację, aby regimentarstwo przyjął — on zaś konsekwentnie odmawiał — tłumacząc się, że prawnie mianowany regimentarz jest w mieście. Dodatkowo jeszcze wymawiał się brakiem pieniędzy na wojsko.

28 września rano zgromadziło się w kościele bernardynów we Lwowie około 3000 ludzi. Obecni byli regimentarz Ostroróg, wojewoda Wiśniowiecki i Tyszkiewicz, kilku starostów, w tym m.in. lubelski Zbigniew Firlej (szwagier Jeremiego), lwowski Adam Hieronim Sieniawski, łomżyński Radziejowski, eks-strażnik Łaszcz, niektórzy komisarze, jak Wojciech Wessel, Pac, Myszkowski, wielu oficerów i towarzyszy różnych znaków.

Pierwsze emocje już opadły, toteż zaczęto radzić o obronie, zamiast dalej wypominać sobie niedawne winy, tak że nawet nikt nie wystąpił przeciw Ostrorogowi, niemniej słuchać go nie chciano, i szemrano

przeciw niemu po kątach. Wszyscy zebrani uważali, że buławę należy oddać Wiśniowieckiemu, jednak nikt nie śmiał teraz występować jawnie przeciw regimentarzowi przez sejm oficjalnie naznaczonemu. Wtem, niespodziewanie dla wszystkich, do kościoła weszła szlachcianka Katarzyna Słoniowska, która przyniosła srebro od siostr karmelitanek i swoje własne klejnoty, rzuciła pod nogi Wiśniowieckiemu „zaklinając go z płaczem na miłość Ojczyzny, na Boga, na świętych patronów kraju — aby stanął na czele wojska i ratował Ojczyznę". Rada wojenna na chwilę umilkła — cisza zaległa kościół bernardynów, głos Słoniowskiej brzmiał tym dobitniej. Gdy umilkła, trzy tysiące gardeł powtórzyło za nią swą prośbę. „Płakało rzewnie wojsko wszystko, prosząc dla Boga, aby książę regiment przyjął, *et in ultimo occasu patriae* [i chylącej się ku zgubie ojczyźnie] chciał *subvenire* [przyjść z pomocą]". Jeremi odpowiedział, że dowództwa przyjąć nie może, jest tu bowiem Pan Podczaszy Koronny, „któremu *Respublica hoc munus tradidaret* [Rzeczpospolita tu obowiązek nałożyła]". Wywołało to istotną burzę przeciw Ostrorogowi. Uciszył ją wojewoda kijowski Tyszkiewicz, który na ławkę wlazłszy, aby zewsząd był widoczny i słyszany, „mowę do Xięcia Jeremiego uczynił, prosząc go dla miłosierdzia bożego, żeby się nie wzbraniał". Wówczas dopiero książę „płacząc rzewliwie" zgodził się przyjąć regimentarstwo, ale pod warunkiem, aby Ostroróg jako prawowity regimentarz przekazał mu władzę. I znów zerwała się burza przeciw nieszczęsnemu podczaszemu. Ten nie widząc innego wyjścia, oświadczył, że zrzeka się godności, a dyplom nominacyjny odeśle prymasowi. Tym razem Wiśniowiecki na to nie pozwolił, ale prosił Ostroroga, by nie zrzekał się regimentarstwa i został przy nim jako drugi regimentarz. Za przykładem Wiśniowieckiego tłum, który jeszcze przed chwilą gotów był rozsiekać regimentarza, teraz zaczął go prosić, aby nie składał urzędu. Dał się więc uprosić i na koniec rzekł uroczyście i z pokorą „przyjmuję ten ciężar za grzechy swoje" (jak pamiętamy, zwrot ten włożył Sienkiewicz w usta Jeremiego).

Dwaj wodzowie zobowiązali się, że jeśli uzyskają od miasta stosowne fundusze, zorganizują na powrót rozproszoną po Piławcach armię. Władze miejskie przyrzekły przyjść z pomocą finansową, wobec czego wyznaczono dwóch komisarzy finansowych — starostów łomżyńskiego Radziejowskiego i różańskiego Wessla. W krótkim czasie zebrano — częściowo w drodze pożyczek, częściowo darowizn — dzięki wielkiej ofiarności mieszczan, olbrzymią kwotę miliona złotych w gotówce i 300 000 złotych w kosztownościach. Ludność miasta swą wielką ofiarnością nie po raz pierwszy i nie ostatni dała dowód, że „*Leopolis semper fidelis*" (Lwów zawsze wierny).

Książę tymczasem listem powiadomił o fakcie objęcia dowództwa kanclerza (list dotarł do Warszawy 3 października), w tydzień później senat zatwierdził go na tej funkcji. Biorąc od miasta pieniądze i kosztowności, z których części Radziejowski nie potrafił się później wyliczyć, zapewniano, że jest to pożyczka, którą zwróci lwowianom Rzeczpospolita.

Ponieważ Chmielnickiego rzeczywiście lada dzień można się było spodziewać pod bramami miasta, przygotowania wojenne prowadzone energicznie przez Wiśniowieckiego i dzielnie pomagającego mu Ostroroga musiały przebiegać niejako dwutorowo. Rekonstruowano armię i przygotowywano miasto do obrony. Pierwsze zadanie, mimo zebrania znacznych środków finansowych, nie było łatwe. Z rozpierzchłej armii piławieckiej we Lwowie znalazło się niewiele ponad trzy tysiące. Reszta rozproszyła się po całej okolicy, część zbiegła w głąb Polski. W perspektywie można było jeszcze liczyć na chorągwie powiatowe, które do tej pory jeszcze nie dotarły do obozu regimentarzy. Jeremi wydał surowy uniwersał nakazujący zarówno żołnierzom, którzy rozpierzchli się pod Piławcami, jak i tym, którzy na plac bitwy jeszcze nie zdążyli nadciągnąć, stawić się jak najprędzej pod jego komendę, pod groźbą utraty czci i mienia. Równocześnie podobny uniwersał wydał w Warszawie prymas.

Zajęty organizacją wojska we Lwowie, wysłał Jeremi do Warszawy obożnego litewskiego Osińskiego z misją wymuszenia na sejmie elekcyjnym posiłków, głównie jednak piechoty.

W ciągu zaledwie kilku dni wykonano ogromną pracę organizacyjną. Z żołnierzy znajdujących się we Lwowie i najbliższej okolicy sformowano 8 chorągwi husarskich, 21 kozackich (pancernych), 2 chorągwie dragonów oraz dwie kompanie piechoty. Łącznie do dnia 1 października zaciągnięto i uformowano 3348 ludzi. A więc przez trzy dni sformowano armię prawie równą hetmańskiej pod Korsuniem jednak o wiele za małą, aby stawić czoła Chmielnickiemu i jego aktualnej potędze, liczonej już w dziesiątki tysięcy.

W pierwszych dniach października (prawdopodobnie już 2 października) dotarła do Jeremiego wiadomość, że 40 000 Kozaków i Tatarów — jako straż przednia! — maszeruje na Lwów. Za nimi zaś posuwa się cała potęga Chmielnickiego. Na wieść o tym książę urządza cichą mobilizację oddziałów i 5 października opuszcza Lwów z całym wojskiem. Tuż za miastem napotkał silny oddział tatarski, przez który przebił się, kierując w stronę Zamościa. Wysyła więc list do miasta Lwowa uprzedzający o niebezpieczeństwie, nadto wydziela mały oddział wojska do obrony miasta, sam zaś z głównymi siłami maszeruje na Zamość. Do obrony Lwowa — który miał dobrze wyposażone arse-

nały — przeznaczył książę oddział piechoty niemieckiej (124 ludzi), 50 dragonów, 52 osoby załogi zamku górnego, licząc jeszcze na 1500 zbrojnych i zdatnych do obrony miasta mieszczan. Dowództwo obrony powierzył książę generałowi Krzysztofowi Arciszewskiemu, ale ten przekazał je burmistrzowi Grozwayerowi.

Wiadomość, że książę opuścił miasto i nie zamierza go bronić całością sił, lwowianie przyjęli z oburzeniem. Ponosząc ofiary na cele wojskowe byli pewni, że książę z całym wojskiem pozostanie, by bronić miasta. Oburzenie ówczesnych lwowian podzielają niektórzy historycy (tak polscy, jak i ukraińscy). Pomawiano księcia, że oszukał miasto, że stchórzył przed nieprzyjacielem itp. Jak oceniać ten czyn Jeremiego? Przede wszystkim nie w kategoriach sentymentu. Zostawszy regimentarzem, Jeremi Wiśniowiecki miał obowiązek dbać o bezpieczeństwo kraju, a nie tylko jednego miasta, choćby to było nawet miasto tak wierne i tak ofiarne jak Lwów. Trzeba pamiętać, że to, co Wiśniowiecki wyprowadzał ze Lwowa, to była właściwie cała polska zorganizowana siła zbrojna. (W tym momencie nieważne już jest, za czyje pieniądze została zorganizowana). Lwów był fortecą o wiele mniejszą niż Zamość. Ten ostatni stanowił istotny rygiel do ziem Polski centralnej, do Warszawy. Wyobraźmy sobie przez chwilę, że Wiśniowiecki zamyka się wraz z wojskiem we Lwowie. Chmielnicki dysponujący nieporównanie liczniejszą armią może zablokować obrońców jedynie skromną częścią swych sił, siły główne prowadząc ku Warszawie. Oblężenie Lwowa mogło trwać długo — zamknięta w nim by była załoga, stanowiąca zarazem jedyną zorganizowaną siłę zbrojną w Koronie. Kiedy w blisko rok później nowi regimentarze i niezmordowany Jeremi zamkną się w Zbarażu, siły główne pod dowództwem króla będą dopiero nadciągać. To do nich będzie się przedzierał z listem i prośbą o odsiecz towarzysz Skrzetuski (wprawdzie nie Jan, ale Mikołaj), a potem Stapkowski. Ze Lwowa nie byłoby już do kogo się przedzierać. (Tego samego zdania był także L. Kubala).

Tak też musiał rozumować Wiśniowiecki, który na drugi dzień po opuszczeniu Lwowa listem do stanów Rzeczypospolitej tak tłumaczy swoje postępowanie i przedstawia żądania: „Uczyniwszy radę zobopólną, woleliśmy ostatek pozostałego zachować wojska, niźli w mieście takim się zawierać, w którem żadnego do obrony nie widzieliśmy sposobu, nie mając w piechocie, żywności, ani opatrzonych murów i siła innych defektów uważając. Zemknęliśmy się tedy, dragony przy mieście zostawiwszy, na Jaworowie ku Zamościu, abyśmy wziąwszy o WPaństwa pomoc, oblężenie Lwowa w tej bliskości prędko odsiecz dać mogli. Prosimy przeto na wszystkie świętości WPaństwa, abyście bez zwłoki nas ludźmi ratowali". Liczył Wiśniowiecki się z tym, że

siły swe wzmocni doskonałą piechotą pomorską, którą gdzieś z głębi kraju wiódł już Weyher. Liczył też na zapóźnione chorągwie powiatowe.

W czasie kiedy książę i jego wojsko dotarło do Zamościa, Chmielnicki stanął pod Lwowem. Po drodze srodze złupiono pusty Zbaraż, nie przepuszczając grobom książęcym. Wyrzucono z grobów ciała, szczególnie znęcając się nad zwłokami księcia koniuszego (Janusza Wiśniowieckiego) i jego żony, których kości Chmielnicki z trumien wyrzucić kazał. Nie spodziewał się zapewne wówczas zwycięski wódz rebelii, że za kilkanaście lat — jakby w odwet — jego szczątki wyrzucić każe z grobu w Subotowie człowiek, który teraz przebywa w niewoli, wzięty doń w Kudaku. Człowiek ten zwał się Stefan Czarniecki.

Oblężenie Lwowa szło Kozakom dość niemrawo. Miasto natomiast dokazywało cudów bohaterstwa. Z tego okresu pochodzi legenda, jakoby nad miastem, w chmurach, ukazać się miał Kozakom olbrzymi bernardyn, którego widok odebrał im chęć do szturmu. Postać owego bernardyna identyfikowali lwowianie z bł. Janem z Dukli, odtąd patronem rycerstwa polskiego, któremu w rok później senat i lud lwowski położyły na grobie srebrną tablicę przedstawiającą ów cud, wraz ze stosownym napisem. W kilka lat później wzniesiono błogosławionemu pomnik stojący aż do końca ostatniej wojny.

Mając przed sobą o wiele potężniejszy Zamość, a nadto operującą w polu — choć niewielką — armię, Chmielnicki zadowolił się okupem i 26 października zwinął oblężenie, ruszając ku Zamościowi.

W tym czasie Wiśniowiecki opatrywał Zamość i zaciągał wojsko. Do Zamościa ściągano żywność, spalono też przedmieścia, aby nie dawały osłony oblegającym. Forteca, posiadająca w załodze 300 żołnierzy piechoty ordynackiej Jana Zamoyskiego (*notabene* szwagra Jeremiego) oraz potężną artylerię, została wzmocniona przez 1500 piechoty niemieckiej, przyprowadzonej przez kasztelana elbląskiego Weyhera. Dodał do tego Jeremi część swojej piechoty. Razem z okoliczną szlachtą, która zamknęła się w twierdzy, załoga liczyła ok. 4000 ludzi, do czego dochodziły jeszcze porządkowe oddziały milicji miejskiej. Tak zaopatrzony Zamość — jedna z najpotężniejszych fortec ówczesnej Rzeczypospolitej — mógł bronić się długo i skutecznie, tym bardziej że cała jazda została przez księcia wyprowadzona z miasta i mogła manewrować na ewentualnych tyłach wroga. W Zamościu zaciągnął też Wiśniowiecki dalszych 1100 ludzi (11 chorągwi lekkich). Na wieść o zbliżaniu się Kozaków wycofał książę z miasta całą jazdę (ok. 4000 ludzi), zaś komendę nad miastem zdał kasztelanowi Weyherowi.

Siły, którymi rozporządzał Wiśniowiecki, były wielokrotnie za

małe, aby mogły przeciwstawić się olbrzymiej armii kozacko-tatarskiej. Toteż Jeremi nie ustawał w swej korespodencji z Warszawą, prosząc o posiłki. Nowe zaciągi w głębi Rzeczypospolitej szły jednak niemrawo. Przysłano za to Jeremiemu oficjalny dyplom potwierdzający nominację od wojska oraz buławę regimentarską. Teraz Jeremi — już oficjalny regimentarz wielki koronny — przedstawia stanom Rzplitej program wojny. Radzi przekupić Tatarów, tłumacząc im przy tym, iż walcząc z Kozakami Rzplita chce się wywiązać z zobowiązań wobec Turcji. Niezależnie od tych prób dyplomatycznych radzi regimentarz, aby zorganizować taką siłę zbrojną, która potrafi uporać się z ligą kozacko-tatarską. A na to trzeba, zdaniem księcia, co najmniej 20 000 piechoty i 30 000 jazdy. Widząc, że zaciągi takiej liczby wojska — a zwłaszcza piechoty, którą trzeba jeszcze wyćwiczyć — trwać muszą długo, radzi na ten czas zaciągnąć wyćwiczoną już piechotę zagraniczną. Książę śpieszył się, wszak kończył się październik, a on chciał wojnę rozstrzygnąć w kampanii zimowej. Niestety, sejm elekcyjny bardziej zajmował się sporami między kandydatami do tronu niż obroną państwa, zadowolony, że Kozacy utknęli na razie pod Zamościem.

W tej sytuacji książę postanowił osobiście wpłynąć na sejm, a zarazem dopilnować przebiegu elekcji — tak więc, zdawszy komendę nad wojskiem Myszkowskiemu, sam udał się do Warszawy.

XII. VIVAT JOANNES CASIMIRUS REX!

3 listopada do stolicy wjechał regimentarz wielki koronny. Jechał konno w asyście chorągwi kozackiej. Orszak ten przemaszerował przez zatłoczone ulice miasta żyjącego elekcją dostojnie, pod rozwianym czarnym sztandarem, na którym wyszyta biała ręka wznosiła krwawy miecz. Na sztandarze widniał łaciński napis: „*Tetigisti nos Domine pro peccatis nostris*" ("Dotknąłeś nas Panie za grzechy nasze"). Jakże kontrastować musiał ten orszak z odświętnym nastrojem rojnego i gwarnego w czas elekcji miasta! Książę regimentarz udał się wprost na zamek, dla złożenia hołdu zwłokom królewskim, a następnie złożył krótką wizytę królowej-wdowie. Prosto z zamku udał się na plac elekcyjny.

Gdy książę wyjeżdżał do Warszawy — sejm elekcyjny trwał już od blisko miesiąca. Pierwsze dni poświęcono sprawom proceduralnym. Sprawy obronności państwa poruszone zostały jedynie epizodycznie, 9 października, kiedy to prymas poświęcając mowę sprawie obioru króla, wspomniał na koniec o potrzebie wzmocnienia dwóch fortec, a to Lwowa i Kamieńca. Zaproponował, aby obronę powierzono panu Osińskiemu, oboźnemu litewskiemu. Dla dobrego przykładu zadeklarował się wystawić swoim kosztem 150 hajduków. Za przykładem prymasa biskup kijowski Stanisław Zaremba zadeklarował zafundować 50 piechurów i 40 dragonów, biskup łucki Andrzej Gembicki... 20 piechurów, co wywołało powszechną wesołość. Tak bardzo rozśmieszył biskup łucki senatorów, że nikt już dalszych deklaracji nie zgłaszał, widocznie uznano, że owych 260 żołnierzy fundowanych przez prymasa i biskupów na razie wystarczy, aby dać skuteczny odpór Kozakom.

Uwagę senatorów zajęło teraz co innego. Otóż zjawiło się trzech senatorów-komisarzy spod Piławiec, wojewodowie: brzeski Szczawiński, bracławski Kisiel oraz kasztelan sandomierski Witowski. Wejście piławiecczyków wywołało wśród zebranych pomruki niezadowolenia, nie-

mniej dopuszczono ich do głosu. Szczawiński krótko przedstawił przebieg wypadków, nakreślał też przyczyny owej sromotnej piławieckiej klęski, które upatrywał w niezgodzie regimentarzy, ich wzajemnej niechęci, próżności, braku dyscypliny, nadto błędów w dowodzeniu (np. brak rozpoznania, tak że nadejście Tatarów stało się zaskoczeniem, obóz założony był w złym miejscu), na koniec ich haniebną ucieczkę. Witowski potwierdził słowa Szczawińskiego — od siebie dodając, by regimentarzy spod Piławiec oddać pod sąd. Ostatni mówił Kisiel, zapewniający o swej wierności dla Rzeczypospolitej, nie zapomniał też pochwalić się, że spod Piławiec uchodził jako jeden z ostatnich. Było to prawdą, ale też prawdą było, że zamiast zatrzymać się przy odradzającym się wojsku i zostać we Lwowie, wolał podążyć dalej, do Warszawy.

Następnie odczytano list od Jeremiego Wiśniowieckiego, który był z wojskiem w polu, i od Ostroroga. Wystąpienia te siłą rzeczy zwróciły uwagę senatu na sprawy wojenne, następny dzień upłynął więc pod znakiem Marsa. Biskup poznański Szołdrski — wracając do wczorajszej inicjatywy prymasa — obiecał zafundować Rzeczypospolitej 100 dragonów, biskup krakowski Piotr Gembicki od nowych deklaracji wykręcił się, przypominając zebranym, że utrzymuje w Krakowie 700-osobowy oddział piechoty. Biskupi radzili też, aby wydać uniwersały wzywające chorągwie do garnięcia się pod znaki Wiśniowieckiego.

Biskup kujawski Mikołaj Gniewosz domagał się niezwłocznego przeprowadzenia elekcji nowego króla, w sprawach wojskowych za rzecz najważniejszą uznając posłanie Wiśniowieckiemu nie posiłków, ale... drugiego regimentarza w osobie kasztelana bełskiego Andrzeja Firleja „bowiem od zmarłego króla wiele słyszał o jego cnocie żołnierskiej". Gniewoszowi nie podobało się też to, że komisarze oskarżają regimentarzy, czym uraził mocno Szczawińskiego.

Podkanclerzy biskup Leszczyński zgodził się z przedmówcami, że wybór króla należy możliwie przyśpieszyć, obiecał wystawić 100 żołnierzy, a na wodza wojska gorąco rekomendował Wiśniowieckiego. Wojewoda mazowiecki Stanisław Warszycki obiecał chorągiew piechoty. Na koniec przemawiał Kisiel, który wprawdzie nic nie obiecywał zafundować Rzeczypospolitej, za to „zafundował wykład", jaki Chmielnicki jest straszny: „Takiego tyrana należy albo po prostu znosić, albo mężnie zwalczyć — perorował Kisiel — albo łagodnie przejednać". Król jest dla Kozaków czymś świętym, wywodził Kisiel, „podczas gdy Rzeczpospolita jest przez nich ważona lekko". Na koniec wykładu o poglądach i doktrynach prawno-politycznych Kozaków wyciągnął wniosek, że najlepszym lekarstwem na uśmierzenie rebelii... jest szybki wybór króla.

Wszystko to niezwykle poprawiło nastroje senatorów, tak że następny dzień, 11 października, poświęcono na prywatne narady. 12 października znów radzono nad obroną, jeszcze ten i ów senator obiecał ufundować jakąś chorągiewkę, co oczywiście nie mogło mieć najmniejszego znaczenia dla obronności Rzeczypospolitej. Wiśniowiecki żądał — jak wiemy — co najmniej 50 000 armii!

Zamieszanie wywołało oskarżenie Kisiela, że „na konwokacji zapewniał, że albo wroga uspokoi, albo własną śmiercią kres rebelii położy. Ani jednego, ani drugiego nie widzimy, owszem ujrzeliśmy, iż popiera sprawy Chmielnickiego". Na to oskarżenie odpowiedział Kisiel, iż obu zapewnień byłby dotrzymał, ale traktować mu nie dano, po czym jeszcze długo tłumaczył, dlaczego nie zginął, na koniec przypomniał, że jako jeden z ostatnich opuścił obóz pod Piławcami.

Wreszcie 13 października zgodnie postanowiono powierzyć dowództwo wojska Wiśniowieckiemu. Nie spodobało się to Kisielowi, który próbował oponować. Ubrał to w formę ostrzeżenia: „Jako senator związany przysięgą muszę ostrzec Rzeczpospolitą, że jeśli znajdzie aprobatę to, że 1 000 żołnierzy wybrało Wiśniowieckiego na hetmana, będzie to szkodliwym przykładem dla wszystkich...". Krzyki przerwały mu przemówienie. Widząc atmosferę sali, Kisiel ustąpił. Uznano jednak, że sejm ma prawo naznaczać nowego hetmana, ale tylko do czasu koronacji nowego króla. Ogłoszono więc Jeremiego Wiśniowieckiego dowódcą armii koronnej.

Następnego dnia rozważano możliwość zwołania pospolitego ruszenia. Wystąpienia Kisiela przeciw Wiśniowieckiemu były elementem kampanii rozpętanej przeciw księciu przez „stronnictwo pokojowe". Znalazło się ono w niekorzystnej sytuacji, jako że popularność Jeremiego wśród wojska i szlachty, a nawet senatorów była ogromna, tak, że chcąc nie chcąc — członkowie stronnictwa nie mogli skutecznie przeszkodzić mu w otrzymaniu buławy. Skoro już temu nie mogli zapobiec, starali się księcia i wojsko trzymać możliwie daleko od stolicy, obawiali się bowiem wpływu Jeremiego na przebieg elekcji. Toteż gdy zgłoszono projekt zwołania pospolitego ruszenia pod Warszawą, znów ostro i nie ukrywając obaw zareagował Kisiel, pytając „czemu tak usilnie pragną ujrzeć zbrojnych pod Warszawą?".

Sprytny Ossoliński nie ujawniał publicznie swych przekonań. Na forum senatu zastępował go Kisiel, któremu przypadła, jak się zdaje, rola „rozgrywającego" w stronnictwie pokojowym.

Dwa dni strawiono na dyskusjach, jaki tytuł nadać Wiśniowieckiemu: hetmana czy regimentarza? Wrogie mu stronnictwo sprzeciwiło się użyciu tytułu hetmana, toteż w patencie wpisano ostatecznie „regimentarz". Nie mogąc na razie przeszkodzić w objęciu funkcji,

nie dopuścili chociaż do nadania tytułu hetmana. W nominacji przesłanej Wiśniowieckiemu napisano, że otrzymuje on „rząd wojska i wszelką moc, która hetmanom koronnym z praw i zwyczaju należy". Zakreślono też czas sprawowania tej funkcji t.j. do czasu, aż nowo obrany król po koronacji nie wyznaczy hetmana, chyba że wcześniej powróci z niewoli któryś z hetmanów koronnych. Do pomocy księciu wyznaczono jeszcze drugiego regimentarza, kasztelana bełskiego Andrzeja Firleja.

24 października poszczególne województwa składały oświadczenia dotyczące wysokości posiłków wojskowych. Łącznie zadeklarowano wystawienie ok. 12 000 żołnierzy plus to, co zadeklarowali senatorowie. Sprawy wojny były na tym sejmie niestety drugoplanowe. Tak naprawdę serca i umysły absorbował wybór króla. Wokół tej kwestii koncentrowały się zakulisowe targi, narady i przekupstwa. Jeśli o wojsku mówiono, to często także jedynie w kontekście elekcji, by wojsko i jego dowódcy nie zaważyli na jej przebiegu.

Przez znaczną część października faktycznie było trzech kandydatów do korony: dwóch młodszych braci zmarłego króla: Jan Kazimierz i Karol Ferdynand oraz Jerzy I Rakoczy, książę siedmiogrodzki. Początkowo Jeremi stawiał na Rakoczego, z którym prowadził poufną korespondencję. O kontaktach tych nie wiadomo na dobrą sprawę nic pewnego i więcej było na ten temat pogłosek i plotek (z których część została wzięta przez niektórych historyków za dobrą monetę) niż faktów. Rakoczy miał w Polsce gotowe gorąco popierać go stronnictwo, złożone głównie z dysydentów, z hetmanem polnym litewskim Januszem Radziwiłłem na czele. Ale nie tylko dysydenci popierali kandydaturę protestanta Rakoczego. Ubiegając się o polską koronę dla siebie bądź dla swego syna Zygmunta, Rakoczy z całą pewnością starał się pozyskać sobie Wiśniowieckiego, choćby tylko ze względu na fakt jego wielkiej popularności wśród szlachty. Być może w grono stronników Rakoczego ściągał Jeremiego Radziwiłł, jako że pozostawali oni wówczas ze sobą w dobrych stosunkach. Faktem jest, że w okresie bezkrólewia Wiśniowiecki prowadził korespondencję z Rakoczym i wypowiadał się pozytywnie o jego kandydaturze. Kandydatura ta odpowiadałaby generalnej koncepcji politycznej Jeremiego, który chciał — podobnie jak Ossoliński — rozbić ligę tatarsko-kozacką, tyle że stronnictwo Ossolińskiego przy pomocy Kozaków chciało następnie uderzyć na Tatarów (realizując stary plan Władysława IV), Jeremi przeciwnie — uważał Kozaków za większe od Tatarów niebezpieczeństwo dla Rzplitej i dlatego planował ich likwidację w lidze z Tatarami. Do realizacji tego planu idealnym królem byłby Rakoczy — jako książę siedmiogrodzki i zarazem lennik Turcji.

Nie ma pewności czy ze stronnictwa siedmiogrodzkiego Jeremi „wypisał się" po otrzymaniu wiadomości o śmierci Jerzego Rakoczego (6 X 1648), nie popierając już kandydatury jego syna Zygmunta, czy też wcześniej, być może po otrzymaniu wiadomości, że Rakoczy prowadzi też poufne rokowania z Chmielnickim, dość że z końcem października Wiśniowiecki jest już liczony w poczet stronników królewicza Karola Ferdynanda. Wybór między królewiczami — jak słusznie zauważył Tomkiewicz — był dla Jeremiego prosty: za Janem Kazimierzem opowiedzieli się Ossoliński, Kisiel, słowem całe stronnictwo pokojowe, wrogie księciu — a dodajmy od siebie, także Chmielnicki. W tej sytuacji książę siłą rzeczy musiał postawić na kontrkandydata. Toteż kiedy Jeremi wjeżdża do Warszawy, jest już znany jako stronnik Karola Ferdynanda i dlatego wzbudza taki popłoch w stronnictwie Jana Kazimierza, owocujący od czasu do czasu wściekłymi i podłymi atakami na księcia, całą masą plotek i intryg.

Już w obecności Wiśniowieckiego odczytano stanom pismo królewicza Karola. Stronnicy Jana Kazimierza krzykiem i zamętem utrudniali czytanie listu. Królewicz Karol obiecywał wystawić własnym kosztem i utrzymywać przez pół roku 10 000 żołnierzy. Na koniec obiecywał, że albo doprowadzi do upragnionego pokoju, albo padnie w bitwie. Tę ostatnią deklarację opozycja przywitała głośnym śmiechem, gdyż „królewicz według powszechnego przekonania wydawał się raczej urodzonym i wychowanym do pobożności niż do Marsa".

Po odejściu posłów królewicza, książę-regimentarz Wiśniowiecki prosił o posłuchanie. Szlachta powitała księcia entuzjastycznie, i chcąc go lepiej słyszeć domagała się, by wszedł w środek szlacheckiego koła. Uchybiało to jednak tradycji i powadze urzędu senatorskiego, dlatego też książę obiecał, że następnego dnia stanie specjalnie przed stanem rycerskim.

Jak się zdaje, wbrew oczekiwaniom i obawom opozycji książę nie wypowiedział się w sprawie kandydatur do tronu. Przeciwnie, oświadczył wyraźnie, iż „nie po to przybył na elekcję, aby jakąś frakcją turbować Rzeczpospolitą". Zajął się wyłącznie sprawami wojskowymi i obronnością państwa. Złożył podziękowanie za nadanie mu władzy nad wojskiem, następnie jasno — choć bez paniki i histerii — przedstawił faktyczny stan zagrożenia państwa, domagając się liczby 60 tysięcy żołnierzy, tyle bowiem — obliczał — jest konieczne dla rozprawienia się z Chmielnickim. Chociaż książę nic nie mówił o kandydatach do tronu i za żadnym z królewiczów głośno nie optował, czyniąc zadość późniejszej formule apolityczności wojska, opozycja rozpowszechniała plotki, iż Jeremi miał powiedzieć, dotykając rzekomo swej szabli, że „tą szablą nałoży królowi koronę". Plotka obliczona była na zmniejsze-

nie popularności księcia wśród szlachty. Miała sugerować, że ten tyran, nie licząc się z głosami szlacheckiej braci, siłą będzie chciał forsować swego kandydata.

Od dnia następnego sprawy wojskowe ograniczyły się do sporów, czy i kogo pociągnąć do odpowiedzialności za Piławce. Podsędek krakowski Stanisław Chrząstkowski wystąpił z atakiem na Wiśniowieckiego. Nawiązał do treści wystąpienia Kisiela sprzed kilku dni, znów podnosząc szkodliwość faktu wybrania Jeremiego na wodza przez wojsko. Podsędek posunął się jednak dalej niż Kisiel i jawnie oskarżył księcia, że „we Lwowie za publiczną rękojmią pieniądze pobrano, a już ani o wojsku, ani o pieniądzach nic nie wiemy". W dalszym ciągu swej aroganckiej mowy podsędek zarzucił Jeremiemu i Ostrorogowi, że „wybrani wodzowie nawet nie złożywszy przysięgi pośpiesznie tutaj przybyli, pozostawiając Rzeczpospolitą w największym niebezpieczeństwie. Niech zatem zadość uczynią swemu powołaniu i powrócą do wojska".

Jak widać „stronnictwo pokojowe" chciało się za wszelką cenę pozbyć Jeremiego z Warszawy i zmierzając do tego celu, nie przebierało w środkach. Nie zawahało się sugerować Jeremiemu malwersacji i niehonorowego opuszczenia wojska. Nie zwracano nawet uwagi na to, że Jeremi wcale nie zamierza wykorzystywać własnej popularności w celu przeforsowania swego kandydata do tronu, że przybył głównie po to, by przedstawić sejmującym stanom prawdziwy obraz zagrożenia i domagać się przyśpieszenia zaciągów, utworzenia olbrzymiej armii, która w nadchodzącej kampanii zimowej mogłaby rozbić Kozaków. Jak do tej pory, senatorowie zadeklarowali gotowość sfinansowania kilkuset zaledwie żołnierzy. Za najbardziej pożądane uznano, aby Wiśniowiecki dawał opór parusettysięcznej armii kozackiej na czele 4 tysięcy żołnierzy (taką siłą podówczas dysponował), a ewentualnie tę siłę wzmocni się doraźnie przez... 20 piechurów biskupa łuckiego, czy 150 prymasowskich hajduków! W każdym razie niech sobie idzie precz z Warszawy i niech im nie przeszkadza w robieniu polityki!

Z lwowskich rachunków zaczął rozliczać się Radziejowski, który wraz z Wesslem był tam komisarzem skarbowym. Radziejowskiego wsparł wojewoda Szczawiński, który zręcznie nawrócił do Piławiec i wzburzone już umysły skierował przeciw Zasławskiemu. Zabrał głos i Wiśniowiecki, który z oburzeniem stwierdził, że pieniądze wydane zostały na zaciąg żołnierza. Książe zakończył wystąpienie wyrzutem: „za to, żeśmy część wojska zatrzymali, spodziewaliśmy się inkszej wdzięczności i podziękowania".

11 listopada królewicz Karol Ferdynand, ulegając namowie brata,

wycofał swą kandydaturę. Jan Kazimierz odstąpił mu za to księstwa opolskie i raciborskie, obiecał też wyjednać mu od Rzeczypospolitej dwa opactwa. Na wyraźną prośbę Karola, Jan Kazimierz przyrzekł mu, że nie będzie chował urazy do jego stronników z czasu elekcji. Jakoż w tej ostatniej sprawie król słowa nie dotrzymał, a odczuć to miał na swojej skórze już wkrótce Jeremi Wiśniowiecki. Po rezygnacji Karola stało się już jasne, że Królem Polskim, Wielkim Księciem Litewskim, Ruskim, Pruskim, etc., etc. zostanie Jan Kazimierz Waza.

Następnego dnia znów podniesiono kwestię konieczności rozdania wakansów „wygnańcom z Ukrainy" — sprawa ta była już i wcześniej podnoszona, a i teraz nic nie załatwiwszy, szybko o niej zapomniano.

Radosny nastrój sejmujących stanów znów zakłócił wojewoda ruski, książę-regimentarz. Powiadomił on o oblężeniu przez Kozaków Zamościa i dał do odczytania listy pisane przez Chmielnickiego do dowódcy obrony Zamościa, kasztelana Weyhera, i do mieszczan zamojskich. Chmielnicki zapraszał Weyhera „do kompanii" dość niedwuznacznie, proponując mu zdradę. W liście do obrońców Zamościa („Panowie Rycerstwo Woiska Polskiego y wszystci obywatele Zamoiscy") straszy, że jeśli nie znajdą skarbów na wykup dla Tatarów, to ci nagrodzą sobie „głowami waszemi iako żonami, tak i dziatkami". Dalej pisał do oblężonych Chmielnicki, aby nie spodziewali się żadnych posiłków, bowiem wszystko za Wisłą już przed potęgą kozacką zbiegło, gdzie, jeśli będzie trzeba, to i Kozacy „za pomocą Bożą" też się wyprawią. Przypomina im na koniec Brody, które nie poddały się i dlatego „nie tylko miasto z dymem poszło, ale y zamek mocny". W kolejnym liście Chmielnicki poucza obrońców, że on życzy sobie pokoju, nie wojny, ale musi ją prowadzić z powodu... księcia Wiśniowieckiego i chorążego Koniecpolskiego. Na koniec listu daje obrońcom za przykład Lwów, który się od oblężenia wykupił.

Nie zrobiło to wszystko znów większego wrażenia i dzień upłynął na wzajemnych oskarżeniach i swarach. Załatwiono też cały szereg innych drugorzędnych spraw państwowych. Targowano się dalej z Prusakami, dysydentami, przyjmowano posłów zagranicznych. Wreszcie ułożono i spisano *pacta conventa* i 20 listopada 1648 prymas — pytając wszystkich o zgodę — nominował na króla Polski Jana Kazimierza. Nominacja została przyjęta powszechnym aplauzem, potem zebrani „ugiąwszy kolana, jednymi ustami i jednym sercem, chociaż na różną nutę odśpiewali *Te Deum laudamus*".

W dniu nominacji królewskiej Jeremi raz jeszcze próbował podnieść sprawę obrony państwa, ale odpowiedziano mu, że to zostało załatwione, bowiem uchwalono już zaciąg na 13 000 żołnierzy (choć sumując deklaracje poszczególnych województw — nie było tego nawet

13 000), a pieniądze na ten cel da podwójne podymne. Jeremi raz jeszcze przypomniał, że nieprzyjaciel rozporządza co najmniej 200-tysięczną armią, przy której owe 13 tysięcy jest wprost śmieszne. Oświadczył, że w tej sytuacji nie bierze odpowiedzialności za skuteczność obrony. Ale nikt się tym nie przejął, umysły bowiem zwrócone były w inną stronę. Znów ożyła wiara w układy i nadzieja na zawarcie pokoju.

Jakoż 23 listopada przybył do Warszawy eks-jezuita, teraz augustianin ksiądz Andrzej Humel Mokrski, przywożąc listy od Chmielnickiego do króla „do Rzeczypospolitej". Listy datowane były 15 listopada — kiedy król był jeszcze królewiczem i tak też jeden z nich był adresowany. W listach tych Chmielnicki przyznaje, że „Kozacy obrazili Majestat Boży jako i WPanów", ale stało się „z przyczyny biedy i niedoli". Dalej pisze, że wszystkiemu winien jest Wiśniowiecki i Koniecpolski. W liście pełno jest komunałów fałszywej pokory i oczywistych kłamstw, jak np., że po rozbiciu hetmanów pod Korsuniem wrócili Kozacy spokojnie na Zaporoże, ale „Wiśniowiecki ich z wojskiem następował". Jak wiadomo, książę rozpoczął swą akcję zbrojną pod Żytomierzem, idąc ku Wołyniowi. Gdyby Kozacy wrócili w tym czasie na Zaporoże, oba wojska rozdzieliłaby przestrzeń kilkuset kilometrów. Ale dla całości sprawy uznano to za nieważne, przechodząc do porządku dziennego nad tym, że na Wołyniu Wiśniowiecki „nachodził" przebywających już na Zaporożu Kozaków. Teraz też z powodu Wiśniowieckiego — pisał wódz kozacki — przyszli pod Zamość. Ale zamiary mają pokojowe. Ku Warszawie zbliżył się — jak twierdzi Chmielnicki w liście — aby pomóc w elekcji Jana Kazimierza, widząc, że stronnictwo wojenne nie chce na tę elekcję się zgodzić. List kończył się zachętą dla króla „aby WKr Mość raczył być samodzierżcą, jako inszy królowie, a nie jak śp. przodkowie WKr Mości właśnie w niewoli byli, aby już tych królików więcej pobocznych nie było". Do realizacji tego celu Chmielnicki — imieniem całego wojska zaporoskiego — deklaruje swą pomoc i poparcie.

Jadący do Warszawy Mokrski minął się po drodze ze Śmiarowskim, którego Jan Kazimierz jeszcze przed nominacją wysłał z listem do Chmielnickiego. Ten ostatni już pod Lwowem deklarował swe poparcie dla kandydatury Jana Kazimierza, pod Zamościem napisał to wyraźnie w liście do Weyhera. Treść tego listu znana była w Warszawie już z początkiem listopada.

Niezależnie od zawartości listów, Chmielnicki szereg informacji i propozycji podał ustnie Mokrskiemu celem przedstawienia w Warszawie. Deklarował mianowicie gotowość powrotu na Ukrainę, żądając w zamian amnestii, tytułu hetmańskiego dla siebie, znacznego podwyż-

szenia rejestru, przywrócenia dawnych wolności kozackich, a zwłaszcza wolności wychodzenia na morze, wyjęcia Kozaków spod zwierzchności sejmu, a jedynie uznawania bezpośredniej zwierzchności króla, zniesienia kościoła unickiego „i zwrotu wszystkich cerkwi i dóbr tego kościoła cerkwi prawosławnej". Warunki te były praktycznie nie do przyjęcia, jednak stronnictwo pokojowe chciało je być może traktować jako warunki wstępne i to lub owo jeszcze wytargować.

Jeremi i jego stronnictwo domagało się szybkich zaciągów i przeprowadzenia kampanii jeszcze w zimie, kiedy Kozacy nie mogąc się w polu okopać, przedstawiają mniejszą wartość bojową. Fakt zadowolenia się Kozaków i Tatarów okupem (20 000 zł) złożonym przez Zamość i odstąpienie od oblężenia dało atuty stronnictwu pokojowemu.

Wymyślono, że żądania kozackie zostaną zawieszone ze względów protokolarnych, wszak Chmielnicki pisał do królewicza, a nie do króla. Król wydał teraz antydatowany (na datę przed przybyciem Mokrskiego do Warszawy) uniwersał do Kozaków, w którym powiadamia wodza rebelii o swej elekcji, a nadto o tym, że wydał wojskom koronnym i litewskim zakaz prowadzenia działań wojennych. (Chmielnickiego najprawdopodobniej musiał ubawić ten zakaz wydany 4-tysięcznej armii, aby nie prowadziła działań przeciw jego 200 000). W zamian król żądał, aby Kozacy wrócili na Ukrainę, odprawili Tatarów, a do Warszawy przysłali poselstwo. Ze swej strony król chciał wysłać wyposażone w pełnomocnictwa poselstwo do Kozaków. Niezależnie od tej oficjalnej korespondencji król wysłał jeszcze list prywatny, zawierający przyrzeczenie realizacji pozostałych żądań kozackich. Stronnictwo pokojowe, do którego teraz doszlusował król, było zachwycone.

Chmielnicki pisał w tym czasie z satysfakcją — do której miał pełne prawo — do chana, że udało mu się oszukać króla, poróżnić go z niektórymi senatorami i uzyskać to, o co chodziło mu najbardziej: zawieszenie broni na czas zimy, kiedy Tatarzy do przyszłej wiosny odmaszerowali z jasyrem i łupami na Krym. Goszcząc królewskiego posła Śmiarowskiego, mówił mu Chmielnicki szczerze, że żąda przyznania Kozakom całego Zadnieprza i prawobrzeżnej Ukrainy aż po Białą Cerkiew.

Wysyłając poselstwo do króla, prosił Chmielnicki o wyznaczenie komisji traktatowej, której przewodniczyłby — wypróbowany w swej naiwności, choć szczerze oddany sprawie pokoju — wojewoda Kisiel. Król przyjął bardzo przychylnie poselstwo kozackie, obiecał nadesłać Chmielnickiemu buławę i wyznaczyć komisję traktatową pod przewodnictwem Kisiela, która przybędzie na Ukrainę w połowie stycznia i rozpocznie rokowania.

Zbliżała się zima, Tatarzy z łupami i jasyrem wrócili na Krym. Nadchodził czas najstosowniejszy na rozpoczęcie ofensywy przeciw Kozakom. Tymczasem 12 grudnia król wydał uniwersał o zakończeniu wojny kozackiej.

Wszystko to wyglądało na jakieś gigantyczne nieporozumienie. Jak słusznie napisał Kubala, za ustępującymi, niby na rozkaz królewski Kozakami, należało posłać wojsko dla obsadzenia twierdz ukraińskich, wołyńskich i podolskich, dotąd zajętych przez Kozaków. Gdyby Kozacy z nich ustąpili, Korona odzyskałaby swoje twierdze na Wołyniu czy Podolu. Gdyby Kozacy z nich ustępować nie chcieli, Rzeczpospolita nie miałaby już złudzeń co do prawdziwych intencji kozackich. Także niezrozumiałe było — jeśli stawiano na pokój — odroczenie rokowań, które z założenia miały być długotrwałe. Uroczystości koronacyjne nie mogły chyba stanowić wystarczającego powodu.

Instrukcja na sejmiki przed sejmem koronacyjnym uchyliła nieco rąbka tajemnych planów kanclerza. Ten szef stronnictwa pokojowego, w czasie elekcji jakby utajony, teraz wystąpił do szlachty z zachętą, aby... uchwalała zbrojenia. Instrukcja wyjaśniała, że w sojuszu z Moskwą trzeba będzie uderzyć na Tatarów. Chciał więc Ossoliński powrócić do starej koncepcji Władysława IV. Liczył na to, że do pomysłu tego pozyska Kozaków i wciąż miał nadzieję, że ich napór uda mu się skierować w przeciwnym kierunku. Termin wysłania komisji traktatowej (a spodziewano się długich rokowań) przesunięto prawdopodobnie na połowę stycznia dlatego, aby wcześniej zakończył się sejm koronacyjny (wyznaczony na 19 I—9 II), tak aby nie zdążył on zakwestionować ustępstw poczynionych na rzecz Kozaków, a jeszcze pod presją groźby kozackiej, aby uchwalił zwiększone zaciągi i zatwierdził sojusz z Moskwą.

Jak podejrzewa — chyba słusznie — W. Tomkiewicz, to Ossoliński obmyślił ten iście szatański plan. Plan był rzeczywiście bardzo sprytny i bardzo misternie skalkulowany, tyle że prowadził do nader wątpliwego celu. Nie uwzględniał też nastrojów szlachty. Ta, świadoma, że król prowadzi jakieś pokojowe rozmowy z Chmielnickim, rychło nabrała przekonania, że wojny nie będzie i — wyjąwszy szlachtę ukraińną — na ogół z takiego obrotu sprawy była zadowolona. Toteż sejmiki nie uchwaliły wcale zaciągów, w sprawach wojskowych domagając się jedynie sądu dla regimentarzy spod Piławiec. Opozycja w senacie była zaniepokojona poufnymi kontaktami króla z Chmielnickim. Głośno oskarżał o to króla i Ossolińskiego podkanclerzy biskup Leszczyński, niegdyś przywódca stronników Karola Ferdynanda, zawsze, wraz z Wiśniowieckim, przywódca stronnictwa wojennego. Król tymczasem, nic sobie z tego wszystkiego nie robiąc, przygotowywał

się do koronacji. Najpierw wyprawił z Warszawy do Krakowa zwłoki swego zmarłego brata, sam miał opuścić stolicę 2 stycznia.

Tak zakończył się ów rok 1648. Jezuici opowiadali, że przed kilku laty zmarł w Jarosławiu 10-letni chłopiec, uznawany za świętego. Chłopiec ten na łożu śmierci miał — po przyjęciu sakramentów — powiedzieć: „Czterdziesty ósmy to osobliwy rok" — po czym skonał. Albrycht Radziwiłł komentując to zdarzenie przyznaje: „W istocie było to prawdziwe proroctwo".

Wieczorem 14 stycznia wjechał król do iluminowanego, wystrojonego Krakowa. Orszak królewski otwierało 6 barwnie odzianych oddziałów gwardii. Za nimi miarowo postępowała piechota królewska. Dalej 36 chorągwi jazdy, wszystko z prywatnych wojsk senatorów. Za wojskiem podążali konno senatorowie i inni najpoważniejsi dygnitarze. Tuż za chorążymi z rozwiniętymi sztandarami królewskimi, jechał Jeremi Wiśniowiecki, piastujący godność regimentarza wielkiego koronnego. Księciu towarzyszyli jego wychowankowie i podopieczni, książęta Konstanty i Dymitr, którzy w tym czasie studiowali w Krakowie. W diariuszu koronacji zapisano, że „pan wojewoda ruski i hetman teraźniejszy siedział na koniu tureckim, kształtnym, siwym jabłkowitym; rząd szaty złocisty wąziusieńki był na koniu. Książę w sobolej frezjej czarnej, a buława hetmańska przed nim, po prawej stronie łęku przedniego siodła wisiała". Za regimentarzem, wśród najpoważniejszych senatorów, tak świeckich jak i duchownych oraz ministrów, jechał konno król ubrany w strój francuski.

15 stycznia rano rozpoczęły się w Katedrze Wawelskiej uroczystości żałobne Władysława IV.

Po uroczystej mszy żałobnej biskup poznański wygłosił mowę pogrzebową. Potem zgodnie ze zwyczajem do trumny przyniesiono korony królewskie: Jeremi niósł koronę polską, wojewoda mazowiecki Warszycki szwedzką. Następnie u trumny kruszono wszystkie symbole władzy monarszej zmarłego. Rozbito tarczę królewską i złamano kopię. Później marszałkowie połamali laski, kanclerze pokruszyli gipsowe pieczęcie. Chorąży koronny oderwał proporzec królewski od drzewca, drzewce zaś złamał. Dalszy ciąg tej sceny Albrycht Radziwiłł tak opisuje: „Ponieważ nowy król resztki złamanego znaku chorągwi królewskiej zwykle oddawał do rąk hetmanów, więc chociaż tylko do czasu Wiśniowiecki naznaczony był wodzem, oczekiwał tego jednak jako zastępca w dowództwie wojskiem. Lecz król, pominąwszy go, ku jego niezadowoleniu oddał resztki w ręce pokojowca". Tego symbolicznego aktu oczekiwał nie tylko Jeremi, ale wszyscy zgromadzeni. Biskup krakowski — sądząc, że król resztek chorągwi nie daje Wiśniowieckiemu przez zapomnienie — podpowiedział mu to na ucho,

lecz król gestem powstrzymał biskupa, tak że dla wszystkich stało się jasne, że afront wyrządzony był celowo i z rozmysłem. Ten gest królewski wzbudził niesmak nawet u ludzi najbardziej mu życzliwych. Zwolennicy Wiśniowieckiego, a tych była większość, nie posiadali się z oburzenia. W rewanżu na bankiet wydany wieczorem przez króla nie przybyło wielu senatorów. Król połapał się więc, że jego nietakt był też błędem politycznym, toteż próbował teraz wyjaśnić, że całe zdarzenie było wynikiem nieporozumienia, a dla lepszego efektu odesłał złamane drzewce Wiśniowieckiemu.

Konflikt pomiędzy Jeremim a stronnictwem Ossolińskiego, które bez reszty owładnęło Janem Kazimierzem, musiał się uzewnętrznić niezależnie od osobistych animozji adwersarzy i tych sprzed lat, i tych najnowszych. Wiśniowiecki i Ossoliński reprezentowali skrajnie różne koncepcje rozwiązania kwestii kozackiej. Żaden z nich zresztą nie rozumiał, że to nie kwestia kozacka wymaga rozwiązania, ale coś znacznie więcej i coś znacznie trudniejszego: kwestia ukraińska. Kiedy w 10 lat później zostanie to wreszcie dostrzeżone, obydwaj nie będą już żyli. Trzeba przyznać, że Wiśniowiecki jako urzędnik lojalnie — choć na pewno bez przekonania — realizował politykę swego monarchy.

W kilka dni po koronacji (ta odbyła się 17 stycznia, Jeremi niósł na niej za królem jabłko królewskie) książę pisze list do Chmielnickiego, utrzymany w pojednawczym tonie. Przypomina, że jego przodkowie zawsze byli przychylni wojsku zaporoskiemu, mało tego, „krew z nimi przeciwko nieprzyjaciołom leli". Pisze też, że dziwi go nieprzyjaźń, jaką szczególnie obdarza go ostatnio Chmielnicki. On natomiast „z woli Bożej, później Rzplitej i teraźniejszego pana, hetman wielki wojsk koronnych" nie życzy sobie rozlewania dalszego krwi chrześcijańskiej i co więcej, obiecuje, że będzie namawiał króla, aby Chmielnickiemu i wojsku zaporoskiemu „teraźniejsze przestępstwo odpuścili". Czytając ten list, mimo woli sprawdza się, kto go podpisywał, bo aż trudno uwierzyć w autorstwo Jeremiego. W. Tomkiewicz słusznie więc chyba podejrzewa, że list ten, pisany formalnie do Chmielnickiego, faktycznie adresowany był do dworu.

Nic to jednak nie zmieniło, odsunięcie Jeremiego od dowództwa wojska było już na pewno postanowione i to nie tylko z powodu zupełnie innej koncepcji dalszego postępowania z Kozakami. Nie bez znaczenia było tu też żądanie Chmielnickiego. Ten ostatni we wszystkich swych listach wysyłanych do Polski wciąż akcentował różne zarzuty pod adresem księcia, winił go za wybuch rebelii, za drugą jej fazę. Nie wahał się tu posuwać nawet do zupełnie niedorzecznych kłamstw. Posłowi królewskiemu, Śmiarowskiemu, jeszcze pod Zamościem Chmielnicki oświadczył: „ten kniazik niedługo mi będzie regi-

mentował...". Jednym z ustnych poleceń przekazanych Mokrskiemu było wyjednanie u króla usunięcia Jeremiego z regimentarstwa. Wedle ówczesnych relacji. Król musiał taką obietnicę istotnie uczynić.

19 stycznia 1649 zebrał się sejm koronacyjny. Wśród kłótni towarzyszących wyborowi marszałka mijały izbie poselskiej pierwsze dni sejmu. Natomiast w senacie toczyła się gra o wszystko. Stronnictwo kanclerskie, ufne w skuteczność wysłanej właśnie do Chmielnickiego komisji traktatowej z Kisielem na czele, przystąpiło do ostatecznej rozgrywki z Wiśniowieckim. Mimo uszu puszczono wiadomość o podejrzanych kontaktach Chmielnickiego z Rakoczym, o nowych grabieżach na Wołyniu. Być może z nadzieją wysłuchano nowych pogróżek gońca chańskiego i odczytano groźny i bezczelny list wezyra sułtańskiego — było to wszak po myśli Ossolińskiego, który miał, zdaje się, nadzieję rozerwać przez Kisiela ligę kozacko-tatarską i „nawróconych" Kozaków pchnąć przeciw Tatarom i Turcji. Rozgrywka personalna była teraz najważniejsza.

Dla wyeliminowania Wiśniowieckiego nie zawahano się nawet zastosować dość paskudnej prowokacji. Otóż powszechne były przypuszczenia, że z obawy, aby sejm koronacyjny nie wydał ustawy potępiającej zbiegłych spod Piławiec regimentarzy, Zasławski zerwie sejm. Tymczasem któryś z senatorów miał rzekomo ostrzec króla, że zerwanie sejmu planuje regimentarz. Król polecił zapytać Wiśniowieckiego dlaczego planuje zerwanie sejmu. Oburzony książę stawił się natychmiast u króla, kategorycznie zaprzeczając oszczerstwu i prosząc, aby ujawnił mu oszczercę. Jan Kazimierz próbował załagodzić sprawę, dając obietnicę, że później wyjawi mu nazwisko „opowiadacza". Nie doczekawszy się realizacji obietnicy królewskiej, Jeremi na posiedzeniu senatu wrócił do tej sprawy. Swoje wystąpienie — bardzo emocjonalne — zakończył słowami „kto mnie udał przed W.Kr.Mością jest arcypieski niecnotliwy syn i zdrajca!" Epitety te dotknęły króla — niewykluczone zresztą, że to on sam był źródłem plotki i organizatorem intrygi, a wówczas odnosiłyby się one wprost do niego — tak, że obrażony opuścił salę, każąc marszałkowi Kazanowskiemu upomnieć księcia, aby w przyszłości takimi wyrazami nie raził uszu królewskich. Reakcja królewska była tak nienormalna, że Kazanowski „osłupiał" i nie zwrócił księciu uwagi. Wobec tego król obraził się tym razem na cały senat i poszedł do swych prywatnych komnat.

Ataki na księcia prowadzone były niemal bez przerwy i to przy lada okazji. To jeden z senatorów mimochodem zauważył, że król nie powinien dawać nad wojskiem „zwierzchności tym, którzy mają swe rezydencje w odległych miejscach", to znów zarzucano regimentarzowi, że chorągwie ściąga pod Kraków (chociaż przybyła tam tylko

chorągiew powiatowa krakowska na zimowe leże) wobec królewskiego zakazu działań zbrojnych. Bardziej zastanawiano się czy pieniądze pobrano we Lwowie w imieniu Rzeczypospolitej, czy prywatnie (zatem bezprawnie) niż nad winnymi klęski piławieckiej. W tej ostatniej kwestii zabrał głos wreszcie sam niefortunny eks-regimentarz, wojewoda sandomierski książę Dominik Zasławski. Tłumaczył się, że chciał złożyć już relację na sejmie elekcyjnym, ale nie zdążył skorzystać z głosu, a tak bardzo pragnie przedstawić królowi i Rzeczypospolitej prawdziwą wersję wydarzeń. Ponieważ jednak ma słabą pamięć i wątły głos, prosił, aby odczytać jego pisemną relację. W relacji tej eks-regimentarz twierdził, że go nie słuchano, że ucieczkę spod Piławiec doradzał Radziejowski, że on wprawdzie dał znak do ucieczki, ale chciał, aby uciekać tylko pod Konstantynów (nie wyjaśnił jednak, dlaczego on sam zatrzymał się dopiero piątego dnia w Krakowie). Odczytaną relację uzupełnił oświadczeniem, że poda na piśmie wykaz wszystkich zbiegów oraz nieposłusznych. Obietnica takiego donosu, wprawdzie złożonego przez tak niedołężną i nikczemną osobę jak książę Dominik, ucieszyć musiała sejmowych intrygantów, dawała bowiem nieograniczone wprost możliwości dla różnych rozgrywek personalnych.

Radziejowski, urażony osobiście relacją Zasławskiego, odpowiedział, że jest ona fałszywa i prosił, aby król powołał zaprzysiężony sąd, a tam się okaże „kto pierwszy uciekał".

Przestraszony ostrością repliki, eks-regimentarz zwrócił się do króla z prośbą o obronę. Prośba została życzliwie przyjęta — nowy monarcha dbał jak widać prawdziwie o kulturę słowa, zwłaszcza w wypowiedziach opozycji, i poprzez Kazanowskiego upomniał Radziejowskiego, aby „miarkował swą namiętność" i wobec króla „nie używał takich słów". Upomniany odpowiedział, że najostrzejszy fragment jego wypowiedzi był cytatem z Cycerona i nie powinien on nikogo obrazić. Jednak widocznie uznano, że Zasławski obnażając swoje pożałowania godne niedołęstwo, raz w polu, teraz na sejmie, zdał egzamin jeśli nie na wodza, to w każdym bądź razie polityczny (taki to na pewno do opozycji się nie zapisze) i dlatego zamiast sądu doczekał się niebawem... województwa krakowskiego w nagrodę. Niemal symboliczne było przekazanie województwa krakowskiego pośmierci wybitnego męża stanu i wodza, ale jawnego opozycjonisty Lubomirskiego, niedołężnej i bezwolnej kukle, jaką był Zasławski.

Tymczasem znów powróciła sprawa zapłaty żołnierzom zaciągniętym we Lwowie. Przeciwnicy Wiśniowieckiego chcieli koniecznie wykazać, że sprawa tego zaciągu jest prywatną sprawą Jeremiego, a nie Rzeczypospolitej. Jeremi raz jeszcze dobitnie stwierdził, że zaciąg

czyniony był nie tylko za publiczną wolą, ale i w chwili największego zagrożenia. Ta działalność została potem — jak tylko stało się to możliwe — usankcjonowana zgodą prymasa, a następnie konstytucją (uchwałą) na elekcji. Dodał na koniec — uszczypliwie przymawiając Zasławskiemu — że gdyby inni poszli wówczas w jego ślady, rozpierzchłe spod Piławiec wojsko mogło jeszcze odzyskać ducha, „ale szybka ucieczka doprowadziła niektórych do oglądania Krakowa już piątego dnia". Regimentarza zaatakował znów po raz już któryś podsędek krakowski Chrząstkowski, który z uporem powtarzał, że we Lwowie zaciągu dokonały prywatne osoby, a Rzeczpospolita nie odniosła z tego żadnej korzyści, bo wojsko wycofało się. Nie wytrzymał wówczas wojewoda kijowski Tyszkiewicz, który wygłaszając mowę w obronie Wiśniowieckiego podkreślał jego rolę w organizacji wojska i przełamania paniki, podniósł wcześniejsze zasługi wojenne twierdząc, że nie jest on winien hańby piławieckiej.

Kiedy podsędek krakowski, znów broniąc Zasławskiego, zaatakował księcia mówiąc, że spod Piławiec „wszyscy razem uciekali", Jeremi wzburzony odpowiedział: „żaden cnotliwy człowiek mi tego zarzucić nie może!" i zażądał przeprowadzenia śledztwa tak, aby „niewinni nie doznawali krzywdy".

Mimo częstych napaści na księcia, obliczonych na pozbawienie go popularności, większość mimo wszystko sympatyzowała z nim. Wielu posłów przywiozło z sobą instrukcje, aby potwierdzić nadanie buławy Wiśniowieckiemu, bowiem — jak wiadomo — nominacja jego ważna była tylko do czasu, kiedy król po koronacji wyznaczy hetmana. Gorąco apelował o to również podkanclerzy biskup Leszczyński. Domagano się także, aby wygnańcy z Ukrainy, a w pierwszej kolejności książę, otrzymali nadania przy rozdziale najbliższych wakansów. Te ostatnie król rozdał jednak tylko swoim najbliższym stronnikom: między innymi bogate starostwo lubelskie (wakujące po Zbigniewie Firleju) otrzymał... Ossoliński. Wiśniowiecki (ani nikt z uchodźców z Ukrainy) nie otrzymał nic. Starannie też dbano o to, aby nie dostał nic nikt z dawnych stronników królewicza Karola. Wywołało to oburzenie na króla, nawet publicznie mu to wytknięto.

Do końca sesji — mimo nacisków obu izb, aby zatwierdzić buławę dla Wiśniowieckiego — król dyplomatycznie milczał w tej kwestii. Dopiero w ostatnim dniu kadencji sejmu (9 luty) król oświadczył, że odbiera buławę Jeremiemu, zatrzymując ją dla siebie. Było to sprytnie pomyślane, teoretycznie bowiem król miał pierwszeństwo w dowodzeniu armią. Odbieranie buławy Wiśniowieckiemu i nadanie jej komukolwiek innemu wywołałoby protesty. W tej sytuacji protestować nie śmiał nikt. Dopiero po powrocie do Warszawy Jan Kazimierz

powierzył piastowaną przez siebie od kilku dni buławę trzem nowym regimentarzom.

Scena odebrania buławy księciu, opisana przez obecnego na koronacji gońca carskiego, diaka Kunakowa (a powtórzona przez W. Tomkiewicza), nie wydaje się prawdopodobna. Król — wedle tej relacji — odbierając Jeremiemu regimentarstwo, miał mu powiedzieć przy całym senacie: „Służyłeś książę Rzplitej, ale nie nam; nie chciałeś abyśmy zostali królem, a my teraz nie chcemy, abyś był hetmanem. My z łaski bożej zostaliśmy królem, ale ty już hetmanem nie będziesz [...] dopóki za łaską bożą jesteśmy królem, ty wojska naszego prowadzić [...] nie będziesz". Miał na to odpowiedzieć Wiśniowiecki: „Jeśli w czym zawiniłem, ukarzcie mnie śmiercią. To, co WKrMość mówisz, gorsze jest niż wygnanie". Ów dialog król miał zakończyć słowami: „Karać cię inaczej nie będziemy, ale jesteś naszym nieprzyjacielem — idź gdzie chcesz, ale przy nas nie bądź".

Jan Kazimierz był chyba za ostrożny na takie postępowanie. Wątpliwe czy odważyłby się tak jawnie spostponować popularnego regimentarza. Tę ostrożność królewską potwierdza fakt powołania nowych regimentarzy już po sejmie i manewr z zatrzymaniem buławy niby dla siebie. To, co pisze Kunakow, odzwierciedla jednak prawdopodobnie motywacje królewskie, które tak właśnie były przez współczesnych odgadywane. Sądzę jednak, że nie tylko motywy osobiste o tym zadecydowały. Nie bez wpływu były tu jawnie bądź poufnie wielekroć powtarzane życzenia Chmielnickiego.

W sprawie obrony państwa sejm koronacyjny nic nie uchwalił, jeśli nie liczyć... odebrania buławy Wiśniowieckiemu. Technicznie sprawę rozegrano w ten sposób, że najpierw znów wrócono do sprawy zaciągu lwowskiego i do lwowskich rekwizycji. Jeremi, któremu po raz któryś sugerowano bezprawność rekwizycji lwowskich — odpowiedział: „Jam jako nigdzie, tak i we Lwowie nie wydzierał, tylkom jako regimentarz asygnację dawał". Zaczęto wobec tego dowodzić, że żołd regimentarzy (Wiśniowieckiego i Ostroroga) był za wysoki, a zresztą zaciągnięte wojsko „nic nie sprawiło, tylko od Lwowa odbieżało". Na ten zarzut, który i dziś stawiają Jeremiemu niektórzy szczególnie źle do niego usposobieni historycy — odpowiedział Jeremi: „Lwów opuściliśmy nie dlatego abyśmy uciekać mieli, ale żeśmy sił proporcjonalnych w stosunku do nieprzyjaciela nie mieli. Nie poszliśmy też do Krakowa ani za Wisłę, jako niektórzy, co w pięć dni w Krakowie spod Piławiec stanęli. I tego nikt nie dowiedzie abym konie tuczyć miał jako insi, anim rzeczy do Gdańska nie wysyłał". Aluzje były dość przejrzyste, książę trafił — jak się zdaje — w cel. Poparł go wojewoda Tyszkiewicz. W odpowiedzi na to posłowie sando-

mierscy (Zasławski był wojewodą sandomierskim) zaproponowali, aby król sam „buławę wielką trzymać i wojskiem swym zawiadywać raczył". Na te słowa podniósł się Ossoliński, który natychmiast imieniem królewskim odpowiedział, że król — czyniąc zadość prośbie poddanych — „ochotnie regimentu wojska podejmuje się". Wywołało to zdziwienie, bowiem nikt poza posłami sandomierskimi króla o to nie prosił, owszem, proszono powszechnie o potwierdzenie buławy dla Wiśniowieckiego. Jak widać, już ówcześni potrafili montować „prawdziwy głos ludu" i nie jest to wcale wynalazek ostatnich czasów.

Kiedy Wiśniowiecki był już pozbawiony buławy, bez żadnych oporów uznano legalność zaciągu lwowskiego i nie zgłaszano zastrzeżeń do wysokości żołdu, dając tym samym dowód na to, że ruszanie tej sprawy miało na celu jedynie przygotowanie gruntu pod odebranie buławy, poprzez podrywanie autorytetu księcia i zmniejszenie jego popularności. Kiedy zamierzony cel został osiągnięty, sprawa rachunków lwowskich natychmiast przestała być ważna.

Smutno kończył się sejm koronacyjny. „Pierwsze zetknięcie się narodu z nowym monarchą pozostawiło po sobie jak najgorsze wrażenie w opinii publicznej" — zapisał W. Tomkiewicz.

Odebranie Jeremiemu buławy Kochowski tak kwituje: „fakcya dworska ukrzywdziła w tem zacnego kawalera i zagrodziła na przyszły czas każdemu ochotę do rycerskich akcyi; ponieważ tak płacą odważnym bohaterom, że z kąta wyrwawszy się, wypróbowanemu tak wielu bitwami i wiktoryami wsławionemu, umykają honoru z nieukontentowaniem całego wojska, które doświadczonego wodza potrzebuje, nie zaś takiego, co dopiero poznawać się z żołnierzami, a wojennych trybów od nich się uczyć musi". I był to — jak się zdaje — wśród szlachty pogląd powszechny.

W czasie sejmu koronacyjnego umarł Samuel Łaszcz, w kilka dni po otrzymaniu od sejmu listu żelaznego. Ten niespotykany (nawet wówczas) warchoł i awanturnik był równocześnie wspaniałym i zasłużonym żołnierzem. Miał też swoiste poczucie humoru. Swego czasu wyrokami trybunału kazał sobie podszyć delię. Tuż przed wojną pozbawiony majątku (egzekutorami byli, jak wiemy, Tyszkiewicz z Wiśniowieckim), poświęceniem i męstwem w ostatnich kampaniach zapracował sobie znów na list żelazny. Teraz, dopiero co ubezpieczony tym listem, wyspowiadał się, przyjął komunię i zmarł. Gdy liczni wierzyciele dowiedzieli się o śmiertelnej chorobie Łaszcza, zbiegli się, żądając, aby spłacił im długi. Umierający odpowiedział dowcipnie, że chętnie by to zrobił, ale mu odebrali majątek i nic im dać nie może. Może tylko kazać, aby służący jego, Cygan, zagrał im na cytrze. I było to wszystko, co wierzyciele mogli otrzymać. Taki był ostatni dowcip

eks-strażnika koronnego, bowiem śmiejąc się z własnego dowcipu, wyzionął ducha. Historię tę opowiadano sobie długo jeszcze po zamknięciu sejmu i kto wie, czy nie absorbowała ona szlacheckich umysłów bardziej niż fakt odebrania w przeddzień wojny buławy najzdolniejszemu z ówczesnych wodzów.

Jeremi opuszczał Kraków w nastroju jak najgorszym. Był rozgoryczony niewdzięcznością, upokorzony nie tylko przez króla, ale nawet przez różnych sługusów kanclerza, którzy nie wahali się zarzucać mu w oczy kłamstwa, tchórzostwa, malwersacji. Ale Jeremi nie był już tym samym dumnym książątkiem, które jeszcze przed rokiem nie mogło ścierpieć, że nie wierzą jego słowom i wymagają odeń przysięgi. Teraz skrzywdzony i upokorzony, a nadto kompletnie zrujnowany finansowo, bezdomny opuszczał Kraków, udając się do swego przyjaciela margrabiego Władysława Myszkowskiego, w którego dobrach przebywała też gościnnie najbliższa rodzina księcia.

Mając nieczyste sumienie i znając tego Jeremiego sprzed roku, który gotów był z szablą rzucić się na senat, ba, na króla samego, opuszczał Kraków Ossoliński w asyście 300 muszkieterów z bronią gotową do strzału. Nikt i nic jednak — może poza strachem o własną skórę — nie próbowało napastować kanclerza po drodze.

XIII. KU NOWEJ WOJNIE

W czasie kiedy król szykował się do wyjazdu z Warszawy na uroczystości koronacyjne w Krakowie, komisarze traktatowi wyjeżdżali na Ukrainę.

Wśród „dziwnych znaków na niebie" kończył się stary rok 1648, a zaczynał nowy — 1649. Oto nad zamkiem wawelskim dziwna kometa miała ukazać się między obłokami: „krzyż do którego na kształt człowieka z dwoma strzałami z łuku strzelił; jedna mimo poszła, druga w krzyż uderzyła, potem człowiek w zbroi z dobytym płaszczem czyli orężem okazał się ..." — zapisał z zabobonnym lękiem Jerlicz. Dziwowisko — jedna z tych, w które doba kontrreformacji szczególnie obfitowała i coraz to coś nowego pokazywało się w obłokach — zdawało się wróżyć nową wojnę.

Wbrew tym „znakom na niebie" i ich „oczywistej" wymowie, na Ukrainę ruszało pokojowe poselstwo. Komisarzom pokojowym przewodniczył — zgodnie z życzeniem wodza rebelii — wojewoda bracławski Adam Kisiel. Obok niego w skład komisji traktatowej wchodzili jeszcze: podkomorzy lwowski Wojciech Miaskowski, chorąży nowogrodzki Mikołaj Kisiel, podczaszy bracławski Jakub Zieliński oraz sekretarz komisji Śmiarowski. Nadto kilku księży oraz jako asysta wojskowa, chorągiew dragonów dowodzona przez kapitana Bryszowskiego.

21 stycznia poselstwo przeprawiało się przez Słucz, wjeżdżając w granice województwa kijowskiego, w kraj przez rebelię opanowany. Tydzień strawili posłowie w Nowosiółkach — czekając, gdzie im Chmielnicki stanąć każe. Ten z listem zwlekał, tymczasem posłowie „różnych kontemptów od chłopstwa doznając" czekali. Wyznaczył im Chmielnicki miejsce w Kijowie. Tymczasem „od Kijowa puścić nas nie chcą, ani gospód pozwalają. Pan Gaiurdowski sługa Pana Wojewody i Pan Bryszowski, kapitan znieważeni" — zapisał pod datą 6 lutego członek poselstwa Miaskowski. Pod samym Kijowem Kozacy i czerń zastąpili

posłom drogę, tak że musieli się talarami okupywać. Chmielnicki do Kijowa jednak przyjechać nie chciał, ostatecznie zgodził się przyjąć poselstwo w Perejasławiu. W Chwastkowie urządzono posłom osobliwe widowisko: na ich oczach „Kozacy nacięli, natopili szlachty nie mało *utriusque sexus* [płci obojga]". Lekceważeni i znieważani przez byle kozackiego pułkownika posłowie zostali zupełnie zaskoczeni powitaniem, jakie sprawił im Chmielnicki. Wyjechał im naprzeciw pod buńczukiem i pod czerwoną chorągwią, w otoczeniu kilkudziesięciu pułkowników i innych oficerów, z muzyką wojskową. Po krótkim powitaniu wsiadł do sań wojewody Kisiela, zajmując grzecznie miejsce po jego lewej stronie. Wjeżdżających do miasta powitała salwa honorowa z 20 dział.

Całe poselstwo zostało od razu zaproszone na obiad. Przyzwyczajeni przez ostatnie tygodnie do zgoła innego traktowania, posłowie byli zachwyceni przepychem, dwornością i uprzejmością kozacką. Poczucie realizmu zostało im jednak szybko przywrócone. Już w czasie obiadu podpiwszy sobie nieco i Chmielnicki, i jego pułkownicy zaczęli uszczypliwie wyrażać się zrazu tylko o Wiśniowieckim i Koniecpolskim, wkrótce o wszystkich „Lachach". Niedługo też dostali posłowie i kolejną lekcję. 20 lutego na ulicy Szerokiej w Perejasławiu, przed swym dworem Chmielnicki miał odebrać przysłaną mu przez króla buławę. Ceremonia odbyła się mimo mrozu na wolnym powietrzu po to tylko, aby mogło ją oglądać jak najwięcej ludzi.

Bohdan Chmielnicki wystąpił „w altembassowym sobolim kopuniaku czerwonym pod buńczukiem, z pułkownikami i inszą starszyzną". Obok stali też posłowie moskiewscy i węgierski, którzy mieli być „europejskimi" świadkami całej uroczystości. Członkowie poselstwa, pan łowczy Krzelowski trzymał buławę, a pan Kulczyński chorągiew, symbole władzy przysłane przez króla wodzowi rebelii, który dotąd miał stać się prawowitym wodzem Zaporoża i całego Kozactwa.

Przemowę rozpoczął Kisiel. Zaczął mówić kunsztownie, ofiarowując Chmielnickiemu i całemu wojsku zaporskiemu łaskę królewską.. Chmielnicki nie wyglądał jednak na kogoś, kto potrzebował ofiarowania łaski i przebaczenia. Zniecierpliwiony któryś z pułkowników przerwał więc Kisielowi mowę, która senat zapewne wzruszyłaby, lecz tu tylko śmieszyć mogła. „Korol jako korol — wtrącił Kisielowi Kozak — ale wy korolewięta kniaziowie broicie mnoho i nabroiliście. I ty Kisielu kość z kości naszych odszczepiłeś się, przestając z Lachy". Wprawdzie go uciszono, a nawet wyrzucono z koła, jednak nastrój pozostał. W tej atmosferze oddawał Kisiel Chmielnickiemu list, buławę hetmańską gęsto rubinami sadzoną, po czym brat jego, chorąży nowogrodzki, wręczył chorągiew czerwoną z orłem białym i wyszytym imieniem królewskim.

Wręczywszy te insygnia, zostali posłowie zaproszeni na obiad, gdzie wojewoda Kisiel „gładkiemi i wybornemi słowy" przekazywał Chmielnickiemu, jakie to wielkie upominki dziś bierze, o amnestii spraw dawnych wspomniał, o wolnościach starodawnej religii greckiej nadmieniał, aukcję wojska zaporoskiego zapowiedział i do zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi nakłaniał.

Chmielnicki za przysłane insygnia podziękował, po czym oświadczył osłupiałym posłom, że traktatów prowadzić z nimi nie będzie, bo wojsko ma rozproszone po zimowych leżach, starszyzna wojskowa jest daleko, a bez niej nie może nic czynić. Zaczął za to wylewać swoje stare prawdziwe i nieprawdziwe żale, że Czaplińskiego mu nie wydano, że Wiśniowieckiego nie ukarano. Przeprowadził też komisarzom wykład na temat swojej wizji przyczyn konfliktu, tym razem winiąc głównie będącego w niewoli hetmana i Koniecpolskiego. Żeby nie mieli żadnych złudzeń o traktatach, powiedział wyraźnie „Nie będzie z tego wszystkiego nic [...] albo mnie z wojskiem zaporoskim przepaść, albo ziemi lackiej, senatorom, Dukom, wsiem królikom i szlachcie zginąć". Powiedział im też, że jeśli potwierdzą się wieści o akcjach wojskowych Radziwiłła w rejonie Turowa i Mozyra i o tym, że Kozaków tam na pale nabijają, to każe natychmiast wyrżnąć 400 polskich jeńców. Karmelita Łętowski westchnął, że „może się jeszcze nowiny z Litwy odmienią" i o mało nie został ubity buławą przez jednego z pułkowników.

Jedli więc posłowie — co łaskę i przebaczenie przyjechali darować — obiad wśród zniewag, drwin i pogróżek. Gdy po obiedzie chcieli się udać do swych kwater, okazało się, że te sprytnie są po mieście porozdzielane, tak aby posłowie się nie mogli ze sobą kontaktować bez wiedzy gospodarzy. Następnego dnia, w niedzielę chcieli iść do kościoła na mszę. Okazało się jednak, że kościół jest zdemolowany „żadnego miejsca obrazów i ołtarzów nie masz, groby nawet otwarte, trzy trupy wyrzucone [...] trumna Pana Łukasza Żółkiewskiego, wojewody bracławskiego, starosty perejasławskiego wiecznej pamięci kawalera godnego rozbita, insygnia wojenne wzięte i pierścień diamentowy z palca".

Kisiel zaprosił Chmielnickiego na obiad do swej kwatery. Czekał z obiadem aż do wieczora, kiedy to wreszcie zaproszony gość do niego dotarł, tyle że nietrzeźwy, otoczony przez grono będących w podobnym stanie pułkowników. Nic nie zdawało się wskazywać na to, aby hetman zaporoski zaczął okazywać szacunek senatorowi Rzeczypospolitej. W nastroju był frywolnym, o polityce mówić nie chciał. Nie chciał i w następne dni. Na pytanie, kiedy przystąpi wreszcie do traktatów odpowiedział: „krótko mówię, z tej komisji niczoho teper nie budiet, wojna być musi [...] wywrócę was wsiech Lachów do góry nogami, naostatek was carowi tureckiemu w niewolę podam. Korol korolem budet co by

Korol szlachtę ścinał i Duki [...] Prawda to jest, żem ja lichy mały człowiek, ale mi to Bóg dał żem jest jedynym Samodzierżcą Ruskim [...] Szkoda howoryty [...] Wybiję z lackiej niewoli Naród Ruski wszystek, a com pierwej o szkodę, krzywdy swoją wojował teraz wojować będę o wiarę prawosławną naszą, dopomoże mi do tego czerń wszystka, po Lublin, po Kraków [...]".

W tym samym mniej więcej czasie w Krakowie pozbawiono Wiśniowieckiego dowództwa, a Ossoliński planował potęgę kozacką pchnąć przeciw Turcji i Tatarom. Jakby w odpowiedzi kanclerzowi podpity Chmielnicki w Perejasławiu recytował: „Za granicę na wojnę nie wyjdę, szabli na Turki i Tatary nie podniosę! dosyć mam na Ukrainie, Podolu i Wołyniu [...]".

Zarówno sposób traktowania poselstwa, nie tylko przez Chmielnickiego, ale nawet przez jego oficerów, jak i wreszcie same szczere wypowiedzi hetmana zaporoskiego ostatecznie zdawały się rozwiewać wątpliwości największych nawet optymistów wierzącyh w możliwość pokojowego załatwienia sprawy. Do wybuchu pożaru można nie dopuścić. Gdy już jednak zapłonie, zgasić go bardzo trudno. Chmielnicki, który sprytem politycznym przewyższał o całe niebo nie tylko naiwnego Kisiela, ale chyba i większość współczesnych mu polityków polskich, zgodził się na zawieszenie broni do Zielonych Świątek (22 maja), będąc pewnym, że okres ten zdoła wyzyskać lepiej niż strona polska. Mimo to na zawieszenie broni zgodził się hetman zaporoski z trudem i stawiając warunki: „by w Kijowskim województwie unii nie było [...] by Metropilita miał miejsce w senacie i wojewoda z kasztelanem by greckiej religii byli". Żądał nadto, by nie dopuszczać jezuitów na Ukrainę, książę Wiśniowiecki aby hetmanem nie był koronnym, nadto aby wydać mu Czaplińskiego. Chcąc nie chcąc poselstwo przyjęło te warunki, uzgadniając zarazem z Chmielnickim, że linią demarkacyjną, oddzielającą wojska obu stron będą rzeki Horyń i Prypeć. Jeśli Polska przyjmie warunki kozackie, można będzie 22 maja zawrzeć pokój i przystąpić do spisywania rejestru. Wyznaczono więc, że w tym terminie nad Rosawą zbierze się komisja.

Nienormalność całej sytuacji była aż nadto oczywista. Rzeczpospolita nominowała wodza rebelii, przed którym uciekły jej wojska, paktując z nim jak z obcym monarchą, wierząc w możliwość pokojowego rozstrzygnięcia, mimo jego szczerych zapewnień, że on, przeciwnie, dąży do wojny.

Równocześnie z poselstwem królewskim gościł Chmielnicki posła carskiego. Car chciał prawdopodobnie wybadać czy powstanie ma charakter religijny — wówczas był chyba skłonny udzielić mu poparcia — czy też ludowy. W tym ostatnim przypadku wolał zapewne opowiadać

się po stronie polskiej. Na razie zachowywał powściągliwe milczenie zachowując neutralność i spokojnie kalkulując, jakie z tego konfliktu korzyści mogą wyniknąć dla Moskwy. Obydwa poselstwa — polskie i moskiewskie — chciały się ze sobą spotkać, do czego jednak przewidujący Chmielnicki nie dopuścił.

Nic innego — poza uhonorowaniem okazującego im i całej Rzeczypospolitej swe lekceważenie hetmana zaporoskiego — posłowie nie załatwili. Perejasław był logiczną konsekwencją Piławiec. „Okazywanie łaski" i zapowiadanie amnestii było faktycznym aktem kapitulacji, tyle że odbywającym się w groteskowej scenerii, z użyciem groteskowej w tej sytuacji frazeologii. Nic też dziwnego, że nie tylko Chmielnicki, ale nawet najgłupszy z jego pułkowników nie był w stanie traktować poselstwa polskiego poważnie. Zrozumieli całą niezręczność swego położenia komisarze, zrozumieli, że nowa wojna jest nieunikniona, że Chmielnicki chce tylko przezimować w pokoju, gromadząc w tym czasie siły; że zależy mu na uniknięciu trudnej dla Kozaków kampanii zimowej, kiedy okopać się i otaborzyć w zmarzniętym stepie trudniej, a Tatarzy dla przezimowania wycofali się na Krym.

Wróciwszy do Warszawy, komisarze szczerze przedstawili swój punkt widzenia. Jedynym wyjściem z sytuacji wydawało się być szybkie zmobilizowanie armii i kozackiemu pospolitemu ruszeniu przeciwstawienie szlacheckiego. Do takiego rozwiązania naglił między innymi podkanclerzy Leszczyński. Jednak i tym razem przeważało u króla zdanie Ossolińskiego, a ten uparcie wierzył w możliwość taniego rozwiązania, bez potrzeby prowadzenia wojny. Wysyła więc król Śmiarowskiego, aby zapewnił hetmana zaporoskiego, że jego warunki wstępne zostały przyjęte. Ten krok królewski spotkał się z powszechnym oburzeniem senatorów — i tym razem skierowanym oficjalnie nie przeciw królowi, ale przeciw kanclerzowi. Oprócz listu do Chmielnickiego wiózł ze sobą Śmiarowski na Ukrainę kilkadziesiąt różnych przywilejów, którymi miał obdarować — w królewskim imieniu — starszyznę kozacką. I tym razem Chmielnicki nie taił swych prawdziwych zamiarów, oświadczył Śmiarowskiemu wprost, że o pokoju nie ma mowy „aż się ściana ze ścianą uderzy i jedna się obali, a druga zostanie". Nieszczęsny poseł listem powiadomił o tym króla, donosząc też o czynionych przez Kozaków przygotowaniach wojennych, o wielkiej aktywności politycznej Chmielnickiego i jego knowaniach z Moskwą, Turcją i Tatarami. Relacja jego nie zrobiła jednak w Warszawie żadnego wrażenia. Próbował jeszcze Śmiarowski jednać Polsce starszyznę kozacką, kupując ją przywilejami, ale wówczas z rozkazu Chmielnickiego został w najokrutniejszy sposób uśmiercony.

Mijały dni i tygodnie, okres zawieszenia broni kończył się, a w Warszawie nadal brak było jakiejkolwiek koncepcji na przyszłość, nie mówiąc już o tym, że do wojny nie zdołano się wcale przygotować. Uwagę dworu bardziej absorbowała korespondencja Wiśniowieckiego z Rakoczym i obsesyjna obawa, że Wiśniowiecki z Radziwiłłem szykują być może rokosz, niż przygotowania do wojny z Kozakami, której widmo zbliżało się nieuchronnie.

Rakoczy istotnie prowadził dość dziwną i tajemniczą politykę, zapewniając króla polskiego o przyjaźni i lojalności, paktując z Chmielnickim i namawiając go do wspólnej akcji zaczepnej na Kraków — dla uniemożliwienia koronacji Jana Kazimierza. Równocześnie starał się sobie zjednać opozycyjnie nastawionych magnatów polskich (w tym Radziwiłła i Wiśniowieckiego), obiecując im... posiłki na wojnę z Kozakami. Jest faktem, że Jeremi Wiśniowiecki wymieniał w tym czasie korespondencję z Rakoczym. Z końcem marca Zygmunt Rakoczy (brat Jerzego) wysłał list do Jeremiego. List był czysto grzecznościowy, ogólnikowy, nie zawierał żadnych akcentów politycznych. Treść listu zapewne była więc uzupełnieniona ustną relacją posła. Z końcem maja przyjął Wiśniowiecki posłów Zygmunta i wręczył im również lakoniczny list. O co w tej korespondencji mogło chodzić? Komentowano to różnie. Jedni dopatrywali się zdrady i jawnego knowania Wiśniowieckiego z Rakoczym. Inni twierdzili (wersję tę podaje także Kunakow), że Jerzy Rakoczy rozpoczął starania o rękę jednej z wychowanic książęcych dla swego brata Zygmunta. Jak było naprawdę — nie wiadomo. Dwór w każdym razie był tą korespondencją w najwyższym stopniu zaniepokojony, co było rzeczą raczej normalną, gdyż księcia w Warszawie po prostu bano się, tym bardziej że postąpiono z nim nielojalnie, teraz spodziewając się odwetu.

Podejrzewanie Wiśniowieckiego o spisek z Rakoczym wydaje się zupełnie bezzasadne. Pomijając już fakt, że nie ma na to żadnego dowodu i ewentualne oskarżenie można by opierać jedynie na domysłach, Wiśniowiecki nie mógł być takim spiskiem zainteresowany. Książę wiedział o kontaktach Rakoczego z Chmielnickim i już to musiało zalecić mu ostrożność. Niewątpliwie Jeremi czuł żal do króla, niewątpliwie był królowi niechętny, a do jego polityki ustawiony opozycyjnie. Celem księcia było odzyskanie swego zadnieprzańskiego „państwa". Środkiem do tego celu było dowództwo armii i wojna z Kozakami. W czym mógł mu pomóc Rakoczy? Ten chciał wciąż jeszcze polskiej korony, chciał jej choćby za cenę ustępstw na rzecz Chmielnickiego, któremu proponował sojusz. Chmielnicki był dla Rakoczego wartościowszym sojusznikiem i partnerem niż Wiśniowiecki. Chmielnicki dyspo-

nował realną siłą, Wiśniowiecki nie. Jeśli więc książę mógł być mu potrzebny, to chyba jedynie po to, by pogłębić zamieszanie w kraju. Być może do tego go judził. Jak się okazało, bezskutecznie.

Po Warszawie krążyły jednak plotki o tym, że panowie ruscy spiskują z Rakoczym, przy czym skład owego spiskującego grona zestawiono dość niedorzecznie: miał tam być Jeremi Wiśniowiecki i... Dominik Zasławski, Koniecpolski i Zamoyski. Niepokój dworu wzmogły też głosy dochodzące od wojska, które głośno oświadczało, że służyć pod Wiśniowieckim, a nikogo innego słuchać nie chce. Dwór potraktował to jako zapowiedź rokoszu. Zwlekano więc ze zwoływaniem pospolitego ruszenia bojąc się, że zawiąże ono konfederację pod przewodnictwem hetmana Janusza Radziwiłła i księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Na zwołanie pospolitego ruszenia nalegał ostro podkanclerzy. Wreszcie, też przed upływem terminu rozejmu (22 maja), król 9 maja ogłosił pierwsze i drugie wici na pospolite ruszenie szlachty przeciw Kozakom. Jak wiadomo, pierwsze i drugie wici nakazywały szlachcie gotowość wojenną, dopiero trzecie były wezwaniem natychmiastowego ruszenia w pole i stawienia się w oznaczonym miejscu. Szlachtę poszczególnych województw, gromadzącą się w miejscach wskazanych przez wojewodów, ci ostatni prowadzili do obozu królewskiego (bądź hetmańskiego). Tym razem król zapowiedział, że osobiście wyruszy na wyprawę. Wśród targów o rozesłanie „trzecich wici" — do czego naglił Leszczyński, lub powstrzymanie się z nimi, przy czym upierał się Ossoliński — przyszła wiadomość o zamordowaniu posła Śmiarowskiego. Złudzenia co do możliwości pokojowego rozwiązania sprawy rozwiały się ostatecznie. Dopiero teraz, kiedy zmarnowano czas zawieszenia broni, a państwo pozostało faktycznie bezbronne, król ogłosił, że najpóźniej 24 czerwca wyruszy na wyprawę osobiście, polecając senatorom, by wraz ze swoimi pocztami gromadzili się w Lublinie.

Na przyśpieszenie decyzji królewskiej wpłynęła, jak się zdaje, kolejna akcja Wiśniowieckiego. Ten bowiem, jako wojewoda ruski, wydał 30 maja uniwersał do szlachty swojego województwa, nakazując jej, aby na 12 czerwca stawiła się zbrojnie pod jego dowództwo do obozu w Wiśni. Ten krok Wiśniowieckiego i legalny, i z punktu widzenia wojskowego jak najbardziej celowy, znów przyjęto w Warszawie podejrzliwie. Dwór zareagował histerycznie: król prosił nuncjusza, by ten wpłynął na Wiśniowieckiego, aby nie czynił rokoszu i nie wszczynał wojny domowej. Jan Kazimierz wierzył, że Jeremi istotnie zmierza do rokoszu, bał się, że pieniędzmi zasilić go może jego rodzony brat królewicz Karol, wobec tego prosi nuncjusza o interwencję u papieża, prymasa, cesarza!

Wytrawny dyplomata kościelny, jakim był nuncjusz de Torres wi-

dząc przesadną, histeryczną reakcję króla, obiecuje napisać i do prymasa, i do papieża, a równocześnie uspokaja króla, zaleca mu zaakceptowanie uniwersału Wiśniowieckiego, pochwalenie jego autora jako gorliwego patrioty, czynnego obrońcy kresowego województwa. Nuncjusz zwraca też uwagę królowi, że Jeremi był niesłusznie krzywdzony przez kanclerza i nie radzi go obrażać w przyszłości. Postawa księcia w ciągu najbliższych miesięcy miała okazać się najbardziej oczywistym dowodem na niesłuszność podejrzeń dworu.

Król, który na koniec sejmu koronacyjnego odebrał Wiśniowieckiemu buławę, niby sam przejmując dowództwo nad armią, jeszcze w lutym powołał trzech nowych regimentarzy: kasztelana bełskiego Andrzeja Firleja, kamienieckiego Stanisława Lanckorońskiego oraz podczaszego koronnego Mikołaja Ostroroga. Ten ostatni wkrótce zrzekł się jednak buławy. Tym razem wybór regimentarzy był o całe niebo trafniejszy niż przed Piławcami, tym niemniej pominięcie i tym razem Wiśniowieckiego było błędem i z wojskowego, i politycznego punktu widzenia.

Zaciąg wojska odbywał się bardzo powoli, co było wynikiem zarówno znikomej wydolności administracyjno-organizacyjnej państwa, jak i małej energii nowych regimentarzy. Tymczasem rozejm powstrzymywał starcie głównych sił, mała wojna nie ustawała jednak ani na chwilę. Jak wylicza Kochowski, zaraz po odjeździe komisarzy pułkownik kozacki Haraśko zrabował Ostróg, na Polesie wypuścił się zagonem młodszy Krzywonos. Pokucie ogarnął bunt chłopstwa. Książę Samuel Korecki, oblegany przez własnych poddanych, ledwie przebił się na czele swojej chorągwi z Korca. Sam Kisiel, wypoczywając po trudach poselstwa w swej Huszczy, o mało nie zginął z rąk swoich włościan.

Regimentarze wraz ze swym szczupłym wojskiem podążyli obsadzać linię demarkacyjną. Kasztelan Firlej rozlokował się na Wołyniu na brzegu Horynia, z radziwiłłowskiej Ołyki czyniąc sobie kwaterę główną, czym mocno uraził gospodarza. Fakt ten bowiem Albrycht Radziwiłł, jak twierdził, „przyjąłby bez niechęci, gdyby bodaj listem prosił mnie o pozwolenie, lecz on bez mej wiedzy zgromadził tam masę wojska i jakby to były królewszczyzny, wydawał stamtąd uniwersały". (Z tą „masą wojska" szacowny kanclerz litewski trochę przesadził. Zgoda, że było go aż nadto, aby plądrować kanclerskie włości, ale o wiele za mało, aby dać odpór Kozakom). Regimentarz Lanckoroński z drugą częścią wojska koronnego usadowił się na Podolu. Wojsko litewskie pod hetmanem Radziwiłłem stanęło na linii Prypeci. Na obszarze po polskiej stronie linii demarkacyjnej rozpoczęto likwidację zapędzonych tam oddziałów kozackich, rozbijanie watah chłopskich, słowem prowadzono pacyfikację.

Wnet po upływie terminu rozejmu niewielkie oddziały kozackie zaatakowały w różnych miejscach polskiego frontu. Firlej z Lanckorońskim nie mogli uzgodnić wspólnej koncepcji walki, toteż siły koronne wciąż jeszcze były rozdzielone. Na szczęście dla Polaków Kozacy też popełnili błędy wojskowe. Najpierw spory oddział kozacki uderzył na północ od Prypeci, ale w okolicach Mozyra został rozgromiony. Równocześnie inny oddział próbował zepchnąć Firleja z linii Horynia, jednak został odepchnięty przeciwnatarciem. W ostatnim dniu maja Firlej forsuje Horyń, rozbija luźne, nie skoncentrowane pułki kozackie, oczyszcza z nich cały obszar między Horyniem a Słuczą, przenosi swą kwaterę z Ołyki pod Zasław, gdzie staje warownym obozem. Pod Sulżenicami (a następnie Zwiahlem) zwycięstwo potyka się z watahami kozackimi. Równocześnie na Podolu, przy południowej granicy Wołynia, posuwał się na wschód Lanckoroński, który zajął Konstantynów oraz Ostropol. Tu wreszcie połączyły się oddziały obydwu regimentarzy. Zwycięskie w walce z licznymi i nacierającymi bez wspólnego planu pułkami kozackimi, wojska koronne stanęły wkrótce wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Już w połowie czerwca 40-tysięczny korpus kozacki pod dowództwem Neczaja ruszył na północne Podole, oblegając polską załogę w Międzyborzu. Na odsiecz rusza Lanckoroński, któremu udaje się dostać do miasta i nawiązać kontakt z obrońcami. Jednak na wieść, że za Neczajem postępuje Chmielnicki z całą kozacko-tatarską potęgą, regimentarz zabiera ze sobą załogę Międzyborza i rozpoczyna odwrót. Wiadomość o ofensywie Chmielnickiego była fałszywa, niemniej regimentarze przekonani o jej prawdziwości cofają się pospiesznie na zachód. Wojsko zaczynała ogarniać panika. Niewiele brakowało, a kto wie, czy nie doszłoby do nowych Piławiec. W dniu św. Jana (24 czerwca) regimentarze stanęli obozem pod Konstantynowem. Tu zasilili ich — nowym wojskiem i nowym duchem — Aleksander Koniecpolski i Mikołaj Ostroróg. Po naradzie uchwalono cofnąć się jeszcze trochę — choć król polecał założyć obóz pod Konstantynowem — pod Czołhański Kamień. Nie zatrzymano się tam jednak, tylko cofano dalej na zachód. Nastrój w wojsku znów znacznie się pogorszył. Dezercje były powszechne, siły regimentarskie topniały, choć jeszcze nie stoczono ani jednej bitwy. Mimo że na początku regimentarze dysponowali ok. 10 000 żołnierzy, teraz łącznie z posiłkami przyprowadzonymi przez podczaszego i chorążego siły ich liczył zaledwie 6000!

Firlej słał błagalne listy do króla i... cofał się dalej. W ostatni dzień czerwca regimentarze stanęli pod Zbarażem. Na razie nic nie wskazywało na to, że będą to polskie Termopile. Firlej z Lanckorońskim nie

byli zdecydowani czy cofać się dalej, czy też założyć obóz. Przeciw zakładaniu obozu pod Zbarażem wypowiedział się Koniecpolski i wraz ze swym wojskiem opuścił regimentarzy.

Morale wojska było jak najgorsze, zaś regimentarze wciąż nie wiedzieli, co dalej czynić.

Do niedawna w ogóle nie było między regimentarzami zgody co do kierunku cofania się, ani co do miejsca, w którym należy się wreszcie zatrzymać i dać odpór nieprzyjacielowi. Lanckoroński upierał się, aby stanąć obozem pod Kamieńcem Podolskim. Warowny obóz wsparty przez potężną twierdzę mógł jego zdaniem długo stawiać opór Kozakom. Firlej — a także Ostroróg — byli przeciwni zamykaniu wojska w Kamieńcu, który będąc kluczową pozycją w razie wojny z Turkami, jako leżący na samej południowej granicy, roli takiej nie pełnił w przypadku, gdy nieprzyjaciel postępował ze wschodu. Zamknięcie wojska w obozie pod Kamieńcem odsłaniało Chmielnickiemu cały Wołyń, całą północną część Podola, a w konsekwencji także Ruś Czerwoną i całą Polskę w ogóle. Firlej proponował przeto stanąć obozem gdzieś na Wołyniu, najlepiej pod Zasławiem, Konstantynowem lub Włodzimierzem. Wśród tych sporów toczonych przez wodzów, wśród sprzecznych rozkazów (coraz to zapowiadano wojsku marsz w innym kierunku) wojsko zagroziło, że wzorem Kozaków powoła „czerniacką radę" i samo obierze sobie regimentarza. Wówczas Firlej nakazał cofanie się w głąb kraju, jednak nie dalej niż pod Zbaraż lub Lachowice. Zanim wojsko opuściło Konstantynów, nadszedł wspomniany list królewski, aby tu właśnie się zatrzymać i dać odpór Kozakom. Firlej powiadomił jednak króla o swej decyzji cofnięcia się pod Zbaraż. Z korespondencji wymienionej między królem a regimentarzem przebija gorycz i wzajemne żale. Król dziwi się, że regimentarz go nie słucha, tylko spod Konstantynowa „czyni reiteradę". Regimentarz żali się, że król mu wojska nie posyła i że ma on tylko 6000 ludzi. Z kolei król ma pretensje do regimentarza, że z 10 000 tylko 6000 mu zostało — i to bez żadnej większej bitwy.

Z warszawskiej perspektywy cofanie się wojska koronnego przypominało ucieczkę piławiecką. A że Piławce się nie powtórzyły, zawdzięcza strona polska tylko temu, że Chmielnicki nie próbował nawet ścigać cofających się. Gdyby Chmielnicki przybył wówczas pod Zbaraż, uczyniłby tam bez trudu drugie Piławce. Morale wojska było — jak wspomniano — fatalne. Skłonność do paniki i ucieczki — jak miało się niebawem okazać — ogromna. Nadto wojsko upominało się o zaległy żołd, a pieniędzy — to już reguła — na czas nie było. Sami wodzowie oceniali swoje wojsko bardzo krytycznie. Firlej spod Zbaraża napisze

do kanclerza: „O obronie nikt nie myślał. W takiej konfuzjej ledwom to otrzymać mógł, abyśmy się przynajmniej przyzwoicie reiterowali — i ta nasza reiterada równa ucieczce była". a Ostroróg doda: „Wszystko ustawicznie upomina się pieniędzy". Firlej błaga Warszawę o posiłki. Ostroróg zaś ze swojej strony napisze: „O pieniądze prosimy, bo tego wojska niewiele zostanie ..."

Jeremi tymczasem, publicznie obrażony w Krakowie — teraz przy rozdziale buław regimentarskich znów pominięty — z czynnego życia jakby się wycofał. Pozbawiony zadnieprzańskich włości, dających mu większość dochodu, poniósłszy olbrzymie wydatki na wojsko w ubiegłorocznej kampanii, był finansowo zrujnowany. Władzy nad wojskiem Rzeczypospolitej był pozbawiony, na prywatne nie było go stać. Patrzył więc zrazu biernie na poczynania regimentarzy.

Z końcem XIX wieku prof. Wiktor Czermak — wybitny znawca czasów Jana Kazimierza — przeglądając zbiory archiwum domowego hrabiego Starzeńskiego w Dominikowie, natknął się przypadkiem na zbiór listów Jeremiego i Gryzeldy Wiśniowieckich oraz ich sługi, niejakiego Rokitnickiego, pisanych w latach 1648—51 do starosty liwskiego Stefana Oborskiego. Cała ta korespondencja dotyczy uzyskania, a następnie spłaty pożyczki zaciągniętej przez Jeremiego u starosty liwskiego w kwocie 15 000 zł.

Świadczy to dobitnie o stanie finansów księcia, którego roczne dochody przed wybuchem rebelii liczono w setki tysięcy złotych, a który teraz musi umizgiwać się do starosty i prosić o pożyczkę kilkunastotysięczną, której w dodatku nie będzie miał z czego spłacać. Pierwszy list pisany był przez księcia z końcem listopada 1648, kiedy książę był regimentarzem. W liście tym zaprasza starostę do Warszawy, dając mu do zrozumienia, że będzie go chciał prosić o przysługę. W kwietniu 1649 Jeremi w liście konkretyzuje o jaką przysługę mu chodzi: prosi o pożyczenie 15 000 zł. Starosta jednak pożyczyć nie chce, czy też nie może, dość, że Jeremi prosi go o tę kwotę jeszcze w trzech kolejnych listach. Ostatni z nich pisany był w Jarosławiu 27 maja 1649. W liście tym dumny niegdyś magnat zaklina starostę: „chciej jako najpilniej sprawom moim przyjść z pomocą w tej potrzebie [...]. Co do ubezpieczenia to WM.M. Pana, tę sobie będziesz wedle upodobania wybierać, ani się tknę przysłanej przez WM Pana sumy, aż wprzód wykonam to, co mi posłaniec WM.M. Pana i wola jego co do prawnej kaucji poda". W kilkanaście dni później, 9 czerwca 1649 Oborski wypłacił słudze Jeremiego, Jakubowi Rokitnickiemu sumę 9000 zł (choć proszono go o 15 000), o czym świadczą dwa kwity wystwione tego dnia. Miał później książę kłopoty z ich spłatą, jak wynika z owej korespondencji. W końcu 1649 Wiśniowiecki był winien staroście jeszcze 3000 zł, a wierzyciel zaczynał

się już niecierpliwić. Tak więc w szykującej się kampanii Jeremi mógł — i to z trudem za pożyczone pieniądze — wystawić tylko cząstkę tych sił, które zwykłe mobilizował swym kosztem na Zadnieprzu.

W czasie kiedy wojska regimentarskie coraz bardziej bezładnie cofały się na zachód, Jeremi rozpoczął rajd w kierunku przeciwnym. W ostatnich dniach czerwca książę dotarł do Białego Kamienia, skąd na czele 200 ludzi ruszył dalej na wschód przez Załoźce do Andrzejowa, gdzie połączył się z nim Czartoryski z 200 konnymi. Posuwając się na wschód mijał się książę z wycofującymi się w nieładzie oddziałami regimentarskimi. Książę śpieszył do Wiśniowca, gdzie czekało na niego ok. 1000 żołnierzy. Było to wszystko, na co go było obecnie stać.

Stojąc w Wiśniowcu (ok. 30 km od Zbaraża) rozsyła Jeremi podjazdy, wyręczając tymi działaniami regimentarzy. Rozpuszcza też umyślnie — wprowadzając w błąd Kozaków — wieści, że przyprowadził 15 000 ludzi, choć ma ich dokładnie 10 razy mniej. Dzięki swej aktywności, dzięki rozsyłanym raz po raz podjazdom ma książę dokładne wiadomości o nieprzyjacielu, w czasie, kiedy regimentarze jeszcze nic pewnego o nim nie wiedzą.

Planowe, spokojne akcje Wiśniowieckiego, podejmowane w bezpośrednim sąsiedztwie obozu regimentarskiego nie pozostały bez wpływu na morale wojska koronnego. Wiśniowiecki nie tylko prowadził — niejako za regimentarzy — ciągłe rozpoznanie sił i ruchów zbliżającego się nieprzyjaciela, ale swoją obecnością, swoim spokojnym działaniem dawał regimentarskiemu wojsku i przykład, i poczucie bezpieczeństwa. Wziętych w czasie rozpoznawczych podjazdów jeńców Wiśniowiecki odesłał regimentarzom, po czym przesunął się z wojskiem z Wiśniowca w stronę Zbaraża, zakładając 2 lipca obóz w Szymkowcach. Teraz obydwa obozy dzieliła już tylko nieznaczna odległość (ok. 10 km).

W obozie w Szymkowcach siły Jeremiego wzrosły znacznie, zasilone oddziałami Zasławskiego i Zamoyskiego (7 chorągwi). Wkrótce młodzi książęta Wiśniowieccy, Dymitr i Konstanty, do niedawna jeszcze wychowankowie i podopieczni Jeremiego, opuścili Zbaraż, udając się do obozu w Szymkowcach. Odtąd siły Jeremiego liczyć będą łącznie ok. 3000 żołnierzy. Wśród nich mało było weteranów, nie tylko z poprzednich wojen Jeremiego, ale nawet z ubiegłorocznej kampanii. Niewielu bowiem rycerzy skłonnych było służyć u księcia wzorem powieściowego Skrzetuskiego czy Wołodyjowskiego, z samej miłości do Ojczyzny i miłości do wojennego geniuszu wodza. Więcej podobnych było Maskiewiczowi, którzy widząc, że książęca szkatuła zaczyna świecić pustkami, zawczasu poszukało sobie nowego pana, choćby obdarzonego mniejszym talentem wojskowym, ale pełniejszą szkatułą.

Stojąc w Szymkowcach i faktycznie współdziałając z regimentarzami,

a nawet wyręczając ich w wielu zadaniach, ociągał się Jeremi z formalnym połączeniem się z nimi. Oczywiście chodziło tu o względy czysto kurtuazyjne, nie ambicjonalne nawet. Książę chciał zapewne, aby go poproszono o przyjście do obozu regimentarskiego.

Regimentarzom na obecności księcia w obozie zależało, toteż wkrótce Lanckoroński zawitał w Szymkowcach, zwracając się do księcia z prośbą, by przybył do ich obozu i... objął nad nim komendę. Książę odmówił. Twierdził, że wymawiano by mu, że przyszedł po buławę, a nadto że w obozie regimentarzy żywności jest za mało, a on sam nie zdążył swego wojska zaopatrzyć. Lanckoroński trafnie wyczuł jednak, że książę ma ochotę połączyć się z nimi, że tylko opiera się dla formy i przekory. Zapewnił więc go, że żywności wprawdzie w Zbarażu za wiele nie ma, ale to, co jest, wojsko regimentarskie będzie chętnie z książęcym dzieliło. Książę zgodził się wówczas iść do Zbaraża. Ucieszony Lanckoroński oświadczył wtedy (wedle słów ówczesnego poety):

„Iż tym rycerstwo bardzo pocieszone
A bardzo wróżbą szczęścia upewnione:
Że Pan Bóg przyniósł Książęcia w te czasy
Kiedy już prawie sama ziemia straszy...."

Zgodnie z umową, 7 lipca zjawił się w obozie regimentarskim w Zbarażu Jeremi. Książę przybył z małym tylko pocztem, składając regimentarzom kurtuazyjną wizytę, zapowiadając, że niebawem przybędzie tu z całym swoim wojskiem. W wojsku zapanował ogromny entuzjazm. Zmianie uległ też nastrój. Zaczynała wracać chęć do walki. Z czasem zaczęła poprawiać się dyscyplina. Poeta tak to opisuje:

„Tak za jego przybyciem, wszyscy którzy byli
prócz cieniami w obozie, jakoby ożyli
Serca odtąd podniosłszy porzucone wzgore
I fortuna wrócona, i swoboda w sfore
Swą ujęta. I co już zwijać okruchy chcieli,
Albo z chęci, albo się koniecznie musieli
Wracać nazad. Owa znać zarazem to było,
Jako wiele w nim jednym w obozie przybyło..."

W ogromnym entuzjazmie wojsko deklarowało się pod Jeremim służyć dwa kwartały za darmo, Lanckoroński publicznie chciał oddać księciu buławę regimentarską. I tym razem Jeremi buławy nie przyjął, mówiąc przy tym podobno „nie ja WPanom dawałem buławę i odbierać jej też nie będę". Serdecznie przyjmowany, został książę w obozie przez cały następny dzień, wyprawił podjazd, czynnie tym samym włączając się do działań regimentarskiego wojska, po czym wrócił do swego obozu pod Szymkowcami, który miał likwidować przeprowadzając się wraz z wojskiem do Zbaraża.

8 lipca — już jak się zdaje po wyjeździe Wiśniowieckiego — ze-

rwała się burza. Jeden z piorunów trafił w chorągiew piechoty kasztelana bełskiego, regimentarza Firleja, drzewce zgruchotał, proporzec spalił, tak że został tylko kawałek nadpalonego materiału. Ten drobny — jak dziś sądzić byśmy mogli, wypadek — o mało nie spowodował katastrofy. Poczytano to bowiem za zły omen. Nadto Firlej, jak wiadomo, był kalwinem, toteż całe zdarzenie zinterpretowano jako znak boskiego gniewu, wywołanego herezją regimentarza. Szemrano więc, że regimentarz przez swe „sprośne heretyckie błędy" ściągnie na całe wojsko nieszczęście. Groziło to nawet wypowiedzeniem posłuszeństwa. Na dodatek złego zaczęła się w obozie polskim buntować czeladź. Toteż przybycia Jeremiego oczekiwano z tym większą niecierpliwością.

Nazajutrz, przed wieczorem, pod Zbaraż ściągnął Jeremi z całym swym wojskiem. Na widok nadciągającego księcia regimentarze nakazali zatrąbić na alarm i całe wojsko wyprowadzili księciu na spotkanie. Nie miał szczęścia sędziwy Firlej, główny regimentarz, gdy bowiem na oczach całego wojska na spotkanie księcia cwałem ruszył, koń zrzucił go z siodła prosto w błoto, tak że nie tylko pan kasztelan ośmieszył się, ale i cenną ozdobną szkofię od czapki zgubił. Niewiele na to zważano, choć innym razem i to za zły omen z pewnością by zostało poczytane. Oczy wszystkich zwrócone były na księcia, którego wojsko na ramionach wniosło do obozu! Radość z jego przybycia była powszechna. Panujące w obozie nastroje ówczesny poeta tak przedstawia:

„Jakim tam gościem był w obozie lubym
Trudno wyprawić ten kształt piórem grubym
Owo tak krótce: że się wszystkim zdało
Jakby im Nowe Słońce zaświtało"

Teraz dopiero stawało się jasnym, że pod Zbarażem nie powtórzą się Piławce.

XIV. OBRONA ZBARAŻA

Zbaraż — prastare gniazdo zasłużonego rodu książąt Zbaraskich, teraz w linii męskiej całkowicie już wygasłego, przeszedł na własność spokrewnionych z nimi Wiśniowieckich. Niebawem, po raz trzeci w swej historii, miał się stać świadkiem niezwykłego bohaterstwa. Po raz pierwszy był nim w 1474, kiedy — jak już wspomniano — w drewnianym jeszcze zamku bronił się przeciw Tatarom kniaź Wasyl Wasylewicz Nieświski, wnuk niemal legendarnego Fed'ka Nieświskiego. Dzielny kniaź wolał spłonąć wraz z zamkiem, niż dostać się do tatarskiej niewoli.

Po raz drugi, w 1589, broni dzielnie zamku, znów przed Tatarami, książę Janusz Zbarski. Wówczas to zamek został poważnie zniszczony. W jego miejsce sprowadzeni przez księcia Zbarskiego inżynierowie z Niderlandów pod kierunkiem Henryka van Peene budują nowy zamek, ukończony w 1626. Jest on wprawdzie stosunkowo niewielki, ale nowoczesny, dobrze na wzór Bredy ufortyfikowany, z bastionami na modłę „nowoholenderską". Książęta Zbarscy zadbali o to, by ich położona przy „czarnym szlaku" siedziba rodowa była bezpieczna. Dlatego też odrzucono pierwotny plan zamku, proponowany przez weneckiego budowniczego Vincenzo Scamozziego, jako zbyt piękny a mało obronny.

Zamek zbarski zbudowany był na planie kwadratu o boku 88 m z wysuniętymi czterema narożnikami, otoczony wałem ziemnym, od zewnątrz oskarpowanym murem kamiennym. Wały były wysokie na 12 m, a ich wierzchem biegł taras o szerokości ok. 20 m. Wewnątrz wałów mieściły się sklepione kazamaty. Na zewnątrz oszkarpowanych wałów znajdował się głęboki rów (fosa zamkowa). W ścianie północno-zachodniej wałów mieściła się murowana piętrowa brama wjazdowa. Kształt wałów (wysunięte narożniki, bastiony) ułatwiał obronę prowadzoną przy użyciu broni palnej, ich konstrukcja (ziemno-kamienna) czyniła go odpornym na ogień ówczesnej artylerii. Niewątpliwą wadą zamku

były jego stosunkowo niewielkie rozmiary i jedna tylko studnia. Będąc doskonałą twierdzą, praktycznie nie do zdobycia dla grasujących Tatarów, nie bardzo nadawał się na punkt oporu znacznych ilości wojska w warunkach wojny kozackiej.

Do zamku przylegało miasto, zajmujące półwysep pomiędzy stawami i rzeką Gnieżną, obronne samą obronnością miejsca, a także parkanami (ostrokołami) i rowami. W umocnieniach miasta znajdowały się też drewniane wieże, z których najwyższa była zarazem bramą miejską na drodze ku Załoźcom. W sumie umocnienia miejskie umożliwiały obronę przed drobną watahą, ewentualnie czambułem tatarskim, teraz większej wartości nie przedstawiały. Oddzielnie ufortyfikowany był jeszcze klasztor bernardynów.

Zdecydowawszy się na obronę pod Zbarażem, regimentarze — trzeba im oddać sprawiedliwość — też nie próżnowali. Zaraz po przybyciu wojska pod zamek i miasto (30 VI) rozdzielano wojsko na kwatery po okolicznych wsiach (co wielu dało kolejną okazję do zdezerterowania), przystąpiono też do sypania wałów warownego obozu. Równocześnie rozesłano po najbliższej okolicy czeladź dla rekwirowania i gromadzenia żywności i paszy. Nie obeszło się przy tym bez gwałtów i grabieży. Toteż ludność miejscowa, gdzie mogła, brała odwet zabijając pachołków i pojedynczych żołnierzy, zwłaszcza z cudzoziemskich rot.

Budową fortyfikacji kierował inżynier Dubois z Lotaryngii. Obóz polski otoczył wał ziemny, poprzedzony fosą, wzmocniony wielobocznymi bastionami i rawelinami. Obóz miał kształt nieregularnego sześcioboku, którego pięć ścian stanowił umocniony bastionami i rawelinami wał, swoistą ścianę stanowiły dwa stawy, miasto między nie wciśnięte i rzeka Gniezna. Zamek znajdował się wewnątrz obozu. Łączna długość wału wynosiła blisko 1 milę (czyli ok. 7,5 kilometra).

Obóz był potężnie ufortyfikowany, jednak zbyt obszerny. Prawdopodobnie, przystępując do sypania fortyfikacji, regimentarze liczyli się z możliwością przybycia licznych posiłków i mieli prawo przypuszczać, że zza wałów bronić się będzie co najmniej dwukrotnie więcej wojska niż to, którym oni dysponowali. W chwili kiedy Wiśniowiecki przybył pod Zbaraż i wyraził swoją dezaprobatę dla rozległości obozu, od razu przyznano mu rację, wiadomo już bowiem było, że siły obrońców nie przekroczą kilkunastu tysięcy ludzi. Jeremi skrytykował umocnienia nie tylko za ich nadmierną do liczebności wojska rozległość, ale nadto za to, że wały były za niskie, a rowy zbyt płytkie i wąskie. Przystąpiono więc po naradzie do zmniejszania wałów, kończąc równocześnie pierwszy wał, jako że nieprzyjaciel był już blisko.

Tego samego dnia, kiedy Jeremi odbył triumfalny wjazd do Zbaraża, podjazd, z którym wysłany był pisarz polny Andrzej Sierakowski —

„w pięci milach od obozu naszego, pod Czołhańskim Kamieniem" starł się z Tatarami, ponosząc bardzo duże straty. Szczególnie ucierpiała chorągiew Jarosza Pigłowskiego, tracąc 29 towarzyszy i wielu spośród czeladzi. O zbliżaniu się wielkiej potęgi kozacko-tatarskiej donosiły też schwytane przez chorążego Koniecpolskiego „języki". Obrońcy spodziewali się, że Kozacy postępować będą wolno, prowadząc cały tabor („ponieważ Kozacy bez taboru chodzić nie zwykli"). Wysłano więc 10 lipca z obozu kilka tysięcy czeladzi, aby ściągnęła jeszcze żywność i siano dla koni. Okazało się to błędem, bowiem orda i część Kozaków komunikiem pod Zbaraż podążała, w dodatku oskrzydlając obóz polski od północy, od strony Wiśniowca, natknęła się na nieszczęsną czeladź, część w niewolę biorąc, część mordując od razu. Straciła w ten sposób strona polska bez bitwy kilka tysięcy ludzi.

Tegoż dnia forpoczty nieprzyjaciela stanęły pod Zbarażem. Załoga gotowa była do walki. Poszczególne odcinki wału obsadzone były przez wojsko. Północno-wschodni odcinek wałów obsadził Rozrażewski z 6 chorągwiami dragonów. Byli to przeważnie Wielkopolanie. Obok stał Przyjemski z 6 kompaniami piechoty cudzoziemskiej. Odcinek wschodni obsadził Firlej. Na tym odcinku zgromadzono też większość artylerii. Lanckoroński bronił narożnika wschodnio-południowego i części południowego wału. Obok stał Koniecpolski. Ostroróg obsadził odcinek południowo-zachodni, zaś odcinek północno-zachodni Sobieski z Sieniawskim, a część przyległą do Zbaraskiego Stawu i miasta — Jeremi Wiśniowiecki.

Historycy do dziś nie są zgodni co do tego, kto dowodził całością. Formalnie dowódcą — z królewskiej nominacji — był regimentarz Firlej. Jednakże talentem wojskowym, energią, wreszcie autorytetem wśród wojska przewyższał go niewątpliwie Jeremi Wiśniowiecki, który jednak od regimentarzy — mimo ich prośby — nie przyjął buławy. Wielu najwybitniejszych polskich historyków uważało więc Jeremiego wprost za dowódcę obrony Zbaraża. Specjalizujący się w ogłaszaniu nie udowodnionych „rewelacji" z historycznego tła *Ogniem i mieczem* O. Górka „wykrył", że dowódcą Zbaraża był nie Wiśniowiecki, ale Firlej. Stanowisko to, pokutujące jeszcze tu i ówdzie w piśmiennictwie do dziś, jest też pewnym uproszczeniem. Oczywiście — jak wspomniano — formalnie dowódcą był kasztelan Firlej. Nie odmawiając wcale temu mężowi zalet, przyznać trzeba, że wojsko go jednak nie słuchało i z przyczyn racjonalnych czy też irracjonalnych (nie bez znaczenia było to, że był kalwinem), przez niego zawinionych czy też nie — nie miał w wojsku autorytetu. Świadczy o tym cały przebieg „reiterady" wojska koronnego spod Konstantynowa, kiedy to siły regimentarskie na skutek dezercji stopniały niemal o połowę. Nie był więc Firlej w sta-

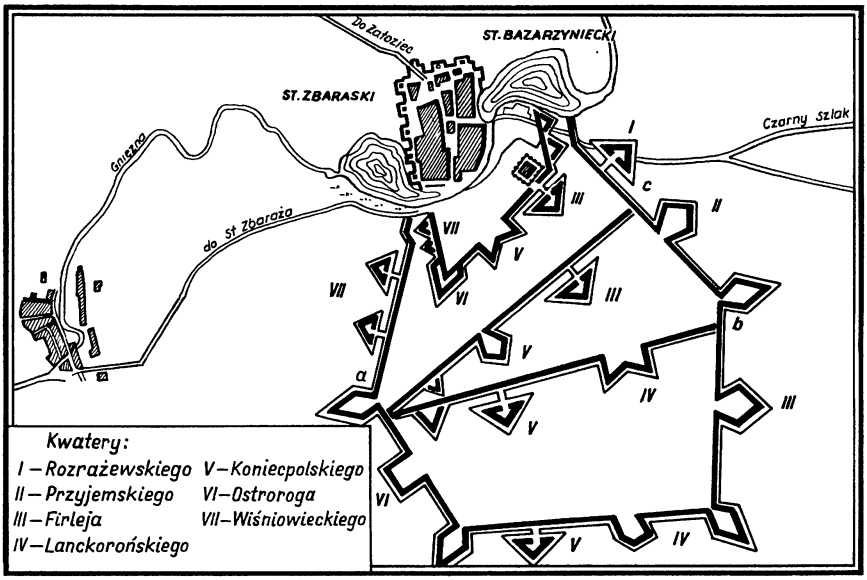

Obrona Zbaraża w 1649 — rozmieszczenie obrońców w pierwszej fazie obrony (w/g L. Frąsia)

nie skutecznie dowodzić obroną. Zdawał sobie z tego sprawę i jeśli Lanckoroński jeździł do Szymkowców i tam proponował Jeremiemu objęcie dowództwa, to czynił to na pewno za wiedzą Firleja. Nie mając nominacji królewskiej (jak Firlej czy Lanckoroński) i nie przyjmując ofiarowanej mu przez regimentarzy buławy, nie był Jeremi dowódcą z formalnego punktu widzenia. To oczywiste. Jak jednak faktycznie wyglądało dowodzenie obroną? Faktycznie dowództwo było kolektywne, z tym że głos Wiśniowieckiego ważył zdecydowanie najbardziej. Mógł Jeremi np. skutecznie sprzeciwić się regimentarzom, kiedy 13 lipca, a później 19 lipca po krwawo odpartych szturmach chcieli przenosić się z wojskiem do zamku „ale Xże Imć żadną miarą nie pozwalał". Za wodza uważało go też wojsko w swej masie nieświadome kolektywnego trybu podejmowania decyzji — pod jego przecież dowództwem obiecywało darmo służyć przez kwartał. Nie ulega też wątpliwości, że książę był „duszą obrony".

Bitwa zaczęła się natychmiast po przybyciu pod Zbaraż komunika nieprzyjacielskiego. Przeciw ordzie zajeżdżającej obóz polski od zachodu ruszyła chorągiew tatarska księcia Jeremiego. Siły były nierówne, bowiem chorągiew księcia liczyła ok. 150 ludzi, przeciw nim ruszyło blisko 2 000 ordyńców. Rozegrała się scena dość wiernie przedstawiona przez Sienkiewicza w *Ogniem i mieczem*. Budząc podziw patrzącego

z wałów wojska, „książęcy Tatarzy rozdzielili się raz we troje, drugi raz we czworo, trzeci raz we dwoje, a czwarty raz całą chorągwią uderzyli w nieprzyjaciela", ponosząc przy tym jednak znaczne straty, samego „porucznika tatarskiego sześć razy w łeb szkodliwie cięto". W tym momencie, kiedy książęcy Tatarzy ruszyli na ordyńców, z okopów wyszła polska jazda. Prawym skrzydłem, w skład którego weszły też chorągwie Sobieskiego i Sieniawskiego, dowodził Jeremi, centrum chorąży Koniecpolski, lewym regimentarze. Gdy po wstępnych harcach Tatarzy i Kozacy zaczęli uzyskiwać przewagę, książę ruszył swe chorągwie jazdy, odrzucając nadjeżdżających Tatarów, równocześnie Koniecpolski natarł śmiało na główny korpus kozacko-tatarski. Spędzeni z pola jeźdźcy kozaccy i tatarscy ruszyli teraz na pozostawiony poza wałami taborek książęcy. Dlaczego taborek ten znajdował się wówczas na zewnątrz wałów — nie wiadomo.

Teraz ten niewielki tabor, gdzie pod osłoną wozów znajdowało się 200 piechurów i dwie lekkie chorągwie jazdy, znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ruszył mu więc na pomoc Wiśniowiecki z Koniecpolskim na czele kilku chorągwi jazdy. W ślad za nimi ruszyły na nieprzyjaciela 3 husarskie chorągwie Lubomirskiego i Zamoyskiego, zmiatając nieprzyjacielską jazdę z pola, za którą ruszył Jeremi na czele lekkiej jazdy. W tym czasie taborek bez przeszkód wjechał do środka polskiego obozu. Straty polskie były w tym starciu niewielkie (zginęło kilku żołnierzy, m.in. towarzysz Rakowski z chorągwi Wiśniowieckiego, kilkunastu odniosło rany). Znacznie poważniejsze straty ponieśli przeciwnicy. Zginął wówczas podskarbi tatarski, ulubieniec chana, zwany Frunetem lub Kasanderym. Po tym pierwszym starciu jazdy, dla strony polskiej zwycięskim, co miało ważne znaczenie moralne — wojsko wycofało się za wał, kończąc gorączkowo prace fortyfikacyjne.

Tymczasem pod Zbaraż ściągały coraz to nowe pułki kozackie. Wieczorem 10 lipca 1649 stanął pod Zbarażem Chmielnicki z resztą sił kozackich. Tegoż dnia ściągnęły też pozostałe oddziały tatarskie z chanem Islam III Girajem.

Historycy polscy zgodni są w zasadzie co do tego, że pod Zbarażem stanęło ok. 200 000 Kozaków i 100 000 Tatarów. Podawana przez wybitnego historyka ukraińskiego, Hruszewskiego, liczba 70 000 Kozaków jest też do przyjęcia, jako że odnosi się ona jedynie do regularnego wojska zaporoskiego, wspartego pod Zbarażem przez znacznie większą liczbę chłopstwa (czerni). Według ruskiego źródła, jakim jest Kronika Samowidca „wszyscy żywi poszli do Kozaków. Ledwo znalazłoby się w jakiejś wsi takiego człowieka, którego albo syn, albo on sam nie poszedł do wojska, a jeśli sam nie mógł, to parobka posłał; inni wreszcie, ilu ich było, wszyscy szli z domu, jednego tylko na gospodarstwie zostawiając". Ru-

szyło więc pod Zbaraż swoiste pospolite ruszenie chłopstwa ukraińskiego. Były to bodajże największe siły, jakie udało się Chmielnickiemu zgromadzić w ciągu wielu lat wojen kozackich.

Ilu obrońców zamknęło się w obozie zbaraskim? Liczebność wojska polskiego pozostanie już chyba na zawsze dyskusyjna. Różne współczesne diariusze i kroniki podają od 9000 do 15 000 obrońców, raz licząc czeladź i pachołków miejskich, raz nie. Trudno rozstrzygać, która z podanych wyżej liczb jest bliższa prawdy. Tak czy owak, przewaga liczebna oblegających była wielokrotna i na dobrą sprawę wszystko jedno czy była ona 20-, czy 30-krotna. Znany jest za to w miarę dokładny skład armii polskiej i jej rozlokowanie w Zbarażu. Całość podzielona została na 5 dywizji. Pierwszą z nich miał pod swym bezpośrednim dowództwem regimentarz Firlej. W składzie tej dywizji byli między innymi Rozrażewski i Przyjemski z doborową piechotą (polską, niemiecką i węgierską), a także dragonia (10 chorągwi), husaria i lekka jazda. Dywizja ta osadziła wschodni wał obozu. Drugą dywizją dowodził regimentarz Lanckoroński, była ona mniej liczebna niż dywizja Firleja, ale też do obrony przypadał jej krótszy odcinek wału, a mianowicie od południowo-wschodniego narożnika do połowy wału południowego. Resztę wału południowego obsadzała dywizja Koniecpolskiego, chorążego koronnego. Od południowo-zachodniego narożnika wału broniła — jak wspomniano — dywizja Ostroroga — podczaszego koronnego. Wreszcie odcinka północno-zachodniego broniła dywizja Wiśniowieckiego, której pozycje dochodziły na północy do Zbaraskiego Stawu i miasta. Obok Jeremiego, wystąpili po raz pierwszy młodzi książęta Wiśniowieccy: Dymitr (późniejszy hetman wielki koronny) i Konstanty na czele swoich własnych chorągwi.

Po sukcesie, jaki odniosła jazda polska w pierwszym starciu w otwartym polu, nastroje w obozie były dobre. Wieczorem wydał książę na zamku huczną ucztę dla regimentarzy i starszyzny wojskowej. Sam fakt ucztowania w obliczu wroga miał ważne znaczenie psychologiczne. Przekonywał wojsko, że wodzowie wcale się nie trwożą, ale przeciwnie — są dobrej myśli, w dobrych nastrojach.

W niedzielę 11 lipca od wczesnego rana wojska kozackie i tatarskie przegrupowały się, szczelnym pierścieniem otaczając polski szaniec, zataczając działa i najwyraźniej gotując się do szturmu. Widok takiej liczby przeciwników, a nadto ich sprawności, zasiać musiał w sercach obrońców niepokój. Szczególnie niepewnie czuli się żołnierze jazdy, którym teraz przychodziło walczyć pieszo, zza wału, nie w otwartym polu, do czego byli nawykli. Do nich więc głównie skierował swoje słowa Jeremi Wiśniowiecki: „Czyż tylko na koniach umieją Polacy być mężni? Czyż w nogach czworonożnego latawca odwagę swą oparli? Dodajmy do olbrzymich tryumfów w polu bohaterską obronę okopów. Nie nowina

to naszemu narodowi — świadkiem stolica Moskwy, którejśmy przez dwa lata bronili. Cośmy zdziałali wówczas, by zatrzymać cudze, to dla sławy narodu i zbawienia własnego nie powinno nam się trudnym wydawać. Zbliża się król, śpieszy ojczyzna cała na ratunek — byleśmy małą chwilę wytrzymali..."

Kiedy po silnej kanonadzie artyleryjskiej, po której na majdanie polskiego obozu „łatwiej było o kule armatnie niż w powiecie lwowskim o kokoszy owoc", groźne, wielotysięczne zastępy Kozaków i Tatarów ruszyły do szturmu, w polskich szeregach zaczęły budzić się pierwsze oznaki paniki. Wówczas to wzdłuż wałów ruszyła procesja z Najświętszym Sakramentem. Spokój procesji, podniosłość religijnego obrządku wywołały spodziewany skutek. „Processye z Najświętszym Sakramentem nas otrzeźwiły" — zapisał jeden z obrońców. Na całej długości wałów dawano aż do wieczora zaciekły opór.

Szkody czyniła też artyleria nieprzyjacielska, która wewnątrz obozu poniszczyła wiele namiotów, zabijając i raniąc wielu ludzi i koni. Ubito konia pod Sobieskim i Sieniawskim. Był taki moment, że i regimentarze zaczęli tracić głowy, zdawało się, że obrona lada moment załamie się. Wiśniowiecki był wszędzie. Wydawał rozkazy, zagrzewał żołnierzy do walki, uruchamiał odwody (w diariuszu anonimowy autor zapisał: „Panowie Regimentarze byli podrwili, aże Xże JMPan Wojewoda Ruski, ten posilił wojsko ochotę czyniąc").

Dzielnie stawał podczaszy koronny Ostroróg, walcząc razem z innymi jak prosty żołnierz. Wieczorem trąbki w obozie kozackim zaczęły trąbić odwrót. Szturm został odparty. Przez cały następny dzień obydwie strony leczyły rany, szykując się do dalszej rozprawy. Ze swych wałów obrońcy oglądać mogli ustawienie długiego na milę kozackiego taboru.

Od rana, 13 lipca, Kozacy ogniem dział zasypywali polski szaniec, czyniąc spore szkody. Pod wieczór na znużonych, nękanych ciągłym ogniem, przypuszczono gwałtowny szturm równocześnie z wszystkich stron. Atak był jeszcze gwałtowniejszy niż przed dwoma dniami. W szczególnym niebezpieczeństwie znalazł się nie wykończony jeszcze wał w pobliżu Bazarzynieckiego Stawu, obsadzony przez wojska cudzoziemskiego autoramentu pod komendą Rozrażewskiego. Dragoni wystąpili jednak przed niedokończony wał i silnym ogniem powstrzymali impet Kozaków. Na całej długości wału okalającego obóz polski wrzała zażarta bitwa. Rycerstwo wspomagane przez czeladź dzielnie broniło pozycji. Walczyli obok siebie towarzysze najpoważniejszych znaków, czeladź i obozowe ciury. Łopaty i rydle szły w zawody z szablami.

Zdobycie obozu wstępnym szturmem okazało się niemożliwe.

Wówczas Chmielnicki dzieli swą piechotę na dwie części — jednej każe nacierać na wysuniętą placówkę Firleja, drugiej każe nacierać na kwatery Wiśniowieckiego po przeciwległej stronie obozu. Nacierająca piechota kozacka wspierana była przez oddziały jazdy tatarskiej, która nie będąc zdatna do szturmu umocnień, zza pleców nacierających pieszo Kozaków zasypywała obóz polski istnym deszczem strzał z łuków. Natarcie na kwatery Firleja było bardzo zajadłe. Stary regimentarz przez cały czas był w ogniu, wśród swych żołnierzy, dając im przykład swym męstwem. W krytycznym momencie regimentarze sądząc, że wałów nie są w stanie utrzymać, chcieli nawet wycofać się do zamku, ale „Xże JM Pan Wojewoda Ruski na to nie pozwolił". Siedem razy Kozacy wdzierali się na wały i siedem razy byli z nich zepchnięci. Pod wieczór — zdawało się, że nic nie powstrzyma już naporu Kozaków, którzy opanowali część wałów, a nawet walczyli po ich wewnętrznej stronie, zatknąwszy tam swoją chorągiew. Na szczęście stało się to w momencie, kiedy na innych odcinkach walka już ustała.

Nie wiadomo czemu, nieprzyjaciel sam z prawej strony obozu polskiego ustąpił. Być może chcieli Kozacy przegrupować szyki i uderzyć całą siłą na kwatery Firleja. Dość, że umożliwiło to wyprowadzenie przed wał chorągwi królewskiej husarii, do której dołączyli ochotnicy spod innych znaków i uderzenie tym 250-osobowym oddziałem w bok wdzierającej się na Firlejowe pozycje piechoty. W ślad za pierwszym oddziałem ruszyły następne — Zaćwilichowski wyprowadził 7 chorągwi. Kto pierwszy wyprowadził jazdę z okopów, Koniecpolski czy Sobieski — diariusze nie są zgodne. Fakt, że obaj brali udział w tym kontrnatarciu wykorzystującym chwilę nieuwagi przeciwnika. Rozpędzona husaria z furią uderzyła w odsłonięte lewe skrzydło nadciągającej na wały piechoty zaporoskiej, łamiąc jej szyki, bijąc, tratując, zmiatając z pola. Za husarią lekkie chorągwie kończyły straszne żniwo. Ci Kozacy, którzy nie padli od polskich kopii i szabel, a nie zdążyli na czas uciec z pola, zostali przez tę ławę nadciągającej jazdy zepchnięci do Bazarzynieckiego Stawu, w którym wielu poniosło śmierć.

W tym momencie, kiedy potężne przeciwuderzenie polskiej jazdy było w punkcie kulminacyjnym, o mało nie doszło do tragedii. Burłaj bowiem, pułkownik hadziacki, stary lis stepowy, niegdyś zdobywca Synopy, teraz o mało nie stał się zdobywcą Zbaraża. Korzystając z tego, że uwaga wszystkich zwrócona jest gdzie indziej, podkradł się ze swoimi od tyłu polskiego okopu, od strony grobli przytrzymującej wody Bazarzynieckiego Stawu. Była tam luka między wałem a ostrokołem otaczającym miasto, pilnowana przez oddział piechoty węgierskiej. Oddział ten zaskoczony przez przeważającą liczbę Burłajowych Kozaków nie dotrzymał im pola, zrazu cofając się, później ogarnięty paniką zwyczajnie

„podał tyły". W ten sposób Burłaj znalazł się w środku polskiego okopu, zajmując kwatery Rozrażewskiego. Rzuciły się na ratunek sąsiednie polskie oddziały. Przyjemskiemu, który szablą zatrzymał uciekającego chorążego węgierskich piechurów, udało się panikę piechoty opanować i do ataku z powrotem poprowadzić. Do akcji włączyła się wkrótce wracająca z pościgu za nieprzyjacielem jazda. Burłaj znalazł się w matni. Idącego mu z pomocą Mrozowickiego zatrzymała jazda. Tymczasem na Burłajowych Kozaków rzuciła się piechota, pojedynczy żołnierze z różnych oddziałów — „nawet woźnice i czeladź rzuciła się i Kozaków tam wtargnionych do jednego wycięli". Poległ i Burłaj, choć nie wiadomo z czyjej ręki, być może z ręki jakiegoś rzeczywistego, nie powieściowego Zagłoby.

W tym czasie, kiedy osaczony wewnątrz wałów Burłaj bronił się ze wszystkich sił, przed wałem rozegrała się kolejna zażarta bitwa. Idący Burłajowi z pomocą Mrozowicki z komunikiem Kozaków starł się z jazdą polską. Pod Mrozowickim konia ubito, a gdy porucznik Poniatowski rzucił się w środek Kozaków, by Mrozowickiego żywcem brać, zginął rozsiekany szablami. (Był to prawdopodobnie ten sam Poniatowski, który przed 4 laty zajmował dla Jeremiego Rumno). Ranny Mrozowicki dał hasło do odwrotu, oddziały polskie, zwycięskie w polu, także wycofały się za wały. Tak kończył się dzień 13 lipca 1649.

Od samego początku okop polski był za duży. Obliczony chyba na całą armię polską — regimentarze być może liczyli, że król przyjdzie pod Zbaraż prędzej niż Chmielnicki — był dla broniących się żołnierzy o wiele za duży i przez to trudny do obrony. Jego wielkość krytykował — jak pamiętamy — Wiśniowiecki jeszcze przed rozpoczęciem walk. Słuszność zastrzeżeń księcia potwierdziła się już pierwszego dnia obrony, toteż broniąc wału, sypano zawczasu drugi, równoległy do południowego odcinka, zmniejszający obóz polski o blisko połowę. Walny szturm 13 lipca wykazał, że tak długiego wału bronić dłużej niepodobna i tylko łaskawości niebios zawdzięczać trzeba, że obrona nie została przełamana. Toteż nocą z 13 na 14 lipca wycofano się do zmniejszonego okopu.

Następnego dnia Kozacy znów ruszyli do szturmu. Szczególnie zajadle szturmowano kwatery Wiśniowieckiego. Ale i ten szturm został krwawo odparty. Po raz pierwszy spróbowano też układów. Po południu, po odpartym szturmie spotkali się w otwartym polu na koniach Jeremi Wiśniowiecki, a ze strony tatarskiej wezyr Sefer Kazi Aga. Jeremi przekonywał tatarskiego dostojnika, że powinni Kozaków odstąpić, bo są to zdrajcy Rzeczypospolitej, a chanowi jako prawowitemu monarsze nie wypada wspierać buntowników przeciw królowi. Ale wezyr tym razem nie chciał słuchać tych wywodów książęcych, ze swej strony proponując,

aby Polacy poddali się chanowi. Tak więc pertraktacje te do niczego nie doprowadziły.

Wieczorem 16 lipca Kozacy przypuścili szturm do miasta, chcąc od jego strony wedrzeć się do polskiego obozu lub choćby odciąć obrońców od wody pitnej, jako że studnie znajdowały się w mieście. Forsujących miejskie parkany Kozaków odparła jednak piechota Korffa.

Następny szturm generalny nastąpił 19 lipca (wg niektórych źródeł miało to być 17 lipca). Atak ten był dobrze przygotowany. Kozacy zbudowali 14 potężnych ruchomych wież oblężniczych (według niektórych źródeł machin tych miało być więcej, inne zaś podają, że nawet kilkadziesiąt), zwanych przez nich „hulajhorodami" lub „hulajhorodynami", przez Polaków „szturmami" lub „czołgami". Były to wieże „z grubych drewien zrobione, na kołach pomykające się, między nimi w środku mosty dla przebywania fossy, drabiny do włażenia na wały i inne potrzebne do szturmowania instrumenta". Były one obsadzone przez strzelców i puszkarzy, zbrojne w lżejsze armatki. Z nich też można było razić ogniem obrońców chroniących się za wałem.

Gwałtowny, dobrze przygotowany szturm, wsparty ogniem z hulajhorodyn omal nie załamał obrony. Znów regimentarze chcieli opuścić obóz i wycofać się do zamku i znów sprzeciwił się temu Jeremi. Zamek zbaraski, choć nowocześnie ufortyfikowany, był jednak, jak dla takiej liczby żołnierzy, o wiele za mały. Nie pomieściliby się w nim wszyscy i trzeba by co najmniej czeladź pozostawić na pastwę nieprzyjaciela. Stłoczone na tak małym obszarze wojsko nie byłoby w stanie się długo bronić, wnet bowiem zabrakłoby zapasów. Jedyna studnia nie nastarczyłaby wody. Jednak nowoczesne bastiony zamkowe przy prowizorycznych fortyfikacjach polowych obozu zdawały się stanowić oazę bezpieczeństwa. Toteż ilekroć zanosiło się na to, że obrona wałów zostanie przełamana, oczy wszystkich instynktownie kierowały się na zamek. Nie wytrzymali nerwowo dwukrotnie regimentarze, na szczęście Wiśniowiecki nie uległ panice, zachowując chłodną głowę i dwukrotnie sprzeciwił się regimentarzom, ratując w ten sposób wojsko przed zagładą. Rozważano też taki wariant obrony, aby piechotę wycofać do zamku, a całością jazdy próbować przebić się przez pierścień oblegających. Plan ten — jako nierealny — odrzucono jednak rychło.

W walce z wielokrotnie przeważającymi siłami cały obóz polski dokonywał cudów męstwa i poświęcenia. Bardzo dzielnie, jak prosty żołnierz stawał chorąży koronny Koniecpolski. Sobieski jeżdżąc od pułku do pułku pod ciągłym ostrzałem artylerii, wydając rozkazy i dodając ducha walczącym, zajeździł kilka koni. W krytycznym momencie szturmu, kiedy Kozacy wdzierali się na wały, a obrona zaczęła tu i ówdzie słabnąć, kiedy obrońcy spychani byli z wałów przez nacierającą piecho-

tę kozacką i rażeni celnym ogniem z hulajhorodów — rozwarły się upusty niebieskie. Oberwanie chmury przyszło w niespodziewany sukurs obrońcom: „deszcz lunął taki, iż na piędź woda ziemię okryła". W strugach deszczu utknął kozacki szturm. Hulajhorody na kółkach, miast „pomykać się", ugrzęzły w rozmiękłej ziemi. Chmielnicki zarządził odwrót. Hulajhorodyny zostały w polu, w pobliżu polskiego okopu, pilnowane tylko przez nieliczne straże. Korzystając z osłony nocy, z obozu polskiego wymknęło się za wał kilkuset ochotników. Zaskoczywszy kozackie straże, wybiwszy je, podpalono hulajhorody, które „z podziwieniem w tak mokry czas przez noc gorzały". Jeremi, który był inicjatorem wyprawy, przygotował dla niej asekurację. Niebawem ku płonącym machinom ruszyli Tatarzy, pędząc przed sobą watahy czerni. Wydawało się, że odetną oni drogę powrotu polskim śmiałkom. Ale zawczasu przygotowana chorągiew dragonów i lekkiej jazdy wystąpiła przed wał, przyjmując ich silnym ogniem muszkietów. Oddział ten wyprowadził osobiście Wiśniowiecki, który „sam stawał z dobytą bronią". W tym momencie pojawiły się na polu dalsze chorągwie jazdy: Sobieskiego, Sieniawskiego i Ostroroga. Na ich widok pierzchła czerń i wycofali się do swego taboru Tatarzy, tak że wycieczka triumfalnie witana, bez żadnych przeszkód powróciła za wały. I ten dzień okazał się dla oblężonych zwycięskim.

Niepowodzenia kolejnych szturmów, tak krwawo odpieranych, skłoniły Kozaków do zmiany taktyki. Rozpoczęto regularne oblężenie. Równolegle do polskiego wału Kozacy usypali swój, tak wysoki, że mogli z niego mierzyć do celów wewnątrz polskiego obozu, w którym teraz brakło bezpiecznego miejsca. Trzeba było budować schrony, okopywać nawet konie. Wykończono też nowy wał, równoległy w zasadzie do starego południowego, wyraźnie jednak skracający lewe, wschodnie skrzydło obozu. Wycofanie za nowy wał nastąpiło prawdopodobnie 20 lipca. Systematyczne zmniejszanie obozu było koniecznością raz dlatego, że malała stale liczba obrońców, dwa, że był to jedyny sposób oderwania się od groźnych, wysokich wałów kozackich.

Prace ziemne, budowa polowych fortyfikacji, stanowiły ważny element obronny Zbaraża. Na szczęście w obozie polskim nie brak było najwyższej klasy fachowców od inżynierii wojskowej. Plan pierwszego obozu — jak się okazało o wiele za obszernego — dał Mikołaj Dubois, Lotaryńczyk w służbie polskiej, i on też kierował pracami ziemnymi. Zmniejszeniem obozu kierował Sebastian Aders, kapitan artylerii i inżynier, a gdy tego zabrakło, robotami ziemnymi kierował Wojciech Radwan-Radwański „jeometra".

Wysoki poziom prezentowali także kozaccy inżynierowie, tak iż pod Zbarażem wojnę prowadzono zgoła zachodnioeuropejską modą. Ze strony polskiej po mistrzowsku łączono „zachodni" sposób wojowania,

polegający na umiejętnym wykorzystaniu fortyfikacji polowych, artylerii, piechoty i broni palnej, ze staropolską sztuką wojenną: wypadami i silnymi kontratakami szarżującej jazdy, uderzającej w odsłonięte skrzydło atakującej piechoty.

Otoczywszy obóz polski wałami, Kozacy zrezygnowali z prowadzenia szturmów generalnych, ograniczając się do ostrzeliwania obozu i nękania w ten sposób obrońców, czekając sposobności, jaką mogła dać chwila nieuwagi polskich wodzów.

Podjęto też próby układów. 23 lipca z obozu polskiego wyprawiono do Kozaków trębacza, który poniósł listy nakłaniające ich do wierności dla Rzplitej. Poseł został dobrze przyjęty, obdarowany na pożegnanie, ale niczego nie wskórał i obstrzał polskiego obozu trwał nadal. Dopiero po dwóch tygodniach oblężenia nastąpiła krótka przerwa w wymianie ognia. W czasie tej niezwyczajnej przerwy w walce Kozacy podchodzili pod polskie wały, zdarzało się, że obrońcy gawędzili sobie z oblegającymi, były nawet przypadki, że wzajemnie częstowano się tabaką. W tym czasie eks-komisarz Zaćwilichowski i chorąży nowogrodzki Kisiel jeździli z poselstwem do Chmielnickiego. Obydwaj posłowie, Rusini z dziada pradziada i obydwaj prawosławnego wyznania na próżno próbowali przekonać Chmielnickiego już nie do wierności dla Rzeczypospolitej, ale choćby do chwilowego zawieszenia broni. Wódz kozacki namawiał w rewanżu Zaćwilichowskiego, aby jako Rusin połączył się z Kozakami. Tak więc poselstwo nic nie załatwiwszy, powróciło do obozu.

Ciągły ostrzał polskiego szańca powodował poważne szkody. Ciągle ginęli ludzie. 26 lipca zmarł od otrzymanego przed kilku dniami postrzału pisarz polny koronny Sierakowski. Kul padających na majdan polskiego obozu, których już pierwszych dni było więcej „niż jaj w lwowskim powiecie", jest tam teraz tyle, „że mógłby zmiatać, tak były gęste". Obrońcy muszą się kryć w ziemiankach kopanych u samych wałów. Każdy ruch w obozie jest natychmiast zauważony, prowokując od razu celny ogień. Roznoszenie rozkazów po obozie jest czynnością niebezpieczną. Jednego dnia giną idący z rozkazami służący Jeremiego (niejaki Ruszczyc) i służący Koniecpolskiego. Od celnego ognia ginęła czeladź, która próbowała zbierać trawę dla koni.

Niezależnie od nękania obrońców ogniem, próbowano zmuszać ich do kapitulacji podstępem. Widząc, że obrońcy wodę pitną biorą ze studni w mieście, próbowano zdobyć miasto. Po raz pierwszy spróbowano tego 16 lipca, w tydzień później próbę powtórzono. Spora wataha kozacka podkradła się pod miejskie parkany, sforsowała je spędzając nieliczne straże i próbując uczynić w parkanach wyłom umożliwiający wdarcie się do miasta większej liczby napastników. Jednak oddział piechoty dowodzony przez kapitana Maszyckiego przy wydatnej pomocy mieszczan

zbaraskich i chłopów wyparł napastników z miasta. Gdy przybył na pomoc Lanckoroński z dalszymi posiłkami, Kozacy byli już odparci. Skoro miasta nie udało się opanować siłą, chwycili się Kozacy podstępu. Próbowali najpierw rozkopać groblę, aby spuścić wodę ze stawu, to znów próbowali spiętrzyć wody i zalać miasto. Za każdym razem jednak byli spędzani przez Polaków, którzy nie pozwolili im owych strasznych w skutkach robót dokończyć.

26 lipca posłował do chana pan Janicki, szlachcic z województwa kijowskiego, doskonale znający język tatarski. Janicki — imieniem dowódców Zbaraża — namawiał chana, aby odstąpił Kozaków. Chan jednak sądząc, że ma obrońców w garści, a ich kapitulacja jest tylko kwestią czasu, odpowiedział Janickiemu, że „jutro i tak wszystkich za łeb wywlecze" — wobec czego nic nie wskórawszy, poseł powrócił do obozu.

Jakby w odpowiedzi na propozycję Janickiego, nazajurz Tatarzy w wielkiej liczbie wyszli w pole przed wał, manifestując gotowość walki, ale nie doczekawszy się jazdy polskiej, a wału szturmować nie umiejąc, pod ogniem polskiej artylerii wycofali się. Poprzestano więc na dalszym ostrzeliwaniu polskiego obozu, przynoszącym ciągle poważne straty. Tak np. postrzelony został kapitan artylerii inżynier Aders. Śmierć tego walecznego inżyniera, współtwórcy zbaraskich fortyfikacji stała się przyczyną nieprzyjemnego incydentu. Aders był protestantem, toteż do umierającego przyszedł „dysponować na śmierć minister, JMPana Bełskiego kapelan, [który] od naszych Xięży wybity i wygnany [został] z Zamku". Autor diariusza nie oburza się jednak na nietolerancyjny postępek katolickich księży, oburzenie swe skierowując zgoła w inną stronę: „jednak nie rewokowawszy, ten kapitan dziś umarł".

Księża katoliccy cieszyli się w Zbarażu ogólną sympatią rycerstwa i waleczności swej nie ograniczali bynajmniej do atakowania kijem protestanckiego ministra. Ksiądz Muchowiecki, którego znamy z *Ogniem i mieczem* jako męża świątobliwego i ascetycznego, jezuita z kolegium perejasławskiego, usadowił się na „dębowej baszcie'" umocnień miejskich, skąd raził Kozaków, a jako dobry strzelec, który miał „wileńską guldynkę, prawie dobrą, tak że ich 215 przez to oblężenie, jako się wszyscy zgadzali, ubił ten Xiądz z swojej rusznice". Księża narażali się i ginęli na równi z innymi. Ksiądz Żabkowski, bernardyn, również znany nam z Sienkiewiczowskiej opowieści — postrzelony z armaty w krzyż, zmarł po kilku godzinach „ku wielkiemu wojska żalowi".

W XVII wieku zabobon odgrywał niemałą rolę w polityce i wojnie. Wiele źródeł podaje, że w otoczeniu Chmielnickiego stale przebywało wielu wróżbitów i czarownic. Wiara w moce nadprzyrodzone i ich bezpośrednią ingerencję w bieg wydarzeń potrafiła poderwać wojsko do

szaleńczego ataku, albo też sparaliżować je w obronie. Dlatego też raz po raz nad walczącymi wojskami pojawiają się w chmurach różni święci lub jakieś tajemnicze znaki. Nieważne, kto je widział, ważne, że ogół w nie wierzył. Tak pod Kirholmem miał ukazać się św. Kazimierz, nad Lwowem dwukrotnie bł. Jan z Dukli, nad Jasną Górą — Matka Boża. Nic też dziwnego, że wielki niepokój zapanował w polskim obozie, kiedy Kozacy zaczęli do obozu strzelać „z dział kłębkami nici na opak zawinionemi". Nie wiedzieli bowiem obrońcy, co to miało znaczyć: „czyli chcą tabor zapalić, czyli nas oczarować".

28 lipca Janicki po raz drugi jeździł do chana. Ale i tym razem rozmowa przebiegała według poprzedniego scenariusza. Janicki namawiał Tatarów, aby odstąpili Kozaków, chan namawiał obrońców, aby się szybko poddali, bo „jutro wszyscy będą kęsim [zarżnięci]". Ponieważ chan od dłuższego czasu zapowiadał to Polakom, Janicki hardo odpowiedział: „już to nam trzy niedziele obiecujecie, a nic po staremu nam za łaską Bożą nie będzie, a kto tu po naszą głowę przyjdzie, ten i swoją przyniesie". Chan wciąż odgrażając się, zaproponował jednak spotkanie z księciem Wiśniowieckim. Wyglądało na to, że przełamany został jakiś impas.

Powracającego z poselstwa Janickiego odprowadzał Wyhowski, szlachcic wzięty niegdyś do niewoli nad Żółtymi Wodami, teraz pisarz kozacki, Chmielnickiego sekretarz. Wyhowski miał Janickiemu tłumaczyć, że chociaż szlachcicem jest, Kozakom służy, bo wykupiony został przez nich od Tatarów za jedną kobyłę, teraz rodzinę ma na Ukrainie i gdyby na stronę polską przeszedł — na co ponoć miał ochotę — z pewnością mściłby się na niej Chmielnicki. Czy rzeczywiście tylko „po niewoli" u Kozaków zostawał, odpowiedzieć trudno. Nie wiedzieli też pewnie Kozacy, że nad Żółtymi Wodami za jedną kobyłę kupili sobie z rąk tatarskich przyszłego hetmana.

Tymczasem nocą z 28/29 lipca 12 towarzyszy spod różnych chorągwi wykradłszy się z obozu, cicho podszedłszy pod wały nieprzyjacielskie, zaskoczyło tam grających w karty trzech Kozaków, zapewne wartowników. „Dwóch z nich ubili, trzeciego, Hryćka z Czehryna, z pułku Chmielowego żywcem przywiedli do Xięcia JMci". Ów Hryćko okazał się być bardzo cennym „językiem". Z jego zeznań wynikało, że szykowano pułapkę i gdyby Wiśniowiecki udał się na rozmowy do chana, pojmano by go i już z powrotem do obozu nie puszczono. Od tegoż Hryćka usłyszeli też obrońcy bardzo krzepiącą ich wiadomość o marszu wojsk litewskich w dół Dniepru i o nastrojach, jakie wieść ta wywołała wśród Kozaków. Z rozmów z Tatarami na razie nic nie wyszło, przestrzeżony w porę książę nie opuścił obozu.

Następną nocą, zachęceni wczorajszym powodzeniem ruszyli na

wycieczkę husarze z chorągwi Sieniawskiego. Ale tym razem Kozacy byli czujni, wycieczka skończyła się niepowodzeniem: zginęło blisko 30 towarzyszy, nie licząc czeladzi.

Tymczasem w obozie trwały dalsze prace ziemne. Pod kierunkiem Radwana-Radwańskiego sypano kolejny wał zamykający część obozu w pobliżu samego zamku.

Gdy ogień nieco osłabł, w chwili wytchnienia znów rozmawiali obrońcy z oblegającymi. Tym razem jednak nikt nikogo tabaką już nie częstował. Zaciekłość okazała się większa od poczucia pobratymstwa. Kozacy ironicznie pytali, czemu to szlachta pańszczyzny nie każe im odrabiać, na co odpowiadano im z polskiego obozu, że już niedługo wszystkie zaległości odrobią, bo „będą groblę sypać na Dnieprze Xsięciu Wojewodzie Ruskiemu".

30 lipca „na świtaniu retiradę nasi do trzeciego, już ostatniego wału bliżej zamku uczynili". Był to w istocie nie trzeci, ale czwarty wał, trzeci zaś sypany wewnątrz pierwotnego obwałowania. Moment ewakuacji za nowy wał był zawsze szalenie niebezpieczny. Zachodziła bowiem obawa, że Kozacy wykorzystają ten moment do szturmu i zajętych przeprowadzką tym łatwiej rozbiją. Jakoż istotnie w czasie przeprowadzki, już kiedy Polacy zaczęli niszczyć stary wał, Kozacy ruszyli do ataku. Nie nacierali jednak widocznie zbyt mocno, skoro obrońcy częścią sił osłaniając kopiących, ogniem artylerii odparli atak. Nie obeszło się jednak bez strat po stronie polskiej. Zginął m.in. husarz spod znaku Wiśniowieckiego, Mikołaj Domaradzki, którego jako arianina nie pochowano na cmentarzu zbaraskim, ale „u wałów".

„Obóz polski kurczył się, wymierał, ale nie kapitulował" — tak lapidarnie scharakteryzował te wydarzenia wybitny historyk W. Konopczyński.

Tak więc w ostatnim dniu lipca oblężeni znaleźli się w okopie, który zajmował mniej niż 1/10 część pierwotnego obozu. W tych obwarowaniach przyszło bohaterskim obrońcom trwać jeszcze trzy tygodnie. W tych wałach będą musieli jeszcze przez całe trzy tygodnie zmagać się nie tylko z Kozakami i Tatarami, ale z wrogiem równie srogim: głodem i zarazą.

Nowy wał był nieco wyższy od poprzednich, otoczony był rowem głębokim na 9—15 stóp i szerokim na 13—15 stóp. Nowe fortyfikacje budowano przez 4 dni, a zatem rozpoczęto ich budowę zapewne 26 lipca. W tym ostatnim, czwartym już szańcu, którego lewe skrzydło oparło się o fortyfikacje zamkowe, musiano nieco przegrupować obrońców. Z wierszowanej relacji Radwana dowiadujemy się, że Przyjemski ze swą piechotą bronił pozycji nad stawem, przy dolnej bramie zamkowej znajdowało się stanowisko piechoty Rozrażewskiego, dalej wałowej kurtyny

bronili „żołnierze wielkopolscy", rawelin i flankę wału obsadzili żołnierze z chorągwi Firleja, następnie w kolejności stanowiska obsadzały chorągwie Koniecpolskiego i wojsko kwarciane, chorągwie Sieniawskiego, Ostroroga, Sobieskiego, chorągwie książąt Wiśniowieckich i Zamoyskiego. Przygródka bronił Bobrownicki z Kalinowskim, przy nich dragonia i piechota łanowa. Miasta bronił Lanckoroński ze swym pułkiem, regimentem cudzoziemskiej piechoty Korffa i piechotą łanową.

Zaczynało jednak brakować obrońcom żywności i paszy dla koni. Zamknięta w mieście ludność cywilna głodowała. Powszechnie żywiono się koniną. Końskiego mięsa nie brakowało, bowiem konie ginęły od kul armatnich równie gęsto jak ludzie. Zaczęła się drożyzna. Bochenek chleba kosztował 5 zł, kwarta owsa 90 zł, kwaterka gorzałki 12 zł. Dla porównania: w tym samym czasie we Lwowie za 18 zł można było kupić kłodę zboża (ponad 300 litrów), wół kosztował od 18 do 25 zł, kwaterka gorzałki 12 groszy! Tylko niewielu mogło sobie pozwolić na kupowanie żywności po tych cenach, toteż często zaczęło dochodzić z tego powodu do różnych awantur, a nawet bójek. Żywienie się głównie koniną, brak witamin zmniejszyły odporność ludzkich organizmów. Toteż kiedy z braku wody zaczęto używać brudnej wody ze stawu (w którym od tygodni rozkładały się zwłoki), wnet zaczęła szaleć w obozie epidemia jakiejś choleropodobnej biegunki.

Brak paszy dla koni zmuszał czeladź do nader ryzykownych, często przypłacanych życiem lub jasyrem wypraw po trawę przed wały. Ludność cywilna cierpieć musiała prawdziwy głód, szczególnie dotkliwy dla chłopów z okolic Zbaraża, którzy bądź sami schronili się w mieście, bądź też zostali tam spędzeni przez obrońców przed nadejściem Kozaków i Tatarów. Wykorzystywani zrazu przy sypaniu wałów i kopaniu rowów, teraz stali się dla obrońców prawdziwym balastem. Nie posiadając własnych zapasów żywności, będąc zbyt ubogimi, by ją sobie kupić w mieście, cierpieli straszliwy głód. Prosili więc, by ich wypuścić z oblężonego miasta. Zgodzono się wypuścić 4 000 tych nieszczęśników: mężczyzn, kobiet i dzieci. Gdy tylko opuścili oni miasto, zostali otoczeni przez Tatarów, którzy część pojmali w jasyr, część zaś, mając za niezdolną do odbycia drogi na Krym, wymordowali na oczach oblężonych w mieście i bezsilnych współbraci. Mimo to pozostali chłopi prosili, aby ich wypuścić! Widać głód silniejszy był od obawy przed jasyrem czy śmiercią. Kiedy kolejna grupa otrzymała zgodę na opuszczenie miasta, kategorycznie sprzeciwił się temu Wiśniowiecki, polecając żywić cywilów z resztek wojskowych zapasów.

Coraz częściej zdarzały się też przypadki indywidualnych dezercji. Uciekinierów z polskiego obozu nie przerażał ani los, jaki spotkać ich mógł z rąk kozackich (pierwszych uciekinierów z polskiego obozu

Kozacy bestialsko mordowali), ani nawet surowe kary, na jakie narażeni byli w przypadku, gdyby byli pojmani przez swoich. Dezerterów karano okrutnie, obcinając im ręce i nogi, co w tych warunkach równało się powolnemu, pełnemu cierpień konaniu.

Ludzie mimo to podejmowali próby dezercji, nie wytrzymując psychicznie ciężkich warunków oblężenia. Wprawdzie Kozacy nie ponawiali już szturmów, jednak nie ustawali w wysiłkach zdobycia polskiego obozu orężem lub zdradą. Jako biegli w sztuce inżynierskiej, naprzeciw polskich wałów sypali swoje, zbliżając się ku polskim umocnieniom rytymi w ziemi korytarzami, próbując podkopać się pod wał i wysadzić go w powietrze. Trzeba było im w tych robotach przeszkadzać, nie dopuszczając ich w pobliże wałów. Wiele energii dowódców, zwłaszcza Jeremiego Wiśniowieckiego, pochłaniało podtrzymywanie ducha żołnierzy. Ten, w pierwszych dniach oblężenia wspaniały, zaczął wyraźnie upadać. Liczba zabitych i rannych współtowarzyszy była olbrzymia. Głód i śmiertelne znużenie powodowały apatię, czasem zaś były przyczyną czynów nieobliczalnych, szalonych.

Nadzieja na rychłe przyjście odsieczy królewskiej, która tak bardzo dodawała otuchy walczącym, nie spełniona, słabła coraz bardziej. Dlatego też dbałość o nastroje wojska, a w szczególności zaś podtrzymywanie w nim nadziei na pomoc królewską urastało do zadania najwyższej rangi. Był to też najtrudniejszy egzamin dla dowódców zbaraskiej załogi.

Wiśniowiecki umiał nie tylko zagrzewać żołnierzy do otwartego boju. Wówczas gdy nieprzyjaciel nie następował, kniaź był równie aktywny. Chodził do zamku, który pełnił rolę lazaretu, pilnował cyrulików, aby rzetelnie wypełniali swe obowiązki, rannych obdarowywał i — co najważniejsze — żywił. Rozmawiał z żołnierzami, namawiając ich do wytrwania i zapewniając o nadciągającej pomocy. Nie przypadkiem też głównie żołnierze Wiśniowieckiego rozpowszechniali różne zmyślone, ale optymistyczne i krzepiące wiadomości.

Dowódcy, którzy dla podtrzymania ducha wojska stale łudzili je, że król z wojskiem jest tuż, tuż, sami nie mieli żadnej łączności ze światem zewnętrznym. List Lanckorońskiego z 12 lipca był ostatnim listem, który wyszedł z oblężonego Zbaraża. Odtąd Chmielnicki szczelnie zablokował wszystkie drogi, uniemożliwiając oblężonym utrzymywanie jakichkolwiek kontaktów na zewnątrz. Nie wiedzieli więc oblężeni, co się dzieje w kraju, w szczególności, gdzie znajduje się król z armią i co zamierza. Król również nie miał żadnej informacji od oblężonych. Próbowano więc wysyłać gońców z listami do króla.

Z początkiem sierpnia przysłał Chmielnicki list do Wiśniowieckiego. List był nie podpisany, stąd też Wiśniowiecki w dalszej korespondencji nazwie go słusznie, „kartą, nie listem". Przysłanie tego listu było, jak

się zdaje, pretekstem, bowiem posłaniec oficjalnie wiozący ten list, nieoficjalnie przywiózł i drugi — do niemieckiej piechoty, proponując jej przejście do Kozaków na służbę. List ten czy raczej uniwersał adresowany do zaciężnych Niemców, trafił do rąk lojalnego oficera, który oddał go Korffowi, ten zaś Wiśniowieckiemu. Tymczasem w liście oficjalnie pisanym do księcia były „same bzdury". Pisał tam hetman zaporoski, że król z posiłkami nie przyjdzie, to znów wymawiał Wiśniowieckiemu niewdzięczność za to, że go przed rokiem bezpiecznie z Zadnieprza wypuścił. Wszystko to bez ładu i składu. Ale też jedna wiadomość w tym liście była istotna: „Oznajmuję W XMci, że ten list z posłańcem WMci, za Lwowem w trzech milach pojmano. Posłańcowi szyję ucięto: a ten list do WXci, w całości odsyłam". Tak więc dowiedzieli się obrońcy, że wysłany przez Jeremiego posłaniec do króla nie dotarł.

Wiśniowiecki na list ten odpowiedział. Pisał w nim m.in.: „Lubo nie list, ale karta oddana mi jest od WMci, atoli ja, nie chcąc być nieludzkim, list mój posyłam, dziwując się skąd taka niechęć, a mianowicie co masz Mci Panie Hetmanie ku mnie, żeś i posłańca mego zgubić kazał do KJMci posłanego i mnie listem przyzwoitym nie obesłałeś, nie mając do mnie żadnej słusznej przyczyny [...]. Nie było tedy chlubić się z czego, żeś WMć tego posłańca mego stracić kazał, bo to jest nie kawalerski, ale tyrański termin i wszystkim pod słońcem świata narodom obrzydliwy. Pomnieć trzeba na to, że jeśli kogo z niska fortuna wynosi, to dla tego pospolicie, aby cięższym upadł razem. Zaczem i MMci na to oglądać się potrzeba szczęście, żeby znaczenie nie opuściło. A czasby już obaczyć się; Boży wprzód, a potem Pański Majestat jednać i tę krew chrześcijańską, przeciw wspólnym nieprzyjaciołom Krzyża Świętego schować; nie na się samych z pociechą obcych wylewać ją [...]. I toć się nie godzi, coś WMć uniwersał przez przedawczyka przysłał na zbuntowanie wojska JKMci cudzoziemskiego, których wiara i cnota nie jest wątpliwa z łaski Bożej [...], List ten do cudzoziemców pisany, jako niepotrzebny odsyłam. Jeśliby też WMć miał co więźniów za Lwowem wziętych, proszę racz mi oznajmić, gotowy okup dam za nich".

W jakim celu Jeremi list ten posłał, dziś odpowiedzieć trudno. Wątpić należy, aby książę wierzył w skuteczność swego moralizowania i w celowość udzielonej Chmielnickiemu nagany. Może chciał tylko przedłużyć wymianę korespondencji, aby w tej drodze uzyskać jakąś informację o ruchu wojsk królewskich, z którą Chmielnicki „wygadał by się". A może chciał przekonać się czy hetman kozacki jest jeszcze w obozie, czy też może wyruszył już na przeciw królowi? Albo chciał sprowokować Chmielnickiego do pochwalenia się, czy pojmał kolejnego posła?

Kiedy bowiem z listu Chmielnickiego dowiedziano się, że posłaniec książęcy z listem nie dotarł i gardłem za swą śmiałość zapłacił, trzeba

było szukać kolejnego śmiałka, który podjąłby się tego zadania. Ochotnik taki znalazł się, nazywał się Mikołaj Skrzetuski. Dokładnej daty wyjścia Skrzetuskiego ze Zbaraża nie znamy. Wiemy jedynie, że 6 lub 7 sierpnia dotarł on do króla w Toporowie. Jest wysoce prawdopodobnym, że Skrzetuski opuścił Zbaraż równocześnie z wysłaniem przez księcia listu do Chmielnickiego. Gdyby tak było, cel książęcego pisania byłby jasny.

Kim był ów śmiały rycerz Mikołaj Skrzetuski? Ten, o którego czynie Samuel ze Skrzypny Twardowski tak pisał:

... Cóż kiedy tak zamknieni, że ich w swej bystrości
Gołąb ledwie doleci, nietylkoby z ludzi
Kto miał przebyć? Kogo — li jednak miłość budzi
Ku Ojczyźnie żarliwa, żeby na to zdrowie
Swe odważył, wielką mu nagrodę Wodzowie
Za to dać ofiarują. Tedy się obierze
Z pod chorągwi towarzysz, ze w prostym ubierze
Płuhatera jednego czuhaj wziąwszy ruski
I guńkę i postoły, niejaki Skrzetuski
Drogi się tej podejmie i od Wodzów listy
Owe weźmie. Toż w nocy tedy przezroczysty
W staw najpierw przyległy śmiało się ochynie
Z tymi gdy szczęśliwie (dziwna rzecz) przepłynie
Namniej niezmoczonymi, po trawach czołgając
I szczero prawdziwego Rusina kłamając
Dobierze się Załoziec, stamtąd pójdzie dalej...

Skrzetuski pochodził z Wielkopolski, od najmłodszych lat służył w wojsku na Ukrainie. Odwiedzając krewnych w okolicach Bełza, spotkał Marka Gdeszyńskiego, rotmistrza kozackiej (pancernej) chorągwi, który mając list przepowiedni, właśnie czynił zaciągi. Skrzetuski jako szlachcic został towarzyszem pancernym i w chorągwi Gdeszyńskiego odbył niefortunną kampanię 1648. Rok później chorągiew znajdowała się na Wołyniu i, jak można sądzić, rozpadła się podczas owej sławnej „retirady" wojska regimentarskiego na zachód. Skrzetulski z częścią chorągwi trafił do Zbaraża, Gdeszyński z resztą znalazł się w obozie królewskim.

Skrzetuski zgłaszając się na ochotnika do przedarcia się z oblężenia wiedział, czym ryzykuje. Znany musiał mu być los książęcego posłańca ujętego aż pod Lwowem i tam zamordowanego. Może widział z wałów, jak czerń złapawszy jakiegoś dezertera z polskiego obozu, wziąwszy go za szpiega, na oczach wszystkich rozsiekała rydlami.

Różne przekazy nie są zgodne co do szczegółów wyprawy Skrzetuskiego. Wedle jednych przekradł się przez obóz kozacki sam, w chłopskim przebraniu (tak np. Twardowski), wedle innych pomagał mu sługa (lub nawet dwaj słudzy). Ta druga wersja wydaje się wszakże

mniej prawdopodobna. Natomiast wszystkie źródła są zgodne co do trasy Skrzetuskiego. Przepłynął on staw, następnie czołgając się przez szuwary i trawy wydostał się już za stanowiskami kozackimi na gościniec do Załoziec, skąd udał się w stronę Toporowa, gdzie wkrótce natknął się na pierwsze czaty polskie i 6 lub 7 sierpnia stanął przed królem.

O czynach Skrzetuskiego pisał w swym liście nuncjusz de Torres, który nie wiadomo dlaczego nazwał go „schizmatykiem". Wprowadziło to w błąd wielu historyków. Autor bardzo rzetelnej pracy *Obrona Zbaraża*, ksiądz Ludwik Frąś, zasugerował się informacją de Torresa i pisze, że Skrzetuski był „prawosławnego wyznania". Jeszcze dalej idzie Olgierd Górka, który dowodzi, że Skrzytuski był... Kozakiem. Skrzetuski pochodził z Wielkopolski, nie mógł być zatem prawosławnego wyznania, zaś późniejsza zmiana wyznania nie wchodzi w grę, jako że przejście z katolicyzmu na prawosławie było w Polsce w XVII wieku niedopuszczalne. Służył jako towarzysz w chorągwi pancernej — gdyby nie był szlachcicem, nie mógłby być towarzyszem! Jeśli byłby chłopem, jako Kozak nie musiałby przedzierać się w „chłopskim przebraniu", itd., itd.

Nie miał szczęścia nasz prawdziwy zbaraski bohater. Powieściowemu Skrzetuskiemu los wynagrodził odnalezieniem ukochanej Halszki. Prawdziwy Skrzetulski dostał od króla 100 czerwonych złotych, od kanclerza szaty, konia i czapkę. Obiecano mu też obdarowanie najbliższym wakansem, ale wkrótce o tym zapomniano i nie otrzymał nie tylko żadnego starostwa, ale nawet żadnej jednowioskowej dzierżawy. Opisując jego czyny, kanonik Jan Wawrzyniec Rudawski przez pomyłkę nazwał go Janem — stąd imię Sienkiewiczowskiego bohatera.

Nie wiedząc, co zrobią z nim potomni, wciąż czekając na „najbliższy wakans", walczył Skrzetuski pod Beresteczkiem jako oficer wołoskiej chorągwi. Bił się później pod komendą Czarnieckiego, z którym był w Danii, na Ukrainie, na froncie moskiewskim, przez czas jakiś porucznikował husarskiej chorągwi. Służył jeszcze później pod Sobieskim. W czasie wojny tureckiej zaciągał chorągiew jako „rotmistrz Jego Królewskiej Mości". Nie jest jednak pewne, czy poprowadził ją jeszcze przeciw Turkom, jako że w tym mniej więcej czasie, ciągle służąc wojskowo, nie doczekawszy się „najbliższego wakansu" zmarł.

Skrzetuski wędrował z listem do króla, a tymczasem walka — jakkolwiek szturmów już nie ponawiano — trwała nadal. Kozacy kopiąc w ziemi „jak krety" zbliżali się do polskiego wału, sypiąc coraz bliżej swoje szańce. Obrońcy próbowali roboty te uniemożliwiać. Strzelano więc z armat nie tylko kulami, ale też granatami, które jako Kozakom nie znane, wielkie na nich robiły wrażenie. Aby uniemożli-

wić niepostrzeżone nocne przedarcie się Kozaków do polskiego obozu, oświetlano przedpola wałów płonącymi beczkami smoły, maźnicami, stosami drewna.

W pierwszych dniach sierpnia, biorąc wodę, spotkało się dwóch Żydów, których zmienne losy wojny w dwóch przeciwnych sobie umieściły obozach. Jeden z nich, przechrzta, był w służbie kozackiej, drugi przy pułkach Przyjemskiego się kręcił. „Polski Żyd" — dowiedział się od „kozackiego", że król idzie z odsieczą, że właśnie w Złoczowie oblega młodego Chmielnickiego, że hetman z wojskiem litewskim od północy wpadł na Ukrainę — pali wsie i miasta, ludność morduje. Na wieść o tym Kozacy stojący pod Zbarażem coraz bardziej oblężeniu są niechętni, coraz bardziej wieści z głębi Ukrainy ich niepokoją. „Polski Żyd" natychmiast złożył relację z tej rozmowy polskim oficerom, skąd dotarła ona do dowódców, których wiadomości te zainteresowały w najwyższym stopniu. Organizowano więc potężną „wycieczkę", która miała informacje te potwierdzić, ale nie doszła ona do skutku. Dopiero za dwa dni (5 sierpnia) o świcie okop polski opuściło cichaczem ok. 500 żołnierzy, którzy posuwając się od kwater Wiśniowieckiego, kryjąc za nierównościami terenu, zaskoczyli śpiącą załogę wysuniętej kozackiej reduty (którą bezskutecznie od kilku dni ostrzeliwała polska artyleria). Część Kozaków wybito, kilku wzięto żywcem, zdobyto szczególnie cenne dla wygłodniałych obrońców zapasy żywności, a nadto dwa buńczuki i 16 chorągwi (z których 12 trafiło jako trofea do Wiśniowieckiego, 2 do Firleja, 2 do Koniecpolskiego). Od jeńców dowiedziano się, że na następny dzień planowany jest szturm na obóz i na miasto równocześnie. Toteż gdy nazajutrz rzeczywiście Kozacy gwałtownie natarli na kwatery Ostroroga, uprzedzeni obrońcy dali im zdecydowany odpór. Był to już — jak się okazało — ostatni szturm. Chmielnicki musiał ruszać przeciw królowi i teraz przed swym odejściem spod Zbaraża ostatni raz spróbował szczęścia. Po odpartym szturmie próbowano wycieczki, tym razem z kwater Firleja. Wycieczka skończyła się jednak niepowodzeniem, zginęło kilkunastu towarzyszy i jeszcze więcej czeladzi. Jedynym, krwawo jak widać okupionym efektem owej niefortunnej wycieczki było zdobycie przez jednego z żołnierzy chorągwi kozackiej.

Następnego dnia obrońcy obserwowali jakiś niezwykły ruch w obozie kozackim. To Chmielnicki wyprawiając się przeciw królowi, przegrupowywał swe wojska. Rozdzielił tabor, którego część tylko została na starym miejscu, część ustawiono w pobliżu Starego Zbaraża. Przyczyna tych ruchów wojsk kozackich została przez obrońców prawidłowo odgadnięta. Zrozumieli, że zbliża się król z armią. Zanim to nastąpiło, w ślad za Skrzetuskim — o którym nie wiedziano czy dotarł do celu — wysłano z obozu kolejnego ochotnika, który miał przedzierać się do

króla. Ochotnikiem tym był oficer Jeremiego, rotmistrz tatarskiej chorągwi Stapkowski. Wyruszył on z obozu 11 sierpnia, przebył drogę podobną drodze Skrzetuskiego i również pomyślnie dotarł do króla.

Na widok ruchu wojsk kozackich, znamionujących zbliżanie się sił królewskich, w oblężonym Zbarażu orkiestra zagrała *O gloriosa Domina*. Wojsko, a wraz z wojskiem cała zamknięta w mieście ludność cywilna, na kolanach dziękowała Najświętszej Marii Pannie za ratunek, którego pierwsze zwiastuny dotarły do oblężonych w wigilię jej święta. Modlił się więc cały Zbaraż do tej, która już niedługo miała zostać Królową Korony Polskiej. Modlił się i wiwatował. Sądząc, że w tym momencie czujność obrońców osłabła, spróbowali Kozacy wycieczką zapuścić się do wnętrza polskiego obozu. Radość nie uśpiła jednak czujności oblężonych, przeciwnie, dodała im jeszcze animuszu w walce. Dlatego też kozacką wycieczkę z łatwością odparto i rozproszono.

Następnego dnia, 15 sierpnia, wypadało święto Matki Bożej Zielnej. Oblegający sądzili, że większość obrońców uda się do miasta na mszę i dlatego przygotowali się do ataku. Ich przygotowania zostały jednak z wałów polskich w porę dostrzeżone, nikt na mszę nie poszedł, wszyscy czuwali u wałów, toteż Kozacy zrezygnowali z próby szturmu. Książę wysłuchał o świcie mszy w zamkowej kaplicy, a gdy szedł z zamku ku wałom, „strzelono z szańcu ku niemu i mało co za nim psa ubito. Księcia Bóg zdrowego zachował: za co niech obrońcy Panu będzie chwała, który popiera obrońcę Rzplitej" — zanotowano we współczesnym diariuszu.

Kiedy nic ze szturmu nie wyszło, przystąpili Kozacy na nowo do podkopów pod polski wał. Udało im się wydrążyć podziemny tunel docierający do wnętrza polskiego obozu, do kwater Koniecpolskiego. Zauważono to jednak w porę i w zażartej walce wręcz wyparto Kozaków, a tunel zasypano. Kozacy — jak wiadomo — byli mistrzami w różnych pracach ziemnych. Pod Zbarażem wykazali w tym względzie kunszt tak wielki, że wprawili w podziw nie tylko cudzoziemców, ale znających ich przecież dobrze Polaków. Na uwagę zasługiwały, szczególnie dla obrońców niebezpieczne, podziemne roboty kozackie. Mogły się one skończyć albo wysadzeniem wału w powietrze i ułatwieniem szturmu przez powstałą wyrwę, albo wpuszczeniem desantu na tyły. Dlatego też przed tymi robotami podziemnymi próbowali się obrońcy na wszelkie sposoby zabezpieczać. Prześcigano się więc w pomysłowości. Ustawiono misy z wodą „która ruszać się będzie, jeśli pod spodem kopią", kładziono też na ziemi bębny. Bęben bowiem „wyda pod spodem kopiących, pocznie bowiem sam przez się bębnić".

W czasie tych drobnych, ale zajadłych i ciągłych utarczek, tak nużących dla oblężonej załogi, udało się Chmielnickiemu niepostrze-

żenie zwinąć spod Zbaraża najbardziej doborowe pułki. Widziano co prawda jakieś ruchy wojska, jakieś przegrupowywania, sądzono trafnie, że to w związku z odsieczą, nie wiedziano jednak, że główne siły kozackie odeszły spod Zbaraża, a pozostała głównie czerń.

Wieczorem, 15 sierpnia, aby przekonać się, co naprawdę w obozie kozackim się stało, wysłali oblężeni poselstwo dla prowadzenia układów. Posłowie dowiedzieli się wprawdzie, że Chmielnickiego nie ma w obozie, ale też pokazano im list od niego, z którego wynikało, że wojsko polskie pod Zborowem rozgromił, 500 najzacniejszych jeńców prowadzi, a 5000 zabił. Posłowie nie dali wiary tym przechwałkom i w obozie polskim nadal próbowano utrzymać nadzieję w zwycięstwo królewskie, tu i ówdzie nadwątloną. Dalej orkiestra grała hymny dziękczynne, wojsko wiwatowało na cześć króla, jednak już z mniejszym niż poprzedniego dnia przekonaniem. Kozacy chcąc tę niepewność obrońców rozwinąć i pogłębić, urządzili nawet całą maskaradę. Kozaka jakiegoś z twarzy i tuszy podobnego do Chmielnickiego wsadzili na konia i niosąc nad nim znak hetmański, odegrali komedię „triumfalnego" wjazdu do obozu. Aby Polacy mogli tę komedię obejrzeć i aby mogła ona osiągnąć swój cel, akcję jej musiano rozegrać w pobliżu wałów. Obrońcy nabrać się na to nie dali, a nie mając nastroju do oglądania przedstawienia, salwą dział zamkowych rozkurzyli orszak komediantów. Pseudo-Chmielnicki z konia zleciał i na piechotę dał drapaka. Nad ranem następnego dnia czerń gotowała się znów do szturmu, ale ulewny deszcz przeszkodził jej w tym.

Dla podtrzymania ducha i w polskim obozie uciekano się do różnych mistyfikacji. Jeremi był i tu mistrzem. Najpierw puścił między żołnierzy list opatrzony pieczęcią królewską, z którego wynikało niezbicie, że już w najbliższych dniach król przybywa pod Zbaraż, by uwolnić ich z oblężenia. Jak twierdzili wtajemniczeni, list pisał sekretarz książęcy, a pieczęć królewska była wprawdzie autentyczna, ale oddarta z jakiegoś starego dokumentu. Jeszcze „list królewski" był w obiegu, kiedy rotmistrz Mikołajewski, zastępujący Stapkowskiego znalazł pod swoim namiotem strzałę z łuku z przyczepioną do niej karteczką o następującej treści: „Będąc szlachcicem, lubo po niewoli między hultajstwem, oznajmuję WMMciom, że król JMć jest we Zborowie z wielką bardzo potęgą, kilkakroć ordę i Kozaków gromił. Chmiel jest w obozie. Wczorajszy triumf był na postrach WMMciom, bądźcie ostrożni przez kilka dni, będzie da Bóg dobrze, już to trzeci raz ostrzegam WMMciów". Zastanawiano się w obozie czy treść kartki jest prawdziwa, czy zmyślona, czy rzeczywiście ktoś ją z zewnątrz do obozu wstrzelił, czy też tylko została podrzucona. Ale kartkę dorwał niejaki Jarosz Szwarszewski, towarzysz husarski z chorągwi Jeremiego „człek rozumny i jowialista wielki". Ten

w autentyczność kartki nie wątpiąc, albo też takie czyniąc wrażenie, biegał z nią od namiotu do namiotu, wszystkim pokazywał i o bliskim zwycięstwie zapewniał. A miał Szwarszewski wielki wśród wojska autorytet, będąc w boju na szable mężnym, a na języki niezwyciężony, toteż wierzono mu powszechnie. Następnego dnia (18 sierpnia) ten wesoły rycerz, pod wieloma względami podobny do powieściowego Zagłoby, zginął. Podobno przeczuwał śmierć i „nie wiedzieć dlaczego kazał z wozu skarbowego deszczkę przynieść i zaraz potem zabity na niej został położony". Kolejnym manewrem „wojny psychologicznej" mającym obniżyć morale nieprzyjaciela, a przekonać własne wojska o pewności zwycięstwa, było wysłanie przez Jeremiego posłańca do obozu kozackiego z uniwersałem adresowanym do książęcych poddanych, znajdujących się w obozie kozackim, obiecującym im amnestię pod warunkiem natychmiastowego powrotu do domów i podjęcia pańszczyźnianych powinności.

W czasie tych ostatnich już pod Zbarażem utarczek, tak zbrojnych jak „psychologicznych", wycieczki z kwater Ostroroga i Wiśniowieckiego wzięły 9 jeńców, wśród nich jednego esawuła (podoficer kozacki), który zeznał, że trwa bitwa pod Zborowem, że Kozacy muszą ponosić tam straty, bowiem bardzo wielu rannych odsyłanych jest do obozu pod Zbaraż, a Chmielnicki wzywa stąd posiłki. Były to pierwsze informacje o zewnętrznej sytuacji, której dotychczas obrońcy musieli się jedynie domyślać. W takich okolicznościach Jeremi przedstawił regimentarzom plan zorganizowania potężnej wycieczki, której celem byłoby przerwanie oblężenia, a nawet przyjście z pomocą wojskom królewskim poprzez zaatakowanie Chmielnickiego od tyłu. Plan ten miał pewne szanse powodzenia, jako że załoga zbaraska blokowana była tylko przez część wojsk kozacko-tatarskich, których główne siły zaangażowane były teraz pod Zborowem. Jednak wartość bojowa wojsk zbaraskich była juz niewielka: jeździe brakowało koni, te zaś, które pozostały, na skutek niewłaściwego żywienia również nie były pełnosprawne. Zmalała też znacznie liczba zdolnych do walki żołnierzy. Tygodnie oblężenia i ustawicznych walk przerzedziły znacznie szeregi obrońców. Bronili oni wprawdzie z prawdziwą determinacją wałów, istniała jednak realna obawa, że po ich opuszczeniu rozluźnione nerwy odmówią im posłuszeństwa. Wszystko to czyniło plan Wiśniowieckiego nader ryzykownym. Z wojskowego punktu widzenia rzecz całą zaplanowano w ten sposób, że bitwę rozpocznie Lanckoroński, następnie w bój ruszą kolejno Wiśniowiecki, Ostroróg, Koniecpolski, Firlej. Kontratak miał więc nastąpić stopniowo na całej linii wałów. Uzgodniono, że sygnałem do rozpoczęcia ataku będzie trzykrotny wystrzał z działa.

Plan pokrzyżował książęcy kapitan dragonów, który nie czekając

znaku „wypadł z dragonią i sam zabit, a inni ustępować musieli". Kontratak nie powiódł się, na dodatek Ostroróg został ranny w nogę. Niepowodzenie kontrataku miało, zdaje się jeszcze inną — obok „falstartu" książęcego kapitana — przyczynę. Otóż kiedy zaskoczeni niespodziewanym, choć nieskoordynowanym — z winy wspomnianego kapitana — atakiem Kozacy zaczęli uciekać od pierwszych i drugich wałów, żołnierze zamiast ich ścigać, rozbiegli się w poszukiwaniu żywności, co dało napadniętym czas na ochłonięcie z zaskoczenia i możliwość silnego oporu, który w konsekwencji zmusił Polaków do cofnięcia się na powrót w obręb wałów.

W niewielkim, przylepionym do miasta i zamku okopie doczekali obrońcy do 21 sierpnia, kiedy przybył do nich od strony kozackiego taboru posłaniec Karaczbeja perekopskiego, przynosząc umęczonym obrońcom wieść o zawartym pod Zborowem pokoju. Słowom posła nie wierzono, bowiem równocześnie z jego informacją o pokoju usłyszeli obrońcy huk kozackich dział, a na polu pokazały się nowe oddziały powracające spod Zborowa. Okazało się, że pod Zbaraż powrócił Chmielnicki i mimo zawartego już z królem pokoju polecił zdobywać obóz polski dalej. Wódz kozacki chciał zdążyć, aby przed przybyciem komisarzy pokojowych zdobyć polski obóz. Zależało mu na tym najpewniej już z czysto osobistych motywów. W Zbarażu zamknięci byli jego najwięksi wrogowie osobiści: Jeremi Wiśniowiecki, Aleksander Koniecpolski i... Daniel Czapliński. Ostatnia próba jednak nie powiodła się i tylko strzelanina trwała do samego wieczora. Już po zachodzie słońca dotarł do polskiego obozu wysłannik kanclerski Romaszkiewicz, przywożąc oblężonym list od komisji wysłanej przez króla dla zlikwidowania oblężenia, z zawiadomieniem, że pokój został zawarty, a nazajutrz przyjdą tu królewscy komisarze pokojowi. Romaszkiewiczowi nie bardzo dowierzano, obawiano się jakiegoś podstępu ze strony Chmielnickiego. Nieufność tę wywołało to, że Romaszkiewicza nikt nie znał, sądzono powszechnie, że taką misję król powierzyłby jakiejś znaczniejszej osobie, nadto spodziewano się listu, jeśli nie od króla, to co najmniej od kanclerza. Nieufność pogłębiał fakt, że poseł nic o warunkach pokoju zborowskiego mówić nie chciał. Tymczasem przyniesiono obrońcom list od Chmielnickiego. Hetman kozacki potwierdzał to, co pisała komisja, a mówił Romaszkiewicz, nadto konkretyzował warunki pokoju, żądając od oblężonych okupu, który rzekomo wcześniej już obiecywali. „A żeście kilkakroć sto tysięcy chanowi przyrzekali, abyście owe zgotowali, za których odebraniem chan JMć ustąpi" — pisał oblężonym Chmielnicki. Zbarascy dowódcy odpisali z godnością, że chanowi nic nie obiecywali i że życia swego dotąd orężem skutecznie bronionego, za pieniądze wy-

kupywać nie myślą. Chmielnicki w odpowiedzi groził, że „za łby wszystkich wywlecze".

Następnego dnia w obozie polskim zjawił się niejaki Tobiasz Minor, wysłannik królewski, przywożąc list od kanclerza. Poseł zachował się dość dziwnie, list oddał, z dowódcami wcale nie widział się i natychmiast odjechał do obozu tatarskiego. Oblężonym, wyraźnie lekceważonym przez króla i kanclerza, wiodło się już znacznie lepiej: trwało faktycznie zawieszenie broni, od Kozaków można było kupić nieco żywności, choć zapuszczanie się w głąb ich obozu było wciąż jeszcze niebezpieczne i niejeden życiem za to zapłacił.

Po Minorze przyjechał kolejny posłaniec królewskiej komisji, pan Olszański, z zapytaniem czy suma na okup została już przez obrońców zebrana. Wywołało to zrozumiałe oburzenie. Regimentarze odpowiedzieli mu, że nic nie zebrali i zbierać wcale nie mają ochoty, bowiem nikomu nic nie obiecywali i okupu dawać ani myślą. Olszański zaczął tłumaczyć im, że pieniądze te z publicznego skarbu zostaną im w przyszłości zwrócone. Na koniec użył argumentu, że za hardość zbarażczyków życiem może zapłacić dany chanowi w zastaw starosta sokalski Zygmunt Denhoff. Oburzył się na to stary Firlej i odburknął krótko: „kto go zastawił, niech go wykupuje".

W czasie, kiedy trwały targi pomiędzy oblężonymi a komisarzami królewskimi o zapłatę okupu Tatarom, Kozacy — jako bezpośrednio nie zainteresowani — 23 sierpnia opuścili swoje umocnienia, likwidując tym samym trwające od 11 lipca oblężenie i stanęli wyczekująco obozem z dala od Zbaraża. Opuszczone fortyfikacje kozackie obrońcy Zbaraża na wszelki wypadek zniszczyli. Doszło przy tym do przykrego incydentu. Otóż Kozacy pozostawili w okopach wielkie, XVI-wieczne działo, które uznali za przestarzałe i zbyt ciężkie. Działo to stało naprzeciw kwater Ostroroga, toteż podczaszy zarekwirował je dla siebie. Do trofeum tego rościł sobie też prawo Firlej uważając, że należy mu się ono jako naczelnemu dowódcy. Obydwaj wysłali więc po działo swoich żołnierzy. Między żołnierzami doszło do regularnej bitwy, dwaj wodzowie boczyli się na siebie. Szkoda, że tym przykrym w gruncie rzeczy akcentem kończyła się bohaterska obrona Zbaraża. W momencie, kiedy wróg wycofał się, kiedy minął czas poświęcenia i bohaterstwa, dały o sobie znać najpaskudniejsze bodaj cechy polskie: zawiść i próżność, a w ślad za nimi niezgoda.

Tymczasem pan Minor prowadził z Tatarami pertraktacje, przedstawiając im stanowisko oblężonych. Skończyło się kompromisem: załoga zbaraska wypłaciła chanowi zamiast 100 000 tylko 40 000 talarów, za resztę dając zakładnika, oficera Potockiego, „szlachcica majętnego i zacnego".

Zakończyła się trwająca 56 dni zbaraska epopeja.

25 sierpnia tabor kozacki spod Zbaraża rozpoczął marsz na Ukrainę. Zbarażczycy opuścili wreszcie wały swego warownego obozu. Zbaraż opuszczała zaledwie część tych, którzy się tu przed półtora miesiącem zamknęli. Wielu pozostało na zawsze. W samym boju zginęło ok. 1 000 żołnierzy i co najmniej dwa razy tyle czeladzi. Wielu — co najmniej drugie tyle — zmarło z głodu, ran, zarazy. Zgodnie z rozkazem królewskim mieli się udać pod Gliniany dla spotkania z główną armią. Już po zmroku, 25 sierpnia, żołnierze uformowali tabor i ruszyli w zwartych szykach w kierunku Tarnopola. Większość wojska szła pieszo. Nawet chorągwie jazdy, utraciwszy w oblężeniu i szturmach konie, zostały z konieczności spieszone. Ten pochód znużonych, wynędzniałych i obdartych, ale niepokonanych obrońców kresów, idąc nocami niczym korowód duchów, bo w dzień upały utrudniały marsz, dotarł 28 sierpnia do rogatek hetmańskiego miasta Tarnopola. Tu, na brzegach Zagrobelskiego Stawu zatrzymano się na dzień dla wypoczynku. Tu też podzielono korpus na trzy kolumny, dla ułatwienia dalszego marszu i łatwiejszego zdobycia żywności. Kolumnę środkową przez Jezierną i Zborów prowadził Firlej. Północną prowadził Lanckoroński, zaś południową, z najliczniejszą jazdą, dosiadającą jeszcze koni — Wiśniowiecki. Kolumna ta osłaniała całe lewe skrzydło pochodu, narażone na ewentualne zagony tatarskie.

O żywność w kraju zniszczonym przez wojnę było bardzo trudno, żołnierze z głodu żywili się niedojrzałymi owocami, z czego wielu chorowało, a nawet zdarzały się przypadki śmierci. Wycieńczone głodem i niewygodami organizmy były o wiele mniej odporne niż zwykle. Gdy wojsko dotarło pod Gliniany, jego dowódcy zostali wezwani przed oblicze królewskie do Lwowa. Król przyjął ich wdzięcznie. Wśród zbaraskich wodzów szczególną uwagę zwracał Jeremi Wiśniowiecki, uważany powszechnie — i słusznie — za faktycznego, choć nieformalnego dowódcę obrony. Wokół jego osoby rosła zasłużona legenda wspaniałego, rozumnego, zachowującego zawsze zimną krew wodza, troszczącego się o żołnierza i z tej racji kochanego przez całe wojsko. Sława zbaraskiego bohatera rosła, zyskując mu powszechny autorytet wśród szlachty. Powszechnie uważano Jeremiego za bohatera narodowego. Nie mając innego wyjścia, musiał Jan Kazimierz, a w ślad za nim całe stronnictwo dworskie, czynić Jeremiemu honory. Król pojednał go z kanclerzem, co było gestem symbolicznym, w którego szczerość nikt jednak nie wierzył.

Rozdział najbliższych wakansów ujawnił wnet prawdziwe uczucia króla względem wojewody ruskiego. Rozdzielenie wakujących (nawiasem mówiąc, po poległych w ostatniej kampanii starostach) starostw mogło być nagrodą za zasługi wojenne, a zarazem miało zabezpieczyć

przed ruiną panów ruskich, którzy potracili fortuny na Ukrainie. Jeremi Wiśniowiecki dostał, wbrew powszechnym oczekiwaniom, przynoszące najmniejszy dochód (4 000 zł) starostwo przasnyskie. Dla porównania warto dodać, że dające blisko czterokrotnie większy dochód starostwo urzędowskie (po poległym w Zbarażu Jerzym Rzeczyckim) dostał niejaki Piotr Gręboszewski — dworzanin królewski, którego grę na skrzypcach król cenił bardzo wysoko. Widać nawet, że czterokrotnie wyżej od zasług zbaraskich Jeremiego. Wojsko było jednak, jak się zdaje, mniej muzykalne od Jana Kazimierza i taki rozdział wakansów bardzo źle przyjęło, co odnotował w swym pamiętniku Albrycht Radziwiłł, który sprawę tę kończy melancholijnym stwierdzeniem: „Jednak tak się podobało Bogu i królowi". Zacny kanclerz litewski nie wiadomo dlaczego zrobił z Pana Boga wspólnika Jana Kazimierza w tym nie bardzo chwalebnym postępku.

Kwitując taki finał bohaterskiej obrony Zbaraża, chciałoby się za Maskiewiczem powtórzyć, nieco parafrazując jego wypowiedź: „co książę złotem zapisał, tym razem nawet król gówny przypieczętował".

XV. PO ZBARAŻU I ZBOROWIE

W tym czasie, kiedy załoga Zbaraża broniła się już od blisko tygodnia, 16 lipca armia królewska opuszczała Lublin. Dopiero teraz zdecydowano się na trzecie wici, bowiem Ossoliński dotąd odradzał ten krok, dość dziwnie argumentując, że „nie należy narażać majestatu na presję tłumów szlachty". Faktem jest, że w połowie XVII wieku wojny prowadzono głównie siłami zawodowych armii, pospolite ruszenie szlacheckie miało już swój okres świetności dawno za sobą i teraz większej wartości bojowej nie przedstawiało. Co prawda, zakochana w sobie szlachta nie zawsze chciała to przyjąć do wiadomości, bowiem „wiadomo jest wszystkim, że Rzplita, pospolitym ruszeniem [zawsze] wojowała, przez pospolite ruszenie sławy i wolności szlacheckich nabyła, pospolitym ruszeniem trzeba, aby tychże swobód broniła" — jak wywodził podkomorzy litewski Sapieha.

Gdyby przeciw Kozakom mógł Jan Kazimierz wystawić odpowiednio liczną armię zawodową, powoływanie pod broń pospolitego ruszenia mijałoby się z celem. Rzecz w tym, że armii takiej nie miał. W efekcie z Lublina ruszył król przeciw Kozakom na czele 12 000 żołnierzy. Zamiast śpieszyć się. Jan Kazimierz zwlekał. Zatrzymał się pod Krasnym Stawem na dwa dni, stąd właśnie wysłał uniwersały do szlachty, aby stawiła się na wojnę. Siły królewskie wzmocniło tu 600 piechurów przyprowadzonych przez wojewodę pomorskiego Weyhera. Stąd ruszył król do Zamościa, w którym też stracił sporo czasu, tyle że Jan Zamoyski zasilił go kilkuset żołnierzami. Z Zamościa wojsko królewskie doszło do Sokala, gdzie znów obozowano kilka dni, a do armii dołączyło 100 dragonów Albrychta Radziwiłła. Dyskutowano czy czekać tu na dalsze posiłki, czy iść dalej ku nieprzyjacielowi. Po raz drugi zastanawiano się nad tym w Brodach. Ale Jan Kazimierz nawiedzony nagłym animuszem i wielkim optymizmem postanowił ruszyć dalej. W Toporowie z wojskiem królewskim połączyły się dalsze oddziały: kasztelan Witowski przyprowadził 300 żołnierzy, książę Korecki 800, Krzysztof Baldwin

Ossoliński 100 husarzy. Tak więc siły królewskie wynosiły łącznie ok. 15 000 żołnierzy. Jan Kazimierz, który za dwa lata miał zasłynąć pod Beresteczkiem jako doskonały dowódca, tu nie popisał się zupełnie. Nie zgromadził odpowiednich sił, zaniedbał zwołania na czas pospolitego ruszenia, bowiem idąc na wojnę, wciąż wierzył w pokój. Cały zaś pochód odbywał się bez jakiegoś planu czy choćby ogólnej koncepcji.

Pierwsze wiadomości o sytuacji oblężonych i o siłach nieprzyjacielskich dostał król 6 lub 7 sierpnia w Toporowie od wysłanego ze Zbaraża Mikołaja Skrzetuskiego. W liście przyniesionym przez niego — a podpisanym przez wszystkich dowódców zbaraskich — dokładnie przedstawiono sytuację oblężonego wojska, nic natomiast nie było o siłach nieprzyjaciela. Wedle ustnej relacji Skrzetuskiego, pod Zbarażem było kilka tysięcy ordy. Wydaje się, że Skrzetuski celowo wprowadził króla w błąd, podając jaskrawo zmniejszoną liczbę Tatarów. Podobnie brak w liście informacji o siłach nieprzyjacielskich nie był przeoczeniem. Zbyt doświadczonymi wodzami byli Firlej czy Wiśniowiecki, aby taką rzecz przeoczyć. Obawiano się zapewne w Zbarażu, że król, dowiedziawszy się o wielkości sił nieprzyjacielskich, będzie bał się uderzyć, a każdy dzień zwłoki łatwo mógł się zakończyć dla obrońców tragicznie. Nie jest też wykluczone, że Skrzetuski złożył relację zgodną z rzeczywistością, jednak wojsku, z obawy przed wywołaniem paniki — celowo przedstawiono zmniejszoną liczbę Tatarów, których od czasu Piławiec obawiano się najbardziej. Nie wiedząc wiele o siłach nieprzyjaciela, a do czasu przybycia Skrzetuskiego nie wiedząc o nich nic zupełnie, tym bardziej nie wiedziano o jego ruchach i zamierzeniach.

Wysłanie podjazdu dla zdobycia „języka" zakończyło się niepowodzeniem. Podjazd natknął się na Tatarów, ponosząc spore straty (do niewoli dostał się rotmistrz Żółkiewski, zginął chorąży Pełka), „języka" nie dostano. Siły królewskie wzrosły za to o chorągwie wołyńskie, kijowskie i wielu wolentarzy, łącznie około tysiąca ludzi, nadciągały też ze Lwowa działa. Tuż pod Zborowem dołączył Lubomirski z 600 piechurami.

Wierzono, że Chmielnicki, usłyszawszy o zbliżaniu się króla, opuścił już oblegany Zbaraż i podążył na Ukrainę. Przyśpieszono więc marsz. Rankiem 15 sierpnia po mszy świętej rozpoczął Jan Kazimierz przeprawiać wojsko przez Strypę pod Zborowem. W gęstej mgle nie zorientowano się, że wojsko — posuwające się bez żadnego ubezpieczenia strażą przednią — jest zupełnie otoczone przez armię kozacko-tatarską.

Już w pierwszym starciu strona polska poniosła poważne straty. Zginęło wielu spośród starszyzny wojskowej, liczono też do 2 000 poległych żołnierzy. Zapadająca noc uchroniła armię królewską od zupełnego zniszczenia. W nocy zaczęto budować polowe umocnienia,

w warunkach zupełnego już okrążenia. Zanosiło się nie tyle na drugi Zbaraż, co na drugie Piławce. Jeśli wojsko nie rozpierzchło się, to prawdopodobnie tylko dlatego, że pierzchać nie było gdzie. Przyznaje to Albrycht Radziwiłł pisząc: „z pewnością wielu ze strachem by zbiegło, gdyby nie byli dokoła otoczeni przez wroga". Zaczęła już wśród wojska kursować plotka, że król uciekł. Aby zapobiec panice, Jan Kazimierz nocą, oświetlony 4 świecami obchodził obóz, zapewniając strwożonych żołnierzy: „Jam król, nie bójcie się, raczej własnym ciałem zagrodzę nieprzyjacielowi dalszą drogę, niż pomyślę o ucieczce!"

Tej samej nocy powzięto myśl rozpoczęcia rokowań z chanem. Nazajutrz, kiedy nieprzyjaciel szturmował do polskiego obozu, Ossoliński wyprawił do chana przez wziętego do niewoli Tatara list królewski. W liście tym Jan Kazimierz przypominał chanowi, że będąc w niewoli polskiej u Władysława IV, był dobrze „po królewsku" traktowany i wypuszczony na koniec wolno. Dlatego — pisał dalej król — „dziwuję się temu bardzo teraz, że na to nie pomniąc, kiedy ja teraz powstaję przeciwko zdrajcy swemu Chmielnickiemu, tu ciebie z nim zastawam...". List kończyła propozycja: „Jednak jeżeli chcesz być wdzięczny przyjaźni mojej, oto ci ja się z moją oświadczam przyjaźnią i bardzo winszować będę, kiedy mi się staniesz przyjacielem, a Chmielnickiego porzucisz". Pod wieczór przyszła odpowiedź zaczynająca się obiecująco od słów: „Z łaski Bożej szczęśliwy i miłosierny Islam Giraj, Chan, miłemi bratu naszemu Janowi Kazimierzowi pokoju i zdrowia dobrego życzy...". Z dalszej treści listu wynikało, że następnego dnia (17 sierpnia) chan oczekuje przybycia polskiego poselstwa, z którym gotów jest paktować.

Zgodnie z chańskim życzeniem przybyli do obozu tatarskiego kanclerz Ossoliński, podkanclerzy litewski Kazimierz Leon Sapieha, wojewoda Adam Kisiel. Z chanem udało się zawrzeć pokój dość łatwo — sprawił to niewątpliwy talent dyplomatyczny Ossolińskiego, ale może jeszcze bardziej spryt i zdolność przewidywania, jaką wykazał się chan. Wolał on bowiem słabą, bo uwikłaną w konflikt z Kozakami Polskę niż silne, niebezpieczne głównie dla Krymu, państwo kozackie. Nie był więc zainteresowany ostatecznym gubieniem armii polskiej i co ważniejsze: króla polskiego. Dlatego wolał postawić w tej beznadziejnej — jakby mogło się wydawać — dla Polski sytuacji na pokój.

Zawarty w tych warunkach pokój był dla Polski nie tylko nader niekorzystny — czemu trudno się dziwić — ale wręcz upokarzający. Za jego cenę ratowano jednak króla i jego armię, a pośrednio także załogę oblężonego Zbaraża i co tu dużo mówić: Rzeczpospolitą. Szczególnie upokarzające było to, że gwarantem pokoju stawał się chan, tym bardziej że stawał się nim pomiędzy Rzecząpospolitą a w gruncie

rzeczy jej poddanymi, jakimi byli Kozacy. Sankcjonowano więc jego ingerencję w najbardziej wewnętrzne sprawy Polski, dając mu jeszcze 200 000 talarów okupu za króla, drugie tyle za załogę oblężonego Zbaraża, obiecano wypłacać Tatarom regularnie „upominki", które tu nazwano „żołdem", aby nie użyć niemiłej polskiemu uchu i drażniącej polską ambicję nazwy „haracz". Wyjątkowo paskudnym postanowieniem była zgoda na „wojowanie ziem" przez Tatarów w czasie ich powrotu w granice chanatu. Znaczyło to, że Tatarzy wracając będą mogli bezkarnie plądrować i łupić ziemie ruskie. Wolno też było Tatarom wypasać bydło i konie na Dzikich Polach, czyli w granicach Rzeczypospolitej. Warto wspomnieć, że o prawo wypasu w stepach walczyli ze sobą od lat Kozacy z Tatarami.

Warunki pokoju z Kozakami są dość powszechnie znane pod nazwą „ugody zborowskiej". Ugoda ta była nie tylko niekorzystna dla Polski, ale niewykonalna, i to dla obu stron. Jan Kazimierz zobowiązywał się uszanować tradycyjne wolności kozackie. Określano liczebność rejestru kozackiego na 40 000 ludzi, zaciąganych „z miast, miasteczek, wsi, słobód" w dobrach królewskich, nie wolno było natomiast werbować Kozaków spośród „poddanych szlacheckich, wolno jednak będzie z dóbr szlacheckich przenieść się do królewskich nim zakończy się rejestr komputowy, bez żadnej od panów przeszkody, nie buntując jednak poddanych szlacheckich". Na tych terenach, z których czynione są zaciągi kozackie, nie wolno wojsk koronnych lokować na hyberny (leża zimowe). Wszystkie godności i urzędy w województwach kijowskim, bracławskim i czernihowskim miały być nadawane tylko obywatelom tych województw, stanu szlacheckiego, wiary prawosławnej. Tak jak Kozacy otrzymali potwierdzenie dawnych przywilejów, tak też szlachta miała powracać do swoich majątków. Chmielnicki uzyskiwał potwierdzenie swojego hetmaństwa, dostawał nadto starostwo czehryńskie. Metropolita kijowski miał być dopuszczony do senatu, Żydzi mieli opuścić Ukrainę, jezuitom nie wolno tam było prowadzić działalności. Zobowiązano się nadto sprawę ewentualnego zniesienia Unii postawić na sejmie.

Postanowienia ugody tak dalece nie zadowalały żadnej ze stron, że obydwie bały się publikowania jej u siebie. W Polsce spotykały się one z powszechnym potępieniem, co nie było bez znaczenia, bowiem pod znakiem zapytania stawiały ratyfikacje układu przez sejm, który miał się zebrać w drugiej połowie listopada. Do tego czasu Ossoliński zabronił publikowania warunków traktatu, rozwijając na niespotykaną dotąd skalę działania propagandowe. Polecił sporządzić oficjalną relację z wojny. Sławiono w niej obronę Zbaraża, ale bitwę zborowską przedstawiono jako znakomite zwycięstwo króla, który w ten sposób ratował zbaraską

załogę. Owo „znakomite zwycięstwo" przyniosło w konsekwencji same dobrodziejstwa dla Polski, ba, dla całej Europy, dla całego świata chrześcijańskiego. Polska odzyskała utracone prowincje, chana tatarskiego, dotychczasowego wroga wzięto na żołd polski (*sic!*), zabezpieczając całą Europę przed najazdami pogan i w ogóle „zalewem dziczy".

Relacja ta, wydrukowana w wielu egzemplarzach, została rozkolportowana po wszystkich dworach zagranicznych, opublikowana w „Gazette de France", ale przede wszystkim rozpowszechniona w Polsce. O ile mogła ona wprowadzić w błąd nie znającą realiów opinię europejską, to w kraju mogła tylko drażnić. Zadbał więc kanclerz, aby uniwersałem co prędzej zawrócić do domów szlachtę ciągnącą na pospolite ruszenie, bo wolał nie dopuszczać do takiego zgromadzenia, które mogło przekształcić się w konfederację. Za groźnych miał też utrudzonych obrońców Zbaraża i co prędzej rozdzielił ich na leże zimowe — choć jeszcze nie zaczęła się jesień. Kokietowano też zbaraskich dowódców, wtedy to król jednał Wiśniowieckiego z wyjątkowo skorym wtenczas do zgody Ossolińskim.

Podobnie jak w Polsce Ossoliński, na Ukrainie bał się ogłoszenia prawdziwych warunków traktatu Chmielnicki. Określenie rejestru kozackiego na 40 000 osób, rekrutowanych z królewszczyzn leżących w województwach ukrainnych, zmuszało większość wojska kozackiego — liczącego teraz kilkakrotnie więcej — do powrotu pod władzę szlachty, do warunków pańszczyźnianych. Było to praktycznie niewykonalne. Nie chciano też wpuszczać powracającej na Ukrainę szlachty. Chmielnicki obawiał się, że w oczach Kozaków i czerni przelicytuje go bardziej radykalny pułkownik Neczaj, który mimo formalnego zawarcia pokoju prowadził nadal działania wojenne na bracławszczyźnie. Nie pozostawał mu dłużny ze strony polskiej Samuel Korecki, który po swojemu układ zborowski rozumiał i realizował, próbując siłą wejść na powrót w posiadanie swoich 20 miast i 200 wsi.

W odpowiedzi na społeczne i ekonomiczne rozwarstwienie kozactwa, wyraźne wyodrębnienie się bogatej starszyzny i absolutną władzę hetmana, wybuchło na Siczy powstanie. Buntownicy wypowiedzieli posłuszeństwo Chmielnickiemu, obierając sobie nowego hetmana Chudolija. Z buntownikami rozprawił się Chmielnicki bez porównania bardziej zdecydowanie i krwawo niż Rzeczpospolita z nim samym. Wysłał natychmiast na Sicz silny oddział pacyfikacyjny — buntowników rozbił, ich przywódcę uśmiercił. Chociaż Chmielnicki był teraz — zwłaszcza po rozprawie z Chudolijem — potężniejszy może niż kiedykolwiek przedtem, to nie był dość silny, aby postanowienia ugody zborowskiej przy najlepszych nawet chęciach realizować bez narażenia się na powszechny opór jego własnych Kozaków.

Tymczasem zbliżał się termin sejmu jesiennego, budząc w kręgach dworskich największe obawy, a mianowicie, że sejm nie tylko nie ratyfikuje ugody zborowskiej, ale nadto będzie domagał się ukarania osób, które do ugody tej doprowadziły. Chcąc sobie przygotować grunt, kanclerz Ossoliński napisał obszerny uniwersał na sejmiki. W uniwersale tym, przedstawiającym w najkorzystniejszych barwach kampanię zborowską i jej wynik, bronił też króla, którego niezdecydowanie i niedołęstwo w prowadzeniu kampanii było aż zbyt oczywiste. Winami króla obciążał kanclerz szlachtę, która nie myślała zawczasu o obronie i nie stawiła się w porę na pospolite ruszenie. Oczywista niesprawiedliwość zarzutów stawianych szlachcie, której można było zarzucić całą masę innych rzeczy, ale akurat nie to, wywołała wręcz odwrotny od zamierzonego skutek. Zamiast uspokoić umysły i przedstawić warunki zborowskie jako uciążliwe, ale jedynie możliwe, wzburzył tylko szlachtę. Jest rzeczą zastanawiającą, jak ten znakomity dyplomata, ceniony na europejskich dworach, który w czasie bitwy potrafił skłonić chana do zawarcia pokoju i wystrychnięcia na dudka Chmielnickiego, nie potrafił postępować ze szlachtą. Ilekroć próbował na tym polu coś przedsięwziąć, natychmiast osiągał skutek odwrotny od zamierzonego. W drażnieniu szlachty nie miał Ossoliński równego sobie, co było może i swoistym osiągnięciem, tyle że kanclerzowi uniemożliwiało realizację zamierzeń nawet w swej istocie pożytecznych i wielkich.

Wszystkie zarzuty stawiane szlachcie w uniwersale były w oczywisty sposób nieprawdziwe i przez to obraźliwe. Powszechnie pamiętano, że wbrew zdaniu Wiśniowieckiego i innych przedstawicieli stronnictwa wojennego, ba, mimo uchwał sejmu koronacyjnego, który uchwalił spore zaciągi i zezwolił królowi na zwołanie pospolitego ruszenia, król nie zgodził się na zimową kampanię przeciw Kozakom. Wiadomo też było, że w czasie kiedy mijał okres zawieszenia broni, król nie zdecydował się na zwołanie pospolitego ruszenia, że trzecie wici rozesłał dopiero po opuszczeniu Lublina, 16 lipca, że celowo z tym zwlekał. Zaczęły też coraz powszechniej rozchodzić się wiadomości o szczegółach ostatniej kampanii. Wyszło na jaw niezdecydowanie królewskie, brak jakiejkolwiek koncepcji działań wojennych, ich bezplanowość, zupełne niedołęstwo w dowodzeniu wojskiem, posuwanie się naprzód bez jakiegokolwiek rozpoznania sił nieprzyjaciela, bez ubezpieczenia się strażą przednią itp., co w konsekwencji doprowadziło do zupełnego zaskoczenia i okrążenia armii królewskiej. Niepopularność dworu i osobista kanclerza sięgała wówczas szczytu. Przybyła do Warszawy na sejm szlachta mazowiecka była tak jawnie wrogo nastawiona do kanclerza, że ten naprawdę obawiał się o swoje życie, każąc wojsku pilnować swego dworu. Zanosiło się na to, że sejm nie tylko nie ratyfikuje ugody zborowskiej, ale pociąg-

nie kanclerza do odpowiedzialności. Dumny kanclerz, który, jak by na to nie patrzeć, przez swoją dyplomację uratował pod Zborowem Rzeczpospolitą — musiał przeżywać szczególnie silnie swoją klęskę. Rozpowszechniano przeciw niemu całą masę paszkwili. Szczególnie dotkliwie odczuć musiał Ossoliński w dużym nakładzie drukowany paszkwil pt.: *Compendium rad pana kanclerza*. Ten wyjątkowo zjadliwy utwór zawierał zbiór wszystkich słusznych i niesłusznych zarzutów i pretensji, jakie szlachta zgłaszała do Ossolińskiego od czasów planów wojny kozackiej Władysława IV.

W paszkwilach tych nie oszczędzano także króla, od początku niepopularnego, teraz obciążonego za Zborów, a nadto za cały szereg niefortunnych pociągnięć w ostatnich czasach. Miano mu za złe niesprawiedliwie — w powszechnym odczuciu — rozdzielone wakanse. Wypominano, że jest zbyt podatny na wpływy osób z najbliższego, dworskiego otoczenia, że unika szlachty, a wciąż naradza się to z senatorami, to z cudzoziemcami. Podejrzewała też szlachta króla o rzecz najgorszą, jaką potrafiła sobie wyobrazić: że szykuje zamach na wolności szlacheckie. Tak więc Zborów, który zakończył się niewątpliwie jednym z największych sukcesów Ossolińskiego, był też jego największą klęską. Klęską nie tylko osobistą, ale też całej koncepcji politycznej kanclerza i stronnictwa dworskiego z królem na czele. Z tego totalnego bankructwa politycznego stronnictwa dworskiego czerpało teraz swój kapitał stronnictwo przeciwne, zwane wojennym. Szczególnie rosła popularność i autorytet Jeremiego Wiśniowieckiego.

Ugoda zborowska była wynikiem impasu w zmaganiach polsko-kozackich, a nie ich zakończeniem czy załatwieniem. Tym razem dla obydwu stron stało się jasne, że tylko wojna może rozstrzygnąć to, czego w żaden sposób nie mogą rozstrzygnąć układy, bowiem sprawy poszły za daleko i żaden kompromis nie jest możliwy. Wiśniowiecki mówił to już dawno, teraz bieg wypadków potwierdzał, że książę miał rację. Nadto Jeremi opromieniony był sławą bohatera ze Zbaraża, był bożyszczem wojska i mas szlacheckich. Sukces Wiśniowieckiego drażnić musiał kanclerza nie mniej od obelżywych paszkwili, o których autorstwo bądź inspirację zaczął Ossoliński — jak się zdaje — podejrzewać księcia.

Książę tymczasem, obdarowany przez króla starostwem przasnyskim, nie mogąc wracać na Zadnieprze, a mając splądrowane dobra na Wołyniu i w województwie ruskim, udał się do Krzeszowa, który szwagier Jan Zamoyski odstąpił mu na czasową rezydencję. Leżący nad Sanem Krzeszów był w tym czasie miasteczkiem, miał liczne spichrze i port rzeczny. Spławiano stąd Sanem, a następnie Wisłą zboże z dóbr Zamoyskich. Dziś z otoczonego lasami miasteczka niewiele pozostało. W 1914

zostało kompletnie zrujnowane. Nie ma też w Krzeszowie okazałego dworu Zamoyskich, który w okresie po Zbarażu był rezydencją Jeremiego Wiśniowieckiego — jedyną zresztą znajdującą się w obecnych granicach Polski. Nie pamięta Jeremiego także istniejący dziś zabytkowy drewniany kościółek krzeszowski, bowiem wybudowano go dopiero w 1728. Tu, wśród lasów, nad pięknymi zakolami Sanu spędził Jeremi swój najdziwniejszy okres życia. Okres, w którym był u szczytu sławy i popularności, a zarazem na samym dnie finansowej ruiny. Książę i tym razem czuł się skrzywdzony, miał poważne kłopoty finansowe (jak pamiętamy, pertraktował w tym czasie ze swoim wierzycielem Oborskim, któremu wciąż był winien jeszcze... 3 000 zł). Z Krzeszowa korespondował książę z Rakoczym. Co było przedmiotem korespondencji nie wiadomo. Władysław Tomkiewicz sądzi, że Wiśniowieckiemu chodziło o zdobycie informacji aktualnych knowań Chmielnickiego z państwami ościennymi jak też o poparcie u króla polskiego jego starań o buławę.

Książę rozumiał dobrze, że przestrzeganie traktatu zborowskiego jest niemożliwe dla żadnej ze stron, zaś jego postanowienia były dla niego szczególnie dotkliwe. Miał Jeremi zapewne słuszne pretensje do króla, że swoją nieudolnością zmarnował szansę, jaką dawało zatrzymanie z takim poświęceniem głównych sił kozacko-tatarskich na Zbarażu, że dał się tak łatwo zaskoczyć pod Zborowem i zmarnować ostatnią okazję. Ale też książę rozumiał, że co się stało, już się nie odstanie, a w chwili obecnej Rzeczpospolita nie ma innego wyjścia jak ratyfikowanie układu. Bał się tylko, że zawarty układ, choć tak niekorzystny, może znów uśpić czujność króla i stanów, podczas gdy Chmielnicki wciąż nie rozpuszczał wojska. Hetman zaporoski nie czynił tego z dwóch powodów: czekał na ratyfikację układu przez sejm, z drugiej strony bał się realizować postanowienia o redukcji rejestru, licząc się z buntem Kozaków. Szukając jakiegoś wyjścia z impasu, zaczął Chmielnicki rozglądać się po ościennych państwach w poszukiwaniu sojusznika, który zastąpiłby neutralnych teraz Tatarów. W tej sytuacji postanowił Wiśniowiecki pilnie śledzić wszystkie poczynania Chmielnickiego, informując o nich równocześnie króla, pilnując, aby król nie uśpił swej czujności. Rozpoczął też Jeremi starania o buławę, wakującą teraz po zmarłym dopiero co regimentarzu Firleju. Stary, szlachetny kasztelan, za zbaraskie zasługi obdarzony województwem sandomierskim, zmarł w listopadzie, jeszcze przed otwarciem sejmu. Ubiegając się o buławę chciał Jeremi nie tylko dogodzić swej ambicji, ale właśnie teraz uzyskać decydujący wpływ na wojsko i politykę wojenną. Był pewien, że ugoda zborowska, jako zupełnie nierealna, jest nietrwała i że zasadnicze starcie obydwu stron dopiero nadchodzi. Chciał być hetmanem, kiedy to starcie rzeczywiście nadejdzie.

Tymczasem trwały przygotowania do sejmu. W instrukcji królewskiej na sejmiki, której autorem był kanclerz, na początku wyjaśniono politykę królewską od czasu ostatniego sejmu. Jej niepowodzenia, aż nadto dla wszystkich oczywiste, instrukcja usprawiedliwiała tym, że król objął tron w nader tragicznym momencie. Wziął w swe panowanie nie całą Rzeczpospolitą „ale raczej wziął jej tylko połowę, bo drugą nieprzyjaciel trzymał". Rzeczywiście, kiedy Jan Kazimierz wstępował na tron, znaczna część terytorium państwa objęta była powstaniem kozackim, żyzne i bogate województwa splądrowane, hetmani w niewoli, a armia w rozsypce. Drugą, podawaną w instrukcji jako przyczyna niepowodzeń polityki królewskiej prawdą, były pustki skarbu. Ale te tłumaczono w sposób zbyt uproszczony, jako tylko opieszałość szlachty w płaceniu podatków. „Jedne województwa dały dotąd tylko część jakąś należących pieniędzy, a drugie dotąd nic nie dały, tak że wielka część wojska darmo służy, a druga mało co wziąwszy". Szlachta rzeczywiście podatki płaciła niechętnie, ba, nawet sejm je niechętnie uchwalał, ale też sukces finansowy państwa nie jest, a w każdym razie nie powinien być, uzależniony od szczodrości obywateli. System skarbowy państwa, podobnie jak i cały system administracji Rzeczypospolitej był przestarzały w najwyższym stopniu, niewydolny i wymagający jak najszybciej reformy. Ale też opieszałość w zaciąganiu i organizacji armii spowodowana była nie tylko trudnościami finansowymi. Odebrawszy naczelne dowództwo nad wojskiem Jeremiemu, król zatrzymał buławę niby dla siebie. Wśród licznych obowiązków król nie miał dość czasu na należyte zajęcie się sprawami wojska, a zapewne brakło mu do tego także doświadczenia i talentu organizacyjnego. Powołanie trzech nowych regimentarzy nastąpiło w momencie, kiedy bardziej niż o organizacji wojska trzeba już było myśleć o doraźnej obronie.

Wydaje się, że głównym błędem króla, a zarazem podstawową przyczyną niepowodzeń w organizacji wojska, była naiwna wiara stronnictwa dworskiego w możliwość pokojowego rozwiązania konfliktu, w której Chmielnicki, przewyższający sprytem i przebiegłością polskich mężów stanu, utwierdził je i łudził, organizując równocześnie potężną armię.

Zupełnie nieprzekonująco instrukcja usprawiedliwiała opieszałość w zwołaniu pospolitego ruszenia. Kanclerz tłumaczył, że wartość bojowa pospolitego ruszenia jest niewielka — co było prawdą, choć wówczas przyjmowaną bardzo niechętnie — i że stanowi ono ostatnią rezerwę „siły Rzeczypospolitej". Odkrycie słabości tego „ostatniego odwodu" dodałoby tylko — zdaniem Ossolińskiego — „animuszu wrogowi". Równocześnie instrukcja zapewniała, że rozdzielenie pospolitego ruszenia uzasadniała konieczność obrony województw północno-za-

chodnich przed ewentualnym najazdem szwedzkim. Nie było to wprawdzie zbyt konsekwentne: słabość pospolitego ruszenia na wschodzie „dodawałaby wrogowi animuszu", zaś na zachodzie nie, ale brzmiało dość przekonująco.

Wyprawę zborowską instrukcja chwaliła za cały szereg sukcesów: uwolnienie zamkniętych w Zbarażu obrońców, rozerwanie sojuszu kozacko-tatarskiego, odzyskanie województw wschodnich i zawarcie tak upragnionego pokoju. Wprawdzie poza uwolnieniem Zbaraża reszta sukcesów była bardziej na papierze niż w rzeczywistości, brzmiało to również względnie przekonująco.

W dalszej części instrukcji była mowa o zasługach wojska. Pochwalono więc i tak cieszących się ogólną sławą zbarażczyków, a w szczególności księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, by zaraz potem na równi sławić niedołęgów spod Zborowa. Jedno jednak równało żołnierzy ze Zbaraża z tymi spod Zborowa: i ci, i tamci nie dostali dotąd żołdu. Instrukcja zalecała szlachcie szukać źródeł dochodów dla opłacenia tego wojska, proponując nadanie posłom przez sejmiki nieograniczonych w tym zakresie pełnomocnictw. Straszyła szlachtę, że jeśli zapłacenie żołdu wojsku będzie się opóźniać, żołnierstwo może zbuntować się i „po wojnie nas wojując, pierwej niźli im zapłacimy, kilka żołdów by z nas zbierało". Groźba ta, jak miał pokazać najbliższy bieg wydarzeń, była w pełni realna. Instrukcja na sejmiki — przesadnie może przez L. Kubalę oceniona jako „pełna wykrętów i kłamstw misternie ułożonych" — wskazywała jednak na to, że król wciąż wierzy w możliwość porozumienia się z Kozakami, wierzy w trwałość i szczerość, a więc i wykonalność ugody zborowskiej. Jeśli pisano w niej o potrzebie stworzenia silnej armii, to bardziej wierzono w przyszłe użycie jej w sojuszu z Kozakami przeciw Turcji niż przeciw tym pierwszym.

Wiśniowiecki w trwałość pokoju zborowskiego nie wierzył, zbierał więc informacje o poczynaniach kozackich, gromadząc materiał obciążający Chmielnickiego i ukazujący z jednej strony niewykonalność warunków ugody, z drugiej ich jawne złamanie przez Kozaków. Część dowodów uzyskał książę być może od dworu siedmiogrodzkiego, część od swoich ludzi z Ukrainy, wiele od osób powracających z niewoli kozackiej bądź tatarskiej. W tym czasie koresponduje ze Stefanem Czarnieckim, który dopiero co powrócił z niewoli i prawdopodobnie dostarczył księciu informacje o zabiegach Chmielnickiego czynionych w Turcji, a być może i Rosji. Czarniecki całym sercem należąc do stronnictwa wojennego, ugodę zborowską traktował jako niemal zdradę, bardzo intensywnie współpracuje teraz z księciem, którego znał jeszcze spod Ochmatowa, a którego politykę kozacką będzie później z całą konsekwencją i bezwzględnością realizował.

Dysponując dowodami niedwuznacznie świadczącymi o nieszczerości strony kozackiej, napisał Jeremi do króla list, w którym donosi mu, że Chmielnicki „pod pokrywką pokoju" kaptuje sobie przeciw Polsce nowych sojuszników wśród państw ościennych. W liście swym książę nie wymienia tych państw, niemniej wszystkie pisemne dowody zagranicznych knowań Chmielnickiego przesyła królowi w załączeniu. List kończy słowami: „ja nie wątpię, że przyszła sejmowa deliberacja snadnie temu zapobiegnie [...] ja jednak wcześnie z mej strony życzę takowych prędkich tego sejmu posiłków, któreby już w zimie nie czekając trawy, jeśli nie przez komisję, to przez gotowość sił (przy których smarowniejszy skutek traktatów będzie) uspokoić mogły Rzplitą i przyniosły szczęśliwości długiemu, daj Boże, panowaniu WKr Mości".

Po tych życzeniach nastąpiła groźna przestroga: „Może być, że teraz znajdą się takowi, którzy, jako i pierwej, przez zawiść mojemu, by najlepszemu, nie przytakną zdaniu, ale strzeż Boże, aby go nie potwierdziła podobna albo gorsza klęska nasza".

Nie dochowały się do naszych czasów załączniki do tego listu, musiały one jednak przekonać króla, który w ślad za rozesłaną już na sejmiki instrukcją wysyła do niej aneks, w którym czytamy m.in.: „nowe a pewne przestrogi z różnych miejsc, które i pierwej nigdy nie myliły, [...] o niepewności postanowionego z Kozakami pokoju" trzeba więc „koło bezpieczeństwa Rzplitej [...] myśleć, ażeby nie dopiero po czasie radzić potrzeba". Aluzja do listu i do osoby księcia jest tu aż nadto widoczna. Wszak i przed rokiem zalecał książę kampanię zimową, przepowiadając wiosenną ofensywę kozacką. Był więc tym, który „i pierwej nigdy nie mylił". Inną reakcją na ujawnienie przez Wiśniowieckiego zagranicznych knowań Chmielnickiego, rozszyfrowującą zarazem, z kim oprócz Turcji i Rakoczego próbował hetman zaporoski przeciw Polsce spiskować, było żądanie zgłoszone w marcu 1650 przez posła moskiewskiego, aby księcia Jeremiego na pal wbić albo ściąć mieczem. Powrócimy do tego w innym miejscu.

Siedząc w Krzeszowie, zajmował się książę nie tylko sprawami najwyższej państwowej wagi. Był — jak już wielokrotnie wspomniano — zrujnowany finansowo. Na razie, zanim nie uda mu się powrócić do zadnieprzańskiej fortuny, a do tego potrzebna była zwycięska wojna z Kozakami, jedyną drogą do istotnego podreperowania finansów było nadanie księciu bogatych starostw w nie dotkniętych bezpośrednio wojną dzielnicach Polski. Starostwo przasnyskie, ofiarowane mu jeszcze we Lwowie po poległym pod Zbarażem podkomendnym Hieronimie Zbrożku dawało zupełnie znikomy dochód i sytuacji księcia ani trochę nie ratowało. Teraz, uprzedziwszy króla o knowaniach kozackich, zwrócił się listem do sejmików szlacheckich, aby poparły jego starania o na-

danie bogatych starostw. Dumnemu księciu niezręcznie było pisać, że starostwa takie należą mu się za zasługi wojenne, jak też nie chciał przyznać się do zupełnej ruiny. Jako pretekstu użył więc argumentu, że należą mu się tytułem odszkodowania za ziemie zadnieprzańskie, które niegdyś komisja graniczna przysądziła Moskwie, jemu zaś Władysław IV obiecał dać stosowną rekompensatę. W 1647 Jeremi musiał ustąpić Moskwie miasteczko Nedryhajłów oraz Horodyszcze Olszańskie i dwie wsie. Wkrótce wybuchło powstanie kozackie i cała sprawa pozostała nie załatwiona. Była więc Rzeczpospolita winna Jeremiemu dobra ziemskie.

Sejmiki szlacheckie, na które trafiły listy książęce, poparły go natychmiast. Sejmik lubelski obradujący w Urzędowie zażądał, aby ze skarbu państwowego opłacić wojsko książęce, odciążając go w ten sposób. Sejmik ruski jeszcze bardziej zatroszczył się o swego wojewodę. W instrukcji dla posłów uchwalono m.in.: „Księciu Jego Mości Wojewodzie Ruskiemu podziękować, że wszystko niemal w dobrach swoich przez kłótnie wojenne [utraciwszy], i to ostatek szkatuły prywatnej dla zdrowia Ojczyzny ważył, z niemałą ludzi kupą pod Zbaraż przyszedłszy. Jakoż oraz przy uniżonej prośbie poważną instancję wniosą panowie posłowie nasi do Króla Jego Mości, aby znacznym i pierwszym wakansem tak wielkie straty Księciu Jego Mości z munificjencji pańskiej ratować raczył, żebyśmy niewdzięczników w ojczyźnie lubo u postronnych narodów nie odnieśli tytułu i do zasługi tejże ojczyzny wzmagających się wiernych synów nie odchęcone były zapędy. Jakoż i oraz i o to prosić będą panowie posłowie nasi, aby Jego Królewska Mość i to chciał mieć miłościwe oko, że dla uspokojenia granic od Moskwy ks. JMość ustąpił dóbr swoich dziedzicznych Dryhajłowa [sic!] i Olszańskiej włości w ręce moskiewskie — aby przez wymianę czego inszego słuszną wdzięczność ks. JMość odniósł od Rzplitej".

Poparcie dla księcia zaleciły swoim posłom także sejmiki innych ziem i województw. Tak np. sejmik sieradzki popierał żądania Jeremiego dotyczące odszkodowania za ziemie oddane Moskwie, a nadto wnosił, aby nagrodzić zasługi księcia w ostatniej kampanii. Sejmik mazowiecki także domagał się dla niego odszkodowań i nagród, a prócz tego zalecał, aby na sejmie „po Królu JMości nikomu inszemu wprzód, tylko jemu samemu jako Herkulesowi dziękowano".

Żądania sejmików wspierały także żądania delegatów wojska. Były one sformułowane ostrzej, a nawet w formie niezbyt grzecznej, miejscami ironicznej i cynicznej napominały króla. Na początek wojsko wyrażało cynicznie przypuszczenie, że król „zgruntował w sercu swem godne podziękowanie i nagrody za ochotne usługi Księcia Jego Mości WojewodyRuskiego, który nie raz tylko, ale zawsze z wielką

gromadą ludzi" również poprzedniemu królowi służył. Jak poprzednio, tak i teraz, stwierdza wojsko, książę „z konia nie zsiadając, zdrowiem, kupą niemałą ludzi i resztą substancjej swojej służy Waszej Królewskiej Mości". Mimo to jego fortuna „nieco opóźnia się w łasce Waszej Królewskiej Mości, ale nie wątpi wojsko, że wysokie cnoty, ochotne odwagi w świeżej Waszej Królewskiej Mości zostawają w pamięci i teraźniejszą, świeżo odprawioną tranzakcję pod Zbarażem wystawia wojsko i przypomina". Na koniec gratuluje królowi „takiego obywatela Rzplitej" jak książę. Gdyby Rzplita, podobnych jemu wielu miała „niechybnie złoty wiek przy łasce Bożej obiecywaćbyśmy sobie mogli".

Wszystkie te pochwały pod adresem księcia, wszystkie żądania wynagrodzenia go, słuchane były przez dwór z najwyższym niepokojem. Obawiano się, że Wiśniowiecki wystąpi na sejmie przeciw ratyfikowaniu układu zborowskiego, dlatego jego popularność wydawała się niebezpieczna.

W takiej atmosferze, 22 listopada 1649 zainaugurował swe obrady najdłuższy bodaj sejm XVII-wiecznej Polski. Zgodnie z tradycją, rozpoczął się od nabożeństwa odprawionego w kościele św. Jana. Mszę celebrował pod nieobecność prymasa nowo mianowany biskup przemyski Andrzej Zamoyski, zaś kazanie wygłosił nadworny kaznodzieja królewski, jezuita ksiądz Wojciech Ciecieszowski. Treść kazania sejmowego nigdy nie była obojętna, było to bowiem *de facto* pierwsze przemówienie sejmowe. Ks. Ciecieszowski porównywał Rzeczpospolitą do człowieka — jego głową król, duszą szlachta, ciałem chłopi. Ciała nie można zbyt udręczać. Należało to rozumieć, że nie można zbyt krwawo rozprawiać się z Kozakami. Nawiązując bezpośrednio do obrad sejmowych, kaznodzieja wywiódł, że najgorszą cechą Polaków jest ich rozmiłowanie w oracjach i retoryce. Słyną Polacy — zdaniem księdza — z bezużytecznych mów, które wygłaszają niemal od urodzenia aż do śmierci. Choć ksiądz miał sporo racji, a wspomniana wada narodowa dotrwała niestety do dziś, twierdzenie swoje argumentował widać nieprzekonująco, bo rozpoczęty jego kazaniem sejm należał do najdłuższych, a tym samym najbardziej przegadanych w całym stuleciu. Sądząc zaś po efektach sejmu, były to rzeczywiście mowy zupełnie bezużyteczne. Kazanie kończyło się wezwaniem do pokoju i zgody.

Sejm rozpoczynał się przy wyjątkowo nikłej frekwencji posłów i senatorów. Tych ostatnich w dniu otwarcia sejmu było tylko 8 — w tym dwóch biskupów i jeden wojewoda! Magnaci — bo tylko oni zasiadali w senacie — woleli „taktycznie spóźnić się na sejm, jeśli spodziewali się, że król będzie w nich szukał oparcia przeciw izbie poselskiej, a nie chcieli narażać się szlachcie. Czasem — uważano —

lepiej jest wkroczyć na arenę dopiero wówczas, gdy poglądy poszczególnych stronnictw spolaryzują się i wykrystalizują, a wtedy łatwiej jest zająć najkorzystniejsze dla siebie stanowisko. Tak było i tym razem. Pierwszy spośród senatorów duchownych, prymas Łubieński, przybył dopiero 4 grudnia, akurat wtedy, kiedy Sandomierzanie sprzeczali się o podatki z Wielkopolanami.

Od samego początku powszechnie domagano się oddania buławy Jeremiemu. Król bał się jednak tego kroku, jako że był przekonany o tym, iż książę wystąpi przeciw ratyfikacji układu, a nadto nie lubił go, czego już dawał w przeszłości wielokrotnie dowody. Postanowił więc wielką buławę dać Lanckorońskiemu, którego niedawno obdarzył województwem bracławskim. Kiedy Jan Kazimierz zamiar swój publicznie 11 grudnia obwieścił, wywołało to powszechny sprzeciw. Księcia ciągle jeszcze nie było w Warszawie i jego przyjazdu z niecierpliwością oczekiwał tak dwór, jak i szlachta, chociaż każde z innego powodu. Wreszcie 14 grudnia „Wojewoda Ruski Wiśniowiecki wjechał konno do Warszawy z wielkim orszakiem". Wjazd był iście imponujący: orszak otwierała chorągiew jazdy, za którą jechał konno książę w otoczeniu 200 piechoty i 500 zbrojnych sług. Bogactwo orszaku sprawiało wrażenie, że książę „żadnych strat przez wojnę nie poniósł". Cała szlachta, mało, cała Warszawa wyległa na spotkanie księcia. Izba poselska świeciła pustkami. Jakże różny był to wjazd od tego sprzed roku, kiedy to w czas elekcji przybył do Warszawy przez nikogo nieomal nie zauważony, jadący w otoczeniu chorągwi pancernej pod znamiennym czarnym sztandarem. Teraz witano go bardziej niż króla samego.

Wszyscy — bez względu na przynależność do stronnictw — ciekawi byli, jakie stanowisko zajmie Wiśniowiecki w sprawie ratyfikacji traktatu. Szlachta spodziewała się, że książę wystąpi ostro przeciw ratyfikacji. To, co tak cieszyło szlachtę, napawało dwór najwyższą obawą. Kursowała plotka, że książę dał jakoby szlachcie słowo, że do ratyfikacji układu zborowskiego nie dopuści. Różne domysły budził też fakt, że wjechał do Warszawy równocześnie z posłem siedmiogrodzkim. Gdy wkrótce okazało się, że poseł ten przybył nie tylko w pokojowych, ale wręcz przyjaznych zamiarach, podejrzenia Jeremiego o wrogie knowania z Rakoczym rozwiały się.

Teraz Jan Kazimierz chciał za wszelką cenę wykorzystać dla siebie autorytet księcia wśród szlachty. Wiedział, że zjednać go sobie może nadaniami tak bardzo potrzebnych Jeremiemu starostw i powierzeniem mu upragnionej buławy. To pierwsze było dla króla łatwiejsze, drugie, oprócz wspomnianych już obiekcji królewskich, rodziło obawę narażenia się Ossolińskiemu, a pomoc kanclerza była królowi nie-

zbędna. Niby pojednany z Wiśniowieckim, kanclerz żywił do niego nadal starą urazę, spotęgowaną teraz zazdrością o powodzenie. Kiedy marszałek izby poselskiej, Leszczyński, sławiąc bohaterów spod Zbaraża, nazwał Jeremiego „osobliwą radością narodu", kanclerz zaczynał już tracić panowanie nad sobą. W tej nader trudnej sytuacji pogodzenia kanclerza z księciem podjęła się królowa, która już po roku panowania Jana Kazimierza zaczynała — jak się zdaje — brać nad nim górę i coraz śmielej prowadzić za niego politykę. Na prośbę królowej, aby kanclerz nie żywił niechęci do księcia, Ossoliński oświadczył obłudnie, że żadnej takiej niechęci nie czuje, i jest jak najbardziej przyjaźnie do Wiśniowieckiego nastawiony, ma natomiast wątpliwości co do szczerości i lojalności księcia. Z kolei Jeremi oświadczył gotowość pojednania się z kanclerzem, potwierdził swą lojalność wobec króla, obiecał użyć swego autorytetu dla uspokojenia burzącego się i grożącego konfederacją wojska, a także dla wyjednania od izby poselskiej... stosownego uposażenia dla królowej. Nie wiadomo, którą z tych obietnic ujął najbardziej Marię Ludwikę — dość, że obiecała mu w rewanżu wyjednanie u męża buławy.

23 grudnia 1649 otrzymał Jeremi Wiśniowiecki buławę z rąk tego samego króla, który przed rokiem mu ją odebrał. Miał więc książę także moralną satysfakcję. Nie była to jednak satysfakcja pełna. Wiśniowiecki dostał buławę tylko do czasu powrotu hetmanów z niewoli. Urząd hetmana, który wykształcił się w Polsce w XV wieku, był dożywotni. Na sejmie 1649/50 ponownie powróciła sprawa zniesienia dożywotności tego urzędu, podnoszona już uprzednio na sejmie koronacyjnym. Sprawę postawił kasztelan Witowski, który sugerował, aby pozbawić urzędu przebywających w niewoli hetmanów, którzy wykazali się nieudolnością, a buławę dożywotnio powierzyć Wiśniowieckiemu, lub by w ogóle znieść dożywotność i mianować hetmanów na czas określony. Witowski poparty został przez innych. Dwór jednak starał się zignorować całą kwestię, pomijając ją milczeniem, bojąc się zapewne dożywotniego — czy nawet tylko dłuższego — sprawowania hetmaństwa przez Jeremiego. Projekt Witowskiego nie doczekał się — jak można by oczekiwać — powszechnego poparcia, bowiem niemal wszystkie urzędy w Rzeczypospolitej były dożywotnie i bano się tak niebezpiecznego precedensu. Potrzebując poparcia Wiśniowieckiego przy przekonywaniu posłów o konieczności ratyfikacji traktatu, król oddał mu buławę, przyśpieszając zarazem starania o uwolnienie z niewoli uwięzionych hetmanów. Można więc śmiało twierdzić, że powierzenie buławy księciu było tylko sprytnym manewrem królewskim. Treść późniejszej korespondencji króla z hetmanem Potockim zdaje się dodatkowo takie twierdzenie wspierać.

Oddanie buławy — chociaż tylko czasowo — Jeremiemu dopełniło i tak kielich kanclerskiej goryczy. Ossoliński, mimo zapewnień złożonych królowej, stracił nad sobą panowanie. Kiedy 29 grudnia odbywała się narada senatu nad ratyfikacją traktatu zborowskiego, senatorowie kolejno godzili się na nią. Wiśniowiecki także godził się na ratyfikację, z tym jednak, by traktat nie krzywdził osób prywatnych, które tracą w ten sposób dobra w 3 województwach. Powszechnie wiadomym było, że najwięcej straci na tym sam Wiśniowiecki i Koniecpolski. Na ten głos Jeremiego zareplikował Ossoliński, który jednak zamiast polemizować z jego treścią, zaczął nie wiadomo dlaczego właśnie w tym momencie atakować owe rozpowszechniane przed sejmem *Compendium rad pana kanclerza*, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że za jego autora lub inicjatora uważa Wiśniowieckiego. Krzyczał więc kanclerz, że ten „skrypt pełen kłamstw należy szablą poprawić". Potem wygłosił krótką, bardzo emocjonalną oracje na swoją cześć (że „całe życie stracił na służbie króla i ojczyzny", że „nigdy przed nieprzyjacielem nie uciekał" ani „nie ukrywał się w prosie"). Mowa wymierzona była przeciw Jeremiemu, choć nie bardzo wiedziano, gdzie to Wiśniowiecki przed wrogiem uciekał, ani też gdzie i kiedy „ukrywał się w prosie". Skądinąd wiadomo, że pan kanclerz nie bardzo pchał się na pierwszą linię i że najchętniej dowodził z Warszawy, a gdy raz poprowadził wojsko przeciw nieprzyjacielowi — to doszedł pod Zborów z wiadomym skutkiem. Ostatnia obraźliwa aluzja kanclerza pozostała niezbyt czytelna. Widząc na co się zanosi, król zamknął posiedzenie i opuścił sesję.

Nazajutrz — natychmiast po otwarciu obrad senatu — Wiśniowiecki podszedł do Ossolińskiego i nie bawiąc się w długą przemowę, rzucił kanclerzowi kilka obraźliwych słów dodając, że chociaż jeszcze nie posiwiał, to jednak doświadczeniem nie ustępuje innym, a w prosie nigdy się nie chował. Zarzucił też kanclerzowi publicznie, że jest głównym winowajcą nieszczęść spadłych na Ojczyznę. Na koniec uderzył ręką o szablę, wyzwał kanclerza na pojedynek, a króla prosił o zezwolenie na jego odbycie. Ossoliński obrażony, chciał złożyć urząd kanclerski, powstało ogromne zamieszanie — król niespodziewanie po raz pierwszy stanął po stronie Wiśniowieckiego. Senat jednak tego dnia już nic o ugodzie zborowskiej nie dyskutował, zajmując się budowaniem ugody pomiędzy kanclerzem a hetmanem. W efekcie ani do pojedynku nie doszło, ani też Ossoliński urzędu kanclerskiego nie złożył.

Głos Jeremiego, aby ratyfikować układ, ale nie krzywdzić przy tym osób prywatnych tak uwzględniono, że chorążemu Koniecpolskiemu wyznaczono pensję roczną 20 000 zł, księciu zaś przyznano starostwo nowotarskie i obiecano dalsze wakanse. Za ziemie utracone w 1647 na rzecz Moskwy, tytułem odszkodowania przyznano mu — anulując

wyrok sądu sejmowego z 1646 — „na wieczność i prawo dziedziczne" Chorol wraz z przyległą włością. To ostatnie nadanie nie miało aktualnie żadnego znaczenia, poza satysfakcją moralną. Natomiast starostwem nowotarskim nie cieszył się książę długo, bowiem wkrótce (po 2 tygodniach) na prośbę królewską zrzekł się go na korzyść wojewody Kisiela. W zamian za starostwo nowotarskie dostał Jeremi starostwo sądowe przemyskie. Trudno powiedzieć czy kanclerz wielki nie był w stanie przełamać się, czy król nie chciał go drażnić, dość że wszystkie dyplomy nadające starostwa Wiśniowieckiemu wyszły z „kancelarii mniejszej" — opieczętowane przez podkanclerzego.

Nie miał książę Jeremi szczęścia do nadań królewskich. Tak jak przed laty, gdy otrzymał Hadziacz, okazało się, że wcześniej dostał go już Koniecpolski — co stało się przyczyną owego groźnego konfliktu — tak i teraz nadanie starostwa przemyskiego powodowało kolejny zatarg. Starostwo leżało na terenie województwa ruskiego, a zatem wojewoda nie mógł, zgodnie z prawem obowiązującym od roku 1454, być równocześnie na swoim terenie starostą. Tak więc i to nadanie było bardzo problematyczne i budziło sprzeciwy zarówno wrogów księcia, jak i legalistów. Na razie obdarowany buławą i nowym starostwem Wiśniowiecki poparł dwór i wykorzystując swoją popularność wśród szlachty, skłonił izbę poselską do ratyfikacji układu zborowskiego.

O tym, jak bardzo postawa księcia była ważna dla ratyfikacji układu, świadczy bardzo wymownie fakt, że Chmielnicki, któremu na tym zależało, teraz z przyczyn zasadniczych w liście do króla wychwala pod niebiosa księcia, którego jeszcze niedawno ogłaszał swym głównym wrogiem i sprawcą wszelkich nieszczęść. Teraz, na przełomie 1649/50 hetmanowi zaporoskiemu zależało na ratyfikacji układu zborowskiego bardziej niż kiedykolwiek, wobec fiaska knowań z Rakoczym, który nawiązał poprawne stosunki z dworem polskim oraz Moskwą, która wolała poczekać na rozwój wydarzeń, a nie angażować się w nie przedwcześnie. Wobec trwania sojuszu króla z chanem, Chmielnicki nie czuł się dość silny do otwartego wystąpienia przeciw Rzeczypospolitej, a układ zborowski zapewniał mu więcej niż mógł sam w chwili obecnej wywalczyć. Inna sprawa, że to, co dla Chmielnickiego było jasne, wcale nie musiało być takim dla jego pułkowników, a co dopiero dla czerni. Nie mając korzystnejszego wyjścia, postanowił Chmielnicki być przez pewien czas lojalnym wobec Rzeczypospolitej, a przynajmniej takie robić wrażenie. W tym samym czasie zaczyna się hetman zaporoski interesować Wołoszczyzną, zamyślając o mitrze książęcej dla siebie i dla swoich synów. W realizacji tych planów dynastycznych potrzebna mu była co najmniej neutralność Polaków, a bardzo korzystna wojna polsko-turecka. Dlatego też do realizacji starych planów Władysława IV

bardzo gorąco teraz Jana Kazimierza namawiał, deklarując pełne i lojalne współdziałanie. Trafiał — jak się zdaje — ów sprytny hetman zaporoski w skryte marzenia i plany króla, który jednak nie odważył się tych planów przedstawiać jawnie sejmowi.

Koniec końców, sejm ratyfikował układ zborowski, oprócz jednego punktu dotyczącego dopuszczenia metropolity prawosławnego do senatu, ale ten nie upierał się przy tym.

Ratyfikacja pokoju, pełne uległości listy Chmielnickiego, wreszcie zachowanie poselstwa kozackiego (przybyłego 7 stycznia) spowodowały znaczne odprężenie w stolicy. „Warszawa bawiła się z powodu pokoju" — zapisano ówcześnie w jednym z diariuszy.

Tymczasem w Lublinie nie opłacone wojsko zagroziło zawiązaniem konfederacji. Rzeczpospolita była winna wojsku — w końcu 1649 — ogromną sumę 2 200 000 złotych. Bezpośrednio po zakończeniu kampanii letniej, uczestnicy bitwy zborowskiej i obrońcy Zbaraża zawiązali „koło generalne" we Lwowie, wysyłając swych delegatów na sejm dla przedłożenia żądań ujętych w 39 punktów. Głównym żądaniem było natychmiastowe zapłacenie zaległego żołdu, wyasygnowanie ze skarbu stosownej kwoty na wykup hetmanów z niewoli, nadto wypłata wynagrodzenia dla szczególnie zasłużonych dowódców i oficerów. Jak pamiętamy, wojsko żądało też stosownej nagrody dla księcia Wiśniowieckiego, którego „wesoła twarz... wielką krzepkość wojsku sprawiła".

Wśród 8 delegatów koła generalnego wysłanych na sejm było dwóch oficerów Jeremiego: Jan Baranowski, stolnik bracławski, porucznik husarski, uczestnik wszystkich kampanii, dowódca spod Niemirowa oraz Kazimierz Kossakowski, podsędek bracławski.

Ponieważ sejm nie realizował żądań wojska w najważniejszych punktach, w Lublinie zawiązało się nowe koło generalne, jawnie grożące konfederacją. W Nowy Rok wojsko wysłało do Warszawy swe postulaty, zwięźle przedstawione w 9 punktach. Listę zamykała prośba do księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, aby „raczył wojsku patronować i dobra wojska wszystkiego strzec", a zaraz pod nią groźba pod adresem sejmu: „deklaruje to wojsko, że jeśli w tych punktach nie dosyć się wojsku stanie, na przyszłej komisji do żadnej rzeczy nie przystąpi". Żądania wojska były jak najbardziej słuszne, były tylko trudności z ich realizacją.

Sejm zgodził się więc na zapłacenie żołdu, dał komisji wojskowej szerokie kompetencje. Wiśniowiecki jako hetman miał jechać do Lublina dla przeprowadzenia wstępnych pertraktacji z wojskiem, po czym komisja miała tam zjechać, aby pod przewodnictwem hetmanów we wspólnych obradach z przedstawicielami koła załatwić sprawę ostatecz-

nie. Rola Jeremiego była bardzo trudna i niewdzięczna. Jako hetman miał obowiązek moralny popierać słuszne żądania wojska. Jako urzędnik musiał się liczyć z możliwościami skarbowymi państwa, a skarb świecił pustkami. Miał też uspokoić wojsko i nie dopuścić do zawiązania się konfederacji, która w konsekwencji doprowadzić mogła do nowej wojny domowej.

Jeremi kilkakrotnie kursował tam i z powrotem na trasie Warszawa—Lublin. Uspokajać wojsko było mu bardzo trudno, tym bardziej że jątrzyli Koniecpolski — obrażony, że za stracone *de facto* dobra dostał tylko 20 000 pensji — i Kalinowski, syn hetmana, który z wielkim trudem zbierał pieniądze na wykup ojca z niewoli, nie mając od Rzeczypospolitej żadnej, jak dotąd, pomocy. Znalazł się więc Jeremi między przysłowiowym młotem a kowadłem. Widząc słuszność zasadniczych dezyderatów wojska — choć zgłaszanych w sposób demonstracyjny i pełen różnych fanaberii — a nadto będąc przekonanym, że zbliża się czas kolejnego starcia z Kozakami, chciał Jeremi za wszelką cenę załagodzić konflikt. Naciskał więc na Warszawę, z drugiej strony perswadował, prosił o cierpliwość, straszył wojną kozacką, a przywódców koła i ich delegatów gościł na obiadach.

Obrady komisji wojskowej, która miała wspólnie z delegatami koła radzić w lubelskim ratuszu nad załatwieniem spraw spornych, napotykały rozliczne trudności. Gdy kasztelan Witowski chciał karać żołnierzy za łupiestwa, delegaci wojska obrazili się i opuścili ratusz. Nic nie pomógł wydany nazajutrz przez Wiśniowieckiego obiad, wspólny dla komisarzy i delegatów. Delegaci obiad zjedli, trunki wypili, po czym przypomnieli sobie, że gniewają się na komisję i do obrad wspólnych nie zasiedli. Potem pogniewani panowie żołnierze zebrali się w kościele bernardynów i uchwalili, że nie będą chodzić ani na obiad, ani na wieczerzę do panów komisarzy, a kto by się wyłamał, ten zostanie ukarany grzywną 100 talarów. Musieli komisarze chodzić, prosić, namawiać, aby delegaci zechcieli zasiąść w komisji. Pogniewanym te komisarskie prośby i namowy bardzo pochlebiały, toteż dali się prosić długo, aż wreszcie łaskawie wysłali swoich delegatów. Ci jednak zaczęli udział w posiedzeniu od przestraszenia komisarzy konfederacją, którą mają zamiar zawiązać, a dopiero później przedłożyli swe postulaty. Komisarze targowali się, ale bardzo ostrożnie, bali się bowiem, że panowie żołnierze znów się obrażą i zerwą obrady, a na koniec naprawdę zawiążą konfederację.

Podczas kiedy komisja targowała się z delegatami, hetman Wiśniowiecki czynił swoje zabiegi dyplomatyczne. Skończyły się one tym, że jednego, z najbardziej wojowniczych przywódców wojska, porucznika Niezabitowskiego... wziął na swój żołd. Odtąd Niezabitowski słu-

żył wiernie w szeregach książęcych husarzy wraz z pięciu pocztowymi. Nie miał jednak imć Niezabitowski szczęścia do wypłaty wysłużonego żołdu. Tak jak zalegała mu z jego wypłatą Rzeczpospolita, tak i nie zdążył mu uregulować należności książę, po którego niespodziewanej śmierci spadkobiercy — jak to wynika z testamentu — winni byli Niezabitowskiemu 2000 żołdu i wątpić należy czy dzielny ten oficer kiedykolwiek kwotę tę oglądał. Odkuł się jednak w kilkanaście lat później, kiedy na czele kilku chorągwi kozackich i wołoskich grasował po ziemi przemyskiej i pod pozorem wybierania nie zapłaconej hyberny łupił dobra biskupie i szlacheckie. Zamiast katowskiego miecza doczekał się... senatorskiego stanowiska. Bywały i takie kariery w Rzeczypospolitej.

Tymczasem w Lublinie załatwiono sprawę zaległego żołdu, ale trwały dalsze targi: o kwotę na wykup z niewoli hetmana polnego (wojsko żądało aż 300 000 zł). Komisja, licząc się z możliwościami skarbu, zgodziła się wyasygnować na ten cel 40 000 zł — delegaci żądali co najmniej 50 000 zł. Sprawa utknęła na martwym punkcie. Wówczas Jeremi oświadczył, że brakujące 10 000 ofiaruje sam, z własnej szkatuły. Czyn ten zasługuje na szczególne uznanie. Ciężka — przy obecnym stanie finansów księcia — ofiara pieniężna ułatwiła zawarcie porozumienia, była też szlachetnym gestem wobec przebywającego w niewoli hetmana i na próżno — jak dotąd — zabiegającego o środki na wykup ojca młodego Kalinowskiego. Gestem tym szlachetniejszym, że przybliżała czas powrotu hetmanów z niewoli, a tym samym czas zwrotu tak upragnionej przez księcia buławy. Jakże różny był tu już Jeremi od tego, który jeszcze nie tak dawno, dla dogodzenia swej pysze i ambicji, bez najmniejszych skrupułów „prawem i lewem" powiększał swój majątek. Nieszczęścia własne i kraju przez ostatnie dwa lata zmieniły go z warcholącego kresowego książątka w ofiarnego do ostatnich granic obywatela. Dobro osobiste, które przez wiele lat stawiał — jak większość magnatów — na pierwszym miejscu, coraz częściej ustępuje teraz u niego dobru publicznemu.

Sporo czasu straciła komisja na uzgodnienie odpowiedzialności wojska za grabieże dokonane w ostatnich czasach. Wojsko domagało się całkowitej amnestii. Dało się w końcu przekonać i zgodziło się na sądy. Było to niewątpliwym sukcesem Wiśniowieckiego, który swoim autorytetem potrafił skłonić delegatów wojska do tak niemiłego dla nich rozwiązania. Wydano w tej sprawie dokument następującej treści: „J.W.P. komisarze z J.W.P. hetmany koronnymi taką czynią deklaracją: iż każdemu szlachcicowi innego stanu duchownemu i świeckiemu człowiekowi dają na wolę p.p. żołnierzów pozywać albo do sądu p.p. komisarzów, albo p.p. hetmanów..."

Ostateczne ustalenia komisji, wynegocjowane z delegatami żołnierzy ujęto w 11 punktach. Pierwszy dotyczył omówionej już wyżej kwestii okupu za hetmana polnego Kalinowskiego, a nadto zobowiązywali się w nim komisarze do wyjednania dla niego u króla „przywileju z okienkiem" (tj. niejako przywileju *in blanco* na najbliższe wakujące starostwo). Drugi punkt dotyczył identycznego przywileju dla chorążego koronnego Koniecpolskiego. W punkcie trzecim zobowiązano się do wypłaty żołdu dla wojska walczącego pod Korsuniem, także za cały czas niewoli. Punkt czwarty mówił, że żołnierze walczący pod Zborowem otrzymują zapłatę według listów przepowiednich. Kilka następnych punktów regulowało zapłatę dla obrońców Zbaraża: „wojsko otrzyma trzy ćwierci" a nadto 10 000 zł „na postrzelonych". Oficerowie walczący pod Zbarażem otrzymują po 3500 zł traktamentu (wynagrodzenia) „dla zachęty". Wyłączono z tego jednak roty cudzoziemców walczące w Zbarażu, poprzestając na zapłaceniu tylko tego, co zgodnie z umową im się należało. Nie świadczy to najlepiej o żołnierzach, którzy nie zadbali tu o interesy swoich cudzoziemskich towarzyszy broni, ci bowiem z nie mniejszym od nich poświęceniem i z nie mniejszymi stratami bronili zbaraskiego szańca. Postanowiono nadto, że sądy nad winnymi swawoli żołnierzami nie będą zbyt surowe, a każda chorągiew reprezentowana w kole otrzyma 400 zł tytułem odszkodowania za udział w komisjach.

Deklarację tę 12 marca podpisali obydwaj hetmani: Wiśniowiecki i Lanckoroński, a nadto wszyscy komisarze. Burza została na razie zażegnana, a zasługa księcia była w tym niewątpliwa. Trudno sobie wyobrazić, aby to, co udało się księciu — uspokojenie wzburzonego wojska i niedopuszczenie do zawiązania konfederacji — powiodło się komukolwiek innemu, nie cieszącemu się taką popularnością i autorytetem.

Burza została zażegnana, ale chmury jeszcze nie rozwiały się. Wojsko domagało się natychmiastowej realizacji zobowiązań, a to z uwagi na pustki państwowego skarbu nie było możliwe. Musiał więc jeszcze Jeremi pozostać w Lublinie, tym bardziej że teraz dopiero zaczęto odbywać sądy hetmańskie i komisarskie, działające zgodnie z deklaracją „*cum moderatione*" (z umiarkowaniem). Jeszcze w styczniu książę groził wojsku za grabieże karami, w lutym zaś widząc, że wojsko chcąc przeżyć grabić musi, prosił już tylko w uniwersale, aby oszczędzało dobra duchowne. Teraz te wszystkie grabieże trzeba było karać — o ile ktoś się skarżył — ale karać „*cum moderatione*".

Karanie swawolnych żołnierzy było, jak się okazało, ostatnią już czynnością hetmańską Jeremiego Wiśniowieckiego. Dwór — gdy tylko buławę wręczono księciu, przyśpieszył starania o wydobycie z niewoli

tatarskiej Mikołaja Potockiego, w czym — jak się zdaje — sekundował mu... Chmielnicki. Teraz, kiedy jeszcze prace komisji w Lublinie nie zostały zakończone, hetman wielki koronny wracał z niewoli. Ossoliński drżał z niecierpliwości, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie buława zostanie Jeremiemu odebrana. Jeszcze Potocki był daleko, jeszcze nie osiągnięto zgody w pertraktacjach z buntującym się wojskiem, a już 8 marca kanclerz adresował pierwsze uniwersały do wojska, by słuchało tylko Potockiego. Niecierpliwość Ossolińskiego przez podrywanie autorytetu głównego negocjatora mogła wywołać najbardziej tragiczne konsekwencje. Widocznie jednak kanclerz bardziej niż Kozaków i bardziej niż konfederacji bał się księcia. Stronnicy dworu intrygowali przeciw Wiśniowieckiemu w Warszawie oburzając się, że złamał prawo, godząc się na „przywileje okienkowe" dla Koniecpolskiego i Kalinowskiego, to znów rozpowiadano, jakoby komisja uchwaliła dla księcia — pod jego naciskiem — szczególnie wysoki traktament. Rozpowiadano też, że książę podburza wojsko — zamiast je uspokajać — że dąży do konfederacji, że chce na własną rękę prowadzić wojnę z Kozakami. Podatny na sugestie otoczenia, od dawna nie lubiący księcia, a zawsze wobec niego podejrzliwy Jan Kazimierz wierzył w to wszystko (uwierzyli, jak się okazało, także niektórzy polscy historycy). Toteż gdy tylko 25 marca 1650 Potocki dotarł do Lwowa, król polecił mu jechać do Lublina i natychmiast objąć dowództwo nad wojskiem.

Potocki nie śpieszył się nigdy i tym razem nie uczynił wyjątku. Ze Lwowa do Lublina jechał równe 2 tygodnie, wystawiając tym razem cierpliwość Ossolińskiego na wielką próbę. Kanclerz bowiem pojawił się nagle w Lublinie i nie omieszkał uczynić Wiśniowieckiemu afrontu, prowadząc za jego plecami jakieś sekretne pertraktacje z podskarbim i czekając na hetmana. Chciał widocznie osobiście dopilnować, aby Wiśniowiecki zdał władzę nad wojskiem Potockiemu, a może też chciał dla prywatnej satysfakcji widzieć, jak Jeremi będzie oddawał buławę.

Ciężkie dla siebie chwile Wiśniowiecki znosił z godnością. Wyjechał z asystą na spotkanie Potockiego, wydał na jego cześć obiad. Kiedy jednak Ossoliński zaczął poufnie konferować o czymś z Potockim, nie dopuszczając go do tych rozmów, cierpliwość księcia skończyła się. Nocą zebrał swoje prywatne chorągwie i bez pożegnania opuścił Lublin, udając się do swego szwagra, do Zamościa. Buława spoczęła na powrót w rękach hetmana, który ani nie był jej godzien, ani też nie potrafił jej utrzymać. Tymczasem coraz szybszymi krokami zbliżała się kolejna rozprawa z Kozakami.

XVI. PRZED KOLEJNĄ ROZPRAWĄ

Jeszcze nie całkiem ułagodzono grożące konfederacją wojsko, a z Ukrainy wciąż dochodziły niepokojące wieści, gdy nowe niebezpieczeństwo zawisło nad Rzecząpospolitą.

W marcu do Warszawy przybyło poselstwo moskiewskie: Jerzy Gawryłowicz Puszkin, jego brat Stefan i diak Gawryło Leontiew, pisarz poselstwa.

16 marca poselstwo wjeżdżało uroczyście do stolicy, witane w imieniu króla przez podczaszego litewskiego Kazimierza Tyszkiewicza i chorążego nadwornego koronnego Wojciecha Wessla. Już w pierwszym spotkaniu doszło do niemiłego zgrzytu — wybuchł bowiem spór o szczegóły protokołu dyplomatycznego: mianowicie jakie miejsce w czasie wjazdu mają zajmować posłowie, jakie reprezentanci króla. Kiedy w dwa dni później posłowie zostali przyjęci przez króla, oświadczyli, że „przywieźli wszystko dobre". Potem — napisał w swych pamiętnikach przyjmujący ich kanclerz litewski Albrycht Radziwiłł — „okazał się ich fałsz". Przyjęcie poselstwa przez króla miało jedynie znaczenie protokolarne, do pertraktacji wyznaczono specjalną delegację na bardzo wysokim szczeblu; weszli do niej obaj kanclerze, nadto podkanclerzy koronny Andrzej Leszczyński, 4 senatorów i referendarz litewski. Rozmowy rozpoczęły się 20 marca i wnet ujawnił się prawdziwy cel poselstwa.

Moskwa — dotąd bita regularnie we wszystkich wojnach z Rzecząpospolitą, od czasu zawarcia w 1634 pokoju wieczystego formalnie przyjazna, oficjalnie gotowa współdziałać w walkach z Tatarami, a nawet w tłumieniu powstania kozackiego, teraz postanowiła powetować sobie doznane w ostatnim półwieczu klęski militarne i dyplomatyczne.

Warunki, w jakich zawarto ugodę zborowską, a nadto treść jej postanowień przekonały wschodniego sąsiada o słabości Rzeczypospolitej. Przekonanie to gruntował fakt, że sytuacja na Ukrainie daleka była od normalizacji, a wojsko groziło jawnym buntem. O takim sta-

nie Rzeczypospolitej przekonywał też Moskwę gorliwie Chmielnicki, który po Zborowie, pozbawiony tatarskiego sojusznika zaniechał operacji zbrojnych, niemniej rozwinął na niespotykaną dotąd skalę ofensywę dyplomatyczną.

Rozmowy z poselstwem rosyjskim zaczęły się od tego, że Puszkin ostro zaatakował stronę polską za odmawianie w korespondencji dyplomatycznej ich *gosudarowi* tytułów księcia Rusi, Smoleńska, Kijowa, Siewierza i Czernihowa. Wszystkie te ziemie leżały obecnie w granicach Rzeczypospolitej (z czym Moskwa pogodziła się, podpisując „wieczysty pokój") i tytułów z tym związanych używali królowie polscy. Puszkin nie tylko złożył sprzeciw co do tytulatury królów polskich, ale zażądał ukarania tych, którzy taką tytulaturę stosują. Bezczelność tego żądania wprawiła polskich mężów stanu w prawdziwe osłupienie. Rozmowy utknęły na tym punkcie. Miały być kontynuowane 22 marca, ale posłowie upili się i do spotkania nie doszło. Uczestnik rozmów, kanclerz litewski zapisał ten fakt w swoim pamiętniku z oględnością i powściągliwością zachodniego, europejskiego męża stanu: „królewskie wino uniemożliwiło Moskwie przystęp do nas". Dopiero następnego dnia, kiedy poselstwo moskiewskie przetrzeźwiało, doszło do kolejnej rundy rokowań. Tym razem postulaty były jeszcze bezczelniejsze: zażądano zwrotu zamków zdobytych przez Władysława IV w ostatniej wojnie, głównie zaś Smoleńska. Było to w zasadzie równoznaczne z zerwaniem pokoju wieczystego. Dalej żądał poseł moskiewski: „ohydne książki należy spalić, winowajcy zaś ponieść muszą stokroć zasłużoną karę śmierci i to bez sądu, niezwłocznie. Drukarzy trzeba zaknutować, a księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, który też przysłał bluźniercze listy, ściąć mieczem albo wbić na pal". Posłowie na zmianę to upijali się, to znów „z uporem barbarzyńców" ponawiali swoje żądania.

Polska dyplomacja jako pierwsza w Europie zetknęła się z tą zasadą polityki zagranicznej: najbezczelniejsze, barbarzyńskie żądania powtarzać „z uporem barbarzyńców". Wobec tej zasady dyplomacja europejska już wkrótce okazała się bezradna. Na razie mimo całego swego osłabienia Rzeczpospolita nie musiała jeszcze słuchać moskiewskiego posła: na jego życzenie nikogo nie ścięła bez sądu, ani nie zaknutowała na śmierć.

Treść tych żądań jest dość dziwna, ich zestawienie jeszcze dziwniejsze. Jakież to książki wydane w Polsce były tak ohydne, że zdaniem moskiewskiego posła należało je spalić, a drukarzy, którzy je wydrukowali zaknutować na śmierć? Swoją drogą nie wiadomo, dlaczego akurat drukarzy, a nie na przykład autorów — ale to już pozostanie tajemnicą moskiewskiego poczucia sprawiedliwości. Poselstwo domagało się spa-

lenia książki Jana Aleksandra Gorczyna *Pamięć o cnotach, szczęściu, dzielności... Władysława IV* oraz Samuela ze Skrzypny Twardowskiego *Władysław IV król polski i szwedzki*. Ten ostatni autor uchodzi do dziś za jednego z najwybitniejszych polskich poetów połowy XVII wieku, jego zaś utwory, choć zawierające domieszkę panegiryzmu, stanowią bogatą, wierszowaną kronikę współczesnych mu, jakże brzemiennych w wydarzenia lat. O ile wspomniane utwory sławiące m.in. zwycięstwo smoleńskie Władysława IV mogły drażnić Aleksego Michajłowicza i rad by z nimi postąpić wedle swego zwyczaju, w Polsce jednak nie przyjętego (nawet w czas kontrreformacji), to dziwi żądanie dotyczące Wiśniowieckiego, a jak się wkrótce okazało — także Koniecpolskiego i kilku innych panów ruskich. Pretekstem miało być użycie przez nich w korespondencji z carem niewłaściwych tytułów. Odrębnych badań wymagałoby ustalenie, czy Wiśniowiecki z Koniecpolskim rzeczywiście korespondowali z carem w ostatnim okresie, do czego można mieć pewne wątpliwości. Ale jeśli nawet, to byłby to i tak tylko pretekst. Zastanawiające jest to, że car rosyjski domagał się ukarania śmiercią (w dodatku bez sądu — co w tej części Europy było nowością, szczególnie w Polsce, gdzie od czasów Jagiełły szlachcica nie wolno było bez sądu nawet więzić) akurat tych ludzi, dla których kary jeszcze niedawno domagał się... Chmielnicki.

Roszczenia posłów moskiewskich traktować należało jako wypowiedzenie wojny, na którą Rzeczpospolita nie mogła sobie w danej chwili pozwolić, stwarzały konieczność prowadzenia z nimi bezsensownych rokowań, przerywanych od czasu do czasu pijaństwami posłów. Sytuacja była paradoksalna. Żądania rosyjskie traktowano jako „bezczelne i niedorzeczne", posłami, którzy na każdym kroku wykazywali brak dobrych manier, pogardzano, nazywano ich „barbarzyńcami", złoszczono się na ich „barbarzyński upór", ale prowadzono z nimi rokowania, nie mając dość siły, aby udzielić innej, bardziej zdecydowanej odpowiedzi na te obraźliwe dla suwerennego narodu postulaty. Brano więc różne grubiaństwa za dobrą monetę, bawiono się w dyplomację, czasem za plecami posłów natrząsano się z nich, to kokietowano, to znów próbowano wyrządzać im różne afronty, z reguły przez nich nie zauważone, w istocie jednak nie umiano się bronić przed ich „barbarzyńskim uporem", a o to w gruncie rzeczy im chodziło. Moskwa na arenę europejską wchodziła ze swoimi kanonami polityki zagranicznej i dyplomacji, które odtąd we wszystkich starciach z politykami Zachodu przynosić jej miały sukcesy. Chciał obrazić posłów kanclerz litewski i zamiast zaprosić ich na obiad — posłał im tylko jadło i wino na kwaterę, ale oni tylko się z tego ucieszyli. Próbował ich

zmiękczyć kanclerz koronny, wygłaszając długie i uczone mowy — bez rezultatu.

Rokowania przeciągały się bezefektywnie, czemu w tych warunkach trudno się dziwić, król napisał więc do senatorów o radę.

Jeremi Wiśniowiecki odpowiadając na list królewski, daje trafną diagnozę sytuacji. Twierdzi on mianowicie, że stanowisko Moskwy jest wynikiem zabiegów Chmielnickiego. To on, zdaniem wojewody ruskiego, podburza Moskwę przeciw Polsce, sam tymczasem łudzi Rzeczpospolitą, zwlekając „niewczesną sobie porę do wiosny", rozbudowując w tym czasie niezbędne dla siebie sojusze. Po tej trafnej ocenie sytuacji książę przechodzi do proponowania środków zaradczych: „Wojska, w czem bezpieczeństwo wojen, nie tylko w abdank dawać, ale gromadniejsze z domowych i postronnych ludzi sposabiać. Siły W.Ks. Litewskiego ku Smoleńskowi, ponieważ się go napierają, jaknajprędzej ruszyć. Tamże aparatu wojennego i opatrzenia sił dla obrony zupełną gotowością pp. hetmanom niezwłocznie zalecić staranie. Z monarchami, którzy by nam przyjazną mogli dać rękę, porozumiewać się niewątpliwie Wasza Królewska Mość zechcesz. Do chana, praktykując go do tej wojny, godną osobę w poselstwie posłać, podarunkami swojemi (jakoż sprzedajnych ludzi tem ujmować trzeba) do łączności zagrzać z nami i do Moskwy, aby wypadać chciał, rozrywając ich zawziętość, tentować o to. Panu wojewodzie kijowskiemu oznajmić, aby Chmielnickiego wybadał umysł i w tęż defenzję złączył z nami. Komisjej skończenia ze Szwedami nie odkładać, owszem ich jak najsłuszniej spokojnych i zadowolonych mieć chcieć. Skarb publiczny, aby nie był goły, skąd nerw pociągniemy wojny, wcześnie przed sejmem sposoby podatków i niżeli być gdzie, pożyczki sum pieniężnych szukać". Na koniec radzi Wiśniowiecki, by posła moskiewskiego pod zarzutem przekroczenia kompetencji zatrzymać. List ten wysłał Jeremi królowi 31 marca 1650.

Wszystko wskazuje na to, że król posłuchał (chyba po raz pierwszy) księcia i jak się okazało, Rzeczpospolita wyszła na tym dobrze. Posłów rzeczywiście zatrzymano, chana do wojny „zagrzano". W lipcu przybyło do Warszawy poselstwo tatarskie, zapraszając do wojny z Moskwą. Bawiący w stolicy posłowie moskiewscy chcieli wziąć udział w powitaniu przybywających wysłanników chana, nie zostali do nich jednak dopuszczeni, a później, gdy wkręcili się mimo to, zostali przez Tatarów „obelżywymi słowy zmuszeni do odejścia". Krótko mówiąc, trafił swój na swego. Chmielnickiego, który aktualnie zaczął odwracać się od Moskwy — rozglądał się już bowiem za bardziej niezawodnym sojusznikiem — za pośrednictwem Kisiela zneutralizowano. Dało to efekt zamierzony. Bojąc się wojny z Polską a równoczesnego najazdu tatarskiego, a może nawet tatarsko-kozackiego — Moskwa w sposób

gwałtowny zredukowała swe żądania. Skończyło się na tym, że symbolicznie „prywatnie w zabudowaniach marszałka spalono kilka kart drukowanych, które godziły w cześć wielkiego księcia". Tak usatysfakcjonowanych posłów moskiewskich wypuszczono z Warszawy 1 sierpnia.

Zażegnanie groźnego w obecnej sytuacji konfliktu z Moskwą było dużym sukcesem dyplomacji polskiej. Sukcesem, który został osiągnięty na drodze niemal dokładnie tej, jaką zaproponował Jeremi Wiśniowiecki. Książę, który tyle razy dawał dowody swoich talentów wojskowych, tym razem objawił prawdziwy talent polityczny. Warto zaznaczyć, że przez wiele lat ten sukces polityczny przypisywano... Ossolińskiemu. Dopiero Władysław Tomkiewicz odnalazł z Zbiorach Krasińskich oryginalny, cytowany powyżej list księcia. Jeśli więc nawet przyjąć, że pociągnięcia polityczne króla nie były tylko wynikiem posłuchania rad księcia, to w każdym razie były one w pełni po jego myśli.

W kilka dni po wyjeździe z Warszawy posłów moskiewskich, 9 sierpnia 1650 zmarł nagle kanclerz Jerzy Ossoliński. Wiernie służąc dworowi, zmarł znienawidzony powszechnie przez szlachtę i wcale nie opłakiwany przez króla, który „nie bolał nad jego śmiercią zasiadając tego dnia w sądzie wśród żartów". Przez wiele lat kanclerz wywierał decydujący wpływ na politykę państwa. Był niewątpliwym filarem stronnictwa „pokojowego", które wprawdzie w Zborowie poniosło klęskę zupełną, niemniej nadal wywierało ogromny wpływ na króla. Wraz z Ossolińskim szła do grobu cała epoka: plany wojny tureckiej Władysława IV, odżywająca raz po raz nawet w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach koncepcja ugłaskania Chmielnickiego i naiwność wiary w możliwość pokojowego wciąż jeszcze załatwienia sprawy kozackiej. Realizacja koncepcji „pokojowej" — zupełnie nierealnej już po Piławcach — jako jedyny efekt przyniosła rozbrajanie państwa wówczas, gdy powinno było się zbroić. Kanclerz działał zrazu z pobudek szlachetnych, pragnąc dla swej Ojczyzny i jej poddanych pokoju. Jednak nie znał zupełnie realiów ukraińskich i w swojej koncepcji był utopistą. Jego szalona magnacka duma, a nadto zadawniona niechęć do reprezentantów przeciwnej koncepcji, pchały go po raz obranej drodze coraz dalej. Już wbrew rozsądkowi, wbrew racjom, jednak na przekór opozycji. Po jego śmierci — z której cieszono się jawnie — pojawiły się w kraju setki prymitywnych nieraz paszkwili „na śmierć pana kanclerza". Jeden z nich głosił: „Legł Ossoliński Kanclerz Wielki od wielkiej choroby. Bo insza choroba nie mogła zdusić tej osoby".

Inny wierszowany paszkwil wykłada, dlaczego Polacy nie żałują swego kanclerza:

Poległ Hrabia z Tęczyna, Xiążę z Ossolina!
Czy żałujesz Ojczyzno, tak zacnego syna?
Dziwili mu się Niemcy, Włosi, Francuzowie,
Znali go szanowali Europscy Panowie,
Zaśby miał być ten godny mąż tak nieszczęśliwy
Żeby sam naród własny nie był mu życzliwy?

Na co Polska tak odpowiada:

Nie żałuję, bo on mnie także nie żałował,
Gdy na równość mych własnych synów następował.
Gdy na żałość na Turki buntując Kozaki,
Rad chytrych nieszczęśliwe pozostawił znaki...

Szlachta, jak widać, do końca podejrzewała, że Ossoliński szykował zamach na „złotą wolność" i była skłonna, w tym, co rzeczywiście sprowokowało wybuch kozacki — przygotowaniach do wojny tureckiej — upatrywać jego jedyną i główną przyczynę. Nie mogła też — jak widać — wybaczyć kanclerzowi owych cudzoziemskich tytułów „księcia z Ossolina, hrabiego na Tęczynie", które swego czasu sprowokowały taką burzę w sejmie. Śmierć kanclerza przyniosła też kres istnienia „stronnictwa pokojowego". Drugi jego filar, Kisiel, urzędując jako wojewoda w Kijowie, czas trawił na załatwianiu doraźnych konfliktów, których obfitość gwarantowało mu sąsiedztwo Chmielnickiego. Zagrzebawszy się z kretesem w drobne, lokalne sprawy ukrainne, na politykę państwa wpływu już nie miał i nawet chyba mieć już nie chciał. Odtąd polityka kozacka państwa dyktowana będzie przez dotychczasowych przedstawicieli stronnictwa „wojennego": Leszczyńskiego, który został kanclerzem wielkim, i wojewodę ruskiego Wiśniowieckiego. Politykę tę popierać będą także hetmani — nieprzyjazny księciu, ale reprezentujący tę samą orientację Potocki, i Kalinowski.

Czas był najwyższy, aby rozpocząć przygotowania do nowej wojny. Chmielnicki, pozbawiony na razie tatarskiego sojusznika, łudził przez jakiś czas Rzeczpospolitą swoją wiernością. W przeddzień ratyfikowania przez sejm ugody zborowskiej zdobył się nawet — jak widzieliśmy — na list wychwalający Wiśniowieckiego, cedując żywioną do niego nienawiść na Moskwę, która zwerbalizuje ją w żądaniach swych posłów. Wiedząc o trudnościach wewnętrznych Turcji i zabiegach dyplomatycznych Wenecji, a znając marzenia dworu polskiego, wyrażające się od czasu do czasu odgrzebywaniem coraz to bardziej nierealnych planów wojny tureckiej, udawał hetman zaporoski, że chce pójść w ślady Konaszewicza Sahajdacznego. Równocześnie mącił w Moskwie, słał posłów do Siedmiogrodu, to znów groził Moskwie, że pomoże Tatarom i odbierze jej Kazań i Astrachań, aby zaraz potem prosić cara o wzięcie Kozaczyzny pod opiekę przez państwo rosyjskie. Przez cały czas jednak nie redukował rejestru i w ogóle nie śpieszył

się z realizacją ugody zborowskiej. Formalnie mógł posiadać 40-tysięczny rejestr, ale sprytny hetman zaporoski do każdego z „legalnych" 40 tysięcy Kozaków rejestrowych dodawał jeszcze po jednym „pachołku" konnym i pieszym. Rozpoczął też Chmielnicki starania o tron mołdawski dla swego syna Tymosza. Latem hetman zaporoski najechał na przyjaznego Polsce hospodara Bazylego Lupu, przyjął w Czehrynie posła sułtana Mohameda IV, który przedstawił mu propozycję tronu mołdawskiego, jeśli podda się Turcji. Chmielnicki badał jeszcze grunt, udawał lojalność wobec Polski, kokietował Rosję wizją poddania jej Ukrainy, na koniec... w październiku 1650 przysiągł na wierność sułtanowi, za co otrzymał kaftan, tytuł księcia i stróża Porty Otomańskiej. Obiecano mu za to posiłki na wyprawę przeciw Polsce, nie przeszkadzano w zabiegach mołdawskich.

Zanim to nastąpiło, jeszcze z końcem września wysłał król posłów osobno do chana i do Chmielnickiego. Rozmowy posła królewskiego Woronicza z Chmielnickim nie przynosiły rezultatu, co Albrycht Radziwiłł tak tłumaczył: „...bowiem wiarołomny nicpoń [chodzi o Chmielnickiego] wiecznie pijany, nadęty powodzeniem, do tego doszedł w obłędzie, iż dobrze opity proponował posłowi tureckiemu przekazanie nie tylko Polski, lecz także Rzymu. Zawsze pełen niedostatku, już to dziki, już to łagodniejszy, jak wypadło z pijaństwa, ale zawsze gotował zemstę Rzeczypospolitej i hetmanowi, szukał okazji do wojny, mając posłusznych sobie wszystkich Rusinów, tak iż zawsze byli gotowi pełnić jego wolę". Doszły też do króla wiadomości, że Chmielnicki i Turków, i Tatarów nakłania do rychłej wyprawy na Polskę. Wynikiem tych intryg miało być poselstwo tatarskie wyprawione do Szwecji, którą próbowano nakłonić do wzięcia udziału w wojnie.

W tej sytuacji polecono hetmanowi przybliżyć się z wojskiem do granicy Ukrainy. Przeciw temu ostro zaprotestował Chmielnicki. Do Mołdawii hetman zaporoski *vel* „książę i stróż Porty" jeszcze tego roku zdążył wyprawić się dwukrotnie, pustosząc ją znacznie, paląc stolicę Jassy.

Szykując się do nowej wojny z Rzecząpospolitą, łudził ją nadal swą lojalnością. W tym właśnie czasie przyjął posłów od książąt Jeremiego i Dymitra Wiśniowieckich, którzy przybyli do hetmana z żądaniem, by poskromił swawolę kozacką w ich ukrainnych dobrach. Chmielnicki posłów przyjął uprzedzająco grzecznie, obiecał spełnić żądania (czyli doprowadzić do realizacji ugody zborowskiej w dobrach książęcych — bo tylko o to poselstwo prosiło) i jeszcze na pożegnanie odprowadził milę. W tej polityce usypiania czujności Rzeczypospolitej dzielnie, acz bezwiednie, sekundował Chmielnickiemu z Kijowa wojewoda Kisiel, który po staremu dawał się wodzić za nos. Tym razem jednak

jego uspokajających listów nikt w stolicy nie traktował poważnie. Polityką państwa kierowali już inni ludzie, szczególnie kanclerz Leszczyński, reprezentujący od dawna stronnictwo „wojenne".

W takiej sytuacji zwołano na koniec listopada 1650 roku sejm zwyczajny. Miał on w sposób ostateczny uregulować sprawy zaległej zapłaty dla wojska, nadto miał radzić nad obronnością państwa. Wydana przez sejm instrukcja dla sejmików, redagowana przez Leszczyńskiego w sposób otwarty, przedstawiała nowe niebezpieczeństwa kozackie. Informowała szlachtę o wszystkich nowych knowaniach Chmielnickiego, jednoznacznie przepowiadała ofensywę kozacką na wiosnę przyszłego roku. „Już tedy za takiemi praktykami i zdradliwymi zamysłami nic inszego, jeno na przyszłą wiosnę pewnej kozackiej wojny, w złączeniu z tatarską i kozacką potęgą spodziewać się". W tym samym czasie Jeremi pisał w liście prywatnym, adresowanym do jednego z senatorów: „Dla Boga! — Czasby się ocknąć i myśleć jakoby te tak straszne niebezpieczeństwa owoce, z karków swoich zwalić...". Wyglądało na to, że Rzeczpospolita rzeczywiście ocknęła się. Oficjalna polityka państwa zaczęła przebiegać po linii, którą Wiśniowiecki od 2 lat uważał za jedynie słuszną.

W naznaczonym dniu rozpoczął obrady sejm, wybierając swoim marszałkiem stolnika litewskiego Wincentego Gosiewskiego. Biskup Leszczyński powiadomił posłów, że otrzymał od króla wielką pieczęć, po zmarłym Ossolińskim, marszałek nadworny imieniem króla wręczył pieczęć mniejszą Hieronimowi Radziejowskiemu. Nowy kanclerz wielki wezwał posłów, by „ukrócając rozwlekłość słów zechcieli radzić o samym tylko bezpieczeństwie Rzeczypospolitej".

Na sejm przysłał swe „petita" Chmielnicki, w których starym swoim zwyczajem to pokornie prosił, to żądał, to groził. Prosił przede wszystkim o potwierdzenie pokoju zborowskiego pod przysięgą, przez kilku największych dostojników państwowych. Prosił też, i to „pokornie", aby powracający na Ukrainę panowie nie mścili się na swoich poddanych. Dziwił się, że dotąd nie powrócili wielcy magnaci kresowi, których owszem, zapraszał do ich ukrainnych dóbr „ale bez wielkich dworów i asystencji". Żądał natomiast zniesienia unii kościelnej i zwrócenia wszystkich dóbr cerkwi unickich dyzunitom. Na koniec zaproponował, aby wydać mu w charakterze zakładnika... księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, który tym razem zdaniem Chmielnickiego nie był już jego — jak w początkach powstania — wrogiem numer jeden, ale przeciwnie, był mu wyjątkowo bliski, bowiem „łaskawie się z dawnych czasów z wojskiem zaporoskim i poddanymi obchodził". Prawie równocześnie z tą propozycją Chmielnickiego powrócił do stolicy poseł królewski Woronicz, który na posiedzeniu u króla, w obecności hetmanów, kanclerzy, marszałka i podskarbiego oświadczył, że Chmielnicki

„niegodziwy ten człowiek niczego innego nie pragnie, jak tylko krwi księcia Wiśniowieckiego i chorążego koronnego". Tak więc propozycja hetmana zaporoskiego rychło okazała się kolejnym podstępem. W tym samym mniej więcej czasie, jednego z pokojowców królewskich, protegowanego wojewody Kisiela, niejakiego Wereszczakę, ujęto na gorącym uczynku szpiegostwa na rzecz Chmielnickiego. W tej sytuacji uznano, że zapewne poselstwo kozackie również przybyło do stolicy głównie w celach szpiegowskich.

Jeremi Wiśniowiecki przybył do Warszawy 12 grudnia. Pierwsze jego wystąpienie sejmowe dotyczyło odroczenia sądów nad wojskiem do przyszłego sejmu. Książę sądził bowiem, że w aktualnej sytuacji nie należy drażnić wojska, tym bardziej że oskarżonych o różne wykroczenia było ponad 1000 żołnierzy! Wniosek księcia poparli hetmani, toteż król przyjął go bez zastrzeżeń.

W dniu 20 grudnia radzono nad liczebnością wojska. Król zaproponował 45 000. Łączyło się to z koniecznością uchwalenia odpowiednich podatków, toteż wielu posłom liczba zaproponowana przez króla wydała się zbyt wysoka. Planu króla bronili solidarnie hetmani. Przelicytował ich — wciąż popularny bardzo tak wśród wojska, jak i posłów — Jeremi, żądając 60 000!

W wigilię roku pańskiego 1650 sejm zdecydował o liczbie wojska: 36 000 w Koronie, 15 000 w Wielkim Księstwie Litewskim. Było to największe wojsko, na jakie zdobyła się Rzeczpospolita w czasie wojen kozackich. Stronnictwo wojenne odniosło swój pierwszy sukces. Był to więc także sukces polityczny Wiśniowieckiego.

Ale księciu potrzebny był jeszcze inny — mianowicie finansowy. Od z górą dwóch lat żył na kredyt. Lista jego wierzycieli wydłużyła się znacznie. Pożyczał już nie tylko od najlepszych przyjaciół czy powinowatych, ale także od swoich oficerów i dworzan. Żalił się więc książę wojewodzie lubelskiemu Tarle, że od trzech blisko lat nie ma dochodów ze swych zadnieprzańskich dóbr, że z jego dóbr wciągnięto — bezprawnie — 10 000 chłopów do rejestrów kozackich, a jeszcze na dodatek chcą mu zabrać dopiero co nadane starostwo przemyskie. Zwrócił się też Jeremi do sejmików z prośbą o poparcie, jeśli nie przy nowych nadaniach, to przynajmniej przy utrzymaniu się przy starostwie przemyskim. Poparły więc księcia sejmiki ruski, lubelski, wołyński. Niestety — nowego starostwa nie otrzymał, nie utrzymał się nawet przy przemyskim. Na skutek protestu posłów pruskich, którzy żadną miarą nie chcieli dopuścić do nadania starostwa sądowego przemyskiego wojewodzie ruskiemu, musiał Jeremi zrzec się jurysdykcji przemyskiej, którą król ofiarował podstarościemu przemyskiemu Marcinowi Madaleńskiemu, nawiasem mówiąc dworzaninowi książęcemu. Czy

Madaleński był tylko figurantem, a dochody z jurysdykcji czerpał nadal książę, tego nie wiadomo, wiele jednak zdaje się za tym przemawiać. Gdyby miało być inaczej, tak dochodowe nadanie dostałoby się zapewne komuś znaczniejszemu niż Madaleński.

Sejm kończył się jednak — mimo wszystko — sukcesem księcia, zmobilizowawszy sporą, jak na owe czasy, armię, upoważnił króla do zwołania pospolitego ruszenia. Dawało to wreszcie szansę pokonania Kozaków w następnym starciu, a w konsekwencji szansę powrotu księcia do zadnieprzańskich posiadłości. Posiadłości dających dochody, przy których wpływy ze starostw przasnyskiego i przemyskiego razem wziętych znaczyły niewiele. Wiśniowiecki nie wątpił, że do tego starcia dojdzie już na wiosnę. Widząc po raz pierwszy Rzeczpospolitą przygotowaną do wojny, patrzył w przyszłość z optymizmem. Tym bardziej że został też uhonorowany dowództwem straży przedniej, którą miał prowadzić na wypadek wojny, podczas gdy hetmani mieli wieść siły główne, wzmocnione pospolitym ruszeniem.

Znając trudną sytuację finansową księcia, król zaproponował wzięcie jego prywatnego wojska na żołd państwowy. Jeremi nie zgodził się. Wywołało to nową falę podejrzeń. Podejrzewano go o tajemne stosunki z Rakoczym, to znów o knowania... z Turcją. Tę ostatnią plotkę rozpuścił Kisiel, opierając się na rzekomej relacji hospodara Lupula, który miał mu pisać, że wezyrem tureckim został Wołoch, wuj Jeremiego, i że rzekomo książę z wezyrem wymienili posłów. Podejrzeń Kisielowych nie potwierdziły ani żadne dokumenty, ani fakty. Najoczywistszy kłam zadała im najbliższa przyszłość. Niezgodzenie się księcia na przejście jego chorągwi na żołd państwowy tłumaczyć można względami ambicjonalnymi. Fakt taki byłby jednoznaczny z przyznaniem się do ruiny finansowej i to w przeddzień — jak miał prawo sądzić — powrotu do swego zadnieprzańskiego „państwa". Książęce siły zbrojne obejmowały łącznie kilka zaledwie chorągwi. Nie było to już owe 6000, które w przeddzień wojny miał stale na Zadnieprzu. Nie miały więc one żadnego zasadniczego znaczenia, a jedynie symboliczne. Dlatego też dla ewentualnych „knowań" z Rakoczym czy Turcją byłoby bez najmniejszego znaczenia, czy książę miał je jeszcze i opłacał z własnej kiesy, czy też były utrzymywane ze skarbu państwa.

XVII. BERESTECZKO

Okazało się, że nie mylili się ci, którzy przepowiadali na wiosnę kolejną ofensywę kozacką.

Już w lutym 1651 rozpoczął działania wojenne na Podolu pułkownik kozacki Neczaj. Ruszył przeciw niemu hetman polny Kalinowski, który pod Stanisławowem i nad Dniestrem miał rozlokowane chorągwie. Otrzymawszy wiadomość, że Neczaj stanął w warownym, należącym do Zamoyskiego miasteczku Krasne, które zdobył siłą, ubezpieczony sotnią Spacienki w Woroszyłowie, wysłał hetman oddział żołnierzy przeciw Spacience. Zaskoczeni Kozacy dali słaby opór, tak że „mało co Kozaków z Setnikiem uszło". W tym samym czasie, kiedy wydzielony oddział dobywał Spacienkę, siły główne „chorągwie porzuciwszy, cicho, kłusem, kozackim trybem ku miastu Krasnemu postępowały; gdzie Kozacy byli tego rozumienia, że setnia Spacienkowa do nich szła. Gdyż już blisko pod miasto podstąpili, tam zaraz z krzykiem wpadli do bram. Do których zaraz sam Neczaj, pułkownik bracławski z lůdźmi przypadł, broniąc onym wejścia do miasta. Tam zaraz Neczaja zabito". Reszta Kozaków pod dowództwem Awratyńskiego, szlachcica polskiego, „setnika na ten czas kozackiego", zamknęła się w zamku. Po krótkiej obronie Kozacy opuścili zamek, który natychmiast obsadzili Polacy.

Spod Krasnego poszedł Kalinowski pod Murchawę, której załoga od razu poddała się, oddając armaty. Spod Murchawy ruszono do Czerniejowic, które także otwarły przed hetmanem swe bramy. Broniła się natomiast Ściana, w której zamknęli się Kozacy pod dowództwem niejakiego Kałusa. Po krótkiej walce poddała się Ściana, starszyzna kozacka złożyła przysięgę wierności i Kozaków puszczono wolno. Wysłał stąd hetman na podjazd w kierunku Jampolu pułki wojewody Lanckorońskiego i chorążego Koniecpolskiego. W Jampolu rzeczywiście zgromadzeni byli Kozacy. Uczestnik tego podjazdu tak to opisuje: „w nocy straż ubiegłszy wysiekliśmy ludzi niegotowych, miasto wy-

siekliśmy i spalili, jako największych buntowników [...] Armatęśmy i prochy JMPanu Hetmanowi przynieśli, więźniów różnych niemało znacznych. [...] 7 martii [marca], powróciliśmy się szczęśliwie do Czerniejowic do JMPana Hetmana i tameśmy odpoczęli sobie".

Odpoczynek nie trwał długo — ruszono ku Winnicy, wyprawiając przodem podjazd pod wojewodą bracławskim Stanisławem Lanckorońskim. Pod winnickim zamkiem Kozacy wyszli na otwarte pole, które było zamarzniętą młaką. Kiedy chorągwie polskie z impetem ruszyły, Kozacy cofnęli się, a pod kopytami polskich jeźdźców zaczął pękać słaby wiosenny lód. W tym starciu zginęło wielu oficerów i towarzyszy. Udało się jednak opanować zamek, natomiast Kozacy zamknęli się w mieście, a mając siły zbyt szczupłe do jego obrony, nocą wycofali się do obronnego monasteru. Widząc, że miasto jest wolne od Kozaków, chorągwie polskie zajęły je, szturmując później warowny monaster, przy dużych stratach własnych. Spod samych tylko chorągwi młodego księcia Dymitra Wiśniowieckiego postrzelono 16 towarzyszy i 1 oficera. (Warto też wspomnieć, że Kozakami dowodził w Winnicy znany nam z *Ogniem i mieczem* Bohun). Zdobywanie monasteru szło opornie. Wysłany na podjazd w kierunku Lipowicy obożny koronny Samuel Kalinowski natknął się na idącą Bohunowi odsiecz. Siły kozackie były znaczne — podobno Chmielnicki wysłał pod Winnicę po sotni z każdego pułku — toteż hetman Kalinowski zarządził odwrót. Wycofywano się w szyku taborowym w kierunku Baru. Odwrót zrazu planowy i spokojny przeszedł rychło w panikę, a zakończył się bardzo niechlubnie: „zgubiono" po drodze piechotę, pozostawiono na pastwę nieprzyjaciela tysiąc chorych i rannych.

Wreszcie 24 marca dotarł Kalinowski do Baru. Widok bastionów tej potężnej podolskiej twierdzy uspokoił nieco wojsko, które zatrzymała się tu dla nabrania oddechu. Spod Baru wycofał się Kalinowski do Kamieńca. Tymczasem Kozacy, idący za nim krok w krok, zajęli Bar. Odwrót Kalinowskiego z Podola żywo przypominał „retiradę" wojska regimentarskiego w lecie 1649. Nie tylko „zgubił" Kalinowski piechotę, zostawił armaty, wozy, ale także rannych i chorych! Zbiegło też z oddziałów hetmańskich ponad 500 żołnierzy. Prosił Kalinowski króla o posiłki. Król prośby usłuchał, ale żołnierze — wciąż nie opłacani — zamiast śpieszyć do hetmana, „zajęci byli łupiestwem" i na czas nie zdążyli. Kampania 1651 zaczęła się jak najfatalniej.

13 kwietnia król wyrusza z Warszawy do Lublina, wydając po drodze trzecie wici, wyznaczające na miejsce koncentracji pola pod Sokalem. Tymczasem Chmielnicki jedną trzecią swych sił skierował na Kamieniec. Twierdza była dobrze obsadzona przez Kalinowskiego, który zostawił tu część swych wycofujących się spod Baru sił, toteż

po kilku krwawo odpartych szturmach (9—12 maja) Kozacy odstąpili, próbując ścigać cofającego się do króla Kalinowskiego, parę razy podjazdami dopadali jego straż tylną, w starciu z którą nie odnieśli jednak sukcesu, przeciwnie, ponieśli nawet dość poważne straty. Bez dalszych już przeszkód hetman polny koronny przyprowadził więc do obozu królewskiego — radośnie witany przez samego króla — 7000 żołnierzy.

W czasie kiedy przy boku króla w obozie pod Sokalem zbierało się rycerstwo, Chmielnicki stał jeszcze pod Białą Cerkwią, szykując się do zadania ciosu stokroć straszniejszego niż wszystkie dotychczasowe. Na armię polską miała wkrótce ruszyć z głębi Ukrainy potężna armia kozacko-tatarska, na tyłach zaś wybuchnąć wielkie antyszlacheckie powstanie. Emisariusze Chmielnickiego prowadzili agitację na ziemiach etnicznie polskich: na Mazowszu, w Wielkopolsce, w Krakowskiem. Hasła antyszlacheckiego powstania padały — jak mogłoby się zdawać — na dość podatny grunt, bowiem ucisk chłopów w Rzeczypospolitej, wolnościami szlachty słynącej, był rzeczywiście wielki, większy niż gdziekolwiek na zachodzie Europy. Niebezpieczeństwo wybuchu wojny chłopskiej obiektywnie istniało, tym bardziej że szlachta ciągnąć miała na pospolite ruszenie. Czy Chmielnicki rzeczywiście wierzył, że uda mu się na ziemiach rdzennie polskich wywołać powstanie, można wątpić. Wiedział jednak na pewno, że sama świadomość takiego niebezpieczeństwa powstrzymać może szlachtę od wyruszenia na pospolite ruszenie, a zatem osłabi w konsekwencji siły królewskie. Powstanie nie wybuchło, doszło jedynie do kilku ruchawek w znaczeniu lokalnym, szybko i brutalnie stłumionych. Najbardziej znanym jest epizod, wyolbrzymiany swego czasu przez historiografię, zwany „powstaniem Kostki Napierskiego".

Podobnie jak Napierski na Podhalu, tak w Wielkopolsce Piotr Grzybowski również bez większego skutku próbował wywołać rozruchy chłopskie. Waga militarna tych poczynań była znikoma, jednak mimo że nie przybrały one spodziewanych rozmiarów, wywołały wiele zamieszania na tyłach zbierającego się pod Sokalem wojska i niewątpliwie osłabiły jego morale.

Kiedy pospolite ruszenie gromadziło się pod Sokalem, Chmielnicki wyruszył już spod Białej Cerkwi. Szedł wolno, zatrzymując się wielokrotnie dla przyjęcia w swe szeregi czerni, którą dzielił na sotnie i pułki. Teraz „ku Kamieńcowi przeciw wojsku ruszył się i na Batohu nad Bohem stanąwszy, ordy oczekiwał, która skoro przyszła, zaraz ich z częścią Kozaków pod wojsko nasze posłał, co hetmani z podjazdów i języków zrozumiawszy [...] ku Sokalowi pomału postępowali". W ślad za cofającymi się hetmanami szedł Chmielnicki, którego przednia straż

starła się z wycofującym się wojskiem koronnym pod Kupczyńcami w pobliżu Tarnopola. Hetman zaporoski nie ścigał jednak korpusu wojsk koronnych, tylko stanął obozem niedaleko Tarnopola i tu czekał na przybycie głównych sił tatarskich. Wielki obóz kozacki rozciągnięty był na olbrzymim obszarze, sięgając niemal do Zborowa. Namiot kozackiego wodza znajdował się w Zagrobelskim Lesie. Pamięć o tym wśród ludności miejscowej przekazywano z pokolenia na pokolenie. Jeszcze przed ostatnią wojną ludność podtarnopolskich wsi Draganówki i Janówki pokazywała w lesie koło źródła zwanego z tej okazji „Atamańską Kiernicą" miejsce, w którym obozować miał wówczas Chmielnicki. Po obozie kozackim nie było już żadnych śladów, ale pamięć o tamtych wydarzeniach wciąż była żywa w legendzie, jednej z tych, w które tak obfitowały ziemie wschodnich kresów Rzeczypospolitej.

Gdy hetman Kalinowski cofał się przed przeważającymi siłami kozackimi do Baru, a stamtąd do Kamieńca, Jeremi, który w tej kampanii nie brał udziału, pisał w Krzeszowie testament (kopię tego testamentu odnalazł w okresie międzywojennym prof. W. Tomkiewicz). „Pewny i niepewny kres żywota ludzkiego — pisał książę. — Pewny albowiem *cunctis diebus* [przez wszystkie dni] oczekiwany, *donec veniat imutatio* [aż nadejdzie] śmierć. Niepewny, albowiem kiedy ma nieuchwytny dzień *mortalitatis* [przemijania] terminować, *quisque caret voto suo* [któż jest w stanie przewidzieć swe przeznaczenie] [...] Oddaję duszę jako *aeternam creaturam aeterno Deo* [nieśmiertelny twór wiecznego Boga]. Wzywam i Najświętszej Panny, aby do prezentowania jej Majestatowi Twemu była *advocata et mediatria* [obrończynią i orędowniczką] [...] Ciału zaś memu, że *in visceribus terrae natura stravit lectum* [cielesną ziemi stanowi przyrodzoną własność], takowe naznaczam *parentalia* [uroczystości żałobne], aby w wiszniowieckim kościele nowo wymurowanym za niedziel najdalej cztyry, nie będzie li mogło być prędzej, miało swoje *depositorium*, które, aby się bez żadnych pomp światowych i próżnych wyniosłości, owszem według ceremonii kościoła rzymskiego w jako największej asystencji kapłanów, sług bożych i kongresie ubogich odprawione było — małżonki mojej miłej i niżej wyrażonych egzekutorów ostatniej woli mojej proszę. Koło trumny sobie *splendorem humilitatis* [blaskiem ubóstwa], która szarem tylko suknem obita być ma, zachowuję, to jako najbardziej miłej małżonce mojej zalecając, żeby przy dokończeniu dni moich zaraz na trycezymy uczyniła *distributionem* [rozdział] summy trzech tysięcy złotych do kościoła częstochowskiego, sokalskiego, podkamieńskiego, leżajskiego, jarosławskiego w polu i kalwaryjskiego...". W dalszej części testamentu książę zapisywał 60 000 zł na klasztor oo. Karmelitów Bosych w Wiśniowcu —

tyleż tysięcy zapisał jezuitom na założenie kolegium w Rumnie na Zadnieprzu, uposażając je zarazem włością rumneńską. Również 60 000 zł zapisywał książę bernardynom w Łubniach z przeznaczeniem na wymurowanie kościoła i klasztoru. „Ratyfikował i aprobował" wszystkie swoje dotychczasowe nadania na rzecz kościołów i klasztorów na Zadnieprzu, zalecając potomnym, aby sami takie nadania czynili i pomnażali, dając im wykaz miejscowości, w których fundować je miał zamiar, ale dotąd nie zdążył. Szczególnej opiece spadkobierców zalecił książę cerkiew w Wiśniowcu, w której spoczywały ciała jego rodziców. Dalej pisze o swojej małżonce, która była mu wierną towarzyszką życia, zlecając jej opiekę nad synem Michałem, którego każe kształcić w kraju i za granicą, aby był przygotowany do „usługiwania ojczyźnie i domu swego rządzenia". Poleca też synowi, aby ufundował szpitale przy kościołach w Białym Kamieniu, Wiśniowcu i w Łubniach, a następnie co roku w dzień św. Michała po 500 zł oddawał na ich utrzymanie. Do szpitali tych mają być przyjmowani w pierwszej kolejności ludzie „na wojnach poszwankowani, albo na usłudze Rzplitej pokaleczeni". Lokalnym plebanom nakazuje sprawowanie nad nimi opieki. Cały rozdział testamentu poświęcony jest służbie i żołnierzom księcia, których oddaje w opiekę wykonawców testamentu, zapisując im spore sumy. Wyraża też troskę o jak najszybsze zwrócenie majątku synowcom, nad którymi do niedawna sprawował opiekę. Ostatnie rozporządzenie woli książęcej uzupełnione zostało starannym rejestrem żołnierzy i sług, którym winien jest wypłatę żołdu.

Testament Jeremiego Wiśniowieckiego zasługuje na uwagę wielu względów. Sam fakt jego sporządzenia przed wyruszeniem na wyprawę wskazywać się zdaje, że książę postawił wszystko na jedną kartę i w nadchodzącej kampanii nie zamierza się oszczędzać. Treść testamentu wykazuje silną wiarę księcia w ostateczne zwycięstwo nad Kozakami, wszak większość zapisów dotyczy miejscowości leżących na Zadnieprzu. Wysokość zapisów na różne cele świadczy też o tym, że książę wierzył, że spadkobiercy powrócą do utraconej przez niego zadnieprzańskiej fortuny. Bez niej bowiem nie byłoby mowy o realizacji testamentu.

Ale tekst testamentu jest dla nas ważny także z innego jeszcze powodu: rzuca on mianowicie sporo światła na samą osobę księcia. Mówi on nam o Jeremim jako człowieku o wiele więcej niż wszystkie inne sporządzone przez niego dokumenty. Siedząc na cudzym chlebie, w cudzym dworze w Krzeszowie, Jeremi pobierał ostatnią — jak się wkrótce okaże — lekcję pokory. To, że ten dumny niegdyś do najwyższych granic magnat prosi o skromny pogrzeb „bez pomp światowych i próżnych wyniosłości", o trumnę „szarym tylko suknem obitą" nie da się chyba wytłumaczyć tylko kontrreformacyjną modą.

Scena pisania testamentu w krzeszowskim dworze nie doczekała się — na podobieństwo znanej sceny przed krucyfiksem w komnacie zbaraskiego zamku — opisu literackiego. Do czasu odnalezienia przez prof. Tomkiewicza odpisu testamentu nikt o nim nawet nie wiedział. Przypuszczać tylko można, że był to moment w życiu Jeremiego równie ważny. Przed trzema laty w Zbarażu książę, poddając się pod komendę regimentarzy, odniósł zwycięstwo nad swoją dumą, pychą, nad samym sobą. Zaczął się wówczas najpiękniejszy, najwartościowszy, pełny poświęcenia okres jego życia. W zaciszu krzeszowskiego dworu Jeremi po raz może pierwszy myślał o śmierci. Po raz pierwszy zadumał się nad „pewnym i niepewnym kresem żywota". Nie ma powodu wątpić, aby rozważania te, które przelał na papier, nie były szczere. Zarówno treść jak i forma książęcego testamentu zdają się wskazywać, że przemiana, jaka dokonała się w nim na początku wojen kozackich, była trwała.

Po sporządzeniu testamentu Jeremi wziął się energicznie do przygotowań wojennych. Za pożyczone olbrzymie sumy czynił prywatne zaciągi wojska i ekwipował je. Część jego wojska, będąca na żołdzie państwowym — mimo wcześniejszych sprzeciwów księcia — wojowała wraz z hetmanem Kalinowskim na Podolu. Były to 3 chorągwie husarskie i 6 kozackich. Razem z tym wojskiem był u boku hetmana polnego młody kniaź Wiśniowiecki — Dymitr. Po toczonej ze zmiennym szczęściem kampanii wczesnowiosennej hetman polny wprowadzał swe oddziały do obozu królewskiego. Robiły one nie najlepsze wrażenie. „Było tego wojska zrazu około 12 tysięcy, teraz nie masz go więcej sześć tysięcy i to lubo zrazu komunne [konne], teraz bardzo nużne i tak sami ustawicznymi pracami nadwyrężeni, jako i konie całe od fatygi znędznione. Chorągwie tak polskie jako i cudzoziemskie, bardzo kuse; towarzystwa niemało, u czeladzi wielka część piechotą" — opisywał hetmańską dywizję świadek jej przybycia do obozu, Stanisław Oświęcim. Obóz królewski wypełniał się wojskiem.

27 maja król zarządził przegląd „wojsk kwarcianych — tak dawnego, jako i nowego zaciągu". Przegląd wojska wypadł imponująco — dawno już Rzeczpospolita nie zgromadziła sił tak znacznych i ciągle zwiększających się, bowiem coraz to nowe chorągwie zasilały obóz sokalski. Duch w obozie panował dobry, tym lepszy, że w nocy ze środy na czwartek (28/29 maja) żołnierze z chorągwi wojewody podolskiego Stanisława Rewery Potockiego „na straży będąc, w polu widzieli białogłowę na powietrzu płaszczem swym obóz nasz okrywającą, co Najświętszej Pannie przypisawszy, padli na kolana [...] i śpiewali nabożnie. Które widzenia mieliśmy sobie za oczywiste znaki protekcyjej Jej nad wojskiem i przyszłych, da Bóg zwycięstw".

W kilka dni po owym wojewodzińskich żołnierzy widzeniu, 1 czerwca wjechał do obozu książę wojewoda ruski, Jeremi Wiśniowiecki. Przyprowadził on królowi nowy zaciąg prywatnych swych żołnierzy: „szło naprzód kozackich chorągwi z różnego towarzystwa zaciągniętych trzy, za nimi chorągiew Tatarów czwarta, piąta wołoska; dragonów potym kornet jeden i znak księcia Dymitra Wiśniowieckiego supplementowy. Piechota przy wozach wprzód szła". Podobno zanim Jeremi przybył pod Sokal, spotkał się z królem w Lublinie. Król demonstracyjnie okazywał księciu swe względy i jak donoszono nuncjuszowi, miał mu obiecywać kasztelanię krakowską. Informacja ta brzmiała jednak dość nieprawdopodobnie, bowiem urząd pierwszego świeckiego senatora Rzeczypospolitej wcale nie wakował, przeciwnie, dzierżył go sam hetman wielki koronny. Albo więc król dzielił skórę, która jeszcze była na niedźwiedziu, albo chciał pogłębić konflikt pomiędzy Wiśniowieckim a Potockim, co w przeddzień walnej rozprawy z Kozakami byłoby zupełnie pozbawione sensu i jako takie wydaje się nader wątpliwe. Nie jest też wykluczone, że ktoś z królewskiego otoczenia, w którym Wiśniowiecki zawsze był nielubiany, celowo rozpuścił taką pogłoskę, chcąc w konsekwencji zaszkodzić księciu. Tymczasem pod Sokal ściągała wezwana na pospolite ruszenie szlachta.

Na naradzie, która odbyła się pod osobistym przewodnictwem króla, a w której wzięli udział wszyscy wybitniejsi znajdujący się w obozie dowódcy i dygnitarze, zastanawiano się nad planem kampanii. Planowano przesunąć się z wojskiem w stronę Lwowa i stanąć obozem pod Glinianami. Miało to zabezpieczyć także południową granicę, obawiano się bowiem, że Rakoczy może, będąc w zmowie z Chmielnickim, próbować dywersji na tyłach armii polskiej.

Wiśniowiecki był innego zdania. Ponieważ Chmielnicki tkwił ciągle pod Tarnopolem, oczekując przybycia głównych sił tatarskich, książę radził szybki manewr pod Tarnopol i tam wydanie Kozakom bitwy, zanim zdążą przybyć Tatarzy. Plan ten, ze wszech miar słuszny, miał jednak tę wadę, że był planem Wiśniowieckiego. Jak zawsze w takich razach, tak i teraz Kisiel zgłosił pomysł przeciwny. Wojewoda kijowski, który zdaje się po raz pierwszy nie uważał, że głaskaniem Chmielnickiego można jeszcze cokolwiek wskórać, nie odmienił się mimo wszystko tak bardzo, aby zgodzić się z jakimkolwiek planem Wiśniowieckiego. Zaczął więc teraz wywodzić, że w obozie jest jeszcze... za mało szlachty. Nie należy więc — Boże broń — ruszać na Tarnopol, ani nawet iść pod Gliniany. Najlepiej będzie tkwić pod Sokalem i czekać na dalszych pospolitaków. Pomysł Kisiela wnet spodobał się większości i postanowiono nie ruszać się spod Sokala. Zaprzepaszczono więc szansę narzucenia Chmielnickiemu bitwy przed nadejściem głównych sił

tatarskich. Z drugiej jednak strony dało to czas na lepsze zorganizowanie stale powiększających się sił królewskich. Wojsko podzielono na 10 pułków. Jednym z nich, złożonym z 3 chorągwi husarskich i 9 kozackich dowodził Wiśniowiecki.

W połowie czerwca nadeszła wiadomość, że Chmielnicki połączył się już z ordą i ruszył całością sił na północ, kierując się na obóz sokalski. Uzyskawszy tę wiadomość, rozkazał król wymarsz. Przodem wysłał król Koniecpolskiego z zadaniem opanowania przepraw na Styrze. 22 czerwca wojsko przeprawiło się przez Styr i rozłożyło obozem na wschodnim brzegu rzeki. Odwrót za rzekę był ubezpieczony przez trzy umocnione fortyfikacjami mosty. Stojąc na tej bezpiecznej pozycji, oczekiwano nadejścia nieprzyjaciela. Chmielnicki nie chciał uderzać na zajmujące tak wygodne pozycje wojska polskie i postanowił je stamtąd wywabić. Rozpuścił więc pogłoski, że w obawie przed królem postanowił cofnąć się w głąb Ukrainy. Prawdopodobnie chciał zaskoczyć ścigające go wojsko królewskie w czasie przeprawy przez Ikwę, podobnie jak uczynił to dwa lata temu pod Zborowem.

Podstęp byłby się zapewne udał. Król po swoich imieninach — obdarowany sowicie porzez senatorów (od Jeremiego dostał w prezencie konia z siodłem i rzędem zdobionym bursztynami), mimo otrzymania wielu kosztownych prezentów w nastroju był nie najlepszym. Nie wiedział bowiem, co czynić mu wypada. Żal mu było opuszczać dogodną pozycję, z drugiej strony chciał ścigać uchodzącego — jak sądził — nieprzyjaciela. Wahał się jeszcze trzy dni, po czym 27 czerwca rozkazał zwinąć obóz, kierując się na Dubno.

Chmielnicki na to tylko czekał. Przez licznych szpiegów śledził ruchy królewskiego wojska, teraz ruszył mu szybkim marszem naprzeciw. Król przekonany, że marsz Kozaków odbywa się w zgoła przeciwnym kierunku, kto wie czy nie dałby się zaskoczyć przy przeprawie przez Ikwę. Gdy kolumna wojsk królewskich czołem swym wysunęła się na milę od Beresteczka, idący w przedniej straży Wiśniowiecki, dochodzący już prawie do Wiśniowca, wysłał podjazd, który wprawdzie zniesiony został przez przednią straż wojsk kozackich, dostarczył jednak dowodu, że Chmielnicki nie uchodzi wcale na Ukrainę, ale idzie całą potęgą przeciw królowi. Wedle innego źródła wiadomość o tym miał przesłać szpieg księcia Jeremiego. Trudno dociec, która z tych wersji była prawdziwa — a możliwe, że obydwie, bowiem nie wykluczają się one wzajemnie, fakt, że armia została ostrzeżona przez Wiśniowieckiego. W tej sytuacji król nakazał wojsku cofnąć się na pozycje beresteckie i tu czekać nieprzyjaciela. Tegoż dnia siły królewskie wzmocniło pospolite ruszenie kilku spóźnionych województw. Przez całą noc z 27/28 czerwca sypano szańce.

Nazajutrz oczom wojska ukazał się — idący widać na rozpoznanie — doborowy oddział tatarski, w sile kilku tysięcy ludzi. Na widok zbliżających się Tatarów wojsko polskie wyszło przed okop na otwarte pole. Prawym skrzydłem dowodził hetman wielki Mikołaj Potocki, centrum, gdzie znajdowały się oprócz jazdy również artyleria i tabory, dowodził osobiście król, lewym skrzydłem Jeremi Wiśniowiecki z hetmanem polnym Kalinowskim. Po trwających parę godzin harcach, nieprzyjaciel uderzył całą swoją siłą na lewe skrzydła polskie. Siłę tego uderzenia osłabił znacznie Aleksander Koniecpolski, który na czele swej jazdy zastąpił Tatarom drogę. Na zwracających skrzydło w stronę jazdy Koniecpolskiego ordyńców uderzył na czele 6 lekkich chorągwi Jeremi, któremu w sukurs na czele husarii ruszył Czarniecki, natenczas porucznik hetmana wielkiego. W ślad za nacierającym Wiśniowieckim ruszyli pospolitacy z województwa sandomierskiego. Uderzenia tego Tatarzy — którzy nigdy zresztą jeździe polskiej nie dorównywali w otwartym polu — nie wytrzymali. Na uciekających natarł jeszcze raz Koniecpolski i część pułku marszałka koronnego „i nagnano ich w błota i siła ich tam zabito i siła natonęło". Słońce dawno już zniknęło za horyzontem, kiedy zwycięskie wojsko wracało do obozu. Kończył się pierwszy dzień bitwy beresteckiej. Zwycięstwo, odniesione wprawdzie tylko nad przednią strażą tatarską, napawało jednak otuchą.

Następnego dnia (29 czerwca) oczom Polaków ukazały się główne siły kozacko-tatarskie. Nieprzyjaciel sforsował niewielką rzeczkę Płaszewkę (dopływ Styru), zajął okoliczne, dominujące nad okolicą wzgórza i podpalił, dla wywołania większego wrażenia, wszystkie okoliczne wsie, nawiasem mówiąc ruskie. Na widok zbliżającego się nieprzyjaciela jazda polska wyszła znów z okopów. Obydwie potęgi stanęły naprzeciw siebie. Nie ulega wątpliwości, że bitwa berestecka była największym starciem polsko-kozackim, do którego obie strony zmobilizowały olbrzymie siły. Zgoda, że podawana przez niektóre diariusze, a w ślad za nimi powtarzana w dobrej wierze przez niektórych historyków liczba ponad 500 000 Kozaków i Tatarów jest przesadzona. Ale też niektórzy współcześni historycy zbyt pochopnie popadli w drugą skrajność podając, bez żadnej na dobrą sprawę rzetelnej podstawy, zaniżone liczby obu wojsk (57 tys. Polaków i 90 tys. Kozaków i Tatarów łącznie). Albrycht Radziwiłł, bardzo rzetelny w swych informacjach, pisze, że „razem siły całego wojska nieprzyjaciela dochodziły do 300 tysięcy ludzi, naszych zaś było prawie 100 000". Inny Radziwiłł — książę Bogusław, uczestnik bitwy i jeden z dowódców, z całą pewnością dobrze zorientowany w sprawie liczebności sił własnych podaje, że „naszego wojska było doboru *effective* osiemdziesiąt tysięcy". Jeśli „*effective*" było 80 000, to znaczy, że było więcej. Książę Bogusław

podając liczbę wojska nie uwzględnił zapewne czeladzi, tak więc łącznie z nią mogło być pod Beresteczkiem ze strony polskiej blisko 100 000 ludzi. Były to siły — po obu stronach — ogromne. Toteż bitwę berestecką określa się czasem mianem jednej z największych w dziejach ówczesnego świata. Tak wielkie potęgi jeszcze nie starły się z sobą. Pierwszy dzień upłynął tylko na „rozpoznawaniu walką" sił polskich.

W drugim dniu bitwy (29 czerwca) silne natarcie tatarsko-kozackie uderzyło na lewe skrzydło polskie (Kalinowskiego i Wiśniowieckiego). W ciężkiej walce lewe skrzydło „wywijało się jakoby z matni" przeważającym siłom nieprzyjacielskim. Ruszyły na pomoc chorągwie z innych skrzydeł. Korzystając z zamieszania po stronie polskiej, Tatarzy nowymi siłami uderzyli w centrum, któremu pośpieszył z pomocą Wiśniowiecki, bowiem wreszcie uporał się z gniotącym go dotąd przeciwnikiem. Skoncentrowana w centrum artyleria polska silnym ogniem z dział zatrzymała natarcie, które zmieniwszy nagle kierunek, uderzyło z furią na prawe skrzydło polskie, odnosząc poważne sukcesy, biorąc między innymi chorągiew husarską hetmana wielkiego.

Wczesnym popołudniem bitwa ucichła. Jej bilans był nader niekorzystny dla strony polskiej. Poległo wielu spośród starszyzny wojskowej, m.in. Adam Hieronim Kazanowski, pisarz polny koronny oraz Jerzy Ossoliński, starosta lubelski. Straty tatarskie także były niemałe (zginął m.in. tatarski podskarbi), niemniej Tatarzy utrzymali pole i sami z niego odeszli, kiedy chcieli. Bitwa wykazała jednak zupełną bezplanowość walki — oddanie całej inicjatywy w ręce Tatarów, chaos polskiego dowodzenia, a właściwie jego brak. Każdy dowódca dowodził swoim tylko oddziałem, odpierał ataki i przychodził sąsiadom z pomocą wtedy, kiedy chciał. Zdawało się, że powtórzą się Piławce, pod którymi ukute powiedzenie „Każdy panek to hetmanek", zachowało pełną aktualność. Wojsko schodziło z pola do okopu znużone, pobite, z poczuciem klęski. Pogłębiał się jeszcze brak zaufania do wodzów. Hetmanom pamiętano Korsuń, królowi Zborów. Sytuacja stawała się poważna. Wojsko było zniechęcone i bliskie demoralizacji.

Na następny dzień miało dojść do rozstrzygającego starcia. Zebrali się więc dowódcy na naradę, aby opracować jakąś koncepcję walki i ustalić zasady dowodzenia. Równocześnie trzeba było zadbać o podniesienie upadającego na duchu wojska. W takich razach dowódcom przychodziły zwykle z pomocą niebiosa. Wykorzystywanie uczuć religijnych zabobonnych żołnierzy i szlachty dla zaszczepienia im chęci walki i wiary w zwycięstwo, było — jak się zdaje — stałą praktyką dowódców tego czasu. Ponieważ po ostatnich walkach szczególnie obawiano się Tatarów — „nad samym obozem pokazał się Święty Michał na powietrzu z Najświętszą Maryą Panną, który jakoby za chanem gonił,

grożąc mu mieczem". Wprawdzie nie bardzo wiadomo, kto to dziwowisko zobaczył, niemniej relację o nim przekazywano od chorągwi do chorągwi, od namiotu do namiotu i nikt nie wątpił w jej autentyczność. Słuchając opowieści o tym, jak nad obozem święty Michał po niebie latał, grożąc mieczem chanowi (swoją drogą, skąd wiadomo, że akurat chanowi?) „nasi niewypowiedzianie uweseleni niezwyciężonego prawie nabrali serca". A o to chodziło.

Zarówno nocna narada dowódców, jak i „cud na niebie widoczny" odniosły swój skutek. Wczesnym rankiem, pod osłoną mgły wyprowadzono z obozu wojsko, ustawiając je „na modłę holenderską" w szachownicę. Każde pole czarne tej „szachownicy" stanowiło tzw. skwadron złożony z 6 chorągwi. Ustawienie wojsk polskich Albrycht Radziwiłł tak opisuje: „Komendę nad prawym skrzydłem powierzył król hetmanowi kasztelanowi krakowskiemu [Mikołajowi Potockiemu], na tym skrzydle stali ze swymi pułkami wojewoda bracławski, marszałek koronny, podkanclerzy litewski i chorąży koronny*. Na czele zaś lewego skrzydła postawił król hetmana polnego, wojewodę czernihowskiego [Marcina Kalinowskiego], dodając mu wojewodę ruskiego, wojewodę podolskiego i wojewodę kujawskiego**. Środkowym szykiem, który składał się z żołnierza niemieckiego autoramentu i z husarii, dowodził sam król, umieściwszy szlachtę zebraną z województw w rezerwie, częściowo na lewym i częściowo na prawym skrzydle. Pobliski prawemu skrzydłu las, skąd mógłby nieprzyjaciel przyczaić się na naszych, wzmocnił król wojskiem, a obóz piechotą".

Ustawienie wojska na zachodnioeuropejską modłę, wymieszanie husarzy z cudzoziemskimi rotami w dowodzonym przez króla centrum nie podobało się niektórym starym polskim wodzom, nawykłym do innego stylu wojowania. Oburzył się na te nowe porządki sam hetman wielki koronny, strasząc, że z oburzenia „chyba nożem się pchnie". Nikogo jednak, jak się zdaje, perspektywą tą nie przeraził, więc poniechał tego zamiaru, być może swoim zwyczajem kojąc rany w winie, co jest tym prawdopodobniejsze, że istotnie w czas bitwy już niedomagał i dowództwo prawego skrzydła objął w zastępstwie za niego wojewoda Lanckoroński.

Jako odwód dla centrum pozostawił król w zamkniętym obozie 3000 węgierskiej piechoty. Takie rozstawienie wojska dawało silne ogniem, spieszone centrum i dwa ruchliwe skrzydła jazdy.

---

* Stanisław Lanckoroński, Jerzy Lubomirski, Kazimierz Leon Sapieha, Aleksander Koniecpolski.

** książę Jeremi Wiśniowiecki, Stanisław Rewera Potocki, Jan Szymon Szczawiński. Szczawiński był wojewodą brzesko-kujawskim.

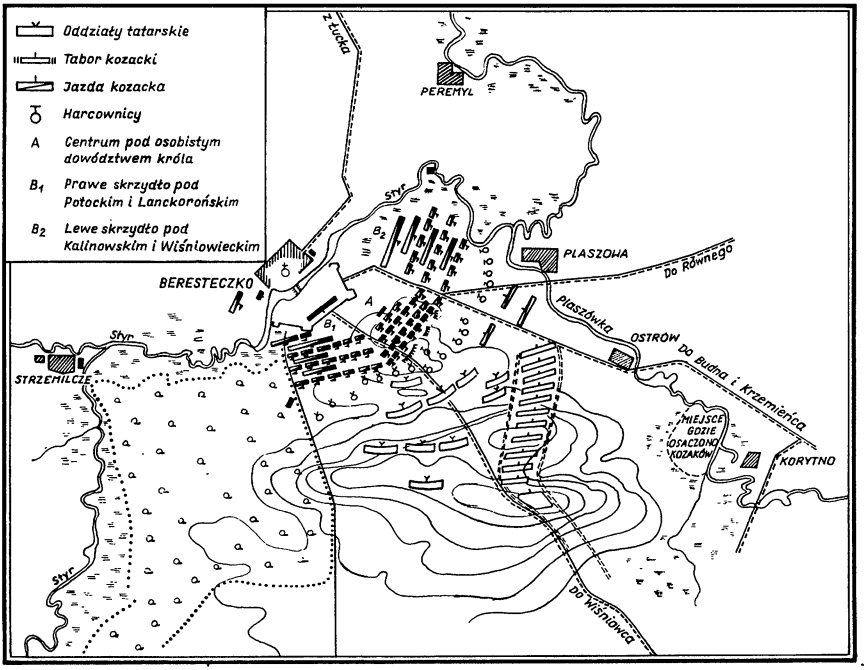

Bitwa pod Beresteczkiem (wg M. Kukiela)

Tak uszykowane jeszcze nad ranem wojsko czekać musiało aż do godziny 10, kiedy dopiero rozwiała się mgła i można było ujrzeć przeciwnika. Pod osłoną mgły również nieprzyjaciel przegrupował swe szyki. Lewe skrzydło zajęli Tatarzy, prawe jazda kozacka. Stosunkowo słabe centrum przy potężnych skrzydłach stanowiła grupa posiłkowa tatarsko-wołosko-turecka pod dowództwem Nuradyna. Za wojskiem, na wzgórzach rozciągnął się tabor kozacki. Gdy mgła ustąpiła, obydwie armie ujrzały się naprzeciw siebie. Z szeregów kozackich i tatarskich wysunęli się naprzód harcownicy, ale nikt nie ruszył im na spotkanie. To król zakazał, pod utratą gardła, wysuwać się z szeregów. Tylko artyleria dawała raz po raz ognia. „Tak, dzięki przemyślności, starszego nad armatą Przyjemskiego, bito, że od każdego wystrzału, nieprzyjaciel ustawiony w ciasnych szeregach gęsto padał trupem". W południe wojsko odśpiewało nabożną pieśń *O gloriosa domina*. Do godziny trzeciej po południu armie wciąż trwały naprzeciw siebie. Dopiero gdy Kozacy zaczęli prowadzić roboty ziemne, sypiąc wały i zataczając wozy, szykując się do obrony, Jan Kazimierz rozkazał centrum powoli posuwać się naprzód. Wówczas dowodzący faktycznie lewym skrzydłem Jeremi

przysłał do króla Zygmunta Denhoffa z prośbą o zezwolenie na rozpoczęcie ataku. Król zgodził się. Ledwie Denhoff zdążył przycwałować do księcia z królewskim zezwoleniem, „w trąby i bębny kazawszy uderzyć, ruszył się zaraz sam książę z lewym skrzydłem, sam osobą swoją osiemnaście chorągwi kwarcianych, po sześciu na skwadron przywodząc".

Tak rozpoczęła się jedna z najwspanialszych szarż w dziejach jazdy polskiej. Na czele 18 chorągwi pędził „ów dziw odwagi", książę Jeremi. Był bez zbroi, z gołą głową, z dobytą szablą w ręku. Na ten moment czekał wiele dni.

Na widok nacierającej z furią jazdy polskiej ruszyła do kontrataku jazda kozacka, z boku zaś, na czele swoich, Nuradyn. Za moment jazda Wiśniowieckiego klinem wbiła się w masę kozacką. W ślad za jazdą książęcą ruszyły chorągwie pospolitego ruszenia sandomierskiego i krakowskiego. Kopyta końskie wzbiły taką kurzawę, że tuman pokrył walczących. Król próbował obserwować bitwę przez lunetę, ale nie mógł nic dojrzeć. Wysłał więc na pomoc Wiśniowieckiemu szlachtę łomżyńską i sieradzką. Przeciw tej zwrócił się teraz Nuradyn. Odciążyło to znacznie księcia. Ale wódz tatarski silnym uderzeniem rozproszył już pospolitaków łomżyńskich i uderzył na krakowskich. Byłby i tych rozbił, ale Jeremi, już uporawszy się z jazdą kozacką, uderzył tak silnie w Nuradynowych ordyńców, że spędził ich z pola.

W tym czasie król kazał ruszyć zdecydowanie do przodu całemu centrum. Jeremi widząc cofających się pod naporem królewskim Tatarów, spędziwszy z pola resztę jazdy kozackiej, natarł wściekle na tabor. Zdobycie taboru utworzonego z 10 rzędów wozów pospinanych łańcuchami nie jest rzeczą prostą dla jazdy. Wykorzystując zaskoczenie i panikę wywołaną porażką jazdy kozackiej, udało się konnicy Wiśniowieckiego rozerwać trzy rzędy wozów! Ale teraz nad księciem i nad jego chorągwiami zawisło ogromne niebezpieczeństwo. Nacierając z taką furią, nie zorientował się książę, że centrum nie nadąża za nim, na skutek czego ma odsłonięte całe prawe swoje skrzydło. W to odsłonięte skrzydło uderzył teraz Nuradyn, który tymczasem zebrał na powrót swych rozproszonych wojowników. Musiał więc książę, straciwszy całą chorągiew jazdy, nie tylko poniechać taboru, ale wycofać się na wysokość centrum.

Król denerwował się, że Lanckoroński wciąż nie naciera z prawym skrzydłem. Ale doświadczony wódz wiedział, co robi. Gdyby usłuchał królewskiego rozkazu i ruszył do przodu, odsłoniłby całe prawe skrzydło królewskiego centrum i w nie uderzyłaby wówczas zaporoska piechota, którą jeszcze na początku bitwy Chmielnicki wysłał, by obchodząc lasem prawe skrzydło polskie, zaatakowała tyły obozu polskiego. Tak

więc Lanckoroński pozostając w miejscu, osłonił prawą flankę nacierających teraz razem króla i Wiśniowieckiego.

Losy bitwy — mimo przewagi i inicjatywy polskiej — były jeszcze nie rozstrzygnięte. Chan raniony został w nogę, a widząc śmierć swego brata i wielu dostojników tatarskich, załamał się ostatecznie i rzucił do ucieczki. Widząc białą chorągiew chana, artylerzyści polscy wypalili w jej kierunku z działa. Strzał był precyzyjny — stojący tuż obok chana Tatar spadł zabity z konia. Kiedy na dodatek skwadron cudzoziemski spod komendy Bogusława Radziwiłła dał salwę z muszkietów, w ślad za swym wodzem zaczęła uciekać cała jazda tatarska, zostawiając Kozaków na polu. Widząc, co się dzieje, Chmielnicki pognał do chana, by go zatrzymać. Niewykluczone, że przymówił mu zbyt ostro, dość, że Islam Giraj „wściekł się", kazał ordyńcom porwać hetmana zaporoskiego i związanego uwiózł z sobą w stronę Wiśniowca. Kozaków, którzy za jednym zamachem nie tylko że stracili sojusznika, ale wraz z nim naczelnego wodza, ogarnęła panika. Zaczęli uciekać z pola, próbowali schronić się w taborze, który tymczasem cofnął się na wzgórze, chroniąc w zakolu Płaszewki. Za uchodzącymi ruszyło teraz prawe skrzydło polskie, dotąd nietknięte. Jakąś grupę Kozaków uciekających do taboru dopadła nawet polska czeladź, bijąc srodze i biorąc łupy. Gdy zapadł zmrok, na placu pozostały już tylko chorągwie polskie. Orda uciekła, Kozacy, którym nie udało się w porę umknąć do taboru, polegli. W ręce polskie dostały się namioty chana, jego rydwan, konie i stada bydła.

Za bohatera dnia powszechnie uznawano Jeremiego, a to z tej racji, że nie tylko rozpoczął szczęśliwie bitwę, prowadząc jazdę do wspaniałej szarży, ale też utrzymał na sobie największe przeciwnatarcie. Nie tak efektownym może jak Jeremi, niemniej też bohaterem dnia był Przyjemski, który ogniem artylerii czynił spustoszenia wśród nieprzyjaciół. Celny zaś strzał w najbliższe otoczenie chana Islam Giraja, kto wie czy nie zadecydował o losach bitwy.

Wprawdzie dzień 30 czerwca zakończył się wspaniałym zwycięstwem polskim, ale bitwa była jeszcze nie zakończona. W taborze zamknęło się więcej Kozaków, niż strona polska posiadała żołnierzy. Tabor obronny był nie tylko kilkoma rzędami wozów spiętych łańcuchami, ale także samą obronnością miejsca. Zabezpieczało go zakole rzeki, bagna i las. W tych warunkach trudno było szturmować tabor. Postanowiono więc na razie przystąpić do oblężenia, zanim król nie sprowadzi z Zamościa, Lwowa i Brodów potężnych dział, które mogłyby skutecznie razić Kozaków. Na razie przystąpiono do rozmów. Polacy nie wiedzieli, że Chmielnickiego nie ma w taborze, toteż jako jeden

z warunków postawili wydanie Chmielnickiego. Kozacy, gdy zrozumieli, że Polacy nic o uprowadzeniu hetmana zaporoskiego nie wiedzą, postanowili z typowym dla nich sprytem wykorzystać i tę sytuację. Szybko zrobili kukłę podobną do Chmielnickiego i przywiązali ją do drzewa, próbując wytargować jak najlepsze warunki poddania, a w każdym razie możliwie długo przeciągać rokowania, by w tym czasie obmyśleć jakąś drogę wydostania się z matni. Polacy zrazu nabrali się na tę mistyfikację, którą jednak zdradził jakiś zbieg kozacki.

Chcąc tabor rzeczywiście zamknąć szczelnym pierścieniem, polecił król Wiśniowieckiemu w 2 tysiące żołnierzy obstawić jego tyły. Jeremi zażądał do wykonania tego zadania 15 000 żołnierzy. Król upierał się, że wystarczy 2 tysiące. Doszło do sprzeczki. Jan Kazimierz, jak zwykle w takich razach, obraził się i zadanie polecił wykonać Lanckorońskiemu. Ten posłusznie wziął 2 tysiące ludzi i próbował obstawić tyły taboru. Jak się wkrótce miało pokazać, taka liczba żołnierzy była stanowczo niewystarczająca.

Kozacy nadal prowadzili rokowania, jednak pod ich osłoną sypali przez bagna groblę. Kiedy dowodzący taborem pułkownik Dziedziała gotów był poddać się, zrzucono go z dowództwa, wybierając na jego miejsce Bohuna. Nowy wódz nie w układach szukał rozwiązania. Polecił co prędzej kończyć groblę przez bagna. Rąbano więc las, topiono w bagnie wozy, grobla krok po kroku przedzierała się przez topieliska. Po tygodniu oblężenia Bohun wraz ze starszyzną udali się na lustrację obozu i prac przy grobli. Wówczas ktoś krzyknął, że starszyzna ucieka. Zdemoralizowanych klęską w polu, a teraz tygodniowym oblężeniem Kozaków ogarnęła panika. Rozpoczęto — rozrywając wozy — bezładnie uciekać z taboru. Widząc, co się dzieje, chorągwie polskiej jazdy od razu ruszyły w pogoń. Była to nie bitwa, lecz rzeź. Od polskich szabel padło wiele tysięcy Kozaków, wielu utonęło w wodzie lub w bagnach. Tylko część udało się uratować Bohunowi, wyprowadzając przez groblę na drugą stronę bagien. Teraz okazało się, że do zabezpieczenia tyłu taboru owe 2 tysiące żołnierzy Lanckorońskiego to było za mało. Gdyby król wysłał tam Wiśniowieckiego z 15 000 ludzi, z obozu kozackiego prawdopodobnie nikt by nie uszedł z życiem.

Podczas gdy część chorągwi dorzynało bezładnie uciekających w pole, część wdarła się do wnętrza opustoszałego już obozu kozackiego. W ręce polskie wpadły olbrzymie łupy. Zdobyto insygnia wojskowe hetmana zaporoskiego, całą kancelarię Chmielnickiego wraz z korespondencją zagraniczną, wielką ilość żywności i różnych dóbr, w większej części zrabowanych szlachcie i miastom w poprzednich kampaniach. W rozbitym taborze poniósł śmierć gość Chmielnickiego, pa-

triarcha jerozolimski*, a do niewoli dostał się poseł patriarchy carogrodzkiego, który przywiózł kozackiemu wodzowi złotą szablę i „benedykcję imieniem całej religii greckiej". Tego ostatniego złapał żywcem rotmistrz wołoskiej chorągwi Jeremiego, tak że złota szabla trafiła do Wiśniowieckiego, ten jednak odesłał ją królowi, by dołożył ją do innych trofeów, wśród których samych chorągwi kozackich było kilkadziesiąt. Wszystkie trofea „położono przed obrazem Boskiej Dziewicy, który król zabrał z Chełma schizmatykom na tę wyprawę, sławny to obraz najdawniejszymi cudami".

Zwycięstwo odniesione na polach beresteckich było olbrzymie. 10 lipca król wraz z całym wojskiem śpiewali na pobojowisku *Te Deum laudamus*, „tymczasem ciurowie i piechota plądrowali obóz nieprzyjacielski". Było to jedno z największych zwycięstw oręża polskiego.

Jak się jednak okazuje, nie wielkość bitwy, ani nawet nie wielkość odniesionego zwycięstwa ma decydujący wpływ na dzieje. Dla losów Polski o wiele większe znaczenie miały bitwy nad Żółtymi Wodami czy pod Korsuniem, gdzie po obu stronach walczyło zaledwie po parę do parenastu tysięcy. Jednak wielkość beresteckiego zwycięstwa nie potrafiła zatrzeć skutków żółtowodzkiej czy korsuńskiej klęski. Jak widać, decydujące znaczenie ma moment, w jakim zwycięstwo zostało odniesione. Małe zwycięstwo odniesione we właściwym czasie znaczy więcej niż największe w czasie mniej właściwym. Nie wszystko więc zależy od siły. Na szczęście.

---

* Sprawa nie jest zupełnie jasna. Wedle jednych źródeł miał to być arcybiskup Peloponezu i Koryntu, wedle innych był to patriarcha jerozolimski zwany raz Joasefem, raz Paisjuszem, ten sam, który swego czasu dawał Chmielnickiemu „zaocznie" ślub z Czaplińską, jeszcze inne podają, że był to patriarcha antiocheński Eudoksjusz.

XVIII. OSTATNIA KAMPANIA

A jednak wojna mimo to nie była jeszcze wygrana. Jeszcze na wolności był Chmielnicki, który na nowo zbierał rozproszone po Ukrainie wojska kozackie. Jeszcze Bohun wyprowadził, ratując od pogromu, parę tysięcy Zaporożców. Jeszcze w granicach Rzeczypospolitej byli Tatarzy. Rozstrzygnięcie wojny wymagało teraz podjęcia natychmiastowego pościgu za uchodzącymi w głąb Ukrainy zdziesiątkowanymi Kozakami i ich ostatecznego rozbicia.

Niestety. Nieumiejętność wykorzystywania zwycięstw militarnych było smutną specjalnością Polaków. Było to efektem braku konsekwencji w postępowaniu, było też cechą polskiego, narodowego charakteru. W momentach najbardziej krytycznych potrafiono zmobilizować się, wzbić na wyżyny bohaterstwa, dokonywać cudów poświęcenia, imponować braterstwem i solidarnością w wymiarach obcym nacjom nie znanych. A wszystko to pryskało jak bańka mydlana po odniesionym sukcesie. Pamiętamy, jak bohaterowie Zbaraża pobili się między sobą o starą armatę porzuconą przez Chmielnickiego. Brak wytrwałości i systematyczności, kłótliwość, niweczyły efekty najwspanialszych zwycięstw militarnych, największych, zadziwiających świat sukcesów. Jeszcze w dwieście kilkadziesiąt lat później zwycięski wódz przestrzegał rodaków: „Zwyciężyć i spocząć na laurach — to klęska!" Cała historia naszego narodu — to historia zwycięstw, spoczynków i klęsk. W tym samym czasie mniejsze narody budowały swą potęgę bez wielkich zwycięstw, ale systematyczną pracą, konsekwentną polityką, która pozwalała im na ogół unikać również wielkich klęsk. A jeśli się nawet zdarzyły, ich skutki udawało się niwelować systematyczną, mądrą pracą. Jeśli mówi się o nie wykorzystanych zwycięstwach polskich, często jako przykład podaje się Grunwald. Niezupełnie zresztą słusznie, jak wykazał to Stefan Kuczyński. O ileż lepszym przykładem jest zwycięstwo beresteckie!

Przepędzenie Tatarów, rozgromienie Kozaków, zdobycie tak obfi-

tych łupów, wśród nich wszystkich insygniów władzy hetmana zaporoskiego, przyszło dość niespodziewanie i w sumie nad podziw łatwo. Toteż szlachta, która przybyła na pospolite ruszenie wyjątkowo tłumnie i stawała mężnie, była dosłownie oszołomiona sukcesem. „Przed nocą otrąbiono dalszy pościg za „nieprzyjacielem". Niektóre województwa żądały, by jednak najpierw król wysłuchał ich przedstawicieli „i ku złemu przykładowi otrzymały na to zgodę". Zamiast ścigać nieprzyjaciela, cały dzień 12 lipca stracono na bezowocne rozmowy. Ci, którzy powinni byli słuchać rozkazów, wystąpili w roli partnera w rokowaniach z królem. Nie pomogły perswazje króla, hetmanów, nawet tak popularnych wodzów jak Wiśniowiecki. Pospolitacy uważali, że wojna jest skończona i dalej na Ukrainę iść nie myśleli. Przeciwnie, „już głośno na króla wołali, aby ich do domów rozpuszczono, nic więcej, tylko prawo o pospolitym ruszeniu allegując [przypominając] i dalszego ojczyzny nie upatrując niebezpieczeństwa". „Do bab, do domów, do pierzyn się chciało" — komentowano złośliwie. Prawdopodobnie nie bez znaczenia na postawę szlachty wpływ miały wieści o początkach stłumionej ruchawki na Podhalu czy w Wielkopolsce. W dzień triumfu pod Beresteczkiem doszła do szlachty wiadomość, że ów „niejaki Kostka (jeśli imienia tego godzien) [...] w tychże dniach od biskupa krakowskiego natenczas Piotra Gembickiego był szturmem dobyty i na pal wbity został", niemniej niepokój o los domów i rodzin pozostawał. I niewiele pomogło tłumaczenie, że „już był biskup krakowski te rzeczy uspokoił", ani nawet to, że kilka chorągwi na wszelki wypadek do Polski centralnej jeszcze przed bitwą oddelegowano, szlachta wolała na wszelki wypadek sama dopilnować swych poddanych, a nie podejmować Bóg wie jak długo trwającą wyprawę w głąb Ukrainy.

Jan Kazimierz, który niegdys mniemał, że samą swoją obecnością uspokoi Kozaków, teraz sądził, że osobistym przykładem przekona szlachtę do udziału w nowej kampanii. Ruszył więc na czele wojsk kwarcianych w stronę Krzemieńca, spodziewając się, że szlachta podąży za nim. Optymizm króla okazał się nieuzasadniony. Po odjeździe króla spod Beresteczka pospolite ruszenie zawiązało koło generalne i uchwaliło powrót do domu. Jedynym ustępstwem na rzecz króla i domagających się dalszej wojny senatorów było to, że pozwolono z poszczególnych województw zaciągnąć na żołd ochotników. Dało to ostatecznie liczbę 12 000 żołnierzy, którzy zasilić mieli oddziały kwarciane i prywatne poczty magnackie. Była to jawna niesubordynacja, dostarczająca kolejnego dowodu, że złota wolność doszła już do stanu zwyrodnienia.

W tej sytuacji król oświadczył, że „patrząc na tak małą garstkę wojska i uważając w jakie siebie i Rzplitą mógłby wdać niebezpie-

czeństwo, gdyby sam *in persona* [osobiście] w tak szczupłej kupie w nieprzyjacielskie miał iść kraje" — wysyła wojsko z hetmanami na Ukrainę, sam zaś... wraca do Warszawy. Zaprotestowali przeciw temu dowódcy, zapewne najenergiczniej, jak można wnosić znając jego naturę — Jeremi. „Książę Wiśniowiecki, kontradyktorując temu powrotowi i napominając, aby dalej król postępował z wojskiem; z dworskich sam ksiądz kanclerz na toż samo nakłaniał". Obecność króla przy wojsku miała nie tylko znaczenie moralne. Należało się spodziewać, że w razie jego odejścia wycofa się z kampanii cały szereg magnatów ze swymi prywatnymi pocztami. Co też w istocie się stało.

Jan Kazimierz nie lubił nade wszystko, gdy mu zwracano na cokolwiek uwagę. Obraził się więc na księcia i przymówił mu „że on na podjazd i na drugą tylko stronę taboru kozackiego nie chciał iść, jeno w 15 tysięcy, a teraz króla samego na wszystek ciężar wojny [...] wypchnąć chce". Przymówka była obraźliwa i krzywdząca księcia, tym bardziej, o czym już wszyscy zebrani wiedzieli, że wówczas Jeremi miał rację.

Król jednak postawił na swoim i 18 lipca wyjechał do Lwowa, a stamtąd do Warszawy. Wraz za królem odjechał m.in. książę Bogusław Radziwiłł wraz ze swymi cudzoziemskimi rotami i niektórzy inni magnaci. Na Ukrainę ruszyło 16 000 jazdy i 8 000 piechoty pod dowództwem hetmanów. W skład tego wojska wchodziły także chorągwie Jeremiego Wiśniowieckiego, który nie odmówił sobie udziału w tej ekspedycji wierząc, że dotrze zbrojnie aż do opuszczonego przed z górą trzema laty Zadnieprza. Siły to były szczupłe, zaś z Ukrainy dochodziły wieści, że Chmielnicki rekonstruuje rozbitą pod Beresteczkiem armię, że „do nóg chanowi upadł, [...] prosząc, aby go nie odstępował i że z Lachami będzie łatwiejsza sprawa jak wnijdą w Ukrainę w mniejszej kupie".

Król powróciwszy do Warszawy „ubiór polski, którego do tego czasu od zborowskiej expedycyi zażywał, znowu na francuski zamienił". Nie wiadomo co ta odmiana ubioru miała oznaczać: czy król się na szlachtę pogniewał, czy też uznał, że nie musi już jej kokietować. Zmianę królewskiego stroju dostrzeżono i natychmiast pojawił się złośliwy wierszyk:

> Niepewnie pono zguby Polacy ujdziecie,
> Gdy w męstwie, jak i w sukniach odmianę przyjmiecie.

Jan Kazimierz z Warszawy rozkazał hetmanowi litewskiemu Januszowi Radziwiłłowi ruszyć z wojskiem litewskim z północy, zająć Kijów i nawiązać kontakt z armią koronną.

Pochód wojsk koronnych odbywał się w ciężkich warunkach. Ulewne deszcze rozmyły gościńce, wezbrane rzeki utrudniały przeprawy. Żyzne i bogate tereny Wołynia były spustoszone przemarszem wojsk kozackich, a jeszcze może bardziej tatarskich. Wojsko miało więc także kłopoty ze zdobyciem żywności. Z końcem lipca oddziały dobrnęły dopiero do Horynia. Tu postanowiono rozdzielić się na trzy części. Miało to przyspieszyć marsz, który — jak uznano — z powodu przepraw przez rzeki tak dużej liczby wojska szczególnie był zwolniony. Również zaprowiantowanie trzech mniejszych dywizji, idących równoległymi torami, było łatwiejsze. Z lewym, północnym skrzydłem szli Wiśniowiecki i hetman Kalinowski, nadto Stanisław Rewera Potocki i Jan Zamoyski. Centrum prowadził hetman Potocki z Lanckorońskim i Szczawińskim, skrzydło prawe, południowe prowadził Aleksander Koniecpolski. Brak żywności dawał się mocno we znaki. Wojska szły przez „kraj tak zniszczony, że się o nim rzec może: «ziemia zaś była pusta i niezamieszkała». Ani miast, ani wsi, jedno pole a popiół; ani ludzi, ani zwierząt żywiących nie widać, chyba ptactwo na powietrzu".

W pierwszych dniach sierpnia wojska docierały już do ziem mniej ogniem wojny popalonych, jednak bezludnych, bo ludność cała uciekła w głąb Ukrainy. Na pograniczu Wołynia i województwa kijowskiego zatrzymało się wojsko na kilka dni, dla odżywienia się i odpoczynku. Tu doszły do wycieńczonych głodem i marszem żołnierzy krzepiące wiadomości o sukcesach wojsk litewskich idących od północy, w końcu najbardziej radosna dla nich wieść o wzięciu przez Litwinów Kijowa. Na wieść o tym dowódcy poszczególnych skrzydeł porozumieli się z sobą, co czynić dalej. Hetman Potocki chciał iść na południe, nad Boh, gdzie spodziewał się zastać kraj nie zniszczony i odżywić jeszcze wojsko. Wiśniowiecki, a za nim i inni uważali, że trzeba iść co prędzej przez Chwastów na Kijów dla połączenia się z wojskiem litewskim. Plan ten był słuszny, bowiem trzeba było się spieszyć. Chmielnicki zdążył już bowiem ochłonąć z beresteckiego pogromu, obsadzić silnymi załogami zamki Chwastów, Białą Cerkiew i Trylisy, zorganizować też korpus manewrujący w polu. Jasne było, że czas pracuje teraz na korzyść hetmana zaporoskiego, któremu z każdym dniem przybywa Kozaków. Zdanie Jeremiego przeważyło. Postanowiono nie zwlekając ruszyć w stronę Kijowa. Ustalono, że podzielone na trzy grupy wojsko znów połączy się, a na punkt koncentracji wyznaczono Pawołocz — miasto należące do Zamoyskiego.

Tuż przed Pawołoczą na 7 polskich chorągwi wypadł podjazd złożony z 2 000 Kozaków i 500 Tatarów. Chorągwie te „nie wiedzieć *quo fato* [dlaczego] obaczywszy nieprzyjaciela zaraz się nazad rejterować poczęły, wozy swoje na łup nieprzyjacielowi zostawiwszy; który

wsiadłszy na nie gnał ich aż do Pawołoczy [...]. I tak jechałby na nich aż w samą Pawołocz [...], ale zrządzeniem Boskim stało się, że w tenże moment Pan Wojniłłowicz Rotmistrz Xcia Wojewody ruskiego w pięć chorągwi z boku przypadł, z usarskimi i wołoskimi chorągwiami i Tatarów już za naszymi hurmem goniących w pół przejął, że jedni nazad uchodzić musieli do Białej Cerkwi, a drudzy w przedmieściach zostali od naszych zagarnieni". Trzech znaczniejszych Tatarów wzięto do niewoli i przyprowadzono do księcia akurat w czasie obiadu. Wiśniowiecki od jeńców dowiedział się, że przy Chmielnickim jest już 2 010 Tatarów „bo nas na moście jednym liczono przechodzących", a będzie wkrótce 4 000, bo przybędą ci, którzy teraz „konie podpasają". Zeznali też, że chana nie będzie tej jesieni przy Chmielnickim. Wkrótce nowych „języków" dostarczył niejaki Jurycha, rotmistrz hetmana, a w dwie godziny później Wojniłłowicz wraz z innymi oficerami Jeremiego przyprowadzili trzech nowych jeńców. Potwierdzili oni zeznania co do liczebności Tatarów znajdujących się przy Chmielnickim, a nadto ujawnili, że nieprzyjaciel nie ma o siłach polskich żadnych informacji, sądzili, że król z wojskiem zawrócił, a na Ukrainę tylko „panięta idą do domów swoich", co najwyżej w asystencji prywatnych wojsk.

Była więc okazja do szybkiego uderzenia na nie spodziewającego się niczego Chmielnickiego, póki w obozie nad Rosawą ma przy sobie ledwie garść ludzi. Jeremi proponował, aby Białą Cerkiew ominąć, czasu na jej zdobywanie nie tracąc, szybko Chwastów zająć („bo tam nie masz potęgi kozackiej"), nawiązać kontakt z Radziwiłłem i dopiero uderzyć na kwaterę hetmana zaporoskiego. Hetman Potocki był niezdecydowany, nie bardzo wiedział, co robić.

Do obozu wojsk koronnych przybył posłaniec z listem od hetmana litewskiego, który namawiał do prędkiego połączenia obu wojsk. Treść listu wspierała koncepcję Wiśniowieckiego przeciw planowi hetmana, który gotów był unikać walki, wszczynając z Chmielnickim rokowania. Tak czy owak, postanowiono zatrzymać się kilka dni pod Pawołoczą, aby zebrać wszystkie wojska i całością sił ruszyć na Chwastów. Hetman „posłał jako najprędzej przeciwko rajteriej i armacie pozad będącej, tudzież i piechocie, bez której sam trudno co począć". Wojsko potrzebowało kilkudniowego postoju nie tylko dla dokończenia koncentracji, ale i dla odpoczynku. Głód, trudy marszu sprzyjały epidemii, która zaczęła zbierać obfite żniwo: „rzadka to chorągiew, żeby kilkunastu towarzystwa leżeć nie mogło na swoje gorączki".

13 sierpnia w namiocie księcia Jeremiego odbyła się narada dowódców. Postanowiono na niej uderzyć na Chwastów, opanować go a następnie podjąć wspólne działania z wojskiem litewskim. Książę „w ten czas zdrów i wesoły był, napijając się z Imciami według potrze-

by. Nazajutrz, w poniedziałek, z pragnienia zjadł ogórków, potym miodu się napił, z czego żołądek zepsował i w gorączkę wpadł". Jeremi zrazu lekceważył swoje dolegliwości, gdy jednak okazało się, że stan jest poważny, Jan Zamoyski kazał go przewieźć do zamku powołockiego i tam oddał pod opiekę swojego lekarza Cunasiusa. Choroba mimo zabiegów lekarza nie ustępowała, lecz pogłębiała się. Wysoka gorączka, ostre biegunki szybko wycieńczały organizm chorego. Książę był jednak przytomny. Zdawał sobie sprawę, że zbliża się kres jego żywota, że choć jest już tak blisko, nie zdoła dotrzeć do swojego ukochanego Zadnieprza. Poprosił o spowiednika. Komunię chciał przyjąć na klęczkach. Nie miał już jednak siły, by zejść z łoża. Kazał się znieść. Nawet klęczeć o własnych siłach już nie mógł, musiano go podtrzymywać. Konał przytomnie, wyrażając żal, że nie umiera na koniu, w czasie bitwy, jak przystało na rycerza.

O godzinie 11, w niedzielę, dnia 20 sierpnia już nie żył. Wieść o śmierci księcia wojsko przyjęło zrazu z niedowierzaniem, a gdy smutna wiadomość została potwierdzona, spowodowała jeden wielki wybuch żalu. Świadczą o tym dobitnie wszystkie współczesne relacje, zgodnie oddając uczucia wojska.

Nieznany autor diariusza obozowego pod datą „20 Augusta" zapisał: „Xsiążę Pan Wojewoda ruski — Jeremi Wiśniowiecki, z wielkim żalem wojska wszystkiego, a prawie całej ojczyzny [...] zmarł".

Mikołaj Jemiołowski, towarzysz lekkiej chorągwi w swym *Pamiętniku* tak wspomina ten dzień: „X. Wiśniowiecki wojewoda ruski [...] w chorobę wpadł był i po staremu nie wracając się nazad [...] na ostatek, tamże pod Pawołoczą ostatnie dnia swego ze żalem wojska wszystkiego dokonał [...]. Żałością ta xsiążęcej śmierci okazja trochę nam wojsko zatrzymała, którego ciało łzami opłakawszy do Polski wyprawili [...]. Dzielny to był pan bardzo i lubo przy małym wzroście, ale serca wielce mężnego, a co największa wojsku całemu wielce miły (lubo i z invidją [zawiścią] niektórych)".

Podobną relację daje w swym *Latopiścu — albo kroniczce* Joachim Jerlicz: „Dnia 20 książę Wiśniowiecki Jeremi Korybut mąż i sprawca wojskowy, rycerz doświadczony w boju [...] umarł w obozie pod Pawołoczą: po którym wszystkie Rycerstwo żałosne było jako dzieci małe po matce, gdyż był to pan dobrotliwy nie poważny [...]".

Inny, nieznany z imienia autor tak napisał w swej relacji: „aż tu Bóg naszych zasmucił strasznie: bo ów waleczny kawaler, książę Jeremiasz Wiśniowiecki, wojewoda ruski, w Pawołoczy zwyciężony od śmierci z wyroków boskich został, z wielkim całego wojska i ojczyzny żalem. Lamentowali wszyscy a wszyscy nasi nad umarłym księciem".

Pod datą 20 sierpnia Stanisław Oświęcim w swym *Dyariuszu* pisze

tak o śmierci książęcej: „dnia tego rozstał się z tym światem z wielkim wojska wszystkiego, któreby go było krwią swoją rado odkupiło i wszystkiej Rzplitej żalem".

Szczerze żałowali księcia nie tylko żołnierze, nie tylko szlachta, ale także najpoważniejsi mężowie stanu. Kanclerz litewski Albrycht Radziwiłł w swym *Pamiętniku* zapisze: „z dużą szkodą Rzeczypospolitej zmarł jeden z najbardziej wojowniczych bohaterów, wojewoda ruski Wiśniowiecki [...] godny najlepszej i niezmazanej pamięci". Zaś jeden z największych poetów polskich XVII wieku Samuel ze Skrzypny Twardowski opłakuje śmierć Jeremiego w strofach swego wiersza:

Znalazł Bóg w czym nagle zasmucił
Woysko wszystko, i iako o ziemię porzucił
Głowy iego Koronę, gdy Wiśniowieckiego
Xsięcia Wojewodę zagasił Ruskiego ...

Jak widać, żal z powodu śmierci księcia Jeremiego był powszechny. Żałowali go najzacniejsi senatorowie, wojsko, szlachta, nawet Żydzi (czego dowodem fragmenty żydowskiej *Kroniki* Natana Hannowera). Opłakiwali jego śmierć poeci. Nie przesadził więc Stanisław Oświęcim pisząc, że książę rozstał się z tym światem z „wszystkiej Rzeczypospolitej żalem".

Nagła śmierć młodego, bo liczącego 39 lat księcia, który jeszcze na kilka dni przed śmiercią „zdrów i wesoły był", wywołała oprócz powszechnej rozpaczy także podejrzenia o otrucie. Autor relacji z obozu pawołockiego zapisze wprost: „obawiamy się żeby nie trucizną był zniesiony". Podejrzenia były dość powszechne, podejrzany — choć go nie śmiano z nazwiska wymieniać — był chyba jeden: hetman wielki koronny Mikołaj Potocki. Antagonizm między hetmanem a zarazem kasztelanem krakowskim, a wojewodą ruskim istniał od dawna, a pogłębił się ostatnio, kiedy przy przekazywaniu władzy nad wojskiem w Lublinie obydwaj magnaci wyrządzili sobie wzajemne afronty. Wiśniowiecki nie poważał hetmana, miał mu za złe jego pijaństwo i nieudolność. Potocki — ponieważ urzędy były w Rzeczypospolitej dożywotne — stał też na drodze Jeremiego do upragnionej buławy. Kiedy w czasie pobytu hetmanów w niewoli zgłaszano projekty zniesienia dożywotności urzędu hetmańskiego, osobą niewątpliwie najbardziej zainteresowaną tą sprawą był zapewne książę. Potocki o tym wiedział i na pewno obawiał się konkurenta i prawdopodobnie szczerze go znienawidził. Drażnić też musiało go niepomiernie, że wojsko, które często okazuje mu lekceważenie, wypominając Korsuń, taką czcią i miłością otacza jego rywala. Po Beresteczku sława i popularność Jeremiego, i tak od czasu Zbaraża zaćmiewająca wszystkie niegdysiejsze sukcesy

hetmana, dochodziła do szczytu. W decydującym dniu beresteckiej bitwy, kiedy Wiśniowiecki poprowadził do szturmu jazdę lewego skrzydła, Potocki w ogóle udziału w walce nie brał, gdyż niedomagał. Również w czasie ostatniej kampanii tak się na ogół składało, że Wiśniowiecki był w czasie narad innego zdania niż hetman wielki, a wszyscy liczący się dowódcy zwykle opowiadali się po stronie Jeremiego i Potocki musiał raz po raz ustępować. Czyżby pod Pawołoczą przechylić się miała szala cierpliwości hetmana, który skrytobójczo usunąłby konkurenta? Wojsko nie wykluczało takiej możliwości. Pogłoska o struciu księcia obiegła nie tylko obóz pawołocki, ale dotarła nawet w głąb kraju, gdzie podawano ją jako pewnik. Żydowski kronikarz Natan Hannower zapisał już bez cienia wątpliwości: „W owym czasie zazdrościli panowie bardzo ks. Wiśniowieckiemu coraz to większych godności i zaszczytów i dali mu do picia truciznę. I umarł książę Wiśniowiecki."

O ile w kraju plotka ta, mając posmak sensacji podkopywała do reszty autorytet hetmana, to w obozie pawołockim była niebezpieczna i mogła łatwo doprowadzić do katastrofy, spowodować bunt wojska, otwarte wystąpienie przeciw hetmanowi, a przecież nieprzyjaciel był tuż, tuż. Przecież na przedmieściach Pawołoczy starto się przed kilkoma dniami z podjazdem nieprzyjacielskim. Dla uspokojenia wojska wykonano sekcję książęcych zwłok.

Naturalistyczny opis sekcji zachował się w dokumentach i niektórych diariuszach. („Naleziono w nim niesłychanie tłustość wielką; kiszki tak łojem oblane, jako u wieprza nie mogą być tłustsze, serce tak tłustość oblała, że szpilką nie było gdzie tknąć i płuca bardzo zniszczały"). Śladów trucizny nie znaleziono, co z radością zakomunikowano wojsku.

22 sierpnia odbyła się smutna ceremonia pożegnania księcia przez wojsko. „Tegoż dnia wszystko wojsko, tak konne jak piesze, z wielką żałością ciało prowadziło przez obóz między dwiema szeregami pułków na dobrą ćwierć mili stojących i za ciałem idących. Zakonnicy wojskowi [kapelani pułków] śpiewając przed ciałem, a wojsko w bębny bijąc, w trąby i surmy grając żałobnie, prowadzili ciało w trumnę włożone, smołą zalane, ubrane w żupan atłasowy karmazynowy, frezyą axamitną włosianego koloru, kołpak axamitny koloru pomarańczowego". Ciało spoczywające w otwartej trumnie wieziono odkrytą szkarłatną karetą, przed którą postępowały miarowo piesze regimenty, po bokach gwardia królewska z bronią na znak żałoby opuszczoną ku ziemi. Za piechotą dostojnie szły dwie husarskie chorągwie książęce z opuszczonymi proporcami, za ciałem 5 jego lekkich chorągwi. Książęcy chorąży niósł opuszczony do ziemi sztandar, pod którym nie dane było Jeremiemu powrócić na Zadnieprze, choć był już tego tak bliski. Prowadzono

4 wierzchowce Wiśniowieckiego przybrane kirem. Za końmi dopiero szli pieszo hetmani, senatorowie, pułkownicy i w ogóle cała starszyzna wojskowa. Żałobnie warczały bębny.

Orszak uszedł ponad ćwierć mili, po czym zatrzymał się w otwartym polu. Kazanie wygłosił ksiądz Czarnocki, dziwnym zbiegiem ten sam, który przed kilkunastu laty w zamoyskiej kolegiacie przemawiał na ślubie Jeremiego, witając go na nowej drodze życia, a teraz żegnał go u kresu ziemskiego żywota. Po księdzu mowy wygłosili: wojewoda bracławski Lanckoroński, towarzysz broni księcia ze Zbaraża i Beresteczka oraz Szczawiński — wojewoda brzesko-kujawski. Po mowach oddano trzy salwy z armat, trzy razy dały ognia wszystkie piesze regimenty, zagłuszając płacz i lament tysięcy żołnierzy („nic słychać nie było prócz łez"). Niejeden z uczestników uroczystości musiał sobie pomyśleć to, co Twardowski ujął lapidarnie w dwuwiersz:

> Toteż minie czas długi,
> Nim się narodzi taki Wiśniowiecki drugi!

Odbywanie takiej uroczystości w bezpośredniej bliskości nieprzyjaciela było nader niebezpieczne, toteż zaraz po niej dowódcy zarządzili powrót do obozu. Mimo rozkazów, żołnierze odprowadzali jeszcze zwłoki ukochanego wodza przez kilka mil i nikt nie śmiał wytykać im niesubordynacji.

XIX. KSIĘCIA JEREMIEGO „ŻYCIE PO ŻYCIU"

Kres życia nie stanowił kresu ziemskiej tułaczki księcia Jeremiego. Spod Pawołoczy powędrowało ciało księcia na zachód. Jak pamiętamy, Wiśniowiecki w testamencie wyraził swą wolę, aby pochować go w fundowanym przez niego kościele w Wiśniowcu i to „w niedziel najdalej cztyry nie będzie li mogło być prędzej". Tej woli zmarłego nie uszanowano. Trumnę przewieziono dalej na zachód i złożono tymczasem w kościele w Sokalu. Oficjalnie mówiono, że w Wiśniowcu nie byłaby bezpieczna i Kozacy mogliby sprofanować zwłoki. I ta wersja powtarzana jest zwykle w literaturze historycznej. Nie sądzę, aby był to powód prawdziwy. W czasie, gdy zwłoki wieziono do Sokala, Chmielnicki był pod Białą Cerkwią i właśnie przyciśnięty przez wojska koronne i litewskie podpisywał kolejną ugodę. W Wiśniowcu nikt się wtedy nie liczył z kozackim niebezpieczeństwem. Zresztą Sokal leżał tylko ok. 80 km dalej na zachód od Wiśniowca, a drogi do niego nie przegradzała już żadna forteca. Gdyby Kozacy dotarli do Wiśniowca, dotarliby zapewne i do Sokala. Powód był inny. Jeremi, który w przeddzień bitwy beresteckiej zadłużył się już na konto dochodów z zadnieprzańskich intrat, pozostawił rodzinę w zupełnie opłakanym stanie finansowym. Pogrzeb księcia, senatora Rzeczypospolitej, swego czasu regimentarza i hetmana wymagał należytej oprawy, a co za tym idzie, olbrzymich kosztów. Wdowy pozostającej praktycznie na łaskawym chlebie u brata, który w tym czasie wojował na Ukrainie, nie stać było na wyprawienie takiego pogrzebu.

W zbiorach Zamoyskich przechował się oryginalny list Gryzeldy Wiśniowieckiej, pisany z końcem października 1651. W liście tym wdowa żali się, że z braku funduszy nie może przebrać swego dworu w żałobne szaty, ani nawet opłacić sług trzymających straż przy zwłokach! A cóż dopiero mówić o wyprawieniu pogrzebu. Wprawdzie, jak pamiętamy, Jeremi nie życzył sobie okazałego pogrzebu, chciał, aby ta ceremonia odbyła się „bez żadnych pomp światowych i próżnych wy-

niosłości", ale należy przypuszczać, że rodzina zataiła testament. Zbyt duże ciężary nakładał on na spadkobierców. Był on bez dochodów z zadnieprzańskich włości całkiem niewykonalny. Nie było więc księcia po prostu za co pochować. Może gdyby Gryzelda zwróciła się z tym do króla, do stanów, znalazłyby się na ten cel jakieś fundusze, chociaż instytucja pogrzebów „na koszt państwa" była w XVII-wiecznej Polsce nie praktykowana, a dumna kanclerzanka z domu nie upokorzyłaby się do tego stopnia, by prosić o pieniądze na pogrzeb męża. Liczyła pewnie, że prędzej czy później powróci do utraconych majątków, a wówczas wyprawi mężowi pogrzeb, na jaki zasłużył.

Tymczasem ciało czekało w sokalskim kościele, a może jeszcze później gdzieś indziej, dość że w 1653 Gryzelda przywiozła je na Święty Krzyż, by tu, w benedyktyńskim kościele złożyć je, także tymczasowo. W tym czasie klasztor świętokrzyski był obiektem kultu o pierwszorzędnym w Polsce znaczeniu, zajmując to miejsce, które dziś w ogólnym odczuciu narodu zajmuje Jasna Góra. W kościele, według legendy fundowanym przez Bolesława Chrobrego, przechowywane były (i są do dziś) relikwie Krzyża Świętego. Z tej racji Święty Krzyż odwiedzany był przez liczne pielgrzymki, z różnych nieraz bardzo odległych stron Rzeczpospolitej. Łysa Góra, na której stoi klasztor, uważana była za miejsce niezwykłe. Długosz nazywa ją „księciem gór", górą „skrzepłą z prawie zawsze panującego zimna, otoczoną mgłami, deszczami i śniegiem".

W tym to niezwykłym miejscu kazano Jeremiemu czekać drogi do Wiśniowca i pogrzebu w ufundowanym przezeń kościele. Na Świętym Krzyżu pozostał już Jeremi na zawsze. Nie wyprawił ojcu pogrzebu król Michał Korybut Wiśniowiecki, który swoją koronę zawdzięczał głównie zasługom ojca i jego popularności wśród szlachty. Nieudolny — nawet w tym względzie — monarcha ograniczył się do położenia w świętokrzyskim kościele tablicy z łacińskim napisem: *Hieremias Cosacorum terror — Dux et princeps Visnioviecius — Michaelis Primi Regis Poloniae Progenitor — A.D. 1653 depositus* (Jeremi — postrach Kozaków — wódz i książę Wiśniowiecki — Michała I króla polskiego rodzic — w roku pańskim 1653 złożony).

Powoli, z biegiem lat, pamięć czynów i zasług Jeremiego zaczynała się zacierać. Jeszcze w XVIII wieku ks. Jan Tomasz Józefowicz przypominał: „zwłoki tak wielkiego bohatera [...] dotychczas jeszcze niewdzięczna Polska uroczystym, żałobnym nie uczciła pogrzebem. Darujcie wielkiego rycerza cienie". Był to, jak się zdaje, ostatni wyrzut uspokojonego już dawno sumienia.

Zainteresowanie zwłokami Wiśniowieckiego ożyło w ostatnich latach, w związku z próbą wyjaśnienia przyczyn jego zagadkowej,

nagłej śmierci. Zagadkę tę próbował rozwiązać w okresie międzywojennym w oparciu o opisy choroby i zgonu księcia, a także w oparciu o opisy wyników sekcji, lekarz lwowski, Witold Ziembicki. Podzielając w zasadzie jego opinie, że przyczyną śmierci księcia mogła być równie dobrze zakaźna choleropodobna biegunka, co ostre zatrucie pokarmowe spowodowane błędem dietetycznym, jak i zbrodnicze otrucie, postanowiliśmy* sprawdzić ostatnią z tych wersji. Objawy takie, jak zaobserwowane u Jeremiego, a więc biegunki, wysoka, utrzymująca się gorączka, utrata sił i zachowana przytomność — są — jeśli przyjmować hipotezę zbrodniczego otrucia — objawami typowymi dla otrucia arsenem. Gdyby konsekwentnie przyjmować tę hipotezę, to trzeba stwierdzić, że tego rodzaju trucizny nie była w stanie wykryć sekcja w XVII wieku. Dopiero znacznie później (w XIX wieku) nauczono się stwierdzać obecność arsenu w zwłokach. Skądinąd wiadomo, że w zwłokach osobnika otrutego arsenem jest on w zasadzie wykrywalny tak długo, jak długo istnieją jeszcze zwłoki.

Rozumowanie nasze było proste: jeśli Jeremi rzeczywiście został otruty, to został otruty arsenem, a skoro tak, to w jego zwłokach dziś jeszcze arsen powinien być stwierdzalny.

Osobiście nie byłem przekonany do wersji, że książę został otruty, zaś Mikołaj Potocki absolutnie na truciciela mi nie pasował. Z usposobienia choleryk, trochę histeryk, prędzej mógł przeciwnika szablą czy buławą ze złości trzepnąć, ale nie otruć cichaczem!

A może otruł ktoś inny? Może jakiś agent Chmielnickiego? I to wydawało się mało prawdopodobne. Niemniej jednak możliwość taka istniała, wersja otrucia zrodziła się już w dniu śmierci księcia pod Pawołoczą, sensowne więc wydawało się sprawdzić ją. Tu jednak zaczął się nasz kłopot. Skąd wiadomo, że zwłoki spoczywające w oszklonej trumnie w krypcie kaplicy Oleśnickich na Św. Krzyżu rzeczywiście są zwłokami księcia wojewody ruskiego? Wątpliwości nasze pogłębiało to, że ich autentyczność bywała już w literaturze kwestionowana. Tak więc przed odpowiedzią na pytanie czy książę został otruty, należało odpowiedzieć na pytanie, czy oglądane w krypcie kaplicy Oleśnickich na Świętym Krzyżu, w oszklonej trumnie zwłoki są rzeczywiście zwłokami naszego bohatera.

Badania, jakie przeprowadziliśmy na Świętym Krzyżu we wrześniu 1980, a także liczne badania wykonane w laboratoriach, w których wykorzystaliśmy wszystkie dostępne zdobycze medycyny sądowej i krymi-

* piszący te słowa wraz z prof. dr. Zdzisławem Markiem, kierownikiem Katedry Medycyny Sądowej AM w Krakowie i dr. Jerzym Koniecznym z kierowanej przez autora Katedry Kryminalistyki UŚ w Katowicach.

nalistyki nie pozwoliły potwierdzić autentyczności zwłok. Na prawdziwe zatem wygląda zdanie zamieszczone w książce prof. Władysława Tomkiewicza: „Gdy w końcu XVIII wieku pożar zniszczył opactwo świętokrzyskie, ślad po szczątkach Jeremiego zaginął. Być może, iż ogień je w popiół zamienił, a zdarzyć się może, iż traf lub przypadek odkryć je zdoła".

*

Podczas gdy księżna Gryzelda martwiła się nie tylko o środki konieczne na pogrzeb męża, ale także na dalsze życie, a zwłaszcza na edukację jedynego syna Michała, w sukurs pospieszyły sejmiki szlacheckie. Tak np. sejmiki małopolskie zobowiązały posłów, by doprowadzili do umorzenia długów zmarłego księcia-wojewody, zaciągniętych na wojsko, tak aby nie obciążały spadkobierców. Sejmik lubelski wzywał króla do wzięcia „pod swoją łaskę i opiekę" syna zmarłego księcia. Szlachta sandomierska zebrana na sejmiku także wyraziła troskę o przyszłe losy książęcej rodziny, zwłaszcza zaś o środki na edukację młodego księcia Michała, a także zalecała umorzenie długów zaciągniętych w skarbie na wojsko.

Najbliższy sejm (styczeń—marzec 1652) rzeczywiście przyczynił się do postulatów sejmików, uchwalając następującą rezolucję: „Mając w pamięci odważne zasługi i śmierć w ekspedycji wojennej podjętą Wielmożnego Jeremiego Michała Korybuta księcia Wiśniowieckiego, wojewody ruskiego, sumy pewne, które nieboszczyk za żywota swego na ludzie swoje w służbie Rzplitej będące ze skarbu koronnego pobrał, powagą sejmu niniejszego potomstwu jego odpuszczamy".

Edukacją młodego księcia zajął się królewicz Karol Ferdynand, który na własny koszt wysłał go za granicę. Po śmierci królewicza funkcję tę przejęła królowa Ludwika Maria. Dzięki nim Michał Korybut Wiśniowiecki uzyskał nieprzeciętne w owych czasach wykształcenie. Niestety — syn niewiele, poza ludzką wdzięcznością, odziedziczył po ojcu. Ani wielkich dóbr materialnych, ani — co gorsza — cech charakteru. To zaś, że jak zapisał Kochowski, pijał o wiele więcej piwa niż wina i przeżerał się cytrusami, nie było, niestety, jego jedynymi wadami.

*

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Jeremi Wiśniowiecki cieszył się wśród szlachty ogromnym autorytetem i popularnością. Szlachta widziała w nim — wszystko jedno, słusznie czy niesłusznie — obrońcę starych porządków, ideał patrioty i wodza. Na jego cześć pisano panegiryki, najpiękniejsze strofy poświęcił mu jeden z największych poetów polskich tych czasów, Samuel ze Skrzypny Twardowski. Nie posiadali

się z zachwytu nad księciem współcześni mu historiografowie. Szczególnie chętnie porównywali go oni, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, do starożytnych bohaterów, szczególnie do Mariusza („Jeremi Wiśniowiecki niby drugi Mariusz" — pisał o nim Rudawski). Porównywano też księcia do Hektora („Nie byłbyś pod tym grobowym kamieniem Hektorze polski, rzeczą i imieniem").

Z największą sympatią, graniczącą nieraz z uwielbieniem, piszą o nim różni znani i nieznani z nazwiska autorzy współczesnych mu diariuszy i pamiętników, z których większość odnaleziono dopiero w XIX wieku, nie można więc ich autorów podejrzewać o chęć schlebiania księciu dla jakichkolwiek korzyści. Zresztą najwięcej panegiryków na cześć Wiśniowieckiego powstało wtedy, kiedy jego sytuacja finansowa z całą pewnością nie pozwalała na opłacenie sobie panegirystów. Pamiętamy, jak zareagowano na wiadomość o jego śmierci. Do obiegowych, powszechnie znanych prawd, należy twierdzenie, że Michał Korybut Wiśniowiecki koronę zawdzięczał głównie popularności imienia swojego ojca.

Szlachta widziała w Jeremim same zalety. Wad nie dostrzegała na ogół, bo wadami nie różnił się od niej. Widziała więc tylko to, co różniło go od ówczesnego tła. Urastał Jeremi w szlacheckiej tradycji na bohatera, na rycerza bez skazy. Na owego legendarnego przysłowiowego „rycerza spod kresowych stanic", na uosobienie wszystkich cnót rycerskich.

Taka pamięć o nim przetrwała przez cały wiek XVIII. W tym wieku pisane są jeszcze na jego cześć panegiryki, a jego popiersie znajduje się wśród 20 rzeźb przedstawiających najsławniejszych Polaków, zdobiąc salę rycerską Zamku Warszawskiego.

Utrata niepodległego bytu państwowego u schyłku XVIII wieku wzmaga tęsknotę za rycerską przeszłością. Sprzyja idealizacji zarówno przeszłości narodu, jak i poszczególnych jego przedstawicieli. Sprzyja powstawaniu legend i kreowaniu bohaterów.

Inny pogląd na nasze dzieje, a szczególnie inny do nich stosunek zaczyna dojrzewać dopiero w drugiej połowie wieku XIX. Zaczyna się owo sławne, często przesadne, choć niewątpliwie bardzo potrzebne „odbrązawianie historii". Na tym procesie zyskała historiografia, zapewne miał on także znaczenie wychowawcze i odegrał ważną rolę w edukacji narodowej. Cierpieli na tym jednak z reguły ci, których poprzednia epoka wywindowała zbyt wysoko, kreując na bohaterów. Instrumentalne, dydaktyczne potraktowanie historii zmusza też do przyjęcia pewnego schematyzmu. Coś musi być czarne, aby coś mogło być białe. Okres pozytywizmu z większą sympatią traktował z reguły te postacie historyczne, które prezentowały jakieś wartości bardziej

ideologii pozytywnej miłe. Stąd większe szanse mieli wielcy mężowie stanu, mniejsze wodzowie, otoczeni legendą rycerza bez skazy (tych ostatnich preferował za to romantyzm).

W wieku XIX zaczyna być wreszcie w Polsce dostrzegany problem ukraiński. W godle państwowym doby powstania styczniowego nie przypadkiem obok orła i pogoni pojawił się archanioł. Nawiązanie do idei ugody hadziackiej było tu wprawdzie tylko symboliczne, ale jednak widoczne. Czyż wtenczas mógł być popularny ktoś, kto swego czasu opowiadał się za siłowym rozwiązaniem problemu kozackiego? Czyż można się dziwić, że w dobie krytycznego (czasem przesadnie) rozprawiania się z przeszłością Polski szlacheckiej gromy także posypały się na głowę jednego z najświetniejszych jej przedstawicieli w klasycznym wydaniu, jakim był Jeremi Wiśniowiecki? Z bohatera staje się antybohaterem. Co prawda, najwybitniejsi historycy epoki nadal nie piszą o księciu źle, ale z reguły wyraźnie bez sympatii.

Typowym przykładem takiego pisania jest charakterystyka księcia, dokonana przez Karola Szajnochę: „[...] potomek wielkich książąt litewskich i hospodarów wołoskich, ów znany nam dziw odwagi, dostatków, najzuchwalszej ani króla, ani ustaw nie uznającej samowolności magnackiej, hojności bez granic i niezmiernego za to faworu u wszystkiej szlachty [...]". W innym miejscu Szajnocha, pisząc o działaniach zbrojnych księcia na początku konfliktu, wyraża przypuszczenie, że Wiśniowiecki nie przejdzie do historii, „ta bowiem błogosławi tylko mężom twórczego ducha, a Jeremi Wiśniowiecki nie posiadał najmniejszej iskry twórczości". Szajnosze nie znaną była prawdopodobnie administratorska i kolonizacyjna działalność Jeremiego przed 1648. Gdyby ją znał, zapewne zmieniłby zdanie. Uwaga o nieprzechodzeniu do historii też wydaje się mało trafna. Dowód najlepszy, jak zauważył swego czasu Władysław Tomkiewicz, że Szajnocha sam zajmował się osobą księcia z górą 200 lat po jego śmierci. Nie trzeba dodawać, że po Szajnosze zajmowało się Wiśniowieckim jeszcze wielu historyków.

Mniej więcej współcześnie z Szajnochą o Jeremim wypowiada się Józef Szujski. Pisze krytycznie, jednak z wyraźną mimo wszystko sympatią. Nazywa księcia „kochankiem wyobraźni poetyckiej dzisiaj, a kochankiem szlachty wówczas". Nazywa go wprawdzie „gwałtownikiem z natury", w innym miejscu „oczajduszą księciem", jednak przyznaje, że dzielnością osobistą, szaloną walecznością nikt mu nie dorównywał". Na koniec charakterystyki dodaje Szujski „niejedno też okrucieństwo splamiło pamięć dzielnego Jeremiego, którego przysłowie *Calamitas patriae, una lamentatio Hieremiae* [Ojczyzna w nieszczęściu, jeden Jeremi ją opłakuje] w tak pięknych przedstawia kolorach".

Pomniejsi przedstawiciele epoki, bardziej ulegający modzie i po-

trzebie chwili (co jest typowe dla „pomniejszych"), nie oszczędzają księcia. Widzą w nim wyłącznie wady, zapominając o zasługach. W ślad za historykami poglądy na epokę i na jej przedstawicieli przejmą krytycy literaccy i historycy literatury. Stosunek tych ostatnich do postaci Jeremiego Wiśniowieckiego uwidocznił się wyraźnie w związku z kontrowersyjnymi ocenami Sienkiewiczowskiego *Ogniem i mieczem*. Jest to stosunek zwykle niechętny, czasem wyjątkowo wrogi. Szczególnie napastliwie o Jeremim (i o całym *Ogniem i mieczem*) pisał Zygmunt Kaczkowski. Dla niego Wiśniowiecki był „jednym z najwybitniejszych typów oligarchy-warchoła, z tą wszakże od innych różnicą, że był bezprzykładnie okrutnym". W Sienkiewiczowskim obrazie postaci księcia widzi „wytwór fantazji najzupełniej sprzeczny z historią". Zapalczywy Kaczkowski potrafi w sposób najbardziej niedorzeczny wywodzić, że Gryzelda Zamoyska „przeciwko silnym intrygom familijnym" wybrała sobie „osławionego okrucieństwami księcia Jeremiego na męża", przypisując 15-letniemu w chwili zaręczyn dziecku niebywałe wyrachowanie. Pomijam już fakt, że w chwili zaręczyn Jeremi jeszcze niczym nie był osławiony, w szczególności zaś „okrucieństwami".

Aby jednak pokazać, jak tendencyjnie pisana jest krytyka Kaczkowskiego, warto przytoczyć niektóre chociażby próbki jego tekstu. Oto pierwsza z nich: „a czyż powieść *Ogniem i mieczem* mogłaby być czytana w jakimkolwiek salonie, a choćby tylko pomiędzy mężczyznami, którzy strzegą uczucia przyzwoitości i swoje uszy szanują?". Inny fragment dotyczy powieściowego Zagłoby: „Ale Zagłoba, utwór imaginacji autora, sadzi takimi wyrazami bez żadnego powodu dla rozśmieszenia swoich słuchaczy — a autor nimi nas raczy, czy także dla rozśmieszenia swych czytelników? Nie masz o tym wątpienia. Otóż my dziękujemy za takie dowcipy i zapewniamy autora, że nas nimi wcale nie pobudza do śmiechu [...]". Czyż można się dziwić, że przy takim podejściu, to co dla Sienkiewicza było białe, dla Kaczkowskiego musiało być czarne? Kaczkowski nie był w swych poglądach odosobniony. Wszyscy atakujący Sienkiewicza z reguły atakowali jego bohaterów.

Kiedy mijał czas pozytywizmu, a rosło nowe pokolenie gotowe zbrojnie upomnieć się o niepodległość, stosunek do Sienkiewicza i jego bohaterów znów uległ zmianie. Znów zapanował kult rycerskości, kult wodzów. Ideał „rycerzy spod kresowych stanic" i „obrońców naszych polskich granic", zanim trafi do jednej z najstarszych i najpiękniejszych pieśni harcerskich, będzie krzepił umysły i serca młodego pokolenia Polaków. Z tej tradycji i z tej legendy wyrośnie czyn niepodległościowy. Wilhelm Feldman zapisał: „W roku 1904 będzie stąd czerpał karm dla wyobraźni Stefan Okrzeja, w 1915 dziesiątek tysięcy nowych rycerzy

w rowach strzeleckich egzaltować się będzie obrazami niezrównanego męstwa, w jego takt prężyć i swoje ramiona do czynów".

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 naród potrzebował innych podniet. Rozpoczęło się normalne życie normalnego niepodległego narodu, posiadającego swoje państwo. To, co od z górą 120 lat było dla Polaków celem nadrzędnym: „wybicie się na niepodległość", zostało zrealizowane. Stało się. Kiedy po roku 1920 można było zdemobilizować znaczną część wojska, tak można było zdemobilizować znaczną część ideałów i legend i wizji. Wizja ideału rycerza, obrońcy kresów ustąpić musiała wizji normalnego człowieka, wzorowego obywatela normalnego państwa. To, co przez lata, z wyjątkiem krótkiej w sumie przerwy okresu pozytywizmu, kiedy walka o byt narodowy przybrała inny charakter, realizowana nadal w formie „pracy organicznej" — pozwalało narodowi przetrwać, mało tego, zagrzewać go do walki o niepodległy byt, zaczęło wydawać się zbyteczne, ba, szkodliwe. Normalne państwo i normalny naród nie mogą żyć tylko przeszłością, a groby, ruiny, legendy rycerskie nie mogą być jego jedyną pożywką. Kult przeszłości, kult przeszłej państwowości, który zaspokajał instynkt państwowy narodu nie mającego państwa, musiał ustąpić częściowo miejsca kultowi teraźniejszości i przyszłości. Te nowe dążenia w literaturze może najwyraźniej przedstawił Jan Lechoń w wierszu *Herostrates*, w którym woła:

Bo w nocy spać nie mogę, i we dnie się trudzę
Myślami co mi w serce wrastają zwątpieniem
I chciałbym raz zobaczyć, gdy przeszłość wyżeniem
Czy wszystko w pył rozkruszę, czy... Polskę obudzę

Z tych to „herostratejskich" pozycji zaatakował z początkiem lat trzydziestych *Ogniem i mieczem* w ogólności, a Jeremiego Wiśniowieckiego w szczególności Olgierd Górka. Ten historyk z wykształcenia, a kawalerzysta z zawodu, autor głośnego cyklu artykułów pod zbiorczym tytułem *«Ogniem i mieczem» a rzeczywistość historyczna* zaatakował Jeremiego w sposób zgoła bezprecedensowy. Natarcie dokonane zostało z pasją starego kawalerzysty i pewnością siebie młodego historyka. O ile Szajnocha i idący jego śladem ganili warcholstwo i okrucieństwo Wiśniowieckiego, przesadnie je niekiedy akcentując, ale nie odmawiając mu nigdy odwagi i waleczności, Górka zakwestionował u Jeremiego wszystko. O ile dla Szajnochy Wiśniowiecki był dzielnym, ale okrutnym żołnierzem, w życiu prywatnym i państwowym warchołem, dla Górki był nie tylko warchołem i okrutnikiem, ale też pozbawionym odwagi tchórzem. Mało tego, urobił sobie Górka — oczywiście niezgodną z faktami hipotezę — że Wiśniowiecki był w zmowie z ... Chmielnickim!

Takim dowolnym interpretacjom postaci Jeremiego Wiśniowieckiego sprzyjał brak rzetelnego, historycznego opracowania postaci. Brak znajomości wielu faktów dawał niektórym historykom tylko fragmentaryczny, niepełny obraz tej postaci, uzupełniany na plus lub na minus, w zależności od upodobania autora modelowanego przez aktualną modę, aktualnie obowiązujące ideały itp.

Pierwszą naukową monografię poświęconą Jeremiemu, opartą o rzetelną analizę źródeł historycznych napisał w latach trzydziestych zmarły niedawno prof. Władysław Tomkiewicz. Kończąc tę monografię, tak charakteryzuje swego bohatera: „Przede wszystkim uderza wielka zmiana, jaka dokonała się w księciu pod wpływem nieszczęść osobistych, powstałych wskutek wybuchu buntu kozackiego. Butny niegdyś i niepohamowany kniaź staje się stopniowo jakiś inny, coraz rzadziej pozwala sobie na dawne warcholstwa, coraz częściej łamie się i przezwycięża ambicje [...] Przełamuje się i pierwszy wyciąga rękę do księcia Dominika; szuka zgody z nienawistnym kanclerzem i znosi spokojnie niezasłużone afronty od króla; wbrew własnemu przekonaniu idzie pod komendę regimentarzy i zamyka się dobrowolnie w Zbarażu, by wypełnić najpiękniejszą kartę swego życia [...]. Pod wpływem nieszczęść ginie dawna buta i zawziętość, coraz częściej zaciska książę zęby na wszelką potwarz, coraz bardziej usuwa się od zgiełku życia i marzy jedynie «by Bóg go do ojcowizny powrócił». Nie był nigdy mężem stanu [...] był za to żołnierzem, wodzem i administratorem. Los nie pozwolił mu nigdy stanąć dłużej na czele wojska, co było marzeniem jego życia, toteż w rezultacie nie możemy należycie ocenić jego zdolności strategicznych. Wszystko jednak, co zdziałał jako wódz, świadczyło wyraźnie, iż Rzplita mogła w nim mieć godnego następcę hetmana Koniecpolskiego". Jest to charakterystyka — jak się zdaje — bardzo trafna, a pochodząca od osoby najbardziej kompetentnej.

Po ostatniej wojnie, w okresie zwanym w historii polityki „okresem błędów i wypaczeń", zaś w kulturze „okresem socrealizmu", próbowano na Jeremiego Wiśniowieckiego spojrzeć od strony klasowej. Do wszystkich zarzutów zgłaszanych swego czasu przez pozytywistów i herostratejczyków — które skrzętnie odgrzebano — dopisano nowy: „wróg ludu" (w dodatku ukraińskiego). Hołdujący ówczesnej modzie historycy pisząc o Wiśniowieckim, zgodnie z obowiązującym kanonem dopisywali mu ten epitet zaraz po nazwisku, czasem przed tytułem książęcym. Ciekawa rzecz, że w tym samym czasie krwawy i bezwzględny poskromiciel Kozactwa i ludu ukraińskiego, jeden z najlepszych, ale i najbardziej okrutnych wodzów, jakich wydała Polska, Stefan Czarniecki, cieszył się sławą nieledwie ludowego wodza. Dziwne zaiste bywają wyroki historii!

Kiedy po 1956 narzucone w okresie socrealizmu kanony już nie obowiązywały (choć niektórzy hołdowali im z przyzwyczajenia nadal), znów postać Jeremiego bywała różnie oceniana przez różnych autorów. Znakomity znawca epoki, prof. Władysław Czapliński, dostrzega wszystkie zalety, ale też i wady Wiśniowieckiego, pisze o nim jednak nie bez wyraźnej sympatii. Nie sympatyzuje natomiast z księciem — jak sądzę — Paweł Jasienica, który dostrzegając talenty dowódcze księcia (ale tylko „w małej, partyzanckiej raczej skali"), zarzuca mu brak rozumu politycznego uważając, że „jego principia polityczne pozostawały w idealnej sprzeczności z dobrem Rzeczypospolitej".

Dokonując wszelkich charakterystyk księcia trzeba jednak zawsze pamiętać, że zmarł on stosunkowo młodo, bo w 39 roku życia. Dla porównania warto wspomnieć, że przesławny hetman Chodkiewicz w wieku 36 lat ciągnął dopiero na pierwszą w swym życiu wyprawę wojenną, poprzednio obijając się i warcholąc za granicą. Jeremi zmarł przedwcześnie, dlatego też, być może, większe dokonania były jeszcze przed nim.

Zaś każda charakterystyka dokonywana być musi na tle epoki. Bez tego tła i jego kontekstu nie ma sensu. Niestety, nie zawsze się o tym pamięta.

XX. RZUT OKA NA WALKI POLSKO-KOZACKIE PO ŚMIERCI JEREMIEGO WIŚNIOWIECKIEGO

W chwili gdy wybuchło powstanie Chmielnickiego, wiosną 1648 — w Rzeczypospolitej na czele dwóch przeciwnych sobie stronnictw, z których każde miało swój plan rozwiązania konfliktu kozackiego, stali dwaj od dawna wrogo do siebie nastawieni ludzie: Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny i Jeremi Wiśniowiecki, wojewoda ruski.

U schyłku lata 1651 obydwaj już nie żyli. Podniesiony dla dochodzenia krzywd prywatnych, bunt Kozaków nierejestrowych poparty został także przez rejestrowych, a wkrótce przez ogół ukraińskiego chłopstwa, a częściowo także ukraińskiej szlachty. Rozpoczął się trwający z niewielkimi przerwami lat blisko 20 okres walk bratobójczych, nazywany „powstaniem kozackim" lub „wojnami kozackimi" — rzadziej patetycznie, ale też niezupełnie ściśle — „wielką wojną wyzwoleńczą narodu ukraińskiego".

Powstania kozackie (czy, jak wolą niektórzy, „wojny kozackie"), stanowiły trudny do zaklasyfikowania fenomen zarówno w dziejach polskich, jak i powszechnych. Specyfika stosunków ukrainnych w XVII wieku, będąca w dużej mierze dziedzictwem burzliwych dziejów tych ziem i ich mieszkańców w wiekach poprzednich, zrodziła fenomen kozacki nie podlegający normalnie stosowanym kryteriom klasyfikacji. Trudno dziś — nawet z dystansu dziejów — powiedzieć czy był to ruch bardziej społeczny, narodowy, czy religijny. Poszczególne szkoły historyczne w zależności od swego nastawienia, orientacji politycznej czy światopoglądu, akcentowały zwykle jeden z tych czynników jako najistotniejszy. Historiografia ukraińska, zwłaszcza ta o nurcie nacjonalistycznym, w powstaniu Chmielnickiego widziała ruch przede wszystkim narodowy. Część współczesnej historiografii radzieckiej, a także polskiej, akcentuje społeczny charakter tego ruchu, jego antyfeudalny, rewolucyjny charakter.

Czym był w istocie ten ruch? Chyba wszystkim po trosze, zlewającym się w ową nową jakość, nie dającą się zaklasyfikować według

tradycyjnych kryteriów. Ruch ten — trochę wojna, trochę powstanie — w różnych okresach jawił się różnie. Raz jako bardziej społeczny, raz jako bardziej narodowy.

Kiedy wojska koronne ruszyły spod Beresteczka na Ukrainę, posiłkowane od północy przez wojska litewskie, wydawało się niektórym, że konflikt kozacki zostanie uśmierzony ostatecznie. Tak się nie stało, bo stać się nie mogło.

28 września 1651 zawarto z Chmielnickim, który zdążył zebrać znów wojsko, ugodę pod Białą Cerkwią. Ograniczała ona przyznany Kozakom pod Zborowem rejestr do 20 tysięcy z lokacją ograniczoną tylko do królewszczyzn województwa kijowskiego.

Zmagania trwały nadal. Ukraina jeszcze przez wiele lat pustoszona była dosłownie ogniem i mieczem.

W 1652 hetman Kalinowski próbował przeciąć drogę do Mołdawii synowi Chmielnickiego, Tymofiejowi. Wojska kozackie i tatarskie rozbiły Polaków pod Batohem nad Bohem. Armia hetmana polnego przestała istnieć! Kto nie poległ w boju, został zarżnięty w pętach! Zginął sam hetman polny, a nadto Przyjemski i Marek Sobieski, i wielu innych wybitnych dowódców. W rok później już w marcu Ukrainę spustoszył na czele 8-tysięcznego korpusu Stefan Czarniecki. Brał krwawy odwet za Batoh, a okrucieństwo jego akcji pacyfikacyjnej przekraczało pod każdym względem podobną akcję Wiśniowieckiego z 1648, prowadzoną częściowo na tych samych terenach.

Tymczasem oddziały wołoskie, mołdawskie, siedmiogrodzkie i polskie obległy Tymosza (Tymofieja) w Suczawie. Jan Kazimierz stanął obronnym obozem pod Żwańcem nad Dniestrem, aby przeciąć drogę staremu Chmielnickiemu, gdyby szedł na pomoc synowi. Tu obległy go przeważające siły tatarsko-kozackie. Obydwie strony nie wykazywały już chęci do walki. 15 grudnia 1653 spisano pomiędzy dostojnikami polskimi i tatarskimi ugodę, przywracającą postanowienia zborowskie.

W sporze polsko-kozackim raz jeszcze pośrednikiem byli Tatarzy. Mijał szósty rok beznadziejnych zmagań polsko-kozackich, nie przynoszący sukcesu żadnej ze stron. Polską i ukraińską krwią coraz bardziej tuczyli się sąsiedzi. W styczniu 1654 Chmielnicki na sławnej Radzie Perejasławskiej zaproponował czerni poddanie się jednemu z okolicznych władców: królowi polskiemu, sułtanowi tureckiemu lub carowi moskiewskiemu. Czerń wybrała cara. Nie było to w zasadzie nic nowego. Chmielnicki już po Zborowie poddał się wraz z Ukrainą sułtanowi, kokietował Moskwę, prosząc ją o wzięcie Kozaczyzny w opiekę, a równocześnie zapewniał króla polskiego o swojej wierności. Teraz znów poprosił cara o opiekę nad Kozaczyzną i Ukrainą. Nie wiedział

pewnie stary hetman zaporoski, że tym razem z tej opieki już się nie wywinie, że krok ten przyniesie w konsekwencji rusyfikację Ukrainy i likwidację ostateczną Kozaczyzny, na którą Polska zdobyć by się nie mogła, choćby tylko dlatego, że była za słaba.

Tymczasem, na wiosnę 1654 ruszyli na Ukrainę hetmani Stanisław Potocki i Stanisław Lanckoroński wraz ze Stefanem Czarnieckim. Ich wyprawa pacyfikacyjna swym okrucieństwem przekraczała wszystko, co do tej pory w wojnach kozackich widziano. Od miecza ginęły całe dziesiątki tysięcy ludności, wyrzynane przy okazji zdobywania kolejnych miast. Cała Bracławszczyzna dosłownie spłynęła krwią. Nie oszczędzano kobiet ni dzieci. Chmielnicki, wspierany przez rosyjski korpus Buturlina, próbował stawić opór Polakom pod Ochmatowem. Lanckoroński rozbił tam jednak siły kozacko-moskiewskie (29 stycznia—2 lutego 1655), lecz na skutek silnych mrozów musiał się cofnąć. Okrucieństwo Polaków było odwetem za okrucieństwo Kozaków, które było znowu odwetem... nikt już nie pamiętał początku. Nienawiść i chęć odwetu wypełniały serca. Ku uciesze postronnych, wbrew własnym najoczywistszym interesom, Polacy i Rusini zwalczali się coraz zajadlej, licytując w okrucieństwie nie przynoszącym sławy żadnej ze stron.

Przyszły ciężkie dni „potopu szwedzkiego". Chmielnicki w 1656 podpisał w Radnot na Węgrzech traktat rozbiorowy Polski, dzielący ją między Szwecję, Siedmiogród, Kozaczyznę i... księcia Bogusława Radziwiłła. Na szczęście Polska odparła najazd szwedzki i traktat z Radnot nie doczekał się realizacji.

6 sierpnia 1657 zmarł Bohdan Chmielnicki, jeden z największych wodzów i najbieglejszych polityków swego czasu, zarazem sprawca nieszczęść na miarę swego talentu i ambicji. Po nim buławę, do czasu osiągnięcia pełnoletności przez Jurija Chmielnickiego, syna Bohdana, dostał Iwan Wyhowski. Wyhowski rozumiał, jakie niebezpieczeństwa dla Ukrainy niesie poddanie jej Moskwie. Podjął więc wielkie dzieło powrotu Ukrainy do Rzeczypospolitej, ale na zasadzie trzeciego, obok Korony i Litwy, pełnoprawnego jej członu. Skutkiem jego zabiegów, wspieranych przez Jerzego Niemirycza — ukraińskiego arianina, człowieka światłego oraz kasztelana Stanisława Bieniewskiego, doszło do podpisania 16 września 1658 unii w Hadziaczu (tzw. „ugoda hadziacka"). Wedle tej unii Kozacy i wraz z nimi wszyscy Rusini „jako wolni do wolnych, równi do równych, zacni do zacnych powracają".

Ale dzieło ugody hadziackiej spóźnione było jeśli nie o lat 20, to z całą pewnością o lat 10. Tych lat 10, przez które „nienawiść wrosła w serca i zatruła krew pobratymczą". Chociaż w 1659 w obronie unii Wyhowski rozbił pod Konotopem armię rosyjską, nie udało się jej utrzymać. Miała zbyt wielu wrogów tak po stronie polskiej, jak i ko-

zackiej. Wyhowski musiał niebawem złożyć buławę i uciekać z Ukrainy. Jeszcze w tymże roku 1659 po raz wtóry Ukrainę oddano pod opiekę cara. Ale nowy hetman Jurij Chmielnicki nie miał ani takiego talentu politycznego jak jego ojciec, ani takiego autorytetu. Car biorąc Ukrainę „w opiekę", wziął swoją rolę jeszcze dosłowniej niż przed pięcioma laty. Kozaków nie przyjmowano wcale jako „równych do równych, wolnych do wolnych" — carscy wojewodowie uzyskali prawo kontroli nad Kozaczyzną.

W rok później Rzeczpospolita, która podpisała ze Szwedami pokój oliwski, całą energię skierowała na odzyskanie Ukrainy. Rok 1660 zapisał szereg świetnych zwycięstw polskich: Stanisław Rewera Potocki rozbił pod Cudnowem armię rosyjską. Jerzy Lubomirski pokonał Kozaków pod Słobodyszczami i Jurij Chmielnicki uznał na powrót zwierzchnictwo polskie.

Zamęt na Ukrainie trwał nadal, dochodziło do walk bratobójczych pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami porozumienia z Polską. W 1664 bunt w okolicach Humania, Bracławia, Machnówki ruszył znów uśmierzać Stefan Czarniecki. Znów powtórzyły się sceny sprzed lat. Okrucieństwo pacyfikacji wzbudzało tylko chęć oporu i siało nienawiść ku Polsce. W czasie tej wyprawy dotarł Czarniecki — jeden z najdzielniejszych, ale i najokrutniejszych naszych wodzów — do Subotowa, gdzie wyrzucił z grobu szczątki Bohdana Chmielnickiego, którego uważał za sprawcę wszystkich nieszczęść, jakie spadły na Rzplitą w ostatnich latach.

O losach Ukrainy na długie lata zadecydowała dopiero wojna polsko-moskiewska zakończona zawartym w Andruszowie 31 stycznia 1667 rozejmem. Smoleńsk, Czernihowskie, Siewierszczyzna i spore obszary województwa witebskiego zostały przyznane Moskwie. Ukraina została podzielona pomiędzy Rzeczpospolitą i Moskwę. Granicą rozdzielającą dwa państwa był Dniepr. Kijów, leżący na prawym, polskim brzegu przyznano Moskwie na dwa lata, teoretycznie jako bazę dla działań obronnych przeciw Tatarom i Kozakom, faktycznie jednak pozostał w Rosji już na zawsze.

Na blisko 20-letnich walkach polsko-kozackich zyskała Moskwa. Ukraina została bezwzględnie podzielona między Polskę i Rosję. Ta ostatnia już w następnym wieku rozwiązała problem kozacki na zawsze: Sicz spalono i zrównano z ziemią, część Kozaków wymordowano, część przesiedlono, część wcielono do wojska rosyjskiego. Jak napisał współczesny polski historyk prof. W.A. Serczyk: „po dawnych przywilejach, swobodach i autonomii kozackiej pozostała już tylko legenda odzwierciedlona w dumach śpiewanych przez wędrownych lirników". Tęsknota za kozackimi wolnościami, smutek, melancholia i zaduma, której sprzyjał krajobraz ukrainnego stepu, stały się także natchnie-

niem poezji polskiej. Z tej atmosfery wyrośli Zaleski, Goszczyński i Malczewski.

Nasza młodzież do dziś śpiewa piosenki przy harcerskich ogniskach i przy turystycznych biwakach, które stąd wzięły swój rodowód. Któż w Polsce nie zna *Sokołów?* (Żal, żal za dziewczyną, za zieloną Ukrainą/ Żal, żal serce boli/Z tej tęsknoty, z tej niedoli/Hej, hej, hej Sokoły...).

Inną, może mniej popularną, rzadziej śpiewaną, ale bogatszą historycznie i ideowo jest duma:

Słuchaj Ojcze Atamanie
Ukraina śpi w najlepsze
Śpią Sokoły na kurhanie
I stanęła woda w Dnieprze
Koń już ledwie nogi wlecze
A człek żyje i nie żyje
Czas nie płynie, ale ciecze
Gdzieś w limanie czajka gnije.
Wyhowskiego krzywą szablą
Mała bawi się dziecina
A ty jeno śpisz Kozacze
Płacze Matka Ukraina...

Nic też dziwnego, że największy poeta ukraiński Taras Szewczenko* wypomina ustami „Matki-Ukrainy" Chmielnickiemu:

... Oj, Bohdanku
Nierozumny synu,
Spójrz no teraz na swą Matkę
Spójrz na Ukrainę,
[...]
Oj, Bohdanie, gdybym czuła
Że zgubisz nas wszystkich
Udusiłabym cię w łonie
Zabiła w kołysce
[...]
Stary Dniepr mój brat wysycha
Już mnie zaniedbuje,
A mogiły sercu miłe,
Moskal rozkopuje.
[...]

Wojny kozackie zakończyły się tragicznie zarówno dla Polski, jak dla Ukrainy. Ale też w tych wojnach, w tym ruchu o zmiennych hasłach, zrazu społecznych, w miarę upływu lat coraz bardziej narodowych, powstał nowy naród ukraiński. Naród, który odrzucił swoje spolonizowane warstwy, szykując się do nowego życia. Odrzuceni weszli w skład nowoczesnego narodu polskiego, dając mu wielu ludzi wybitnych. Ich

* fragmenty wiersza *Rozkopana mogiła* w tłumaczeniu J. Jędrzejewicza wg wydania Biblioteki Narodowej: T. Szewczenko, *Wybór poezji*, Ossolineum, Wrocław—Warszawa—Kraków—Gdańsk, 1974, s. 81—82.

nazwiska wrosły w polską tradycję i historię. Wystarczy spojrzeć na tablice genealogiczne, aby przekonać się, że protoplaści wielu znakomotych polskich rodów mieli na imię Wasyl, Iwan czy Fed'ko. Przez całe pokolenia służyli Rzeczpospolitej orężem, ale także swą myślą i pracą. Przez całe wieki współtworzyli to „duchowe dziedzictwo, któremu na imię Polska".

W wojnach kozackich zapoczątkowanych w 1648, które zakończyły się dla Ukrainy jak najfatalniej, bo rozbiorem między Polskę a Rosję, a dla Kozaczyzny zupełną jej likwidację pod rosyjskim panowaniem, zaczął krystalizować się nowoczesny naród ukraiński. I ten naród, słusznie czy niesłusznie nawiązujący do tradycji kozackiej, przetrwał.

Te same wojny zapoczątkowały następujący coraz szybciej upadek Rzeczypospolitej. Toteż stosunek emocjonalny do wydarzeń z połowy XVII wieku musi być różny u współczesnego Polaka i współczesnego Ukraińca. Nie sądzę, aby ten różny stosunek do zdarzeń sprzed z górą trzech wieków miał dziś ujemnie rzutować na wzajemne stosunki dwóch narodów, które przez wiele wieków żyły zgodnie, które mają taki szmat wspólnej historii, które wreszcie podzieliły wspólny los.

EPILOG

Wszelkie współczesne próby rekonstrukcji wyglądu księcia kończą się niepowodzeniem. Poza tymi szczegółami, że wzrostu był małego, że miał czarne włosy i krępą posturę, nie wiemy nic. W zbiorach polskich — a jak zapewniał mnie jeden z najbardziej kompetentnych ludzi, prof. Mieczysław Gębarowicz, również w ukraińskich — brak jakiegokolwiek pewnego portretu księcia.

Najczęściej reprodukowanym w literaturze — co do którego jednak nie ma pewności czy rzeczywiście przedstawia księcia — jest portret ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego. Portret ten, datowany w 1646, zakupiło Muzeum w latach dwudziestych. W zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie znajduje się inny portret, być może przedstawiający księcia Jeremiego. Płótno przypisywane Danielowi Schultzowi zostało w 1925 ofiarowane Muzeum przez Aurelię Gurowską. Zestawienie tych dwóch podobizn wykazuje, że przedstawiają one dwie zgoła różne osoby. Co najmniej jeden z tych portretów nie jest zatem na pewno portretem księcia. Który?

Portrecik Jeremiego z tableau wilanowskiego powstał w XVIII wieku i jest niezbyt udaną kopią i pomniejszeniem nie istniejącego już dziś portretu Jeremiego z galerii Michała Serwacego Wiśniowieckiego, podarowanego swego czasu muzeum w Kijowie. Ten ostatni pochodził jednak — jak się zdaje — z pierwszej połowy XVIII wieku i nie ma żadnej pewności, że opierał się na wcześniejszym pierwowzorze, malowanym z modelu. Wydaje się, że pewne podobieństwo rysów twarzy można znaleźć z portretem księcia znajdującym się przed 1939 w Muzeum im. Jana III Sobieskiego we Lwowie, który w czasie wojny prawdopodobnie zaginął i dziś znany jest tylko z reprodukcji. Nie udało mi się ustalić bliższych danych o tym portrecie, nie ma też więc pewności czy rzeczywiście przedstawiał Jeremiego Wiśniowieckiego, ani tym bardziej, czy malowany był za jego życia z modelu.

Za podobiznę Jeremiego uchodzi portret znajdujący się w zbiorach muzeum w Kozłówce koło Lublina. Pierwszy rzut oka na portret dys-

kwalifikuje go jednak jako portret Jeremiego. Przedstawiony na nim mężczyzna nosi Order Orła Białego, a ten, jak skądinąd wiadomo, ustanowił dopiero August II Mocny w ponad pół wieku po śmierci naszego bohatera.

Z całą pewnością z końca XVIII wieku pochodzi rzeźbiarski portret księcia dłuta Andrzeja Le Bruna, z serii 20 rzeźb portretowych zdobiących niegdyś salę rycerską Zamku Warszawskiego (dziś znajdujący się w zbiorach wilanowskich).

Swego czasu, w XIX wieku, krytyk Sienkiewiczowskiej *Trylogii* Kaczkowski opisuje portret Jeremiego, rzekomo pędzla Rembrandta, znajdujący się w zbiorach Ermitażu: „Wyraz twarzy Wiśniowieckiego uderza swoją dzikością; jest to twarz mięsna i muskularna zarazem, cery nie gładkiej, raczej chropawej, chociaż bladej, pałającymi pod jej powierzchnią namiętnościami, nos także mięsny, kolczyk w uchu na modę kozacką, a oczy czarne, duże, otwarte i pełne owego dzikiego połysku, pod którym się czuje pioruny gotowe każdej chwili uderzyć. Całe popiersie Jaremy, który ma na sobie delię i zuchwale nastroszony kołpak na głowie, jest tak uchwycone, jak gdyby właśnie gotów się zerwać i na kogoś uderzyć".

Szczerze mówiąc, wygląda mi to bardziej na portret Dymitra Bajdy Wiśniowieckiego niż Jeremiego. Portretu tego nie udało mi się odnaleźć, podobnie jak nie udało mi się ustalić żadnych bliższych danych na jego temat. Dodać należy, że XVII-wiecznych rycin portretowych Jeremiego brak także wśród zbiorów ikonograficznych Biblioteki Narodowej, wśród zbiorów Gabinetu Rycin Muzeum Narodowego, wreszcie wśród podobnych zbiorów największych w Polsce bibliotek i muzeów.

Tak więc — jak się zdaje — rysy twarzy księcia wojewody ruskiego pozostaną już na zawsze nie znane.

Jest coś dziwnego i tajemniczego zarazem w tym, że po człowieku, który tak wiele znaczył w historii Polski owych burzliwych lat 1648—51, praktycznie nie pozostało śladu. Nie tylko nie doczekał się pogrzebu, ale nawet nie wiadomo, co stało się z jego zwłokami. Nie ma żadnego jego pewnego portretu, a w muzeach polskich na próżno by szukać jakiejś materialnej pamiątki po nim. Po wielu wodzach zachowały się buławy, szable, ba, nawet części odzieży. Po nim nie zostało dosłownie nic. Nawet testament zachował się jedynie w odpisie, oryginał bowiem zaginął. Jakby dziwne fatum uparło się pozacierać ślady jego istnienia. Kiedy swego czasu rozmawialiśmy o tym w mrocznym krużganku świętokrzyskiego klasztoru, ktoś przypomniał, że fatum tym była ciążąca na nim klątwa matki. W atmosferze klasztornego krużganka wydało się to zupełnie prawdopodobne. Niemal słyszeliśmy głos starej kniahini: „A ktoby wiarę prawosławną porzucał, niech będzie na nim klątwa!"

Skoro już mowa o dziwnych zrządzeniach Losu, warto odnotować jeszcze jeno. W okresie międzywojennym, kiedy pobenedyktyński klasztor na Łysej Górze, świętokrzyskim zwany, mieścił najpiękniej położone w Polsce, ale za to najsurowsze więzienie (spadek po czasach carskich), w więzieniu tym odsiadywał swój wyrok jeden z przywódców nacjonalistów ukraińskich, Stefan Bandera. Tu, na Świętym Krzyżu, przecięły się szlaki kniazia na Łubniach i Wiśniowcu, któremu do imienia dodano „*Cosacorum terror*" i współczesnego ukraińskiego nacjonalisty. Dla starszego pokolenia Polaków, zwłaszcza tych, którzy w czasie ostatniej wojny zamieszkiwali wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, nazwa „banderowcy" do dziś wypełnia się straszliwą treścią. Dla młodych zarówno kniaź Jarema, jak i „banderowcy" to pojęcia już tylko historyczne. Może to dobrze. Może pozwoli to na spojrzenie z dystansu — a więc bardziej obiektywne i pozbawione uprzedzeń — na dziwnie splątane ze sobą dzieje narodów polskiego i ukraińskiego. Narodów, które mimo że poprzez dzieje wyrządziły sobie wzajemnie wiele krzywdy, ale też które nie zawsze są tego świadome, że tak wiele sobie wzajemnie zawdzięczają.

Może ci młodzi będą zdolni przyjąć wezwanie, rzucone im przed z górą stuleciem przez wielkiego Tarasa Szewczenkę:

Podajże rękę Kozakowi
I serce swe ku niemu przychyl
A razem w imię Chrystusowe
Odbudujemy raj nasz cichy...

BIBLIOGRAFIA

Ważniejsze źródła drukowane

M. Bielski: *Kronika wszystkiego świata,* Warszawa 1846.

Fr. Rawita Gawroński: *Sprawy i rzeczy ukraińskie — materyały do dziejów kozaczyzny i haydamaczyzny* — wydał Fr. R.G., Lwów 1914.

N. Hannower: *Jewein Mecula tj. Bagno Głębokie.* Przekład i oprac. M. Bałaban [w:] Fr. Rawita-Gawroński: *Sprawy i rzeczy ukraińskie — materiały do dziejów kozaczyzny i haydamaczyzny,* Lwów 1914.

M. Jemiołowski: *Pamiętnik M.J. — towarzysza lekkiej chorągwi,* Lwów 1850.

J. Jerlicz: *Latopisiec — albo kroniczka* (wydał K.Wł. Wójcicki), Warszawa 1853.

W. Kochowski: *Historia panowania Jana Kazimierza* (Wyd. Raczyńskiego), t. I, Poznań 1859.

W. Kochowski: *Roczników Polski klimakter IV,* Lipsk 1853.

Lustracje królewszczyzn ziem ruskich: Wołynia, Podola i Ukrainy z pierwszej połowy XVII w. — wydał A. Jabłonowski, Warszawa 1877.

B. i S. Maskiewiczowie: *Pamiętniki.* Wrocław 1961. *Jakuba Michałowskiego Księga Pamiętnicza,* Kraków 1846.

Sz. Okolski: *Diariusz tranzakcji wojennej,* Kraków 1858.

J. Ossoliński: *Pamiętniki,* Warszawa 1976.

S. Oświęcim: *Diariusz,* [w:] „Scriptores Rerum Polonicarum", t. XIX, Kraków 1907.

Pamiętnik o wojnach kozackich za Chmielnickiego — przez nieznanego autora, Wrocław 1840.

J. Pasek: *Pamiętniki,* Warszawa 1955.

Polska a Moskwa w pierwszej połowie wieku XVII — zbiór materiałów do historii stosunków polsko-rosyjskich za Zygmunta III — wydał A. Hirschberg, Lwów 1901.

A. Radziwiłł: *Pamiętniki,* Warszawa 1980.

B. Radziwiłł: *Autobiografia,* Warszawa 1979.

M. Stryjkowski: *O początkach, woywodach, dzielnościach, sprawach rycerskich i domowych sławnego narodu litewskiego* [...], Warszawa 1978.

S. Temberski: *Annales,* [w:] „Scriptores Rerum Polonicarum", t. XVI, Kraków 1905.

S. Temberski: *Roczniki 1647—1656,* [w:] „Scriptores Rerum Polonicarum", t. XVI, Kraków 1897.

W. Tomkiewicz: *Testament Jeremiego Wiśniowieckiego,* „Miesięcznik Heraldyczny", 1930, IX N° 4, s. 67 i nast.

O. Balzer: *Historia ustroju Polski*, Lwów 1931.

J. Bartoszewicz: *Kniaź i Xiążę*, Kraków 1876.

Cz. Bogdalski: *Błogosławiony Jan z Dukli — wspomnienia z jego życia i czci pośmiertnej*, Krosno 1905.

M. Bersohn: *Studenci Polacy na Uniwersytecie Bolońskim w XVI i XVII w.*, cz. I. Kraków 1890, cz. II. Kraków 1894.

T. Bujnicki: *Sienkiewicz i historia. Studia*, Warszawa 1981.

J.S. Bystroń: *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce — wiek XVI—XVIII*, Warszawa 1976.

J. Cichowski, A. Szulczyński: *Husaria*, Warszawa 1981.

W. Czapliński: *Glosa do «Trylogii»*, Wrocław—Warszawa—Kraków—Gdańsk 1974.

W. Czapliński: *O Polsce siedemnastowiecznej*, Warszawa 1966.

W. Czapliński: *Senat za Władysława IV*, Kraków 1938.

W. Czapliński: *Sprawa najazdów tatarskich na Polskę w pierwszej połowie XVII wieku*, „Kwartalnik Historyczny" 1963, R. XXX, s. 3.

W. Czapliński: *Władysław IV i jego czasy*, Warszawa 1976.

W. Czapliński, J. Długosz: *Życie codzienne magnaterii polskiej w XVII w.*, Warszawa 1976.

W. Czermak: *Plany wojny tureckiej Władysława IV* (Rozprawy AU — Wydział Historyczno-Filozoficzny, Seria II, t. VI), Kraków, 1895.

W. Czermak: *Studya historyczne*, Kraków 1901.

W. Czermak: *Z czasów Jana Kazimierza — Studya historyczne*, Lwów 1897.

A. Czołowski: *Rzeczywistość historyczna dr Olgiera Górki*, „Kuryer Literacko-Naukowy", 1934, N° 4.

A. Czołowski, B. Janusz: *Przeszłość i zabytki województwa tarnopolskiego*, Tarnopol 1926.

F.M. Eysymont: *Na zamku wiśniowieckim*, „Kłosy" 1877, t. XXV, N° 632.

A. Fischer: *Rusini*, Lwów—Warszawa—Kraków 1928.

L. Frąś: *Obrona Zbaraża w r. 1649*, Kraków 1932.

J. Gacki: *Benedyktyński klasztor Św. Krzyża na Łysej Górze*, Warszawa 1873.

Fr. Rawita-Gawroński: *Bohdan Chmielnicki — do elekcji Jana Kazimierza*, Lwów 1906.

Fr. Rawita-Gawroński: *Hetman kozacki — B. Chmielnicki — szkic historyczny jego życia i walki*, Lwów 1914.

M. Gębarowicz: *Jan Andrzej Próchnicki (1553—1633)*. Kraków 1980.

J.A. Gierowski: *Historia Polski 1505—1746*, Warszawa 1979.

Geneologia — tablice. Oprac. W. Dworzaczek. Warszawa 1959.

Z. Gloger: *Encyklopedia staropolska*, Warszawa 1978.

T. Głowacka-Pocheć: *Portrety książąt Wiśniowieckich w Wilanowie i ich pierwowzory*, „Biuletyn Hist. Sztuki", 1968, XXX, N°2, s. 191—206.

W. Gołobuckij: *Zaporożskoje kozaczewstwo*, Kijów 1957.

O. Górka: *«Ogniem i mieczem» — a rzeczywistość historyczna*, Warszawa 1934.

A. Grabowski: *Starożytności historyczne polskie*, t. I. Kraków 1840.

A. Hirschberg: *Dymitr Samozwaniec*, Lwów 1892.

A. Hirschberg: *Maryna Mniszchówna*, Lwów 1927.

M. Hruszewskij: *Istoria Ukrainy-Rusi*, t. IX połowa 1, (bez daty).

A. Jabłonowski: *Pisma* t. III: *Ukraina*, Warszawa 1911.

P. Jasienica: *Rzeczpospolita Obojga Narodów — Calamitatis Regnum*, Warszawa 1967.

Z. Kaczmarczyk, B. Leśnodorski: *Historia państwa i prawa polskiego — t. II od połowy XV wieku do r. 1795*, Warszawa 1966.

A. Kersten: *Sienkiewicz — Potop — Historia*, Warszawa 1974.

A. Kersten: *Stefan Czarniecki 1599—1665*, Warszawa 1963.

J. Kijas: *Źródła historyczne powieści «Ogniem i mieczem»*, Lwów 1927.

W. Konopczyński: *Dzieje Polski Nowożytnej*, Warszawa—Kraków—Łódź—Poznań—Wilno—Zakopane 1936.

T. Korzon: *Dzieje wojen i wojskowości w Polsce*, t. II, Kraków 1912.

M. Kosman: *Na tropach bohaterów «Trylogii»*, Warszawa 1975.

E. Kotłubaj: *Odsiecz Smoleńska i pokój polanowski*, Kraków 1858.

E. Kotłubaj: *Życie Janusza Radziwiłła*, Wilno—Witebsk 1859.

J.I. Kraszewski: *Podróż króla Stanisława Augusta do Kaniowa w 1787*, Wilno 1860.

J.P. Krypjakevicz: *Bohdan Chmielnyckyi*, Kijów 1954.

J.P. Krypjakevicz; B. Gnatewicz: *Istoria ukrainskoho wijska*, Lwów 1936.

L. Kubala: *Szkice historyczne* (Wyd. V), Lwów—Warszawa 1923.

S.M. Kuczyński: *Książę Jeremi*, „Kurjer Warszawski" 1934, (19 IV), N°106.

M. Kukiel: *Zarys historii wojskowości w Polsce*. Kraków 1939.

S. Kutrzeba: *Historia ustroju Polski — w zarysie*, t. I. *Korona*, Lwów—Warszawa 1925.

Z. Lasocki: *Czy Skrzetuski był Kozakiem*, Kraków 1935.

Z. Lasocki: *«Ogniem i mieczem» — w świetle rewelacji dr Górki*, Kraków 1934.

J. Lelewel: *Dzieje Litwy i Rusi aż do Unji z Polską w Lublinie 1569 zawartej*, Paryż 1939.

W. Lipiński: *Szlachta na Ukrainie*, Kraków 1909.

W. Łoziński: *Prawem i lewem — obyczaje na Czerwonej Rusi w pierwszej połowie XVII wieku*, Lwów 1913.

W. Łoziński: *Życie polskie w dawnych wiekach*, Kraków 1978.

Malarstwo polskie od XVI do początku XX w. — katalog, wyd. II, Warszawa 1975.

H. Malewska: *Listy staropolskie z epoki Wazów*, Warszawa 1977.

K. Niesiecki: *Herbarz Polski* (Wyd. J.N. Bobrowicza), Lipsk 1842.

W. Odorowski: *Pałac w Kozłówce*, Lublin 1980.

L. Podhorodecki: *Jan Karol Chodkiewicz 1560—1621*, Warszawa 1982.

L. Podhorodecki: *Sicz Zaporoska*, Warszawa 1960.

L. Podhorodecki: *Stanisław Koniecpolski 1592—1646*, Warszawa 1978.

L. Podhorodecki: *Wojna polsko-turecka 1633—1634*, „Studia i Materiały Historii Wojskowości", 1976, t. XX.

L. Podhorodecki: *Zarys dziejów Ukrainy*, Warszawa 1976.

Polska XVII w. — państwo — społeczeństwo — kultura (pod red. J. Tazbira), Warszawa 1974.

Portrety osobistości polskich znajdujące się w pokojach i w galerii pałacu w Wilanowie — katalog, Warszawa 1967.

A. Przeździecki: *Podole Wołyń i Ukraina*, t. I, Wilno 1841.

K. Pułaski: *Szkice i poszukiwania historyczne*, t. I. Kraków 1887.

J. Puzyna: *Korybutowie Nieświzcy — moje ostatnie słowo w odpowiedzi prof. Semkowiczowi*, „Miesięcznik Heraldyczny", 1930, rok IX, N° 6.

J. Puzyna: *O pochodzeniu kniazia Fedka Nieświzkiego. 1. Tożsamość Fedka Nieświzkiego z Fedkiem Korybutowiczem*, „Miesięcznik Heraldyczny", 1911, rozdz. IV, N° 1—2.

J. Puzyna: *O pochodzeniu Fedka Nieświzkiego. 2. Nieświzcy i Zbarazcy w świetle badań stragistyczno-heraldycznych (dokończenie)*, „Miesięcznik Heraldyczny", 1911, rok IV, N° 5—6.

Z.L. Radzimiński: *W sprawie pochodzenia Fed'ka Nieświzkiego*, „Miesięcznik Heraldyczny", 1911, rok IV, N° 9—10 oraz „Miesięcznik Heraldyczny", 1911, rok IV, N° 11—12.

J. Rowiński: W. Tomkiewicz, *Jeremi Wiśniowiecki* — recenzja. „Przegl. Wojsk-Hist.", 1934, t. 7, z. 1.

A. Sajkowski: *Staropolska miłość*, Poznań 1981.

J. Schall: *Rok 1648 i kniaź Jeremi Wiśniowiecki w świetle współczesnych historyków żydowskich*, „Miesięcznik Żydowski", 1934, rok 4, s. 264—268.

W. Serczyk: *Historia Ukrainy*, Wrocław—Warszawa—Kraków—Gdańsk 1979.

W. Serczyk: *Połtawa 1709*, Warszawa 1982.

K. Stadnicki: *Bracia Władysława Jagiełły Olgierdowicza, Króla Polskiego, Wielkiego Xięcia Litwy*, Lwów 1867.

T. Stecki: *Wołyń pod względem statystycznym, historycznym i archeologicznym*, Lwów 1871.

K. Szajnocha: *Dwa lata dziejów naszych: 1646—1648 — opowiadanie i źródła*, t. II, Lwów 1869.

J. Szujski: *Dzieje Polski*, t. III, cz. I. (1572—1668), Lwów 1864.

J. Tazbir: *Kultura szlachecka w Polsce*, Warszawa 1979.

W. Tomkiewicz: *Bitwa pod Kumeykami*, „Przegl. Wojsk.-Hist.", 1936, t. IX, zeszyt 1.

W. Tomkiewicz: *Dzieje zbiorów zamku Wiśniowieckiego*, „Rocznik Wołyński", Równe 1933, t. III.

W. Tomkiewicz: *Jeremi Wiśniowiecki (1612—1651)*, Warszawa 1933.

W. Tomkiewicz: *Jeremi Wiśniowiecki jako krzewiciel katolicyzmu na Zadnieprzu*, „Przegl. Powszechny", 1930, t. 187.

W. Tomkiewicz: *Kozaczyzna ukrainna*, Lwów 1935.

W. Tomkiewicz: *Recenzja* — L. Fraś, *Obrona Zbaraża w 1649*, „Przegl. Wojsk.-Hist.", 1932, t. z. 1.

W. Tomkiewicz: *Sprawy ukrainne*, Lwów 1939.

W. Tomkiewicz: *Wartości historyczne «Ogniem i mieczem»*, „Przegl. Powszechny", 1934, t. 204, N° 610.

«Trylogia» Henryka Sienkiewicza— studia, szkice, polemiki (wybór i oprac. T. Jodełka), Warszawa 1962.

Ukrainskij Radjanskij Enciklopedicznij Słownik, t. I, Kijów 1966.

J. Widacki, Z. Marek, J. Konieczny: *Badanie domniemanych zwłok Jeremiego Wiśniowieckiego*, Arch. Med. Sąd. i Krym., 1982, t. XXXII, N° 3, 4, s. 71—76.

J. Wiśniewski: *Dekanat Opatowski*, Radom 1907.

J. Wolf: *O kniaziach Kobryńskich*, [w:] *Prace Wydz. Hist.-Filozoficznego AU*, t. XVII, Kraków 1883.

Z. Wójcik: *Dzikie Pola w ogniu — w Kozaczyźnie w dawnej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1960.

H.E. Wyczawski: *Biskup Piotr Gembicki 1587—1657*, Kraków 1957.

H.E. Wyczawski: *Bł. Jan z Dukli — życie i cześć pośmiertna*, Kraków 1957.

Ks. S. Załęski: *Jezuici w Polsce*, t. II, Lwów 1901.

Ks. S. Załęski: *O.O. Jezuici we Lwowie*, Lwów 1890.

Zarys historii Polski (pod red. S. Tazbira), Warszawa 1979.

Zbaraż — od ruin ku odbudowie, Lwów 1939.

W. Ziembicki: *Śmierć Jeremiego Wiśniowieckiego*, „Polska Gazeta Lekarska", 1936, XV, № 32—33.

ILUSTRACJE

Dymitr Bajda-Wiśniowiecki (portret ze zbiorów muzeum w Ostrogu)
(wg G.N. Łogwin *Po Ukrainie* Kijów 1968)

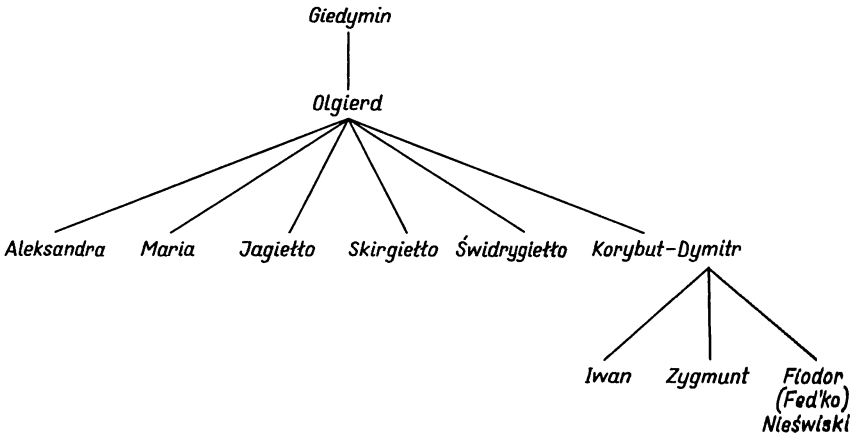

Tablica genealogiczna Giedyminowiczów

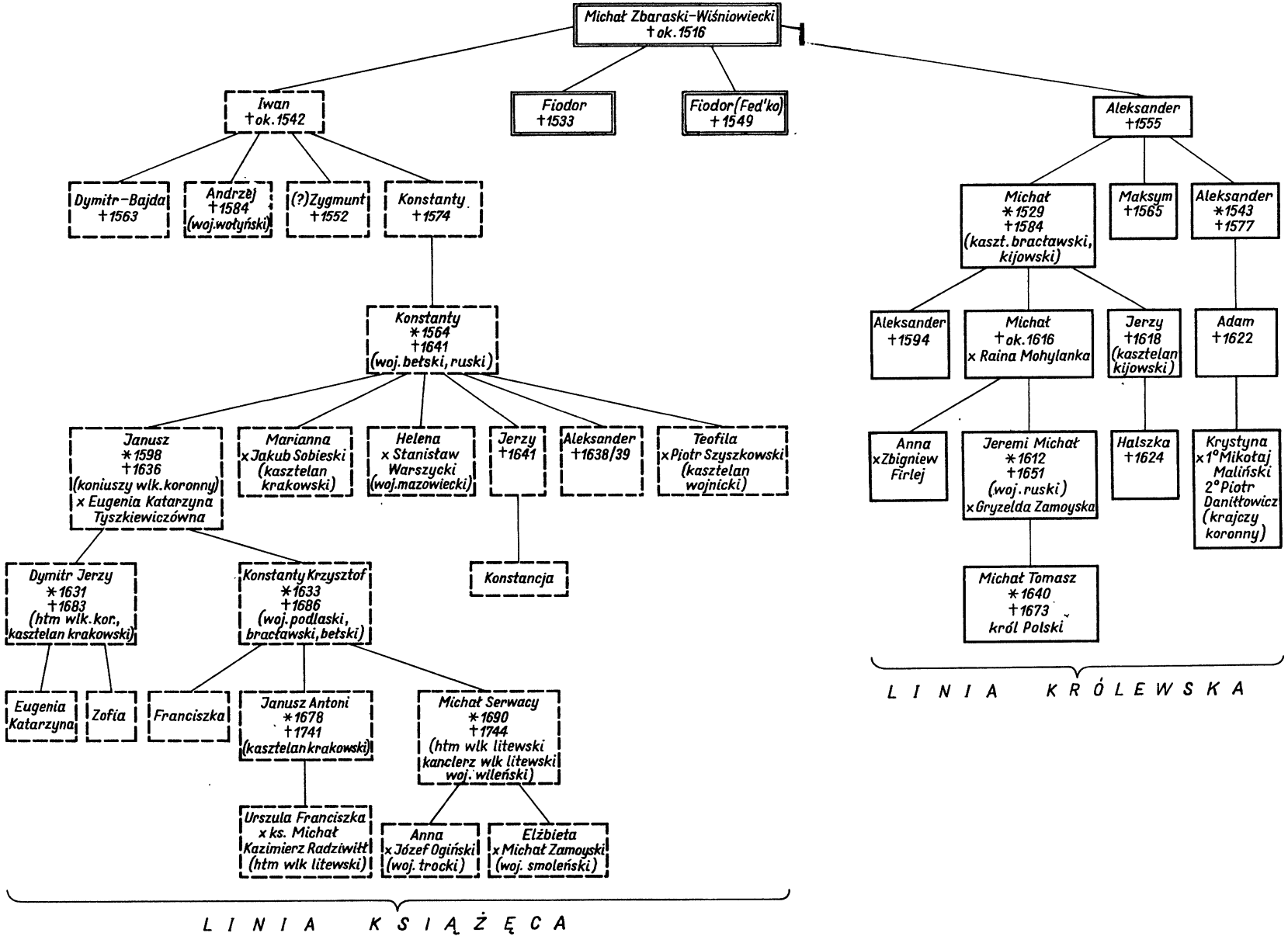

Uproszczona tablica genealogiczna Wiśniowieckich

Mharski monaster koło Łubniow, po przebudowie w końcu XVII wieku (wg G.N. Łogwin *op, cit.*)

Piort Mohyła — archimandryta Ławry Peczerskiej, kuzyn Jeremiego Wiśniowieckiego (wg G.N. Łogwin *op. cit.*)

Władysław IV (malarz nieznany, portret ze zbiorów Muzeum Narodowego w Wilanowie)

Jerzy Ossoliński (portret ze zbiorów Gabinetu Rycin PAN w Krakowie)

Adam Kazanowski (W. Hondius, portret ze zbiorów Muzeum Czapskich w Krakowie

Władysław IV (P. Soutman?), portret ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie

Wojewoda Stanisław Lubomirski (malarz nieznany, portret ze zbiorów Muzeum Narodowego w Łańcucie)

Jeremi Wiśniowiecki (?) (nieznany malarz polski, portret ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, fot. L. Jastrzębska)

Jeremi Wiśniowiecki (?) (portret przypisywany D. Schulzowi, w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie)

Jeremi Wiśniowiecki (rzeźba A. Le Bruna, w zbiorach Muzeum w Wilanowie, fot. T. Bułhak)

Jeremi Wiśniowiecki (przed 1939 portret w zbiorach Muzeum im. Jana III Sobieskiego we Lwowie)

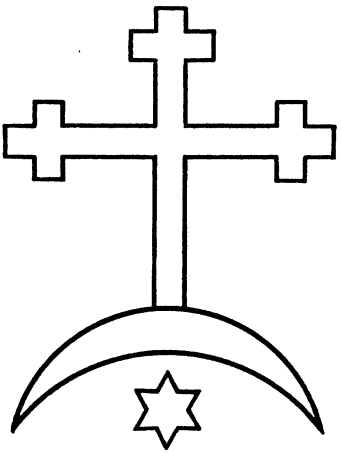

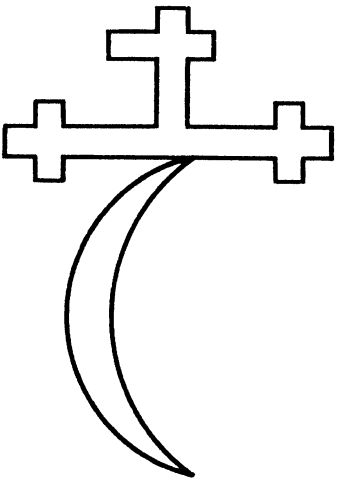

Herby: z lewej Wiśniowieckich, z prawej Fed'ka Nieświskiego

Jeremi Wiśniowiecki (portrecik z tableau wilanowskiego, w zbiorach Muzeum w Wilanowie)

Hetman Stanisław Koniecpolski (miedzioryt A. Tepplera wg portretu Altomontego, ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN)

Ruiny zamku w Kamieńcu Podolskim (wg G.N. Łogwin *op. cit.*)

Bohdan Chmielnicki (W. Hondius, portret ze zbioru Muzeum Czapskich w Krakowie)

Adam Kisiel, popiersie z cerkwi w Niskieniczach (wg G.N. Łogwin *op. cit.*)

Kościół bernardynów we Lwowie (fot. ze zbiorów autora)

Jan Kazimierz (wg *Theatrum Europaeum* Mateusza Meriana, Frankfurt 1643—1666, t. V.)

Karol Ferdynand Waza (Jeremiasz Falok, miedzioryt ze zbiorów Muzeum Czartoryskich w Krakowie)

Brama zamkowa w Zbarażu, stan sprzed 1939 (fot. ze zbiorów autora)

Wały zamkowe w Zbarażu, stan sprzed 1939 (fot. ze zbiorów autora)

Stanisław „Rewera" Potocki (malarz nieznany, portret ze zbiorów Muzeum Czapskich w Krakowie)

Cerkiew w Subotowie (wg G.N. Łogwin *op. cit.*)

Stefan Czarniecki (C. Meijssens, portret ze zbiorów Muzeum Czapskich w Krakowie)

Prof. Zdzisław Marek i Autor w czasie badania domniemanych zwłok Jeremiego Wiśniowieckiego na Świętym Krzyżu, wrzesień 1980

SPIS TREŚCI

Zamiast wstępu *5*
I. Ród książąt Wiśniowieckich *8*
II. Dzieciństwo Jeremiego *18*
III. Pierwsza wojna *26*
IV. „Prawem i lewem" *33*
V. W gronie rodzinnym *47*
VI. Po raz pierwszy przeciw Kozakom *55*
VII. Działalność publiczna *66*
VIII. Przeciw Tatarom *75*
IX. Przed burzą *87*
X. Pierwsza burza *103*
XI. Od sejmu konwokacyjnego do Piławiec *130*
XII. Vivat Joannes Casimirus Rex! *152*
XIII. Ku nowej wojnie *170*
XIV. Obrona Zbaraża *184*
XV. Po Zbarażu i Zborowie *212*
XVI. Przed kolejną rozprawą *234*
XVII. Beresteczko *244*
XVIII. Ostatnia kampania *259*
XIX. Księcia Jeremiego „życie po życiu" *269*
XX. Rzut oka na walki polsko-kozackie
po śmierci Jeremiego Wiśniowieckiego *279*
Epilog *285*
Bibliografia *288*

Redaktor książki *Krystyna Donabidowicz*
Redaktor techniczny *Zbigniew Laszek*
Korektor *Ewa Lis*

Wydawnictwo „Śląsk", Katowice 1988

Symbol 32860/RH. Wydanie 2. Nakład 29 850+150 egz.
Ark. wyd. 21,1. Ark. druk. 20,25. Papier offset. kl. V/70 g. rola 61 cm.
Druk ukończono w sierpniu 1988 r.
Zakłady Graficzne w Katowicach
Zam. 1375/1113/7 C-5